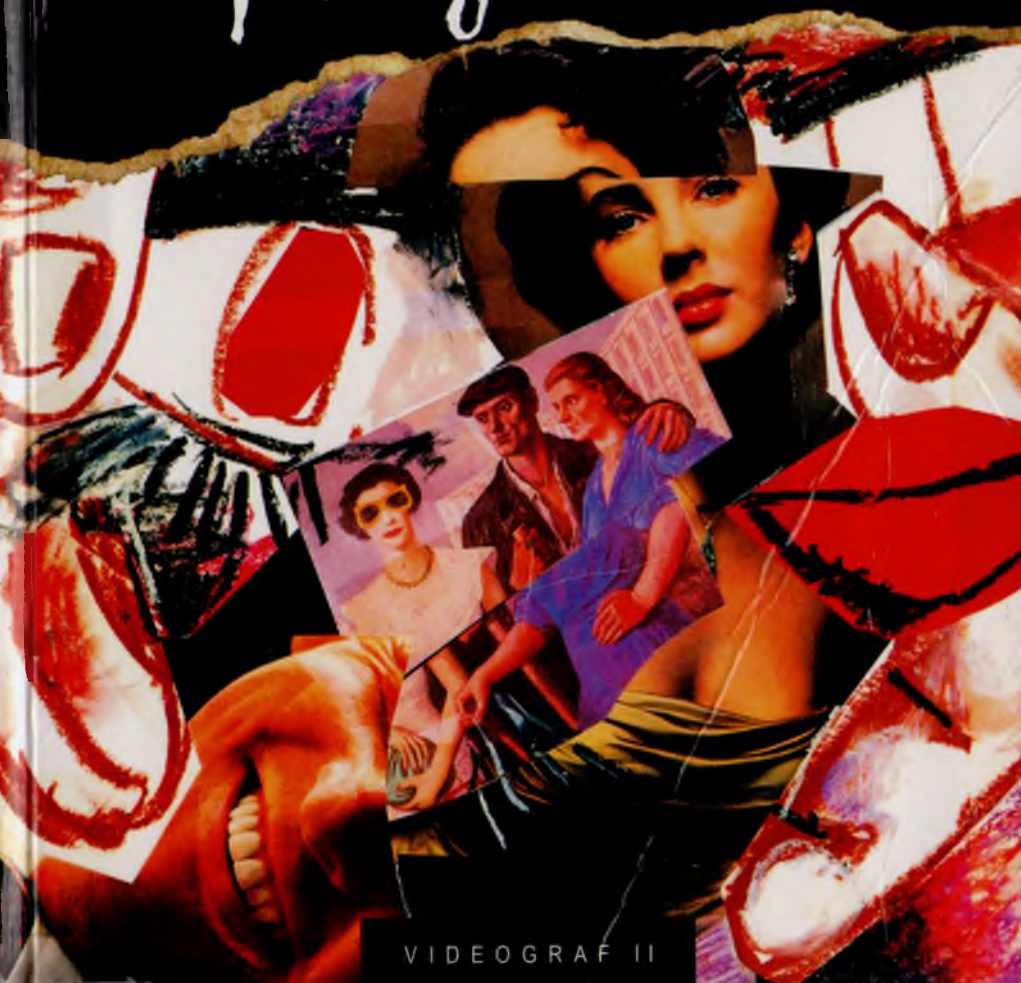


SP
SERIA Z KOBRA

Profiler musi myśleć jak on, przeżyć moment zbrodni jak on. Stać się nim!

Katarzyna Bonda <

Sprawa Niny Frank



VIDEOGRAF II

Redakcja i korekta
Jadwiga Kwiecień

Projekt okładki
Marek J. Piwko

Na okładce wykorzystano reprodukcję obrazu „Magazyn” Wojciecha Fangora

Redakcja techniczna
Damian Walasek

Skład i łamanie
Grzegorz Bociak

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, październik 2007

Videograf II Sp. z o.o.
41-500 Chorzów, Al. Harcerska 3c
tel. (0-32) 348-31-33, 348-31-35
fax (0-32) 348-31-25
office@videograf.pl
www.videograf.pl

© Copyright by Katarzyna Bonda, 2007

© Copyright by Videograf II Sp. z o.o., Chorzów 2007

ISBN 978-83-7183-502-5

Druk i oprawa: Opolgraf SA, Opole, www.opolgraf.pl

Katarzyna Bonda

Sprawa
Niny Frank



VIDEOGRAF II

Katowice

Pewnemu Fotografowi

„Czego człowiek nie rozumie, tym nie włada”
Johann Wolfgang Goethe

„Animus aeger semper errat
(Chory umysł zawsze błądzi)”

Prolog

Gdybyś była grzeczna... Taka, jak w telewizji, czysta jak zakonnica. Być może nie musiałbym cię karać. Być może. Ale nie, w końcu i tak musiałbym. Bo w głębi duszy jesteś suką! Zepsutą suką, dziwką, puszczającą się zdziurą. Myślałaś, że mnie oszukasz? Myślisz, że jak ci się udaje nabierać miliony telewidzów, każdego dnia wypatrujące na szklanym ekranie twojej zimnej, pięknej twarzy, to mnie też oszukasz? ... Zawiodłem się na tobie. Twoje ciało nie wie, co znaczy niewinność. Ty jesteś zbrukana. Cała unurzana w grzechu! Nie, nie urodziłaś się taka. Bardzo się o to postarałaś. *Dobrze, że matka nie wie, co razem robiliśmy.*

A tak bardzo chciałem ci dać to, czego pragniesz...

Och, przepraszam, przepraszam cię kochanie. Zrozum, muszę to zrobić, muszę, dla twojego dobra! Przecież wiesz, że cię podziwiam i w moich oczach zawsze będziesz najpiękniejszą kobietą, jaką znam. Przecież wiesz, że tak naprawdę wcale tego nie chcę. Nie chcę cię krzywdzić, skarbie, pragnę cię tylko uwolnić. Tak cię kochałem, Niko... Tylko, że ty tego nie doceniasz. Nawet teraz, kiedy jest nam razem tak cudownie. Mnie w każdym razie jest.

Kiedy każdej nocy przed zaśnięciem wyobrażam sobie, jak drzysz, gdy cię duszę... Widzę twoją wykrzywioną z bólu twarz i czuję rozkosz. Jestem wtedy silny. Jestem Kimś. Balansuję na granicy dwóch światów i zlewam je w jedność. Czuję w sobie moc panowania nad życiem i śmiercią. To takie podniecające. Nareszcie to ja decyduję o twoim losie. Już nic nie jest w stanie mnie powstrzymać... Takiej władzy pragnę. O niej marzę w moim pokoju.

Dobrze, że matka nie wie, co razem robiliśmy... To nic, że tylko w mojej wyobraźni. Czy wiesz, co by mi zrobiła, gdyby się dowiedziała? Złoiłaby mi skórę. Jak zwykle. Ty nie masz pojęcia, jak to boli. Ty nie wiesz, co znaczy ból. To, co ja ci robię, jest tylko przedsmakiem bólu, jaki chciałbym ci zadać. Musisz ponieść karę za swoje grzeszne spojrzenia. Dlatego muszę cię oczyścić. Nie mam innego wyjścia. Wszystko, co dotyczy ciebie, jest tak nieszczerze. Gdybyś chociaż zdawała sobie z tego sprawę...

Nie rozumiem, dlaczego mnie odrzucasz. To nie w porządku, dziewczynko. Tak się nie robi. W końcu jesteśmy ze sobą tak blisko. Wiem, że zbierasz moje listy. Żaden nie wrócił do skrytki. Gdybyś ich nie odbierała, być może nie pisałbym więcej. Pogodziłbym się z tym, że mnie nie chcesz. Ale nie, ty jeszcze mnie kusisz. Pragniesz, bym cię odwiedził. Uśmiechasz się do mnie z ekranu, tak lubieżna w tym habicie. A kiedy w końcu przyszedłem, ryzykując, że matka się dowie, zaczęłaś krzyczeć i grozić mi. To nie było uprzejme. Zwłaszcza te przekleństwa – nie przystoją damie. Muszę cię nauczyć kultury. Jesteś żalosna. Tak, teraz mnie śmieszysz. Już nie masz nade mną władzy. Choć na zawsze pozostaniesz tą pierwszą, która wyzwoliła we mnie siłę stwórcy. Stworzę na nowo. Pokonam barierę. Przekroczę próg dla wybranych.

Znów czuję to narastające napięcie. Podniecające, ekscytujące. Łechce moje członki i z niecierpliwością czekam, aż ten wulkan dojrzeje. Przyznam ci, że czasem to nie jest przyjemne. Paraliżuje mnie i zmusza do wycofania się. Ten ciągły lęk, który muszę pokonywać; ocean strachu. Mój lęk w porównaniu z twoim jest zaledwie kropelką wody. Ale wiem już, co go uwolni i oswoi. Da poczucie jeszcze większej siły. O tak! Patrząc na twoją twarz, na filmach, w gazetach, widzę ją we śnie, na jawie, coraz częściej obserwuję cię z daleka... Zbliżam się do ciebie, jestem o krok. Wczoraj miałem cię na wyciągnięcie ręki, a powstrzymałem się. Ale nie chcę już czekać dłużej. Muszę wyładować to napięcie, które mnie rozsadza.

Rozdział 1

Początek końca

„Zaplanuj swoje życie, bo inni zrobią to za ciebie”

Nie pamiętam, jak znalazłam się w swoim łóżku. Ból głowy wgniał mnie w ciemność poduszki. Zatożyłam okulary z materiału, które wzięłam z samolotu, i próbowałam uciec w nieświadomość. Kiedy tak dryfowałam w przestrzeni własnej pustki i starałam się odnaleźć wyjście z tunelu, do którego trafiałam niechcący, a właściwie tak bardzo świadomie, poczułam na swojej piersi czyjś język. Jakaś ręka wędrowała po moim brzuchu i zmierzała między nogi. Trwało chwilę, kiedy zrozumiałam, że zęby przygryzające moje sutki i ręka penetrująca właśnie moje wnętrze, nie należą do jednej osoby. Natarczywy palec próbował pobudzić mnie. Dopiero, gdy ofensywny język z piersi przeniósł się do ust i poczułam na nim własny zapach i smak, zdartam z oczu okulary i krzyknęłam: – Nie! Przestań!

W moim łóżku, w skotłowanej pościeli, leżało dwóch młodszych ode mnie mężczyzn. Przystojnych jak z żurnala. O twarzach wymuskanych, w które regularnie wklepują kremy przeciwzmarszczkowe, ale nie wyrażających nic prócz żądz. Kutas jednego z nich był w stanie imponującego wzwodu. Jego właściciel zbliżał się w moim kierunku. – Jaka groźna kotka – szeptał oblesnie. Drugi, nieprzytomny, jeszcze odurzony, histerycznie się zaśmiewał. Jego rechot doprowadzał mnie do furii. Poczułam się mała i bezbronna. Chwyciłam stojącą na blacie butelkę po ginie i cisnęłam nią w tego ze stojącym kutasem. Ale nie trafiłam. Uchylił się. Butelka odbiła się od stołu i potoczyła po podłodze.

Chwyciłam przścieradło. Próbowałam ściągnąć ze swojego łóżka drugiego, który nie przestawał się śmiać. Kiedy udało mi się przystończyć swoją nagość białą, wygniecioną

materia, spojrział błagalnie i sliniąc się, czołgał po podłodze. – Dostaliście, co chcieliście! Zabierać się z mojego domu! – darłam się.

– Jaki temperament... – śmiech grzęzł w gardle czołgającego się. – Zwariowałaś? – zamilkł, kiedy wyrwałam lampkę z kontaktu i zamachnęłam się na niego.

– Co ty? Przecież sama nas zaprosiłaś. Nie rób wiochy.

Przez głowę przelatowały mi różne myśli. Gubiłam się. Nie byłam już taka pewna. Jak to się stało, że ich tu przywiozłam? Mgliście przypominało mi się, że poprzedniego wieczoru pozwoliłam, by pili z mojego buta, całowali po szyi... Nie znałam ich imion, a oni zwracali się do mnie per „ty”. Zupełnie nie pamiętałam, że z nimi spałam. Nic nie pamiętałam. Choć moje ciało mówiło, że pozwoliłam na wiele. Bolały mnie piersi. Sutki były sterczące, podrażnione, pewnie przypalane papierosami. Między nogami miałam żarzące się węgle. Pieprzyłam się z nimi. Pijana, szalona, dawałam się rżnąć. Aaaa! – głowa mi pękała.

– Dzwonię na policję – chwyciłam telefon. – Albo sami wyjdziecie – dodałam ciszej.

Chciałam, żeby zostawili mnie samą.

– Ale jesteśmy na wsi... – odezwał się cicho Człogacz o oczach wiernego szczeniaka.

– Nie obchodzi mnie, jak wrócić.

– W pozostałych pokojach są inni ludzie. Ich też wyrzucisz? – spytał chytrze wyższy, a jego imponujący penis skurczył się już i ukrył tchórzliwie w gestwinie czarnych włosów. Reszta klejnotów dyndała smętnie, jakby ktoś spuścił powietrze z odpustowego balonika.

Chwyciłam prześcieradło i wyszłam z sypialni.

Biała sofa w salonie była obrzygana. Leżały na niej na w pół rozebrane dziewczyny i dwóch znanych mi producentów. W kuchni ktoś smażył jajecznicę. Furkotał ekspres do kawy. W bibliotece jakieś panienki chichotały. „Wypijmy za błędy...” – zawodził Rysiek Rynkowski – ktoś na całym regulator włączył telewizor.

– Jest nasza gwiazda! – krzyknął Zbyszek, mój agent. Na sobie miał mój własny szlafrok, pod spodem był goły, jak go Pan Bóg stworzył. Kilka dziewczyn kręciło się wokół niego. Były niekompletnie ubrane.

– Dzień dobry – powiedziałam grobowym głosem. Zastanawiałam się, kim są ci ludzie, większości nie znałam. Czulałam się osaczona, zagubiona i stara, kiedy patrzyłam na te osiemnastki, gotowe w tej chwili zrobić wszystko za epizod w głupawym serialu. Marzyły o tym, co ja już mam – o orgii we własnym domu, której

nie pamiętam. Pewnie po tych tabletkach, alkoholu i niezliczonej ilości skrętów, które pojawiły się nie wiadomo skąd.

– Koniec imprezy. Zmywajcie się – powiedziałam nie patrząc na to towarzystwo.
– Mam was wszyskich gdzieś – chciałam dodać. Ale po prostu wyszłam.

– Nika, pojechało cię? Dziś niedziela, dzień święty – rzucił zza moich pleców gość, którego imienia nie znałam i nie chciałam poznawać. Reszta wybuchnęła śmiechem. – Odwaliło ci, odkąd wróciłaś ze Stanów! Wschodząca gwiazda Hollywoodu już nie chce zadawać się z polskim show-biznesem... – szydził.

Zamachnęłam się i uderzyłam wymoczką w twarz. Podbiegłam do białej skrzynki przy wejściu:

– Wzywam ochronę. Wyrzucą was, tak, jak tu stoicie.

– Przecież ty nie umiesz nawet obsługiwać odtwarzacza wideo... – roześmiał się Jakub, chyba jedyny w marynarce. Spojrzałam na niego i poczułam, że mi niedobrze. Do jego ramienia, jak manekin, przyczepiona była śliczna dziewczyna, w wieku może siedemnastu lat. Wyglądali jak ojciec z córką. Blond włosy miała potargane, wzrok mętny. Była na prochach. Zobaczyłam w niej siebie sprzed lat. Spojrzałam Jakubowi w oczy, wpisałam kod i nacisnęłam czerwony guzik. Rozległ się głuchy alarm syreny.

– Macie dziesięć minut – powiedziałam i weszłam po schodach na górę. Nie oglądając się zamknęłam drzwi. Wiedziałam, że wyjdą. Opatuliłam się prześcieradłem i usiadłam przed komputerem. Wtedy postanowiłam to spisać.

Może dowiem się, jak zagubiłam się w meandrach moich marzeń i stałam kimś tak bardzo mi obcym. Jak obudziłam potwora śpiącego pod skórą, którego przez lata karmiłam własną krwią i który teraz żąda kolejnej ofiary – z mego życia. Spowiedź internetowa w konfesjonale nicka. Rozgrzeszenie przez powiedzenie wszystkim i nikomu. Do tego żadnej pokuty za grzechy. Czulałam, że jeśli nie zrzucę gdzieś tych wszystkich masek, które nosiłam, wybuchnę. Pęknę. Wiatr rozniesie mnie na kawałki, które nie będą już nigdy do siebie pasować. I na myśl o samooczyszczeniu poczułam ulgę.

Słyszałam, jak w mieszkaniu cichnie ruwetes. Przez chwilę słychać było jakieś głosy, po czym zapadła cisza. Kiedy zapukała ochrona, nikogo już nie było.

– Przepraszam, zapłacę za fatywę, ale już wszystko w porządku. Nie potrzebuje niczego – powiedziałam do dwóch karków uzbrojonych po zęby. Sprzedałam im trzydziesty siódmy wystudiowany uśmiech i poprawiłam prześcieradło, tak, by mogli dyskretnie dojrzeć jedną z moich piersi i stopę z polakierowanymi paznokciami.

Oczywiście zadziałało. Jestem jak dobrze funkcjonujący robot wieloczynnościowy. Jeden z nich, ten z blizną w poprzek szyi, bąknął:

– Od tego jesteśmy. Napiżemy, że interwencja była uzasadniona.

Znów się uśmiechnęłam i zatrzasnęłam drzwi.

Zostałam kompletnie sama. Jak zwykle. Ale tak czułam się najbezpieczniej. Nie musiałam grać. Człowiek rodzi się sam, żyje i umiera sam – jako nastolatka wydrukowałam to sobie na koszulce. I jeszcze: „Lepiej szybko spłonąć, niż tlić się powoli” – credo Kurta Cobaina. Zmarł, gdy miał tyle lat, co ja teraz... Ogarnęłam spojrzeniem mieszkanie. Doszłam do wniosku, że w zasadzie to pobojowisko, jakie widzę, odzwierciedla moje życie. Zrujnowane, zbezczeszczone. Obcy ludzie, obcy kochankowie penetrujący nie mnie, ale aktorkę mydlanych oper, która uwierzyła, że jest gwiazdą.

Właśnie. Wzięłam do ręki list z CAA. Data, pieczętka, Santa Monica. Podpis. Treść czytałam może dwadzieścia razy. Ziemia usunęła mi się spod stóp. W jednej chwili pozbyłam się złudzeń. To feralna kostka domina, która przewróciła moją misterną układankę. Teraz tylko patrzeć, aż wszystko się rozsypie. Już nie wierzę. W nic. Czy tak właśnie wygląda początek końca? Weszłam do łazienki. Odkręciłam kurki – huk spadającej wody zagłuszył na chwilę natrętne myśli. Wpatrywałam się w przezroczystą ciecz, w której za chwilę się zanurzę. Jak najszybciej pragnęłam zmyć z siebie kolejne warstwy mazi, która oblepia mi duszę i barwi ją na czarno. Jest jej tak dużo, że zaczyna być widoczna także w realu. Przystałam kontrolować jej uparte działania. Jutro stracę kilka kontraktów. Potwór przejmuje ster nad moim życiem. Nie chcę już z nim walczyć, bo wiem, że i tak poniosę klęskę. Ale z drugiej strony... Gdzie jestem ja – ta dziewczyna, która nie była sławna, ale była sobą? Co z nią zrobiłam? Tęsknię za nią, choć wiem, że czas przeszedł to jedyna rzecz, na którą nie mam wpływu.

Wyprostowałam nogi i ręce w wodzie, głowę oparłam o akrylowy brzeg wanny. Światło razito mnie, więc przymknęłam powieki. Zanurzyłam włosy, policzki. Woda przykryła moje oczy ciężką pierzyną. Po chwili wyrzuciłam głowę na powierzchnię. Otarłam twarz. Ale pod spodem była tak cudowna cisza... Nabrałam powietrza, powoli opadałam na dno wanny. Coraz wolniej i wolniej.

Pewnie nie uwierzysz, ale pod wodą, w ciszy, znalazłam bezkresny azyl. Nie chciałam wynurzać się na powierzchnię. Nawet, kiedy zaczęło mi brakować powietrza i czułam w uszach kłujący ból. Wtedy przyczaiła się ta irracjonalna myśl: „Musieli nieźle wyglądać, jak z gołymi tyłkami uciekali do swoich ekskluzywnych

wozów". Wystrzeliłam jak z procy spod wody i roześmiałam się w głos. Jaki ten mój świat jest żaloszny! Zawinęłam się ręcznikiem i ociekająca wodą poszukałam pilota do telewizora. Patrzyłam na mokre kałuże wokół własnych stóp, gdy usłyszałam z głośników odbiornika: – Kocham cię, Sergio! Skąd w tobie tyle okrucieństwa?

Rozdział 2

Lidia, mitosiniczka seriali

„Nie daj się nabrać. Jeśli coś wydaje się zbyt dobre,
żeby mogło być prawdziwe, pewnie tak jest”

Kocham cię, Sergio! Skąd w tobie tyle okrucieństwa? – zawodziła teatralnym głosem kobieta, drąc w drobne kawałeczki czarno-białe zdjęcie amanta z cieniutkim jak niteczka wąsikiem. – Ty kochasz moją siostrę Leilę, nie mnie! Moje życie nie ma sensu – łkała.

Kamera z szerszego planu zbliżyła się do jej twarzy, ukazując kropelkę przezroczystej cieczy, która udawała łzę. Tworzyła biały tor na jej suto uróżwionym policzku. Potem już cały ekran wypełniły papuzioniebieskie cienie do powiek i frankowate rzęsy tytułowej bohaterki serialu „Amanda”. Kobieta ostrożnie, by nie zepsuć makijażu, otarła oczy chusteczką z monogramem i podeszła do kuchennego blatu. Długimi, wypielęgnowanymi palcami, zakończonymi szponiastymi paznokciami chwyciła nóż. Dramatycznie błysnęło ostrze, gdy przeciągnęła po swoim przegubie. Upadła na drogocenną posadzkę w arabskie wzory.

Cięcie. Napisy. Z głośników popłynęła latynoska muzyka.

Lidia Daniluk siedziała jeszcze chwilę nieruchomo w ciemnościach. Dopiero, gdy muzykę zastąpił ryk dżingla zwiastującego reklamę, a na ekranie pojawiła się zadowolona gospodyni ciesząca się z usunięcia plamy na koszulce, Lidia wstała i chwyciła pilot, by ściszyć fonę w telewizorze. Za oknem już zapadł zmierzch. Lidia zerknęła na zegar: dochodziła dziewiętnasta. Drobnym krokiem podeszła do lustra wiszącego nad lodówką i spojrzała na swoją sześćdziesięcioletnią twarz. Oczy miała jeszcze zaczer-

wienione od bezgłosego płaczu. Splecione w warkocz włosy, uczesane na styl ukraiński wokół głowy, były całkiem białe. Lidia potarła powieki, klepnęła się po zwiotczonych policzkach, by dodać im koloru, i spróbowała uśmiechnąć się do lusterka. Ale oczy nadal pozostały smutne. Wyjęła czerwoną szminkę. Lekko dotknęła nią ust, by twarz stała się wyrazista. Zaczęła krzątać się po kuchni; włączyła czajnik na herbatę, pokroiła pomidory, posmarowała masłem bułki. Wyciągnęła ser i wędlinę. Zajął się robieniem kanapek. Nie chciała, by Borys, jej syn, który zaraz wróci z pracy, zobaczył, że płakała. Wydało jej się, że słyszy warkot silnika samochodu.

– Znów ryczałeś przy „Amandzie”? – roześmiał się Borys, gdy tylko przekroczył próg białego domku. Wysoki, barczysty, o twarzy jak skórę zdjął z Lidii, tyle, że z mocniej zarysowaną szczęką i kanciasto wystającymi kośćmi policzkowymi. Jego intensywnie zielone oczy śmiały się figlarnie. – Zaraz twój serial. Ciekawe, jaki dziś dobry uczynek zrobi zakonnica Joanna. Swoją drogą niezła laska z tej siostrzyczki – mówił, jednocześnie przeżuując kanapki przygotowane przez matkę.

– Też byś pooglądał. To dobry wzór do naśladowania. A szukają statystów do tego filmu – Lidia mówiła jak do małego dziecka. – Zgłosiłbyś się, zarobił parę złotych. Kto wie, może masz talent aktorski?

– Aha, pójdę na casting i od razu zagram Zbyszka z Bogdańca – Borys rechotał ze swojego dowcipu. – Kierownika karmiłaś? – spytał z pełnymi ustami.

– Tak, ale nie miał dziś apetytu – ucięła Lidia.

– Nie miał, bo znów mu dałaś te placuszki z płatków owsianych. Wytrzywać się z tobą nie da – narzekał poirytowany.

– Ale on je lubi. Są zdrowe, na oleju – tłumaczyła już weselszym głosem matka. Zawsze czuła się lepiej, gdy widziała syna: 25-letniego mężczyznę, który wciąż wydawał się jej małym chłopcem. Był jej oczkiem w głowie, „słoneczkiem” i prawdziwym oparciem po śmierci męża. Wierzyła, że wychowała go na dobrego człowieka.

– Tak, tak... A ja słyszałem, że psy wolą mięso od placków nadziejących jakimś zielskiem.

– Nie jakimś tam, tylko leczniczymi ziołami: skrzypem, pokrzywą i krwawnikiem. Przecież on wciąż sika. Nie trzyma moczu, bieda-

czysko. Przeziębł się... Od tych ziółek lepiej się czuje – tłumaczyła spokojnie.

– A mówił ci? Skąd wiesz? – machnął ręką Borys i poszedł do swojego pokoju pograć na Play Station II.

Lidia z filiżanką herbaty pośpiesznie wróciła przed telewizor. Spikerka właśnie zapowiadała, że dziś w studiu gości będą Ninę Frank, odtwórczynię roli siostry Joanny w serialu „Życie nie na sprzedaż”, ulubienicę widzów i laureatkę tegorocznej złotej Telekamery dla najlepszej aktorki pierwszoplanowej. Wywiad przeprowadzi gwiazda telewizji Piotr Tarczyński.

– Niko, jak ty to robisz, że z każdym dniem jesteś coraz piękniejsza? – zagaił prezyter.

– Och, miłość widzów tak na mnie świetnie wpływa. I praca, która daje mi ogromną satysfakcję – perlistym głosem odpowiedziała gwiazda i uśmiechnęła się do kamery, ukazując białe, równe zęby. Jej alabastrowa cera kontrastowała z kruczoczarnymi włosami poskręcanyimi w sprężynki. Lidia przyglądała się smukłym nogom gwiazdy w czarnych kabaretkach i pantofelkach z weluru na szpilce. Obserwowała dodatki: mieniące się kolczyki i bransoletkę ze szczerzego złota, która brzęczała zmysłowo przy poruszeniu ręki aktorki. Lidia chłoneła każde słowo gwiazdy.

– Mówią, że jeździsz jak pirat... – mówił dalej Tarczyński.

– Och, jeżdżę dość szybko moją Alfą... Ale policjanci zwykle puszcżają mnie wolno. Zamiast mandatów wystarczy autograf albo miła pogawędka – szczebiotała Frank.

– O czym teraz marzysz, skoro masz już wszystko: sławę, pieniądze, jesteś spełniona zawodowo, w miłości...

– Marzę o założeniu fundacji wspomagającej głodne dzieci ze Śląska. Zamierzam zaangażować się też w akcję rozwoju rodzinnych domów dziecka. Nie mogę patrzeć, gdy cierpi niewinna istotka. W marcu wybieram się do Iraku, by wystąpić dla naszych żołnierzy walczących z terrorystami. Chcę dodać im otuchy.

– Życzę ci tego. Dziękuję za wizytę w studiu. A teraz zapraszamy państwa na kolejny odcinek „Życia nie na sprzedaż” i dalszy ciąg przygód najpiękniejszej zakonnicy w Polsce.

Lidia usadowiła się wygodnie i zatopiła w rzeczywistości serialu. Herbata wystygła. Wdowa zapomniała, że ją tutaj przyniosła. – Co za kobieta, ta Nina. Niezwykła, o tak dobrym sercu – zachwycała się i marzyła, by jej syn znalazł taką elegancką synową.

Rozdział 3

Szeryf Kula

„Okazuj szacunek wszystkiemu, co żyje”

Dwa głośnie uderzenia rozbiły łysą głowę podkomisarza Eugeniusza Kuli na pół. To znaczy, tak mu się wydawało, jakby dostał lomem albo siekierą. A może to był zły sen? Kiedy już pogodził się z tym, że ktoś go budzi o piątej nad ranem, i już, już zaczął na nowo przysypiać, jak grom z jasnego nieba znów zwały się na niego te cholerne „pik” i „pik”. W ciemnościach zaczął obmacywać blat taboretu, na którym wieczorem położył kaburę ze służbową bronią, szklankę po mleku z czosnkiem, który żona kazała mu wypić, bo wczoraj się podziębził, okulary i świeżo wypożyczony z gminnej biblioteki kryminal: „Zjawiał się zawsze wieczorem”.

– Job twoju mać – zaklął gromko, gdy wszystko z taboretu zważyło się z hukiem na podłogę i obudziło śpiącą w drugim pokoju małżonkę Gałę, która krzyknęła: – Gieniu, co tak hałasujesz! To tylko ten twój „pagier”.

Kula potarzał sumiastego wąsa i wystawił spod pierzyny jedną nogę. Wyszukał pod łóżkiem kapeć i natychmiast zagłębił stopę w futrze, by uchronić ją przed przejmującym zimnem. Pstryknął światło, które na moment go oślepiło, i wtedy, dokładnie tuż obok swojej drugiej stopy, wysłedził winowajcę „rozdwojonej czaszki”. Zielony wyświetlacz urządzenia pulsował i policjant, już w okularach, które cudem się nie stłukły, odczytał, że ma dwie wiadomości.

– Obie od tego niemoty Alojzego Trembowieckiego, mojego oficera dyżurnego – pomyślał i jego twarz wykrzywił wzdgardliwy grymas. Zaklął

pod nosem i nacisnął funkcję: „odczytaj”. Wyświetliły mu się numery posterunku. Poszedł do pokoju i zakręcił korbką.

– Halo, co się stało? – chrząknął, by nadać swojemu głosowi zwykły ton, ale wyszło piskliwie i aspirant zorientował się, że Eugeniusz Kula dopiero wstał.

– Przepraszam, że obudziłem... Panie podkomisarzu, melduję posłusznie, że w dniu dzisiejszym zanotowałem zaledwie kilka drobnych zdarzeń: nieznanymi sprawcami zrabowali trzy kury „zielononóżki” od Komorników, Lendziony znów się popiły i pobiły. Czekają na przesłuchanie w areszcie, jak również stara Józwiakowa z Mętnej zaatakowała klienta sztachetą nabitą gwoździami, bo nie chciał zapłacić za wódkę. Zawieźliśmy go do doktora, żeby mu opatrzył rany szarpane – meldował Trembowiecki.

– Uhm... I to są powody, żeby mnie budzić w środku nocy? Żeby chociaż w rezydencji aktorki rozrabiali, to rozumiem – warknął komendant i pomyślał z irytacją: „Dlaczego w tym kraju tylko niedorozwoje chcą pracować na posterunku policji?”

Tymczasem w drugim pokoju wybudzona już żona podpałała w piecu i nastawiła elektryczny czajnik.

– Gieniu, zrobiłam ci herbatki z rumianku – przybiegła po chwili w kwiecistym szlafroku, który córka przywiozła jej z Belgii, gdzie pracowała „na domkach”. Gala była dumna, że córka nie została żoną któregoś rolnika z sąsiedztwa. Zamiast zrywać się o piątej rano do krów, jeździ na saksy za granicę, a w Białymstoku pracuje na drugą zmianę w supermarkecie Auchan, którego Gala nazywa „Oszołomem”, bo tak łatwiej wymówić.

– Ależ nie. Dziś cisza tam i spokój. Światła pogaszone. Chyba nikogo nie ma. Ale nie śmiałybym pana budzić, gdyby nie pewien kłopot – ciągnął służbowo aspirant. – Pop z Tokar znów dręczy żonę. Sąsiedzi mnie wezwali, ale nawet słowa nie dał powiedzieć. Tylko z panem zgodził się negocjować.

– Negocjować, barania głowo, negocjować – zamruczał do siebie Kula, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – Zaraz będę. Czekajcie tam na mnie, Trembowiecki.

– Tak jest – zdążył odpowiedzieć posterunkowy. Ale Kula już nie usłyszał, bo z całej siły wałnął słuchawką. Natychmiast odstawił rumianek i zażądał mocnej kawy „plujki”. – Zrób mi śniadanie do pracy, duszko. Nie wiem, kiedy wrócę – powiedział radośnie.

– Coś się stało, Gieniu? – zaniepokoiła się nie na żarty żona, widząc rozentuzjasmowanego męża, już w kalesonach i marynarce od munduru.

– Nic, nic. Kielbasy swojskiej mi włóż. No i musztardę. A ze dwa ogórki kwaszone. Chleba nie żałuj! Tylko nie krój tak cienko, że słońce przez kromki widać. A dlaczego mi wesoło? Potrzebują mnie, poważna sprawa. Będę negocjatorem! Tak, jak ten prokurator Kumosa, co go oglądaliśmy w „Kurierze”, pamiętasz? Już czas na mnie: idę pogadać z szaleńcem – zakończył przemowę, wymaszerowując z kuchni i zostawiając żonę w stanie kompletnego osłupienia.

– Jakim szaleńcem? – Gala wybiegła po chwili na ganek z zawiniątkiem śniadaniowym i spytała ponownie, tym razem tonem nieznośnym sprzeciwu: – Jakim szaleńcem? Gdzie?

– A nic, duszko – odparł słodko podkomisarz Kula. Siedział już w swoim służbowym 13-letnim polonezie z białym napisem na bocznych drzwiach „POLICJA” i próbował go odpalić. Litera na drzwiach były trochę krzywe i pochylone w jedną stronę, bo policjant sam je niedawno podmalowywał, żeby zaoszczędzić i dzięki temu kupić trzy ryzy papieru do policyjnej drukarki. Bo bezpieczeństwo i nowe technologie to był konik kierownika posterunku w Mielniku. – Szaleniec? A to nasz Saszka znów dręczy żonę – odpowiedział mimochodem i ponownie przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Co znowu? Gadzina znów nie chce odpalić – podkomisarz Kula podrapał się po głowie i wysiadł z auta, głośno trzaskając drzwiami. – Rozrusznik padł. A może teraz akumulator? Szlag by to trafił, akurat jak potrzebuję tego starego grata... – zajrzał pod maskę. – No nie, ostatnio wysypałem przecież trutkę, znów mysz jakaś weszła – narzekał, wyciągając fragmenty pogryzionych kabelków.

– Trzeba będzie Maćka przenocować tutaj – dodał do siebie. I zawołał: kici, kici... Kiedy kot wskoczył do auta, Kula zamknął za nim drzwi i ciężko wzdychając podszedł do szopy stojącej naprzeciwko, by wyprowadzić niezawodnego „Komara”. Motorynka zafurkotała za pierwszym razem, a z rury wydechowej poleciały kłęby czarnego dymu. Gala podbiegła do plotu, by otworzyć mężowi bramę i po chwili zobaczyła już tylko tuman kurzu.

Eugeniusz Kula do posterunku miał niedaleko, zaledwie dziesięć minut drogi. Szosa była jeszcze kompletnie pusta, na mijanych polach sielsko

wstawały mgły, ale w oknach już paliły się światła. Mieszkańcy wsi szykowali się do codziennych obrządków: karmienia zwierząt, wyprowadzania krów na pole.

Budynek posterunku stał w samym środku Mielnika, ślicznie położonej miejscowości nad Bugiem. Z samej Warszawy przyjeżdżali tu pasjonaci pieszych wycieczek lubiący ciszę i spokój. Można powiedzieć: trafiali tu jedynie miłośnicy nudy i prawosławni pielgrzymi, bo kilka kilometrów dalej, w lesie znajdowało się ich największe miejsce kultu – Góra Grabarka. I oprócz incydentów z kradzieżami kur, rozrób na weselach, utonięciach po pijaku w rzece i sprawami drobnych przemytników, usiłujących przez zieloną granicę przewozić plecaki z papierosami i wódką, nic się tutaj nie działo.

Mimo to podkomisarz bacznie obserwował każdą z chałup, a w myślach już układał sobie mowę, jaką wygłosi batiuszce, którego znał od dziecka. Kiedy Kula zaczynał jako oficer dyżurny w mielnickiej komendzie, Saszka biegał jeszcze z pieluchą. Potem policjant zatrzymywał go na wiejskich zabawach za bitki z kolegami z sąsiednich wsi. A także, jak po alkoholu prowadził samochód ojca, szefa ochotniczej straży pożarnej. Jakiego doznał szoku, kiedy dowiedział się, że Saszka idzie na studia. I to do seminarium duchownego! Wszyscy sąsiedzi wierzyli, że awanturnicza dusza chłopaka odmieni się pod wpływem posłannictwa bożego. Ale Saszka był pokorny tylko do ożenku i wyświęcenia. A gdy dostał swoją parafię w Tokarach, dopiero zaczęły się ekscesy. Lubił sobie wypić i dręczył wtedy żonę psychicznie. Znęcał się fizycznie: zaganiał do rąbania drzewa, bił kolkiem do rozgniatacia ziemniaków dla świń i ganiał z widłami po obejściu. Parafianie przymykali oczy na jego temperament, bo niebieską kapliczkę z 1912 roku wyremontował jak się patrzy. Ikonostas aż kapał od złota. Sprowadził artystę-Greka, który na suficie starej cerkiewki wymalował prawdziwe freski. No i pop zbudował drogę z cmentarza do wsi. Nareszcie nie trzeba było doń chodzić w gumofilcach, a dało się nawet dojechać samochodem.

A że po kołędzie wracał do domu pijany – co w tym dziwnego, pop też człowiek. U każdego swojego parafianina wypił po kieliszku świętecznej wódki. Nawet najświętszemu zakręciłoby się w głowie.

Więc wybacjali mu te ekscesy z żoną, tym bardziej że matuszka się nie skarżyła. Tylko czasem podczas liturgii nie wychodziła z części dla

chóru, żeby nie narażać ludzi na widok siniaków. A śpiewała jak anioł w niebiesiech.

Podkomisarz Eugeniusz Kula już piętnasty rok pilnował bezpieczeństwa na tym terenie. Ludzie traktowali go z respektem jak swojego szeryfa na Dzikim Wschodzie. Często dawał „młodym zagubionym wilkom” drugą szansę i słynął z uczciwości.

Tym razem jednak jechał na posterunek z postanowieniem, że będzie dla Szaszki bezwzględny. I nie puści mu tego płazem. Pop, choć znajomy, musi ponieść karę. – W papierach mu nie namieszam – postanowił. – Ale nauczkę musi dostać – zacisnął pięści na rączkach motorynki.

Nawet nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby o wyczynach Szaszki dowiedzieli się jego zwierzchnicy w białostockiej kurii. Pewnie przeniesliby go na drugi koniec Polski, a ten od razu zaczęłby karierę od awantury. Albo tak jak ostatnio – od skandalu, który opisała lokalna prasa i tylko cudem udało się uratować Szaszkę przed gniewem arcybiskupa Sawy.

Pop po liturgii świątecznej wezwał dzieci i ich rodziców ze szkółki niedzielnej „Łampaga” i oznajmił, że świętego Mikołaja nie ma. A prezenty przynoszą pod choinkę mama i tata. I jeśli któreś z nich wierzy, że jest inaczej, popełnia grzech śmiertelny.

Dzieci wpadły w szloch, a kilku podchmielonych świątecznie ojców rzuciło się na popa. I gdyby Kula nie był na mszy i w porę nie zorientował się, co dzieje się w sali, w której odbywa się religia, mogłoby dojść do linczu. Do dziś na jednej ścianie w klasie są plamy krwi z rozbitego batiuszkowego nosa.

No więc Kula musi być dziś konsekwentny. Gdyby Szaszkę przeniesiono, straciłby nad nim kontrolę, a ten jeszcze gotów wstydu narobić. A co gorsza zatłuc pokorną matuszkę, bo wciąż wydaje mu się, że jest zbyt grzeszna.

Tak dumiał Eugeniusz Kula jadąc motorynką na posterunek. Kiedy zbliżył się na odległość kilometra, dostrzegł przed budynkiem swojego podwładnego. Posterunkowy Alojzy Trembowiecki, jeden z trzech jego ludzi, po prostu trząsł się ze strachu. Co tu się dziwić? Dopiero trzeci miesiąc na służbie, a tu taka poważna interwencja. Zwłaszcza że Trembowiecki, świeżo przeszkolony w komendzie wojewódzkiej w Białymstoku, został przydzielony na zabitą dechami wieś podlaską jako najbardziej tępy

z adeptów policji. W zapiętym pod szyję mundurze, na baczność, czekał przed wejściem do niepozornego budyneczku w kolorze podgniłych liści. Kula, mile polechtany oddaniem swojego oficera dyżurnego, nawet się uśmiechnął pod wąsem na ten widok. Nie gasząc silnika, zaparkował motorynkę i rażnym krokiem wszedł do budynku. Posterunek składał się z czterech izb, piwnicy i pięterka, gdzie podkomisarz Eugeniusz Kula zamontował Internet, „bo w dzisiejszych czasach bez nowych technologii nie idzie zadbać o bezpieczeństwo”. I gdzie miał swój gabinet.

– Panie podkomisarzu, sytuacja wymknęła się spod kontroli – zameldował drżącym głosem posterunkowy. – Batuszka zamknął matuszkę na strychu i nie chce wypuścić. Grozi, że jak się nie przyzna, z kim go zdradziła, to ją zadusi gołymi rękami. I jeszcze krzyczy z okna sąsiadom, że przez nią całą wieczność będzie się smażyć w piekle. Ludzie z chałup wyszli na ulicę i modlą się na kolanach, by Bóg mu wybaczył – Trembowiecki zawiesił głos. – Czy mam wzywać posiłki z Siemiatycz?

– Ty barania głowo! Filmów żeś się naoglądał? Patrzenie no go, posiłki... – huknął, aż Trembowieckiemu w uszach zadźwięczało. – To nie Ameryka! My tu nad Bugiem sami wiemy, jak rozwiązywać przypadki przemocy domowej – dorzucił już mniej groźnie, ale czułość minęła mu jak ręką odjął. – Przynies no te dwie flaszki „hajnowianki” zarekwirowanej wczoraj i protokół spisz, że służbowo wykorzystamy.

– Tak jest – trzasnęła obcasami Trembowiecki i znikł w zejściu do piwnicy, gdzie mieli policyjny „dolek”, aktualnie zajęty, bo dwaj bracia po libacji urodzinowej odsypiali w oczekiwaniu na przesłuchanie. Nawet się nie poruszyli, gdy policjant otwierał zamki. Po chwili posterunkowy był już z powrotem na górze, z dwiema plastikowymi butelkami po wodzie „Oaza” wypełnionymi płynem w kolorze niedojrzałej whisky.

– To wzmocni moją siłę przekonywania – podkomisarz spojrzął na bimber pod światło, po czym schował do torby obok zawiniątka ze śniadaniem. – A ty pilnuj Lenzionów. Zajmę się nimi po powrocie – krzyknął.

Zgrabnie zawrócił na niewielkim parkingu i co mocy w silniku „Kommara” pognał do Tokar.

Powoli szosę zalewały nieśmiałe promienie wschodzącego słońca, z trudem przebijając się przez białą i gęstą jak bita śmietana mgłę. Wiatr

smagał Eugeniusza Kulę po wydatnych policzkach, ale ten jeszcze dodał gazu. – Mróz idzie – zatopił się w myślach. – Za parę dni śniegu nawali tak, że motorynka nie wystarczy na interwencje. Co z tym starym gratem? Znów trzeba inwestować w jego naprawę.

Nagle z mleczej ściany wyłonił się zarys postaci. – Zjawia czy co? – wybałuszył oczy Kula. Sylwetka ludzka, spowita w szlachetną czerń, zbliżała się bardzo leniwie. Komisarz odruchowo zwolnił. – Bies jakiś... – potrząsnął głową i splunął na urok, po czym przeżegnał się w duchu. I dopiero po chwili ocknął się jak z letargu. – Hola, hola! Przecież zjawy nie jeżdżą na wyścigówkach!

Widok jednak rzeczywiście był niecodzienny. Kolarka (bo, jak się okazało, zjawia była płci żeńskiej) prawie leżała na ramie roweru wyścigowego: jedną ręką trzymała kierownicę wygiętą w baranie rogi, a drugą przytrzymywała aksamitny kapelusz przewiązany szeroką wstęgą w lamparcie cętki, z ogromnym rondem, które przysłaniało niemal całą jej twarz. Obszerna plisowana spódnica wyduła się jak balon, nieskromnie odsłaniając uda w czarnych wzorzystych rajstopach i pantofle z klamerkami w stylu rokoko. Peleryna zjawiskowo tańczyła na wietrze, jakby próbowała dogonić swoją właścicielkę. Jedynym elementem psującym piorunujący efekt mistycznej postaci był zielony, wojskowy plecak, który kobieta przewiesiła na ramie roweru, by nie przeszkadzał w przejażdżce.

Gdy Kula i domniemana zjawia zrównali się na pustej drodze, komendant zahamował i po prostu wybuchnął gromkim śmiechem. Bardziej jednak wesołość tę budził jego własny strach pomieszany z podejrzliwością niż wygląd znajomej, jak się okazało, kobiety.

– Dzień dobry, panie komisarzu – powiedziała radośnie Lidia Daniluk i błyskawicznie doprowadziła do porządku garderobę: obciągnęła spódnicę, zawiązała mocniej tasiemkę pod brodą przytrzymującą kapelusz. Peleryna zmęczona tańcem z wiatrem opadła smętnie i teraz nadawała wizerunkowi kobiety po prostu wdowiej powagi.

– Witam, witam, pani Lidko – odrzekł Kula i podkreślił zalotnie wąsa. – Niepotrzebnie się pani spieszy, poranne nabożeństwo będzie dziś odrobinę później. Cerkiew pewnie zamknięta na cztery spusty – powiedział tajemniczo i w miejscu dodał gazu motorynce. – Przepraszam, ale muszę już jechać. Obowiązki czekają.

Lidia spojrzała ze zdziwieniem na szeryfa. – Ależ batiuszka już wyjeżdża. Nie trzeba będzie czekać na liturgię dłużej niż dziesięć minut – zaoponowała.

Kula znacząco spojrział w jasnozielone oczy wdowy.

– Nie mam czasu na pogaduszki, ale mówię pani, że lepiej wracać do domu. Mam pewne informacje i radzę jak dobry znajomy – wyjaśnił, konfidencyjnie zniżając głos. – Proszę mi wierzyć.

– A cóż to za nowiny, coś się stało? – zmrzyła szelmowsko oczy kobieta.

– Nie mogę ujawnić, tajemnica służbowa. Proszę wybaczyć – skinął głową na pożegnanie.

Wdowa też odpowiedziała skinieniem i kocim ruchem, jak na sześćdziesięciolatkę, wskoczyła na rower.

– W takim razie do zobaczenia wieczorem, w bibliotece. Ma pan do zwrotu trzy książki z przekroczonym limitem – odpowiedziała sucho, po czym zza pleców krzyknęła niby mimochodem: – Pani Wiera jest już bezpieczna, szykuje się do liturgii. Nic jej nie jest.

Kulę zatkało.

– Halo, halo, pani Lidko. Proszę się zatrzymać.

Wdowa posłusznie zatrzymała rower, a na jej twarzy zagościł triumfujący uśmiech.

– Jak to? Przecież sytuacja była tragiczna, z kim zgodził się negocjować Saszka? – wyrzucił z siebie podkomisarz.

– Ja z nim pogadałam.

Szeryf otworzył szerzej oczy ze zdziwienia.

– Kto?

– Ja.

– Pani?

– Tak. A dlaczegoż by nie.

– I zgodził się?

– Cóż pana tak dziwi? Trochę sobie pogawędziliśmy i sytuacja jest już opanowana. Jeśli chce pan sprawdzić, to proszę się pośpieszyć. Zastanie ich pan jeszcze, zanim ruszą do cerkwi – powiedziała od niechcena wdowa i pochyliła się znów w pozie kolarki, by po chwili zniknąć w oddali, gdzie na horyzoncie majaczył błękit ścian kapliczki.

Batiuszka Aleksander Koczuk na widok podkomisarza zrobił się czerwony jak burak. Natychmiast schował się w stodole, gdzie trzymał nowiutką toyotę.

– Po co cię budzili, panie Gieniu, sami byśmy sobie poradzili z naszymi kłopotami domowymi – mówił z wypiekami na twarzy i nagle poczuł potrzebę gruntownego wypolerowania reflektorów auta. Chwycił szmatkę wiszącą na gwoździu i z całej siły szorował czystuśkie lampy samochodu.

– Co ty gadasz?! Znów miałeś te swoje pijackie wizje – huknął Kula i widząc, że batiuszka zamierza wsiadać do auta, chwycił go za kołnierz. Batiuszka zamachał bezradnie nogami w powietrzu. – Nie myśl, że pojedziesz w takim stanie!

– Ale jestem prawie trzeźwy – zaproponował pop, gdy wyzwolił się z rąk policjanta i poczuł pod stopami twardy grunt. Powstrzymał czkanie i chuchnął prosto w twarz Eugeniusza Kuli. Policjant musiał się aż odwrócić, żeby złapać trochę tchu. Oblepił go bowiem zapach nieprzetrawionego alkoholu, kiełbasy z czosnkiem i tanich papierosów.

– Tak, Saszka, pewnie. A kto zamknął Wierkę na strychu? Ja?

– Więcej się nie powtórz. Obiecuję...

– Jedziemy na posterunek. A jak nie, odbiorę ci prawo jazdy – Kula pokiwał palcem. I dla wzmocnienia efektu wyciągnął błyszczące kajdanki. Pop tchórzliwie się wycofał pod ścianę.

– Ale... ja już jestem trzeźwy... prawie – nieudolnie przekonywał. – Chcesz, to dmuchnę?

– Nie kuś losu lepiej. Takie cacanki możesz opowiadać żonie czy sąsiadkom. Ja wiem swoje – Kula schował kajdanki i podrapał się po głowie, bo nagle litość go wzięła. – Przecież ty batiuszka, sługa boży... Jak ty się nie wstydzisz? – pogłodził go po głowie. – Trudno, dziś muszę cię zabrać. Tym razem bez żartów. Przesłucham i oskarżę o zakłócanie porządku. Ludzie zrozumieją, że raz liturgii nie będzie. To i tak lepiej, niż gdybym cię musiał aresztować – dodał.

Pop odłożył szmatkę na maskę toyoty i posłusznie ruszył za policjantem.

– Rozejść się do domów! Służby dziś batiuszka nie odprawi. Jest chory – krzyknął do zgromadzonych ludzi policjant.

Baby w chustach wstawały z kolan, mężczyźni przy płocie rzucali niedopałki i tłum powoli zaczął się przersedzać. Kula odpałił silnik. Już miał odjechać, kiedy coś mu się przypomniało. Ruszył w kierunku trzypiętrowej plebanii.

– Zostajecie w domu, zabieram męża na przesłuchanie – zakomunikował tubalnie matuszce. Jednak tak naprawdę przyszedł tu, by sprawdzić, jak ona się czuje. Zarejestrował, że nie ma na ciele śladów pobicia, jest jedynie przerażona, a błękitne oczy ma podkrążone z niewyspania. Spracowanymi, wielkimi dłońmi, jak u drwała, ocierała łzy. Miała zaledwie 27 lat, a wyglądała na znacznie starszą – ze względu na swoją tuszę, zaniedbany wygląd i bijący z daleka smutek. Kuli zrobiło się jej żal.

– Nic mu nie będzie – dodał już łagodniej i przytulił kobietę jak własną córkę. – Zajmijcie się dziećmi, matuszko.

Wymaszerował żwawo z murowanej willi. Usadowił popa na tylnym siedzeniu motorynki, a kiedy tylko ruszyli, rzucił niby od niechcenia:

– A teraz gadaj, co powiedziała ci pani Lidia.

Batuszka milczał.

– Przecież rozmawialiście, wiem wszystko.

– Nie mogę, panie Gieniu, tajemnica spowiedzi.

Kula przygryzł wargi. Zapadłą ciszę przerywał tylko turkot motoru i ujadanie psów.

– Skąd wy się znacie? Przecież ona tu nowa – zagaił łagodniej policjant. Saszka ucieszył się, że Kula zmienia temat i nawet się uśmiechnął, choć tego komendant nie mógł zobaczyć. – No przychodziła do cerkwi, śpiewała w chórze. Widziałem ją, ale osobiście poznaliśmy się dopiero teraz. Szkoda, że w takich okolicznościach. Dobra kobieta z tej Lidii, anioł jakiś mi ją podestał. I nie mnie pierwszemu – przekrzykując ryk motoru ciągnął batuszka.

– Anioł? Co ty za farmazony gadasz! Kiedyś ty ją zdążył wypowiadać?

– Kula gwałtownie zahamował, aż batuszka wpadł mu na plecy.

– No teraz, po tym, jak wypuściłem Wierkę z poddasza – ciężko dyszał Saszka.

– Po pijaku ją spowiadałeś?

– No trudno. I takie sytuacje bywają w życiu duszpasterza.

– Ano bywają, zwłaszcza u ciebie. Zobaczymy, jak będziesz się tłumaczył na posterunku – westchnął podkomisarz i pokręcił głową: „Dowiem się ja,

bratku, o czym konferowaliście. Przycisnę dziś panią Lidkę w bibliotece, zobaczymy, co za tajemnice skrywa. Jeszcze nie było takiego sekretu, którego Eugeniusz Kula by nie ujawnił” – pomyślał.

– I siedź mi tam spokojnie, bo kręcisz się, jakbyś miał robaki! – huknął do popa.

Rozdział 4

Profilery Hubert Meyer

„Nie myl dobroci ze słabością”

Pan komisarz jest teraz zajęty. Proszę spróbować za godzinę. W razie pilnej potrzeby podam numer do rzecznika prasowego – sekretarka monotonnym, landrynkowym głosem, jak nagrany na taśmie magnetofonowej, eliminowała natrętnych dziennikarzy. Działała skutecznie, w dyplomatyczny sposób. A telefon wciąż się urywał. Kiedy tylko zdołała pozbyć się jednego rozmówcy, na pulpicie znów świecił się czerwony guziczek. – Jak się pani nazywa? ... Marianna Krasieńska, „Gazeta Opolska”, tak rozumiem, w sprawie seryjnego zabójcy z Sosnowca – konwersowała, próbując jednocześnie spiliwać złamany paznokieć.

– Oczywiście, proszę zostawić numer, ale wątpię, by pan komisarz miał czas, żeby oddzwonić... – jej głos nił w oddali, bo teraz pochylała się i wyciągała lakier z torebki stojącej na krzeselku obok, by zamaskować uszczerbek.

– Dobrze, przekazę – znów słysząc ją było wyraźnie. Odkręcała buteleczkę i nakładała emalię na paznokieć. Nagle ręka jej drgnęła i lakier spłynął na ubiegłoroczny raport o przestępczości na Śląsku. Lekko poirytowana tym wykroczeniem dodała:

– Niestety, nie wiem, kiedy skończy. Tego nie wie nawet jego żona. Pan komisarz nie miał jeszcze przerwy obiadowej – intensywnie ścierała lakier z raportu.

– Tak, pracuje nad tą sprawą, jak podały wczoraj „Wiadomości”. Po weekendzie? Zapraszam w poniedziałek. Miłego popołudnia – zwykle kończyła rozmowy z przyklejonym uśmiechem, bo wierzyła, że choć

rozmowa toczy się przez telefon, osoba po drugiej stronie linii wyczuwa wyraz jej twarzy. Ale gdy tylko odłożyła słuchawkę, wzniosła oczy ku niebu i ciężko westchnęła: – Jeszcze godzina męczarni!

Musiała odreagować. Ostrożnie, by nie popsuć właśnie poprawionego manikiuru, dwoma palcami sięgnęła do szuflady. Wyciągnęła z niej kolorowy magazyn dla kobiet i mentolowe papierosy oraz złotą zapalniczkę z wizerunkiem żabki, którą dostała od koleżanek. – Teraz już nigdy nie zabraknie ci pieniędzy – dodały wręczając prezent.

– Akurat, chyba że zmienię branżę na mniej mundurową – pokręciła głową i cienki papieros powędrował między jej karminowe usta. Płuca dostały upragnioną porcję nikotyny. Kiedy przeglądała strony z kamizelkami inspirowanymi Dalekim Wschodem i już powzięła postanowienie, że musi koniecznie jedną taką mieć, czerwone światełko zamrugalo szyderczo. W tym samym momencie drzwi jej gabinetu uchyliły się nieznacznie. Pośród futryną a skrzydłem drzwi zobaczyła głowę mężczyzny w błękitnej koszuli od munduru policyjnego i wygniecionym krawacie.

– Twój szef cię prosi – powiedział grobowym głosem Marczewski z kryminalnego. – Mam cię zastąpić. Jak to się robi? – podszedł do pulpitu telefonicznego ze światełkami i niezdarnie zaczął naciskać guziki jak popadnie.

– Hej, co robisz! – krzyknęła.

– Nie wiem, szlag by to... Też mam swoją robotę. Jest piątek wieczór. A ten ma kaprysy. Będę tu siedział do nocy. Gwiazdor telewizyjny, psycholaska. Żaden, kurwa, detektyw – prychnął.

– To proste, zapisuj tylko dokładnie, kto i w jakiej sprawie dzwoni. I broń cię, Boże, nie łącz z Meyerem. O tej porze już niewiele osób się dobija – pouczyła go i spojrzała z wyższością na zagubionego policjanta.

– Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Mam nadzieję – burknął Marczewski.

Wstała, wygładziła fałdy różowej mini. Przeczesała blond loki ręką ze świeżo naniesionym manikiurem i poprawiła dumnie identyfikator: starszy aspirant Mariola Walecka-Sztos, kierownik sekretariatu Zespołu Psychologów Wojewódzkiej Komendy Policji w Katowicach.

Za każdym razem, kiedy szła tym korytarzem, zastanawiała się, dlaczego Hubert Meyer uparł się, żeby mieć swój pokój tak daleko od sekcji.

Wzywał ją czasem kilka razy dziennie i wtedy musiała pokonywać ten korytarz wzdłuż barwionych na zielono okien, które nie przepuszczały słońca i wciąż trzeba było palić światło. Nie byłoby tragedii, gdyby światło było rozproszone, ale sufit obsiano jarzeniówkami z lat siedemdziesiątych, pamiętających jeszcze czasy świetności katowickiej komendy jako najnowocześniejszej w Polsce. To one nadawały tej przestrzeni nastrój prosek-torium z filmu „Z Archiwum X”. Stukot jej obcasów niósł się po pustym korytarzu. Pokonując dystans do starej zdezelowanej windy z absurdalną tabliczką: „Przed wejściem sprawdź obecność kabiny”, wciąż myślała o tej kamizelce z chińskim smokiem i jej cenie: 300 złotych!

Na szczęście winda dziś zadziałała. Wjechała piętro wyżej i podeszła do drzwi naprzeciwko. Zapukała i po suchym „proszę” nacisnęła kłamkę.

Klitkę, niesłusznie nazywaną gabinetem, spowijały ciemności. Tylko ekran monitora oświetlał nieruchomą twarz komisarza Huberta Meyera, który siedział wpatrzony w zdjęcie puszczone z projektora na ścianie. Zwłoki jednego mężczyzny zwiślały z krzesła na podłogę. Wyraźnie widać było rany na plecach, które morderca zadał swojej ofierze. Głowa nienaturalnie wykręcona odsłaniała zmasakrowaną twarz, niemal całkowicie pozbawioną nosa. Mariola nie mogła oderwać wzroku od martwych oczu denata. – Jakby po śmierci pozował do obiektywu – pomyślała mimowolnie. Druga ofiara leżała na podłodze na wznak. Kobieta. Jej twarz nakryto jakąś szmatą. Kompletnie ubrana, spódnicę obciągnięto do kolan, odsłaniając chude nogi, niewiarygodnie czyste, zważywszy, że całe pomieszczenie zbryzgane było krwią. A jej ciało równo ułożone, z pieczołowitością, jak do trumny. Jakby morderca zadbał o nie po śmierci. – Dlaczego ona leży tak nienaturalnie ... jakby to powiedzieć... spokojnie? – spytała wstrząśniona Mariola.

– Morderca znał ją, miał do niej stosunek emocjonalny – wyjaśnił komisarz. – Może to zazdrosny mąż, dawny konkubent, może też ktoś z rodziny. Po zabójstwie umył ją i przykrył twarz. Chciał zachować misterium jej śmierci.

– Co? Potwór... – jęknęła Mariola. – To ten z Sosnowca?

– Nie, to Częstochowa, już kończę ten profil. Sam nie wiem, za co się złapać. A jeszcze dziennikarze wciąż mi przerywają – Meyer spojrzął na nią. Jego twarz nie wyrażała emocji. Mariola przeraziła się.

– Czy da się przelożyć to seminarium w Quantico w przyszłą sobotę? Nie mogę lecieć – powiedział.

– Ale, panie komisarzu... – odwróciła się, by sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. – Hubert, słuchaj. Nie możesz tego zrobić – z przecięcia przeszła na „ty”. – Przecież załatwiliśmy to pół roku. To było na twoją prośbę. Wszyscy stanęli na głowie. Cała sekcja pracuje nad naszą prezentacją. Jesteś pierwszy i jedyny w Polsce, który może doprowadzić do tego, żeby profilowanie w końcu funkcjonowało formalnie, a nie chałupniczo. Sam tak mówiłeś, pamiętasz? Będą etaty dla młodych, będziesz miał uczniów, będzie lżej – wyrzucała z siebie słowa jak pociski.

– Nie mogę jechać. Czy ktoś może pojechać za mnie?

– Nie wiem. Ale wątpię. Są już bilety, budżet... – mówiła coraz ciszej.

– Zresztą, kto miałby pojechać? Komendant się wścieknie – aż usiadła z przecięcia. – Co się stało?

– Anka chce rozwodu – komisarz chwycił się za głowę. – Postawiła ultimatum: albo moje trupy, albo ona.

Mariola, z prawie pustej paczki leżącej przed Meyerem, wyjęła jednego marlboro i szybko zapaliła.

– Dowiedziała się?

Komisarz poderwał się gwałtownie. – O czym?

– No, o nas...

Roześmiał się nerwowo. – Nie, ale jeszcze tego brakuje. Miałaby co wyciągać, żeby odebrać mi dom i dzieci...

– To, co tu robisz? Jedź do domu, udobruchaj ją – zareagowała Mariola, przetykając przy tym głośno ślinę. – Przecież nas już nic nie łączy – zawiesiła głos i spojrzała błagalnie, by zaprotestował. Ale on milczał, dodała więc: – Jesteśmy tylko kolegami z pracy. Przyjaciółmi, można tak powiedzieć...

– Nie o to chodzi – machnął ręką komisarz i wstał sprzed monitora. Mariolę aż przeszedł dreszcz, jakby ktoś ukuł ją w samo serce. Spojrzała na jego twarz, która znalazła się akurat w miejscu pleców ofiary ze slajdu. Na policzkach Huberta wyraźnie, jak pod szkłem powiększającym, widać było rany i zastygłą krew.

Podniosła się. – Wyłącz tę makabrę, proszę.

Kiedy trzy lata temu po raz pierwszy zobaczyła w gabinecie Huberta, wtedy jeszcze szeregowego psychologa policyjnego, slajdy z miejsca zbrodni, myślała, że zwymiotuje. Dziś to uczucie wróciło.

– Nie mogę na to patrzeć – szepnęła.

Meyer pstryknął światło, ale nie wyłączył projektora. Zdjęcie na ścianie zbladło, przypominało teraz wyblakły makabryczny fresk, nadający się do renowacji. Straciło moc oddziaływania. Sekretarka, w świetle jarzeniówki, patrzyła na swojego szefa i byłego kochanka z niepokojem, ale i współczuciem. Wyglądał okropnie: zmierzwione włosy, oczy przekrwione, cera ziemista. Jego przystojna, pociągła twarz z dziurką w podbródku była kwintesencją smutku i rezygnacji. Zmarszczone krzaczaste brwi prawie łączyły się w jedną linię. Biała koszula była wymięta i zapocona pod pachami, w miejscu kieszeni zalana sokiem z czarnej porzeczki. Zawinięte rękawy odsłaniały żylaste, owłosione przedramiona. Rozejrzała się po gabinecie. Tweedowa marynarka niedbale rzucona na krzesło obok, w popielnicze stos niedopałków.

Teraz miała tylko ochotę się do niego przytulić i zapomnieć o całym świecie: o mordercach, szefach, seminariach, jego żonie i dzieciach. Jak kiedyś.

– To dlaczego chce rozwodu? – spytała, nie ruszając się z miejsca.

Meyer podszedł do biurka, wyciągnął z paczki ostatniego papierosa i zaciągnął się. Puścił kilka kółek, które rozplynęły się nad jego głową.

– Wiesz, że moja mama do tej pory nie wie, że ja palę?

Kobieta rozpromieniła się wdzięczna, że zmienił temat.

– Moja nie wierzy, że istnieją homoseksualiści. Mówi, że to wymysł mediów – odpowiedziała.

Roześmieli się. Na chwilę w oczach Meyera zabłysły szelmowskie ogniki. Mariola znów żałowała, że są tylko przyjaciółmi. I tego, że rok temu pozwoliła mu tak zakończyć ich romans. Ale bała się związku z znanym mężczyzną. Miała dość jego znikania zaraz po. Tęgo, że nie mogła dzwonić, kiedy wrócił do domu. Chciała uniknąć samotnych świąt, sylwestrów, wakacji. Wiedziała, że nie odejdzie od żony – powtarzał to wiele razy. Brali z Anką ślub kościelny, ona tego nie przeżyje. Musi z nią żyć dla dobra dzieci. I choć Mariola wiedziała, że jego małżeństwo od dawna było fikcją, bo Meyer wciąż wkiwał się w romanse, wierzyła, że to dla niej

odejście. Marzyła o tym i czekała. To dla niego się stroiła, starała. Nie umiała pokochać innego. I samotnie spędzała sylwestry, święta, wakacje. Przesiadywała w komendzie, była na każde jego zawołanie. Godziła się na rolę platonicznej „przyjaciółki”, byle być blisko. Żyła w schizofrenicznym świecie – by nikt nie podejrzewał ich o nic, zwracała się do niego oficjalnie, a tylko czasem, gdy zostawali sami, przechodziła na „ty”. Nie mogła sobie darować, że któregoś dnia powiedziała: „dość” i nie zażądała nawet rozwodu z żoną. Nie była w stanie zaakceptować, że pokornie przyjął jej decyzję i po prostu wycofał się. Nie walczył o nią, a ona umierała z tęsknoty. Zwolniła się nawet z sekcji, poprosiła o przeniesienie do sekretariatu komendanta. Była jednak zbyt dobra: skończyła studia, miała doświadczenie w pracy w policji. I szef, w ramach awansu, przydzielił ją do sekcji psychologów. A Huberta Meyera awansował na kierownika sekcji. Tak znów się spotkali. Mariola najpierw cierpiała, potem nabrała nadziei, że los daje jej drugą szansę. Tylko że Hubert niemal jej nie zauważał. Wydawało się, że odbudował swoje małżeństwo. Miesiąc temu urodziło mu się trzecie dziecko.

– Widziałem Kubę może kilkanaście razy – powiedział nagle, a Mariolę tknęło. Zawsze tak było, że myśleli o tym samym. Śmiała się kiedyś, że zagląda do jej głowy. Teraz aż zadrżała ze strachu, że Meyer wie, o czym myślała przed chwilą.

– Dlaczego? – zmusiła się nadać swojemu głosowi obojętny ton. Wewnątrz cała dygotała.

– Bo wciąż jestem w pracy, w delegacji. Jest tyle roboty, tyle niewykrytych zbrodni, a Anka wychodzi z tej swojej szkoły o dwunastej i myśli, że wszyscy tak pracują. Nie rozumie, że ja nie pracuję. Ja jestem na służbie! – wyrzucał z siebie.

– Ona jest nauczycielką... – wtrąciła cicho Mariola, ale pomyślała: „Ja cię rozumiem. Czekalabym na ciebie dzień i noc”.

– A ja psychologiem policyjnym. Wiedziała, za kogo wychodzi. Profilu nie da się zrobić ot tak, w godzinę – podniósł głos.

I po chwili opamiętał się.

– Przepraszam. To nie twoja wina. Nawet nie mam z kim o tym porozmawiać – usprawiedliwił się i podszedł do kobiety. Przytulił ją, ale ona pozostała sztywna.

– Hubert, przestań. Idź do domu. Ona na ciebie czeka.

– Nie! Albo zaakceptuje moją pracę, albo nie. To moja szansa. Jak teraz nie pojedę do Quantico, te wszystkie lata pójdą na marne! – podniósł głos. Mówił stanowczo, jakby przekonywał sam siebie.

– Ale ty masz rodzinę... Musisz być teraz z nimi.

– Ty mnie rozumiesz – spojrzał na nią i Mariola poczuła, jak miękną jej nogi. – Dlaczego ona nie może? Ach, gdybym cię spotkał dziesięć lat temu...

– Proszę cię...

– Przecież dopiero awansowałem, zaraz wszystko by się ułożyło. Wszystko byłoby inaczej. Gdyby tylko ona była inna! – ciągnął swój monolog.

Stał tuż obok. Marioli było już gorąco. Czula jego zapach, w głowie świdrował jej jego głos: „Ty mnie rozumiesz”, „Gdybym spotkał cię dziesięć lat temu”. Ale on tylko ucałował ją w czoło i powiedział: – Jesteś cudowna, nigdy ci tego nie zapomnę. Dziękuję za pomoc.

– Przecież nic nie zrobiłam!

– Idź już do domu. Przyniesi mi tylko te teczki z Rawicza. Pamiętasz, dziewczyna zamordowana w sklepie, blondynka. Ta dzielna, co udzielała się w straży ochotniczej. Czuję, że to ten sam gość.

– Hubert, ale... Może ja zostanę? Pomogę ci...

– Nie, nie trzeba, idź, odpocznij. Jest piątek, spotkaj się ze znajomymi. Zabaw się. Przecież wiem, jak lubisz tańczyć. Ja jeszcze posiedzę.

Mariola odwróciła się i niemal wybuchnęła płaczem. Czula się oszukana, złapana na haczyk. Jak mogła dać tak się nabrać! Przecież on nic już do niej nie czuje. Nic, kompletnie nic! To ona roi sobie nadzieje.

– Mari – usłyszała za plecami. Tego pieszczotliwego zdrobnienia nie słyszała od dawna. – Prześlicznie wyglądasz. Schudłaś, czy mi się zdaje...

– Hubert uśmiechnął się i poczuła rozplywającą się w sercu błogość.

– Już niosę tę teczkę – zatrzepotała rękami. „Może jeszcze nie wszystko stracone” – przebiegło jej przez głowę i wyszła stukając obcasami.

Rozdział 5

Tajemnicza bibliotekarka

„Czytaj między wierszami”

Długo kazał pan na siebie czekać – Lidia Daniluk powitała Eugeniusza Kulę wyrzutem. Ale zrobiła to tak uroczo, że nie mógł się gniewać.

– Ciężki miałem dzień: przesłuchania, raporty, jeszcze prąd wyłączyli i Internet padł – odpowiedział komendant i położył na biurku bibliotekarki stos książek. Rozpiął czarną kurtkę policyjną i strzepnął z czapki śnieg. Lidia spojrzała wymownie. Natychmiast wdeptał białe płatki w podłogę. – Wcześniej w tym roku zaczęło padać, myślałem, że dopiero od jutra zawieje. A wiatr się zerwał, że ho... Jutro przejechać się nie da bez pługa – powiedział jakby na usprawiedliwienie.

Rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu, w którym ciasno, w równych rzędach stały regały z książkami. Na każdym z nich bibliotekarka zawiesiła tabliczki i kolorowym flamastrem napisała nazwy działów: historia, fantastyka, języki obce, kryminały, romanse.

Każda z książek była obłożona folią lub szarym papierem – Lidia w tym celu zaprosiła dzieci ze szkoły. I po miesiącu zinwentaryzowała zasoby biblioteczne. Zadbano o każdą książkę: skleiono, obłożono, opisano. Aż trudno było uwierzyć, że w tak krótkim czasie kobieta zaprowadziła w tym galimatiasie perfekcyjny porządek. A ona sama dzięki temu wiedziała, gdzie co leży i czego po prostu nie ma. Aby odzyskać książki od dłużników, odwiedziła ich w domach, z ciastkami i własną kawą. Uprzejmie prosiła o zwrot. A jeśli tłumaczyli, że z jakichś powodów książkę zgubili, zapodziali

czy sprzedali, brała inną, równie ciekawą lub pobierała równowartość na zakup nowej, wystawiając oczywiście odpowiedni kwit KP. W ten sposób mielnicka biblioteka znów ożyła. Nawet młodzież zaczęła zaglądać i pytać o lektury, których do tej pory wciąż brakowało.

– Aż miło popatrzeć na bibliotekę, pani Lidko – zagaił Kula. Odkąd posadę objęła ta kobieta, stał się wzorowym czytelnikiem i polubił zapach kurzu osadzającego się na opasłych tomach. Zresztą to ona podsunęła mu pierwszy kryminał i powiedziała: – W pańskiej pracy musi pan czytać powieści detektywistyczne.

– Ja nie mam czasu – spojrzał na nią wtedy pogardliwie, ale wziął książkę. I kiedy do niej zajrzał, nie mógł się oderwać. W fikcyjnym świecie odpoczywał równie dobrze jak na rybach. Zwłaszcza że ostatnio rzadko wyjeżdżał wędkować. Reumatyzm... Poza książkami tylko Internet bardziej go wciągał. Często zatapiał się w marzeniach, że prowadzi taką sprawę, jak ta z powieści. Jego żona Gala dziwiła się. Jak to możliwe, że mąż dotychczas jak ognia unikał słowa pisanego, jeśli nie był to protokół przesłuchania, a teraz – zamiast przesiadywać przed telewizorem i zgadywać hasła w Familiadzie – ślęczy nad kolejną książką. Ona sama kupowała czasem „Tinę” i to jej wystarczało za wszystkie lektury. Zdecydowanie bardziej wolała seriale, choć mąż czasem przynosił jej z biblioteki jakiś romans.

– Coś nowego mi pani poleci? – spytał Eugeniusz Kula.

– Czytał pan „Złotą muchę”? O ile pamiętam „Trudnego trupa” pochłonął pan w weekend. To ta sama autorka.

Kula wziął do ręki mocno oklejoną książkę z numerem na grzbiecie.
– Chyba dobra, sądząc po zużyciu.

– Niezła – skwitowała Lidia. – Ale specjalnie dla pana mam dziś coś naprawdę ciekawego. Nowość! O mniszce prawosławnej, która rozwiązuje zagadki detektywistyczne. Syn kupił trochę nowości w warszawskim antykwariacie. To jedna z nich. Ma pan ochotę? Schowałam pod ladę – uśmiechnęła się Lidia. Kula wypiął pierś z dumy.

– No, skoro specjalnie dla mnie... Biorę. A ma pani coś o oszustach? Ostatnio zatrzymałem fałszywego sprzedawcę ikon. Obiecywał starszynom święte obrazy i zbierał na nieistniejący kościół. Ikon nie zobaczyli do tej pory.

– Mam taką: „Złap mnie, jeśli potrafisz”. Oparta na faktach. Ale jest wypożyczona – sprawdziła w drewnianej skrzyneczce. – Odłożę ją panu, jak wróci.

Wyciągnęła z szuflady kilka cieniutkich książeczek w różowych i białych okładkach z wizerunkami całujących się par. – Proszę którąś wybrać dla żony – dodała. Kula wylosował na ślepo Harlequina z obrazkiem kochanków w kowbojskich strojach. – Może być ta – odrzekł.

– A jak pani dzień minął? – zagaił niby mimochodem.

– Dobrze – Lidia nawet nie podniosła głowy. Spokojnie zapisywała w karcie bibliotecznej numery książek pożyczonych przez podkomisarza.

– Miał pan rację, liturgii nie było – dodała po chwili.

– Ostrzegalem – chrząknął Kula. – A tak przy okazji, chciałbym o coś spytać – zawiesił głos. – Długo zna pani naszego batiuszkę?

– Tyle co i pana. Jakies pół roku – odpowiedziała kobieta, nie podnosząc głowy znad biurka.

– I co pani o nim sądzi?

– Dobry, choć zagubiony człowiek. Powinien się nim zająć lekarz. Wie pan – wyprostowała się i poklepała ręką w szyję.

– Ależ pani Lidio! – zachnął się Eugeniusz Kula. – Jeśli o takie kryterium chodzi, to tutaj prawie wszystkich trzeba by wysłać do doktorów. Kto ma na to czas i pieniądze? A alkohol jest dla ludzi.

– Ale nie każdy dobrze toleruje jego działanie. Wiem z własnego doświadczenia, choć nie czas na wyznania. Ja tam się do życia batiuszki nie będę mieszała. Ma pan jak w banku.

– Już się pani wmieszała – podkreślił policjant. – Zresztą o waszej rozmowie milczy jak głaz i twierdzi, że w Tokarach zło się czai. To niby dlatego czart w niego wstępuje. Podobno ktoś urok na niego rzucił. A pani coś chyba wie na ten temat, skoro ponad godzinę rozmawialiście o tych sprawach? Tylko ostrzegam, bo ludzie lubią takie historie. Chyba nie chce mieć pani sławy czarownicy?

– Ja tylko się za niego modlę – odrzekła Lidia. – Żadnych duchów nie trzeba wołać. Zło jest w nas. Panu chyba nie trzeba tego tłumaczyć. Codziennie ma pan do czynienia z ludźmi, którzy pozwalają, by gorsza strona osobowości w nich dominowała. A ludzie? Gadać będą, co chcą. Nic na to nie poradzę.

– Już plotkują na pani temat. To mała społeczność. Pani jest nowa, radzę uważać. Języki ludzkie wiele krzywdy mogą czynić – zawiesił teatralnie głos. Lidia splonęła się, spuściła wzrok na blat biurka. – Ale dopóki pani prawa nie łamie, zawsze może na mnie liczyć.

– Dziękuję, panie podkomisarzu – odrzekła i nagle, jakby coś sobie przypomniwała. Zerwała się z krzesła, zaczęła składać do zielonego plecaka rozłożone na stole drobiazgi. – Już czas na mnie. Trzeba zamknąć bibliotekę – powiedziała.

– Pani na tym rowerze nie może jechać, przecież śnieżyca... – nagle zorientował się Eugeniusz Kula.

– Syn po mnie przyjeżdża. Rower zostawię w portierni – odpowiedziała Lidia i pieczolowicie umiejscowiła na czubku głowy aksamitny kapelusz, ten sam, który miała rano. Z tyłu przypięła go szpilkami i zawiązała sznurek pod brodą.

W tym momencie pod okno biblioteki podjechał samochód. Kula zabrał książki i wyszedł za bibliotekarką. W drzwiach zderzył się z synem Lidii Daniluk. – To mój syn, Borys – powiedziała z dumą.

Kula omiótł spojrzeniem postawną sylwetkę mężczyzny i skinął bez słowa głową.

– A co to za pogaduszki z tym psem – zdenerwował się Borys. – Nie dość narozrabiałaś? Cała wieś gada tylko o twoim wyczynie. Na chwilę nie można cię zostawić samej – narzekał.

– Syneczku kochany. Cieszę się, że jesteś – rozanieliła się i udała, że nie słyszy jego narzekań. Siedziała z tyłu wozu, bo miała chorobę lokomocyjną i kiedy nie widziała przed sobą drogi, mniej ją mldliło.

– Która godzina? – spytała oddychając ciężko, bo żołądek właśnie podchodził jej do gardła. Droga była zasypana śniegiem i wciąż nawiewało nowego. W niektórych miejscach porobiły się już zaspasy. Borys jechał w kontrolowanym poślizgu, a Lidia czuła się coraz gorzej. W ciemnościach biała pokrywa śniegu trupio odbijała światło księżyca.

– Za dwadzieścia minut twój serial. Zdążymy. Zresztą zobacz, wszyscy już pewnie siedzą przed telewizorami.

Rzeczywiście, okna lśniły błękitną poświatą odbiorników telewizyjnych. Kiedy Borys zatrzymał samochód przed posesją otoczoną białoróżowym

betonowym ogrodzeniem, a Lidia otworzyła drzwi auta, zobaczył, że matka ma w ręku torebkę foliową. Chusteczką ocierała usta. – Mama, mówiłem, żebyś godzinę przed wyjazdem wzięła aviomarin. Nie wzięłaś? Jasne...

– Bo się po nim jeszcze gorzej czuję. Wypiłam ziółka. To dlatego, że jadłam przed twoim przyjazdem. Te kanapki nie były świeże – tłumaczyła się pokrętnie.

Borys lekko poirytowany otwierał bramę. Od niechcienia poklepał bernardyna, który łaścił się i ocierał oblodzonym futrem. – Kierownik, na miejsce – krzyknął do psa. – A gdzie suka? – spytał matkę. – Zamknęłaś ją w domu?

– Zimno przecież...

– No tak. Ty zawsze wiesz lepiej.

Poszedł zapalić światło na werandzie i otworzył drzwi domu. Z niewielkiej sieni wyskoczyła żółta, umięśniona amstaffka.

– Cykoria! – zawołała Lidia. – Śliczny piesek, chodź do mnie. Zaśpiewaj!

Pies zawył, skakał, bił ogonem po nogach. Z radości biegał w kółko, zalotnie podgryzał Kierownika, który ganiał za młodą suczką. Bawili się tak kilka minut, dopóki Borys i matka nie zniknęli w drzwiach domku. Cykoria w ostatniej chwili wbiegła do środka, zanim zatrzasnęły się drzwi.

W pomieszczeniu było zimno jak w lodówce. Borys poszedł po drewno, a Lidia włączyła plazmowy telewizor na pół ściany. Dziwacznie wyglądał w tym starym drewnianym domku, ogrzewanym piecem kaflowym.

Postać na ekranie w czarnym habicie i z wytuszowanymi rękami namawiała właśnie rodziców, by sami zbudowali przystanek we wsi, bo wtedy autobus miałby się gdzie zatrzymywać i dzieci nie musiałyby chodzić sześciu kilometrów na piechotę.

– Ale siostrzo, przecież nie mamy pieniędzy. Skąd weźmiemy drewno, blachę? To wszystko kosztuje – przemawiała jedna z matek, przytulając do piersi niemowlę. Prześliczna dziewczynka w wieku szkolnym opierała się o jej kolana.

– Pójdę do burmistrza, poproszę o wsparcie. Musicie wierzyć, że Bóg nam pomoże – wygłosiła zakonnica.

Lidia pocierała już oczy. Borys wybuchnął śmiechem.

– Tak, tak. Jak mi tu kaktus wyrośnie!

– Synku! – zgromiła go wzrokiem matka. Borys umilkł i wyszedł z pokoju.

– Ale nas jest tylko kilkoro, gdyby było nas więcej... To niepotrzebny trud – przemawiał inny rodzic z ekranu.

– Pamiętajcie, w grupie jest siła. Jezus pociągnął za sobą ludzi, którzy uwierzyli. My też powinniśmy dawać innym dobro. Ten przystanek będzie służył całej wsi – przekonywała Nina Frank w przebraniu mniszki.

Po półgodzinie kłopotów, które siostra Joanna pokonała z właściwą jej bohaterce charyzmą, pokazano, jak rodzice sami budują daszek i stawiają ławeczkę. Już się nie kłócą – nawet alkoholik i były więzień stanęli do pracy. Jeden z lokalnych przedsiębiorców dostarczył budulec. We wsi wybuchła epidemia radości. A na koniec kilkoro dzieci siedziało na przystanku i czekało na autobus liżąc lody. Żegnali mniszkę ze łzami w oczach, bo jechała dalej spełniać dobre uczynki.

Lidia uśmiechała się do ekranu. Oczy jak zwykle czerwone. Herbata wystygła.

– Chyba dziś nie pojedziesz na wieczorną liturgię. Zasypało drogę – oznajmił Borys wyglądając przez okno. Był tylko w podkoszulku i spodniach od dresu, bo ciepło powoli rozchodziło się na wszystkie pomieszczenia.

Matka spojrzała na zaśniewany ogród. Kierownik warował przy furtce.

– Trzeba uszczelnić okna, okropnie tu wieje – powiedziała i ruszyła do kuchni po papier i mleko. Borys jakby nie usłyszał.

– Teraz moja kolej na relaks. Uszczelnimy po „Wiadomościach” – zabrał matce pilota i rozsiadł się w bujanym fotelu przed telewizorem.

– Jaką mieliśmy przygodę? – krzyknął, bo trwały reklamy.

– Zbudowali przystanek na wsi – usłyszał z drugiego pokoju.

– Aha, idiotyzm.

Kiedy Lidia moczyła w mleku kolejny pasek cieniutkiego papieru i przykładła go do okna, po czym wycierała uszczelniony fragment futryny ręcznikiem, usłyszała ryk telewizora. Aż podskoczyła. To Borys specjalnie dla niej zwiększył głośność nadawanej właśnie wiadomości.

– Po raz kolejny znana aktorka Nina Frank pokazała swój ognisty temperament – usłyszała Lidia. – Szkoda tylko, że zamiast w kinie re-

alizuje swoje wizje na osobach z rzeczywistego otoczenia. Jej stylistka i charakteryzatorka trafiła do szpitala. Ma zwichniętą szczękę i siniaki na twarzy. Lekarze podejrzewają wstrząśnienie mózgu. Rodzina wizażystki już wniosła sprawę do prokuratury.

„Jeśli moja córka będzie przez nią cierpieć, każdy dzień życia poświęcę na zemstę” – wygrażała do kamery matka charakteryzatorki. Narzeczony dziewczyny odmówił komentarza. Dziennikarz zdołał od niego tylko wyciągnąć: „Nina Frank jest szalona, trzeba ją leczyć! Poprzednie jej wyglupy zawsze można było jakoś wytłumaczyć, a dziś”?

Lidia jednym susem znalazła się przed ekranem, na którym w tym momencie pojawiły się dwie fotografie. Piękna aktorka z błyskiem w szarych oczach i pulchna dziewczyna mniej więcej w tym samym wieku, tyle że o przeciętnej, sympatycznej twarzy.

Potem pokazano przebitki z planu filmowego. Frank przytulała charakteryzatorkę i targała jej włosy.

„Jeszcze niedawno Iwona była jej pupilką. Nikt nie rozumie, jak to się stało, że aktorka rzuciła się na nią z pięściami. W branży od dawna mówi się, że Nina Frank nadużywa leków, alkoholu, a nawet narkotyzuje się” – mówiła dziennikarka. Relacja była nadawana na żywo sprzed gmachu telewizji, gdzie doszło do dramatycznych wydarzeń.

– Mama! Patrz, jak jej odwalilo – krzyknął Borys.

– Synku, nie wyrażaj się.

– A już tu jesteś... Myślałem, że nie słyszysz – dodał ciszej. – Nawet nie miała odwagi się wytłumaczyć. Wysłała tego pedała.

– Borysku... – jęknęła matka.

– Przepraszam.

Mężczyzna, który zabrał głos, był wymuskany, jakby dopiero opuścił zakład fryzjerski, kosmetyczny i solarium jednocześnie. W butonierce miał wpiętą różę.

„To bzdura! Nina Frank nigdy nie była uzależniona od alkoholu, a tym bardziej od narkotyków. Konflikt z asystentką powstał na tle osobistym. Nie jestem upoważniony, by o tym mówić. Poza tym są podejrzenia, że mojej klientce zrabowano pewną sumę pieniędzy, a klucz do mieszkania miała jedynie charakteryzatorka. Jesteśmy w trakcie wyjaśniania tej kwestii. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie.”

– Patrz, a ty oglądasz zakonnicę i wierzysz, że Nina Frank jest święta. To właśnie jest prawda – zachnął się Borys. – Nie zrobiłaby takiej kariery, gdyby nie była manipulatorką!

– Synku, przecież ta wredna charakteryzatorka ją okradła, a może nawet uwodziła jej męża... Słyszałeś...

– Eee – machnął ręką. Chciał coś dodać, ale na ekranie właśnie pojawiły się zdjęcia z Sejmu, a potem przebitki z budowy rurociągu.

„Czy zakręci kurek z ropą? Co na to Putin?” – głosił wielki napis nad głową prezenterki „Wiadomości”.

– Patrz, w końcu znalazł się ktoś, kto przeciwstawi się Roskim. Ale jaja! – emocjonował się Borys. – Ten Czerny powiedział, że musi się zastanowić, czy cena, za jaką transportuje ropę do Niemiec, nie jest za niska. Ryzykowne posunięcie, bo jak podpisze, będzie po staremu, a jak nie – mogą nam rzeczywiście zakręcić kurek... Benzyna pójdzie w górę. Co za żenada.

Matka nie słuchała już tego, co mówił Borys. W głowie miała zdjęcia Niny Frank i jej charakteryzatorki. Spokojnie przykleiła wszystkie paski papieru do okna i udała się do swojego pokoju, po czym otworzyła małą zieloną książeczkę i skupiła się na modlitwie.

Rozdział 6

Rozmowa z Quantico

„Ćwicz się w empatii. Staraj się zobaczyć rzeczy z punktu widzenia innych ludzi”

To ja, przepraszam, że tak późno dzwonię, ale muszę ci się pochwalić... – Mariolę obudził głos Huberta Meyera, który właśnie nagrywał się na automatyczną sekretarkę. Pędem podbiegła do telefonu, żeby podnieść słuchawkę.

– Hubert... Cześć, jesteś... – oddychała ciężko.

– Dlaczego tak sapiesz? Przeszkadzam? – kobieta niemal zobaczyła figlarny uśmiech komisarza.

– Głupi jesteś. Biegłam z sypialni... •

– Obudziłem cię, przepraszam... Która u ciebie?

– Po czwartej, ale opowiadaj. Jak tam? Zwiedzasz Stany?

– Nie. Trochę. Z okien taksówek. Raczej miejsca zbrodni. Dzwonię o tej porze, bo wiesz... Zdarzyło się coś niezwykłego. Wyobraź sobie... Poznałem Johna Douglasa! – komisarz Meyer był tak podekscytowany, że słowa wyrzucał z siebie jak pociski. Głos mu się łamał, zacinał. Czekał, aż Mariola wyrazi podobny zachwyt. Bez skutku.

– Hubert, ty jesteś pijany... – stwierdziła zimno.

– Proszę cię. Nie mów jak Anka. Więc słuchaj, siedzieliśmy dzisiaj z Johnem nad jego starą sprawą Roya Moody’ego. To strasznie łebski gość, dał mi swoje notatki i ankiety. Przeczytał moją pracę na temat profilowania i obiecał, że jeśli uda mi się ją wydać, będzie ją konsultował. Wyobrażasz sobie, będzie moim konsultantem! Stworzę autorski

program profilowania pod patronatem FBI – Meyer wybuchnął radośnym śmiechem.

– To cudownie – drewnianym głosem powiedziała kobieta. – No i co?

– Jak to co! Podoba mu się moja teoria. „Jeśli chcesz poznać artystę, przyjrzyj się jego dziełu”. Jeśli wszystko pójdzie gładko, nie będę już musiał robić tych cholernych testów kwalifikacyjnych dla kandydatów na gliniarzy. Ani pocieszać pobitych żon sierżantów, którzy odreagowują stresy w pracy. Jeszcze cztery lata, odejdę na emeryturę i założę firmę. Chcesz, zatrudnię cię... Będziesz moją prawą ręką, specjalistką od public relations. Cieszysz się?

– Bardzo – westchnęła Mariola. – Ale wiesz... Kiedy wracasz?

– Za dwa tygodnie, a co? – głos komisarza stał się napięty. – Mów.

– Są dwie wiadomości: dobra i zła. Wybieraj, co pierwsze.

– Najpierw zła.

– Twoja żona była u komendanta. Na moim biurku czeka na ciebie wizytówka jej adwokata. Twierdzi, że miesiąc bez kontaktu z tobą to przesada... Podobno chce rozwodu z orzeczeniem winy, alimentów i całego domu. Twierdzi, że kiedy ty robiłeś karierę, ona wychowywała twoje dzieci i marnowała szansę na rozwój zawodowy. Stary się wściekł.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– A ta dobra?

– Zostałeś odznaczony medalem prezydenta Katowic i masz w kieszeni awans. Jak wrócisz... A ten dwudziestojednolatek z Rawicza, którego wytypowałeś, Szymczak czy Szamański...

– Szymanowski, no co? Dożywocie? Wiedziałem!

– Tak, cztery razy, za każdą zbrodnię. Gdyby nie ty, nigdy by nie wpadli, że to ten sam sprawca. Twoje zdjęcia są we wszystkich gazetach. Zbieram wycinki, dziennikarze ustawiają się w kolejce na wywiad. Oczywiście na razie śmietankę spija komendant, który wyręcza cię w wyjaśnianiu, jak wpadłeś, że to ten sam gość. I choć nie ma pojęcia, jak to zrobiłeś, cytuję fragmenty twojego wykładu z konferencji dla psychologów w Szczyrku. Tego samego, który jeszcze rok temu chciał wyrzucić do kosza – mówiła szybko, byle tylko Meyer nie zaczął znów pytać o żonę.

– Profil pokrył się z badaniami biegłych?

– W stu procentach – emocjonowała się Mariola. – To dlatego biuro prasowe planuje cię wykreować na bohatera. Załatwiam ekspertyzy psychiatryczne do tych spraw i będziesz miał bazę porównawczą.

– Koniecznie! Jesteś boska – ucieszył się Meyer. – Wszystko super, ale o podwyżce nic nie mówią? – roześmiał się gorzko.

– Chyba szykują ci premię... Ale nie wiem, jaką.

– Trzy stówki, jak za „koci pazur”. Wtedy ta morderczyni, konkubina, pamiętasz...

– Nie narzekaj. Jeszcze tylko cztery lata i idziesz na swoje. Będą musieli słono płacić za twoje ekspertyzy...

– Rozmawiałaś z Anką? – zapytał nagle.

– Żaliła mi się – westchnęła. – Ona jest... strasznie dumna. Tak naprawdę chciałaby, żebyś znów był w domu. Ten pozew to jej sposób na przywrócenie starego porządku. Była nawet u szefa z prośbą o przeniesienie cię na inne stanowisko. Stary to rozważa...

– Co?

– No, wiesz... Bohater policji nie może mieć rozbitego życia osobistego. Chcą, żebyś do wywiadów w „Vivie” pozował z żoną i dziećmi. Wracaj, robi się gorąco. Mam nadzieję, że nie odsuną cię i nie zrobią szefem psychologów tego idioty Mola, co uważa, że twoje profile to wróżenie z fusów.

Hubert Meyer ciężko westchnął. – Kurwa, cała pierdolona Polska.

– Uhm...

– Słuchaj, Douglas to ma warunki. Tutaj profiler jest jak guru, wszyscy się z nim liczą. Sam prowadzi śledztwa. Nie to, co u nas, że traktują cię jak piąte koło u wozu i musisz domagać się, żeby ci pokazali zdjęcia z miejsca zdarzenia, a już być na miejscu zbrodni to luksus – Meyer mówił jak nakręcony. Kiedy zmienił tembr głosu na aksamitny, kobieta po drugiej stronie słuchawki zamarła.

– Mari... Wróć jak najszybciej. Daj mi tydzień. Spróbujesz kontrolować sytuację? Odwdzięczę się.

Mariola oczekiwała jakiegoś wyznania, komplementu. Wzniosła szkliste oczy ku niebu: – Tak, jasne. Postaram się. Na razie wszystko mam na oku. Nie martw się.

– Poza tym, mam coś dla ciebie – szepnął.

– Co? – opadła na sofę, a po policzkach płynęły jej łzy.

– Zobaczysz. Pisz do mnie na prywatnego maila. Wrócę jak najszybciej. Czekaj na mnie. I bądź grzeczna... Pa

– Pa – odpowiedziała i usłyszała trzask odkładanej słuchawki.

– Grzeczna – prychnęła po chwili. Była zła. Wściekła na siebie, czuła się jak idiotka. – Wciąż grzecznie czekam. Co z tego, że wrócisz? Dla mnie i tak nic się nie zmienia. Czy jesteś tu czy tam...

Wstała, zawiązała w pasie sznurek od szlafroka i podeszła do barku. – Kazesz mi czekać ... Tylko po co?

Nalala sobie szklaneczkę ginu, zapaliła papierosa i zapatrzyła w okno. Po godzinie zdecydowała się włączyć telewizor. Polonia powtarzała wczorajszy odcinek „Życia nie na sprzedaż”. Kiedy Mariola przyglądała się nieprawdopodobnie seksownej zakonnicy, pomyślała, że właściwie to ona sama żyje jak zamknięta w klasztorze. Rozplakała się w głos.

Kot otarł się o jej nogę. Mariola przypomniała sobie, jak tata ją pocieszał, kiedy była w tarapatkach. – Mariku, życie niesie tyle możliwości. Bóg daje nam tylko tyle, ile zdołamy udźwignąć. Nie więcej – uśmiechnęła się na samo wspomnienie tych pokrzepiających słów. Łzy powoli obsychały na jej policzkach.

– Tata, ja już nie chcę dźwigać. To zbyt duży ciężar – powiedziała na głos.

Podeszła do komputera, włączyła Outlooka. Napisała e-mail: „Spotkajmy się. Muszę z Panią porozmawiać. Jest coś, o czym Pani nie wie, a mnie to dręczy. Myślę, że czas na wyjaśnienie pewnych kwestii waszego małżeństwa i mojego życia. Mam dość stania w cieniu”.

Najechała myszką na zakładkę „wyślij”, kiedy zorientowała się, że nie wpisała adresu. Wstukała: anna.meyer@wp.pl. Enter.

– Nie dam się więcej upokarzać. Nie chcę już być ofiarą. Czas z tym skończyć – pomyślała. I żeby się utwierdzić w przekonaniu i słuszności decyzji, powtórzyła na głos: – Hubert, widziałam twoją twarz ostatni raz. Ostatni raz!

Rozdział 7

Narodziny Wenus

„Nie odmawiaj sobie radości”

Ostatni raz widziałam jej twarz wykrzywioną złością i nienawiścią. Ale pamiętam ją inaczej. Łagodnie i czule. Śmieje się. Podobno po niej odziedziczyłam chłodną urodę i regularne rysy twarzy. Tylko nie wzrost – ja jestem wysoka i chuda, ona była malutka, o kobiecych kształtach. Wyobrażasz więc ją sobie – nawet w ogrodniczkach, kiedy pielita te swoje bratki pod naszym blokiem numer 13, wyglądała jak miniatuurka księżnej Di. Niestety nikt nie robił jej zdjęć, więc mogę ci ją tylko opisać z pamięci. Była harda, urocza i... depresyjna. Płakała bez powodu, załamywała się drobiazgami, przejmowała każdą moją dwójką. Żeby zasnąć, brała jakieś tajemnicze pigułki, żeby się nie denerwować, piła śmierzdzący syrop. Zrezygnowała z kariery, została w tej zapadłej dziurze, choć mogła wyjechać do rodziny w Warszawie. Zerwała z nią kontakty, kiedy ja miałam przyjść na świat i okazało się, że ojcem jest chłopak z podlaskiej wsi, z którym studiowała na SGGW. Zabrzmi to pompatycznie, ale poświęciła mi swoje życie. Pozostała w małym miasteczku, jak na wygnaniu, nie rozumiana przez nikogo i omijana z daleka, choć darzona szacunkiem. Oczywiście, wtedy nie byłam w stanie tego docenić. Dopiero teraz dostrzegam tak wiele podobieństw między nami. To pozornie drobiazgi – od gestów, aż po sposób myślenia i podejmowania decyzji. Prawdę mówiąc z przerażeniem patrzę w lustro, bo powoli staję się nią. Nawet wady i dziwactwa mam takie same. To straszne. No nie, słodkie w sumie. Pamiętam, że kiedy miałam siedem lat, zapisała mnie na lekcje gry na fortepianie, bo „pianino nigdy nie stoi w stodole” – powtarzała. Chciała, żebym była kimś. Rodzice zawsze tego pragną dla swoich dzieci.

Cale dnie wypełniała mi zajęciami: muzyka, siatkówka, angielski, niemiecki. Jeździłam na wszystkie szkolne wycieczki, kolonie, biwaki, kursy żeglarskie, nurkowe, wspinaczkowe.

– Musisz być lepsza od innych. Uroda to nie wszystko, musisz być mądra – powtarzała. I choć sama miała niewyparzony język, wbijała mi do głowy, że pokorne cięły dwie matki ssie. Strasznie mnie to irytowało. Marzyłam, żeby nosiła trwałą ondulację jak wszystkie inne matki, a ona zawsze się wyróżniała. I nie używała zielonych cieni do powiek, które jej kupiłam na Dzień Matki. Teraz jestem dumna, że taka była.

Uważałam się za szczęśliwą nastolatkę. Nie pamiętam żadnych traum z dzieciństwa. Choć prawdę mówiąc, nie mam wspomnień sprzed szóstego roku życia. Zresetowałam je. Tylko przebłytki, jak rodzice kłócą się przy stole albo ojciec dobija się do drzwi, pijany. Biedy też nie pamiętam. Nie chodziłam – jak dzieci z niezamożnych rodzin – na darmową butkę z mlekiem w szkolnej świetlicy. A przecież w domu nie przelewało się. Nosilałm używane rzeczy, które sama musiałam przerobić, a czasem na obiad przez tydzień były placki czy gołąbki. Nie dostawałam kieszonkowego, tylko, kiedy wyjeżdżałam, mama wręczała mi pieniądze. Tata dawał drugie tyle albo więcej. Próbował kupić moją miłość prezentami i przyjemnościami. Zawsze przywoziłam im obojgu jakieś prezenty, tyle że mama przez długi czas trzymała swój w opakowaniu, zanim otworzyła. To chyba był jej sposób na osvajanie rzeczy, które były materialnym wyznacznikiem mojej miłości. Kochałam ją, jasne.

Tak jak ojca. Ale jego inaczej – chowałam do niego straszny żal w sercu. Zatożył nową rodzinę. Miał prymitywną żonę po zawodówce i trójkę okropnie tępych dzieci, które wciąż grały w karty albo oglądały telewizję. Byli szczęśliwą rodziną – patrzyłam na to ze zgrozą. A najgorsze, że musiałam ich odwiedzać na tej wsi. Pamiętam ich śmiech, kiedy odrąbali głowę kurze, a ta jeszcze chwilę biegła po izbie, odbijając się od nóg stołu i krzesel, znacząc je kroplami krwi, by w końcu rozpaczliwie skonać na samym środku drewnianej podłogi. Przez całą noc nie mogłam zasnąć. Obraz bezgłowej kury i rozbrzmiewający w uszach rechot mojego przyrodniego rodzeństwa pojawiały się, gdy tylko przymknęłam oczy.

Gdzie tej Hance taty było do mojej mamy-nauczycielki, przez chwilę dyrektorki liceum – dostojnej, dumnej, wciąż siedzącej w książkach. Czasami, gdy myślała, że się ucze, siadała z kieliszkiem koniaku i wpatrywała się w przestrzeń, gdzieś poza tymi obokymi blokami naprzeciwko. Błądziła myślami we własnym świecie. Miała

swoje tajemnice, do których mnie nie dopuszczała. Byłam dla niej dzieckiem, nawet, gdy już ewidentnie wyrosłam z dzieciennych sukienek i zaczęłam dostrzegać, że jednego dnia stroi się bardziej – to był znak, że w jej życiu pojawił się jakiś mężczyzna... Ale nigdy nie przyprowadzała do domu żadnych wujków. Zresztą matka nie chciała dać ojcu rozwodu, nawet, gdy dowiedziała się, że jego nowa kobieta jest z nim w ciąży. Mówiła, że przysięgała w cerkwi przed Bogiem (a z katolicyzmu przeszła dla niego na prawosławie, czym wywołała do siebie nienawiść całej rodziny) i musi się tego trzymać, bo to jedyny pewnik w jej życiu. Choć los okrutnie się z nią obszedł. Może dlatego chroniła mnie przed dorosłym światem. Kazała wracać do domu przed 22. Zamiast szaleć w sobotni wieczór na dyskotecce, musiałam dawać koncert fortepianowy w ognisku muzycznym albo pomagać pani od skrzypiec w sprzątanii świetlicy – taki barter, jeśli mama nie miała pieniędzy, żeby zapłacić za chesne.

Jeździłam regularnie do białostockiej filharmonii i kina. Należałam do teatru lalek i kiedy któregoś dnia powiedziałam, że chcę być aktorką – strasznie się wściekła.

– Ty nic nie rozumiesz. To mrzonki! Musisz się uczyć! Wybrać jakiś porządny zawód, który da ci niezależność od mężczyzn. Jeszcze nikt STAD nie zrobił kariery w TAMTYM świecie. Trzeba mieć znajomości! Talent nie wystarczy...

A jednocześnie, jak wszystkie sąsiadki, wieczory spędzała przed telewizorem. Płakała po raz enty na „Przeminęło z wiatrem”.

Ublagałam ją, żeby się zgodziła na kółko teatralne przy Domu Kultury. Po wielu awanturach i płaczach powiedziała tak, pod warunkiem, że sama na to zarobię. Rozdawałam więc ulotki przed sklepem ze sprzętem gospodarstwa domowego.

A przeistaczanie się w postaci, które miały inne życie, było dla mnie tym samym, co tlen. Uciekałam w świat fikcyjny i czułam się przepelniona mocą. Czułam się wyjątkowa, lepsza i rosłam w przeświadczeniu, że dokonam tego, co nie udało się innym. Dlaczego ja? A dlaczego nie? Gdy pojawiały się wątplenia, chodziłam na samotne spacerunki do lasu i zwierzałam się drzewom z moich pragnień. Wiedziałam, że nikt inny mnie nie zrozumie. A przede wszystkim nie będzie się śmiać i mówić, że to mrzonki.

Pewnego dnia zauważyłam, że urosły mi piersi. Obcięłam ukochane dzinsy, żeby zrobić z nich wystrzępione spodenki, ledwie zakrywające pośladki. Chłopcy z sąsiedztwa gwizdali na widok moich opalonych nóg. Od tamtej pory zaczęłam prowadzić drugie życie. Całkowicie odmienne od tego, które kontrolowała matka.

Badalam swoją seksualność i sprawdzałam, jakie wrażenie wywieram na mężczyznach. Eksperymentowałam w pociągach, autobusach, na łódkach, nartach. Uwodziłam wuefistów, kelnerów, sprzedawców telewizji kablowej. Sprawdzałam swoje triki, które sama wymyśliłam i ulepszałam metody. Byłam ostrożna. Robiłam to tylko wtedy i tam, gdzie matka nie mogła mnie oglądać jako kobiety. Miałam wrażenie, że boi się tego dnia, gdy w końcu się nią stanę. W jej poczuciu była to niekończąca się trauma i wejście na drogę naszpikowaną niebezpieczeństwami, więc chciała, bym jak najdłużej pozostała dzieckiem. Ale to przecież... nieuniknione. Kobieta czułam się już od dawna. Stworzyli mnie wakacyjni chłopcy. Wkładali mi języki głęboko do gardła, ślinili i ugniatali moje piersi, jakby to było ciasto drożdżowe do wyrobienia. Prowadzali za rękę, szeptali czułe słówka, byle zaciągnąć mnie w ustronne miejsce. Wozili na szybkich motocyklach, a od gorących rur wydechowych ich ścigaczy miałam poprzyżalane kostki. Ale kiedy któryś z nich posuwał się dalej – do wkładania ręki w moje majtki, czy choćby sięgał do rozporoka, sztywniałam. Widziałam przerażone, potępiające oczy matki i mówiłam, że muszę już wracać.

Moja przyjaciółka Regina dawno miała za sobą to wszystko, co w moich marzeniach było romantycznym misterium, i przestrzegala mnie:

– Aga, cały ten seks... Musisz wiedzieć, że to nie jest tak, jak na filmach. Ale mężczyźni to lubią – zaciągała się papierosem i robiła minę doświadczonej kurtyzany.

– Jeśli jednak chcesz znaleźć męża, trzeba zacisnąć zęby i pozwolić na ten ból. No i powstrzymać wymioty.

Podziwiałam ją za odwagę, doświadczenie i ogromne cycki, które nosiła w przepoconym staniku z fiszbinami. I truchlałam na samą myśl o tym bólu. Nie mogłam uwierzyć – jak to możliwe, skoro tyle ludzi to robi. Dlaczego kobiety się na to godzą? Matka oczywiście nie chciała o tym rozmawiać. Seks był tematem tabu. Jeśli się pojawiał, to jako zło konieczne i moc, która rozsadza związek, a uczucie sprowadza do fizjologii. A ci, którzy czerpią z niego satysfakcję, są prymitywni i po prostu niewykształceni. Dziwki, zboczeńcy, no i faceci. Ale im więcej słyszałam złego, tym bardziej pragnęłam dołączyć do grona tych wykolejeńców. Szukałam odpowiedzi w „Cosmopolitan” i uczyłam się na pamięć wszystkich punktów, jak zadbać o swój orgazm. Regina śmiała się i mówiła: – Orgazm? A co to jest? To zresztą nieważne, byle chłopak był dla ciebie dobry. Nie bił i nie zmuszał do wiesz... – wsadzała palec do buzi i poruszała nim w policzku. Z obrzydzenia zwykle zmieniałam temat.

A kiedy pokazywała nowe buty czy sukienkę, wiedziałam, że okupiła to ugniataniem ciała, wślizgiwaniem się Zorza, jak nazywała tę tajemniczą część ciała mężczyzny, którą zdołała w siebie wepchnąć, mając przed oczami upragnioną część garderoby.

Podczas któregoś wyjazdu na żagle postanowiłam, że nadszedł mój czas próby. Polonistka powtarzała: – Chcesz pozbyć się swojego strachu, stań z nim twarzą w twarz. Zmierz się z nim. Malowałam więc usta i rzucałam sobie w lustrze wyzwanie: – Mówisz, że nie dam rady? Przekonasz się!

Wybrałam ofiarę. Artur był ordynarnym cherlawym blondynem, który przechodził mutację i ćwierkał jak wróbelek, a choć miał zaledwie 17 lat, już przejawiał symptomy łysienia. Wiedziałam, że go nigdy więcej nie zobaczę. Wiedziałam, że nie będę się go wstydzić, bo nawet go nie lubię. A on coraz bardziej ślinił się na mój widok. Gwizdał, gdy szłam keją, krzyczał: „Kici, kici.” Przewracało mi się w żołądku, gdy patrzyłam w jego świńskie oczka, ale to właśnie on był słabszy ode mnie. Nie mógł mi zagrozić. Nie całowaliśmy się nawet. Nie chciałam, żeby mnie dotykał. Na dyskotecę nie tańczyliśmy ze sobą. Nie było mowy o magii, którą wymarzyłam, ale jeśli mam wytrzymać ten ból, to chciałam darzyć go uczuciem. Tyle, że negatywnym – obrzydzenia, niechęci i pogardy.

Była ciepła noc. Szliśmy po papierosy – dla niego, bo ja nie palłam – kiedy nagle schwytał mnie za rękę i pociągnął w kierunku pobliskiej stodoły.

Miałam na sobie sukienkę z falbanami i białym kotnierzykiem. Nie trudził się, by mnie rozebrać. Po prostu zadart ją do góry i sapiąc gorączkowo, trzęsącymi się rękami, usiłował ściągnąć mi majtki. Miział moje pośladki, jakby głaskał jakieś zwierzę pod okiem jego właściciela. Nie powiedział mi nic milego. W ogóle głównie sapał. Skupiłam się na jego dłoniach i wyobraziłam sobie ostatnie regaty. Wiatr smagał mnie wtedy po plecach, aż czułam dreszcze.

– Nie nosisz stringów? – spytał Artur. W rękach trzymał moje białe gacie z przyklepioną zakrwawioną podpaską i podtykał mi pod oczy. – A, ciota, dobrze. Nie zajdziesz w ciążę! – szczerze się ucieszył i wyciągnął z rozporoka swojego małego ptaszka.

Jakby ktoś uderzył mnie po twarzy. Otrzeźwiałam. Kiedy patrzyłam, jak morderczo traktuje swojego cieniutkiego jak własny kciuk penisa, a ten wcale nie chce stanąć i wciąż przypomina galaretowatą masę, myślałam, że zurymiotuję.

Ale nie wyszłam, nie uciekłam. Zmierz się ze swoim strachem – słyszałam słowa polonistki. Położyłam się na plecach i odwracając głowę, czekałam na to, o czym mówiła Regina. Powtarzałam sobie, że to trochę jak u dentysty – musisz wytrzymać tępy ból, a potem będzie już dobrze. I znów przez pół roku masz spokój.

W końcu rozłożył mi nogi i niezdarnie starał się dostać do środka. Usłyszałam cichutkie skrzyknięcie. Artur poruszał się rytmicznie. Chrzakał i dyszał:
– Szerzej! Szerzej nogi!

Odwróciłam głowę w kierunku drzwi i w ciemności zobaczyłam postać, która zmierzala w naszym kierunku.

– Tam ktoś jest – powiedziałam szeptem.

– Cicho, dochodzę – zacharzał Artur. Zdziwiłam się, bo nic nie czułam. Ani ukłucia, ani bólu, jakbym była zamrożona. Wtedy zobaczyłam, że jego galaretowaty dotąd, malutki penis stwardniał i ociera się o moje uda. Po kilku chwilach psiknął na mnie czymś oślizłym jak domowy krochmal i opadł bezwładnie. To był pewnie jego pierwszy raz.

– Co tu robicie? – spytał mężczyzna o twarzy zboczeńca, który pojawił się niepostrzeżenie na wyciągniętej ręce.

Zobaczyłam, że rozpina spodnie. Byłam pewna, że jego urządzenie wygląda groźniej niż zgwałcony właśnie ptaszek Artura. Nie zastanawiałam się. Adrenalina zadziałała błyskawicznie. Chwyciłam swoje majtki i rzuciłam się do ucieczki. Kiedy jednak dotarłam do drzwi, okazało się, że są zamknięte.

– O Boże – pomyślałam. Za plecami czułam oddech intruza. Sama nie wiem jak, ale wspięłam się po kłancie i przeskoczyłam przez dwumetrowe wrota. Spadłam na ziemię z łoskotem i poczułam ból w kostce. Byłam przekonana, że zwichnęłam nogę. Ale biegłam. Coraz szybciej i szybciej. Jak na sprawdzianie na sześćdziesiątkę. Aż brakowało mi tchu. Zatrzymałam się dopiero przed wejściem do bazy żeglarskiej.

Białe tenisówki były całe uwalane w błocie, kolana miałam podrapane, z łokcia ciekła krew. Rozejrzałam się, czy wokół nikogo nie ma, i schowałam w umywalni. Założyłam majtki, zmyłam krew, błoto i coś śmierdzącego, w co musiałam wdepnąć podczas ucieczki, po czym wolno skierowałam się do swojego pokoju. Zasnęłam po kilkunastu minutach. Następnego dnia spakowałam plecak i poszłam do trenera, mówiąc, że dostałam telegram – muszę pilnie wracać do domu. Pytał, co się stało, więc zrobiłam minę biednej sierotki.

– Mama ma operację. Wie pan, sprawy kobiece... Za godzinę mam pociąg.

Wpisał mi najwyższą punktację za zakończenie obozu. Książeczkę żeglarską stanowczym gestem wręczył mi do ręki. Spojrzał na zegarek. — Idź już, bo nie zdążysz. Robi się późno!

Rozdział 8

Nad Bugiem

„Wierz w cuda, ale na nie nie licz”

Idź już, robi się późno! – Borys stanowczym gestem wręczył matce kaganiec. – Załóż jej, zanim wyjdziemy za bramę!

– Ale po co, przecież wsiadamy do samochodu – oponowała Lidia, jednocześnie próbując złapać żółtego psa, który zamiast posłusznie wsadzić leb do kolczatki, biegał w kółko i wyl z radości.

– Jak kogoś pogryzie, to ja się będę tłumaczył... – wrzasnął Borys i z impetem zatrzasnął drzwi domu. Złapał Cykorię i jednym ruchem załadował psi pysk w niepozorny kawałek materiału. Suka próbowała umknąć, ale mężczyzna bezwzględnie zacisnął jej na szyi obrozę. Metalowe kolce zacisnęły się i pies posłusznie ruszył w kierunku auta.

– Wybiegasz się nad rzeką – zwrócił się do zwierzęcia jak do człowieka. A kiedy już wszyscy: mama, amstaffka i bernardyn Kierownik siedzieli w środku, włączył ogrzewanie. Wysiadł i zaczął dokładnie odśnieżać szyby.

Wdowa nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zamiast w aucie znajduje się w białym igloo. To nie było zbyt przyjemne, ale nie czuła się też osaczona. Miała przecucie, że za chwilę, kiedy Borys przejedzie po szybie skrobaczką do lodu, jej oczom ukaże się niezwykle widok. Po chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, syn odsłonił rzeczywistość przed jej oczami. Poczowała ukłucie w sercu. Flesz z przeszłości. Plusk wody, bulgotanie, mordercza walka z żywiołem w ciszy. I nagle pustka. Wszystko to w ciągu kilku sekund. Przymknęła na chwilę powieki, poczuła, że żołądek

podchodzi jej do gardła, jak na szybującym krzeselku karuzeli, na którym jeden jedyny raz siedziała jako mała dziewczynka. Déjà vu.

Ale flesz, który pojawił się nagle, tak samo błyskawicznie znikł. I kiedy ruszyli, Lidia zatonęła w myślach. Zastanawiała się, dlaczego wydało jej się, że kiedyś już to przeżyła. Co? I co zdarzyło się dalej.

Droga była zasypana i zamrożona, ale od kilku tygodni słońce grało coraz bardziej i mróz miło szczypał w policzki. Owszem, w nocy jeszcze ostro dawał w kość, ale czuło się już ten specyficzny zapach zmartwychwstającej ziemi. A może tylko ona go czuła? Choć Borys tego dnia miał inne plany, zgodził się zawieźć matkę na spacer. Lidia uparła się na tę wycieczkę akurat dziś, bo dokładnie rok temu byli tu po raz ostatni z mężem. – Chcę zobaczyć Bug – powiedział. Wszyscy się ucieszyli, bo od dawna nie opuszczał domu, a nawet łóżka. Nie miał sił chodzić, siedzieć. Rak, plasterek po plasterku, pożerał jego ciało. Zaledwie miesiąc od wycieczki nad Bug, który obejrzał z okna samochodu, odbył się jego pogrzeb.

Pierwsze promyki wiosennego słońca odbijały się w śniegu kolorową tęczę. Drobnitkie płatki wirowały i błyskały jak lodowe robaczki świętojańskie. Jak okiem sięgnąć łąka otulona była jeszcze białym puchem. Kobieta wpatrywała się w przestrzeń – czuła się radośnie i rześko. Otuliła szalikiem twarz i naciągnęła kapelusz na uszy. Patrzyła na syna, który spuszczał ze smyczy psy. Cykoria podskakiwała na wysokość metra, by dosięgnąć zwisającej gałęzi. Kierownik próbował ją obliczać. Amstaffka odganiała go delikatnymi warknięciami.

Lidia patrzyła na ten sielankowy widok i znów zanurzyła się we wspomnieniach. Przed oczami stanął jej obraz sprzed lat, kiedy mąż przywiózł ją na tę skarpgę. Rozłożyli koc, koszyk z jedzeniem i otworzyli flaszkę wódki. Zrobili sobie majówkę, kąpali się w rzece. Miała na sobie ten niebieski kostium w grochy.

– Właśnie, co się z nim stało? ... Ile lat minęło od tamtej pory. Trzydzieści, może dwadzieścia siedem – zamyśliła się.

– Hej, Korcia, wracaj! – rozpaczliwy krzyk syna wyrwał ją z rozmyślań.
– No nie, co za durny pies...

– Synku, nie denerwuj się tak. Co się stało? – spytała zaniepokojona.

– Ty sobie chodzisz, a ja muszę jej pilnować – odpowiedział z wyrzutem.

– Cy-ko-ria! W tym wielkim łbie, jak arbuz, nie ma za grosz oleju.

– Tutaj jest kij, zobacz... – krzyczał do psa, który już go nie słyszał i pędził w dół, prosto do zaciągniętej lodem rzeki.

Lidia zobaczyła, że Borys trzyma w ręku jakiś konar i wymachuje nim. Zrozumiała. Pies myśląc, że kij pofrunął w dal, pobiegł za nim. Odruchowo spojrzała na pokrytą białym lodem rzekę i zamarła. Żółty pies z daleka wydawał się małym punkcikiem. Biegł z nosem przy lodzie i czegoś szukał.

– Borys, ten lód już topnieje. Rzeka nie jest całkiem zamarznięta ... – wyszeptła cicho.

– Wiem przecież... Zamiast gadać, wołaj ją!

Zaczęli razem krzyczeć do szczeniaka. Lidia była coraz bardziej przerażona. – Dlaczego ona tam poleciała? Niech nie biegnie dalej, może wpaść w przerębel albo kra się oderwie... – lamentowała.

– Trzymaj – syn wręczył jej kij i zbiegł w dół.

Matka nie była w stanie się ruszyć.

– Nie wchodź tam, synku... – poprosiła. Ale już nie słyszał.

Po chwili zobaczyła go przy brzegu. Przykucnął i udawał, że trzyma w ręku coś do jedzenia. Amstaffka przestała szukać i skupiła się na nim. Już biegła w jego kierunku merdając ogonem, kiedy coś znów zajęło jej uwagę i gwałtownie skrzyła. – Eee, ten lód jest mocny – krzyknął do matki i ruszył po psa w głąb rzeki. Lidia zamknęła na chwilę oczy i zaczęła się modlić.

– Otcze nasz, iże jesi na niebiesiech, da światitsa imia twoje. Da przydziet carstwo twoje, budź wola twoja... – szeptała.

Kiedy otworzyła oczy, syn z psem na smyczy stał kilkaset metrów od brzegu na lodzie. Borys wpatrywał się w coś pomiędzy swoimi butami. Nie mogła dosłyszeć, co mówił.

– Wracajcie! – krzyknęła tak głośno, ile sił miała w płucach.

Ale nie zwracał na nią uwagi. Kucnął i zaczął rękami odgarniać śnieg, trzeć lód. Matka ruszyła w dół. Zejście ze skarpy wydawało jej się wyczynem nie lada i zdziwiła się, że poszło tak łatwo. Była przy brzegu. Postawiła ostrożnie stopę na lodzie. Przesunęła ją o kilka centymetrów i postawiła drugą. Klęła, że założyła buty z plastikową podeszwą, bo na mrozie ślizgały się jak dziecięca gruszka do zjeżdżania z górką i w miejscach, gdzie nie było śniegu, omal nie wywinęła orla. Czuła, że każdy krok trwa

wieczność, a jednak brnęła dalej. Nogi drżały. Rzeka skrzypiała głucho, jakby ktoś tarł metalem o szybę.

– Spokojnie, to przeciążenie – krzyknął syn i tylko na chwilę odwrócił się w jej kierunku. – To łód na rzece się rusza.

– Łód się rusza... – powtórzyła matka. Zamknęła oczy i zmusiła się, by iść dalej. Coś pchało ją w kierunku syna. Jakaś siła nie pozwoliła jej zawrócić, choć w wyobraźni widziała, jak wpada do lodowatej wody, a wszystkie jej członki drętwieją. Gdy podeszła na tyle blisko, by zobaczyć twarz Borysa, spostrzegła, że jest blady jak ściana, a brwi łączą się w jedną kreskę. Wiedziała, że oznacza to u niego stan najwyższego poruszenia.

Nagle nogi odmówiły posłuszeństwa, ugięły się i musiała kucnąć. Czołgała się dalej na kolanach.

– Chodź, zobacz – powiedział Borys, kiedy zbliżyła się na odległość metra. Podał jej rękę, by mogła wstać.

– Słabo ci? – spytał.

– Trochę...

– To nie patrz tam. Lepiej od razu wracajmy – pociągnął ją w kierunku skarpy.

Lidia odruchowo spojrzała w dół.

Spod przezroczystej tafli lodu patrzyła na nią kobieta. Jej oczy były nienaturalnie wytrzeszczone. Twarz sinobiała, usta granatowe. Kruczoczarne włosy wiły się jak węże wokół jej głowy. Były tak długie, że zasłaniały jedną pierś, za to druga była spłaszczona i przyciśnięta do lodu. Ciemnogramatowa brodawka sterczała wyzywająco. Wydawało się, że za wszelką cenę próbuje wydostać się na powierzchnię. Lidia skupiła się na niej, bo bała się znów spojrzeć w te martwe źrenice, które były jak wciągający czarny tunel. Zauważyła, że jedna ręka z czerwonymi długimi paznokciami jest nienaturalnie wygięta, jakby kobieta zastygła podczas śmiertelnego tańca.

– Ona nie żyje?

– Nie, śpi sobie – odrzekł sarkastycznie syn. – Mamo, to przecież trup.

– A może manekin? – Lidia próbowała oszukać samą siebie. Patrzyła na wypielęgnowane czerwone paznokcie, na to piękne ciało. Nie mogła uwierzyć, że jest martwe.

– Trzeba wezwać psy – powiedział Borys i wykręcił numer do pobliskiego posterunku. Odsunął komórkę od ucha i usłyszała sygnał zajętości. Po chwili nastąpiło rozłączenie. Nikt nie odbierał.

– Nikogo nie ma. Co za wiocha. A może zmywamy się? Niech ktoś inny ją znajdzie, nie my.

– Może to lalka. Wiesz, robią takie do filmu. Sobowtór... – powtarzała bezsensownie Lidia i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w twarz kobiety. – I ten niebieskawy odcień. Nieboszczycy są zwykle żółci...

Nagle ją tknęło. – To Nina Frank. Nie, to niemożliwe! Nika, to ty? Co tutaj robisz? Dlaczego? – przeleciało Lidii przez głowę.

– Coś mówiłaś? – spytał Borys, jakby usłyszał jej myśli.

– Nie, nic...

– O, mam połączenie. Halo?

Nagle Lidia krzyknęła i chwyciła syna za rękę. – Ona mrugnęła!

Borys odsunął telefon od ucha i spojrzał z politowaniem na matkę.

– Mamo, to trup – skwitował i znów próbował połączyć się z posterunkiem policji.

– No patrz, zasięg się skończył. „MTS Białoruś” się włączyła – zdernował się. I zaczął narzekania: – A już miałem sygnał! Musiałaś tak panikować? Przez tego trupa zapłacę pięć złotych za nieudane połączenie. I nie gap się na nią, bo ci się przyśni!

Lidia czuła, że krew odpływa jej z twarzy. – Przysięgam, ona mrugnęła – powiedziała cicho. Borys pokręcił głową. – Bzdura. To martwa kobieta. Zamrożony trup – machnęła ręką i odszedł dalej szukać zasięgu Idei.

Lidia wpatrywała się w oczy Niki. Drżała. Dałaby sobie rękę uciąć, że po raz drugi zobaczyła, jak Nina Frank puszcza do niej oko.

– To nielogiczne – myślała. – Przecież jest uwięziona pod lodem.

Nagle poczuła podmuch wiatru. Dziwny, bo ciepły. Była teraz kompletnie sama: tylko ona i Nika. Borys odpłynął gdzieś daleko, a wokół niej wszystko zawirowało. Drzewa, łąka, zamarznęta rzeka. Nie słyszała ujadania psów i nie czuła już tego przenikliwego zimna. Przeraziła ją nicność, w której się znalazła. Chciała uciec, ale nie mogła się ruszyć. Biała, mleczna mgła spowiła wszystko, oprócz martwej kobiety pod lodem i niej samej. – To się źle skończy – pomyślała Lidia. Teksty szeptanych modlitw

plątały się. Miksowała różne fragmenty, na różne okazje, ale kiedy po raz szósty doszła do „Hospodi pomiluj”, zamilkła.

Obserwowała denatkę jak ze swojego krzeselka w pokoju przed telewizorem. Dzielił je teraz nie ekran telewizora, ale szyba z lodu. Lidia czuła dziwną bliskość z aktorką. I strach. – Może to ona mnie tutaj wołała? – pomyślała wdowa.

Wtedy wydało jej się, że ciało ożywa. Niebieskawy odcień zniknął. Bieleły ręce, twarz, piersi. Sutki zrobiły się różowe. W końcu ciało znów było alabastrowe, jak za życia. Usta stały się czerwone i powoli rozciągały się w ironicznym uśmiechu. Tylko oczy pozostały przerażające. Nienaturalnie wytrzeszczone stawały się coraz bielsze i bielsze, by w końcu przypominać oczy nocnego ptaka.

Nika poruszyła ręką. Teraz Lidia nie miała wątpliwości. Ona żyje! Kobieta spod lodu ustawiła paznokcie pod kątem 90 stopni i jakby to była miękka materia, a nie zmarzlina, wycinała w niej otwór. Uśmiechała się przy tym odsłaniając ostre zęby.

– Borysku, biegnij! Uciekaj! – zdołała wyszeptać Lidia, ale sama była sparalizowana strachem. Nie mogła nawet poruszyć palcem. Wpatrywała się w źrenice kobiety, które jak magnes wciągały ją i zmuszały do pozostania na miejscu. Słyszała, jak lód pod jej stopami kruszeje i trzaska.

Czerwony paznokieć palca wskazującego błyszczał w słońcu. Był już poza powierzchnią lodu. Lidia widziała, jak pozostałe paznokcie tną przezręczystą tafłę. Sztydery śmiech dzwijał w uszach. Rozsadzał bębni. Lidia zatkała uszy, zasłoniła oczy i krzyczała:

– Borys! Borys! Boże, nie pozwól jej... Synku uciekaj!

Kiedy aktorka wydobyła spod tafli rękę i chwyciła Lidię za nadgarstek, całe życie przeleciało jej przed oczami.

– Neeeeee! – próbowała wyrwać się z objęć wampirzycy. – Neeee!

– Mamo, obudź się. Jestem tutaj – usłyszała jak z zaświatów. To Borys trzymał ją za rękę. Lidia zmusiła się, by otworzyć oczy. Jeszcze zatykała uszy, kręciła głową. Była złana potem. Nad sobą miała twarz syna, który przemawiał wyjątkowo czule.

– No nareszcie. Myślałem, że już nigdy się nie obudzisz. Coś mamrotałaś, zrzuciłaś koldrę... Już dobrze – gładził ją po białych włosach.

Lidia ogarnęła wzrokiem pokój. Wszystko było po staremu: makatki, ikona Matki Boskiej, stara maszyna do szycia, która służyła jako stolik [100] wideo. Syn nachylał się nad nią. – Mama, dobrze się czujesz?

Tak, tak – uśmiechnęła się i odetchnęła. – To był tylko zły sen. Która godzina?

Piąta. Zaparzę ci ziółek. Zaraz jadę na obchód.

Nie trzeba, synku. Sama sobie zaparzę. Ubieraj się, już dobrze.

Ale się darłaś. Poleż sobie. Zrobię ci tych ziółek – powiedział i zostawił [10] z kołowrotkiem myśli.

Tego dnia Lidia dotarła do biblioteki o dwie godziny wcześniej. Wyciągnęła z szuflady tekturowe teczki, do których wkładała wycinki prasowe na temat ukochanej aktorki. Z archiwum biblioteki wyciągnęła stare gazety i przewertowała je, chcąc znaleźć wywiady z gwiazdą. Wycięła większe i mniejsze artykuły, nawet notki z imprez towarzyskich, zdjęcia, plotki. Dokładnie studiowała wszystkie słowa Niny Frank.

Jedną z teczek przeznaczyła na artykuły o jej karierze, w innej trzymała wywiady na temat rodziny, sesje fotograficzne w domach dziecka i szpitalach. Do jeszcze innej wkładała wycinki z plotkami na jej temat. Tej teczki nie lubiła i rzadko ją przeglądała. Teraz otworzyła czerwone okładki i wysypała wszystko na stół.

Jeden z artykułów dotyczył imprez w domu Niki nad Bugiem, gdzie miały odbywać się orgie seksualne. Ale w następnym wydaniu gazeta opublikowała sprostowanie i przeprosiny. Aktorka podała dziennik do sądu i dziennikarze nie potrafili udowodnić swoich rewelacji. Ludzie, którzy im o tym donieśli, nie chcieli zeznawać. Lidia przeglądała inne artykuły. „Fakt” i „Super Express” z zakonnicą, kochanej przez miliony widzów, próbował robić narkomankę i wredną zdiurę, która polowała na reżyserów i producentów. W zamian za to Nina Frank konsekwentnie odmawiała im wywiadów, których nie szczędziła dla kolorowej prasy, gdzie pełno było jej konfekcyjnych, lukrowanych historyjek i złotych myśli.

Lidia dokładnie zaczęła studiować doniesienia dziennikarzy, których do tej pory uważała za hieny. W jednym z artykułów znalazła wypowiedź mężczyzny, tego samego, który tłumaczył Frank w telewizji. W artykule chwalił ją za warsztat i zaprzeczał, jakoby aktorka nadużywała alkoholu.

– Brała leki na sen, ale nie jest uzależniona od lekarstw, a tym bardziej narkotyków. To pomówienia – zapewniał Zbigniew Woju, jej agent.

Lidia usiadła nad stertą wycinków prasowych i zamyśliła się. Przypomniała sobie rozmowę z synem sprzed kilku miesięcy, kiedy poprosiła go, by nagrywał wszystkie odcinki serialu i wywiady z udziałem gwiazdy. Borys oburzył się.

– Kaset nam nie starczy – kwękał.

– Synku, możesz skasować moje stare filmy. Już nie będą mi potrzebne.

Lidia wiedziała o aktorce wszystko, co można było wyczytać. I w rozmowach z ludźmi, którzy przychodzili do biblioteki, broniła serialowej mniszki jak lwica. Nawet, jeśli zarzucano jej narkomanię i przeszłość gwiazdy erotycznej kinematografii.

– Ludzie pomawiają ją z zazdrości. Ona taka nie jest – przekonywała.

– Ale wiesz, syneczku, dlaczego nagrywam to wszystko o Frank?

– No, ciekawe, w końcu się dowiemy... Kolejne dziwactwo?

– Bo, choć informacji o niej jest mnóstwo, tak naprawdę nic o niej samej nie wiem: nic o jej przeżyciach, pragnieniach, przeszłości. Wszystko to są gładkie słówka.

– Może ktoś jej napisał życiorys i to wcale nie jest jej własny. Czasem tak się robi w show-biznesie – wyjaśnił syn, jakby codziennie stykał się z show-biznesem, jednocześnie nokautując dżojstikiem przeciwnika na bokserskim ringu. – Jasna cholera! No patrz, mówiłem, żeby kupić droższy sprzęt – poderwał się, bo jeden z przycisków Play Station II się zaciął.

– Że niby to, co pisać, jest fikcją?

– Jasne, a coś ty myślała? Twoja zakonnica ma pewnie nieźle za uszami...

– Co masz na myśli? – zaniepokoiła się Lidia. – Jakieś przestępstwo?

– Nie wiem. Coś. Może jest kimś innym niż ta laska wykreowana w telewizji, po prostu. Żeby seriale z jej udziałem biły rekordy popularności.

– Coś podobnego – pokręciła głową z niedowierzaniem Lidia.

Dziś rozpamiętywała tę rozmowę i zastanowiła się nad swoim snem. Nina Frank była w nim demonem, który chciał zrobić jej krzywdę – tego była pewna. Nie przypominała wcale serialowej bohaterki. Mało tego,

była jej przeciwieństwem. Lidia chwyciła do ręki telefon i wykręciła numer. Przez kilka minut nikt nie podnosił słuchawki. Po chwili znów spróbowała. Sygnał regularnie się urywał. – Aha, jest w domu, dobrze – pomyślała i poszła zrobić sobie herbatę. Sięgnęła po telefon – znów zajęte. Uporządkowała karty biblioteczne, przyjęła kilku czytelników i ponownie wykręciła numer. Dziwne, wciąż ten sam sygnał. Nie można przecież tak długo rozmawiać...

Cały dzień była lekko nieprzytomna, nawet czytelnicy zwrócili jej na to uwagę. Przed południem wpadł podkomisarz Eugeniusz Kula i śmiał się, że chyba jest zakochana, bo chodzi zamyślona. Nie zanotowała kilku wypożyczonych książek i musiał jej o tym przypomnieć.

Tuż przed wyjściem do domu jeszcze raz wzięła do rąk słuchawkę. Telefon nie był zajęty. – Halo? – po kilku sygnałach odebrał mężczyzna. W tle słychać było jakieś odgłosy: trzaski, kroki i strzępki rozmów. – Słucham – powtórzył ten sam męski głos. Wtedy Lidii wydało się, że z oddali dobiega ją wschodnie zaciągnię podkomisarza Kuli. Krzyczał na kogoś. Gwałtownie odłożyła słuchawkę.

Podeszła do stolika, gdzie trzymała teczki z wycinkami o Frank i sama nie wiedząc dlaczego spakowała je wszystkie do szarej koperty z naklejką „Dzieje wieków”. Po krótkim namyśle z jednej z szuflad wyjęła płytę CD opakowaną w czerwony papier i wrzuciła ją także do koperty. Zakleiła pakunek taśmą i zaniósła do gminnego sejf. – Pani Krystyno, tutaj mam faktury i rozliczenia biblioteki. Nie chcę ich trzymać bez opieki, schowa mi pani? – poprosiła.

– Oczywiście – odpowiedziała urzędniczka. – A pani jeszcze nie w domu? „Amanda” zaraz się zaczyna.

– Właśnie jadę. Proszę to położyć gdzieś na dole, nie będzie mi to potrzebne do końca roku – podkreśliła i jak gdyby nigdy nic wyszła z budynku.

Rozdział 9

Listonosz znajduje trupa

„Wiedz, kiedy należy się odezwać”

Młody listonosz wyprężył dumnie pierś, kiedy zbliżał palec do domofonu. Poprawił blond grzywkę, otarł rękawem nos. Chwycił go dwoma palcami, ścisnął i smarknął na zaspę śniegu. Chrząknął i powtórzył kwestię, zanim zadzwoni: – Poczta polska. Polecony.

Wydawało mu się, że jest w tym uwodzicielski, choć gdyby zobaczył go ktoś z boku, roześmiałby się w głos. Ale listonosz był święcie przekonany o swoim uroku osobistym i wierzył, że to jego polisa na życie. Bo z fizjonomią już gorzej – chuchro, niedojda, tchórzliwy zdechłak – śmieli się z niego w szkole i dawali łomot. A on nie chciał się bić. Bał się rozkwaszenia dziewczęcej niemal twarzyczki. Długo cierpiał, że nie rośnie mu zarost i nie umie grać w piłkę. Na bramce potrafił puścić nawet siedem goli.

Z czasem jednak przekonał się, że niektóre kobiety, a zwłaszcza starsze – mężatki, woła takich aniołkowatych chłopców od brutali, których mają w domu. I po wysłuchaniu kilku banalnych komplementów chętnie się nim opiekują. Wtedy odkrył w sobie talent godny mistrza Kalibabki. Słodkimi słówkami zdobywał zaufanie, wyglądem wzbudzał litość, a sprzedając fikcyjne historyjki, osiągał cel. Obdarowywały go prezentami i wpuszczały do łóżka, kiedy mąż był akurat w pracy. Listonosz potrafił w ciągu zaledwie godziny trzykrotnie je zniewolić, a one nie mogły wyjść z podziwu nad jego sprawnością seksualną. – Twój Mały to prawdziwy skarb – mówiły, a on uśmiechał się obleśnie i szybko naciągał slipy, zanim

nakryje go wściekły rogacz-mąż. – Nie bez powodu nazywali mnie już w szkole Bystry Lopez – odpowiadał.

Ksywka wzięła się stąd, że całkowicie panował nad swoim Małym Przyjacielem i był w stanie go pobudzić w każdych okolicznościach i w każdym miejscu. Odkąd odkrył w sobie taki talent, koledzy przestali go gnębić, a urósł w ich oczach na prawdziwego bohatera mielnickiej podstawówki. Chłopcy z klasy robili nawet zakłady, ile razy podczas dużej przerwy Bystry Lopez zmarszczy gruchę. Jego rekord to siedem zmarszczeń w ciągu dwudziestu jeden minut. Pół szkoły spóźniło się po tym widowisku na lekcje. A Król Marszczenia Gruchy, bogatszy o czterdzieści trzy złote, które wygrał z zakładów, przepisał resztę zajęć w szatni przed salą gimnastyczną.

W dorosłym życiu zdolności Bystrego Lopeza, zamiast osłabnąć, jeszcze się wzmogły. I choć wygląd tego nie obiecywał, Lopez z powodzeniem kursował pomiędzy łózkami, krzakami, toaletami, nawet biurkami w urzędzie pocztowym. Na koncie miał też incydent, kiedy to na tylnym siedzeniu Autosanu, na torbie w czerwono-białą kratę, dogodził atrakcyjnej Białorusince, która jechała na bazar. Nie byłby to wielki wyczyn, gdyby nie to, że autobus z Mielnika do Siemiatycz jedzie zaledwie dziewiętnaście minut. W tak krótkim czasie Lopez zdołał poznać Tatianę, porozmawiać z nią, spenetrować i okraść rozanieloną z portfela, plastikowego budzika i klipsów, które niestety okazały się z tombaku, a nie z białego złota.

Białorusinka nie zgłosiła kradzieży na policję, tak jak i inne nie zgłaszały, że po intymnym kontakcie z blond-tulipanem, zniknęło trochę gotówki czy jakaś biżuteria. O straconych fantach sentymentalnych typu majtki czy biustonosz, które Lopez brał jako trofeum zwycięzcy, w ogóle nie napomykały.

Przed furtką aktorki zawsze czuł jednak tremę. Nie był zadowolony z tembru swojego głosu, więc powtórzył raz jeszcze: – Dzień dobry, poczta. Mam dla pani list polecony... – przesadnie przeciągał sylaby.

Już lepiej, choć wołałby czuć się pewniej. O, tak na przykład, z jaką pewnością wręcza renty starej Józwiakowej albo przekazy temperamentnej Kowalczewskiej, której mąż siedzi w Belgii, jak ponad połowa mieszkańców Siemiatycz. Choć przekazy przynosił nieduże, zawsze odpalą te dziesięć

złotych. A gdy polecione przynosi, to po piątku. Przed nimi udaje sierotę, a oni łapią to, jak małpa kit. Wtedy czuje się spełniony – bo nawet nie chodzi o pieniądze, ale o satysfakcję, że jego bajer skutkuje. No tak, ale jak się czuć pewnie, gdy się odwiedza gwiazdę filmową w stroju zwykłego listonosza? Żeby chociaż w skórzanych spodniach, na motocyklu. Albo jako dziennikarz, z mikrofonem w ręku. I na motorze... O! Właśnie! – nagle go oświeciło. Zygi wciąż remontuje starego harleya. Można by pożyczyć, nie musi być nawet sprawny. Liczy się efekt! No tak, ale tutaj taka zawieja, a podjechać by trzeba było w podartym podkoszulku, z wiatrem we włosach. Uwiesić, zachwycić, zakręcić i ...ogolić – a tu pewnie dużo jest do wyniesienia.

Aktorka nawet nie zauważy. Takie jak ona kasy mają jak lodu. Tak, tak, ale na razie sytuacja niesprzyjająca. Trzeba czekać do lata, kiedy skończy się okres próby. Bo jak działać, kiedy cały czas po piętach depce ten grubas Kula! Wydaje mu się, że jest szeryfem i kocha władzę. To dlatego listonosz, po ostatniej wpadce, gdy w lekarskim kitlu, zbadał narzeczoną przewodniczącą związków zawodowych mielnickiej kopalni kredy i na jaw wyszło, że wcale nie jest ginekologiem, ani nawet studentem medycyny, na razie woli się nie wychylać.

Kula dał mu wybór. Sprawa sądowa albo druga szansa. Stanowisko zaufania publicznego – doręczyciel. Bez wahania zgodził się pracować za pół darmo i obiecał solennie, że taka akcja więcej się nie powtórzy, choć w głębi duszy wierzył, że dzięki uniformowi listonosza uda mu się poznać jeszcze więcej babek. A potem los sprawił mu niespodziankę. Okazało się, że w jego rejonie mieszka gwiazda filmowa. I od czasu do czasu – przy doręczaniu listów – ma szansę na kontakt z nią. Choćby tylko przez furtkę.

Listonosz jak zwykle przygotował sobie notesik i długopis, na którym aktorka miała mu złożyć autograf, który zeskanuje i skopiuje na płytę DVD z filmem, a potem sprzeda na Allegro za 400 złotych.

Drrr – nacisnął pstryczek. Cisza. Drrr, drrr. Nikogo nie ma? Samochód stoi, drzwi wejściowe uchylone. Drrr – spróbował jeszcze raz. Nie odpowiedziało mu zwykle szczekanie psa, który wcześniej zawsze rzucał się na jego nogawki i z tego powodu doręczanie korespondencji odbywało się przez furtkę.

Wzruszył ramionami, spojrzął na zegarek – dochodzi trzynasta. – Nie chce się jaśnie pannie wstawać. Pewnie ma kaca... Nici z transakcji – zmarł się. Już zaczął wypisywać awizo, kiedy wpadł na pewien pomysł.

– Skoro drzwi wejściowe są uchylone, psa nie ma, a Frank śpi, to można wejść i rozejrzeć się. Nigdy jeszcze nie byłem w środku.

I nie zastanawiając się dłużej, popchnął furtkę. Znalazł się na posesji okolonej ze wszystkich stron oszronionym żywopłotem odgradzającym posiadłość od świata. Alejka była wyłożona kamienną kostką, wzdłuż której rosły tuje, a między nimi powtykano lampy z ręcznie kutego metalu. Czuł się trochę jak złodziej, za którego przecież wcale się nie uważał, ale było tu tak uroczo, że nie mógł się powstrzymać i pragnął jak najszybciej znaleźć się w środku. Na werandzie mimo ostatnich mrozów stały wiklinowe fotele i stolik. Tuż obok domu rosło stare drzewo, które łysymi teraz gałęziami, jak pozbawionym materiału, zepsutym parasolem, osłaniało posiadłość. W lecie dawało zaś piękny cień. Zapukał do drzwi tak cicho, że sam ledwie usłyszał. I kiedy, tak jak się spodziewał, nikt mu nie otworzył, nacisnął klamkę. Ku jego zdziwieniu ustąpiła za pierwszym razem i bezszelestnie dostał się do środka. Wewnątrz poczuł dziwny zapach, jakby zgnilizny, pomieszany z intensywną wonią sosnowego odświeżacza powietrza, który aż zatykał mu nozdrza. Rozejrzął się i odprężył – tak było pięknie. Urządzone ekskluzywnie – jak mu się wydawało – salon miał trzy razy więcej metrów niż całe mieszkanie jego rodziców, a z niego wychodziło jeszcze kilka drzwi do innych pomieszczeń i kręcone schody, którymi wchodziło się na górę. Dokładnie wytarł buty i ostrożnie stąpając po podłodze z jaśniutkiego drewna ruszył w kierunku kuchni.

– Dzień dobry – krzyknął radośnie. – Poczta, mam dla pani list polecony – powtórzył śpiwnie. Nikt mu nie odpowiedział. Dyskretnie zajrzał do kilku pokoi. Przepych i bogactwo tego wnętrza oszołomił go tak bardzo, że nie wiedział, co zrobić. Usiadł na białej skórzanej kanapie, a torbę listonosza położył sobie na kolanach. Wtedy dopiero zauważył na podłodze brązowawe smugi, a także, że drzwi do łazienki są otwarte i świeci się w niej światło.

– Co za marnotrawstwo – pomyślał. – Przecież jest dzień.

Chciał je zgasić, ale zatrzymał się w połowie drogi. Zobaczył, że na progu białej marmurowej łazienki, w wodzie, leżą byle jak rzucone szpilki

z czarnego zamszu na niebotycznie wysokim obcasie. Jedyłą ich ozdobą była mała cyrkonია, w której odbijało się słońce. „Widocznie łazienka jest z oknem” – pomyślał i zawrócił. Jeszcze raz krzyknął, żeby sprawdzić, czy w domu naprawdę nikogo nie ma. Wtedy już pewniejszym krokiem zaczął zwiedzać pomieszczenia.

Poszedł do kuchni i zauważył stertę brudnych naczyń. W stalowym zlewozmywaku pływały niedbale wrzucone winogrona, kryształowe kieliszki, niedopałki, deska z niedojedzonymi serami i wielki nóż kuchenny. Obok karafka z płynem w kolorze wrzosowego miodu. Odkorkował i powąchał. – Uhm... – wydał pomruk zadowolenia. Chwycił stojącą w pobliżu szklanę, do połowy wypełnioną whisky. Otarł usta rękawem i upił łyczek. Napój igielkami rozszedł się po podniebieniu i błyskawicznie rozgrzał mu gardło, więc chciwie wziął kolejnego łyka. W końcu szklanka była niemal całkowicie opróżniona. Nalał sobie jeszcze jedną do pełna i trzymając ją w dłoni, już pewniejszym krokiem kontynuował zwiedzanie. Z kuchni wszedł do pokoju, niemal całkowicie wypełnionego książkami i płytami. Panował tu okropny bałagan. Rzeczy były poprzewracane, zdjęcia na stoliku podarte, a na sofie leżały jakieś ubrania i wilgotny ręcznik. Na jednej ze ścian wisiał plakat przedstawiający gwiazdę w otoczeniu fotoreporterów. Rozdawała uśmiechy i wypinała kształtny biust. Jedna ręka była wyciągnięta zachęcająco, jakby zapraszała oglądającego fotografię do tańca. Listonosz przesunął ręcznik i ubrania, pod którymi znalazł fiolkę z tabletkami do połowy opróżnioną i pustą butelkę po winie. Rozsiadł się na kanapie i poszukał pilota. Ale powstrzymał się przed włączeniem telewizora. Nie, nie róbmy hałasu. Uśmiechnął się, zachwycając się swoim wyćwiczonym zmysłem oszusta-podglądacza. Posiedział chwilę i popijał drinka. Czuł, że alkohol i otoczenie świetnie na niego wpływa i zatopił się w kontemplacji, co zrobiłby z taką dupą, gdyby znalazła się w jego łóżku. Poglądził się po rozporku i patrząc na wyciągniętą dłoń Niny Frank ze zdjęcia, rozpoczął masturbację. Kiedy w końcu sperma trysnęła na skórzaną sofę i dywan, opadł bezwładnie bez sił. Po chwili jednak poderwał się, by zetrzeć ślady białawej mazi. Na samą myśl, że jeszcze niedawno tym samym ręcznikiem wycierała swe ciało gwiazda filmowa, znów poczuł podniecenie. Ale tym razem zdołał się powstrzymać.

– Dość tego lenistwa, śpij Mały – szepnął i ruszył dalej. Wtedy na dywanie, obok stolika, zauważył porzuconą czarną pończochę i koszulkę w kolorze malinowym. Błyszcząca materia aż się prosiła, by jej dotknąć. Kiedy wziął ją do ręki, zauważył, że jest rozdarta i zaplamiona. Powąchał zdobycz i odruchowo zwinął ją w mały kłębek. Zdziwił się, bo była tak cieniutka, że mieściła się w jednej dłoni. Schował ją do kieszonki w torbie.

– Będzie się czym pochwalić Zygiemu! – ucieszył się.

Już kierował się do wyjścia, kiedy ciszę przeciął dzwonek telefonu. Zamarł. Sygnał nie ustawał. Listonosz w zastygłej pozie czekał sparaliżowany, aż znów zapadnie bezpieczna cisza. Bał się, że aktorka obudzi się i nakryje go, jak myszkuje w jej mieszkaniu. Jeszcze oskarży o kradzież albo gwałt... W końcu telefon ucichł.

– Aha, czyli jej nie ma – uśmiechnął się perfidnie. – W takim razie poszukamy sypialni. Zobaczył przymknięte drzwi i ruszył w tamtą stronę. W jego nozdrza dostał się smród zestarzałego papierosowego dymu wymieszanego z zapachem mocnych perfum. Przymknął powieki i wyobraził sobie śpiącą gwiazdę. Poczul, jak krew odpływa mu z twarzy w niższe partie ciała. Twardniejący członek dodał mu odwagi.

Nawet nie naciskał klamki, po prostu popchnął delikatnie skrzydło drzwi. Pusta szklanka wypadła mu z ręki. Nie stłukła się. Potoczyła w głąb pokoju.

Kobieta leżała na łóżku naga, nieznacznie przykryta białym prześcierałem. Jakby ktoś rzucił je nie na ciało, tylko na przedmiot. Dekolt i piersi przypominały czerwoną miazgę. Na rękach i nogach krwawe wybroczyny. Nogi kobiety były rozłożone, a pomiędzy nimi listonosz dostrzegł coś dziwnego, jakby denko od butelki. Czuł, jak miękną mu nogi, i momentalnie znika wzwód. Twarzy ofiary nie widział. Była przykryta jakąś szmatą, uwalaną we krwi, która zasklepiła się i zbrunatniała. Dłonie denatki były poranione i podrapane aż do przedramion, jakby walczyła przed śmiercią z monstualnym kocurem. Na jednym z przegubów dostrzegł kawałek pończochy. Skojarzył, że taką samą widział w bibliotece. Na szyi kobiety widniała sina pręga.

Jasny dywan od wejścia aż do łóżka przecinała droga z zaschniętej krwi. Skojarzył brunatne smugi na podłodze w salonie. To też była krew, tylko ktoś ją nieudolnie i w pośpiechu zmywał. Poczul dreszcz przerażenia na

plecach i tyłem wycofywał się z pomieszczenia. Przed ucieczką zarejestrował jeszcze, że góra cienkich niedopałków wypełniała popielniczkę, które sterczały jak igły na grzbiecie jeża. Kilka białych kapsulek po lekach walało się obok łóżka, razem z podartymi fotosami z planu i nadpaloną kartką. Na stoliku nocnym, przy łóżku, stały rozsypane pudełka po lekach, obok przewrócona butelka po winie i inna, do połowy opróżniona, z jakimś ekskluzywnym, nieznanym listonoszowi trunkiem. Chciał jak najszybciej opuścić ten dom!

Włączona, mimo wczesnej pory dnia, lampka nocna nadawała zmasakrowanemu ciału aktorki nieco żółtawy odcień. – Może morderca jeszcze tu jest – pomyślał nagle listonosz i wybiegł z mieszkania jak oparzony.

Zatrzasnął furtkę. Dopiero dotarło do niego, że przecież ta kobieta nie żyje. Ktoś ją w bestialski sposób zabił! A on zostawił w jej mieszkaniu mnóstwo śladów. Otworzył kieszeń torby, do której schował koszulkę. Malinowa satyna była jak wyrzut sumienia. W panice chwycił za klamkę, by wejść i odnieść fant, ale zamek zatrzasnął się. Listonosz omal się nie rozpląkał – właśnie zostawił kolejny ślad.

– Posada doręczyciela miała mnie resocjalizować. Kula nie uwierzy, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią tej baby. Kurde, to jeszcze aktorka. Nie wywinę się z tej sprawy – myślał. Pognął do domu, ale nie mógł usiedzieć w miejscu. Cztery godziny później przyszedł na posterunek policji.

– Chcę rozmawiać z panem Kulą – oznajmił oficerowi dyżurnemu.
– To pilne.

– Ma odprawę, potrwa około godziny – dętwo odpowiedział Alojzy Trembowiecki. Podejrzliwie zmierzył rozdygotanego listonosza od stóp do głów. Leniwie pomieszał herbatę i wyjął z niej nasiąkniętą torebkę. Precyzyjnym ruchem, podtrzymując łyżeczką kapiący kawałek „szczura” z herbaty, przeniósł go do śmietnika. Kiedy wrócił, listonosz nadal sterczał przed okienkiem.

– Proszę wrócić za godzinę – powtórzył.

– Nie mogę czekać – listonosz rozejrzał się, choć oprócz nich na posterunku nie było nikogo. – Mamy do czynienia ze zbrodnią. Znalazłem ciało.

Posterunkowy zerwał się tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło, na którym siedział. Łyżeczka w szklance zadzwęczała jak dzwonek.

– Co? Gdzie?

– W domu tej aktorki... Muszę natychmiast mówić z kierownikiem Kulą – zapiszczał listonosz.

– Niech pan się stąd nie rusza – rozkazał Trembowiecki. Zaczesał do góry włosy i nałożył czapkę. Pędem, po dwa stopnie naraz, ruszył na górę.

W gabinecie Eugeniusza Kuli właśnie trwała narada nad wzmocnieniem działań prewencyjnych. Oprócz dwóch posterunkowych: Czerwieńskiego i Cetnarka, przy stole siedział wójt i kilku przedstawicieli ochotniczych patroli, które Kula powołał rok temu. Jeden z dzielnych ochotników przysypiał oparty o ścianę, co jakiś czas pochrapując cicho. Reszta ziewała. Kula niestrudzenie cytował statystyki.

– W ubiegłym roku spadła liczba kradzieży trzody chlewnej o 30 procent. Na dwunastu sprawców zatrzymano dziewięciu. Mamy tu do czynienia ze wzrostem bezpieczeństwa. Niestety, mimo wzmocnienia wysiłków, nie udało się całkowicie wyeliminować złodziei trakcji elektrycznych...

– Chrrr – rozległo się w gabinecie. Ktoś szturchnął śpiącego. Ten wzdygnął się i spojrzał przepaszająco na Kulę. Dyskretnie otarł strużkę śliny, która spłynęła mu z kącika ust. Ale po chwili znów pogrążył się w letargu.

– Na trzynaście zanotowanych w ciągu roku zdarzeń, dzięki czujności ochotniczych patroli, udało się zatrzymać na gorącym uczynku zaledwie trzech – ciągnął Kula. – Reszta nadal jest na wolności. Podejrzewamy, że szajka werbuje coraz to nowych ludzi. A być może dysponują oni sprzętem transportowym i przemieszczają się z miejsca na miejsce po kraju. Tym bardziej powinniśmy być czujni, by stać na straży bezpieczeństwa obywateli. Chciałbym przypomnieć, że ci ludzie powodują straty na kwoty rzędu kilku, nawet kilkunastu tysięcy złotych, podczas gdy skradziony przez nich drut wart jest na skupie złomu jakieś trzysta–pięćset złotych. Trzeba przedsięwziąć akcję prewencyjno-oświatową wśród mieszkańców. Uczulić ich, wydrukować ulotki... – podkomisarz Kula był w swoim żywiole.

Pukanie ożywiło wszystkich uczestników odprawy. Tylko szef posterunku zmarszczył brew i poczochnął wąsa. Nie lubił, gdy ktoś przerywa mu wykłady.

– Słucham.

Do pokoju zajrzał oficer dyżurny i jękając się poprosił kierownika na sekundkę na zewnątrz.

– Trembowiecki! Mówcie szybko, co macie do powiedzenia. Tylko migiem, mamy ważną naradę! Przed tymi ludźmi nie mam tajemnic – wrzasnął Kula. Członkowie ochotniczych patroli wpatrywali się w przerażoną gębę posterunkowego.

– Ja nie wiem, jak to powiedzieć... Panie pood-ko-komisarzu... – Trembowiecki ze zdenerwowania zaczął się jękać. – Ale, na do-do-do-do... Na dole jest li-lilistonosz... – wydukał.

– Ponczek? Znów narozrabiał? Pobity, okradziony? Spiszcie zeznania, niech czeka.

– Ale panie kie-kierowniku. To świadek przestępstwa.

– Trzeźwy?

Trembowiecki zastanowił się. Szef zaskoczył go.

– No, właściwie to nnnie wiem.

– To zbadajcie go na alkomacie!

– Ale... on mówi, że chyba widział z-z-zbrodnię.

– Co? Jak to widział?

– No nie-nie zdążyłem...

– Może pijany, co wy mi tu głowę zawracacie.

– Ale on mówi, że widział, on mówi... w domu tej aktorki...

– Niny Frank? – Kula odłożył wskazówkę. – Panowie, wybaczcie.

Do drzwi odprowadził go szmer podniecenia. Nawet śpiący uczestnik odprawy nadstawił ucha. Kiedy Kula znalazł się na dole w pokoiku oficera dyżurnego, zastał listonosza, jak siedzi ze spuszczoną głową i wylamuje palce.

– Dzień dobry Jurka, opowiadajcie – powiedział wesoło.

– Panie kierowniku, ja bym wolał na osobności...

Eugeniusz Kula poruszył nozdrzami. Wciągnął powietrze na wysokości ust doręczyciela.

– Ejże, coś oddech masz niewyraźny. Chuchnijcie!

– To nie tak, panie podkomisarzu... Tylko małą szklaneczkę whisky wypilem – Jurka przestraszył się i gwałtownie ścisnął w rękę czapkę listonosza.

– Whisky, to wam się powodzi... – zaśmiał się Eugeniusz Kula. – I tylko jedną szklaneczkę? – pokiwał na niego palcem. – Już ja was znam. Coś znów zmalowaliście! A jaka była między nami umowa? Uczciwy doręczyciel i unikamy pudła. Nieuczciwy? Idziecie na urlop przymusowy, tak? Za kratki.

– Przysięgam, to nie ja! – krzyknął rozpaczliwie Jurka Ponczek. – Proszę mnie wysłuchać, panie podkomisarzu. Tam jest kobieta. Ktoś ją... – doręczyciel przeciągnął palcem po własnej szyi. – Ja widziałem jej ciało. Znalazłem je. Ta aktorka nie żyje!

Kula natychmiast spowaźniał.

– Trembowiecki, odprawa zostaje przerwana. Zawołaj Czerwieńskiego, niech zabierze sprzęt, a wy tutaj zaopiekujcie się Jurką. Herbaty mu dajcie i zapiszcie, co ma do powiedzenia.

– No i co sądzicie, Czerwieński? – spytał Eugeniusz Kula, ledwie powstrzymując wymioty. – Trzeba zawiadomić prokuraturę.

Młody chłopak biegł wokół łóżka aktorki i cykał jej fotografie. Na nogach miał foliowe torebki, tak jak podkomisarz Kula, który palił pierwszego papierosa od dziesięciu lat, a popiół strzepywał do pojemnika po jogurcie.

– Makabra. Pierwszy raz widzę coś takiego. Zważywszy, że ofiara to osoba publiczna, będziemy tu mieli na karku wszystkich – zaczął rzeczowo Czerwieński. Kiedy skończył robić zdjęcia, wyciągnął kamerę i skręcił film z miejsca zdarzenia. Kula był dumny ze swojego wychowania. Inteligentny, konkretny i zaangażowany ideowo w pracę funkcjonariusza. Chciałby mieć więcej takich ludzi na posterunku. Sprzęt, który Czerwieński wykorzystywał, należał do niego i tylko w części posterunkowy dostawał za jego zużycie ryczałt. Dzięki jego kamerze ostatnio złapali włamywacza.

– Taka ładna była ta kobieta... Młoda, w wieku mojej córki. Co oni z niej zrobili... – kręcił głowę Kula. – Kto mógł chcieć ją zabić?

– To jakiś psychopata – oznajmił Czerwieński. – Na Discovery widziałem podobne morderstwo.

– Tylko skąd psychopata nad Bugiem... Romek, bzdury pleciesz.

– Mówię, szefie, co pokazywali w telewizji. Maniak. Zabijał kobiety i się nad nimi pastwił po śmierci. Kroił je nawet. Robił sobie z nich kamizelki.

– A fuj, Romek! Ty oglądasz takie potworności? – zdziwił się szef posterunku i wydał polecenie, by nie ruszać niczego do czasu przyjazdu prokuratora. – I tak odbiorą nam sprawę – stwierdził smutno.

– To ja jadę zadzwonić do tych z góry. Szkoda czasu. Psychopata... – machnął ręką i odwrócił się na pięcie. Wtedy zauważył brązową smugę prowadzącą do schowka na narzędzia.

– Ee, Czerwieński, zróbcie zdjęcie tych śladów. I nie ruszać odłożonej słuchawki. Niech sprawdzą, kto ją odłożył. Czy nasza mademoiselle, czy może ktoś inny.

Sam podszedł wzdłuż smugi i otworzył drzwi schowka. Znow zrobiło mu się niedobrze. W ciemnym pomieszczeniu, zwinięty w kłębek, leżał owczarek niemiecki. Gdyby nie rana pod szyją, Kula pomyślałby, że pies po prostu smacznie śpi pomiędzy miotłami, szpadlami i kupą gratów na półkach. Ale nie spał. Leżał martwy w kałuży krwi, która wypłynęła z jego rozharatanego gardła.

– Czerwieński, uwiecznijcie też to biedne zwierzę – krzyknął do posterunkowego i chwycił foliową torebkę, by zwrócić obfite śniadanie. To już za dużo, nawet jak dla niego: zmasakrowana aktorka i jej pies z poderżniętym gardłem. Kula pluł z obrzydzeniem do torebki. Chciał jak najszybciej wyjść.

– Tylko nie przesuwaj ani nie dotykaj niczego do czasu mojego powrotu! Idę przedzwonić do wojewódzkiej – powtórzył i z ulgą zatrzaskał drzwi schowka.

Kiedy wychodził z posiadłości, zauważył na śniegu ślad terenowej opony. Odwrócił się i zerknął na koła auta Frank. Była to uwalana błotem czarna Alfa. Porównał bieżnik – był całkiem inny. Zamierzał wołać Czerwieńskiego, żeby sfotografował ślad, ale pomyślał, że zrobi to później. Jak najszybciej trzeba zawiadomić prokuratora i komendanta w Białymstoku. Niech szukają tego psychopaty, bo ludzie wpadną w panikę. Odchodząc rzucił okiem jeszcze raz na ślad opony: już mało wyraźny, ktoś pozostawił go kilka godzin temu. W okolicy nikt nie jeździł takim ekskluzywnym samochodem. Może to jakiś ogromny terenowiec albo rządowa lancia – opancerzona i wykonana

na specjalne zamówienie. Dawno temu czytał, jak produkuje się takie cacka. Wyjął notes i narysował bieżnik, zmierzył go – tak na wszelki wypadek.

Wrócił po godzinie w towarzystwie całej ekipy z komendy wojewódzkiej w Białymstoku, lekarza sądowego i prokuratora. Posesję otoczono czerwono-białą taśmą i postawiono patrole. Zaczął padać śnieg. Pod oszronionym żywopłotem zaparkowały radiowozy. W mieszkaniu zaroilo się od techników, gwar był jak na dworcu PKP w Siemiatyczach, kiedy raz dziennie odjeżdża wieczorny „warszawiak”. Podkomisarz Kula z dumą tłumaczył, co jego ludzie zrobili przed ich przyjazdem. Łysy facet w szarym płaszczu słuchał go od niechcenia. Milczał i z zapamiętaniem żuł wykałaczkę.

– Zebraliście stąd odciski? – spytał spojrzawszy na telefon. Technik z wojewódzkiej kiwnął głową. Oficer odłożył słuchawkę na widelki.

Kilka godzin później ciało Niny Frank zapakowano w plastikowy worek i wywieziono do Zakładu Medycyny Sądowej w Białymstoku. – No to się doigrała nasza gwiazda narodowa – uśmiechnął się krzywo Łysy. Wszedł do pokoju z książkami i zawołał technika. – Tutaj też są te ślady. Chyba mamy jego DNA! – wskazał na białe plamki na sofie.

– To może być listonosz, który znalazł ciało – nieśmiało wtrącił Kula. Oficer zignorował jego słowa. – Już my to sprawdzimy. To, że znalazł zwłoki, wcale nie znaczy, że... O! I to też sprawdzimy – podniósł ręcznik z zaschniętymi śladami spermy.

Telefon usłyszeli dopiero po trzecim dzwonku. Łysy i prokurator spojrzeli po sobie. – Ja odbiorę – Łysy poprawił gumową rękawiczkę i podniósł słuchawkę telefonu. – Halo – powiedział. Cisza. Wyraźnie słyszał, że ktoś oddycha po drugiej stronie aparatu. – Słucham – powtórzył i położył palec na ustach. Wszyscy ucichli.

– Mówilem, żeby pan został na posterunku i miał listonosza na oku. Co pan tutaj robi? – ryknął podkomisarz Kula do Trembowieckiego w drugim pomieszczeniu.

Łysy wściekle wzniosł oczy do sufitu. Usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Ale nie zbeształ Kuli, tylko spytał: – Co to jest?

Wszyscy podnieśli głowy do góry. Nad nimi, na cieniutkiej, niczym nitka, linie zwisał jakiś nienaturalnie wielki owad. W miejscu jego głowy odbijało się światło żarówki.

– Drabina – zażądał Łysy.

Kula wskazał wzrokiem na Czerwieńskiego, ten wybiegł z posesji i po kilkunastu minutach przytargał starą, drewnianą drabinę. Łysy, nie zważając na jej chybliwą konstrukcję, osobiście wszedł na najwyższy stopień i dotknął owada. – Tu jest kamera – powiedział dokładnie oglądając urządzenie.

– Przeszukać lokal. Sprawdzić, czy w innych pomieszczeniach też są insekty. Gdzie jest ten człowiek od komputerów?

– Jedzie już, zasypało drogę – potulnie odrzekł Kula.

– Chyba spędzimy tutaj całą noc. Co mówi listonosz?

– Już jadę po jego wyjaśnienia – trzasnął obcasami policjant.

„Wszłem do pokoju i zobaczyłem te pania, jak lerzała na łurzku. Obok niej wałały się butelki i lekarstwa. Pszestraszyłem się okropnie, bo nigdy wcześniej nie widziałem zwulok. A tak pokancerowanych i pobitych to jurz wogule. Chyba tylko dziadka, ale on umarł jakoś tak bardziej normalnie, na starość” – Kula soczystymi przekleństwami przerywał czytanie protokołu spisane go przez Trembowieckiego. Wydatne policzki były czerwone jak buraki ćwikłowe. Wyglądał jak byk rozwścieczony przez torreadora. Posterunkowy niemal widział parę buchającą z jego nozdrzy.

– Kto was uczył ortografii! Jak ja to pokażę zwierzchnikom!

– Jestem dyslektykiem – tłumaczył się Trembowiecki i miał ochotę ze wstydu schować się pod stół.

– „To morze być tylko zabujstfo, przemyśliwałem. Uciekałem stamtąd bo zrozumiałem, że morderca morze tu teraz być i mnie terz czeka taki smutny loz” – kto tak mówi!!! Zabójstwo przez „u” zwykle i „ef”?

– Przepraszam...

– Pierwszy raz mamy do czynienia z poważnym przestępstwem, a pan nawet świadka nie umiesz przesłuchać. Nie wiem, jaką opinię panu wystawię. „Pzesłuhanie” pisze się przez „rz” i „ch”!

Eugeniusz Kula był tak zajęty besztaniem swojego oficera dyżurnego, że nie zauważył, jak do komendy wmaszerował Łysy.

– Panie podkomisarzu, mamy rozkazy. Zabójstwo pani Frank to sprawa priorytetowa. Już media się interesują. Ktoś zawiadomił prasę. Do was należy ustalić, kto się do tego przyczynił. I nie ujawniać żadnych, ale to

żadnych informacji! – podkreślił. – Przejmujemy sprawę! Dostarczycie nam notatki z miejsca zdarzenia, protokoły zeznań ewentualnych świadków. Liczę, że do rana wszystko będzie gotowe. Wyjeżdżam o jedenastej piętnaście – wyrecytował i nie czekając na odpowiedź, wyszedł. Eugeniusz Kula swoją złość natychmiast wyładował na podwładnym.

– Trembowiecki! Przepisać to w ciągu godziny. Nic z tego nie rozumiem. Czego ten listonosz w końcu dotykał? Pilota, pił ze szklanki, potem wrzucił ją do pokoju, gdzie leżało ciało? Telefonu? Zabrał koszulkę aktorki. Dlaczego? Gdzie ten dowód jest teraz? I dlaczego nie zawiadomił nas od razu, tylko czekał tyle czasu. Liczył, że ktoś inny odkryje ciało? Na wszelki wypadek zatrzymać go do wyjaśnienia na 48 godzin – rzucił wydruk Trembowieckiemu w twarz. – Nie dzwonić bez powodu.

– Tak jest.

Kiedy posterunkowy wyszedł, Kula ukrył twarz w dłoniach. Pierwsza w życiu poważna sprawa. O takiej marzył! Zdarza się na jego terenie, a traktują go jak kmiotka. Upokarzają przy najgłupszym pracowniku. „Przejmujemy sprawę” – przedrzeźniał Łysego.

– Ale tak wam się tylko wydaje, że się mnie pozbędziecie. Jeszcze będziecie prosić, żeby wam pomóc. Tylko ja znam tak dobrze okolicznych obywateli, oni powiedzą mi więcej niż wam, miastowe, wydelikaczone bubki!

Odpalił komputer. – I tak poprowadzę to śledztwo. Na własną rękę. Bez waszej wiedzy. Co możecie mi zrobić? Wysłać na emeryturę? Ha, ha, ha! Mógłbym być na niej już od pięciu lat – śmiał się gorzko i na samą myśl o zostaniu detektywem, jak z czytanego ostatnio kryminału, uśmiechnął się pod wąsem. Otworzył plik tekstowy i zaczął spisywać posiadane dane.

Ofiara: Nina Frank, zwana Niką. Lat 29.

Zawód: aktorka, wcześniej modelka.

Stan cywilny: mężatka.

Zamieszkała: Warszawa – apartament, Mielnik n. Bugiem – stary dworek.

Pochodzenie: nieznane.

Przyczyna śmierci: zabójstwo, najprawdopodobniej uduszenie, morderca pastwił się nad ofiarą przed i po śmierci, do pochwy włożył butelkę po soku, poranił całe ciało.

Rodzina: mąż Mariusz Król (prezenter telewizyjny), dzieci – brak, pochodzenie – nieznane.

Zwyczaje: oprócz bardzo towarzyskiego, zakrapianego alkoholem i burdami życia – nieznane.

Stan majątkowy: zamożna, brak dokładnych danych.

Karana sądownie: brak danych.

Miejsce odkrycia zwłok: dom w Mielniku, własna sypialnia. Denatka leżała na łóżku, zmasakrowaną twarz miała przykrytą zakrwawionym szlafrokiem, brzuch przykryto prześcieradłem, w mieszkaniu bałagan, porzucane fiołki po lekach i butelki po alkoholu. Odłożona słuchawka telefonu. Zabity pies w schowku na narzędzia. Nadpalone zdjęcia i kartka od agenta z Los Angeles. Treść nieznana. Ciało było przemieszczane z garażu do sypialni. Po zbrodni sprawca umył podłogę, podarte ubrania wrzucił do kubła na śmieci. Umył naczynia, pozbił część śmieci, ale nie wszystkie.

Narzędzie zbrodni: nie znaleziono – może linka, sznurek, pończocha? Nie znaleziono też tępego narzędzia, którym ogłuszył ofiarę. Ani ostrego narzędzia, którym poranił skórę ofiary.

Do zastanowienia: dziwna kamera przypominająca owada, głuchy telefon, brak śladów rabunku albo włamania.

Wnioski: ofiara musiała znać mordercę i wpuścić go do mieszkania. Nikt go nie widział, nikt nie słyszał krzyków, ale posesja jest oddalona od wsi.

Patrzył na zapisane informacje i po chwili dopisał do ostatniego punktu: ślad terenowej opony (załącznik – rysunek bieżnika).

– Zbyt wiele tych niewiadomych – powiedział do siebie. Kliknął na ikonę Internetu i wrzucił w wyszukiwarce „Nina Frank”. 55342 wyświetleń. Zaczął czytać: „Życie nie na sprzedaż”, „Kochaj mnie”, „Na Wroniej”.

– Cholera, nie oglądam tych babskich seriali – pomyślał.

Po godzinie surfowania po Internecie sięgnął do szuflady. Wyjął do połowy przeczytany kryminał i uśmiechnął się: – Potrzebuję kogoś, kto zna te cholerne filmy, jest w miarę kumaty, dyskretny i ma dostęp do prasy. Pani Lidia!

Wstał, poprawił mundur i spojrzał na zegarek. Było po dwudziestej drugiej. Opadł z powrotem na krzesło.

– Ej, jak ten czas leci. Biblioteka już zamknięta. W takim razie od jutra zaczniemy badać życie naszej ofiary – postanowił.

Wcisnął czerwony guzik, który zaświecił się w centralce:

– Czego?

– Panie podkomisarzu, jakiś dziennikarz.

– O tej porze? – zdziwił się. – Łączcie.

– Nie udzielamy żadnych informacji. Tak, mogę potwierdzić, że odnaleziono zwłoki kobiety. Tożsamość jeszcze nie jest potwierdzona. Tak, w domu Niny Frank. Przyczyna śmierci? W tej sprawie proszę kontaktować się z rzecznikiem Komendy Wojewódzkiej w Białymstoku. Oni przejęli śledztwo. Dziękuję. Oczywiście: podkomisarz Eugeniusz Kula, kierownik posterunku w Mielniku nad Bugiem. Kula przez K jak Kazimierz. A będzie pan cytował moje wypowiedzi? W jakiej prasie? Hmm. Jasne, do widzenia – rozłączył się.

Jeszcze trochę posiedział za biurkiem i rozmyślał nad własnym szczęściem. Potem niemal zbiegł po schodach. Nie czuł ciężaru teczki, którą niósł w rękę. Odgłos podkutych butów, które rytmicznie wyznaczały tempo jego kroku, przypominał mu odgłos werbla, zagrzewającego żołnierzy do walki.

Rozdział 10

Jakub i Matka

„Poznaj swoich konkurentów lepiej, niż oni znają ciebie”

Odgłos kłapek, które rytmicznie wyznaczały tempo mojego kroku, przypominał mi odgłos werbla, zagrzewającego żołnierzy do walki. Jeszcze przed chwilą siedziałam w wakacyjnie zapelnionym po brzegi przedziale i rozmyślałam nad własnym szczęściem. Niemal biegłam z dworca do domu. Nie czułam ciężaru plecaka, kilkoma susami pokonałam schody i znalazłam się na pierwszym piętrze naszego bloku. Tu byłam bezpieczna. Bratki mamy kwitły przesłicznie na rabatkach, na ścianach klatki przysychała świeża farba i jej zapach przyjemnie drażnił mój nos. Odnowiona klatka kojarzyła mi się z moim nowym życiem, w które wkroczyłam z triumfalnym uśmiechem. Włożyłam klucz do zamka i przekreśliłam go niemal bezgłośnie, chciałam jak najszybciej znaleźć się w środku, w moim własnym pokoju. Otworzyłam drzwi i w półobrocie próbowałam tyłem wciągnąć za próg plecak, który nagle zaczął ważyć swoje. Kiedy się odwróciłam w kierunku mieszkania, nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiech, który miałam na ustach, znikł, a mężczyzna przede mną – przepasany jedynie białym ręcznikiem – zamarł w pozie greckiego boga na postumencie. Zaciśnął prawą rękę na klamce do łazienki, otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Wtedy z naszego salonu wyszła moja rozczochrana mama.

– Aga, co tu robisz? Dziś szesnasty? – spytała, wybałuszając oczy ze zdziwienia.

Ogarnęłam ich wzrokiem i poczułam, jakby ktoś zniecacka uderzył mnie w klatkę piersiową. Język ugrzązł mi w gardle, zabrakło tchu. Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa. Oni przed chwilą ze sobą spali! Moja matka uprawia seks! Kim jest ten facet?

– Nie, jedenasty. Wróciłam wcześniej – odpowiedziałam, gdy odzyskałam głos, i żeby nie wybuchnąć przy nich płaczem, po prostu wślizgnęłam się do swojego pokoju. „Ładnie się zabawiasz, kiedy mnie nie ma” – pomyślałam gorzko. Kiedy zatrzęsnęłam drzwiami, usłyszałam, jak matka mówi cicho:

– Córeczko... – po czym naciska klamkę, by się do mnie dostać.

Całym ciałem oparłam się o drzwi. Za żadne skarby nie chciałam jej oglądać w takim stanie. Pierwszy raz zobaczyłam w niej szczęśliwą kobietę. Owinięta kołdrą, z policzkami zaróżowionymi i błyszczącymi oczami, wyglądała na młodszą o co najmniej dziesięć lat. Boże, jak dobrze, że nie weszłam tu, gdy jęczała z rozkoszy... Usiadłam na tapczanie i rozplakałam się. Poczulałam się tak potwornie samotna.

– To może ja już pojedę – styszałam, jak gość w ręczniku mówi szeptem.

– Nie, zostań na obiedzie. Tak nie możesz wyjść – dodała matka. – Porozmawiajcie – poprosiła.

Leżałam na łóżku i nie mogłam się ruszyć. Przed oczami miałam mojego niedoszłego kochanka Artura i jego żenujące próby rozdziewiczenia mnie. Kiedy nie mogłam już płakać, tkwiłam tak bez sił skulona w pozycji embrionalnej, usłyszałam stłumiony śmiech tego mężczyzny. Wyobraziłam sobie, że przygotowują razem jedzenie i on – jak na filmie – obejmuje moją mamę w pół, szepcząc jej do ucha jakiejś sprostności. Poczulałam zazdrość. Odkrycie nowego uczucia tak mną wstrząsnęło, że aż wstałam. Ściągnęłam spodenki i przybrudzoną bluzkę. Stałam przed lustrem. Opalenizna kontrastowała ze sptowiałymi od słońca włosami, a moim szarozielonym oczom nadała intensywności. Dotknęłam płaskiego brzucha, poniżej którego wyraźnie odcinał się biały trójkąt od stroju kąpielowego – słońce nie miało tam dostępu. Obejrzałam dokładnie długie nogi i przystońskałam rękami piersi.

– Jestem kobietą – powiedziałam do siebie. – Wcale nie gorszą od własnej matki.

Zdjęłam z wieszaka białą, lnianą sukienkę sznurowaną na szyi i niemal całkowicie odkrywającą plecy. Założyłam ją i boso wyszłam z pokoju. Stół był nakryty, a moja mama i jej przyjaciel siedzieli przy nim, popijając wodę mineralną. Czekali na mnie.

Szłam wolno, ostrożnie stawiając każdy krok. Usiadłam z pochyloną głową, by po chwili wyzywająco spojrzeć w oczy temu mężczyźnie.

– Więc kim pan jest? – spytałam wydymając usta. By to zrobić, zdobyłam się na całą odwagę, na jaką mnie było stać w tym momencie. Wyobrażałam sobie, że matki nie ma w pomieszczeniu.

Speszył się. Odwrócił głowę, jakby u niej szukał ratunku, ale mama była tak szczęśliwa, że to ja wychodzę z inicjatywą i przelamujemy lody, że zupełnie nie zwracała uwagi na moje kokietowanie. Wiedziałam, że w tym momencie wytaczam cały mój oręż erotyzmu w jednym celu.

– Mam na imię Jakub – powiedział aksamitnym głosem i uśmiechnął się.
– Trochę się z twoją mamą kolegujemy...

Tylko ja i on wiedzieliśmy, że przed chwilą świat zawirował, zatoczył piruet, aż poszły iskry. Kiedy szczebiotałam, opowiadając, jak było na obozie, Jakub kątem oka obserwował moje opalone ramiona. Więcej już nie spojrzałam na niego ani razu. Wiedziałam, że po wyjściu stąd nie będzie mógł przestać o mnie myśleć.

Matka była rozpromieniona. Okazało się, że Jakub był jej kolegą ze studiów. Bliskim, prawie narzeczonym, który nagle wyjechał za granicę... Pracuje w sztabie jakiegoś polityka – pisze mu przemówienia i przyjechał razem z nim na spotkanie wyborcze, które odbywało się w szkole, gdzie uczyła matka. Nie poznał jej w pierwszym momencie, ale ona go tak. Poszli na herbatę, rozmawiali do późnej nocy. Ot, romantyczne spotkanie po latach. Przypomniałam sobie! Matka wróciła wtedy późno, lekko na rauszu i śpiewała pod prysznicem. Dziś od tej rozmowy minął zaledwie miesiąc. A oni wyglądali jak przyłapani na gorącym uczynku nastolatki.

Kiedy kończyliśmy deser, Jakub spytał:

– A jakie ty masz plany na przyszłość? Kim chciałabyś zostać?

Podniosłam głowę i odpowiedziałam z dumą:

– Będę aktorką!

– Aga – fuknęła matka.

– No co? Nie wierzysz, że twoja córka będzie gwiazdą? – zaśmiałam się sztucznie.

Matka otarła usta serwetką i zaczęła mnie chaotycznie tłumaczyć. Mówiła, że chodzę do kółka teatralnego i rzeczywiście mam talent recytatorski. Ale jestem też wzorową uczennicą i gram na fortepianie.

– To świetnie – Jakub spojrzał na zegarek. Upił mały tyk kompotu. – Było bardzo miło, ale muszę lecieć. Przepraszam za ten szok – powiedział do mnie.

– Do widzenia – odpowiedziałam i powoli wstałam. W tym momencie zerwał się i podał mi lekko spoconą dłoń. Wiedziałam, że omiecie spojrzeniem moją sylwetkę. A kiedy będę się wyginać, sukienka napnie się dokładnie na wysokości jego wzroku i wtedy zobaczy zarys moich piersi. Tak się stało, poznałam po tym,

że jabłko Adama na szyi kochanka mojej mamy gwałtownie powędrowało w górę i w dół. To było wyjątkowo łatwe. Dokładnie tak, jak zauroczyć ratownika czy wychowawcę na koloniach... Ot, tak sobie, dla zabawy.

Chciałam się roześmiać, bo był jak marionetka – poruszałam za sznurki, a on tańczył.

– To pożegnajcie się – kręcąc biodrami wyszłam z pokoju. Byłam pewna, że żaden mężczyzna nie pozostanie obojętny na takie wrażenia estetyczne.

Matka odprowadziła go do drzwi. Ja, już w swoim pokoju, przyłożyłam ucho do ściany (choć w tym bloku z płyty i tak wszystko było świetnie słychać).

– Kiedy się znów zobaczymy? – spytała z błaganiem w głosie.

– Niedługo. Zadzwońię – rozległo się cmoknięcie w policzek. – A może, skoro twoja córka wróciła z obozu, wybralibyśmy się razem nad to morze? Pogadajcie, jest jeszcze trochę czasu... Myślisz, że mnie polubi? – spytał, wydawało mi się, że z nadzieją.

Uśmiechnęłam się. Pewnie matka kiwnęła głową, a może tylko wzruszyła ramionami. Tego już nie mogłam zobaczyć. Usłyszałam:

– Zostawić ci trochę pieniędzy?

– Nie, nie trzeba – odpowiedziała matka, choć przecież zawsze nam brakowało. Gdy usłyszałam szelest wyciąganych banknotów, moją twarz wykrzywił pogardliwy grymas.

– Ile ci zapłacił? – wychyliłam się ze swojego pokoju, kiedy już przesuwiała zasuwkę.

– Aga, jak możesz! – oburzyła się matka.

– Po prostu pytam.

– ...

– Nawet przystojny. W jakim jest wieku?

– Rok starszy ode mnie. Czterdzieści trzy lata – mówiła niepewnie, spuszczać wzrok tak, jak wcześniej ja, gdy zagadywała o moje sympatie. Zwykle nie podobały jej się moje wybory. Postanowiłam zapożyczyć jej minę.

– Żonaty? – drążyłam.

Zawstydzila się.

– Tak, ale właśnie się rozwodzi – pośpieszyła z wyjaśnieniem.

Wyczułam, że bardzo jej na nim zależy.

– Ładnie razem wyglądacie – chciałam zrobić jej przyjemność, więc dodałam:

– Cieszę się, że masz kogoś.

Przytuliłam się do niej, ale złość wcale mi nie przeszła. Wiedziałam, że muszę to zrobić, by uspić jej czujność. Udało się. Głaskała mnie po głowie i szeptała: – Dziękuję, córeczko. Przepraszam, że nie powiedziałam wcześniej. Ale to ktoś naprawdę dla mnie ważny.

– Wiem, mamo. Wiem – wyplątałam się z jej objęć. – Pójdę się wykapać. Jestem trochę zmęczona.

Czułam na sobie jej spojrzenie. Obserwowała mnie, więc nie kręciłam już biodrami. Zgarbiłam plecy i niezdarnie, klapiąc bosymi stopami po podłodze, ruszyłam do łazienki. Starłam się, by nadal widziała we mnie dziecko. – Mam nadzieję, że się polubicie – rzuciła, gdy zamknęłam drzwi.

– Może – odpowiedziałam jej, wpatrując się we własne odbicie w łazienkowym lusterku. Patrzyła na mnie pewna siebie kobieta, już nie dziecko. – Zobaczymy – dodałam, nie odwracając wzroku od swojej opalonej twarzy, którą rozjaśniał triumfujący uśmiech.

Rozdział 11

Listonosz czy mąż

„Zarówno pech, jak i szczęśliwa passa rzadko trwają długo”

Opalona twarz, wypoczęte oczy, triumfujący uśmiech na twarzy. Koszula i krawat wyprasowane, choć tę noc spędził w hotelu, bo żona nie wpuściła go do domu. Komisarz Hubert Meyer udał się do szefa.

– Wejść – usłyszał.

– Gratulacje! Kawał dobrej roboty – pochwalił go tubalny głos z za dębowego biurka.

Meyer nie mógł oprzeć się wrażeniu, że filigranowa postać komendanta ginie w zwojach skórzanego fotela, a zwisające nad nim monstrualnie wielkie godło czyni ten widok jeszcze bardziej groteskowym.

– Najpierw udzieli pan kilku wywiadów, na które już umówił pana rzecznik, a potem do roboty – uśmiechnął się chytrze liliput w mundurze i Meyer wyczuł podskórnie, że komendant coś kombinuje.

– Co to za sprawa?

– Proszę siadać – komendant wskazał krzesło na samym końcu stołu.

– Wiadomo, jak to człowiek wraca z za granicy. Rozbity, zdystansowany. Musi trochę ochłonąć z egzotycznych wrażeń. Na początek coś łatwego, ale medialnie bardzo interesujące, bardzo – szef mówił i mówił.

– Chyba nie przeniesie mnie pan? – zaniepokoił się Hubert Meyer.

– Taką gwiazdę? Nie, na razie nie. Choć nie ukrywam... Chciałbym, żeby pan trochę popracował w terenie – zawiesił głos.

– W terenie? Przecież cały czas pracuję w terenie...

– Nie będę owijał w bawełnę! Porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną – na te słowa Meyer spał się w sobie.

– Niepokoi nas pańska sytuacja domowa – rozpoczął komendant. – Jest pan psychologiem. Wie, że społeczeństwo potrzebuje zdrowych i wypoczętych funkcjonariuszy. Jeśli sytuacja rodzinna się komplikuje, odbija się to na pracy. A tego przecież nie chcemy. Proponuję substytut urlopu.

– Urlopu?

– Słyszał pan o śmierci tej aktorki, Niny Frank? Okoliczności niby wskazują...

– Co ja miałbym tam robić? Sprawca w areszcie. Jest zbrodnia, będzie kara. Proces przyciągnie wszystkie telewizje. Po co profil nieznanego sprawcy, jak mają podejrzanego? – zjeżył się psycholog i wskazał na okładkę „Faktu”: „Wampir w przebraniu listonosza puka tylko raz”.

– Właśnie. Nie jest to takie pewne – liliput mówiący basem zawiesił głos.

Meyer cierpliwie czekał na dalszy ciąg wywodu. Wiedział, że szef uwielbia przemawiać i gdy tylko może, stosuje wyszukane figury retoryczne. Na szczęście wywód był krótki. Typ szybkiego, mocnego przemówienia, jak kiedyś objaśniał swoje hobby psychologowi.

– Musieli go zwolnić z aresztu. Dobrze, powiem otwarcie: analiza porównawcza nie potwierdziła zebranego na miejscu zdarzenia kodu DNA.

Profiler podniósł głowę. – Panie komendancie, to nawet nie nasz rejon – próbował przekonywać. – Tutaj mam tyle do zrobienia... Zwłaszcza po powrocie, z większą wiedzą. Prawdziwi maniacy, naprawdę niebezpieczni, są na wolności! A pan mnie wysłał do badania przypadkowej śmierci jakiejś serialowej aktorki.

– Komisarzu, ja tu wydaję rozkazy – komendant uciszył Meyera gestem dłoni. Palce były krótkie, lecz silne. Komendant słynął z zamiłowania do taekwondo. Miał nawet czarny pas i lubił się chwalić swoimi sprężystymi ruchami, powalającymi niejednego Herkulesa. – Pojedzie pan, odpocznie. Wieś, przyroda, spokój. Przemyśli w tym czasie rozwód. I przeanalizuje, czy rzeczywiście ten listonosz, który odkrył zwłoki, a wiemy przecież obaj, że sprawca zawsze wraca na miejsce zbrodni i często to właśnie osoba,

która je znajduje i zgłasza o tym policji, jest mordercą. Zbada pan to z psychologicznego punktu widzenia, jak tylko najlepiej potrafi. A jeśli to listonosz, pomoże śledczym w jego przyznaniu się do winy. Wie pan, media węższą. Musimy mieć pewność, niepodważalny dowód. Co ja tu będę dłużej gadać. Musimy mieć sprawcę!

– Rozumiem, pan chce się... – zaczął Meyer, ale szef zmarszczył brew, więc dokończył tylko w myślach: „moim kosztem wykazać przed zwierzchnikami!”.

– To rozkaz? – spytał.

– Tak.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Niech pan nie stawia tak sprawy, komisarzu. Jeśli się pan wykaze, czeka awans, podwyżka, może nawet etat profiler... Może... Nie będę ukrywał, że to, by pan zajął się sprawą już nie zależy ode mnie, ale – komendant wniósł wzrok do sufitu. – Taką dostałem sugestię z góry – rozłożył ręce.

– Rozumiem – westchnął psycholog i znów zamarzył o emeryturze. O własnej firmie, gdzie nikt nie będzie wobec niego stosował metod kija i marchewki. Zwłaszcza że tutaj i tak zawsze więcej jest kija.

– Ile mam tam siedzieć?

– Daję panu dwa tygodnie.

Meyer jęknął znacząco, ale komendant udał, że tego nie słyszy.

– Co ciekawe, jest na to budżet. Ma pan do dyspozycji sprzęt, jakiego pan zażąda, i samochód służbowy – wyciągnął z szuflady szarą teczkę.

– Tutaj jest streszczenie tego, co ustalili detektywi. Akta podręczne są w Białymstoku. Już wiedzą, że pan przyjedzie. Mają obowiązek współpracować. Sprawa była prowadzona bardzo rzetelnie. Zebrano wiele dowodów. Ślady biologiczne, świadkowie. Wszystko szło pięknie, a listonosz nawet przyznał się do zabójstwa. Ale po dwóch dniach odwołał zeznania. No i niestety ta nieszczęsna ekspertyza go wykluczyła. Sam pan rozumie, mamy kłops. Sąd może go uniewinnić. A nie możemy sobie pozwolić na drugą sprawę Jaroszewiczów. Jeśli pan znajdzie inne dowody, choćby nowe poszlaki na listonosza albo na kogokolwiek innego, kto poniesie karę za tę zbrodnię, zamkniemy sprawę po dwóch tygodniach. I wróci pan do zaplanowanych czynności. Niech pan potraktuje to jako urlop.

Ekсклюzywny urlop – komendant zamknął notes. – Po powrocie złoży pan na moje biurko raport.

Komendant uznał rozmowę za zakończoną. Hubert Meyer wstał i skierował się do wyjścia.

– Aha, panie komisarzu. Dostał pan premię. Dwieście złotych!

– Dziękuję, panie komendancie – zdołał wydusić z siebie psycholog.

Policjant wszedł do gabinetu i zaczął zbierać notatki, składać laptop, pakować projektor do torby. Zadzwoił do sekretariatu.

– Idziemy na kawę? – spytał.

Mariola była jakaś dziwna, wystraszona. – Nie wiem, może za godzinę?

– Dobra, ja się tu pozbieram i już nie będę wracał. Wiesz, że jadę do tej wsi. Jak się nazywa? – zajrzał do notesu. – Mielnik nad Bugiem. I jeszcze mam pogadać z dziennikarzami.

– Oddzwonię później – Mariola odłożyła słuchawkę.

Meyer wrzusił ramionami. – O co tym babom chodzi? Robi fochy, dąsa się...

Zadzwoił do rzecznika. – Słuchaj, potrzebuję informacji o tej aktorce. I jej mężu, rzecz jasna. Załatwisz? Na już. Jutro wyjeżdżam. Nie, najlepiej wydruki. Ksero może być. I dane policyjne o niej. O nim już są, aha. Był przesłuchiwany. Dzięki.

Spojrzał na zdjęcia Anki i dzieci, które trzymał na biurku. Przewrócił fotografię do dołu i przykrył książką. Pozwany, powódka, alimenty – do czego to doszło?

– Hubert, ja nie mogę wyjść – zadzwoniła Mariola.

– To może wieczorem? Pójdziemy na drinka. Mówilem, że mam dla ciebie prezent – uśmiechnął się.

– Nie wiem, chyba dziś nie dam rady.

– Wow! Znam go? – zaciekawił się.

– Wiesz, nie bardzo mogę się z tobą spotykać... Zostałam wezwana na świadka w twojej sprawie.

– O czym ty mówisz? W jakiej sprawie?

– Rozwodowej. Twoja żona mnie powołała.

– A co ty masz do tego?

– No wiesz... – Mariola zamilkła, po czym wydusiła z siebie: – Kiedy cię nie było, spotkałyśmy się. Szkoda mi jej.

Meyer zaciągnął się papierosem. Czekał.

– Będę zeznawać przeciwko tobie – dokończyła Mariola i na chwilę zapadło drętwe milczenie.

Kiedy popiół z papierosa spadł na klawiaturę komputera, profiler bez słowa odłożył słuchawkę.

Łysy żuł wykalaczkę i patrzył spod oka na Huberta Meyera. Nie rozumiał, po co z Głównej przysyłają tutaj jakiegoś psychologa. Przecież sami sobie świetnie radzą. Mają dwóch podejrzanych. Listonosz przyznał się do winy, zabezpieczono jego spermę, odciski palców. Teraz trzeba nad nim jedynie popracować operacyjnie i kiedy znajdą na niego haka, znów go przycisną. Tym razem im się nie wywinie. A ta ekspertyza... No fakt, wykluczyła go. Ale on sam od początku obstawiał męża aktorki. Już po pierwszym przesłuchaniu wiedział, że pomiędzy nimi jest stosunek pewności 60 do 40 procent. Mąż miał motyw, ofiara miała jego naskórek pod paznokciami, znaleziono też jego spermę. Nie ma wątpliwości, to on zgwałcił ofiarę przed śmiercią. Nie ma alibi na czas zgonu Niny Frank. Teraz potrzebne jest tylko jego przyznanie się do winy. A z tym jego chłopcy już sobie poradzą.

No tak, ale aż z Komendy Głównej pofatygowali się, żeby go poinformować, że jedzie do nich psycholog policyjny. Co miał robić? Musi współpracować. Tylko, dlaczego ten gość zadaje takie dziwne pytania?

– Dlaczego w łazience była woda?

– Czy zidentyfikowano odciski na kurkach od wanny?

– Na jakiej wysokości znaleziono rozbryzgi krwi w garażu? Czy uderzał tępy, czy ostrym narzędziem? Czy ciągnął, czy niósł zwłoki do sypialni?

– Czy ustalono, jakie buty miał sprawca? W sypialni odbił się ślad podeszwy. Czy jest jej odlew?

– Czy listonosz pali? Czy mąż ofiary pali?

„Jakie, to, kurwa, ma znacznie! To tylko szczegóły” – myślał Łysy. Sprawca sam nam to wszystko wyjaśni. Dowody mówią za siebie. Nie trzeba nam tu magików. Prosta sprawa. Mąż albo listonosz. Jak rzadko.

– Najprawdopodobniej to buty z miękką gładką podeszwą typu cichobiegi, kupione na bazarze – odpowiedział stukając palcami w blat biurka z płyty wiórowej.

Meyer zarejestrował zdenerwowanie policjanta i powoli zdjął tweedową marynarkę. – „Cichobiegi”? W zimie?

Łysy wzruszył ramionami. Milczał.

Profiler spokojnie przeglądał zdjęcia z sekcji w aktach i zaciągał się papierosem. Łysy miał wrażenie, że widzi wędrujący dym z ust do płuc profilera i robiło mu się niedobrze. Rzucił palenie pięć lat temu i z uporem neofity zwalczał palaczy. Nie cierpiał, kiedy ktoś kopcił w jego gabinecie. Nigdy na to nie zezwalał. Ale bał się zabronić psychologowi, którego wprowadził tutaj sam szef. Kiedy Meyer wypuszczał dym, Łysy zauważył, że zadrżała mu ręka. – Alkoholik czy co?

– A kogo pan obstawia, jeśli można spytać? – zwrócił się profilera.

– Męża – sucho odrzekł Łysy. – Byli w konflikcie, Frank nie chciała mu dać rozwodu. Miał motyw. Nowa dziewczyna domagała się ślubu. A gdyby Król zgodził się na rozwód na warunkach Frank, zostałby goły. Jej śmierć jest mu bardzo na rękę. Dziedziczy jej apartament w Warszawie, dworek w Mielniku, który po remoncie wart jest jakieś dwieście tysięcy, polisę ubezpieczeniową i oszczędności. W sumie prawie pół miliona złotych.

– Wyszedł za kaucją?

– Tak. Od razu aresztowaliśmy go na 48 godzin, potem przyjechał jego adwokat z kwitem, że ma dobrą opinię w miejscu zamieszkania. Ręczy za niego ksiądz, prezydent Jabłonnej spod Warszawy, skąd pochodzi gwiazdor i jego rodzice oraz trzystu wielbicieli jego teleturnieju. Oto lista – Łysy przewertował akta. – I jeszcze narzeczona jest w ciąży, a on jest jedynym żywicielem. Ona nie pracuje. Sąd ustanowił zabezpieczenie majątkowe wartości stu tysięcy złotych.

– Mieli wspólne konto?

– Nie. Podobno sprzedał działkę nad Zalewem Zegrzyńskim i samochód. Lexusa, rocznik 2003. Wart mniej więcej tyle. Teraz jeździ służbowym. Ale ma jeszcze jedno auto. Jakiś Chrysler.

– Po co mu tyle samochodów?

– Wie pan, to gwiazda. Może dali mu w ramach promowania marki?

– I nie przyznaje się do zabójstwa...

Łysy niechętnie skinął głową.

– Rozumiem, że staraliście się go do tego przekonać?

Oficer w milczeniu żuł wykałaczkę.

– Jak się zachowywał podczas przesłuchania? – ciągnął komisarz Meyer.

– Najpierw awanturował się. Krzyczał. Odmówił składania wyjaśnień. Potem przyjechał z adwokatem i był już bardzo spokojny. Przybity, można powiedzieć. Dokładnie opracowali wersję. Nie można szpilki włożyć.

– Czyli awantura, pobicie, gwałt. Opuścił Mielnik o północy, wrócił, ale nie wszedł do domu i pojechał do Warszawy. Całkiem pijany, tak?

– Utrzymuje, że to nie był gwałt. Normalny stosunek seksualny. Tak to ujął.

Hubert Meyer poluzował krawat. Łysy podszedł do okna i otworzył je. Do pokoju zaczęły docierać dźwięki z ulicy. Szum samochodów, krzyki, rozmowy.

– Nie ma alibi – powiedział, nie odwracając się od okna. – Według mnie wrócił do mieszkania i znów rozpętał awanturę. Był jeszcze bardziej pijany. W schowku jego auta znaleźliśmy opróżnioną do połowy butelkę whisky. Wpadł w szal. I zabił ją w afekcie. Typowa zbrodnia rodzinna.

Hubert Meyer patrzył na plecy Łysego. Policjant był niedużego wzrostu, chudy, sprężysty. Obcisły, czarny golf oraz żółta twarz, kształtem przypominająca pysk łasicy, nadawały mu wygląd woskowej lalki z muzeum Madame Tussaud. Kiedy się odwrócił, profiler zobaczył w jego rozbieganych oczkach wrogość. – Jest mi niechętny – przemknęło przez głowę profilerowi. Takie spojrzenia widział bardzo często. Ten typ detektywa nie wierzy w psychologię. Woli twarde dowody. I tylko dowody.

– A co pan sądzi? Psycholog ma inne zdanie? – pozwolił sobie na szyderstwo Łysy, a słysząc je Meyer zmarszczył brwi. Wiedział już, że nie zostaną partnerami. Westchnął ciężko.

– Bo dla mnie sprawa jest prosta – ciągnął Łysy. – To tylko kwestia czasu, że Mariusz Król się przyzna.

– A listonosz? Jego przecież też bierzecie pod uwagę... – Meyer odpowiedział pytaniem na pytanie. Postawił na chłodną, racjonalną rozmowę. Nie chciał się kłócić. Chciał jedynie wycisnąć wszystko, co policjant może mu przekazać. Łysy zmusił się, by powstrzymać grymas niezadowolenia.

Nie zamierzał pomagać profilerowi, nie mógł się doczekać, kiedy ta wizyta dobiegnie końca. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W pokoju zapanowała cisza, aż w końcu oficer zaczął mówić.

– Wszedł do mieszkania pod pretekstem wręczenia korespondencji. Znała go, więc wpuściła do środka. Po awanturze z mężem zamknęła psa w schowku. Nienawidziła tego kundla, zwłaszcza jak szczekał. Podobno kiedyś ją pogryzł. Listonosz wdał się z nią w rozmowę. Chciał ją zgwałcić. Był zaczepny. Odepchnęła go. Uciekła do garażu. Próbowała wydostać się z domu tylnym wyjściem. Dogonił ją i zaczął uderzać na oślep. W końcu udusił. Ciało przeniósł na łóżko. Włożył butelkę w krocze. Potem dokonał masturbacji w bibliotece. Wytarł się ręcznikiem. Czekał do popołudnia, żeby zmylić śledczych i zawiadomił lokalny posterunek, że odnalazł ciało. Wszystko.

– Wszystko? Przecież nawet nie wiecie, czym dokonał zbrodni. Gdzie jest narzędzie, którym dusił? Czym zadawał ciosy... – zachnął się Meyer.

Riposta nie padła z ust Łysego, więc psycholog spytał tylko, czy może pożyczyć akta. Oficer niechętnie skinął głową.

– Numer do dyżurnego pan ma... W razie potrzeby proszę dzwonić. Wszystkie informacje zostaną przekazane do mnie – powiedział na zakończenie oficer i uśmiechnął się ironicznie. Nie zamierzał podawać Meyerowi własnej komórki ani nawet numeru wewnętrznego. Po czym powoli przesunął w kierunku psychologa teczkę ze zgromadzonymi ekspertyzami, notatkami, protokołami przesłuchań. Zrobił to wbrew sobie, bo gdyby to od niego zależało, nie wypuszczałby akt z rąk.

– Zrozumiałem. Oddam pojutrze – Meyer wyszedł. Pod gabinetem Łysego trzech policjanci skierowali w jego stronę zaciekawione spojrzenia. Siedząc z założonymi futerałami kabur na ramionach, palili papierosy, popiół strzepywali do blaszanej popielniczki na długim pręcie. Spiorunował ich wzrokiem, natychmiast przekręcili głowy w przeciwną stronę. Profiler przerzucił sobie płaszcz przez ramię, zszedł po schodach na dół. – Co się tak gapiecie, palanty – rzucił do nich w myślach.

Ciekawe, co mnie czeka na tej wsi. Jak dalej będę miał takie warunki do pracy, ciężko będzie przetrwać ten urlop. Zmrużył oczy, bo słońce oślepiło go po wyjściu z komendy. Podeszedł do auta i zobaczył za szybą mandat. Spojrzał na zegarek, przekroczył zaledwie trzy minuty od godziny

wydrukowanej na bilecie parkingowym. – Nieźle się zaczyna. Stary się ucieszy. Ale jak jest budżet, to niech płaci. Ja tu nie chciałem przyjeżdżać. I nikt tutaj nie cieszy się z mojej wizyty.

Rozdział 12

Profiler jedzie na wieś

„Dziel się swoją wiedzą. To sposób na osiągnięcie nieśmiertelności”

Eugeniusz Kula już od siódmej wypatrywał auta z katowickimi numerami. Dostał polecenie z góry, by udostępnić wszystkie możliwe informacje „profajlerowi”, jak z angielska nazywali psychologa policyjnego, który przyjedzie na jego teren badać sprawę śmierci Niny Frank. Od tygodnia wciąż zjeżdżali się tu jacyś detektywi. Wszyscy byli przemądrzali i lekceważyli kierownika posterunku, co bardzo go denerwowało. Listonosz przez ostatnie dwa tygodnie siedział w areszcie pod zarzutem zabójstwa aktorki. Kiedy Kula dowiedział się, że Jurka Ponczek przyznał się do winy, nie mógł uwierzyć. On mordercą? Owszem, to łajdak, oszust matrymonialny, ale nie gwałciciel i zabójca. „Nie, w to nie wierzę, choć przecież nie dam za to głowy” – rozważał. I kiedy już pogodził się z myślą, że pomylił się co do niego, nagle wypuścili Ponczka z aresztu. Od tej pory nie wychodzi z domu. Jak raz wybrał się do sklepu, ludzie omal nie zakłuli go widłami. Musiał go z powrotem asekurować Czerwieński. Jurka jest teraz w takiej depresji, że tylko „sufituje”, jak to określiła jego matka. Odmawia jedzenia, picia, tylko leży i gapi się w sufit. Nadal jest głównym podejrzanym. Aż tu nagle nowa niespodzianka: przysyłają psychologa. Dziwne.

– Profiler, co to w ogóle jest? – głowił się kierownik posterunku. Przeszukiwał strony internetowe w poszukiwaniu informacji o ekspertach wykonujących profile nieznanymi sprawców. A im więcej czytał, z tym większą niecierpliwością czekał na gościa.

Znalazł informację, że w USA tacy ludzie nazywani są „hunterami” myśliwymi. Polują na seryjnych morderców, gwałcicieli, pedofilów, podpalaczy, porywaczy i maniaków seksualnych. Każdy wydział kryminalny ściśle współpracuje z kilku lub kilkunastoosobową grupą profilerów. *Amerykanie wykorzystują psychologię w policji od 40 lat. Po raz pierwszy terminu „psychologia śledcza” użył David Canter, profesor psychologii Uniwersytetu w Liverpoolu, pod koniec lat 80.*

Ale za najstarszy profil osobowości nieznanego sprawcy uznaje się portret „Kuby Rozpruwacza”, seryjnego zabójcy prostytutek w londyńskiej dzielnicy Whitechapel. Sporządził go w 1888 roku dr Thomas Bond. Profil zawierał opis cech fizycznych poszukiwanego sprawcy, jego zaburzeń seksualnych oraz analizę środowiska społecznego i warunków socjalnych. „Kuby Rozpruwacza” nigdy nie ujęto. Próby profilowania podejmowano podczas II wojny światowej. Amerykański psychiatra William Langer na zlecenie Biura Służb Strategicznych USA wykonał m.in. sylwetkę psychologiczną Adolfa Hitlera. Początki nowoczesnego profilowania to lata 50. i 60. oraz sprawy „Dusiciela z Bostonu” i „Szalonego Bombowca” z Chicago. Uczestniczył w nich nowojorski psychiatra James A. Brussel.

– Dżejms to rozumiem, jak Dżejms Bond, ale to nazwisko? Jak się to czyta, Brujssel? Brusie? Jakby nie mógł się prościej nazywać? Co to w ogóle za sprawy? Oj, w tej Ameryce to oni mają niezłych dewiantów. Nic dziwnego, że ci, co ich łapią, też muszą być bardziej wykształceni. Nie to, co u mnie: drobni przemytnicy i złodzieje kur... – monologował Kula. Był porażony ogromem wiedzy, która nagle zwała mu się na głowę. Ale choć połowy nie rozumiał, uparcie brnął dalej. Klikał na kolejne strony.

Na podstawie akt policyjnych, fotografii miejsc zdarzenia oraz analizy sarkastycznych listów bombiarza wysyłanych do gazet Brussel wysnuł kilka wniosków, które stanowiły przełom w psychologii behawioralnej. Stwierdził, że bombiarz nie nawiądył ojca, miał obsesję na punkcie matki, niedawno został wyrzucony z pracy. Radził detektywom: „Szukajcie potężnie zbudowanego mężczyzny w średnim wieku, urodzonego poza granicami USA, rzymskiego katolika, kawalera, mieszkającego ..bratem lub siostrą. Jeśli go złapiecie, będzie miał na sobie dwurzędową marynarkę ..apinaną na guziki”.

– Coś podobnego? To w ogóle możliwe? Co za gość ten Brujssel – Kula zapalił papierosa i niemal wyssał fusy z kawy, którą dawno już wypił. – Ma-

rynarka na guziki... I miał taką przy zatrzymaniu! Nieprawdopodobne, jakiś magik, może jasnowidz?

Do lat 70. profilowanie było sporadyczne. Dopiero w 1978 roku Wydział Badań nad Zachowaniem Akademii FBI w Quantico wprowadził Program Profilowania Psychologicznego, stworzony przez Johna Douglasa i Roberta Reslera. Ci dwaj agenci FBI przez kilka lat prowadzili wywiady z 50 najbardziej niebezpiecznymi przestępcami osadzonymi w amerykańskich więzieniach oraz z 36, którzy popełnili zbrodnie na tle seksualnym. Na liście badanych znaleźli się Charles Manson, Arthur Bremer (niedoszły zabójca Richarda Nixona), David Berkowitz, zwany Synem Sama, który przez rok terroryzował Nowy Jork, i inni. Douglas studiował ich życiorysy, sposób zabijania i motyw, jakie nimi kierowały. Wszystko po to, by stykając się z kolejną brutalną sprawą dowiedzieć się, dlaczego zabijali. I by móc „powiedzieć”, o czym myślał nieznany sprawca w momencie popełniania czynu, a w końcu określić, kim może być. Tak powstał system profilowania osobowości nieznanymi sprawców, stosowany do dziś na całym świecie. Także w Polsce”.

– A więc jednak system, jak matematyka. Ale zaraz, zaraz... Jak się ma do tych magików nasz przyjaciel... – zajrzał do notesu, by nie przekreślić nazwiska. – ... Meyer, Hubert Meyer. Wrzucił w wyszukiwarkę. Wyszył angielsko- i niemieckojęzyczne strony.

– Języków trzeba było się uczyć. A ja tylko pa ruski panimaju. Człowiek na starość musi się wnerwiać – gadał do siebie. I kliknął myszką: „tylko polskie strony”.

Na pierwszym miejscu znalazł artykuł z tygodnika „Newsweek”. – O, nawet oni o nim pisali... Proszę, był na okładce!

Kula pochłonął tekst w pół godziny. Tutaj już język był prostszy i podkomisarz więcej rozumiał. Wydrukował go sobie i zaznaczył fragmenty, o które chciał spytać.

Dowiedział się, jak „profajler” pracuje. *Analizuje zdjęcia wyświetlane na ścianie – ułożenie ciała, zadane ciosy, rozległość ran. Jeśli ofiara została zadżgana nożem i stwierdzono wiele ran kłutych w jednym miejscu, zwłaszcza w okolicy twarzy, to profiler może mieć niemal stuprocentową pewność, że sprawca dobrze znał ofiarę. Mamy do czynienia z zabójstwem z pobudek osobistych. Jeśli zawiązał ciało w prześcieradło lub koc, lub w inny sposób zadbał o nie po śmierci – żywił dla ofiary swego rodzaju czułość, a może nawet miał wyrzuty sumienia. Jeśli ciało*

zostało okaleczone i porzucone w widocznym miejscu, zabójca gardził ofiarą lub lekceważył kobiety w ogóle.

– To fascynujące – mamrotał pod nosem Eugeniusz Kula. – Szkoda, że kiedy ja zaczynałem pracę, nie było takiej możliwości... Może nie trymałbym się tak obsesyjnie tej wsi – rozmyślał. Zawołał przez interkom Czerwieńskiego i kazał mu dostarczyć cały materiał zdjęciowy oraz nagranie z kamery. – To się przyda naszemu gościowi. Jak dobrze, że o tym pomyśleliśmy – cieszył się.

Fotografie oddają tylko wycinek obrazu, który interesuje psychologa. Nie oddają atmosfery, odległości, podstawowych parametrów. To rozsypana mozaika danych.

– Układam je jak klocki, by wyobrazić sobie, co tak naprawdę się zdarzyło. Wolę nagranie, bo widzę, co znajduje się za zwłokami, przed nimi, jak daleko leży ubranie. Oględziny są czynnością niepowtarzalną. Nie da się odtworzyć śladu i kontekstu, w jakim został pozostawiony.

– Też tak uważam, a nie jestem tym, jak to się mówi pro-faj-le-rem – przeliterował Kula i czytał dalej.

Profiler jeździ na miejsce zbrodni. Ogląda okolicę (czy nie ma w pobliżu ciemnej bramy, w której ktoś mógłby się schować, lasu, parku, zaciemnionego skweru), próbuje domyślić się, dlaczego sprawca wybrał akurat ten teren na dokonanie zabójstwa. Wyobraża sobie, co czuł w tamtym momencie. Stara się odgadnąć jego potrzeby i fantazje, które nosi w sobie. Próbuje wejść w umysł sprawcy. Myśleć jak on, przeżyć moment zbrodni jak on. Stara się zrozumieć, dlaczego zachował się w taki właśnie sposób.

Dlaczego zrobił to nożem, dlaczego przeniósł zwłoki, przykrył je, nie wystraszył się czegoś, wypuścił kota, przebrał się, położył klucz na stole, zabrał pierścionek, a zostawił gotówkę? Co się wydarzyło w tym czasie? Co zdarzyło się w okolicy? I stawia hipotezy dotyczące tych wszystkich „dlaczego”. Dzięki temu może odtworzyć przebieg wydarzeń.

– Nie da się zapomnieć o sprawie po zamknięciu drzwi gabinetu. Ale mnie nie fascynuje zbrodnia. Sytuację oceniam z obu stron: wczuwam się zarówno w położenie sprawcy, jak i ofiary. A o zabójcy wiem więcej niż on sam o sobie. Dlatego potrafię określić, kim może być. Dlatego zajęcie to wymaga zachowania higieny psychicznej: umiejętności odreagowania emocji i zdolności oderwania się od tych problemów. Profilery powinni mieć uporządkowane życie osobiste i wsparcie społeczne. Musi mieć do kogo wracać, żeby ciemna strona nie zdominowała jego życia.

– Aha! – krzyknął Kula. – Ciemna strona, właśnie! Skoro wie, jak znaleźć sprawcę, musi mieć twardy kręgosłup, żeby samemu nie chcieć zabijać... Taki profujer, tfu, prowajder, mógłby zaplanować zbrodnię doskonałą!

Czytanie artykułu przerwał odgłos podjeżdżającego samochodu. Kula wyrzwał przez okno i natychmiast założył czapkę policyjną na lysiejącą głowę. Uporządkował biurko, wyrzucił niedopałki z popielniczki, otworzył okno, żeby się wywietrzyło.

Już miał wychodzić, kiedy w drzwiach stanął mężczyzna. „Jak on tak szybko i bezszelestnie wszedł?” – pomyślał Kula i aż ciarki przeszły mu po plecach. Widać od tych strasznych artykułów, których od rana pochłonął całą masę.

Przybysz był w tweedowej marynarce, zamiast koszuli miał ciemny T-shirt.

– Meyer – podszedł do kierownika posterunku i wyciągnął dłoń. Jednocześnie omiótł spojrzeniem gabinet, a jego wzrok zatrzymał się na wydrukowanym artykule.

– Witamy w skromnych progach – uśmiechnął się Kula i uściśnął dłoń psychologa. Zarejestrował żelazny chwyt. „Twardy gość, to lubię” – pomyślał. – Może herbaty, kawy? – zapytał.

– Potem. Najpierw chciałbym pojechać na miejsce zdarzenia – powiedział sucho psycholog.

– Oczywiście. Czy ma pan już nocleg? – spytał szef posterunku. I dodał szybko. – Tu nie ma żadnego hotelu... Trzeba załatwić wcześniej.

– Może jakaś kwatery?

– Mogę zaproponować nocleg u mnie. Córka jest za granicą, jej pokój jest wolny. Żona świetnie gotuje – starał się zachęcić gościa.

Hubert Meyer skrzywił się na propozycję.

– Nie, wolałbym raczej coś bardziej intymnego. Wie pan, jak pracuję – wskazał wydrukowany artykuł leżący na biurku kierownika posterunku.

Kula zawstydział się, że psycholog tak łatwo go rozszyfrował, i pluł sobie w brodę, że dał się nakryć na sprawdzaniu gościa. Ale przecież nieczęsto do wsi przyjeżdża taka policyjna gwiazda. Chyba miał prawo?

– To będzie ciężko... Ale zorientuję się.

– Pomyślimy po południu. Mam nadzieję, że będzie pan miał chwilkę, by porozmawiać?

– Tak, zapraszam. Proszę mówić, co panu trzeba. Moi ludzie są do dyspozycji – dodał z uśmiechem Eugeniusz Kula.

Meyer ponownie założył płaszcz. Przed wyjściem przypomniał sobie o czymś, odwrócił się i ściągając krzaczaste brwi spytał:

– Czy mogę zostawić tutaj sprzęt. Jest dość cenny. Wolałbym, żeby nie znalazł się na niego amator.

Na to szef posterunku wybuchnął gromkim śmiechem.

– Widać, że pan komisarz z miasta. Tutaj wszystkie ściany mają oczy, a każdego złodzieja znam i jego karierę od dziecka. Nawet samochodu nie musi pan zamykać. Ale proszę zostawić, co panu zbędne.

Psycholog po chwili przytargał z bagażnika kilka toreb, pudeł z papierami, akta. Wyciągnął tylko kamerę i spytał:

– Jak mam jechać?

– Czerwieński! – krzyknął Kula. Po chwili w drzwiach stanął posterunkowy. – Zawieźcie pana komisarza.

– Wystarczy wytłumaczyć. Trafię.

Kula skinął głową. – Oczywiście.

Po wyjściu psychologa Kula dokładnie obejrzał pakunki. Nie otwierał ich ani nie dotykał. Wiedział, że jeśli gość będzie miał ochotę, sam mu pokaże. Wrócił do lektury.

Zbiera też wiedzę o ofierze. Sam ją gromadzi – rozmawia z rodziną i jej przyjaciółmi. To, kim i jaka była zamordowana osoba, pozwala mu zrozumieć relację łączącą ją z przestępcą. W 85 procentach ofiara nie jest przypadkowa. Zwykle była śledzona, obserwowana lub znała swojego zabójcę. Zdarza się, że to jej zachowanie uaktywniło agresję.

– Ofiara to książka, którą należy czytać – mawia komisarz Hubert Meyer. – Określenie, dlaczego akurat ta osoba została wybrana, jak sprawca i ofiara zachowywali się wobec siebie, pozwala postawić hipotezy, kim był sprawca dla ofiary, jakimi cechami psychofizycznymi się odznacza i w jakim środowisku należy go poszukiwać.

– Słusznie – powiedział do siebie Kula i zastanowił się. – Ale do czego jest potrzebny taki portret psychologiczny?

W Internecie jest wszystko. W ciągu kilku minut miał odpowiedź. Portret psychologiczny pomaga policjantom w planowaniu i podejmowaniu działań operacyjnych, ujawnianiu i zabezpieczaniu dowodów, umożliwia

weryfikowanie wersji śledczych. W praktyce jednak to detektywi zatrzymują sprawcę, a nie psycholog. Ale dzięki psychologom można zawęzić grupę podejrzanych.

– Tak, dlatego trzeba będzie z nim współpracować. Choć gość jest nieufny, to właśnie ja znajdę mordercę przy jego pomocy – ucieszył się kierownik mielnickiego posterunku.

Około pierwszej Kula pojechał do domu i w ciągu kwadransa był z powrotem. W bagażniku miał gorący obiad. Zapach kapuśniaku i schabowych rozszedł się po całym posterunku. Posterunkowi wlepiali pytające spojrzenia w szefa.

Kiedy Kula otworzył drzwi gabinetu, zastał Meyera, jak ogląda zdjęcia w aktach. Pod szkłem powiększającym sprawdzał ułożenie rąk martwej kobiety. Nawet nie zwrócił uwagi na wchodzącego kierownika posterunku.

– Mamy więcej tych zdjęć. Nawet film – powiedział od niechcienia Kula.

Profiler podniósł głowę. – Tak? Gdzie?

Podkomisarz wskazał na szafę pancerną.

– Nie ma tego w aktach – zaczął Meyer.

– Nikt nie chciał tego przeglądać. Kilka fotek, które sami zrobili, wystarczyło im. Mojego technika zlekceważyli. A to my byliśmy pierwsi na miejscu zdarzenia – podkreślił Kula. I wyjął z szafy plik płyt CD.

– Chce pan zobaczyć? – spytał.

Meyer pokiwał głową i nawet lekko się uśmiechnął.

– Bardzo chętnie. Zaskoczył mnie pan. Rzadko się zdarza, by szefowie... przepraszam, ale nawet rejonowych komend, myśleli o takich rzeczach. Mówią, że nie mają sprzętu i ludzi. Skupiają się na śladach biologicznych, badaniach genetycznych... Owszem, to dowody, nie wolno ich bagatelizować. A tu, zaledwie posterunek i taka niespodzianka.

– Dobrze, panie komisarzu. Może teraz ma pan ochotę na domowego schaboszczaka? Kawał drogi pan jechał...

Meyer przelknął ślinę.

– Tak pachnie, że byłbym głupi, gdybym nie spróbował – odpowiedział i Kula miał wrażenie, że zaczynają nawiązywać kontakt.

– No i jest jeszcze gęsty kapuśniak na kościach – dodał Kula, ale gdy zobaczył, że Meyer znów się spina w sobie, dodał: – Proszę się nie wstydzic.

U nas to normalne: wschodnia gościnność. Czym chata bogata – podstawił pod nos psychologa garnek z zupą.

Kiedy po południu posterunkowy Trembowiecki wszedł do gabinetu szefa, żeby spytać, czy może iść do domu, omal nie udusił się od dymu papierosowego. Puste talerze i garnki stały w kącie, a Meyer odślaniał przed podkomisarzem Kulą tajniki swojego zawodu.

– Przejechanie przystanku, zamyślenie się przy kolacji. To norma. Raz wsiałem do pociągu jadącego w innym kierunku, tak wciągnąłem się w jedną sprawę – zwierzał się.

Wyciągnął z kieszeni plik żółtych karteczek, z czego połowa zapisana była drobnym maczkiem.

– Tu zapisuję wszystko, co mi przychodzi do głowy, gdy pracuję nad jakąś zbrodnią. To jak złapanie tropu – mówił.

– Wiem, to pewnie tak, jak ryba chwyta na wędkę – rozpromienił się Eugeniusz Kula. – Też wtedy czuję się niezwykajnie.

– No, można by porównać. Ja tam się na łowieniu ryb nie znam. Ale takie olśnienie to ogromna satysfakcja. Kiedy się odnajdzie ten brakujący element mozaiki, wszystko się wyjaśnia. Nagle zaczyna grać ze sobą, pasować – psycholog żywo gestykułował.

– Szefie, mógłbym już iść? – nieśmiało wtrącił Trembowiecki.

– Jeszcze tu jesteście? No idźcie, idźcie – pokiwał głową szef. – Kto dziś dyżurny?

– Cetnarek.

– Dobra. Nic się nie dzieje?

– Drobnica. Lenziony znów...

– Idźcie, idźcie – machnął ręką Kula. – A jak to było z tym pazurem? To ciekawe – odwrócił głowę w stronę Meyera.

Trembowiecki już zamykał drzwi i dopiero wtedy jego wzrok padł na kubki, które trzymali w dłoniach mężczyźni. Zauważył na stole pomiędzy papierami „Oazę” i rumiane policzki szefa. Wycofał się z gabinetu.

– Trembowiecki! – usłyszał.

– Tak jest – zajrzał ponownie.

– Wiecie co, jeszcze dziś posiedzicie na dyżurce – rzucił ostro. To, że był na rauszu, nie przeszkadzało mu w rejestracji podejrzanych zachowań

posterunkowego. – Bądźcie pod telefonem na dole. Trzeba będzie nas rozwiązać. I pojedźcie jutro z rana po listonosza, żeby był na posterunku przed dwunastą. Pan komisarz chce z nim porozmawiać.

Trembowiecki westchnął ciężko. – Tak jest.

– Krótco pan trzyma swoich ludzi – uśmiechnął się Meyer i upił łyżek „Oazy”. Słyszając ten komplement Kula jeszcze bardziej pokraśniał z zadowolenia.

– No, więc z tym pazurem... – kontynuował Meyer. – Ale może to pana nudzi? – nagle się zaniepokoił.

– Nie, nie! – zaprotestował Kula i gwałtownie kręcił głową. – Mówcie, opowiadajcie! Przy was czuję, że odmłodziłem o dziesięć lat – roześmiał się gromko i wałnął ręką w kolano. – Więc co z pazurem...

– No tak. Mówiłem, że czasem jeden banalny przedmiot niezwiązany bezpośrednio ze zbrodnią, zbagatelizowany przez techników kryminalnych, jest dla psychologa ważną wskazówką. W jednej ze spraw kluczowy do wykonania profilu okazał się szczegół: żółta piłka z plastiku ze śladem kociego pazura.

– To znaczy, że coś pozornie nieistotnego może spowodować przełom w śledztwie? – zainteresował się Kula. – Wydawałoby się drobiazg?

– Jasne, zaraz dam przykład.

– Ofiarą był samotnie mieszkający mężczyzna. Jego zwłoki znaleziono w mieszkaniu po tygodniu. Ciosy zadano z ogromną siłą. Nic nie zginęło, brak śladów włamania. Policjanci prowadzący dochodzenie wykluczyli kobiety z grona potencjalnych sprawców. Szukano dobrze zbudowanego mężczyzny. Ale ta piłka nie dawała mi spokoju – na samo wspomnienie Hubert Meyer zmarszczył brwi. – Pomyślałem, że skoro jest na niej ślad kociego pazura, to musiał tu mieszkać kot. „Gdzie on jest?”, zastanawiałem się.

– No właśnie – Kula wpatrywał się w profilerę jak w obraz. Uwielbiał takie zagadki. – I o czym to świadczy?

– Sprawca wiedział, że ofiara mieszkała sama i zwłoki zostaną odkryte po jakimś czasie. Wypuścił kota z mieszkania, bo mu go było szkoda. Ale jaki morderca żałuje kota, skoro w tak okrutny sposób morduje jego właściciela? Tylko ktoś, kto znał ofiarę lub był z nią emocjonalnie związany. Stworzyłem portret osobowości sprawcy, który zakładał, że

zabójstwa mogła dokonać kobieta. Tydzień później do zbrodni przyznała się konkubina ofiary.

– Niesamowite! – wykrzyknął Kula. – Jest pan skuteczniejszy niż jasnovidz...

Meyer zaperzył się.

– Ja nie czytam z fusów! Niektórym wydaje się, że tworzenie portretu psychologicznego to rodzaj magicznej mocy albo zgadywanka. Tymczasem większość spraw, w których brałem udział, zostało wykrytych. W tworzeniu portretu osobowości mogę się pomylić jedynie w dwudziestu procentach, a zdarzają się profile nawet stuprocentowe, tak jak ostatnio, pewnie pan słyszał – powtórzył z naciskiem.

– Niesamowite – wydusił z siebie Kula. Ale Meyer wcale nie przestał się złościć.

– Wszyscy mówią „niesamowite”, gdy sprawcę udaje się wykryć i trafia pod sąd. A jednocześnie w Polsce nie ma dla nas etatów. Nie ma też szkoleń. No, chyba, że w celu poznawczym, by pokazać, że jest taka metoda. Ale nie szkoli się detektywów. A doświadczenie detektywa w połączeniu z wiedzą profilerą pozwala na szybkie zatrzymanie sprawcy. I choć osobiście przeszkoliłem siedemdziesiąt osób (a nie każdy nadaje się do tej roboty, to była wyselekcjonowana grupa zdolnych młodych ludzi), dziś w całym kraju działa może ośmiu takich ekspertów. A jak sobie nie radzą i tak wzywają mnie. Potrzeba przynajmniej jednego profesjonalnego profilerą na komendę wojewódzką – mówiąc to komisarz palił jednego papierosa za drugim.

Był tak zdenerwowany, że Kula myślał nawet, czy nie zmienić tematu.

– Ci, którzy chcą być profilerami, to pasjonaci. Sami się uczą. Nie ma na ten temat książek po polsku, a podręczniki amerykańskie lub brytyjskie kosztują od 80 do 250 dolarów i są trudno dostępne. Wiedzę zdobywają też nękając psychologów z Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie i dzięki własnym kontaktom z agentami FBI (na przykład ja właśnie wracam z Quantico) lub przez Internet. Ośmiotygodniowy interaktywny kurs u Brenta Turveya kosztuje ok. 300 dolarów.

– U kogo?

– Brenta Turveya – świetnego brytyjskiego profilerą młodszego pokolenia. Choć moimi idolami są Douglas i Ressler... – wyjaśnił Meyer, ale widząc konsternację na twarzy podkomisarza, ciągnął dalej.

– No, nieważne... W każdym razie w Polsce podczas poszukiwań sprawy przestępstwa policja najpierw skorzysta z usług wróżbitów czy jasnowidzów, a nie psychologa. Do nas zwracają się, gdy już nie ma innego wyjścia. I na przykład trzeba przebadać całe miasteczko, by wykluczyć DNA.

– Tak – potwierdził Eugeniusz Kula, jakby takie działania były u niego na posterunku normą. Zrobił minę wszechwiedzącego. – Panie komisarzu, ja wierzę i całkowicie ufam pańskiej technice. Chciałbym uczestniczyć w tym śledztwie, jeśli mogę się przydać – lekko czkając wyraził swoją opinię.

– Ech... – machnął ręką Meyer. – Niech się pan nie obrazi, ale moim zadaniem jest tylko stworzyć profil i dokładnie sprawdzić, czy listonosz do niego pasuje – jak na razie dowody zebrane przez detektywów potwierdzają jego winę – a potem zająć się naprawdę niebezpiecznymi przestępcami.

– A gdybym powiedział panu coś, co zlekceważyli inni funkcjonariusze, którzy tu byli?

– Na przykład, co?

– Ślad pazura.

– Słucham?

– No, brakujący element mozaiki.

– Więc...

– Lekarz stwierdził, że ofiara przed śmiercią została pobita i zgwałcona. Przyczyna zgonu: uduszenie, tak?

– Tak.

– Na miejscu znaleziono mnóstwo odcisków listonosza, ślady spermy, Jurka przyznał się do winy, zabrał fant w postaci fragmentu garderoby.

– Zgadza się.

– Aktorka go знаła, mogła wpuścić do swojego mieszkania. Dlatego nie było śladów włamania. Tylko, dlaczego akurat teraz go wpuściła, jak do tej pory zawsze odbierała korespondencję przez furtkę. I dlaczego listonosz kilka godzin przed odwiedzeniem jej pochwalił się, że będzie miał kolejny autograf do sprzedania, skoro chciał ją zabić? I nic nie zabrał? Jak znam Jurkę, to on nawet telefonem komórkowym nie pogardzi, o gotówce, biżuterii czy odtwarzaczu DVD nie wspomnę. Nie to, żeby go bronil...

– Wie pan, może to jego pierwsza zbrodnia... Maniacy seksualni zwykle pierwszą popełniają spontanicznie, w afekcie. Dopiero potem się uczą na własnych błędach i typują ofiary.

– Panie komisarzu, to się kupy nie trzyma. Ja znam Jurkę. Wiem, że to lajdak i bawidamek, ale nie gwałciiciel! Już od szkoły kompletnie nieagresywny, unikający konfrontacji. Kłamczuch, krętacz, oszust matrymonialny, ale muchy nie skrzywdzi, a już na pewno psa by nie zabił. Sam ma jamnika i obchodzi się z nim jak z małym dzieckiem.

– No, wie pan, podkomisarzu. Taki argument to chyba przesada. Pan go lubi i stąd ta niewiara w winę. Ale wezmę pod uwagę te fakty. Proszę mi więc wyjaśnić, dlaczego przyznał się do winy. Niech mi pan to wytłumaczy.

– Bo to tchórz jest. Jedna wielka trzęsąca się ze strachu zajęcza kupa. Rozumie pan? Wystarczy na niego huknąć i zaraz wszystko wyśpiewa? A jeśli obiecali mu niższy wymiar kary, to wykoncypował, że lepiej od razu się przyznać, żeby już go nie dręczyli przesłuchaniami. Może go tam uderzyli albo zamachnęli się... Wie pan. Wolął mieć z głowy.

– Ludzie nie przyznają się bez powodu do cudzych zbrodni.

– Dobrze, może ja się na psychologii nie znam – zirytował się Kula.

– Ale nad ranem, przed odkryciem ciała przez listonosza, ktoś tutaj był. Przyjechał jeepem albo innym zagranicznym autem na terenowych oponach. Według mojej dedukcji – Kula specjalnie użył trudnego słowa i zaraz sprawdził, jakie wrażenie zrobiło to na psychologu. Ten jednak po prostu wpatrywał się w niego w oczekiwaniu. – Według mojej dedukcji to właśnie ten, albo jeden z tych, którzy pomogli jej przedostać się na tamten świat. Rano chciał sprawdzić, czy na pewno nie żyje? I zabrać to, czego w tym mieszkaniu teraz nie ma. Widziałem ślad jego kół.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Meyer chrząknął.

– Śmiała hipoteza. Ale proszę mówić, to interesujące...

– Niestety nie zrobiliśmy zdjęcia, a potem zaczął padać śnieg i zjechały się radiowozy. Ale...

– Ale...

– Narysowałem sobie ten ślad – Kula uśmiechnął się. Wyciągnął karteczkę i podał ją komisarzowi. – Też zawsze noszę przy sobie notes.

– To nietypowy bieżnik.

– Właśnie.

– Zmierzył go pan?

– 42 centymetry.

– Nieprawdopodobnie szeroki. Terenowe auto albo samochód robiony na zamówienie. Tutaj nikt takim nie jeździ?

– Skąd...

Hubert Meyer zamyślił się.

– Panie podkomisarzu... – zawiesił głos. – A dlaczego nie ma tego w aktach?

– Mówilem śledczym, ale nie pasowała im taka informacja... Chcieli jak najszybciej znaleźć sprawcę i pochwalić się mediom. Według mnie to nie Jurka zabił, tylko ktoś przyjezdny. Nie stąd, rozumie pan?

– Wnioskuje pan na podstawie jednego śladu opony?

– Wiem też, że poprzedniego dnia była awantura w domu tej Frank. Mąż wyjechał po zmroku, widziano jego samochód. Nikt nie sprawdził, czy nie wrócił... Może on ją pobił i zgwałcił. A jak wrócił – udusił. Miał motyw: wie pan, oni się rozwodzą, kłótnie szły o pieniądze. Wiele razy już słyszałem tam awantury. On libacje u niej robił, a jej się to niezbyt podobało. Wzywała nas czasem albo ochroniarzy... Sam raz byłem ich rozdzielać. Już wcześniej chodziła w siniakach. Ja nie mówię, że to na sto procent mąż, ale nikt go nie sprawdził. Dlaczego? Czy on ma alibi?

– Jest podejrzany. Wyszedł za kaucją. Był już przesłuchiwany, to jest w aktach...

– Nie wiem, tylko mówię panu, bo na mojego nosa... Według mnie Jurka jest tylko kozłem ofiarnym, bo pańscy zwierzchnicy potrzebują sprawcy i dobrej statystyki. Chcą się wykazać, rozumie pan?

– Muszę to wszystko przemyśleć – zasępił się profiler. – Co by pan powiedział, gdybym dziś przenocował w domu Niny Frank?

– Co? – wybałuszył oczy Kula.

Meyer patrzył na niego ze spokojem. Mówił poważnie.

– I tak nie mam noclegu.

– Ale tam wszystko zaplombowane... To niezgodne z procedurą – bąknął i patrzył na gościa z wyrazem błagania w oczach. – Może jednak u mnie. Jest późno, przepraszam, że nic nie załatwiliśmy. Tylko jedna noc, a potem coś się zorganizuje.

– Niezgodne z procedurą! – rozłożył ręce profiler. – Gdyby było zgodne, nie pytałbym. Chciałbym tam dziś pobyć, żeby poczuć atmosferę miejsca, wczuć się w rolę tej kobiety jako ofiary. I zastanowić nad motywacją

sprawcy. Sam pan wie, dlaczego nalegam. Przecież nie dlatego, że pański dom mi nie odpowiada. Zresztą ślady już zostały zebrane, tak czy nie? A pan, doświadczony funkcjonariusz, ma podejrzenia, że to morderstwo popełnił ktoś inny, nie listonosz. Tak?

– No... W zasadzie to tak. Brakuje motywu. Mnóstwo luk w tej układance. I jeszcze te kamery...

– No właśnie. Nie znaleziono w mieszkaniu żadnych nagrań?

– Nie, komputer został przez kogoś wyczyszczony. Choć ci z wojewódzkiej mówią, że to nieistotne – Kula spojrział na Meyera. Ten wyciągnął w jego kierunku pusty kubek. Kula rozlał do kubków resztki „Oazy”.

– Obiecał pan pomoc. Proszę tylko o tę jedną noc...

– Zgoda – powiedział w końcu szef posterunku. – Ale to musi pozostać między nami.

Meyer stuknął się z Kulą. – To leży także w moim interesie – podkreślił psycholog. – Mam do pana jeszcze jedną prośbę.

– Słucham – Kula wpatrywał się teraz w psychologa z oddaniem. Czuł się w końcu doceniony i potrzebny.

– Niech pan, korzystając ze swojej wiedzy, stworzy listę osób, z którymi mogła się stykać tutaj Nina Frank – mówił Meyer. Choć wypił tyle samo co Kula, nie było po nim widać upojenia.

– Skoro tu mieszkała, musiała rozmawiać z ludźmi. Była aktorką, jej życie fascynowało. Kto się nią interesował, podglądał ją, zabiegał o spotkanie z nią, przychodził po autografy, sprzątał u niej... Musimy ustalić, jaki prowadziła tryb życia. Jakież powtarzające się, rutynowe czynności. Być może ktoś z okolicznych mieszkańców widział kierowcę tego samochodu. To na razie byłoby na tyle.

– Zrobi się! Ma pan jak w banku – rozpromienił się Kula i poczuł dreszczyk podniecenia, bo jak na tutejszego szeryfa przystało, miał w zanadrzu trochę informacji, które musiał tylko poukładać.

Rozdział 13

Dom Niny

„Poznaj reguły. Potem niektóre naruszaj”

Alojzy Trembowiecki odstawił profilerę pod furtkę domu Niny Frank. Zaparkował starego poloneza pod oszronionym żywopłotem i patrzył na to wszystko, co się wokół niego działo z niepokojem i strachem. Nie mógł uwierzyć, zwłaszcza że w ewidentnym łamaniu przepisów brał udział jego zwierzchnik. Szef posterunku wysiadł, wręczył psychologowi klucze do furtki, drzwi wejściowych i garażu. Na kartce zapisał jakieś numerki oraz długo wyjaśniał, do czego służą. Trembowiecki już tego nie słyszał, ale domyślał się, że są to kody do alarmu i Eugeniusz Kula drobiazgowo wyjaśnia, jak się nimi posługiwać. Potem na własne oczy widział, jak podkomisarz Kula zrywa policyjne plomby, ściska rękę psychologa i strzela sobie z nim niedźwiadka! Wedle wschodnich zwyczajów robi się tak przy dużej zażyłości. A on przecież widzi tego zimnego, nieprzystępnego Ślązaka pierwszy raz w życiu! – oburzał się Trembowiecki.

Kiedy szef posterunku na powrót wsiadł do radiowozu i kazał się wieźć do domu, aspirant jeszcze długo we wstecznym lusterku obserwował, co robi Meyer. Wiedział, czym się zajmuje, i kompletnie nie wierzył w te psychologiczne brednie. W szkole miał nawet kilka zajęć z profilowania, ale nie szło mu to wcale i ledwie zaliczył ten irytujący przedmiot.

Obserwował z niepokojem zachwyty szefa i zastanawiał się, do czego to dojdzie. Bo że będzie afera, był przekonany. Jakże się zdziwił, gdy Hubert Meyer, zamiast od razu wejść do domu aktorki, ruszył w kierunku rzeki.

Obszedł żywopłot i zniknął za zakrętem. – Co on kombinuje? – myślał posterunkowy i aż dygotał ze zdenerwowania.

– Stójcie, gdzie wy mnie wieziecie, do zielonej granicy? – wyrwał go z rozmyślań głos oburzonego szefa. Zorientował się, że przejechał wjazd do posesji kierownika posterunku.

– Przepraszam – powiedział posterunkowy i wrzucił wsteczny.

– A o czym tak dumaliście, Trembowiecki? – zapytał z chytrym uśmieszkiem Kula.

– Ech, takie tam... – splotił się, jak złapany na gorącym uczynku uczeń. Ale kierownika nie tak łatwo zbyć, zwłaszcza jak złapał trop.

– Jak wam się podoba nasz gość? – ciągnął Kula.

– Nie wiem, co myśleć. Trochę dziwny...

– Jesteście zaniepokojeni. Co was trapi?

– Nie, nic. Tylko on taki niepodobny do nas, jak z amerykańskiego filmu...

Eugeniusz Kula roześmiał się w głos.

– Czujecie się w jego towarzystwie nieswojo, co? Jakby przewiercał was wzrokiem na wylot i czytał w myślach?

Trembowiecki skinął głową.

– Właśnie.

– Nic się nie bójcie. To umny człowiek, trzeba z nim współpracować. A ja wszystko mam pod kontrolą. A na jutro przywieźcie Jurkę Ponczka. Uspokójcie go i nie zatrzymujcie się po drodze. Nie potrzeba nam nowych kłopotów, tak?

– Tak jest – odpowiedział posterunkowy. Odetchnął, gdy Kula wysiadł i lekko się zataczając poszedł w kierunku bramy. Natychmiast zapaliło się światło i na ganek wybiegła żona podkomisarza.

Hubert Meyer obszedł posesję aktorki dookoła i zatrzymał się przed skarżą. Spojrzał na rzekę, która w nocy wyglądała groźnie. Pewnie przez to, że na zamarzniętym lodzie leżał śnieg i w świetle księżyca miał trupioniebieski odcień, do tego krzaki i zarośla po obu stronach brzegu nadawały okolicy mroczny wymiar. Meyer zamknął oczy i wyobraził sobie wieczór sprzed dwóch tygodni, kiedy aktorka jeszcze żyła. Wiedział, że widok musiał być podobny. Postanowił sprawdzić, jaka była tego dnia pogoda.

Czy padał śnieg, czy był mróz, czy w nocy widać było księżyc, czy było zachmurzenie. Spojrzał na dom Niny Frank i zarejestrował, że obserwować go mogli jedynie ludzie użytkujący drogę oddaloną o kilometr od posesji, a ci, którzy mieszkali po drugiej stronie szosy, widzieć i słyszeć mogli jedynie auta podjeżdżające do furtki. Już postaci, zwłaszcza w nocy, jeśli ubrane byłyby w ciemne stroje, nie mogli dostrzec. Chyba że wchodziłyby do oświetlonego mieszkania lub jeśli lampy na podwórku byłyby zapalone.

Przymknął oczy. Usłyszał ujadanie psów i szum drzew. Poza tym żadnych ludzkich odgłosów. Wokół było tak cicho, że poczuł się nieswojo. Wychowany na Śląsku, w wielkim skupisku ludzi, był przyzwyczajony do krzyków żon na mężów, nawet bijatyk, czy choćby odgłosów maszyn. Przeszedł się dalej, by mieć przed oczami tył domu. Zauważył, że wokół posesji ciągnie się wydeptana w śniegu mała ścieżka, która kończy się wejściem na skarpcę. Ktoś ją musiał odśnieżać. Po co? Poszedł w tamtym kierunku i na wysokości jego wzroku, w lesie, mignął jakiś pojazd: motocykl bądź rower. „Tam musi być droga” – pomyślał. Bimber, który pił z podkomisarzem Kulą, powoli wyparowywał, choć nadal czuł się niezbyt pewnie. Ale może dlatego czuł wewnętrzną presję, by właśnie teraz – nie później – sprawdzić, którędy biegnie droga, choć oznaczało to dłuższy spacer.

Myślał o aktorce i jej zabójcy. Czuł, że w tej sprawie jest coś więcej. Rozmowa z zabawnym szefem posterunku dała mu do myślenia, choć nie mógł jeszcze zgodzić się z tezą, że listonosz jest niewinny. Łysy obstawiał męża aktorki. Słusznie. Mariusz Król miał motyw, są jego ślady. Wiele dowodów wskazuje na listonosza, ale ten z kolei nie wiedział o martwym psie w schowku. Dlaczego się przyznał? Było w tym rozumowaniu wiele luk, a jednocześnie nie mógł wykluczyć żadnego z podejrzanych. Obaj mogli dokonać zabójstwa. I jak za każdym razem, gdy zaczynał sprawę, czuł ten dreszczyk emocji, który mobilizował go do analizy zebranych faktów. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął dyktafon i zaczął mówić:

– Mielnik nad Bugiem. Dzień pierwszy. Godzina – spojrzał na zegarek. – Dwadzieścia trzy minuty po północy. To w zasadzie dzień drugi. Jestem w okolicy zamieszkania ofiary. Główna droga oddalona jest od posesji o około kilometr, zaledwie dwieście metrów dzieli ją od skarpy nad rzeką. Wokół posesji ciągnie się regularnie odśnieżana ścieżka. Dom otoczony jest

wysokim żywopłotem, więc z daleka nie widać, co się dzieje i kto mógłby być na posesji, jeśli znalazł się po drugiej stronie furtki. Idę w kierunku drogi w lesie, którą przed chwilą przejechał jakiś pojazd.

Wylączył dyktafon. Szedł równym krokiem i myślał. W głowie zadźwięczał mu głos Marioli: „Będę zeznawać przeciwko tobie”. Odsunął od siebie ten temat. Nie chciał teraz roztrząsać tej sprawy. Zastanawiać się, dlaczego to zrobiła i po co? Miał tego wszystkiego serdecznie dosyć. Babskich żądań i ciosów w plecy. Wszystkie są takie same. Teraz nawet cieszył się, że Stary od razu zagonił go do roboty. Nie będzie miał czasu na rozmyślania.

Kiedy wszedł do lasu, ogarnęły go ciemności. Gęsta puszcza słabo przepuszczała światło księżyca. Szedł dalej. W odległości kilkunastu metrów zobaczył małą polankę, na której można było zaparkować samochód bądź motor, rozpalić ognisko. Widocznie miejscowa młodzież się tu zbierała, zakochane pary przyjeżdżały tu na tajemne schadzki. W Katowicach też były takie „wzgórza miłości”. Młodzi ludzie, którzy nie mieli własnych mieszkań, parkowali tam, by się kochać w samochodach. Zobaczył, że miejsce na ognisko było dawno nieużywane, a na śniegu nie ma świeżych śladów żadnego pojazdu. Doszedł do drogi, którą przed kilkoma minutami przejechał rower lub motorynka i zarejestrował pojedynczy ślad. Odwrócił się w kierunku domu aktorki i zamarł. Budynek z tej perspektywy był widoczny jak na dłoni. Niczym wielki samotny grzyb na wystrzyżonej polanie. W tle widać było rzekę, a wejście na posesję oświetlał księżyc.

– Jeśli morderca chciał obserwować, co dzieje się w mieszkaniu aktorki, i czekał na moment, by dostać się do środka, to właśnie jest idealne miejsce. Mało tego, ludzie z naprzeciwka nie zauważą i nie usłyszą samochodu. A jeśli z zagajnika wyjdzie się tą dróżką, którą przed chwilą szedłem, nie dostrzegą małej postaci. Potem wystarczy już tylko obejść posesję i wejść przez furtkę. Chyba że jest jeszcze tylne wejście – Meyer wylączył dyktafon i prawie biegiem ruszył z powrotem.

Obszedł żywopłot, sprawdzając, czy nie ma w nim ubytków, przez które można się przedrzeć. Niczego nie znalazł. Ponownie stanął przed furtką, z której Kula zdjął policyjne plomby. Wyszukał w kieszeni klucz i włożył go do zamka. Jedno trzaśnięcie i ustąpił. Chwytał za klamkę, przekręcił i rozejrzał się. Doszedł do wniosku, że morderca mógł zza żywopłotu obserwować

drogę i spokojnie poczekać na moment, kiedy niezauważony wyjdzie na dróżkę z tyłu. Kucnął i patrzył na szosę. Doskonale widział w oddali domy ze zgazonymi światłami, drogę, pola. Sam nie będąc widoczny.

Nagrał swoje wnioski i skierował się do drzwi wejściowych. Zerwał papierową taśmę i znalazł odpowiedni klucz. Po wejściu wpisał kod, światło włączyło się automatycznie i załało salon. Mieszkanie było przestronne. Naprzeciwko drzwi wejściowych stała biała sofa. Zostawił przy drzwiach swoją teczkę, zdjął buty i w samych skarpetkach, choć nadal w płaszczu, zaczął filmować wewnątrz. Szedł od pomieszczenia do pomieszczenia mówiąc:

– Jestem w pomieszczeniu gospodarczym, tutaj znaleziono martwego psa. Przecinam salon w poprzek, tu zabezpieczono ślady krwi.

Otworzył szafkę pod zlewem i powiedział:

– Tutaj morderca wrzucił podarte ubranie i ścierkę, którą zmywał krew i ślady zbrodni.

Wszedł do sypialni i nagrał opis miejsca odnalezienia zwłok. Udał się do garażu i zarejestrował, jak wygląda miejsce dokonania zbrodni. Na białych ścianach były ślady zakrzepłej krwi. W tym miejscu morderca uderzał głową ofiary o ścianę. Rozejrzał się za czymś płaskim i tępym, właśnie takim przedmiotem zabójca zmasakrował twarz kobiety. Mogła to być na przykład deska, ale niekoniecznie. Nie znaleziono narzędzia. Morderca zabrał je ze sobą. Tak samo jak przedmiot, którym udusił ofiarę. Co to było?

Wyłączył kamerę i skierował się do wyjścia z garażu.

– A więc jest tylne wyjście – powiedział do siebie. Otworzył drzwi. Naprzeciw niego, za żywoplotem rozpościerała się panorama rzeki.

– Dłaczego nie widziałem tych drzwi po tamtej stronie – zastanawiał się.

Wrócił do salonu. Postanowił wejść na górę po schodach. Na poddaszu stał komputer i łóżko. Wiedział, że w tym miejscu wszystko pozostało nietknięte przez techników. Było dokładnie takie, jak za życia Niny Frank. Technicy nie zabezpieczyli tu żadnych śladów. Przejrzeli tylko dokumenty, zdjęcia i zabrali laptopa. Profiler postawił na pustym biurku kamerę, powiesił na krześle płaszcz i ruszył na dół po teczkę, którą zostawił przy drzwiach. Na dzisiejszą noc wziął jedynie podręczne akta i wycinki prasowe, które przygotował mu rzecznik.

Ale tu miał jeszcze więcej danych. To był jej intymny pokój, gdzie uczyła się ról, bo na półkach leżały stopy scenariuszy i egzemplarze maga-

zynu „Przegląd Teatralny”. W równo ustawionych segregatorach aktorka trzymała swoje wywiady. Sterty kolorowych gazet wypełniały szuflady. Z pomieszczenia wchodziło się do maleńkiej, słodkiej jak różowa landrynka łazienki z wanną, a obok były jeszcze jedne drzwi. Na nich też widniały plomby policyjne. – Wejście na strych – stwierdził profiler. – Tu ekipa Łysego nic nie znalazła. Zajrzał do protokołu: stwierdzono kilkanaście kartonów zaklejonych szarą taśmą. Określili je ogólnie: „stare szpargały”.

Zerwał plomby i wszedł do niezbyt dobrze oświetlonego pomieszczenia. Otworzył jeden z kartonów. Był pełen książek i zeszytów szkolnych. Wyjął latarkę i świecąc sobie zaczął przeglądanie. Otworzył pierwszy z brzegu brulion. Zobaczył ładny charakter pisma. Niektóre notatki były podkreślone kolorowymi pisakami. Każda lekcja zaczynała się od regularnego szlaczka. Odwrócił zeszyt na końcu i czytał zapisany maczkiem tekst o Henryku Sienkiewiczu. Wszystkie zeszyty, z chemii, fizyki czy geografii były prowadzone w podobny, schludny sposób. Przejrzał oceny za wypracowania: same piątki, czwórki, ale też kilka jedynek. Głównie za nieodrobioną pracę domową.

Na samym dole znalazł plik świadectw szkolnych i certyfikatów językowych. Zerknął na nazwisko: Agnieszka Nalewajko, ul. Armii Krajowej 13/10, Siemiatycze.

– Siemiatycze, Siemiatycze – powtarzał jak mantrę i chodził w kółko. – Jechałem przez taką miejscowość. To gdzieś tutaj!

– Czyje to zeszyty? – zmuszał się do myślenia, jednocześnie aparatem cyfrowym wykonywał reprodukcje wszystkich znalezionych materiałów. Znalazł darmowe albumiki, które dostaje się z fotolabu za wywołanie negatywu. Było ich ze dwadzieścia. Z niemal wszystkich zdjęć uśmiechała się do niego śliczna nastolatka, o popielatych blond włosach. Na żaglówce, na nartach, z koleżankami w ławce. Przy pianinie. Na scenie, w stroju udającym grecką tunikę. Za nią wisiało prześcieradło z ogromnym napisem: „Przegląd Młodzieżowych Kółek Aktorskich Białostok 1992”.

– Kto to jest? – zadawał sobie pytanie profiler, grzebiąc w pudłach. – Czy to przypadkiem nie jest... – natrętna myśl błąkała się po głowie, ale wciąż ją odpychał. – To niemożliwe...

Długo siedział nad pudłami, aż w końcu złapał się na tym, że w zasadzie nie wie, czego szuka. Poczuł zmęczenie po pełnym wrażeń dniu i ogarnęła

go senność. Zszedł na dół, wygasił światła i wdrapał się z powrotem na górę. Rozebrał się. Spodnie i T-shirt powiesił na krześle obok. Zapalił papierosa, zaciągnął się nim i w samych bokserkach położył się na łóżku Niny Frank. Zatonął w rozmyślaniach. Nie czuł strachu, że przyjdzie tu jej duch. Nie wierzył w Boga ani parapsychologię. Był agnostykiem. Owszem, jest jakaś siła sprawcza, która kieruje naszym życiem, ale czy to jest Bóg? Wątpił. Jedyne, czego był pewien, to, że zagrażać może mu ktoś z krwi i kości. Cisza, która go otaczała, pozwoliła na całkowite skupienie. Wsluchiwał się w swój oddech i zastanawiał nad życiem ofiary. Pozornie niczego jej nie brakowało. A jednak wyczuwał w tym domu samotność i smutek. Była nieszczęśliwa? A kto nie jest? Każdy nosi w sobie pustkę. On też. Jediną radością była praca. W nią mógł się w stu procentach zaangażować. Uciekał w pracę przed żoną, która rozliczała go z każdej złotówki i wypominała, że jej koleżanki mają większe domy, nowsze samochody, jeżdżą na wakacje za granicę. A ona spędza urlop w Łebie z dziećmi i wciąż ma tę samą glazurę w łazience, którą jeszcze przed ślubem położył jej tata. A przecież już jest niemodna i chciałaby taką włoską w kolorze kawy z mlekiem. Przynosiła foldery i kładła mu przed nosem. Meyer nie mógł tego słuchać. Nie miał pieniędzy na kolejny remont. Ani czasu na pilnowanie robotników. A utyskujący głos żony doprowadzał go do furii. Gwałtownie zrywał się od stołu i odchodził do swojego pokoju, otwierał akta jakiejś sprawy. Wtedy Anka zaczynała krzyczeć. Zamykał przed nią drzwi, więc darła się, że pięć lat temu obiecał jej regularne życie, wspólne wieczory, że on też czasem pójdzie na wywiadówkę i da jej chwilę wolnego, by mogła zrobić coś z włosami. – Rozmawiaj ze mną! – krzyczała. A Meyer wsadzał stopery do uszu i skupiał się na sprawie. Izolował się. To był jedyny ratunek, by wytrwać.

Oczywiście danego słowa nie mógł dotrzymać, choć bardzo się starał. Kiedy wzywali go na drugi koniec Polski, jechał nawet nie zaglądając do domu, żeby wziąć rzeczy na zmianę. Wiedział, że Anka zrobiłaby awanturę. Na delegacji zostawał, ile było trzeba. Ona wydzwaniała i żądała wyjaśnień, więc wyłączał telefon. Po powrocie nie odzywała się przez tydzień, a kiedy prosił, żeby się pogodzili, znów robiła scenę.

– Jak rura pękła, kto czekał na hydraulików? Ja! Kiedy trzeba było wymienić telefon, to ja stałam w kolejce godzinami. Ja robię zakupy,

gotuję, piorę, sprzątam. Co mam w zamian? Samotność i parę groszy, które mi rzucasz jak jałmużnę! Traktujesz mnie niczym swoją gosposię! Czy dałeś mi prezent z okazji rocznicy ślubu? Nie! Nie było cię w ogóle w domu, bo znów kogoś zabili i musiałeś tam jechać. Tak dłużej nie da się żyć! Wciąż będą zbrodnie, a ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam ochoty zbawiać świata!

Już na samo wspomnienie jej jęków, rozboląła go głowa. Nie znosił, gdy płakała. Nie wiedział, jak się zachować. Uciekał. Nie chciał słuchać o jej cierpieniu. Co gorsza przez te awantury nie mógł z nią sypiać. Jak miałby się przytulić do kogoś, kto przed chwilą nazwał go nieudacznikiem, egoistą i tchórzem, który nie potrafi stawić czoła własnym problemom, a jest psychologiem i ma za zadanie pomagać innym w ich kłopotach. Coraz częściej rozkładał więc sofę w pokoju na dole i nie zaglądał nawet do sypialni, w której skulona w kłębek płakała żona. Ukojenie znajdował w ramionach innych kobiet. Zawsze miał duże powodzenie, choć wcale o nie nie zabiegał. Pozornie zimny i nieprzystępny, szorstki w obejściu, potrafił jednym uśmiechem stopić lód każdego damskiego serca. Udawanie biernego, niezainteresowanego bliższym kontaktem, tak naprawdę było jego sprawdzoną i skuteczną strategią. Kobiety interpretowały jego chłód i tajemniczość jako wyznacznik silnych genów. Stawiały sobie za cel go uwieść, a on się na to łaskawie zgadzał. Pozwalał na adorację, sprawiała mu frajdę. I uwielbiał ten dreszczyk emocji, który towarzyszył dopiero rodzącemu się romansowi. Nigdy nie wiadomo, czy zakończy się na niewinnym flircie, czy to będzie bliższa znajomość. Czy uda się wciągnąć kobietę do łóżka, czy skończy się na kolacji... A zwykle same proponowały drinka i zapraszały do siebie. Było mu to na rękę. Przynosił szczeroczkę do zębów i pojawiał się, kiedy miał ochotę na bliskość i seks. Musiały tolerować jego pracę oraz rolę kochanki. Od początku stawiał warunki: wiesz, że jestem żonaty, nie układa nam się, ale nie zamierzam się rozwodzić. Jedne po kilku nocach same się wycofywały, inne liczyły, że kiedy związek potrwa dłużej, będą mogły stawiać żądania. I z czasem zaczynały domagać się wyznań miłości, poczucia bezpieczeństwa, stabilizacji, rozwodu i oczywiście ślubu. Z rozerotyzowanej kotki każda z nich zamieniała się w zrzedzącą Ankę. Kiedy tylko zauważał choć cień takiej postawy, dyskretnie się wycofywał. Miał już taką jedną w domu, która

chciała go ubezwłasnowolnić. Odebrała mu niepodległość. Nie zamierzał trafić z deszczu pod rynnę. Jedyne Mariola nigdy niczego nie żądała, ale w jej wiernym spojrzeniu widział, że też pragnie tylko jednego: by był z nią na zawsze. I kiedy w końcu nie wytrzymała, zakomunikowała mu chłodno: „Między nami koniec”, zdziwił się, że wcale mu nie żal. Poczul nawet ulgę, że to ona wychodzi z inicjatywą.

– Zostańmy przyjaciółmi – zaproponował. Kiwnęła głową. Wiedział, że teraz zgodzi się na wszystko. Naprawdę ją lubił, ale nie chciał zakładać już rodziny. Nie nadaje się do tego. Nigdy nie będzie miał willi i nowiutkiego passata, bo jest samotnym wilkiem, który ma własne terytorium i na nim poluje. Jak każdy facet potrzebuje swojej samicy, która zaspokoi jego potrzeby – przecież nie chce żyć w celibacie. Ale musiał mieć wolność! Każda, która chciała prowadzić go na smyczy jak psa, gorzko się rozczarowywała. Zmuszany do życia w klatce wilk dotkliwie gryzł i uciekał do lasu. Niestety ucieczki pozostawiały na nim piętno. Zdawał sobie sprawę, że krzywdzi te wszystkie kobiety i miał poczucie winy. Choć wiedział, że nie może inaczej. Płaczliwa Baśka, egzaltowana Zuzanna, zimna Brygida, rozhisteryzowana Marta i nieporadna Honorata dręczyły go w snach. A on czuł coraz głębszą pustkę emocjonalną. Bał się kolejnych związków, za którymi stał jedynie seks i nic więcej. Czasem, przed zaśnięciem przywoływał pewną kobietę, którą dawno temu porzucił, też ze strachu. Była taka jak on: chodziła własnymi drogami, kaprysiła, kłamała. Jednego dnia było między nimi dobrze, następnego rozstawali się i Kinga znikala na całe tygodnie. On odchodził od zmysłów. Z powodu tej huśtawki nie mógł normalnie funkcjonować. Ale bez niej był kompletnie rozbity. Tylko z nią mógł rozmawiać o zbrodniach. Dzielila jego pasję, była inteligentna. Uwielbiał z nią rozmawiać. Nauczyła go, że intuicja to skarb. Potrafili do rana rozprawiać o gospodarce Chin, zwyczajach aborygenów, szamanach, profilowaniu albo medycynie sądowej. Kiedy znikala, czuł się, jakby odrąbano mu rękę. Rozpaczliwie za nią tęsknił. Dzwonił, pisał, wystawał pod jej oknami i błagał, żeby znów wszystko było po staremu. Zwykle wracała. Mówiła, że na zmianę kocha go i nienawidzi. Cała była pełna sprzeczności. Woda z ogniem. I wciąż miała pecha: do pracodawców, facetów, przyjaciół. Lunatykowała – to nie jest nic romantycznego, naprawdę. To życie na ładunku wybuchowym. Raz obudził się w nocy,

a ona wpatrywała się w niego nic niewidzącymi oczami. W rękę trzymała nóż. Z trudem zdołał go jej wtedy odebrać. Rano niczego nie pamiętała. Wielokrotnie próbował odejść, wybić ją sobie z głowy. Bezskutecznie. Zawsze w końcu łamał się i wracał. Żeby się wyzwolić spod jej wpływu, zaczął spotykać się z Anką. Kinga w tym czasie skończyła studia i wyjechała do innego miasta. Nie odezwała się, jak zwykle. Normalnie odszukałby ją, ale... okazało się, że Anka zaszła w ciążę. Jakoś tak wyszło. Wcale nie zamierzał się żenić – powiedział to Ance. Poszła do jego matki, płakała. W końcu obie wymusiły na nim ten cholerny ślub: „Jak jest dziecko, jest i rodzina, trudno. Los zdecydował za nas” – wmawiały mu. Miał poczucie winy, wyrzuty sumienia, że rujnuje dziewczynie życie i w końcu pogodził się z tym faktem. Przez pierwsze miesiące, po pijaku albo w miłosnym uniesieniu mówił do Anki, Kinga. Żona płakała, ale wmawiała sobie, że mu minie. Cierpliwie czekała, aż on zapomni. Była opiekuńcza, dbała o niego, dzieci i dom. Była dobrą żoną. Polubił rutynowe, wygodne życie. Emocje zepchnął w przestrzeń nieświadomości. Uśpił je, zajął się pracą. I z całych sił starał się być dobrym mężem. Robił wszystko, sprzedał swoje ideały, wolność, byle tylko to małżeństwo istniało.

Ale teraz ma już dość! Wszystkiego. Jest zmęczony: pracą ponad siły, za którą dostaje marne grosze, zrzędliwą, otyłą i zaniedbaną Anką, dziećmi, które wciąż drą się w nocy i nie dają mu się wyspać, byłymi kochankami, które albo nie patrzą mu w twarz, obrażone, albo żądają, by się nimi opiekował. Już nie ma sił. Chce odciąć wszystkie kotwice, pobyć sam.

Gdy teraz zasypiał, pojawił się obraz z czasów studenckich, kiedy z Kingą spacerowali po parku. Wspomnienie było tak żywe, jakby to było dziś. Spotkali wtedy zasuszoną staruszkę.

– Pan taki przystojny, a pani taka ładna. Będziecie mieli piękne dzieci – powiedziała im tonem dobrej wróżki z bajki.

Strasznie się z tego śmiali. Meyer wziął siatkę babuleńki i odprowadził ją do bramy, w której mieszkała.

– Pilnuj jej, młody człowieku. Ona ma w sobie moc, której potrzebujesz. W jej oczach jest dzikość, lecz serce ma gołębie – szepnęła mu do ucha starowinka i zniknęła w drzwiach klatki schodowej.

Kinga czekała kilka kroków dalej. Kręciła w dłoni kosmyk włosów i wystawiła twarz do słońca. – Hubert – zawołała. Odwrócił twarz w jej kie-

runku. Pokazała gniazdo, które zwisało w szczelinie okna babci. Do dziury w ścianie wleciała właśnie jaskółka z robakiem w dziobie. Uśmiechnął się. Niemal widział, jak słońce rzeźbi na jej policzkach kolejne złote kropeczki, których i tak miała na twarzy nadmiar.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam! – wychyliła się z okna staruszka i pomachała im zasuszoną dłonią. Czuł przepelniające go szczęście. Wydawało się, że przed nim całe życie, świat stoi otworem. Tyle szczytów do zdobycia...

Obudziło go pojedyncze piknięcie. Zamarł. Myślał szybko. Ktoś wpisał kod i dostał się do domu! Zerwał się z łóżka. Bezszelestnie podszedł do teczki, którą dzięki Bogu przytargał na górę i wyciągnął z niej pistolet. Przeladował, po czym na palcach, oparty plecami o ścianę ruszył w kierunku drzwi. Kiedy je otworzył, skrzypnęły przeraźliwie i usłyszał tylko stłumiony odgłos kroków. Wyrzwał ostrożnie przez szparę. W salonie nie było już nikogo. Wiedział, że jeśli stanie na pierwszym stopniu, będzie odkrytym celem jak plansza na strzelniczy. A jeśli ten ktoś ma broń?

– Stój, policja! – krzyknął i gwałtownie otworzył drzwi, nie wyskakując z nich jednak, wystawiając jedynie rękę z pistoletem.

Kiedy się w końcu wychylił, zobaczył jedynie plecy rosłego mężczyzny odzianego w czarną kurtkę. Usłyszał odgłos trzaśnięcia drzwiami od garażu. Zbiegł po schodach w tamtym kierunku i wyskoczył na zewnątrz. Zatrzymał się przy żywopłocie. Miał na sobie skarpetki, podkoszulek i bokserki. To nie był strój nadający się do pogoni za napastnikiem. Długo wpatrywał się w tył granatowej Astry, która z piskiem ruszyła przed chwilą sprzed domu Niny Frank. Była zbyt daleko i nie zdołał dostrzec numeru rejestracyjnego. Wydawało mu się, że widzi tylko ostatnią cyfrę – 6. Patrzył jeszcze przez chwilę za samochodem i zastanawiał się, dlaczego uciekinier wszedł od tyłu i jak dostał się bez pokonywania furtki. Musiał znać dom i kod. Meyer wszedł po kostki w śnieg i jeszcze raz zbadał żywopłot. Dopiero wtedy dostrzegł, że w jednym miejscu ktoś po prostu odkopał zaspę i przez tę lukę prześlizgnął się na posesję. To ktoś młody i wysportowany. I jeszcze jedno – ta osoba, kimkolwiek była, nawet jeśli mordercą, który wraca na miejsce zbrodni, myśląc, że w domu nikogo nie ma, musiała zaplanować to dużo wcześniej. Przygotować sobie przysłowiową dziurę

w płocie – myślał profiler. Dopiero wtedy poczuł przejmujący chłód, mokre nogi drętwiały mu z zimna. Ścisnął w dłoni pistolet i wrócił do domu tym samym garażowym wejściem. Kiedy wchodził, zauważył, że okna w jednym z domów naprzeciwko biją niebieskim światłem telewizora. Wydało mu się też, że mignęła firanka. A może to tylko złudzenie?

Wszedł do mieszkania. Zdjął mokre skarpetki i na bosaka skierował się do kuchennego zlewozmywaka, żeby je przeprać i powiesić na kaloryferze. Jego myśli zaprzętało teraz tylko pytanie: kim był tajemniczy Don Pedro? Mordercą, który wrócił na miejsce zbrodni?

Kiedy szedł powiesić skarpetki, wyczuł specyficzny zapach potu zmieszanego z intensywną wodą kolońską, która coś mu przypominała. Widocznie ktoś z jego znajomych używał podobnej. Jego wzrok padł na stolik przy sofie. Telefon był rozebrany, obudowa leżała na podłodze. Meyer zajrzał do mechanizmu i aż usiadł z wrażenia. Pluskwa! Aktorka była podsłuchiwana. Nieproszony gość przyszedł po podsłuch, który najprawdopodobniej sam zamontował. Ale nie zdążył go wyjąć...

Podejrzewał, że nie ma sensu zbierać odcisków, bo sprawca z pewnością działał w rękawiczkach. I gdyby miał czas, zabrałby urządzenie i zmontowałby telefon ponownie, ale Meyer go spłoszył. A jednak trzeba będzie to oddać do zbadania. Może dowiemy się, czy pluskwa była profesjonalna czy amatorska. Może będą jakieś ślady? Skąd ja znam ten zapach? – głowił się.

Z góry przyniósł torebki samozamykające się i zapakował do nich aparat telefoniczny. Zrobił sobie herbatę i usiadł nad aktami, wpatrując się w drobną twarz podejrzanego listonosza na zdjęciach policyjnych. Obok jego głowy była listewka z numerkami. – Niski, drobny mężczyzna – stwierdził na podstawie zdjęcia całej sylwetki. Ale to nic nie znaczy. Większość zabójców jest podobna „do nikogo”, o niepozornej fizjonomii i twarzy mijanego codziennie sąsiada. Jednak gdy czytał wyjaśnienia listonosza, który najpierw kręcił, potem odmawiał ich składania, a na koniec przyznał się, ale nie chciał opowiedzieć, jak zabijał, profiler coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to nie on. Nie cierpiał tych upartych podpowiedzi swojej intuicji, bo choć zwykle z czasem potwierdzał jej odkrycia dowodami, to pierwsze jej przebliski były niewytłumaczalne naukowo i dręczyły go swoją natrętną siłą, zmuszając do myślenia. A w tej

sprawie, która pozornie wydawała się prosta, okazało się, że tak naprawdę nadal nic nie wiadomo. Hubert Meyer był teraz pewien, że czeka go ciężka praca, a nie substytut urlopu, jak obiecywał komendant.

Około trzeciej nad ranem poczuł się bardzo zmęczony, głowa rozboleła go od skupiania się na analizie. Sprawdził dokładnie, czy wszystkie drzwi są zamknięte, choć jak się okazało, nocny gość i tak wiedział, jak się tu dostać, więc jego działania miały go raczej uspokoić niż zabezpieczyć przed ewentualną napaścią. Wszedł na górę. Zasnął z bronią w ręku. Tym razem zamiast słodkiej Kingi śnił mu się człowiek w masce uśmiechniętego głupawo jokera, który odjeżdża granatową Astrą. A potem wynik telewizyjnego totolotka, gdzie wygrana padła na 666666666. Obudził go sygnał przychodzącego SMS-a.

– Panie komisarzu, proszę przyjechać. Mamy kłopot. Eugeniusz Kula.

Rozdział 14

Mąż żąda wyjaśnień

„Miej nienaganne maniery”

Meyer wykręcił numer posterunku i zażądał połączenia z kierownikiem.

– Cieszę się, że pan odebrał. Ja to nie umiem tych „zetemesów” wysyłać, Czerwieński mi komórkę pożyczył. Ale to jednak dobry wynalazek, taki telefon przenośny. Gdyby nie nowoczesna technika, to dalej byśmy biegali z maczugami i jedli surowe mięso – nawijał Kula.

– Co się stało? – przerwał mu Meyer, bo bał się, że podkomisarz opowie mu o wszystkich swoich doświadczeniach z nowoczesną techniką.

– Tak, do rzeczy, racja. Właśnie przedzwonił do mnie mąż ofiary i żąda wpuszczenia go do mieszkania. Chciałby zabrać swoje rzeczy. Nie wiem, czy go wpuszczać, czekam na decyzję z góry. Powiedziałem mu to, ale on już jedzie. Z moich obliczeń wynika, że będzie tutaj za pół godziny. Chyba że jeździ jak baba, to za godzinę. A zresztą jest ślisko i nasze drogi, wie pan, niezbyt odśnieżone, prawdę mówiąc w ogóle na niektórych odcinkach się nie odśnieża. Wracając jednak do męża Frank, wie pan tego znanego pajacyka z telewizji, w którym kochają się wszystkie pięćdziesięciolatki, nawet moja Gala, bo taki słodki, ciu, ciu ciu, pączuszek... I grzeczny, i mądry, i języki zna, no i znany z telewizji! Oj, nie lubię ja takich facetów gładkich jak delfiny, bezplciowych. Może lepiej byłoby, gdyby pan tu był na komisariacie przed nim. A poza tym musowo...

– Mógłbym z nim pogadać, dziękuję podkomisarzu.

– No właśnie! Czyta pan w moich myślach – uradował się Kula.
– Wyspał się pan?

Hubert Meyer zamyślił się.

Mówić o nocnym gościu? Zobaczymy, co z tego wyniknie. Może później, po przesłuchaniu. To przecież mógł być mąż Niny Frank... Znał kody, przestraszył się. Teraz chce zrobić aferę, że plomby złamane. Najlepsza obrona to atak, wiadomo. To na razie nie...

– Tak, dziękuję.

– Świetnie, świetnie. Czekamy.

Meyer odkładał właśnie słuchawkę, kiedy uświadomił sobie, że przecież auto zostawił pod komisariatem. Jak ma tam dojść? Na piechotę przez pola? Rzeką?

Jeszcze raz zadzwonił na posterunek. Zajęte.

No tak. Mają tylko jedną linię, w każdym razie on zna tylko jedną. Odłożył słuchawkę, poszedł myć zęby, a wtedy z kolei jego telefon zadzwonił. Z ustami pełnymi pasty słuchał dalszego wyводу Kuli.

– Ja dzwonię do pana, a pan do mnie i dlatego wciąż zajęte – śmiał się Kula. – A przecież zapomniałem powiedzieć, że załatwiłem panu transport. Nie będzie pan szedł na piechotę taki kawał. Pół dnia by to zajęło. Podjedzie po pana Borys, syn naszej bibliotekarki, który pracuje w firmie ochroniarskiej East Securitas. Trochę gbur. Proszę nie zwracać uwagi. I był kilka razy na interwencji u Frank, z nim też warto pogadać. On widział w tym domu niejedno. Aha, odwołać w związku z tym Jurkę? Bo musiałbym go wsadzić na dołek, dla bezpieczeństwa. A to dla niego przeżycie teraz...

Meyer z trudem przelknął trochę miętowej mazi i odezwał się zmienionym głosem.

– To może niech on siedzi w domu, ja szam do niego poczem podjadę.

– Tak, tak. Pan to ma łeb – odrzekł Eugeniusz Kula. – A co to się stało z pańskim głosem, pan coś je, oparzył się pan?

Meyer wypuł na dłoń resztę piany z pasty do zębów i gwałtownie pokręcił głową.

– Byłem akurat w łazience, zęby myłem... Na razie zajmijmy się mężem ofiary. Skoro sam prosi się o przesłuchanie. A ten listonosz niech czeka.

I tak nie ma dokąd pójść, bo na niego dybią, tak? A kiedy, to znaczy, za ile będzie ten człowiek, co mnie podrzuci?

– Jak znam Borysa, to za chwilę, bo jest piekielnie punktualny. To znaczy przyjeżdża zawsze dużo wcześniej, niż trzeba. Ale poczeka, jak pan nie będzie gotów. Tylko proszę wszystko tam zostawić, jakby nikogo...

– Wiem, wiem... – westchnął Meyer i poczuł, że będzie dziś potrzebował litra kawy, żeby być skupionym. Po ciężkiej nocy czeka go jeszcze cięższy dzień.

– To ja wstawiam wodę. Kawa czy herbata? – zapytał Kula, który z kolei był wesoly jak skowronek.

– Mocna kawa z przyjemnością – ucieszył się profiler.

Kiedy tylko odłożył słuchawkę, pod bramę podjechał samochód. Meyer z przykrością stwierdził, że nie zdąży się wykąpać. Poszedł opłukać zęby, pozbierał rzeczy, założył suche i czyste skarpetki, po czym wyszedł z teczką w rękę.

Przed posesją stał srebrny espero z fioletowym szlaczkiem na bokach i nazwą firmy ochroniarskiej. Z auta wysiadł barczysty dwudziestoparolatek i skinął nieznacznie głową. Mogło to być powitanie, ale w innych okolicznościach także bandycka zaczepka. Chłopak wyglądał, jakby wychował się w blokowisku, wśród dresiarzy, a nie mieszkał na sielskiej wsi, nad Bugiem.

– Drzwi! – krzyknął zamiast powitania.

Profiler odwrócił się i przypomniał sobie, że zanim się zamknie dom, trzeba wpisać kod. Inaczej przy kolejnym wejściu włączy się syrena. Cholera, tylko trzy godziny snu, będzie dziś ciężko. W ostatniej chwili złapał skrzydło drzwi i przy wejściu wstukał kod z kartki podanej wczoraj przez Kulę. Odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał prawidłowe piknięcie i ruszył w kierunku srebrnego wozu.

Kierowca nie podał mu ręki. W ogóle zachowywał się tak, jakby przyjechał tu za karę. Owszem był uprzejmy urzędowo, ale nie można powiedzieć, by wzbudzał sympatię czy zaufanie. W lewym uchu miał słuchawkę od telefonu, a na dłoni złoty sygnet z wizerunkiem lwa. Na szyi błyszczał złoty, gruby na palec łańcuch. Od ucha do środka szyi ciągnęła się długa szrama. – Blizna po nożu – pomyślał Meyer. I nie zakrywa jej golfem czy szalikiem? Nie wstydzi się? Może przeciwnie, jest z niej dumny...

Chłopak wziął się pod boki i ze zniecierpliwienia zaczął przytupywać. Ale nie odważył się odezwać. Kiedy Meyer podszedł bliżej, Borys głową wskazał miejsce pasażera.

– Ma jakieś bagaże? – spytał, a Meyer zarejestrował, że używa „bezoso-
bowej formy grzecznościowej” jak szatniarki w Pałacu Kultury i Nauki za
komuny. Wszystko to byłoby nawet zabawne, gdyby nie pękający z bólu
leb i senność.

Komisarz Meyer odetchnął głęboko. Pokręcił głową i opadł na siedzenie
obok kierowcy. Chłopak precyzyjnie sprawdził furtkę, czy jest dokładnie
zamknięta, zerknął na posesję i z impetem usiadł za kierownicą. Wtedy
profiler poczuł ten specyficzny zapach: znajoma woda kolońska i inten-
sywny pot. Spojrzał z przerażeniem na chłopaka i ocenił jego plecy. Nie
miał stuprocentowej pewności. Ale to mógł być on. Nocny gość!

Borys, nie odzywając się, włączył radio i wewnątrz samochodu wypełniły
silne bity muzyki techno. Hubert Meyer poczuł, jakby ktoś na głowę za-
łożył mu metalowe wiadro i walił w nie prętem. Co gorsza od gwałtownej
jazdy zaczęło go mdlić. Odkręcił szybę i wystawił twarz na zewnątrz.
Chłopak przyglądał mu się z narastającym zdziwieniem.

– Czy moglibyśmy posłuchać radia? – spytał w końcu psycholog
i zerknął kątem oka na Borysa. Ten jednak nie był zdenerwowany ani nie
zachowywał się podejrzanie. Kiwnął głową i lekko krzywiąc się spytał:

– To w ogóle wyłączyć? ... Czy radio?

– Może być radio.

– Jakie? – burknął.

– Wszystko jedno. Trójka?

– Nie ma, sygnał nie dociera.

– Aha.

– Jest radio Białystok.

– Może być.

– Ale tam grają disco polo i nadają zagraniczne serwisy BBC, więc
nie słucham.

– To jakieś inne...

– RMF ma tu silny sygnał, ale nie mogę słuchać tej cycatki Christiny
Aguilery, którą wciąż puszczają. Co wybiera? – znów grzecznościowa forma
bezosobowa i jednocześnie bezlitosne kręcenie gałką radia.

Psycholog złapał się za skroń i westchnął zrezygnowany.

– Co pan chce, proszę wybrać.

– To może w ogóle bez muzyki.

– Tak, może być – odetchnął Meyer. Był zmęczony tą rozmową. Bił się z myślami.

Borys jechał w milczeniu. Stanowczy, nawet autorytarny, lubi porządek i sam chciałby decydować o wszystkim, jak nasz morderca – ocenił go Meyer, widząc, jak pewnymi ruchami zmienia biegi.

Chłopak rzeczywiście nie jest miły, ale czy jest mordercą? Nie wygląda na zaniepokojonego, ani tym bardziej wystraszonego. To nie musi być nocny gość. Może wydawało mu się z tą wodą? To jakaś projekcja? Zresztą ta woda może być tutaj krzykiem mody i większość młodzieży jej używa... Skąd jednak on sam ją zna?

Co jakiś czas przy naciskaniu sprzęgła rozlegało się specyficzne skrzypnięcie. Hubert Meyer zastanawiał się, skąd pochodzi. Zerknął na sportowe buty na plastikowej podeszwie, które miał na sobie chłopak ubrany w służbowy czarny uniform.

– Może pan do kombinezonu ochroniarza nosić adidas? – spytał.

– Eee, ja tu wszystko mogę. Tutaj i tak rzadko są interwencje. A odkąd zginęła ta aktorka, w ogóle tylko zabawy w remizach i firmy, w których nic się nie dzieje, monitorujemy. Nuda na patrolach.

– Aha – Meyer zamyślił się. Jak to możliwe, że wczorajszy gość nie zostawił śladów śniegu na podłodze w salonie. Przecież wszedł w butach. Takie adidas z pewnością nabrałyby śniegu i zostawiły mokre plamy na podłodze. A przecież on nie zauważył niczego. Mało tego: chodził bez skarpetek. Poczulby, że idzie po mokrym. Dopiero dziś to sobie uświadomił. Jeśli gość zdjął buty przed wejściem i wszedł bosy, to kiedy zdążył je założyć? Przecież uciekł w ciągu kilkadziesiąt sekund. Tak rozważając, nawet nie zauważył, że dojechał na posterunek. Kiedy wysiadał, postanowił zagrać *va banque*:

– Co to za zapach? – spytał, a chłopak spojrzał na niego z obrzydzeniem, aż profilerowi śmiać się chciało. Pewnie wziął mnie za homoseksualistę, pomyślał.

– Fahrenheit – odrzekł gbur i spojrzał na Meyera wilkiem.

– Do widzenia.

– Uhm – zamiast odpowiedzi z gardła Borysa wydobył się tylko grubiński pomruk.

Kiedy Meyer trzasnął drzwiami, ochroniarz z piskiem opon ruszył spod komisariatu i pognął w kierunku nadgranicznych wiosek.

Profiler z mętlikiem w głowie wszedł do komendy. – No tak, jasne. Ten zapach znam, bo sam go kiedyś używałem. Dostałem od Marioli. Cholera, znów ta Mariola, zdrajczyni. Ale tego nie pamiętać? Fahrenheit. Starość nie radość. Skleroza czy co? Za dużo masła! Ale co mam o tym sądzić? Czy mogę założyć, że morderca używa wody Diora? Czy to znaczy, że jeśli sam używałbym tego zapachu, siebie też brałbym pod uwagę jako potencjalnego mordercę? Absurd.

Eugeniusz Kula czekał z mocną kawą i domowym sernikiem upieczonym przez żonę. – Mamy jeszcze kilka minut. I dostałem odpowiedź z wojewódzkiej. Łysy zakazał wpuszczać męża do mieszkania. A jeśli coś chce, to niech powie, co i dlaczego mu to potrzebne.

Obok szklanki z kawą, gdzie fusów było więcej niż wody, niepostrzeżenie na talerzyku komisarza wylądował wielki kawał ciasta.

– Nie może pan mnie wciąż karmić – opierał się Meyer, ale Kula tylko wzruszył ramionami. – Cały czas nie będę. Mam już dla pana kapitalne lokum. Przydrożny motel na trasie Terespol–Lublin „Czarna woda”. Od dziś tam się będzie pan stołował. Byłem dziś rano i obejrzałem pokój. Jest wszystko, czego panu trzeba: łazienka z prysznicem, wygodne łóżko, telewizor i intymność za jedyne 36 złotych za noc. Wytargowałem, bo chcieli sześćdziesiąt. Gdzie takie ceny u nas za Bugiem! Powariowali. Dopiero, gdy zarządziłem sprawdzenie lokalu, okazało się, że właśnie mają promocję. Muszę się przyjrzeć właścicielowi. Ale standard dobry. Bardzo dobry jak na nasze warunki. Łazienka w pokoju! A lokalizacja po prostu idealna... Jakies piętnaście minut drogi.

– Świetnie – powiedział Meyer, dłubiąc w serniku.

– Coś nie ma pan apetytu.

– Mam, tylko porcja jest dla trzech osób.

– No, zwłaszcza pan powinien jeść, inaczej szare komórki nie będą pracować. A może śledzika by pan wolał? Herkules Poirot w trakcie śledztwa zawsze je rybę. To dobrze robi na myślenie. Pobudza mózg!

– Dziękuję, nie trzeba – machnął ręką Meyer i omal nie wybuchnął śmiechem. Więc Eugeniusz Kula jest miłośnikiem ksiązek Agaty Christie, proszę, proszę.

– Nie dam przecież świeżutkiego ciasta „Trąbie”. Jemu szkoda nawet okruszyny! Taka z niego zadoja... – westchnął ciężko Kula. – Ale panu to co innego! Umny z pana człek. Sam bym nie zjadł, a panu dałbym... – uśmiechnął się szeroko. Meyer śmiał się w głos.

– A wracając do Króla... – przerwał podkomisarzowi wywód. Okrągła rumiana twarz natychmiast przybrała wyraz powagi.

– Tak, tak... Znów zadzwonił jakieś piętnaście minut temu i był wściekły. Mówił, że w mieszkaniu są dokumenty niezbędne mu do pracy. I on ma w dupie plomby – przepraszam, tak się wyraził. Generalnie musi się tam dostać. Zaczął ze mną rozmawiać jak z jakimś obszczyrkiem, więc go ustawiłem do pionu. Szacunek musi być. Więc stanowczo, używając odpowiedniego paragrafu, uprzedziłem go, że będzie ponownie przesłuchany. Wtedy wpadł w panikę. Zaczął się wycofywać: to może my mu wysłemy ten dokument, to tylko jedna kartka. A on wróci do Warszawy. A w ogóle to na jakiej podstawie chcemy znów z nim rozmawiać. Przecież był przesłuchiwany. To dla niego trauma itepe itede...

– Przestraszył się?

– I to jak! Krzyczał, w jakim charakterze, i co ja sobie wyobrażam. Przecież sprawca już aresztowany.

– No tak, oficjalnie listonosz jest podejrzany.

– Właśnie. Jurka Ponczek za to bardzo pragnie się z panem spotkać. Twierdzi, że policjanci, którzy go przesłuchiwali, bili go po piętach, żeby nie zostawić śladów. Brednie, znam tego kombinatora i zaręczam, że to bujda. Ale czeka na pana. I jego matka też. Ona lubi sobie pogadać, musi być pan bezwzględny. I nie dać się nabrać na jej płacze. Ona na zawołanie roni łzy.

– Będę uważał – przytaknął grzecznie profiler i dyskretnie odsunął od siebie talerzyk z niedojedzonym ciastkiem. Ale oczywiście nie umknęło to uwagi Eugeniusza Kuli.

– Źle się pan czuje? Kawy jeszcze? Coś wygląda pan mizernie. Może ta „Oaza” wczoraj...

– No, trochę chyba za dużo tego wszystkiego jak na start – powiedział Hubert Meyer i ugryzł się w język.

Kula pociągnął węża i dodał:

– No wie pan, my z za Buga mamy inne głowy. Mocniejsze, bo blisko ruskich... – poklepał się po czaszce.

Meyer bał się, że Kula zacznie mówić o tym, ile on i ludzie stąd potrafią wypić, więc zawczasu przerwał. Uczył się powoli, jak pracować z Kulą. Trzeba mu szybko dawać pracę. Wtedy nie plecie, co mu ślina na język przyniesie. Faktem jest jednak, że tutaj on nie ma z kim rozmawiać. A jak znalazł słuchacza, to się na nim wyżywa... Tylko dlaczego akurat padło na mnie...

– Panie Eugeniuszu, czy nie znalazłby pan informacji o pewnej osobie – przerwał Meyer i wyciągnął plik żółtych karteczek. – Nazwisko: Agnieszka Nalewajko, urodzona: 19 luty 1970?

– Imiona rodziców pan zna?

– Tak, ale nie mam przy sobie. Chyba że...

Włączył laptop i znalazł zdjęcie jednego ze świadectw wygrzebanych w kartonowym pudle na strychu Niny Frank. Podał imiona rodziców, a także adres znaleziony na innym dokumencie. Podkomisarz Kula zanotował te informacje na opakowaniu od czekolady.

– Czy ta osoba ma związek z naszą sprawą? – spytał.

– Nie wiem – wzruszył ramionami profiler. – To właśnie chciałbym dzięki pańskiej pomocy ustalić.

– Hm... Znam to nazwisko – nerwowo strzepywał popiół z papierosa Kula. Zaraz też chwycił słuchawkę i zadzwonił do jakiegoś policjanta.

– Cześć Andrusza! Jak żona? Tak? To gratuluję! Nareszcie syn! To dobrze, bo myślałem, że oszalejesz w tym babińcu. Ha, ha, ha – roześmiał się. – A u mnie spokój. Od sprawy aktorki nic się nie dzieje. Jakoś przetrwaliśmy nalot waśniaków z wojewódzkiej. No, ten sam! Taki łysy, w płaszczu. Okropne indywiduum. Prosbę mam, no... – wyluszczył, o co chodzi i kogo szukają. Podał adres. – Jak to na kiedy? Na już! Bardzo pilne. Tak? Czuwaj.

Odłożył słuchawkę.

– Załatwione. Wasia znajdzie i przedzwoni. Wyśle człowieka pod ten adres i zrobią wywiad środowiskowy. No, co jeszcze? Działać, działać! – zatarł ręce z zadowolenia.

– A mówił pan do niego Andrusza... – spytał zbity z tropu profiler.

– Tak, bo on ma na imię Andrzej, a na nazwisko Wasilewski. Więc wszyscy nazywają go Wasia, jak to rosyjskie imię, wie pan... – roześmiał się szef posterunku.

Meyer zastanawiał się chwilę nad tą pokrętną logiką, kiedy Kula dodał już poważnie:

– On też kojarzy nazwisko Nalewajko. Mówi, że była taka nauczycielka. Już nie żyje. Może to jej rodzina?

Zaświeciło się światelko w telefonie i policjanci dostali informację, że czeka pan Mariusz Król. – No to do dzieła! – klasnął w dłonie Kula i otworzył przed Meyerem drzwi.

Kiedy schodzili schodami do dyżurki z daleka obserwowali wysokiego, postawnego prezentera, z włosami świeżo ułożonymi brylantyną. Efekt idealnie gładkiej cery, wypielęgnowanej jak pupcia niemowlaka, psuł biały plaster przyklejony w krzyżyk na samym środku lewego policzka.

– W jakiej sprawie? – oficjalnie pytał Trembowiecki, wykorzystując w tym momencie całą posiadaną władzę posterunkowego.

Nie podniósł nawet głowy znad papierów, bo zajmował się właśnie swoim ulubionym zajęciem: buchalterią. Z wysuniętym nieznacznie koniuszkiem języka pieczołowicie wpisywał dane prezentera do książki gości. Ale gdy tylko zobaczył Kulę i Meyera, wstał, stanął na baczność i zasalutował. Komisarz na ten widok omal nie wybuchnął śmiechem.

– Witam pana. Podkomisarz Eugeniusz Kula – kierownik posterunku wyciągnął rękę do gościa. – To ze mną pan rozmawiał.

Mariusz Król speszył się. Poprawił marynarkę i ledwie musnął szorstką dłoń policjanta.

Kula powstrzymał się od komentarza i porównania z mężczyznami-delfinami. – Moja żona ogląda pański teleturniej... – powiedział, by rozładować napiętą atmosferę. Ale prezenter jeszcze bardziej spiął się w sobie. Zwłaszcza, kiedy witał się z Meyerem. Nie patrzył na niego, opuścił wzrok na czubki swoich wypolerowanych butów.

Kuli wydało się, że – jak w książkach – zobaczył strach w jego oczach.

– Przyjechałem tylko po moją umowę. Jest w dokumentach Niki. Może nie będę panom robił kłopotu... – dukał niepewnie.

– Może przejdziemy do pokoju przesłuchań? – zaproponował komisarz Meyer. Kula skinął głową i wskazał drzwi sąsiedniego pomieszczenia.

– U nas, na wsi, warunki są siermiężne – miało być usprawiedliwienie, a wyszło, jakby kierownik mówił z dumą. – Napije się pan kawy?

– Nie, ja się bardzo śpieszę! Tylko ten dokument chciałem zabrać. I kilka rzeczy osobistych.

– Spokojnie, zdążymy. I tak komisarz chce z panem porozmawiać...

– Nie, dziękuję.

Kula nie wiedział, czy prezydent dziękuje za kawę, czy za rozmowę.

I tak będziesz musiał, mój ty „Dzidzi Amorozo”, pomyślał szef posterunku i zwrócił się do Meyera. – A pan?

– Kawy, jeśli wolno – odpowiedział i usiadł przy stoliku, tyłem do okna. Światło padało na jego plecy. Twarz ginęła w cieniu. Naprzeciwko stało drugie krzesło, które gestem dłoni wskazał prezydentowi. Oprócz chybotliwego stolika to były wszystkie sprzęty w tym pomieszczeniu.

Mariusz Król usiadł z wrodzoną elegancją, zawczasu sprawdzając czyistość krzesła. W świetle słonecznym, wpadającym przez brudną szybę, Meyer dostrzegł oprócz plastra na jego twarzy więcej uszczerbków. Ranki były już prawie zagojone. Zostało tylko największe, żółtawobrazowe znamię pod okiem, którego Meyer nie zauważył w ciemnym korytarzu, bo siniak był bardzo dokładnie przypudrowany. Zrozumiał, dlaczego twarz mężczyzny wydawała się tak dziwnie gładka jak maska. On miał makijaż! – dotarło do Huberta Meyera. Wstał i wyszedł na korytarz.

– Da pan nam godzinkę? – spytał szeptem kierownika Kulę.

– Na osobności? – zaniepokoił się szef posterunku. Widać liczył, że będzie uczestniczył w przesłuchaniu.

– Tak. A potem chciałbym pogadać z panem – Meyer rozgrywał to dyplomatycznie.

– Jakby coś się działo, proszę wołać, będę w pobliżu – trzasnął obcasami Kula.

– Dziękuję.

– I jeszcze jedno – Meyer zawiesił głos.

Kula od razu wyczuł, że to coś ważnego.

– Zamieniam się w słuch – powiedział.

– Niech pan sprawdzi jego wóz. Wie pan, opony, marka, ile mandatów i gdzie wręczane. I porówna to z...

– Oczywiście – oczy podkomisarza aż się zaświeciły.

– I warto byłoby się dowiedzieć, czy to jego jedyne auto. Może ma inne, służbowe. Droższe... Uda się panu? – spytał szeptem profiler.

– Spróbuję, choć jestem tylko kierownikiem posterunku. Ale... zobaczymy, co się da zrobić – obiecał Kula. Obejrzał się na dyżurnego i zauważył napięte spojrzenie Trembowieckiego. Dla niepoznaki zakaszlał kilka razy. Meyer uśmiechnął się i bezszelestnie wrócił do pokoju przesłuchań.

– Za ile mamy zebranie patroli społecznych? – huknął Eugeniusz Kula do podsłuchującego posterunkowego. Ten zerknął na zegarek i poinformował, że za niecałą godzinę. Natychmiast pochylił głowę nad książką wejść i wyjść.

– Tak, tak. Świetnie... To pilnujcie, żeby pan komisarz miał spokój. Jak przyjadą władze, od razu ich do mnie kierować! Czerwieńskiii! – krzyknął gromko.

Nikt nie przybiegł.

– Ma dziś wolne... w nocy był... – nieśmiało wtrącił Trembowiecki.
– Zamieniliśmy się wczoraj.

– Aha – nagle zbity z tropu kierownik aż zmarszczył czoło. Podrapał się po lysej czaszce. – Trudno, trudno. Tak... zamieniliście się... To zadzwonić do niego na komórkę! I łączyć do gabinetu!

Po kwadransie Czerwieński przyjechał z aparatem i razem z Kulą dokładnie oglądali wóz prezentera oraz fotografowali poszczególne jego części. – Romek, tam zobacz! – wydawał polecenia Eugeniusz Kula.

Posterunkowy leżał pod wozem, by znaleźć dobre ujęcie bieźnika. Alojzy Trembowiecki z dyżurki obserwował ich działania z ciężkim sercem. Gorączkowo zastanawiał się, o co właściwie chodzi? Czuł się okropnie. Wykluczony, odsunięty od ważnej pracy, jakby był wiejskim głupkiem, który nic nie rozumie. I to dlaczego? Szef ubrał sobie, że jest niegodny zaufania, bo robi błędy ortograficzne. Rosła w nim złość na Kulę, Czerwieńskiego i ludzi, którzy go tu skierowali na pierwszy patrol. – Dlaczego woła Czerwieńskiego, skoro ja jestem na służbie! Przecież fotografowanie

nie jest trudne, też mógłbym pomóc – prawie się rozplakał. Zazdrościł koledze, ale nie miał śmiałości się zbuntować. Nie rozumiał, dlaczego to tamten jest pupilkiem, a nie on. Przecież stara się, toleruje to wszystko, nawet łamanie przepisów...

Tak bardzo chciał, by Kula też brał go do poważniejszej roboty niż pilnowanie pijanych Lendzionów. Musi się wykazać – postanowił. Tylko jak?

– Jest mi przykro z powodu śmierci pańskiej żony – zaczął Meyer.

– Proszę się nie denerwować. Ja jestem psychologiem, nie aresztuję nikogo. To robota dla detektywów. Moim zadaniem jest stworzyć psychologiczny profil nieznanego sprawcy, więc potrzebuję pańskiej pomocy w poznaniu życia i osobowości ofiary. Czy pan mnie rozumie? To nie będzie typowe przesłuchanie, raczej wywiad. Wymaga pańskiej zgody... i aktywnej współpracy.

– Tak, oczywiście zgadzam się. Ja myślałem, że coś się zmieniło... Wie pan, że mnie aresztujecie... A ja mam wieczorem nagranie. Dlatego się zdenerwowałem. W końcu mi też zależy na zatrzymaniu sprawcy... Kochałem żonę.

Meyer bacznie obserwował prezentera. Był coraz bardziej przekonany, że mąż aktorki kłamie. A przynajmniej coś ukrywa. Ani razu nie powiedział o żonie z czułością, po imieniu. Najwyżej „ona”. Kiedy stwierdził, że kochał Ninę Frank, jego oczy automatycznie powędrowały na stół. Łże i boi się. To pewne. Boi o własny tyłek. I słusznie! Ma duże szanse, by trafić do więzienia. Skoro twierdzi, że jest niewinny, to skąd ten strach?

– Proszę mi opowiedzieć, jak wyglądał pański dzień dwudziesty lutego? Co się działo? Po kolei.

– Nic się nie działo. Siedzieliśmy sobie w domu. Leniwa niedziela. Telewizor, scrabble, obiad. Wie pan, pokłóciliśmy się dopiero wieczorem. Ona była pijana, często piła. I brała jakieś leki na uspokojenie, ale zamiast pomagać, tylko wyprowadzały ją z równowagi. Wpadła w szal, kopła mnie i drapała. Połamała sobie paznokcie, a ja byłem jak poorany... Więc, kiedy rzuciła się na mnie z nożem, próbowałem ją obezwładnić. Rzuciłem na podłogę, uderzyłem...

W tym momencie odpiął koszulę i pokazał opatrunek na przedramieniu. Ku zdziwieniu profiler a odkleił go i pokazał. Rana była mała, ale dość głęboka.

– Ciężko się goi. Miałem szczęście, że na czas odskoczyłem i wyrwałem jej nóż... – kontynuował Król. A profiler zanotował w pamięci, że mężczyzna opowiadając skupia się na sobie i własnym cierpieniu, jednocześnie patrzy daleko w przestrzeń. Jakby recytował opracowaną historię. Meyer, pouczył sam siebie profiler, nie zapominaj o tym, co przeczytałeś – to też aktor. I to po wyższej szkole. Tyle że zrobił karierę jako gadająca głowa w teleturnieju, a nie w filmie. A jeśli to jego zawód, może właśnie teraz ogrywać rolę zaszczutego małżonka.

– Ta kłótnia i walka trwała długo?

– Może godzinę. Potem się kochaliśmy.

– Kochaliście... To dlaczego wyjechał pan po 23?

– Żonie skończyły się papierosy – powiedział bez namysłu prezydent.

– Tak? – spytał Meyer. Był przekonany, że Król wymyślił to na oczekaniu. Przecież jeszcze dziś w nocy Meyer był w mieszkaniu Frank i widział zapas papierosów w szafce.

– Pan pali?

– Nie, nigdy nie próbowałem.

„To dlatego nie zauważyłeś kartonu mentoli”, pomyślał Meyer.

– A nie prosił pan, by żona rzuciła palenie. To niezdrowe.

– Często się o to kłóciliśmy. Zwłaszcza jak paliła w sypialni, a ja musiałem w dymie zasypiać. Zresztą dostawałem od tego alergii.

– I mimo to zgodził się pan jechać kilkanaście kilometrów po spożyciu alkoholu, by kupić żonie papierosy?

Prezydent aż się zapowietrzył.

– Chciałem ją udobruchać. Wie pan, jak to po małżeńskiej kłótni – zaśmiał się sztucznie.

– Może lepiej byłoby opatrzeć jej rany, siniaki. Była po tej waszej kłótni dotkliwie potłuczona... I lekarz stwierdził gwałt. To nie było miłosne uniesienie...

– Dobrze, powiem panu – Król podniósł głos. Zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pomieszczeniu.

– Proszę usiąść i uspokoić się.

Król nie słuchał. Wpadł w furię. Krzyczał. Ręce mu drżały.

– To ona zaczęła! Często prowokowała kłótnie. Tym razem była agresywna, więc mnie poniosło. I żeby ją uspokoić, rzuciłem ją na podłogę, a kochaliśmy się owszem dość brutalnie, ale ona tak lubiła.

– Proszę usiąść!

– Tak, już – jakby opamiętał się i zawstydził porywczo wygłoszonej myśli. – Zresztą nie było innej możliwości, żeby nad nią zapanować. Sam nie wiem, jak to się stało. Po prostu zrobiłem to. Początkowo się broniła, płakała, biła mnie i rozdrapywała mi plecy.

– Był pan rozebrany?

– Zdarła ze mnie koszulę. Chyba ja też rozdarłem jej ubranie. Walczyliśmy ze sobą, ale potem uległa. W prawdziwy szal wpadłem po wszystkim. Śmiała się histerycznie i krzyczała wulgarne wyrazy. Uderzyłem ją pięścią. Przestraszyłem się swojej reakcji, bo dotąd nie wyprowadzała mnie tak z równowagi. Dlatego wziąłem kluczyki i wyjechałem. Nie mogłem znieść upokorzenia. Kiedy wychodziłem, leżała jeszcze na podłodze skulona i szeptala, że mnie przeklina. Rozumie pan, wyrzuciła mnie, kazała się wynosić. Nie pomyślałem, że to się może tak potoczyć. Nie miałem głowy... nie zdążyłem zabrać psa ani rzeczy osobistych.

– Psa?

– Cybant to był mój pies... – teraz profiler zobaczył prawdziwy smutek na twarzy mężczyzny. – Gdybym go zabrał...

Meyer nie mógł uwierzyć. Facet prawie płacze z powodu psa. Bardziej żałuje, że zginął pies niż jego własna żona. Jak on jej musiał nienawidzić!

– Klóciliście się o pieniądze czy o pana zdradę?

– O jedno i drugie. Ja mam narzeczoną, to pan wie. Cała Polska już wie i pewnie stracę z tego powodu w sondażach. Bo zamiast płakać po zakonnicy Joannie próbuję stworzyć nową rodzinę. Ewa spodziewa się dziecka, a ja marzyłem o córeczce. Chciałem rozwodu, już od roku się z nią klóciłem.

– Z Niną?

– Tak. Ale ona się upierała, że z orzeczeniem winy. Mojej, rzecz jasna. No i majątek. Twierdziła na przykład, że dom w całości należy do niej i nie mam do niego prawa, choć ja też wyłożyłem niemało na ten remont. To była ruina. Wszystko trzeba było zbudować od nowa. Prosiłem, żebyśmy kupili działkę w lepszej lokalizacji, ale z jakiegoś powodu

jej na tym miejscu tak strasznie zależało. Tłumaczyłem, że to zadupie. Może lepiej gdzieś w Zakopanem, nad morzem... Uparła się, nie dało się jej tego wyperswadować. Pomyślałem więc, że w sumie to będzie dobre miejsce na letnie przyjęcia. Blisko do Warszawy, ładnie w lecie. Zacząłem zapraszać gości. Ona znów się wściekała. Nie można jej było dogodzić. Mówiła, że to jej azyl i mam wypierdalać. Przepraszam, ale ona tak do mnie mówiła. Nie była wcale tą słodką panienką z serialu, naprawdę. Ile ja z nią przeżyłem! Ile wstydu się najadłem. Kilka razy jej kariera wisiała na włosku. Ratowałem ją własnymi znajomościami. Ryzykowałem głową. A ona odplącała mi wrogością i cynizmem. Wtedy spotkałem Ewę. Kiedy się dowiedziała, że Ewa jest w ciąży, bardzo się ucieszyła. Wiedziała już, że ma mnie w szachu i teraz po prostu odejdę. Oddam jej dom, a z kolei mój apartament chciała dzielić na pół. Klóciliśmy się straszliwie, a publicznie udawaliśmy zgodną parę. Nasze małżeństwo było fikcją. Przez pewien czas rozmawialiśmy jedynie przez prawników.

– Czyli mówi pan, że żona nie była uległym aniołkiem?

– W życiu! Była sprytna i kiedy ktoś się jej sprzeciwiał albo próbował narzucić swoją wolę, krzyczała i atakowała.

– Krzyczała? Atakowała?

– O Jezu, jak! Potrafiła być naprawdę agresywna – potrząsnął obandażowaną ręką.

– A tutaj? Jaki miała stosunek do tutejszych?

– W ogóle się nie integrowała. Nie przyjmowała gości. Lubiła być sama. W ogóle sama czuła się najszcześniejsza. Miała te swoje słabsze dni, kiedy zatapiała się w chandrze, a czasem bywała duszą towarzystwa.

– Kogo tutaj znała? Kogo mogła wpuścić do mieszkania?

– Nie wiem, chyba nikogo. Była ostrożna.

Nagle prezydent zamyślił się i spojrzał na Meyera.

– Wie pan, ja mam wyrzuty sumienia, że ją zostawiłem w takim stanie. Ale nie zabiłem jej. Jak sobie pomyślę... To potworność. Wtedy, w nerwach, owszem byłem brutalny, szczerze jej nienawidziłem, ale nie włożyłbym jej butelki, no wie pan... Proszę na mnie spojrzeć – rozłożył ręce.

Meyer patrzył na wydelikaczonego prezentera i nie mógł uwierzyć, że dokonał tak brutalnego gwałtu i pobicia. Sekcja wykazała, że większość

ran powstała kilkanaście godzin przed śmiercią. Te rozliczne siniaki, nie od jednego ciosu pięścią, ale zadawane przez męża wielokrotnie, na oślep: w twarz, klatkę piersiową, plecy, nogi. Kopał ją. Gwałcił, wykręcając ręce, aż zwichnął palec. Po takiej bójkę musiało ją wszystko boleć. Być może wymagała opieki lekarza. Dopiero po śmierci była podrapana zbitą butelką, tzw. tulipanem, i uderzana czymś tępym, na przykład deską.

Jak więc ma wierzyć temu mężczyźnie, skoro już podczas awantury o pieniądze dziewczyna cudem uszła z życiem. Rana od noża u niego jest bez porównania mniejsza niż ta, którą ujawniono na jej ciele. Skąd ma wiedzieć, czy rzeczywiście, jak twierdzi Kula i Łusy, wydelikacyony mąż nie wrócił i nie dokończył dzieła rano? Znal dom, kody do alarmu, zresztą nawet jeśli nie otworzyłaby mu drzwi, miał klucze. I motyw. Jak sam przyznaje, szczerze jej nienawidził. Prawie zrujnowała jego karierę, zniszczyła życie osobiste. Zabrała godność, pozbawiła męskiego honoru.

– Co pan zrobił, kiedy wyjechał z Mielnika?

– Zeznałem już. Jeździłem bez celu, w kółko. Przespałem kilka godzin w samochodzie i wróciłem, myśląc, że ona śpi. Ale światło się świeciło. Wiedziałem, że mnie nie wpuści. Pojechałem do Warszawy.

– Widziano pański samochód nad ranem... Nie ma pan alibi, że wrócił do stolicy?

– Tylko rachunek ze stacji benzynowej. Nie chciałem budzić Ewy, pojechałem do swojego mieszkania. Naprawdę, ja bym tego nie zrobił – zarzekał się.

Komisarz Meyer patrzył na tego człowieka z niedowierzaniem. Jak ktoś o rękach pianisty mógł brutalnie zgwałcić własną żonę, zwichnąć jej rękę, złamać palce... A skoro tak, mógł też zabić. Widział już wielu takich zakamuflowanych pod płaszczykiem grzecznego chłopca psychopatów.

Prezentera bardzo niepokoiło milczenie psychologa. Nerwowo się kręcił na skrzypiącym krześle, startł niewidoczne okruszki ze stołu, poprawił marynarkę, jeszcze raz zapiął guziki. Dotknął upudrowanego sińca i stwierdził, że się błyszczy, choć nie miał lusterka. Po czym, jak kobieta, wyjął chusteczkę i delikatnie dotknął nią twarzy. Pozwolił, by nagromadzony na powierzchni skóry tłuszcz wchłonął się w bibułkę. „Pedant. Lubi porządek” – pomyślał psycholog.

Po zbrodni z pewnością umyłby podłogę i wrzucił brudne szmaty do kubła. Przykryłby zmasakrowaną twarz żony, bo miałby wyrzuty sumienia i choć już jej nie kochał, to wciąż była mu bliska. Gwałt nie był aktem seksualnym, jak uparcie utrzymuje, ale próbą zdominowania, podporządkowania ofiary. Pokazania jej i sobie, że traktuje ją jak przedmiot. A on przecież od roku miał kłopot ze zbuntowaną, niezależną kobietą, która traktowała go instrumentalnie. To ona decydowała o wszystkim w ich życiu prywatnym i zawodowym. On musiał się podporządkować. Złość i nienawiść nosił w sobie, tak jak poczucie niższości, świadomość przegranej, że to ona wyrosła na gwiazdę.

„A przecież to ja miałem błyszczeć na firmamencie” – teraz Meyer myślał jak Król. Stał się nim z tamtej nocy, w którym powoli narasta napięcie nie do zniesienia.

Ono z każdym dniem jest coraz bardziej uciążliwe. Przeszkadza żyć. Jest jak napełniany powietrzem balon, który musi pęknąć.

Nienawidził żony, a musiał z nią chodzić po odbiór nagród filmowych dla najpopularniejszej aktorki, najbardziej lubianej. Zepchnęła go we własny cień. Nie tak miało być! – ślub z nią brał, by wspiąć się jeszcze wyżej, na sam szczyt popularności.

„Co ona ze mnie zrobiła? Jestem nikiem! Muszę się jej pozbyć, żeby przestała przyćmiewać mnie swoim blaskiem. Jeszcze mnie upokarza, żąda pieniędzy. Nie przejęła się, że ją zdradzam. W ogóle jej to nie poruszyło. Nie cierpi, nie płacze. Ja jej nie obchodzę. Ona ma mnie za śmiecia, za nic! Tak mnie to irytuje, że rządzi mną jakaś kobieta, która wspięła się na moich plecach na gwiazdę, która na dodatek gardzi mną. Śmieje się ze mnie. Krzyczy, gdy tylko staram się postawić na swoim. A ja przecież nienawidzę krzyków. Nie wiem, jak się zachowam któregoś razu. Mówiłem, że nie wytrzymam. Balon jest coraz większy, coraz trudniej mi się opanować”.

Aż w końcu Król, podczas jednej z rozlicznych awantur, nie jest w stanie wytrzymać dłużej napięcia. Chce je wyrzucić, pozbyć się. Balon pęka. Zabija Nikę. Działa jak w amoku. Masakruje zwłoki. Palce pianisty chwytają różne przedmioty. Zadają ciosy z nieludzką siłą, wzmocnione nienawiścią. Szał typowy dla maniaków seksualnych. Bo mamy tu do czynienia z podłożem seksualnym.

„Gwałt, którego dokonałem, nie zaspokoił mnie. Wręcz przeciwnie, czuję się jeszcze bardziej upokorzony. Dopiero zadawanie jej bólu, krzywdzenie, poniżanie – jak wkładanie do pochwy znalezionych pod ręką przedmiotów. W końcu uduszenie... Poczucie tych przedśmiertnych drgawek, jak przy orgazmie, daje uwolnienie tego koszmarnego napięcia. Tak, teraz czuję się dobrze, spełniony, silny, mocny. I co? Kto wygrał? Ostrzegalem cię! Teraz jesteś kupą mięsa, bez twarzy.

Ojej, jaki tu bałagan. Muszę to posprzątać. Przecież nie mogę tak zostawić naszego domu. Co z jej ciałem? Nie zostawię przecież w garażu żony. Dostała za swoje, teraz ja jestem górą. Ale jednak zaniosę ją do sypialni. Tak! Chciałaś być aktorką, więc umrzesz jak aktorka. Marylin Monroe też znaleziono martwą we własnym łóżku. Cieszysz się? Robię ci przysługę. Powinnaś być mi wdzięczna. Ale ta butelka... Fuj, okropność. Jak to się stało? To moje dzieło? Tak! Teraz ja panuję. Mam władzę. Twoja twarz nie przypomina już tej ślicznotki... Gdybyś nie sprzeciwiała mi się, być może nie musiałbym cię karać. Ale nie mogę na to patrzeć. Ta twarz, miazga z krwi, kości i mięsa. To jednak była moja żona... Rzucę na nią tę szmatę. Ty też jesteś szmatą. To twoja prawdziwa twarz, szmato. Tak, a teraz sprzątanie. Ale jeszcze chwilę posiedzę i odetchnę. Ponapawam się spokojem. Jaki to nowy stan! Nareszcie spokój. Nareszcie!”

– Czy moglibyśmy być w kontakcie? – przerwał ciszę Meyer. Król podał mu wizytówkę i lekko się uśmiechnął. Odetchnął z ulgą, że to już koniec przesłuchania. Był pewien, że rozwiązał wszelkie wątpliwości psychologa.

– Mogę teraz podjechać do domu? – zapytał.

– Zawołam podkomisarza. – Ale chyba będzie pan musiał poczekać. Nie wolno tam wchodzić. A czego pan dokładnie potrzebuje, jeśli można spytać?

Mariusz Król zgarbił się: – Mój kontrakt – odrzekł niepewnie. – Jest w dokumentach, w dolnej szufladzie komody. Chciałbym jeszcze kilka koszul, buty z garażu i ten aparat telefoniczny, bo w nowym mieszkaniu nie mamy, a ten jest zabytkowy...

Meyer wzdrygnął się.

– Zabytkowy aparat z salonu? – powtórzył z naciskiem, nie spuszczając wzroku z prezentera.

– Nie wiem, czy to będzie możliwe. To dowód w sprawie.

Król wściekł się.

– Przecież już zebrano wszystkie odciski! Ja nie mogę nawet odebrać swojej własności. To łamanie praw człowieka. Na co wy sobie pozwalacie!
– krzyczał wymachując rękami.

Meyer był przekonany, że pod maską wściekłości mężczyzna ukrywa przerażenie. Dlatego nie potrafi zapanować nad swoimi emocjami.

Patrzył na niego oniemiały. Nie mógł się nadziwić, jak w jednej chwili ze spokojnego, wydawałoby się, mężczyzny, z łatwością zmienia się w ogarniętą szaleńczą i agresywną postać. Na pomoc przyszedł mu Kula, który usłyszał krzyki.

– Już skończyliśmy – powiedział spokojnie profiler. – Pan Król chciałby odzyskać swój kontrakt, bo chyba dowodów rzeczowych nie możemy wydać do czasu wyroku, prawda? – zwrócił się do Eugeniusza Kuli. Akcentował każde wypowiedziane słowo.

Kierownik posterunku w mig się zorientował, co psycholog sugeruje.

– Wyślemy panu ten kontrakt pocztą. Proszę powiedzieć dyżurnemu, gdzie go szukać – odrzekł oficjalnie.

Prezenter poderwał się z krzesła i w kilka chwil znalazł przy wyjściu.

– Zadzwoń do pana zwierzchnika. Zobaczymy, co on na tę samowolę. Zażądam wyjaśnień na piśmie – rzucił na odchodne.

Zabrzmiało jak groźba, co podkomisarza Kulę omal nie wyprowadziło z równowagi. Jednak dzielnie powstrzymał się od odparcia ataku.

– Do widzenia – odpowiedział spokojnie, ale sączył słowa przez zaciśnięte usta. – Jest pan wolny. Na razie.

Wskazał mu drzwi.

Rozdział 15

Nika to Aga

„Bądź bezgranicznie ciekawy. Pytaj często, «dlaczego»”

Pokój, który po promocyjnej cenie „załatwił” podkomisarz Kula, znajdował się w skrzydle budynku bez okien. Pensjonat „Czarna woda”, położony przy samej szosie Lublin–Terespol, był dziwnym tworem projektanta amatora i właściciela w jednej osobie – tajemniczego pana Dzabały, który chciał przyszczędzić, nie inwestując w drogie plastikowe framugi, i dzięki temu zafundował swoim gościom prawdziwą psychodelię w centrum puszczy. A jednocześnie na ścianie, w której powinno się znajdować okno, powieszono zasłony i firanki. Profiler odkrył oszustwo dopiero, gdy chciał otworzyć lufcik, bo od dymu papierosowego w pomieszczeniu zrobiło się aż siwo.

– Cóż – wzruszył ramionami. – Czego tu oczekiwać?

W końcu na tej trasie zatrzymują się jedynie TIR-owcy jadący do Terespoła, dziwki, ich alfonsi i przemytnicy. Turyści wybierają raczej pensjonaty nad rzeką, które w zimie są nieczynne. Meyer żałował, że nie ma okna, bo chciał popatrzeć na księżyc, gwiazdy i poobserwować snujące się po pokrytych śniegiem polach mgły. Były inne od wszystkich, jakie kiedykolwiek widział w życiu. I przydawały tej przygranicznej okolicy mrocznej tajemniczości, choć pozornie nic się tutaj nie działo. Ale cisza panująca wszędzie była jak upiorne czekanie w jednym pokoju na atak człowieka z nożem. Nie wiadomo, z której strony padnie cios.

Tak, to morderstwo jest jak ruska matryoszka. Wyjmujesz jedną kolorowaną babę, a okazuje się, że wewnątrz jest druga, a w niej następna.

„Co znajdę w tej najmniejszej i czy uda mi się ją otworzyć” – myślał psycholog, kiedy jechał do swojego hotelu późną nocą.

Meyer wiedział, że zanim stworzy profil nieznanego sprawcy, musi odpowiedzieć sobie na trzy podstawowe pytania: Jak? Dlaczego? Kto? Odsunął komputer i mrużąc oczy zapalił papierosa.

Na pierwsze pytanie: „Jak morderca dokonał zbrodni?”, odpowiedzi udzielał sam sprawca, który pozostawił po sobie mnóstwo śladów zgromadzonych na miejscu zdarzenia. Nie tylko odciski palców, ślady spermy, włosy, ślina na niedopałkach. Ale też sposób ułożenia zwłok, przemieszczanie ich, zadane ciosy...

– Jeśli nie ma śladów, to dla psychologa ważna wskazówka. Znaczy, że zbrodnia została dokładnie zaplanowana – pamiętał słowa Johna Douglasa.

Tutaj śladów było mnóstwo. Ciosy były chaotyczne, zadawane w szale. Nie miał do czynienia z mordercą seryjnym. A jeśli, to była jego pierwsza zbrodnia.

Zabójca bez problemu wszedł do domu Frank. Nie było śladów włamania. Ofiara musiała go znać. Ale jednocześnie zaskoczył ją, bo napuszczała sobie właśnie wodę do wanny. Nie zdążyła zakręcić kurków. Wdał się z nią w rozmowę w garażu i tam właśnie zaatakował. Musieli się tam znaleźć oboje. Może ją zawołał? Może sama weszła do garażu? Najpierw ogłuszył ją tępym narzędziem, ale nieudolnie, bo nawet nie upadła – ślady krwi spływały po ścianie i kapwały z dużej wysokości. Meyer sprawdził w aktach fakturę plam. A także przez pół godziny ślęczał na kolanach w garażu Niny Frank i pod szkłem powiększającym obserwował „wypustki” małych kraterów. To znaczyło, że krew skapywała z co najmniej metra. Ofiara nie upadła, tego był pewien. Morderca musiał ją trzymać w pionie i uderzać jej głową o ścianę – o tym świadczą z kolei płaskie rozbryzgi zaschniętej krwi na tynku o średnicy około dziesięciu centymetrów na wysokości poniżej 170 cm. Zresztą na potylicy Niny Frank zidentyfikowano rany tłuczone i fragmenty szarej farby, tej z garażu na ścianach. Sprawca musiał być niższy, ale silniejszy od ofiary. Kiedy straciła przytomność, pociągnął ją za nogi do sypialni. Brunatna ścieżka w salonie powstała w wyniku krwawienia z czaszki. Kobieta jeszcze żyła.

Ułożył ją na łóżku i stłukł butelkę o szafkę. Zabezpieczono rozbite szkło, ale nie szyjkę butelki, popularnie zwaną tulipanem. To nim, precyzyjnie rysował na jej ciele krwawe ścieżki. Robił to z namaszczeniem. Sprawiało mu przyjemność, że zadaje jej ból. Kiedy się ocknęła i zaczęła wyrывać, próbował ją związać pończochą leżącą pod łóżkiem, ale nie udało mu się. Wściekły rozmiął jej twarz tym samym tępym narzędziem, którego także nie zidentyfikowano. Złamał ofierze nos i kości żuchwy, oczodoły musiały być zapuchnięte, a spływająca krew zalewała jej oczy. Znow omdlała. Jeszcze żyła, być może błagała o litość, kiedy wsadził jej do pochwy butelkę. Butelka pod soku o średnicy siedmiu centymetrów. Poszedł po nią do kuchni? Wziął ją z pokoju? Przyniósł ze sobą? Pozostałe opróżnione i walające się butelki były po alkoholu: winie, ginie. Dziwne.

Ciężko amatorowi zabić człowieka. Choć walka o życie Niny Frank trwała już pół godziny, nadal nie zadał jej śmiertelnych ciosów, jedynie dręczył ją i zadawał jej ból. Ofiara wyrывała się i próbowała uciec. Wtedy chwycił ją za gardło i udusił jakimś cienkim drutem, może pończochą? Nie, to musiało być coś twardego. Kabel od telefonu? Od wideo? Ale w sypialni nie było nawet radia... Sznur od bielizny? Kiedy poczuł, że ofiara się nie rusza, zaczął drapać tulipanem pomiędzy jej piersiami (w miejscu serca?), robił to z zapamiętaniem, z dużą siłą. Rozorał przestrzeń pomiędzy piersiami, aż do pępka. Kiedy ją znaleziono, skóra była rozszarpana, jakby darł poszewkę od poduszki, a nie ciało człowieka. Wyjął lub wyrwał kolczyk (jeśli tam był?), miejsce wokół pozostawił niezmasakrowane. Dlaczego? Po wszystkim usiadł na łóżku i najprawdopodobniej patrzył na swoje dzieło.

Zdjął z kobiety zakrwawiony szlafrok, zostawił ją nagą z rozłożonymi nogami. Wydarte miejsce na klatce piersiowej nakrył prześcieradłem. Może chciał jej wyrwać serce, ale nie potrafił? Był przerażony, czego się dopuścił, ale jednocześnie ogarnął go spokój. Teraz już działał metodycznie.

W ciszy usłyszał ciekącą wodę w łazience, więc poszedł zakręcić kurki. Być może zostawił tam swoje odciski? Posprzątał po sobie. Zabrał narzędzia zbrodni: tępe, którym ogłuszał i walił po twarzy, „tulipana”, którym wyrysował na ciele paski, a także sznur, którym udusił ofiarę. Był to kawałek specyficznego materiału: twardy, gruby, o średnicy co najmniej centymetra. Tak mocno nim ścisnął, że zgniół jej tchawicę i przelyk. Po-

tem wszedł do salonu i umył podłogę. Działał już w rękawiczkach – nie zabezpieczono więc żadnych śladów (skąd wziął rękawiczki?). Wszystko, czego dotykał, szlafrok, a także szmaty, którymi sprzątał, wyrzucił do kubła na śmieci. Salon nie nosił żadnych znamion przestępstwa. Jakby starał się, żeby akurat tam było czysto. Dlaczego?

Dlaczego zabił? Tutaj już przydaje się kompilacja wiedzy psychologicznej i kryminalistyki. Z pewnością pałał do niej nienawiścią. Może do odtwarzanej przez nią postaci w filmie? Być może w ogóle pogardzał kobietami. Ale nie zaplanował zbrodni. Nie przyszedł, by zabić. To ona swoim zachowaniem wyzwoliła jego agresję. Krzyczała. Nie była bierna. Przeklinała. Im głośniej wołała o pomoc, im bardziej się broniła, tym mocniej uderzał. Krzyk! Sprawca musi reagować na krzyk. To powoduje w nim lęk. Może w jego domu na niego krzyczano, może rodzice się kłócili, awanturowali. Dlaczego wybrał akurat aktorkę? Według badań ofiara prawie nigdy nie jest przypadkowa. Morderca przed zbrodnią obserwował ją lub znał bliżej. Nawet zabójca, który zaczyna się w parku, tylko pozornie wybiera przypadkową osobę. W jego ręce trafia ta, która w jakimś stopniu spełnia jego oczekiwania. Może przypomina mu kogoś z wyglądu (włosy, twarz, sposób poruszania się), może jej zawód – tutaj aktorka, jako symbol kobiecości i niewinności (postać grana przez Ninę Frank – mniszka), może zachowanie – agresywna, wulgarna, pijana. W tym przypadku morderca bardzo wiele o niej wiedział. Znał jej przyzwyczajenia, miejsce zamieszkania, życiorys. Nawet, jeśli tylko wyczytał to w prasie. Znał ją choćby z widzenia. Ale dlaczego zmasakrował jej twarz? Znow ten sam wniosek: miał z nią kontakt i musiał mieć do niej stosunek emocjonalny, darzyć ją uczuciem. Zabójstwo było nieprzewidywanym zwrotem akcji. Przyszedł w innym celu. Seksualnym? Zawodowo? Uszkadzając jej twarz, chciał zanegować własny kontakt z ofiarą. To przejaw jego mechanizmów obronnych. Być może zawiódł się na niej, na jej wizerunku, na niej jako osobie bliskiej. I jednocześnie miał poczucie winy, jeśli można w ogóle tutaj o tym mówić. Raczej chciał „anulować” zabójstwo, a nawet zadośćuczynić ofierze. To dlatego przykrył jej twarz. To, że zostawił ją nagą, z rozłożonymi nogami, świadczy, że chciał ją jednocześnie upokorzyć, ośmieszyć. Pastwił się nad nią po śmierci...

Próbował symbolicznie wydrzeć jej serce... Tak zwany „overkill”, czyli nadzabijanie, i jednocześnie nieodbywanie stosunku płciowego. Zwykle oznacza to podświadomy lęk przed kobietami i przed własną niesprawnością seksualną. Czyżby został skrzywdzony przez matkę? Oszukany, poniżany w dzieciństwie?

Dlaczego umieścił w pochwie butelkę? To potrzeba sprawowania całkowitej kontroli i władzy. Zabijał, bo to dostarczało mu silnych doznań seksualnych, robił to dla wzbudzenia i utrzymania popędu. Nie zgwałcił jej, ale użył butelki. Być może tylko w ten sposób mógł dostarczyć sobie satysfakcji. Może nie jest w stanie odbyć stosunku? Może jest impotentem? W każdym razie to sadysta. Już wcześniej musiały go podniecać sadystyczne praktyki seksualne: potrzeba całkowitej władzy, ranienia i upokarzania partnera. Może był karany za podobne przestępstwa. Może bił i podduszał swoje kobiety. Może używał do stosunków przedmiotów, bo nie był w stanie w normalny sposób zaspokoić siebie i partnerki?

Z tego samego powodu udusił. Jego zachowanie było wynikiem działania bardzo silnych emocji związanych z niezaspokojeniem popędu. Podczas agonii w wyniku uduszenia, kiedy brakuje tlenu, ciało człowieka wpada w drgawki przypominające orgazm. Sprawca dzięki temu mógł poczuć satysfakcję seksualną. Ten rodzaj zbrodni wybierają sprawcy jako substytut stosunku.

Na razie odpowiedź na trzecie, kluczowe pytanie: „Kto zabił?”, profiler zostawił sobie na później. Musiał to wszystko jeszcze raz przeanalizować, poukładać. Potrzebował więcej danych o samej ofierze. Życie Niny Frank to klucz do wyjaśnienia zagadki jej śmierci. Zastanowił się nad nowymi informacjami, zgromadzonymi dzisiejszego dnia. Mąż Niny Frank kłamie. Coś ukrywa. Co? Może ten podsłuch? Czy coś jeszcze... Listonosz dopiero po czterech godzinach zawiadomił policję. Dlaczego wszedł do domu i zabrał część garderoby? I najciekawsza nowina z dziś. Wasia dowiedział się, że Agnieszka Nalewajko to córka szanowanej nauczycielki z Siemiatycz, która umarła siedem lat temu na raka. Dziewczyna kilka lat przed jej śmiercią uciekła z domu. Była w ciąży. Wróciła do rodzinnej miejscowości dwa dni po pogrzebie matki już jako Nina Frank. To dlatego znana aktorka kupiła sobie dworek nad Bugiem. Z sentymentu. Nigdy

nie odwiedziła rodziny ojca, ale wysyłała do nich paczki z jedzeniem, prezentami i pieniądze pod pseudonimem. Ale ojciec sprawdził u znajomej w banku, do kogo należy konto, z którego przychodzą przelewy pieniężne. I zamarł – nadawcą jest Nina Frank. Znana aktorka. Nie wiedział, jak to rozumieć, co nie przeszkadzało mu w przyjmowaniu prezentów. Z czasem zaczął podejrzewać, że to jego córka. Ale nigdy nie nawiązał kontaktu. To było zbyt nieprawdopodobne.

Meyer otworzył akta i ponownie zaczął czytać wyniki sekcji. Nie zgadzało mu się stężenie lekarstw we krwi aktorki. Jeśli miałyby tyle benzodiazepin w żołądku, zasnęłyby na dwanaście godzin albo dłużej i nie otworzyłyby drzwi mordercy. Chyba że drzwi były otwarte. Ale tym bardziej nie miałyby sił stać o własnych nogach w garażu. A już na pewno krzyczeć i walczyć. Chwycił telefon i napisał sms-a.

Czyżby morderca to jej znajomy z dawnych czasów? Może to nie mąż, ale kolega ze szkoły?

Listonosza też nie mógł wykluczyć. Zwłaszcza ten silny, negatywny związek z matką, brak dobrego męskiego wzorca w dzieciństwie... Brak stałego zatrudnienia, nie licząc ostatniej pracy-szansy doręczyciela. I aktorka go znała.

Komisarz Meyer uchylił drzwi do korytarza. Chciał wypuścić trochę dymu, bo czuł, że zaraz się udusi. Rozpiął pierwszy guzik niebieskiej koszuli. Aż wzдрыgnął się, gdy z rozmyślań wyrwał go dzwonek komórki.

– Hubert?

– Ja. A do kogo dzwonisz?

– Czemu jest taki pogłos, masz podsłuch?– zażartował Janek, spec od elektroniki i aparatury podsłuchowej w katowickiej komendzie wojewódzkiej.

– Mieszkam w dziwnym miejscu. Klocek z betonu, bez okien. To pewnie dlatego... – zaśmiał się Meyer i chwycił zapalniczkę.

– Prosiłeś o tę analizę. Zabytkowy telefon, a w nim maleńka pluskiewka...

– I co?

– Wiesz, te odciski... Oczywiście nie udało się ich zidentyfikować. Ale podsłuch był montowany przez fachowca. I to pewnie kogoś z naszych. Jest jednak coś innego, co cię pewnie zainteresuje.

– No? Mów. Jesteś tak podniecony, że to coś naprawdę ciekaw...

Zamilkł. Usłyszał kroki na korytarzu, jakby skradanie się. Spojrzał na zegarek. Dochodziła 21.30. Podbiegł do drzwi i stanął za nimi, tak by móc zobaczyć, kim jest człowiek, który – miał przecucie – ma coś na sumieniu.

– Halo – odezwał się Janek. – Halo, Hubert... Słyszysz mnie?

Profiler wzdrygnął się. Był przekonany, że ten na korytarzu także usłyszał wołanie Janka. Jednym ruchem wyłączył komórkę. Ale zanim profiler poradził sobie z telefonem i wyjrzał zza drzwi, przybysz już schował się w swoim pokoju. Meyer rozejrzał się – nie miał pojęcia, w którym pokoju zniknął człowiek-kot. Psycholog zamknął swój pokój od wewnątrz, jeszcze raz nacisnął klamkę, żeby sprawdzić, i wykręcił numer Janka. Wzruszył ramionami. – Dostaję tu paranoi – zganiał się za zbytnią podejrzliwość.

– No jestem. Przepraszam, tu czasem nie ma zasięgu – skłamał.

– Widzę, że nie jesteś zbytnio zainteresowany moimi informacjami...

– Gadasz jak baba. Zaraz zażądasz, żebym cię pochwalił!

– Pewnie! I bądź pewien, że pochwalisz – śmiał się Janek. – Więc zba-
dałem cały telefon, nie tylko pluskwę. Wiesz, że lubię zagadki. Okazało się, że oprócz tego urządzenia, które widziałeś i przekazałeś do analizy, było... – Janek teatralnie zawiesił głos.

– No? – poganiał go niecierpliwie Meyer.

– No zgadnij...

– Drugie urządzenie podsłuchowe?

– Daj spokój, Hubert! Mogłeś choć raz strzelić pudło. Człowiek nie ma szans z tą twoją pieprzoną intuicją! Zepsułeś mi całą przyjemność.

– Przestań. I mów w końcu – śmiał się profiler i z podniecenia zaczął chodzić w kółko.

– Tak, druga pluskwa. Tym razem zamontowana przez amatora. Wyjęta siłą, dlatego zostały ślady.

– O kurwa... Matrioszka...

– Słucham?

– Janek, masz u mnie flaszkę. Jesteś mistrzunio.

– Co jest, Hubert? Jaka matroszka?

– Na razie. Muszę kończyć. Wyślesz mi tę ekspertyzę? Dzięki... – słyszał, jak to mówi, ale już był daleko od tej informacji.

Teraz miał tylko jeden plan. Chwytał klucze od domu Niny Frank. Bogu dzięki, że nie zdążył ich oddać Eugeniuszowi Kuli. Długim, zapyziałym korytarzem pognął do wyjścia z „Czarnej Wody”. Żeby wyjść z hotelu, trzeba było iść labiryntem. Schodzić w dół, potem znów w górę. Minąć korytarz z cienkiej dykty, potem wnęki obite plastikową boazerią, przejść obok restauracji stylizowanej na kolejowy Wars. Co jakiś czas, nad drzwiami łączącymi korytarze, Meyer widział kwadratowe jarzeniówki z namalowanym uciekającym człowieczkiem. Wyjście awaryjne – dopóki mijał je, wiedział, że idzie w dobrym kierunku. Pierwsza świetlówka, najbliższej jego pokoju, bzyczała jednostajnie. Bzzzzzzzzz – słyszał i ciarki chodziły mu po plecach, bo oprócz tego niepokojącego odgłosu panowała tu ta ponura, tutejsza cisza. Idąc śladem uciekających ludzików, czuł się trochę jak harcerz, który ma zdobyć nową sprawność. W końcu poczuł powiew świeżego powietrza. Dotarł do recepcji. Przez otwarte drzwi do hotelu wdzierало się przenikliwe zimno. Profiler czuł, jak mróz szczypie go w policzki. Meyer opatulił się płaszczem i pobiegł do samochodu. Ale w połowie drogi zawrócił, jakby czegoś zapomniał, i jeszcze raz musiał pokonać labirynt. Kiedy minął bzyzczącą niepokojąco świetlówkę, wyciągnął klucz z kieszeni i już miał wkładać go do zamka, nagle świetlówka zgasła. Bzyczenie umilkło, jakby ktoś przeciął nożem kabel. Ciemność i cisza potęgowała strach. Profiler trzęsącymi się rękoma, po omacku, szukał dziurki od klucza. Jakimś cudem się udało, przekręcił. Wszedł do pokoju.

Spocone ręce wytarł o spodnie. Poszperał w torbie, posiedział chwilę na tapczanie i znów wyszedł. Ciemność, długi labirynt i ten cholerny niepokój. Co z tobą! – ganił się w duchu i coraz silniej czuł mrowienie na plecach. Ruszył, ale po chwili zawrócił. Płochliwie schował się w pokoju. Myślał nawet, czy nie przełożyć wyprawy. Ale gdy trzasnęły drzwi, światło nagle zaalało korytarz i znów rozległo się znajome bzyczenie. Prawie biegiem ruszył w stronę wyjścia.

– Mogę u pani kupić czerwone marlborki? – spytał nadętą, jak napętniony balon, recepcjonistkę. Regularne loczki, sztuczne jak tania peruka,

nadawały jej grubej twarzy wygląd jednej z brzydkich sióstr Kopciuszka. Właśnie napełniła usta jedzeniem i wpatrywała się w ekran pod ladą. Bardzo powoli zwróciła głowę w kierunku komisarza. W oczach miała pustkę. Jakby mówił do niej w obcym języku. Zapach podgrzanych przed chwilą w mikrofalówce gotowanych ziemniaków i starego kotleta uświadomił Meyerowi, że jest głodny jak wilk. Kiedy patrzył, jak Gruba gryzie kwaszonego ogórka, mlaszcze i oblizuje tłuszcz z mięsistych warg, przełknął ślinę. Miał ochotę zabrać jej ogórka i zjeść całego, tylko po to, żeby w końcu przestała jeść. Restauracja pewnie już nieczynna, pomyślał, bo zobaczył w kącie brudny plastikowy pojemnik próżniowy. Musiała przynieść obiad z domu. Gruba właśnie głośno siorbnęła nieokreśloną ciecz z wyszczerbionego kubka z napisem: „STERN – pewna przyszłość, luksusowa terażniejszość”, gdy do lady podszedł drobny mężczyzna. Skórzana kurtka, którą miał na sobie, nosiła ślady wieloletniego używania. Włosy miał posmarowane czymś błyszczącym. Kobieta bez słowa wydała mu klucz z numerem 239. Odwrócił się plecami do profiler, ale nie od razu ruszył w głąb labiryntu. Otworzył klapę teczki i czegoś w niej szukał. Wszystkie ruchy wykonywał precyzyjnie, jak robot. Meyer zwrócił uwagę na zawartość teczki: równo poskładane kartki, notatniki i jakieś urządzenia.

– Halo! Papierosy? Ma pani? – spytał ponownie.

Gruba pokręciła głową zirytowana, że przeszkadza jej w jedzeniu i odrzekła piskliwie.

– Na stacji.

– Co na stacji?

– Można kupić – znów siorbnęła. Profiler zobaczył rozdarłe opakowanie „koperkowej” Knorra. Przełknął ślinę.

– Gdzie ta stacja?

Odgryzła kawałek mięsa i jedno z włókien ugrzęzło pomiędzy zębami. Wydłubała je paznokciem i trzymając w dłoni, zaczęła tłumaczyć:

– To siedem kilometrów stąd. Prosto, na Lublin. Potem w lewo, na Czarnuszkę i w prawo. Jest pan na trasie do Białegostoku. Potem w prawo i jeszcze raz w lewo, koło spalonej remizy. Tam jest najbliższa stacja.

Hubert Meyer westchnął ciężko.

– Chyba dziś nie będą palił. Podobno to zdrowo – rzucił głośniejszym głosem i rozejrzył się, czy facet z teczka i brylantyną na włosach to słyszy, ale go już nie było. Jakby znikł.

Już ponad godzinę Meyer przetrząsał pudła na strychu Frank. Pod ręką miał broń i był gotów w każdej chwili zaatakować intruza. Nie krył się swoją obecnością, zapalił światło i z zapamiętaniem przeszukiwał, kartka po kartce, kolejne szpargały. Szukał odpowiedzi na dręczące go pytanie.

Kiedy odnalazł podarte na małe kawałki i sklezione przezroczystą taśmą zdjęcie mężczyzny z wąsami trzymającego na ramionach kilkuletnią dziewczynkę, wbił wzrok w oczy małej.

– To pewnie mała Agnieszka Nalewajko. Mała Nina Frank. Agnieszka. Nina. Aga. Nika – chodził w kółko i palił mentolowego vogue’a, którego zabrał z szafki denatki.

– Dlaczego tak trzymałaś to w tajemnicy?

Kiedy sięgał po kolejnego cienkiego papierosa i skupiał na metamorfizie dziewczyny z małego miasteczka w wielką gwiazdę, jego uwagę zwróciła stara książka obłożona folią, z dokładnie namalowanym numerem na grzbiecie. Nie pasowała do tego luksusowego miejsca. Zwłaszcza prawosławny krzyż na okładce. „Podzielone serca” – przeczytał. Przewertował strony i przeczytał, że prawie sześćdziesiąt lat temu na szosie we wsi Tokary postawiono szlaban granicy państwa.

„Podzielił on drogę i las. Rozpołowił wieś, parafię i losy ludzkie na dwie części. Tym sposobem niektóre rodziny znalazły się po polskiej stronie, inne po białoruskiej. Los wielkiej wsi Tokary, liczącej ponad dwieście domów, stał się symbolem bezwzględnej polityki. Niektóre rodziny nie widziały się ze sobą do dziś. Zwłaszcza po wejściu Polski do Unii Europejskiej mieszkańcy Tokar po białoruskiej stronie mają kłopoty z odwiedzaniem się, a nawet przyjazdami na rodzinne groby. Na terenie Polski w uroczysku Tokary stanęła cerkiew ikony Wszech Skorbiaszczych Radost’ z 1912 roku (przeniesiona z innego miejsca prawosławnego kultu). A wtedy w guszy trysnęło święte źródelko”.

Przerwał czytanie. Dlaczego znana z grzechów Nika Frank interesowała się historią prawosławnej wsi? Jakby w odpowiedzi okładki książki

otworzyły się w miejscu białej pieczęci gminnej biblioteki w Mielniku nad Bugiem. Czyżby gwiazda odwiedzała bibliotekę? A ten Borys, kafar z łańcuchem i blizną na szyi, nie był synem bibliotekarki? Czy bibliotekarka знаła Nikę Frank? Losy wszystkich postaci splatają się w tym domu. Domu gwiazdy, która podobno się nie integrowała i była samotnicą. Wiadać każdy tutaj ma własny sekret. Tylko ja nic nie rozumiem. I zamiast badać zbrodnię, wyciągam po omacku porwane nitki z kłębka. Gdzie jest węzeł? – dedukował.

Schowal książkę do kieszeni płaszcza. Ruszył z powrotem do pudeł. – Nika, nie za dużo tych tajemnic? – zwrócił się do zdjęcia nad biurkiem. Patrzyła na niego kobieta z burzą czarnych włosów. Jeden z kącików jej ust był podniesiony, jakby powstrzymywała wybuch śmiechu. Miał wrażenie, że za chwilę udzieli mu odpowiedzi. Zobaczył kasety z filmami wideo. Na ich grzbietach czytał tytuły podpisane odręcznymi bazgrołami: „Urodziny”, „Telekamera”, „Przyjęcie w dworku”. Zgarnął z półki tyle kaset, ile był w stanie chwycić i położył to na własnym płaszczu. Zabierze je ze sobą.

Na dnie jednego z kartonów znalazł kalendarz z 1987 roku, wypełniony w całości niewyraźnym pismem, niemal maczkiem lekarskim, tak zupełnie niepodobnym do pisma z zeszytów szkolnych. Na górze każdej kartki z hieroglifami zanotowano datę i godzinę. Dziennik Agnieszki Nalewajko, domyślił się. Przewertował z przodu. Czytał na wrywki i ziewał. Dziewczyna szczegółowo opisywała, co jadła, ile spała, jaką ocenę dostała, jaką jutro założy sukienkę. Okraszała te informacje swoimi przemyśleniami i rozterkami. W połowie notatnika zaczęły się pikantne opisy scen seksualnych. Jako kochanek pojawiał się nieokreślony bliżej J. Tu Meyer się ożywił. Czasem inicjał J. zdobył w małe serduszko, czasem w gwiazdkę. Na jednej ze stron znalazł wycięte z gazety i przyklejone plastrem zdjęcie mężczyzny. Był dość przystojny, stał na mównicy w garniturze. Miał około czterdziestki. Meyer wpatrywał się w czarno-białą niewyraźną fotografię z lokalnego dziennika i zastanawiał się, kim jest ten człowiek. Czy to właśnie J. uprawiał seks z nastoletnią Niką? Odwrócił zeszyt i na końcu znalazł mapy kontynentów, nieużywane, jeszcze fabrycznie sklezione. Kiedy niechcący rozdarł jedną z nich, wypadł kawałek papieru opakowany w folię – nierozdarte kartki utworzyły kopertę, w której zawieruszył się ten pasek z dwiema niebieskimi liniami.

– Co to jest? – zerknął na zegarek. Znów późno. Jak ten czas leci. Zabrał kasety, książkę i pamiętnik, po czym opuścił dom Frank. Kiedy wstukiwał kod, zastanawiał się, dlaczego ją podsłuchiowano. I dlaczego aż dwóm osobom zależało na jej kontroli? Kto założył pierwszą pluskwę? Ten, kto montował drugą, musiał wiedzieć o pierwszej. Czy ta sama osoba ją podglądała? Kto zamontował kamerę i po co? Gdzie są nagrania? Dlaczego swoją zmianę nazwiska aktorka tak pieczołowicie ukrywała. To przecież musiało dostać się do prasy, a nie pamiętał, by ktokolwiek mówił o tym, że Nina Frank to jedynie pseudonim sceniczny. I dlaczego poczciwa wdowa z biblioteki nie powiedziała Kuli, że kontaktowała się z aktorką?

Zanim dotarł do hotelu, zmarł okrutnie. Dłonie niemal przymarzły mu do kierownicy, palce u stóp zamieniły się w sople lodu. To niewiarygodne, ale w nowiutkim samochodzie służbowym, który przydzielił mu komendant, wysiadło ogrzewanie. Meyer próbował sam siebie przekonywać, że nie prześladuje go pech. W końcu, kiedy pracował nad sprawą pod kryptonimem „Skóra” i szukał „seryjniaka” z Pomorza, dręczył go z kolei niemiłosierny upał. Wtedy nie miał samochodu w ogóle – Anka pojechała z dziećmi nad morze. Żeby tylko rozwikłał sprawę, burmistrz oddał mu swoją ekskluzywną limuzynę. W dwa dni objechał trzy województwa i stworzył profil, który pozwolił detektywom ująć groźnego przestępcę w ciągu dwóch dni. Teraz, kiedy stał od półgodziny pod prysznicem, próbując rozgrzać się pod gorącą wodą, przypomniał sobie, co myślał: „Klimatyzowany samochód w taki upał to był strzał w dziesiątkę.”

Rozdział 16

Kazirodztwo

„Przestań mieć pretensje do innych.
Bierz odpowiedzialność za każdy swój krok”

*K*limatyzowany samochód w taki upał to był strzał w dziesiątkę. Siedziałam z tyłu i co jakiś czas wpatrywałam się we własne odbicie we wstecznym lusterku. Jakub też w nie zerkał niby przypadkowo. Nieskończoną ilość razy ciszał radio i rozmawiał przez komórkę o sprawach tak dla mnie odległych, że nie jestem w stanie ci tego powtórzyć. Padaly jakieś nazwiska, niektóre znane z telewizji. Ale kto był kim, nie bardzo się orientowałam – o polityce wiedziałam jedynie, jak nazywa się prezydent, premier i kilku najbardziej groteskowych posłów. A wiedza o społeczeństwie wydawała mi się tak nudnym i nieużytecznym przedmiotem, że na sprawdzianie ściągnęłam wszystko od kolegi i natychmiast zapomniałam. Wpatrywałam się w okno i słuchałam muzyki, a kiedy znów dzwonił telefon, włączałam się, zatapiając w miłym letargu. Dolatywały jedynie fragmenty jego wypowiedzi. Jakub mówił, żeby w takim razie zmienić rzecznika albo popracować nad poprawką do projektu, bo inaczej nie kupi tego jakiś przewodniczący. Było to tak abstrakcyjne, że zastanawiałam się, co ten facet robi z nami. Z niemłodą już kobietą z prowincji i jej córką. Na co liczy? Co z tego ma? Nie byłam głupia, sam rozumiesz, że wydawało mi się to co najmniej podejrzane.

Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i usiedliśmy na metalowych krzeselkach przy kawie. Matka opowiedziała jakąś historyjkę z przeszłości i oboje wybuchnęli szczerym śmiechem. Patrzyłam na Jakuba i pomyślałam mimowolnie, że jak na takiego starego faceta niezłe się trzyma. Może od tych sportów, które uprawiał?

Uroczę miał te kurze łapki, kiedy mrużył oczy w uśmiechu. Na plastikowej tacy kelnerka przyniosła kawę w szklankach, herbatę dla mnie i domowe ciastka. Matka odmówiła, więc zjadłam też jej porcję. Spytałam, czy mogę dokupić soczek, bo strasznie chciało mi się pić. Jakub podszedł do lady i zamówił to, co chciałam. Oczywiście sprawił mi tym przyjemność – to takie subtelności, które są jasne jedynie dla niej i dla niego. Dla nikogo z zewnątrz. I takich właśnie drobiazgów mieliśmy na koncie całą masę. Matka ich nie dostrzegała, była zbyt zapatrzona w niego. Nie dopuszczała nawet takich podejrzeń.

Nie będę ci wymieniać tych szczegółików, bo szkoda czasu, można powiedzieć ogólnie – flirtowaliśmy sobie. Kiedy wrócił, jakoś tak niezdarnie opadł na krzesło i jego kolano niechcący oparło się o moje. Nie odsunęłam się. Spojrzał czujnie na matkę, ale nie zabrał nogi. Po chwili przycisnął mocniej. Nie patrzyłam na niego i udawałam, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego, choć zrobiło mi się gorąco. Potem zjadłam mu kawałek pączka i roześmiałam się figlarnie. – Ale masz apetyt, przecież w domu nie jadasz słodyczy – zdziwiła się matka. Wzruszyłam ramionami i poszłam do łazienki. Czulałam, że ta gra mnie coraz bardziej wciąga. Kiedy wróciłam, rozmawiał przez telefon, a matka oglądała swoje paznokcie.

– Niestety będę musiał trochę popracować – zwrócił się do niej, gdy usiadłam i potrząsałam bezmyślnie pustym pudełkiem po soczku. – Zakwateruję was w hotelu i spotkamy się wieczorem.

Skinęła smutno głową.

Hotel okazał się małym pensjonatem nad samą plażą. Jakub mieszkał jednak gdzieś indziej, razem ze swoimi kolegami z pracy. Oczywiście dla niego był to wyjazd służbowy. Wyjął nasze bagaże i cmoknął w policzek matkę. Widziałam, jak odprowadza go do auta zakochanym wzrokiem. Złapałam się, że robię to samo. Stałyśmy tam jak dwie Penelopy, starsza i młodsza, więc żeby zatrzeć to wrażenie, krzyknęłam:

– Idziemy nad morze. A wieczorem potańczymy!

– Ja nie... Ale ty idź, jak chcesz – odpowiedziała. – Tylko nie wracaj późno.

– Przed północą. Jak na Kopciuszka przystało.

Miałyśmy apartament z dwoma pokojami. Matka najpierw poszła się wykąpać, ja włączyłam telewizor i rozsiadłam się na kanapie. Nogi położyłam na stole i przerzucałam kanały. Kiedy zadzwonił telefon, matka stała pod prysznicem, więc odebrałam.

– Halo?

– Aga? – zdziwił się Jakub. – Zarezerwowałem stolik w restauracji. Może chcesz pójść z nami?

– Nie będę wam przeszkadzać, wieczorem idę do dyskoteki. Ale bawcie się dobrze. Tylko opiekuj się mamą, ona ma słabą głowę – zażartowałam.

– Spójrz, jak to się zmienia. Śmieszne, kiedyś ona mnie pilnowała... I pamiętaj, jeśli stanie się jej krzywda, będziesz miał ze mną do czynienia – udawałam groźną.

Śmiał się. Mieliliśmy podobne poczucie humoru. Przed wyjazdem do Sopotu widzieliśmy się już kilka razy. Raz nawet przyjechałam do Warszawy, bo Jakub poradził mi spróbować swoich sił jako modelka, zanim zostanę znaną aktorką. Wystąpił moje zdjęcia i podobno się mną zainteresowali. Pojechałam na rozmowę, chcieli mnie zobaczyć, zmierzyć. Szef agencji truł o tym, że praca modelki jest fascynująca, ale muszę dbać o szkołę. Pokazałam świadectwa i opowiedziałam o zajęciach dodatkowych, którymi do tej pory katowała mnie matka.

– Jesteś już trochę za dorosła, prawie siedemnaście lat... , ale masz za to dobrze poukładane w głowie – skomentował agent i obiecał załatwienie jakiejś prostej sesji na początek. Dopiero wtedy ma się okazać, czy się nadaję. Czy mam do tego dryg, czy aparat mnie lubi.

Ale ja już i tak byłam szczęśliwa. Warszawa, wielkie miasto, pełne świateł i pędzących samochodów. Tramwaje, metro, wszystko takie wielkie. Wiesz, wydawało mi się wtedy, że jestem w środku mrowiska. Zwłaszcza że po tej rozmowie w agencji Jakub zabrał mnie do Mc Donald's i Galerii Centrum. Masa modnych ubrań i ich ceny oszotały mnie. Biegałam w kółko kręcąc głową i zdejmowałam z wieszaków kolejne zdobycze. Śmiał się, patrząc na moją radość. Kazał wybrać, co mi się podoba i zapłacił kartą za moje dzinsy, sukienkę i kilka bluzeczek. Czulałam, że los się do mnie uśmiechnął i teraz już świat stoi przede mną otworem. Z niecierpliwością czekałam na telefon z agencji. Matka – do tej pory sceptyczna – miała dbać o moje finanse.

– No to cześć – powiedziałam, słysząc, że odgłosy z łazienki cichną.

– Do zobaczenia – odpowiedział trochę zasmucony i odłożył słuchawkę. Nie pozdrowił mamy ani nie poprosił jej do telefonu, choć wiedział przecież, że czeka na jakiś sygnał od niego. Podskoczyłam do góry z radości i zakręciłam pirueta.

– Idziecie do restauracji, zakochane gołąbki – poinformowałam matkę, kiedy świeża i pachnąca wyszła z zaparowanego pomieszczenia. Rozpromieniła się.

No, a teraz podbijemy plażę! – krzyknęłam wymachując rącznikiem i stanikiem w kwiatki.

Zapatrzyłam się na całującą się parę w środku parkietu. Myślałam wyłącznie o tym, że moja matka właśnie pije wino i patrzy maślanym wzrokiem na Jakuba, a ja jestem tutaj kompletnie sama. Chłopak w moim wieku tańczył przede mną i mrugał zalotnie. Próbował mnie poderwać i może jeszcze trzy miesiące temu podjąłabym wyzwanie. Dziś czekałam tylko, aż minie północ, i z głową pełną marzeń, wrócę do swego łóżka. Obciągnęłam króciutką dżinsową spódniczkę i bawiłam się kolczykiem. Ze studni myśli wyrwał mnie barman, stawiając przede mną różowego Brezзера. – Ja nie zamawiałam! – obruszyłam się. Pokazał palcem na mężczyznę w wieku około 25 lat, który pomachał do mnie ręką.

Był dość dobrze zbudowany. Błyskał sygnetem.

– Nie piję – przesunęłam butelkę w kierunku barmana. I pociągnęłam przez słomkę tyk swojego soku. Wzruszył ramionami.

Po chwili przystojniak podszedł do mnie i usiadł obok.

– Taka ładna dziewczyna i sama?

Zemdlilo mnie od tak banalnego wstępu.

– Czekałam na kogoś.

Popijał leniwie drinka.

– Popląsamy? – przeslizgnął się wzrokiem po moich nogach.

– Nie, dziękuję – omiotłam spojrzeniem parkiet.

– Masz piękne oczy – nie poddawał się ten obok.

– Jak gwiazdy? – zaśmiałam się cynicznie. – I do tego bogate wnętrze – dośladłam.

Na dłuższą metę mógł być dość męczący. Chciałam się już przenieść w inne miejsce przy barze, gdy w drzwiach zobaczyłam Jakuba. Rozglądał się. W tym tłumie młodzieży wyglądał okropnie staro. Natychmiast odwróciłam się do przystojniaka.

– Zastanowiłam się. Może jednak zatańczymy...

Poprowadził mnie za rękę na środek, tam gdzie przed chwilą obserwowałam parę moich rówieśników. Zaczął podrygiwać w rytm muzyki, a ja patrzyłam beznamiętnie i czułam, że moje ciało jest zeszywniałe i niechętnie. Przymknęłam oczy i wsłuchałam się w piskliwy głos piosenkarki. Leniwe dźwięki, przetykane mocnymi bitami wyznaczały harmonię ruchów moich bioder. Powoli, bardzo

powoli stapałam się z muzyką, zaczęłam nawet prowokacyjnie poruszać rękami i co jakiś czas wydymać usta w kierunku mojego partnera. I wiesz, dopiero kiedy otworzyłam oczy i w tłumie zobaczyłam przyglądającego mi się Jakuba, jakby ktoś podładował mi baterie. Moje ciało stało się giętkie. Zaczęłam je czuć. Przytuliłam się plecami do przystojniaka i kręciłam pupą kółka nie dotykając go jednak. Ten wydawał pomruki zadowolenia i cmokał z aprobatą. Nie trzeba go było dłużej zachęcać. Podjął moje wyzwanie i podczas kolejnego numeru nasz taniec przerodził się w zmysłowy trans, z którego nie chciałam wcale wychodzić. Pozwoliłam mu położyć rękę na swoim brzuchu, a potem muskać delikatnie piersi i czułam się jak bogini, która zarządza czasem i przestrzenią. Ale chcę, żebyś wiedział, że gość, z którym tańczyłam, nie istniał dla mnie, tańczyłam ze sobą, licząc, że Jakub to widzi. Przystojniak w pewnym momencie obrócił mnie, zetknęliśmy się niemal twarzami. Muzyka zwolniła, romantyczne wibracje zalały parkiet i ludzie potworzyli pary. Wtedy przycisnął mnie do siebie. Prowadził despotycznie. Podobało mi się to. Dopiero, kiedy językiem zaczął muskać moje ucho i szeptać: – Jesteś boska, urodzona do tańca. Może wyjdziemy? – odepchnęłam go.

Kątem oka spojrzałam w miejsce, gdzie przed chwilą stał Jakub. Nie przewiercał mnie już na wylot oczami. To podziałało jak wiadro zimnej wody. Czar prysł. Odsunęłam się gwałtownie od przystojniaka i zatrzymałam rozdygotane biodra. Wycofując się, uderzyłam kogoś plecami. – Przepraszam – odwróciłam się, a wściekłość, która malowała się na twarzy Jakuba, na moment mnie sparaliżowała.

– Idziemy do domu – chwycił mnie za rękę.

– Hej, tatusku! To moja dziewczyna – przystojniak widać uważał za stosowne zostać moim rycerzem.

– Czego chcesz? – spytałam Jakuba.

– Upiłaś się! – skarcił mnie jak własną kobietę.

– Odwal się! – powiedziałam do obu.

– Widzisz? Nie chce iść z tobą. Lepiej odpuść po dobroci – mój loverboy podskakiwał niczym rozwścieczony kogucik.

Szykowałam się bójka.

Jakub zignorował go i chwycił mnie za ramię, po czym pociągnął do wyjścia. Wtedy przystojniak zamachnął się i szarpnął Jakuba za koszulkę. Ten odwinął się i strzelił go po twarzy.

– Ty, chuju – ustyszałam, gdy wybiegałam z klubu. Nie zatrzymując się ruszyłam do pensjonatu.

– Aga, czekaj – usłyszałam za plecami jakiś czas później.

Jakub dogonił mnie w połowie drogi. Szłam już spokojnie, trzymając w rękach sandalki. Wybrałam drogę przez plażę, bo była krótsza, choć ciemna, i matka twierdziła, że niebezpieczniejsza.

– Co ty sobie wyobrażasz? – krzyknęłam mu w twarz. – Ze jesteś moim ojcem? Zastanów się nad sobą!

– Zadajesz się z jakimiś obcymi facetami. Mógł ci coś dosypać i zgwałcić cię!
– odpowiedział też wyraźnie wściekły, z trudem łapiąc oddech.

– Odczep się – wyrwałam rękę. – Kto tu kogo poucza!

– Martwiłem się... – powiedział ciszej.

Wtedy zobaczyłam, że ma lekko spuchnięty policzek. Zrobiło mi się głupio.

– Nie twoja sprawa – powiedziałam już łagodniej. – Zresztą nie piłam alkoholu...

– Poczekaj, porozmawiajmy...

– O czym? – spytałam wciąż najeżona, ale stanęłam w miejscu.

Poprosił, żebyśmy usiedli na zwałonym drzewie. To potrwa chwilę.

– No? – pośpieszałam go.

– Wiem, że to dziwne. Trudno mi wytłumaczyć..., ale naprawdę bałem się o ciebie. Jest wpół do dwunastej. Miałas wrócić... Jest ciemno...

– Umawiałam się z matką przed północą. To ona cię wysłała?

– Nie. Ona śpi.

– Co? Mama śpi? Żartujesz! Nigdy jeszcze nie zasnęła przed moim powrotem!

– Wypiła trochę za dużo wina – machnął ręką Jakub i przysunął się do mnie. Zrozumiałam, że nieprzypadkowo wypiła za dużo. Rozumiesz, upił ją, żeby przyłecieć do mnie. Miałam mieszane uczucia. Z jednej strony to podle, a z drugiej, mile polechtano moją próżność. Poczulałam zapach jego potu. Podniosłam wzrok.

– Co ty w ogóle tutaj robisz? – spytałam ostro, ale złość mi już mijała. Czulałam narastające między nami napięcie.

– Sam nie wiem...

– Dobrze wiesz – przeciągnęłam „wiesz”.

– W takim razie ty też wiesz...

Zasmiałam się nieprzyjemnie. – Nie, ja nie wiem. Jesteś facetem mojej matki, mógłbyś być moim ojcem. Może chcesz mnie zgwałcić? Mam się bać?

Pochylił głowę.

– Przestań, gadasz głupoty...

– Ja? – prychnęłam. – No dobra, nie boję się, że mnie zgwałcisz. Matka by ci tego nie darowała.

Sama nie wiem, dlaczego uśmiechnęłam się, ale zrobiło mi się go szkoda. Miał minę skarconego zwierzaka. Zamiast zwycięzcy otoczonego nimbem tajemniczości, robiącego efektowne wrażenie przy pierwszym kontakcie, posiadacza luksusowego samochodu z klimatyzacją, laptopa, kilku złotych kart kredytowych, miałam przed sobą żebrającego mnie o łaskę mężczyznę. Po prostu zauroczono go mężczyzną. I muszę ci się przyznać, że bardzo mi się to podobało.

– Wiesz, to dziwne, ale kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem... Jakbym cię znał. Kiedyś, może w innym życiu... Wiem, że to głupio brzmi, ale czuję między nami braterstwo dusz – dukał jak uczeń.

Zamilkłam. Prawdziwy melodramat, nie mogłam uwierzyć...

– Chyba się poptaczę... – w moim głosie była nieskrywana ironia. Ale też zaproszenie, by mówić dalej. – I co chcesz z tym zrobić? – zapytałam wyzywająco.

– Wciąż o tobie myślę.

– Śpisz z moją matką, proszę cię... Bajerujesz mnie. Myślisz, że to normalne? Po prostu podszedł i pogłodził mnie po szyi. Poczulałam dreszcz. Zbliżył twarz do mojej.

– Aga, ja nie wiem, co się ze mną dzieje... Ucieknijmy, kochanie – poprosił.

Nie mam pojęcia, czy żartował, czy mówił poważnie. Drżałam. I słowo honoru, nie wiedziałam, jak się zachować. Czulałam, że jest na granicy, że robi wszystko, czego zażądam. To było takie uczucie, jak panowanie nad sterem i żaglem, gdy wieje ósemka. Niebezpieczne, ale wciągające. Wciąż trzeba kontrolować sytuację. Jeden błąd i wyrucasz łódkę.

– Ładnie wyglądasz – powiedziałam i odsunęłam się.

– To ty... Jesteś słiczna. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Umierałem z zazdrości, jak tańczyłaś z tym fagasem.

– Z tym... Phi – prychnęłam i udawałam, że nie wiem, o co chodzi. – Taki tam bubek. Nieistotne.

Pochylił się i musnął wargami kącik moich ust. Nie wkładał języka, nie przycisnął. Był wyrafinowany, nie jak ci wszyscy dotychczasowi absztyfikanci, którzy na moim ciele robili eksperymenty. Drżącą ręką dotknął mego karku. Zamknęłam oczy i czekałam. Poczulałam się nagle bezpiecznie i dobrze. Gorąco oblało moje ciało. Choć było już chłodno, zniknęła gęsia skórka.

– Odprowadzę cię do pokoju – powiedział nagle i okrył mnie kurtką.

Złapałam się na myśli, że czuję zawód, że nie doszło do niczego poważniejszego.

Szliśmy za rękę plażą i słuchałam jego słów jak zaklęć. Kiedy stanęliśmy przed pensjonatem, objął mnie i przytulił. – Chciałbym tylko, żebyś była blisko, nic więcej. Nie wiem, czy mi uwierzysz. Będę cię chronił. Zawsze. Wyzwalasz we mnie jakiś instynkt opiekuńczy. Jeśli oczywiście mi pozwolisz... Zobaczysz, będziesz wielką gwiazdą! – uśmiechnął się i znów delikatnie pocałował.

Tym razem oddałam pocałunek. Ale zaraz przestraszyłam się, że ktoś z recepcji nas obserwuje. Oddałam mu kurtkę i wbiegłam po schodach do naszego pokoju.

Matka rzeczywiście spała. Spojrzałam na nią i instynktownie podeszłam, żeby ją przykryć, ale cofnęłam się. Czulałam na sobie zapach Jakuba, którym przesiąkła moja bluzka. Weszłam do łazienki i dokładnie zamknęłam drzwi. Kiedy się kąpałam, przywołałam w myślach jego szept, na pożegnanie: – Kocham. Nie bój się.

Nic nie odpowiedziałam. Wtedy jeszcze nie. Bawiłam się nim tak przez cały wyjazd. Matka co drugi dzień szła wcześniej spać, a Jakub przychodził do mnie na plażę. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy, w końcu przyszedł czas na ten pierwszy raz. Odkrywał moje ciało i zachwycał się każdym kawateczkiem. Nie zrobiliśmy tego jednak nad morzem. To był zbyt piękny czas. Najbardziej romantyczna plaża, jak z kiczowatych filmów. Powiedziałam mu, że jestem dziewicą. Nie uwierzył, więc opowiedziałam wszystkie przygody damsko-męskie i nie pominęłam historii z Arturem. Najpierw zbladł, a potem wybuchnął śmiechem. Przygarnął mnie do siebie i obiecał, że poczeka, aż będę gotowa, sama zdecyduje, kiedy nadejdzie stosowny moment.

Stało się to, kiedy wróciłam z mojej pierwszej sesji zdjęciowej. Udaniej. Kamera mnie kochała! I on też mnie kochał, w każdym razie tak mówił. Przez cztery miesiące przyjeżdżałam do Warszawy. On odsunął na boczny tor moją matkę. Czasem wpadał do naszego miasteczka z kwiatami i prezentami, także dla mnie. Płotrzymałam z niepokojem, jak reaguje, gdy ona próbuje go uwodzić. Nieudolnie, desperacko, z błagalnym wyrazem twarzy. I bez skutku. Wychodził przed zmrokiem, całował mnie w czoło na pożegnanie. Czasem wymykałam się z domu do jego samochodu, w którym czekał na leśnym parkingu. Kiedy przybiegałam, siedzenia już były rozłożone, a on palił papierosa. Czasem był czuły i niemożliwie delikatny, czasem gwałtowny, jakby bał się, że za chwilę sobie pójdę. Co ciekawe, nie bolało.

Nie było to obrzydliwe, jak twierdziła Regina. Było mi dobrze, latałam. Za to matka, z nią odwrotnie. Widziałam, jak schnie i zamyka się w sobie, robi się coraz starsza. Czasem, kiedy myślała, że już śpię, dzwoniła do niego i płakała w słuchawkę. Zaczęła brać leki na sen, popijać. W koszu na śmieci często znajdowałam puste butelki zawinięte szczelnie reklamówkami. Piła po cichu, tak, żebym nie widziała, a rano szła do szkoły i wyżywała się na uczniach. Patrzyłam na to ze zgrozą, ale ani razu nie pomyślałam, że to ja zrobiłam z niej zrzędczącą, sfrustrowaną kobietę.

Ukrywaliśmy nasz romans z Jakubem tak mistrzowsko, że z czasem czułam się coraz bardziej bezkarna. Kwitłam. Kiedy raz przekroczysz barierę, pokonywanie następnych przychodzi coraz łatwiej. Kłamałam i grałam przed nią. Przyprowadziłam nawet kilku chłopaków ze szkoły na obiad, żeby myślała, że jestem normalną nastolatką. Czasem wszczynala awantury z rozpaczy, że nie jesteśmy tak blisko jak dawniej – zamykałam się wtedy w swoim pokoju i włączałam na cały regulator muzykę. Matka wyrzucała mi, że się zmieniałam, że mnie nie poznaje. Nie mam uczuć, jestem zimna, boi się mojego obcego spojrzenia. I żebym się nie łudziła, bo i tak do niczego nie dojdę. Obchodzą mnie tylko te fatalaszki i kremy... Z wściekłości wysypywała z mojej szafy eleganckie ciuchy i kosmetyki, które dostałam od Jakuba i po sesjach do pism.

– Kto płaci twoje rachunki – krzyczałam jej prosto w twarz. – Za czyje pieniądze pojechałaś do sanatorium? Kto wyremontował łazienkę?

A kiedy chciałam ją dobić, dodawałam: – Jestem już pełnoletnia. Mogę zlikwidować twój dostęp do konta. Wystarczy mój podpis.

Cichła i płakała w kuchni. Nie mogłam tego słuchać, ale nie było mi jej szkoda. Oddalałyśmy się od siebie. Żyliśmy obok, jak na dwóch bezludnych wyspach, z każdej strony otoczonych bezkresnym oceanem żalu. Ja dodatkowo zbudowałam sobie twierdzę z milczenia i tylko czasem, zwykle w nocy, budziłam się zлана potem, przerażona. Okna były szczelnie zasłonięte, nie pozwalały przedrzeć się ani jednemu promyczkowi światła. Kiedyś matka odstoniłaby je i zbudziłby mnie śpiew ptaków lub zaglądnące ciekawsko do mego pokoju słońce. Ale ja już nie wpuszczałam matki na moją wyspę. Od tej chwili ciemność panowała w pokoju. Kiedy otwierałam oczy, nie wiedziałam, która jest godzina, nie miałam pojęcia, jaka jest pora dnia. Zerkalam na zegarek i gwałtownie zrzucalam z siebie kołdrę.

Spotkanie Lidii z Niką

„Nigdy nie przepuść okazji, żeby wybrać się w podróż z matką”

Ciemność panowała w pokoju, kiedy Meyer otworzył oczy. Zerknął na zegarek i gwałtownie zrzucił z siebie koldrę – minęła 13.

Do rana oglądał kasety, które wziął z domu Niny Frank. W nieskończoność przewijał jedną scenę. Kobieta śmiała się i krzyczała: – No i co ty na to, Jakubie! – po czym jednym ruchem rozpiniała suknię, niczym iluzjonista na scenie, który odkrywa chustę, a spod niej wzbija się w górę biały gołąb i oczy wszystkich zwracają się ku niemu w zachwycie. Kamerzysta dyskretnie poprowadził widza w kierunku opadającej połyskliwej materii, która leżała u stóp kobiety, a kiedy znów pokazał alabastrowe ciało aktorki, ta była już w męskiej marynarce narzuconej na nagie ciało. Spod poly marynarki widać było jedynie obłądnie długie nogi w czarnych pończochach i szpilkach na wysokim obcasie. Musiała być pod wpływem jakichś środków, bo nie dawała się wyprowadzić z pomieszczenia, krzyczała coś, przeklinała, ale Meyer nie mógłby powiedzieć, że była w tym wulgarna czy odrażająca. Raczej słodka w swojej złości. Kobieta-dziecko. Piękna, ale nieporadna. Przewijał kasetę w tę i z powrotem i myślał, że miała coś w sobie z gwiazd kina lat pięćdziesiątych. Autodestrukcję, szaleństwo i tę magnetyczną siłę przyciągania, której on też nie potrafiłby się oprzeć. Nic dziwnego, że kochały ją tłumy. Kobiety jej zazdrościły, jednocześnie pragnąc być takie jak ona, mężczyźni pożądali. Kiedy mówiła: „Jakubie i co ty na to” drgały jej nozdrza, a długie palce wiły się jak w tańcu. Była stworzona do odtwarzania ról dramatycznych, urodzona

do bycia wielką gwiazdą. Neurotyczna, niepewna, ale jednocześnie zakochana w sobie. Przeglądając się w oczach zebranych przestawała być szarą myszką. Stawała się motylem nocy, jak śpiewał jakiś muzyk. Meyer zatrzymał kasetę i wpatrywał się w wykrzywioną śmiechem twarz kobiety. Sam nie wiedział, dlaczego zobaczył w tej twarzy smutek, samotność i żal. A także prośbę o ratunek. Poczul mentalną bliskość z Niką. Powoli zaczynał ją poznawać i rozumieć. Ten radosny uśmiech to była tylko maska dla tłumów, myślał. Gdy patrzył w swoje odbicie w lustrze, miał ten sam tęskny wyraz twarzy.

Kiedy teraz wspominał to bezsensowne oglądanie kaset do rana, nie mógł zrozumieć, skąd w nim taka potrzeba marnotrawienia czasu. Złapał się też na tym, że wcale nie żałuje – patrzeć na tę kobietę na żywo było wciągające i cholernie przyjemne. Poznawał jej prawdziwe oblicze. Nie wizerunek głupiej aktorki z kolorowej prasy, wygłaszającej poprawne kwestie o smacznej zupie, ale postaci tragicznej, wrażliwej, która nie mieściła się w zadanej roli. Tak się wciągnął w podglądanie jej życia, że chciał nawet przynieść śniadanie do ciemnego pokoju i obejrzeć pozostałe taśmy. Ale powstrzymał się.

– Uspokój się. Masz plan działania, a już po południu – skarcił się. Po chwilach zapomnienia znów górę wzięła Meyer-profesjonalista. – Przecież nie może zauroczyć cię kobieta, którą oglądasz na ekranie! To ofiara. Zaangażowanie emocjonalne w sprawę utrudni analizę – pouczył się.

Wstał i potargał włosy. W samych bokserkach i z papierosem w ustach wykonał kilka telefonów. Ale kiedy usiadł na łóżku, znów włączył wideo i zatrzymał kasetę na ulubionym spojrzeniu aktorki. – O co chodzi? Kim jesteś, Nika? – zwracał się do niej po imieniu.

Uderzył się w skroń i zebrał myśli. – Stop!

Chwycił telefon.

– Panie kierowniku... Mam prośbę. Do której czynna jest biblioteka gminna? – mówił, ale jego myśli znów zaprzętała Nina Frank. Nie przestając rozmawiać z Eugeniuszem Kulą, wstał, podszedł do telewizora i dotknął policzka Niki. Wyobraził sobie ją na żywo. Musiała być zjawiskowa.

– Świetnie. A co? Pójdzie pan ze mną? – słyszał swój głos dobywający się jak ze studni.

Nie mógł się skupić na rozmowie, więc z zalem wyłączył telewizor.

– Dobrze, to będę za godzinę. Tylko coś zjem. Aha, kto tutaj interesuje się elektroniką, jest jakiś maniak? Nie, nie podejrzany. Potrzebuję tylko konsultacji – dodał szybko.

Podkomisarz Kula jak zwykle miał na wszystko dykteryjkę. Meyer dziś jednak nie mógł się skoncentrować. Przymknął oczy, rozmyślał o aktorce. Była jak syrena, która mami żeglarzy swoim śpiewem.

Złapał się na tym, że od dawna żadna kobieta tak go nie zafascynowała. Położył się na wznak na tapczanie, a przed oczami miał obrazy z amatorskich filmów, na których aktorka tłukła kieliszki, tańczyła, stała na scenie lub z zaróżowionymi z zażenowania policzkami odbierała swoją pierwszą nagrodę od widzów.

– Świetnie, załatwimy to za jednym zamachem... Do zobaczenia! odłożył telefon i poszedł do łazienki. Po chwili, cały mokry i z pianą do golenia na twarzy, wybiegł, usiadł przed komputerem. Pisał coś, zanim woda nie wypełniła brzegów umywalki i nie zaczęła głośno kapać na posadzkę.

– Szlag by to trafił! – zaklął i pobiegł zakręcić kurek. Wtedy skojarzył, że w łazience Frank, w momencie odkrycia zwłok też była woda. A szpilki z cyrkoniami, chyba jako jedyne przedmioty niedotykane przez listonosza, były całkiem mokre. Musiała wyjść z łazienki, kiedy zapukał morderca. Zaskoczył ją. Wdał się w rozmowę. I szybko zaatakował. Kiedy ją mordercował, woda wylewała się z wanny. Zabójca potem zamknął kurki, spuścił wodę, ale podłogi już nie zdążył osuszyć. Sądząc po ilości wody w łazience Frank, myślał psycholog stojąc na bosaka w zimnej wodzie, zabójstwo zajęło mu jakieś pół godziny. Nie więcej. Więc jednak...

Pik – usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości i podszedł do komputera, znacząc wykładzinę hotelową śladami mokrych stóp. Kiedy utworzył odpowiedź na pilnego maila, aż zatarł ręce z radości.

– Uff, jutro wyjedziemy odetchnąć do miasta.

Ubrał się i chwycił leżącą na brzegu łóżka książkę o wsi podzielonej państwową granicą. – A teraz tajemnica starszej pani.

Lidia Daniluk siedziała w swoim aksamitnym kapeluszu i wznosiła błagalny wzrok na szefa posterunku. Ten naburmuszony odwrócił się do okna.

– Nie powiedziałałam, bo nie wiedziałam, że to się może przydać w znalezieniu mordercy... – tłumaczyła spokojnie.

Meyer położył książkę na stole.

– Pani Daniluk, te informacje mogą bardzo pomóc. Proszę wszystko opowiedzieć. Lepiej późno niż wcale.

– Ale tylko panom, obiecałam Nice, że nikomu... Przynękałam... Cóż, ona teraz nie żyje... – zamrugła bezręszymi powiekami, gotowa za chwilę się rozplakać.

– Dobrze. Proszę się uspokoić – powiedział Meyer i zbesztal Kulę za zbyt gwałtowny atak na wdowę. Ale kierownik posterunku chyba sam zauważył, że przeholował w nerwach. Marszczył brew i targał wąsy.

– Przepraszam, proszę wybaczyć. Może ja wyjdę? – spytał nękany poczuciem winy.

– Nie, proszę zostać. Obaj panowie zostaną. Moje spotkanie z Niną nie jest żadną tajemnicą. W każdym razie nie wobec zaistniałej sytuacji. Przecież panowie jesteście policjantami – odpowiedziała Lidia.

– Proszę więc mówić – nalegał Meyer.

Lidia pomieszała herbatę i zaczęła zwierzenia bardzo cicho. Mówiła o tym, że zawsze chciała mieć córkę, ale jeśli już się tak nie ułożyło, to pragnęła choć dobrej synowej dla swojego Borysa.

– Ale on taki nieuprzejmy, a swoje dziewczyny... Wicie panowie, młody jest. Chce się wyszumieć i traktuje dość lekko, niepoważnie, jak to się mówi. Zresztą wybiera zawsze jakieś lafiryndy z pokręconym życiorysem.

Meyer niemal zastrzygł uszami, jak pies, który wyczuwa trop. Lafiryndy z pokręconym życiorysem. Traktuje lekko.

„Czy ta kobieta dobrze zna swojego syna? – myślał. – Jeśli to on był w nocy, jak ona to przyjmie”? Chciał zadać jej wiele pytań dotyczących Borysa, ale na razie się powstrzymał. Skupił się na mówiącej wdowie i chłonał każde jej słowo.

Kiedy więc poznała Nikę, a wydało się jej, że zna ją od dawna, bo przecież seriale z jej udziałem oglądała każdego dnia, po prostu odezwały się w niej jakieś niewytłumaczalne uczucia macierzyńskie.

Jak się spotkały? Oczywiście, że Nina Frank nie przyszła do gminnej biblioteki. Wtedy wszyscy by o tym wiedzieli. Ale tak się składa, że droga

do dworku Niki i do białej chatki w Tokarach, gdzie mieszka bibliotekarka, krzyżuje się w jednym miejscu. Tylko jeden raz. I spotkanie miało miejsce właśnie tam. Na rozstajach dróg.

„Śpieszyłam się na film, wracałam z biblioteki, jak zwykle na rowerze. Było około dwudziestej, jeszcze jasno, ale już szarówka, jak to we wrześniu. Zamyśliłam się. Trzeba jabłka pozbierać spod drzewa, bo zgniją. Przetwory zrobić, szarlotkę upiec. A tak słabo się czułam, jakies przeziębienie mnie brało. Więc jechałam wolno i ledwie sił starczało mi na pedałowanie. Na krzyżówce zjechałam jakoś niefortunnie na lewy pas ruchu. Nie dałam znaku, że skręcam, i nagle, ni stąd, ni zowąd poczułam uderzenie. Ktoś wjechał we mnie samochodem, aż spadłam z roweru. Straciłam przytomność, ale nie wiem, na jak długo. Kiedy ocknęłam się, zobaczyłam nad sobą twarz zakonnicy Joanny. Nie żyję, myślałam. A ponieważ tak bardzo interesowałam się jej życiem, to Bóg w nagrodę dał mi ją w końcu poznać. Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale ona odezwała się pierwsza.

– Jak się pani czuje? Może wody? Lekarza? – spytała troskliwie.

Pokręciłam głową, a potem przytaknęłam. – Wody.

Byłam tak skolowana, że nie mogłam wydusić z siebie nic więcej. Kazałam sobie podać mój wojskowy plecak i wyjęłam z niego podręczne lekarstwa oraz herbatkę ziołową własnej roboty, którą ona zaraz zaparzyła. Powiedziałam, że też może zrobić sobie taką, na pewno nie zaszkodzi. Chwilę leżałam, to cud, że nie upadłam jakoś mocno. Na szczęście nic nie było złamane. Nie wiem zresztą, jak to się stało. W końcu w moim wieku kości są miękkie i kruche jak zapalki... A gojenie się urazów to mordęga. Mogło to się różnie skończyć... Siedziałyśmy więc i rozmawiałyśmy. Nika, bo tak się przedstawiła i tak kazała się do siebie zwracać, pytała o mnie: jak żyję, co robię. Kiedy powiedziałam, że mam na imię Lidia, wzruszyła się.

– Moja mama też miała tak na imię...

Zdziwiłam się, bo nie wiedziałam o tym. A wydawało mi się, że jej życiorys znam na pamięć. Rozmawiałyśmy z godzinę. Wyczułam, że ma jakiś problem. Jest nieszczęśliwa. Przyznała to. Nie opowiadała wiele, raczej słuchała. A kiedy starałam się ją podnieść na duchu i zgadywałam, co może ją boleć, okazywało się, że trafiałam w sedno. W którymś momencie rozplakała się. Sprawiała wrażenie samotnej. Przekonywała, że to,

co piszą o niej szmatławce, to nieprawda. Wydaje mi się, że była bliska samobójstwa. Powiedziałam jej wtedy kilka pokrzepiających słów.

– Co na przykład? – spytał komisarz Hubert Meyer.

Lidia wzruszyła ramionami:

– Nic ciekawego... Takie tam mądrości starego człowieka.

– Pewnie to samo co Saszce – wtrącił się obrażony Eugeniusz Kula.

– Od tych mądrości święty się zrobił...

– Nieważne... – przerwał mu Meyer. – Niech pani mówi, co było dalej.

– Ona oszukała mnie. Wcale nie było z nią tak źle. Zorientowałam się, kiedy za chwilę zadzwonił telefon i w jednej chwili zmieniła tembr głosu. Szczebotała, śmiała się, choć jeszcze nie obeschły łyzy na jej policzkach. Poczułam się nieprzyjemnie. Wszystko, co mówiłam, co starałam się jej przekazać, całą moją mądrość – to było szczere. A ona odegrała przede mną rolę. Nie rozumiałam, dlaczego udawała.

Poczułam, że nie mogę tam dłużej zostać. Nagle wszystko zaczęło mnie boleć od upadku. To był cios w samo serce. Zawód jak na córce. Podeszłam do pokoju, gdzie rozmawiała z kimś przez telefon – byłam pewna, że z mężczyzną, i pożegnałam się. Zrobiła minę, jakby było jej szkoda, że ją opuszczam. Powiedziała do tego kogoś, że zadzwoni później, i podeszła do mnie.

Przytuliła się. Ogarnęłam ją ramionami, choć ledwo sama stałam na nogach. Byłam skołowana tym wszystkim. Głaskałam ją jednak po głowie i czekałam, aż mnie puści. Kiedy zaproponowała pieniądze jako zadośćuczynienie wypadku, oburzyłam się.

– Proszę dzwonić, gdyby było pani czegoś trzeba – napisała mi na kartce numer telefonu.

Odwiozła mnie do domu. Było już ciemno, rower zapakowała do bagażnika. Nikt nas nie widział i ja też nikomu nic nie powiedziałam. Nawet Borysowi.

Miesiąc później Nika zadzwoniła do biblioteki i zaproponowała mi spotkanie na rozstajach dróg, tam gdzie mnie potrafiła. Poprosiła o przechowanie pewnej paczuszki. Zawiniątko było opakowane w szary papier i oplecione białym sznurkiem. Wyglądało na dość stare.

– Zgłoszę się po to, gdy będę gotowa – powiedziała.

– Czy tu nie ma nic niebezpiecznego? – spytałam ostrożnie i potrząsnęłam zawiniątkiem. Ale nic nie brzęczało. To, co było w środku, szczerlnie wypełniało opakowanie. I było lekkie.

– Nie wiem, co tu jest – powiedziała. – Dostałam to od mamy, a właściwie od jej przyjaciółki, która przekazała mi tę paczkę po jej śmierci. Do dziś tego nie otworzyłam. Boję się.

Brzmiało autentycznie, choć nie wiem, czy to była prawda. Może kolejna bajka dla starszych pań, jak ja, bym przechowała coś cennego lub niewygodnego. Nie wiem. – To wszystko, cała historia – Lidia patrzyła na funkcjonariuszy przepraszającym wzrokiem.

Hubert Meyer patrzył na kobietę z podziwem. Ta osoba potrafi dochować tajemnicy. Ile jeszcze sekretów jej powierzono?

– Nie otworzyła pani pakunku, prawda?

– Nie.

– Gdzie jest teraz ta paczka?

– Pewnego dnia znów zadzwoniła, żebyśmy się spotkały na tym samym skrzyżowaniu. Nika chciała pożyczyć jakąś książkę o tej okolicy, ale myślę, że to był jedynie pretekst, bo poprosiła, bym wzięła ze sobą paczkę od matki. Powiedziała, że jest gotowa, by ją otworzyć. Nasze spotkanie miało miejsce dwa dni przed jej śmiercią. Więcej nigdy jej nie zobaczyłam.

– Dzwoniliście do siebie?

– Nie. Pod podany numer zadzwoniłam tylko raz. W nocy miałam sen i obudziłam się przerażona. Czułam, że... że coś się stało. I tego dnia, rano, odnaleziono ją martwą. Zadzwoiłam tylko ten jedyny raz. To znaczy cały dzień próbowałam, ale dopiero po południu w telefonie odezwał się mężczyzna...

– To pani! – poderwał się Eugeniusz Kula. – Tak, pamiętam. Łysy odebrał i nikt nic nie mówił.

– To ja. Przepraszam, przestraszyłam się. Nie wiedziałam jeszcze, że Nika nie żyje. Coś złego przeczuwałam, ale nie wiedziałam, że śmierć.

Rozdział 18

Tatuaż

„Wiedz, kiedy należy milczeć”

Do prosektorium prowadził długi korytarz. Po obu stronach przeszklonej przestrzeni znajdowały się gabinety, w których siedzieli laboranci i pod mikroskopem badali pobrane ze zwłok wycinki różnych organów, by stwierdzić przyczynę zgonu. Cisza nadawała temu miejscu majestatu i każdy, kto kiedykolwiek tu trafił, musiał poczuć szacunek dla życia. I dla śmierci, rzecz jasna.

Docent Waldemar Żurek wyszedł na powitanie Meyera w białym fartuchu. Na nim miał nałożony gumowy ochraniacz, lekko zachlapaný – widocznie właśnie kończył jakąś sekcję. Z owłosionej szyi zwisała mu zielona maseczka z flizeliny, identyczna jak te, które noszą chirurdzy przy operacji. Kiedy zobaczył psychologa, zdjął ją i schował do kieszeni.

– No i jak się ma mój ulubiony słuchacz? – spytał i mocno uściśnął rękę profilerą. – Ostatnio widuję cię tylko w telewizji. Ile to już minęło od naszego ostatniego spotkania? Rok?

– Prawie dwa i pół.

– Jak ten czas leci – westchnął Żurek. – A ja wciąż nie mam czasu. Praca, praca. Bezrobocie mi raczej nie grozi.

Nie był to żart, raczej stwierdzenie faktu. Już siedemnaście lat docent Żurek piastował stanowisko szefa Zakładu Medycyny Sądowej w Białymstoku. Zawsze powtarzał, że do tego zawodu trafił z ciekawości. Typowy pasjonat, którego interesują zagadki z pogranicza medycyny i prawa. I choć

mógłby siedzieć w gabinecie, zajmując się czystą, papierkową robotą, to wciąż wykonywał sekcje. Lubił to.

Kiedy wprowadził Meyera do wielkiej sali wykładowej, na której odbywały się pokazy dla studentów, profiler jakby cofnął się w czasie. Pamiętał szmer i szepty studentów, kiedy pierwszy raz przyszedł zobaczyć, jak wygląda sekcja zwłok. Grupka adeptów medycyny sądowej siedziała na podwyższeniu, Meyer był trochę z boku – jako jedyny student prawa i psychologii. Na środku sali, przy metalowym stole sekcyjnym Żurek, wtedy bez gumowego ochraniacza, w rozpiętym fartuchu i tureckim swetrze dyktował wynik oględzin zewnętrznych. Sekretarka wybijała jego słowa na maszynie, a stukot klawiszy niósł się echem po pomieszczeniu. Dziś, specjalnie dla Meyera, Żurek kazał przywieźć zwłoki Niki do sali. W miejscu staroświeckiej maszyny do pisania Meyer dostrzegł komputer – bezduszne urządzenie, które nie wydawało żadnych odgłosów i nie przydawało już temu miejscu dodatkowego dramatyizmu. A może to ja jestem już pozbawiony wrażliwości, myślał Hubert Meyer. W kącie ponurej sali, którą wyłożono białymi kafelkami, dostrzegł telefon i nowoczesną szafkę na narzędzia. Za szkłem leżały obcęgi, szczypce, monstrialne pęsety oraz mała piłka elektryczna do otwierania czaszki.

– Miałeś rację. Ktoś się pomylił. To niewiarygodne – zaczął biegle sądowy i poprowadził Meyera do ciała aktorki.

Zwłoki wyglądały koszmarnie, ale profiler widział już gorsze: spalone, żywcem obdarte ze skóry, rozkładające się lub po ekshumacji. Jediną jego refleksją było to, że nie jest to ta sama osoba, którą jeszcze wczoraj oglądał na kasetach wideo. Pocięta i pozszywana Nika wyglądała jak manekin. Tylko czarne, wijące się włosy, ostrzyżone na czubku głowy po to, by wyjąć z niej mózg, zwisały niczym sznurki od mopa. Ponieważ nie było w niej życia, straciła magnetyczną moc, która tak zachwycała Meyera jeszcze kilka godzin temu. Plamy opadowe nadały skórze, a właściwie jej pozostałościom, siniofioletowy kolor, w niektórych miejscach nie było skóry, tylko żywa rana.

– To, co czytałeś w aktach, jest w zasadzie zgodne. Przyczyna śmierci – uduszenie. Ofiara kilka godzin wcześniej musiała zażyć dużą dawkę leków, ale część zwróciła, zanim zdążyły rozpuścić się w żołądku. Pomyłka,

którą odkryłeś, dotyczy miejsca po przecinku. Ktoś przy przepisywaniu wyników sekcji pomylił się. Po prostu.

Hubert Meyer zamyślił się. Czyżbym jechał tutaj tylko po to, by zobaczyć martwe ciało aktorki na żywo?

– Powiedz, a ta rana na brzuchu. Czy morderca wyjął kolczyk, czy go nie było? Czy można to ustalić?

– Był. Wyszarpnięto ten kolczyk po śmierci. Nie mogę ustalić, z jakiego kruszcu.

– Czyli wziął pamiątkę.

– Na to wygląda. Ale znalazłem coś jeszcze. Nie rozumiem, jak można tego nie zauważyć. Będę musiał pociągnąć do odpowiedzialności doktor Kowalską. Pewnie dlatego, że po ostatnim pożarze w hali targowej mieliśmy tutaj trochę roboty. Błąd musiał wynikać z pośpiechu. Ale to oczywiście niczego nie tłumaczy... Zresztą, może i dobrze się stało. Dzięki temu sam zająłem się zbadaniem ciała tej twojej aktorki. Podejdz bliżej.

Żurek podszedł do czaszki, która była otwierana. Wzdłuż skroni ciągnął się gruby szew. Podniósł zmasakrowaną twarz, a Meyer wpatrywał się w złamany nos, zasinione oczodoły i brunatne usta. – Spójrz tutaj – rozgarnął bujne włosy, które od skóry miały popielaty kolor. Za uchem denatki, w miejscu, które większość kobiet skrapia perfumami, prześwitywało coś czerwonego. Żurek wziął maszynkę i ogolił włosy w tym miejscu. Zrobił to specjalnie przy Meyerze, by wzmocnić efekt. Profiler patrzył, jak długie, splątane pasma spadają na posadzkę. – Voilà! – powiedział docent. Odślonił tatuaż o średnicy około pięciu centymetrów. Znak przypominał kształtem literę H, lecz środkowa paleczka była ukośna. Żurek dotknął palcami skóry denatki. – Dlaczego ktoś robi sobie tatuaż na głowie, na dodatek pod włosami? – spytał Huberta Meyera. – Czy ofiara należała do jakiejś sekty?

Psycholog wzruszył ramionami. „Co to może znaczyć? Dlaczego go ukrywała”? – myślał.

– Reszta zgadza się z opinią w aktach? – zapytał.

– Sprawdziłem, jest okay. Strasznie dużo śladów męża. Za paznokciami naskórek, włosy, sperma. Ale mnóstwo też innych. Ile osób chciało ją tej nocy zabić? – zapytał medyk.

Hubert Meyer spojrział na niego, bo to pytanie zadawał sobie, odkąd przyjechał do Mielnika nad Bugiem.

– Ale znajdziesz go? – zapytał Żurek.

– Kogo?

– Jej mordercę?

– Mam nadzieję. Na razie wszystko się sypie. Stary obiecywał urlop, a wsadził mnie na minę. Nic nie rozumiem. Za dużo niewiadomych. Strasznie dużo tych tajemnic... – wskazał znak na głowie denatki.

– Mogę to sfotografować?

– Jasne. Zresztą musimy poprawić i uzupełnić ekspertyzę – westchnął.

– Naprawdę nie wiem, jak to się w ogóle mogło stać.

Gdy już wracali tym samym korytarzem do wyjścia, Meyer bąknął:

– Dzięki za przysługę.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Za tamto nigdy ci się nie odplacę.

– Przestań, nie ma sprawy.

Syn doktora Żurka jest policjantem. Wywiadowcą, który wnika w środowiska przestępcze, bierze udział w pościgach, jak trzeba udaje bandytę. Podczas jednego z pościgów za Niemym, młodym wilkiem z półświatka dostał kulkę, stracił panowanie nad kierownicą i wjechał w przystanek raniąc cztery osoby, niemal zabijając kilkunastoletniego chłopca. Kiedy wyszedł ze szpitala, dowiedział się, że być może chłopiec będzie musiał jeździć na wózku do końca życia. Kompletnie się załamał. Meyer pracował wtedy w sekcji psychologów. Profile nieznanymi sprawców robił po godzinach. Na co dzień niósł pomoc psychologiczną policjantom i ich rodzinom. Wojtka, syna doktora Żurka, prowadził przez rok, w końcu załatwił mu wyjazd do Nowego Jorku na staż w policji. Chłopakowi wyjazd dobrze zrobił. Wziął się w garść i wyszedł z depresji. Dziś jest zastępcą szefa kompanii wywiadowców w katowickiej komendzie. Wtedy dopiero Hubert Meyer dowiedział się, że ojcem Wojtka jest znany medyk sądowy, jego guru z czasów studiów. Spotkali się raz we trójkę i tak zaczęła się ich przyjaźń.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – spytał patologa.

– Raz. Dziewczyna należała do sekty Boga Mocy. Miała na głowie wytatuowane słońce, jak się okazało – symbol wyższego wtajemniczenia. Polegało na tym, że guru poprzez stosunki seksualne przekazywał jej moc, a potem inni członkowie uprawiali z nią seks, by tę moc odebrać...

Wiem, straszne. Skończyła w rzece, rozkawałkowana. Znaleziono ją, bo ręka wkręciła się w koło obrotowe barki. A tutaj?

– Nic nie wiem o żadnej sekcji. W ogóle to wszystko jest jak ruska matrioszka. Im głębiej grzebię, tym mniej wiem. Ale mam dziś spotkanie z jej mężem. Może on coś powie...

– Może jest sprawcą. Tyle śladów, ale nie chcę nic sugerować. To twoje śledztwo. Jakby co, dzwoni. Dasz radę? Najpierw jedziesz do Warszawy, potem z powrotem. I na podlaską wieś.

– Może przenocuję...

– Wpadaj do nas, Halinka się ucieszy.

– Jeszcze się zdzwonimy – Meyer przerwał patologowi. – Nie chcę robić kłopotu, wiesz, jak to u mnie... Wszystko się zmienia jak w kalejdoskopie. Dzisiaj jestem tu, jutro tam... Ale Halinkę ucałuj ode mnie.

Żurek poklepał go po ramieniu.

– Wpadaj bez zapowiedzi, no problem.

– Dzięki. Waldek, słuchaj, ale jak to się stało, że tego nie zauważyli. Przecież przy oględzinach zewnętrznych przegląda się dokładnie głowę. I to jeszcze przy takiej sprawie...

– Mamy kilku stażystów jako asystentów, może to przeoczyli.

– Stażysta robił oględziny w takiej sprawie?

– Zbadam to. Rzeczywiście dziwne.

Wdowiec po Nice nie był dziś w najlepszym nastroju. Stracił pracę i poszedł się upić z kolegami. Kiedy Meyer zapukał do drzwi, otworzyła mu przeciętnej urody brunetka z widoczną ciążą. Bez porównania z byłą żoną Króla, bez błysku w oku. Mdła, uległa, spokojna. Może dlatego lepsza. „Nie dominuje nad gwiazdorem”, pomyślał Meyer.

– Czy zastałem Mariusza Króla? – zapytał.

– Pan w sprawie...

– Policja – wyciągnął odznakę. – Jestem psychologiem, proszę się nie bać.

Kobieta wpuściła go do mieszkania.

– Nie ma go. Nie wiem, kiedy wróci – dodała z wyrzutem.

– Umówił się ze mną. Wprawdzie dopiero za pół godziny, ale przyszedłem wcześniej, bo jeszcze dzisiaj muszę wrócić na Podlasie.

– Zrobię herbaty, ma pan ochotę?

- Jeśli to nie kłopot.
- Żaden. Zajmę się czymś.
- Gdzie mogą zapalić?

Kobieta wskazała taras z widokiem na park. Meyer wyszedł i odetchnął mroźnym powietrzem. Przed oczami pojawiały mu się obrazy: twarz Niki, jej nagrany głos: „No i co ty na to, Jakubie?“, zmasakrowane ciało i ta czerwona litera na głowie. Jak niewiadoma w równaniu. Dobra puenta mojego śledztwa. Ciekawe, co powie Stary, jak mu to wszystko opiszę...

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek komórki.

– Witam, komisarzu. Jak wieści? – Eugeniusz Kula nie dawał Meyerowi spokoju nawet na kilka godzin.

– Teraz nie mogę, zadzwonię później, jestem w domu Mariusza Króla. Mam coś nowego, panie podkomisarzu.

– Aha, to dobrze, bo ja też mam kolejny kawałek układanki – Eugeniusz Kula nawet nie myślał przerywać. – Wasia dowiedział się, że dziewczyna uciekła z miasteczka, bo była w ciąży. Z żonatym facetem. Nikt nie wiedział, z kim. Ale Wasia to spec od rozmów z ludźmi, a zwłaszcza starsze panie wszystko mu zawsze wyśpiewają. Może dlatego, że wygląda jak księżulo. Zajęło mu to kilka godzin, bo staruszki oprócz tego, co nas interesuje, zawsze zaczynają opowieść od lat swojej młodości. Odległą przeszłość zawsze pamiętają lepiej niż teraźniejszość. Ale w tym wypadku spowiedź babci okazała się zbawienna. Wasia dotarł do sąsiadki matki naszej Agnieszki Nalewajko vel Niki Frank i dowiedział się... Nie uwierzy pan. Wiemy, z kim była w ciąży Nika.

– Z kim?

– Najpierw pani Walentyna nie chciała podać nazwiska. Babcia ma demencję starczą czy Alzheimera, sam już nie wiem. Ale pokazała gościa w telewizji.

– Jakub?

– Skąd pan wie? – Kula zakrztusił się dymem z papierosa. Kasłał przez chwilę.

– Zgadywałem... A nazwisko?

– Czerny. Jakub Czerny.

– Co? To polityk, ważna figura. Może to sobie wymyśliła! Demencja, Alzheimer, wszystko się jej pomieszało.

– Nie wiem, mówię tylko, co Wasia uzyskał ze swojego wywiadu środowiskowego. Babcia mówi, że ten Czerny był kochankiem jej matki. Ona go odbiła.

– Czyjej matki? Kto odbił? Babcia?

– Nie, Nika. Ta mała Nalewajko. Niezła lafirynda, co? Uwiodła faceta matce. Córunia...

– No nie wiem. Te rewelacje są nieprawdopodobne. Pod jakim pozorem mam przesłuchać znanego polityka? Co mu powiem, że babcia z Alzheimerem naopowiadała nam, że uprawiał seks z siedemnastolatką? Zresztą on ma immunitet...

– Nie wiem, tyle się dowiedzieliśmy – Kula był zawiedziony, że Meyer nie skacze z radości.

– Dobra, muszę już kończyć. Ale niech pan ma tam wszystko na oku. Wobec tego ja tu zostanę kilka dni i sprawdzę szczegóły. A właśnie, trzeba przesłuchać syna Danilukowej.

– Borysa? Co on zrobił?

– Jest jednym z podejrzanych.

– W sprawie zabójstwa Frank?

– Tak. Jakim samochodem jeździ, oprócz służbowego?

– Chyba nie ma innego. Chociaż... Odkąd pracuje w tej firmie, nie ma, ale dawniej miał jakiś. Astrę chyba.

– Opla Astrę? – spytał rozgorączkowany profiler. – Jakiego koloru?

– Nie wiem. Ciemna jakaś. Zielona? Dowiem się. Niebieska?

– Może granatowa? – Meyer czuł, że krew szybciej mu pulsuje w żyłach. – Niech pan sprawdzi, czy chłopak nie bawi się urządzeniami elektronicznymi, na przykład CB-radiem, albo... czy nie podsłuchuje kogoś. Ma dostęp do monitoringu domu aktorki. Aha, i najważniejsze: co robił cztery dni temu, w noc mojego przyjazdu. A potem pogadajcie z bibliotekarką. Zobaczmy, czy potwierdzi zeznania synka. Czy da mu alibi. Może lepiej zacznijcie od niej.

– Co pan kombinuje?

– Proszę przycisnąć młodego. Pogadamy jutro.

Wszedł z powrotem do mieszkania. Narzeczona Króla siedziała przed telewizorem. Piła herbatę.

– On może nie wrócić na noc – powiedziała ze smutkiem. – Nie poszczęstuje mnie pan papierosem?

Meyer już wyciągał paczkę, gdy spojrzał na brzuch kobiety.

– Ale... pani jest w ciąży – zawahał się.

– I co z tego? – pokręciła głową. Drżącą ręką wyjęła z jego paczki papierosa. Szkoda mu było tej kobiety. Samotna, w ciąży, z człowiekiem, do którego nie ma zaufania.

Zapytał, czym się zajmuje. Odpowiadała na pytania lakonicznie. Jest aktorką, ale właściwie nigdy nie pracowała w zawodzie. Handluje robotami kuchennymi. To cud techniki: zagniatą ciasto, robią sałatki, majonez i gotują na parze. Wyprodukowane przez Niemców za pomocą technologii kosmicznej. Gdy mówiła o tych urządzeniach, jej twarz rozjaśniła się, jakby choć na chwilę profiler tchnął w nią trochę życia.

– Czy mógłbym otworzyć pani telefon? – spytał nagle.

Spojrzała zaskoczona, ale skinęła głową.

– Od dawna macie ten aparat?

– Od zawsze.

– Mąż mówił, że się zepsuł.

– Taaak? – przeciągnęła sylabę i zawiesiła głos. – Skłamał – roześmiała się gorzko. – Ja już nie wiem, kiedy on mówi prawdę, a kiedy łże.

Komisarz Meyer dokładnie obejrzał urządzenie, ale tak, jak się spodziewał, nie było w nim podsłuchu.

– Czy mógłbym skorzystać z Internetu?

– Jasne, komputer jest w pokoju męża. Znaczący przyszłego męża... Jeśli w ogóle.

– To zajmie chwilę. A jeśli w ciągu pół godziny pan Król nie wróci, nie będę dłużej dręczył pani swoim towarzystwem.

– Nie przeszkadza mi pan. I tak siedzę całymi dniami sama. Miło, że mogę z kimś pogadać – uśmiechnęła się ciepłej.

Meyer chciał zobaczyć pokój męża Niny Frank. Z tych samych powodów, dla których nocował w dworku gwiazdy. Wcale się nie zdziwił, gdy zobaczył w pomieszczeniu idealny porządek. Wystrój pokoju był klasyczny, bez wyrazu. Równie dobrze tak wyposażony mógłby być pokój hotelowy. Proste w formie, sosnowe meble. Pomalowane na białą ściany

i muślinowe firanki. Nowiutki komputer na biurku. Lekko przykurzony – od dawna nikt go nie używał. Profiler włączył Internet i wstukał strony z tatuażami. Przeglądał znaki graficzne. Ale nigdzie nie znalazł symbolu choćby częściowo podobnego do tego na głowie Frank.

– Nika, powiedz mi, proszę – szepnęła. – Co znaczy ta litera?

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Jedna z półek była wypełniona segregatorami. Obok trochę książek. Głównie poradniki o pozytywnym myśleniu i urzeczywistnianiu marzeń – to pewnie Ewy. Trochę publikacji o telewizji. Obok zdjęcia Mariusza Króla i jego nowej narzeczonej z wakacji. Musiał ten romans zacząć dawno temu. Na zdjęciach Ewa była młodsza i o wiele ładniejsza.

Kiedy o niej rozmyślał, weszła do pomieszczenia i zapytała, czy Meyer nie jest głodny. Pokręcił głową.

– Jak długo się znacie?

– Z piętnaście lat – szepnęła.

Spojrzał na nią – dopiero teraz budziła litość.

– Ale razem jesteście drugi rok. Kiedy spotkaliśmy się z Mariuszem ponownie, mieli kryzys.

Wtedy na jej szyi zauważył wisiołek z mandalą. Był wykonany z jakiegoś kamienia. Gdy kobieta się nachyliła, medalik odwrócił się. Na jego rewersie Meyer zobaczył jakieś znaczki. Największy był w kształcie iksa. Tknęło go.

– Co to takiego?

– Amulet – spieszyła się kobieta i przykryła go dłonią. – Mężczyźni nie wierzą... Zamówiłam go, by mnie chronił. I moje dziecko – pogładziła się po wypukłym brzuchu.

– Można zobaczyć? – podszedł do Ewy i poczuł, że skropiła skronie perfumami. Zrobiło mu się okropnie głupio. Policjant przychodzi do męża Niki, a jego nowa naręczona chce wypaść przy nim atrakcyjnie. Zauważył też, że się lekko umalowała. Patrzyła na niego jak na mężczyznę, nie jak na policjanta. Chwyliła mandalę w wypielęgnowane, ale bez manikiuru, dłonie i zaczęła tłumaczyć.

– To runy. Znaki celtyckie, które mają przynosić harmonię i szczęście. Ten iks to Gebo. Runa dobra i miłości. Podarunek od losu. Mówi: ile dobra dajemy, tyle samo otrzymujemy. Przynosi też szczęście w związku

i nazywana jest mistyczną seksualnie... Ja się za bardzo na tym nie znam, ale mogę panu podać numer do osoby, która ten amulet wykonała. Każdy znak na niej coś oznacza i ma dobrą energię. Zależy, czego pan potrzebuje. Oni to ustalają wahadłem. Wiem, brzmi to idiotycznie, ale mi pomaga. Znaki ustawia się w odpowiednich konfiguracjach. Czy chce pan osiągnąć sukces, założyć rodzinę, odzyskać zdrowie. Pojedyncze znaki są najsilniejsze, mogą oznaczać dążenie do doskonałości.

– To ma coś wspólnego z magią?

– Można tak powiedzieć. Ale znaki runiczne pochodzą ze Skandynawii. Właśnie, dam panu ulotkę. To niedaleko stąd, w Otwocku. Jeśli pan zostanie do jutra, może uda się ich panu spotkać. Ale ostrzegam, to dziwni ludzie, a pan wygląda na twardo stąpającego po ziemi.

– Dlaczego? W końcu faceci też chodzą do wróżek – starał się nadać głosowi naturalny ton, choć aż trząśnięty w środku z niecierpliwości. Ewa jak na skrzydłach pobiegła po adres producentów runicznych talizmanów.

– Ile kosztuje taka mandala? – krzyknął.

– Pięćset złotych.

– Dobra cena – bąknął po nosie i pokręcił głową. – Niezły biznes.

– A mają jakieś promocje? – dodał.

Na szczęście kobieta już tego nie usłyszała.

Mariusz Król nie przyszedł po godzinie ani nawet po dwóch. Meyer zmarł stojąc na balkonie i paląc papierosa za papierosem. Intensywnie myślał. W końcu pożegnał się z Ewą i podziękował za herbatę. Kobieta patrzyła za nim, jak wchodzi do windy i pomachała mu nawet na pożegnanie.

– Nie powiem, że pan był. Proszę zajrzeć jutro z rana – krzyknęła, kiedy zatrząskiwiał metalowe drzwi dźwigu.

Wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze i pomyślał o Marioli. Ona też zawsze odprowadzała go tęsknie wzrokiem, gdy wychodził. Dlaczego teraz jest przeciwko mnie?

W hotelowym barze kupił dwa piwa i poszedł do pokoju. Wyciągnął dyktafon i długo nagrywał swoje wnioski. Kiedy skończyła się kasetka, wyjął laptop i zaczął pisać profil psychologiczny ofiary. Kiedy doszedł do tatuażu, zostawił puste miejsce na wnioski. Zbyt wiele rzeczy się nie zgadzało. „Błądzą”, pomyślał. I w punktach zanotował, co musi zrobić

w najbliższych dniach: sprawdzić rewelację Kuli – związek Niki z Czernym, przycisnąć męża – dlaczego podsłuchiwał Frank, przesłuchać Borysa na okoliczność nocnej wizyty i przede wszystkim zbadać pochodzenie tajemniczego tatuażu. Być może on łączy te wszystkie nitki w całość. Szkoda, że nie spytałem Waldka, czy można ustalić czas wykonania tatuażu. Coś mi mówi, że powstał, gdy ofiara miała jakieś osiemnaście, prawie dziewiętnaście lat.

Rozdział 19

Ucieczka

„Nie myl głupoty z odwagą”

Lat?

– 18, już prawie 19.

– *Miesiączki regularne?*

– *W miarę.*

– *Od jak dawna pani współżyje?*

– *Od siedmiu miesięcy.*

– *Z jednym partnerem czy z wieloma?*

– *Z jednym. Nie.*

Lekarka o twarzy starej ropuchy i plamach wątrobowych na pomarszczonych rękach, podniosła wzrok znad karty pacjenta.

– *To tak czy nie.*

– *Nie.*

– *Stosunki analne?*

– *Dwa, może trzy razy.*

Kiedy to powiedziałam, Ropucha spojrziała zgorzozona, ale wytrzymałam jej wzrok.

– *Żartowałam – uśmiechnęłam się. – Nie.*

Wróciła do wywiadu lekarskiego.

– *Test na HIV?*

– *Nie.*

– *Ciąża była?*

– *Nie.*

- Jakież dolegliwości, choroby narządów?
- Nie. Czasem drobne otarcia, niegroźne grzybice.
- Więc w czym mogę ci pomóc, dziecko? Bo chyba wszystko już wiesz... – *do-
dała zgrzyliwie. Rozejrzałam się po siermiężnym gabinecie w gminnym ośrodku
zdrowia i westchnęłam. Co mnie podkusiło, żeby akurat tutaj przyjść?*
- Chciałabym dostać receptę na leki antykoncepcyjne.
- Teraz? – spojrzała na mnie z politowaniem i dodała. – Do ginekologa
przychodzi się przed rozpoczęciem współżycia! Mam nadzieję, że stosowałaś jakieś
zabezpieczenie, choćby kalendarzyk.
- Kalendarzyk, płukanie pochwy i modlitwę – *odfuknęłam i z satysfakcją
zarejestrowałam jej oburzenie.*
- Najpierw musimy cię zbadać, dziecko. Kiedy była ostatnia miesiączka?
- Wnerwiało mnie, gdy mówiła do mnie „dziecko”. Ale rozłożyłam posłusznie
nogi na fotelu ginekologicznym. – 14 kwietnia – odpowiedziałam.*
- To ponad dwa miesiące temu, moje dziecko.
- Czasem mi się okres przesuwają – rzuciłam i napięłam mięśnie brzucha.
- Rozluźnić się – pouczyła mnie, a ja z odrazą patrzyłam, jak zakłada gumową
rękawiczkę. Mruczła coś, grzebiąc we mnie. Na szczęście nie trwało to długo.
- I co, wszystko w porządku? – spytałam, obciążając spódnice.
- Zdrowa, silna, biodra stworzone do rodzenia dzieci – byłam przekonana,
że specjalnie pastwi się nade mną, aż mi od tego jej gadania przewracało się
w środku.
- Zapiszemy ci te leki, dziecko. Ale najpierw musimy mieć pewność, czy już nie
jesteś w ciąży. Kupisz sobie w aptece test. Proszę! – krzyknęła do kolejnej pacjentki,
nie czekając nawet, aż przypnę do pasa pończochy.

*Nie wierzyłam. – Boże, nie! To pomyłka! – mówiłam do siebie w ubikacji
i coraz bardziej przerażona patrzyłam na dwie niebieskie kreseczki. Wzięłam do
ręki ulotkę i czytałam ponownie. Jedna linia barwna – wynik negatywny – brak
ciąży. Dwie linie barwne – wynik pozytywny – ciąża.*

– Cięża? – szepnęłam z niedowierzaniem, bo do tej pory była to kompletna
abstrakcja. – Pewnie jest przeterminowany... – oszukiwałam się i sprawdziłam
datę ważności testu.

*Był dobry. Zmięłam ulotki, pudełko i wynik. Schowałam do szuflady w swoim
pokoju i wybiegłam do apteki po kolejny.*

Kiedy znalazłam się pod blokiem, zorientowałam się, że nie wzięłam telefonu. Ale już nie wracałam. Za chwilę wróci matka ze szkoły, a tak – może zdąży sprawdzić jeszcze raz.

Natknęłam się na nią na ulicy. Szła z zakupami i była dziś wyjątkowo wesoła.

– Gdzie tak lecisz? – spytała i widząc moją minę, zmartwiła się. – Stało się coś?

– Nie, nie, zaraz będę – starałam się być opanowana, choć głos mi się łamał.

– Zeszyt, muszę od Jacka pożyczyć zeszyt.

– To ja nastawiam wodę na ziemniaki – pogladziła mnie po głowie. Ostatnio się nie kłóciłyśmy. – Nie siedź za długo. Obiad wystygnie.

Ten dzień był torturą. Nie mogłam nic przelknąć. Ani usiedzieć w miejscu. Czekałam, aż matka pójdzie spać, żeby znów zamknąć się w ubikacji. Nawet nie mogłam zadzwonić do Jakuba, bo wyjechał za granicę. Rzadziej się teraz widywaliśmy, ale to była moja decyzja. Powoli zaczęła mnie nudzić jego poddańcza miłość, a seks z nim stał się rutynowy. Dwa tygodnie temu, kiedy był na tej zagranicznej delegacji, przespałam się ze stylistą fryzur, który przygotowywał mnie do sesji. Znalismy się dość długo, ale dopiero teraz tak jakos wyszło... Przypadkiem, pod wpływem chwili. Ale jeśli jestem w ciąży, to tylko z Jakubem. Boże, nie!

Znów dwie kreski. Patrzyłam i czułam, jak sufit spada mi na głowę. Wyobraziłam sobie siebie z brzuchem i zaraz wymazałam ten widok. Okropność! Nie potrafię oddać swoich emocji w tamtym momencie. To było straszne. Kiedy dotyka cię to w takim wieku, jesteś albo bardzo szczęśliwa, albo kompletnie zdruzgotana. A ja nie chciałam ani żadnego dziecka, ani męża Jakuba i nie wyobrażałam sobie siebie w roli mamuski. Widziałam zgliszcza mojego życia, koniec wszystkiego – tak myślałam.

– Nie mogę być w ciąży. Przecież prezerwatywy, uważaliśmy. On uważał. Jak to się stało? Ufałam mu – rzycałam zatykając sobie twarz poduszką.

Nie mogłam przecież robić bałasu. Łkałam i zaciskałam pięści. – Pomóż mi, chcę się tego pozbyć!

– Zadzwoń rano, proszę – wysłałam wiadomość do Jakuba. Nie mogłam zasnąć do rana. Potem tego samego esemesa wysłałam z piętnaście razy. Dodawałam tylko: „błagam”, „to pilne”, „odezwij się, choćby teraz”. Nie odpisał ani razu. Wylączył telefon? Gdyby miał włączony, odpisałby. Płakałam z bezsilności, intuicja mówiła

mi, że coś jest nie tak. Kiedyś by odpisał. Nawet, jeśli za ścianą szalowały „była aktualna żona”. Ale dziś cisza, zamilkł. Olat mnie!

Zamiast do szkoły pobiegłam do Ropuchy. Czekalam trzy godziny, bo wszystkie numerki tego dnia były zajęte. Kiedy zobaczyła mnie, aż odłożyła długopis.

– Test wykazał ciążę? – spytała, patrząc na moją minę.

– Tak – usiadłam i rozplakałam się w głos. – Proszę mi pomóc!

– Ależ, dziecko, nie ma się czego bać. Poza tym nie ma pewności, testy są pewne tylko na 99 procent.

– Aż na 99 procent?

– Niektóre na 99,9...

– Zrobiłam dwa.

– Trzeba poczekać jakiś miesiąc. Wtedy przyjdiesz na badanie... – ciągnęła.

– Jeszcze miesiąc? Ja nie mogę czekać. Nie chcę!

– Nie krzycz, dziecko. To nie tragedia. Czy ojciec wie?

– Mój? – spytałam skonfundowana. Pokręciłam głową.

Ropucha uśmiechnęła się i przez moment wydała się nawet sympatyczna.

– Ojciec dziecka.

– A, nie... Jeszcze nikt nie wie – mówiłam szybko i w geście rozpaczliwej chwyciłam ją za rękę. – Proszę mi pomóc. Ja chciałabym taki zabieg, koniecznie. Moje życie traci sens...

Ropucha stanęła na baczność. Wyciągnęła spod fartucha krzyżyk na srebrnym łańcuszku i powiedziała:

– Jak śmiesz mi coś takiego proponować! To przecież zabójstwo.

I po prostu wyrzuciła mnie z gabinetu. Skąd miałam wiedzieć, że słucha Radia Maryja. Potem zrozumiałam, że w swoim mniemaniu chciała mi naprawdę pomóc. Znalazła moją kartę, adres i kilka dni później zadzwoniła do matki. Opowiedziała jej o wszystkim. Zanim jednak to zrobiła, ja prawie umarłam. Nie chodziłam do szkoły, leżałam bez ruchu, płakałam i czekałam na powrót Jakuba. Przez cały tydzień. Odmawiałam jedzenia. Któregoś dnia, zdesperowana, zadzwoniłam do jego firmy i sprzedając bajeczkę o znalezionych dokumentach, wymusiłam na sekretarce podanie mi telefonu domowego. Kiedy wykręcałam numer, drżały mi ręce. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie zaprosił mnie do siebie. Zawsze byliśmy w hotelu. Tłumaczył, że ten rozwód... Żona źle go znosi. Lepiej jej nie drażnić.

Miałam złe przeczucia. Telefon odebrało dziecko. Nie mogłam wymówić słowa. Rozłączyłam się. Po kilku minutach spróbowałam jeszcze raz. Tym razem głos kobiety. Żona? Matka? Sprzątaczką?

– Mogę rozmawiać z panem Czernym?

– Kto mówi?

– Ja w sprawie pracy, pan Czerny podał mi numer – wydusiłam.

– Proszę poczekać – odpowiedziała kobieta może odrobinę młodsza od mojej matki. Żona! Niedokładnie zakryła dłonią słuchawkę albo odłożyła ją na stół.

– Kuba, daleś nasz numer domowy? – zapowietrzyłam się, gdy słyszałam jej szczebiotanie i to zdrobnienie...

Nie był za granicą! Był z żoną, są zgodnym małżeństwem... – coraz bardziej kulilałam się w sobie.

Słyszałam jej narzekania:

– Nie dość, że wciąż cię nie ma, bo pracujesz, to jeszcze kandydatkom na sekretarki dajesz nasz numer?

Po chwili rozległ się jej śmiech, widocznie Jakub powiedział coś, żeby ją rozśmieszyć.

– Nie rób tego więcej, proszę cię, kochanie. Oj, syneczku, co się stało... Zaraz tatuś przyjdzie. Kuba, proszę cię, podejdź szybciej, bo ta pani czeka. Ja zajmę się makaronem.

Nie zamierzałam czekać dłużej. Dwoma palcami, jakby to była zdechła ryba, odłożyłam słuchawkę na widełki. Opadłam na podłogę i oparłam się o ścianę. Wcale się nie rozwodził. Oszukiwał każdą z nas: żonę, moją matkę i mnie. Nie-nawiść rosta we mnie, jak to dziecko, które nie miało prawa się począć, a jednak niepostrzeżenie się we mnie zaległo. Gardziłam nim, sobą. Nie chciałam go nigdy więcej widzieć. Ta podróż służbowa – fikcja. Skurwysyn.

Byłam sama, w ciąży. „Nie mogę powiedzieć ani jemu, ani matce, tym bardziej ojcu. Nie mam nikogo więcej. Co robić?” – myślałam.

Następnego dnia poszłam do szkoły. Kiedy wróciłam, zastałam matkę w moim pokoju. Płakała. Co jakiś czas wyrzucała z siebie przekleństwa. Nigdy wcześniej nie zachowywała się w taki sposób, nigdy nie była wulgarna. A teraz: szalona jak wiedźma. Bałam się jej. Wymachiwała pierwszym testem z szuflady i darła się:

– Dziwka! Skończysz na ulicy. Ostrzegałam cię!

Moje rzeczy były poprzewracane. Pamiętnik, który pisałam, leżał otwarty na tapczanie. Musiała go czytać. Więc już wiedziała. Patrzyłam na to i nie mogłam

nawet uронić łzy. Stałam jak słup soli, zszokowana, że tak łatwo tajemnica wychodzi na jaw. I to teraz. Właśnie teraz, gdy mój świat się załamał.

– Ty jeszcze nie rozumiesz, jaką klątwę na siebie ściągnęłaś. Powielasz moje błędy. Jesteś zła, rozpustna. Co się z tobą stało? Jaki błąd popełniłam w wychowaniu, przecież chciałam dać ci wszystko – rzuciła we mnie moimi butami, sukienkami, szminkami od Jakuba. – Dziwka, dziwka, kurwa! Taki wstyd... – dyszała ciężko. – Widać taką masz naturę, po ojcu. Po tatusiu... – zaśmiała się szyderczo. I spojrzała na mnie, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale nie dałam jej dojść do słowa.

Nie mogłam tego słuchać. Musiałam się bronić.

– A ty? Jaka z ciebie matka? Nie mamy ze sobą żadnego kontaktu. Nie zauważyłaś niczego, nie ochroniłaś mnie. Sama wpełchnęłaś mnie w jego ręce. Byłaś ślepa?

– Ufałam ci! Wam obojgu... O Boże!

– Teraz krzyczysz, bo jesteś stara i przegrana. Zazdrościsz mi. Bo ten, którego kochałaś, wybrał młodszą. Nie zawahał się, żeby przelecieć najpierw ciebie, a potem twoją własną córkę. Tak cię szanował! To ty jesteś szmatą, nie ja.

– Milcz!

– Nie będę. Chciałaś wiedzieć, to słuchaj! Pieprzył mnie, gdy ty spałaś za ścianą. Dotykał przy obiedzie, kiedy ty robiłaś do niego słodkie oczy i marzyłaś, żeby wylądować z nim w łóżku! Przyjeżdżał tu dla mnie, nie dla ciebie, rozumiesz!

– Jesteś potworem...

– Ja? Dlaczego mnie obwiniasz? On jest święty, tak? Miałaś mnie chronić, a dałaś mi przykład. Wtedy, gdy was przytapałam, wiesz, jak się czułam?

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Właśnie, przynajmniej masz odwagę to przyznać! – krzyknęłam. – Nie nawidzę cię!

– Ty nic nie rozumiesz, córeczko – powiedziała cicho i jej nagły, zimny spokój mnie poraził. – To moja wina, bo ci nigdy nie powiedziałam. Ale myślałam wciąż, że jesteś jeszcze niedojrzała. Nie zrozumiesz, znenawidzisz mnie... Teraz masz prawo usłyszeć.

– Proszę, bierzesz winę na siebie? Co za samarytanko... – szydziłam. – Bo wybrał młodszą, ładniejszą, z którą było mu lepiej w łóżku... – wybuchnęłam histerycznym śmiechem. I dodałam: – Taka jest prawda!

Matka spuściła głowę.

– Ty nic nie rozumiesz! – powtórzyła. – Masz dziecko z własnym ojcem. Jakub jest twoim biologicznym ojcem!

Nie, tego było już za wiele. Zaczęłam zbierać porozrzucane przez nią rzeczy. Wyciągnęłam niebieską walizkę, z którą jeździłam do Warszawy i wysypałam do niej zawartość szuflady, dopełniłam ciuchami i tym, co chwyciłam. Słyszałam jej głos, ale nie słyszałam już zdań, tylko pojedyncze słowa, przetykane szlochem.

– Opuścił mnie... wyjechał na stypendium... wysłałam za pierwszego kolegę, który mnie chciał... byłam przerażona... kochałam go... obłądnie... potem wrócił, ale już byłam zamężna... dlatego z twoim ojcem, przepraszam ojczymem, nie mogłam żyć... a potem znów się spotkaliśmy... miał żal, że nie poczekałam... myślałam, że się zmienił, że wszystko się zmieni... cieszyłam się, że cię pokochał... Jaka głupia, jaka naiwna! Pokochał, ale inaczej... i zrobił to samo... Ty nawet jesteś do niego fizycznie podobna... Jakieś fatum na nas ciąży...

Stałam z walizką w ręku i patrzyłam na nią martwymi oczami.

– Bredzisz – powiedziałam dobitnie. – Wyjeżdżam, nie szukaj mnie.

– Córeczko, on nie wie. Jemu też nie powiedziałam. Nie wie, że byłam w ciąży! Nie wychodź, proszę...

– To wszystko twoja projekcja. Kłamiesz! Gubisz się w swoich kłamstwach! – rzuciłam jej w twarz klucze od mieszkania i dopiero, kiedy minęłam nasze osiedle, pozwoliłam płynąć łzom.

Na dworcu podeszłam do kasy biletowej, ale zmieniłam zdanie. Pociąg będzie dopiero za kilka godzin – nie mam czasu czekać. Wstąpiłam do banku, podjęłam pieniądze, jakie zostały na koncie, i skręciłam w kierunku szosy wylotowej na Warszawę. Rozpadało się. Strugi wody z nieba płynęły mi po twarzy. Mieszały się z płynącymi wciąż łzami, ale im dłużej lkałam, tym więcej myśli, przebiegających dotąd chaotycznie przez głowę, układało się konsekwentnie, jak rzędy cyfr w skomplikowanych obliczeniach. Powoli zaprowadzałam porządek w tych równaniach. Została tylko jedna niewiadoma. Zatrzymałam się, bo poczułam nagle ciężar walizki. Postawiłam ją. Weszłam na pobliską stację benzynową i obmyłam twarz. Brzydka dziewczyna w kombinezonie firmowym wpatrywała się we mnie tępo. Uśmiechnęłam się na siłę i ruszyłam w kierunku szosy. Nie odwracałam się, choć coś do mnie krzyczała. Stałam przy drodze.

Sama nie rozwikłałam tego X czy Y. Postanowiłam zagrać z losem w rosyjską ruletkę. Życie albo śmierć. Jedna kula. Wsiądę do pierwszego samochodu, który się przy mnie zatrzyma, i ten, kto będzie za kierownicą, wyznaczy moją nową

drogę życia. Kogo mi przyszykowałaś, Boże? Jakie wcielenie? Błagam, tylko nie TIR... ani furmanka... – skupiłam się mocno i otworzyłam oczy dopiero, gdy hamujący samochód obryzgał mnie wodą z katuży. Startłam błoto z twarzy i zajęczałam przez okno.

– Ale zmokłaś, rusalko! – usłyszałam chrapliwy głos i świdrujące mnie na wyłot świetliście błękitne oczy.

Moja walizka wylądowała na tylnym siedzeniu czerwonej torpedy, a ja obok nieogolonego mężczyzny, z którego biła kusząca diaboliczna moc. – Ale zmokłaś, rusalko! – powtórzył jak echo i zaśmiał się.

Spojrzałam na siebie – mokre ubranie przykleiło mi się do ciała. Poczułam się jak naga. „A jak to zboczeniec? Gwałticiel?” – oddychałam ciężko, piersi mi falowały.

– Ten letni deszcz jest całkiem sexy, nie sądzisz? – uśmiechnął się i wskazał koc z tylnego siedzenia. – Przeziębisz się...

Dziękuję, pomyślałam wtedy z wdzięcznością o Bogu, a od siebie dodałam w myślach: „Jeśli on mnie nie zabije, to już nikt nie będzie mnie w stanie zniszczyć”.

Po godzinie drogi okazało się, że moje nowe przeznaczenie nie było najgorsze. Oprócz tego, że jeździło sportowym mitsubishi i było płci męskiej, to właśnie wracało z Ukrainy po podpisaniu korzystnej umowy na sprzedaż pełnego wyposażenia 200 sklepów. Z tego banalnego zajęcia były niezłe zyski, a on mógł kupić prawie wszystko, co było dostępne za pieniądze. Potrafił liczyć i doskonale wiedział, że mnie dostał w najtańszym pakiecie. *Gratis.*

Rozdział 20

Wróżowie i Meyer

„Ciesz się z rzeczy nieoczekiwanych! Okazje rzadko pojawiają się w schludnych i przewidywalnych pakietach”

Gratis – powiedziała kelnerka o lekko zachrypłym głosie Umy Thurman i fryzurze żywcem wziętej z „Pulp Fiction”. Postawiła przed Meyerem kawałek gorącej szarlotki z kulką lodów na wierzchu. Kręcąc biodrami wróciła za kontuar. Wczorajsze spotkanie z Ewą, nową narzeczoną Mariusza Króla, dało mu do myślenia. Gdyby mógł kupić wszystko, co było dostępne za pieniądze, i tak wybrałby ten zawód, który wykonywał. Potrafił liczyć i doskonale wiedział, że posadę psychologa w katowickiej komendzie dostał od losu w najtańszym pakiecie, gratis.

Drżącą ręką chwycił w dłoń filiżankę z parującym espresso. Wpatrywał się w białą masę, która powoli roztapiała się na spodku i po kilku minutach kawałek ciasta wyglądał jak słodka wyspa otoczona ze wszystkich stron oceanem śmietany.

Gdyby nie osiągał sukcesów, Anka byłaby szczęśliwa. Ich małżeństwo, choć puste, trwałoby. Dopóki siedział w jej złotej klatce na łańcuszku uplecionym z zakłęb, że jest jej jedynym oparciem, mądrością i siłą, ich życie przypominało sielankę. Jak ona cieszyła się z jego pracy wychowawcy w Strzelcach Opolskich! Nie przeszkadzało jej, że był klawiszem. Wracał do domu zawsze o tej samej porze – 16.30, zjadał obiad, bawił się z dziećmi. Potem, gdy ona zasiadała przed telewizorem, zamykał się w swoim pokoju analizując wywiady z osadzonymi mordercami. Kupił trochę amerykańskiej literatury i pracował. Codziennie miał w zasięgu

ręki świetny materiał do badań: seryjni zabójcy, zawodowi killerzy, cyngle mafii, pedofile, maniacy seksualni. Wysłuchiwał ich zwierzeń i robił autorские ekspertyzy po godzinach pracy i dla siebie. To wtedy złapał bakcyła profilowania. Anka traktowała to jak niegroźne hobby – inni faceci jeżdżą samochodami terenowymi po lesie, grają w pokera, zwiedzają burdele, a on jest w domu, pod jej oknem. Ma szczęście, kontroluje sytuację, tak myślała. I przed szklanym ekranem, wpatrzona w seksowną zakonnicę, rodzinę idiotów albo latynoskich kochanków, bezpiecznie przeżywała życie innych w serialu.

Nawet potem, kiedy dostał się do szkoły policyjnej w Szczytnie i zakomunikował, że będzie gliną, nie kwękała. Zarabiał więcej i mogli sobie pozwolić na lepszy samochód, a raz w tygodniu na panią do sprzątania. Znosiła jego nieobecność z miną męczennicy, bo po kilku dniach pracy zawsze miał te trzy dni wolnego. Mogła go zagonić do remontu okapu w kuchni albo skręcania mebli. Wciąż jeszcze panowała nad jego życiem. Dopiero, kiedy z szeregowego policjanta przeistoczył się w psychologa, a potem szefa sekcji i był tak dobry, że po prostu zawalali go robotą, zaczęła histeryzować. Jego nadgodziny nie przekładały się na większe pieniądze. Anka nie rozumiała, jak można się tak dawać wykorzystywać. Sama nie miała żadnych zainteresowań ani pasji. Dla niej liczyła się tylko rodzina. Nie mieściło się jej w głowie, że jakimś ideałom można poświęcać życie. A odkąd Hubert Meyer został profilerem, więcej wydawał, niż zarabiał. Nie jadł już w domu, nosił lepsze garnitury. Potrzebował kamery, aparatu fotograficznego, nowego komputera. To wszystko kosztowało, a policyjne stawki, nawet po awansie, nie były aż tak duże, żeby zakup tych wszystkich potrzebnych do pracy urządzeń nie odbił się na budżecie domowym. – To za moją pensję żyjemy – wyrzucała mu.

Do tego na wyjazdy w delegacje używał ich samochodu, a Anka musiała poruszać się po mieście autobusem. Wciąż była podminowana. Nie na rękę jej było, że ma w domu policyjną gwiazdę. Im większe sukcesy osiągał – a był jedynym w Polsce profilerem z doświadczeniem detektywa wydziału zabójstw – tym bardziej nie było go dla niej. Znienawidziła jego pracę, była zazdrosna o poświęcany jej czas, jakby chodziło o atrakcyjniejszą kochankę. Robiła mu awantury, choć przecież nie miała do tego podstaw. Wiedział, że i tak dostanie burę, więc po setnej scenie zazdrości

nagle zauważył seksowne pęcinki Marioli i zaprosił ją na kawę... Potem były inne, które go doceniały i sprawiały, że jego krzaczaste brwi nie tylko łączyły się w jedną kreskę pod wpływem frasunku, ale też unosiły do góry, kiedy wybuchał śmiechem.

Złapał zaciekawione spojrzenie kelnerki i spuścił wzrok, po czym podniósł głowę i uśmiechnął się półgębkiem. Wiedział już, co zdarzy się za chwilę. Nie trzeba być psychologiem, żeby wiedzieć, że po takim sygnale Uma natychmiast ruszy do jego stolika. Jej zainteresowanie mile polechało jego męską dumę. Wyprostował szerokie plecy. Chętnie rozluźniłby krawat, którego nienawidził, tak jak sztywnego garnituru, ale w pracy nosił go niczym pancerz, który chroni przed ciosami ludzkich spojrzeń i zmusza do zachowania wyniosłej postawy. Kelnerka po drodze podała kartę jakiemuś przyszczatemu chudzielcowi, którego Meyer na 90 procent oceniał jako przedstawiciela firmy medycznej. Jeździł pewnie jakimś kombi w kolorze butelkowej zieleni metalic i miał służbowy telefon komórkowy z aparatem fotograficznym oraz wieszak na garnitur zamontowany za siedzeniem kierowcy. W zamian za ten „luksus socjalny” w ciągu miesiąca musiał obejść sto aptek i wcisnąć im produkty swojej korporacji. Anka byłaby szczęśliwa z takim mężem. Z czasem zwykły „rep” zostałby kierownikiem działu, a potem managerem. Zamiast Nubiry, dostałby Vectrę, a raz do roku fabryka leków sponsorowałaby jemu i jego partnerce wakacje w Tunezji. „Żyć, nie umierać!” – pomyślał cynicznie komisarz.

Podrabiana Uma zebrała na tacę brudne naczynia po śniadaniu chudzielca i wypięła kształtne pośladki w minispódniczce. Komisarz wlepił wzrok w jej krągłości, rozparł się na krześle i niedbałym gestem wsunął do ust papierosa. Sięgnął do kieszeni, by wyjąć zapalniczkę. Gmerał w niej chwilę, ale zamiast złotego zippo jego wskazujący palec natknął się na dziurę. Wpadł w nią jak mysz w pułapkę. No tak, nic dziwnego, że nie może jej znaleźć. Zgubił ją. Kiedyś Anka zacerowałaby porwaną podszewkę kieszeni. Teraz już o niego nie dba. „Bez kobiety będę się powoli staczał, aż w końcu zaczną mi rosnąć włosy w uszach i zupełnie nie będzie mi to przeszkadzało” – pomyślał. Patrzył na świat cynicznie. Wszystko, co mu się przydarzało, przyjmował ze stoickim spokojem. I nie liczył już na zrozumienie u kobiet. Nie wierzył w miłość. Może jeszcze w seks. Ale też bez zobowiązań, bo namiętność tak szybko mija...

Niezadowolony odłożył papierosa. Pochylił się, by przetrząsnąć teczkę w poszukiwaniu zapalek, kiedy tuż obok zobaczył parę czarnych szpilek z cyrkonami, identycznych jak te w łazience Niny Frank. Zamarł. Kiedy podnosił głowę, był zmuszony przesuwając wzrokiem po lekko krzywych nogach kelnerki. W miejscu, gdzie zaczynała się spódniczka, dostrzegł niewielką dziurkę w rajstopach i idące w górę oczko. Fragment białego ciała i obietnica, co jest wyżej, podziały pobudzająco. Wtedy usłyszał trzask otwieranej zapalniczki. Kelnerka podawała mu ogień. Był tak skołowany, że nie był w stanie nic powiedzieć. Kobieta nie zastanawiała się długo. Chwyliła leżącego na stole papierosa, podpaliła go, po czym podała jemu. Na filtrze odbił się ślad bordowej szminki. Kiedy zaciągał się, prawie czuł smak jej ust.

– O której pani kończy? – zapytał.

Wiedział, że czekała na to pytanie. Miał rację. Chociaż nie odezwała się ani słowem, wyjęła z jego ręki papierosa, pociągnęła raz jeszcze i położyła przed nim serwetkę, na której zobaczył numer telefonu komórkowego. I imię: Kinga.

Kinga, mogłem się spodziewać. Czas i przestrzeń zatoczyły koło. Ale to już nie ta Kinga – chciał powiedzieć na głos, ale tylko wpatrywał się tęsknie w kawałek bibuły. Drukowane litery były pochylone w lewą stronę (przeszłość, wspomnienia, dawne przeżycia mają dla niej wielkie znaczenie, często do nich wraca i rozpamiętuje – zinterpretował niczym doświadczony grafolog), dłoń, która je pisała musiała lekko drżeć (wahała się, nie miała stuprocentowej pewności, by zagrać *va banque*), ale długopis przyciskała tak pewnie, że na kolejnych czterech warstwach chusteczki widział odcisk zapisanego numeru (stanowcza, silna, wie, czego chce, lubi dominować). Spojrzał na jej filigranową twarz, trochę za duży nos i przydługą grzywkę, równo przyciętą na wysokości brwi, którą co chwila odgarniała, bo włosy wchodziły jej do oczu. Śniada cera, jakby przykurzona od dymu papierosowego, w którym spędzała większość życia, i agresywny makijaż dodawały jej lat. Nie była piękną, ale miała w sobie jakąś tajemnicę. Hubert Meyer był zdania, że ludzie, którym na twarzach nie maluje się sekret, zwykle nie są też ciekawi po bliższym poznaniu. Twarz Kingi obiecywała wiele tajemnic. Kiedy tak rozmyślał, odezwała się.

– Przed północą. Wcześniej będę miała tu kocioł.

Niski, chropowaty głos, sposób trzymania papierosa i leniwe mrużenie powiek, sprawiły, że poczuł się jak na planie filmu z Marlonem Brando, siedząc w obskurnej restauracji hotelu Gromada. Kinga nie mogła dłużej rozmawiać. Do baru podeszła wycieczka niemieckich emerytów i głośno wzwargocząc, domagała się obsłużenia. Kiedy stukot jej obcasów przestał do niego docierać, wstał z krzesła i wyciągnął portfel. Zostawił na stole czterdzieści złotych, choć śniadanie kosztowało połowę. Wyszedł, gasząc po drodze papierosa w popielniczce chudzielca. Mężczyzna zerknął na niego oburzony. Meyer odpowiedział mu wyzywającym spojrzeniem.

Jeszcze, kiedy mijał recepcję i oddawał klucz od pokoju, był pewien, że wróci tu przed północą. Jednak wichur, który rozwiął połę płaszcza, gdy minął obrotowe drzwi hotelu, w jednej chwili rozproszył ten plan. Zmięta serwetka pofrunęła w kierunku kosza na śmieci i dosłownie w ostatniej chwili odbiła się od brzegu kubła. Upadła na schody, obok jego buta. „Los przekornie daje mi jeszcze jedną szansę na przemyślenie decyzji” – pomyślał profiler. Nie podniósł papierowej kuli. Nie obejrzał się. Wsiadł do samochodu i ruszył do mieszkania narzeczonej Mariusza Króla.

Ewa wyglądała o wiele lepiej niż wczoraj wieczorem. Pod świetlistym makijażem ukryła smutek i niepewność. Odważny dekolt lnianej bluzki eksponował czerwone ramiączko biustonosza. Białe płótno seksownie opinało okrągły brzuch. Profiler zastanawiał się, jak wyglądają jej nagie piersi.

– Nie ma go. Nie było go całą noc – powiedziała radośnie, jakby oznajmiała świetną nowinę.

Hubert Meyer stał w korytarzu i wpatrywał się w jej smukłe stopy z czerwonymi paznokciami i hinduską obrączką na jednym z palców. Była bosa, świeża, czekała na niego od rana.

Zastanawiał się, dlaczego się jej spodobał. Dlaczego tak bardzo chce, by wszedł, i co pragnie mu powiedzieć. Nie jestem w jej typie, to pewne. Nie mam pieniędzy. Jestem żonaty. Meyer przeszukiwał swój twardy dysk w głowie i węszył podstęp.

– Będzie pan czekał? – spytała. W jej głosie było zaproszenie, a w oczach figlarne ogniki. Cofnęła się do salonu. Kiedy wróciła, trzymała w ręku jego zapalniczkę.

– Zostawił pan wczoraj.

– Szukałem jej – odpowiedział.

Gdy odbierał zgubę, ich palce się zetknęły. Meyer wyczuł wysyłane przez jej ciało sygnały. Zachęcała go. Tchórzliwie pochylił głowę, nie chciał przekraczać tej granicy. Spojrzał na zegarek.

– O trzynastej mam spotkanie w Otwocku z pani magikami, ale... – zamilkł. Nerwowo podrapał się po podbródku. Kobieta wlepiła wzrok w jego dłonie. Obrączka błyszczała na serdecznym palcu. Czuł, jak pali mu skórę.

– Ile lat jest pan po ślubie? – zapytała, kiedy w końcu usiadł przy szklanym stoliku w salonie. W płaszczu. Z teczką przy nodze. W każdej chwili gotów do wyjścia.

– Jedenaście.

– Nie byłem z nikim tak długo.

– Długo – powtórzył jak echo komisarz Meyer. Zastanawiał się, dlaczego dziś czuje się w jej towarzystwie tak niepewnie.

– Po pana wyjściu zaczęłam analizować swoje życie – Ewa ni stąd, ni zowąd zaczęła zwierzenia. – Tak kurczowo trzymam się Mariusza... Przecież nie muszę za niego wychodzić, ani nawet być z nim. Jest wiele samotnych matek. Ta noc pozwoliła mi zrewidować swoje uczucia do niego. Czuję się dziś o wiele lepiej.

Milczał, więc ciągnęła.

– Ma pan dzieci?

Kiwnął głową.

– Trójkę.

– To piękne. Musicie być bardzo szczęśliwi...

– Tak... – roześmiał się nerwowo. – Ja jestem, ale moja żona nie bardzo...

Sam nie wiedział, dlaczego to mówi. To nieprofesjonalne. Sprawa śmierci aktorki była dziwna. Jakby przy okazji szukania zabójcy Niki, znajdował odpowiedzi na pytania dotyczące własnego życia. Podczas rozmów ze świadkami nieopacznie wychodziły na jaw pieczołowicie ukrywane emocje. Wcale nie miał ochoty na ich analizę. Przeszkadzało mu to. To przecież narzeczona podejrzanego! Nie powinien się otwierać. Ale intuicja mówiła mu, że jej może powiedzieć. Nie ufać, ale rozmawiać o tym. Ona też jest na zakręcie.

– Ja już nie wierzę, że będę szczęśliwa. Może to dziecko da radość, jakiej mi brakowało – dotknęła wypukłego brzucha. – Ale związek już nie. Po jakimś czasie wszystko i tak zawsze się rozpada. Nie wiem, gdzie popełniłam błąd. Od śmierci Niki Mariusz bardzo się zmienił. Czasem podejrzewam, że to jednak zrobił... I z drugiej strony nie mieści mi się to w głowie. Ale czasem... Boję się go.

– Dlaczego?

– Kilka razy podczas awantury doszło do rękoczynów. Nie powstrzymało go nawet to, w jakim jestem stanie...

– Zgłosiła to pani na policję?

– Nie – nagle wstała.

Kliknął pstryczek czajnika. Zagotowała się woda na herbatę. Nie było jej kilka minut, a kiedy wróciła z parującymi filiżankami na tacy, mówiła, jakby opowiadała nie o sobie, ale o koleżance czy sąsiadce.

– Nie chciałam, żeby trafił do aresztu. Kłamałam przed dzielnicowym, gdy pytał, jak się zachowuje. Przecież Mariusz ma dozór. Poręczyło za niego tyle osób. Mój ojciec podpisał się na liście. Podważyłabym ich opinię.

Hubert Meyer wpatrywał się w niezwykle wykrój ust kobiety – przypominały serduszko. Tak, ta kobieta jednak miała w sobie coś niezwykłego. Choć nie była piękna. Wtedy zrozumiał, co go tak razi – usta były sine, wręcz granatowe. Jakby przed chwilą zjadła pół słoika jagód. Albo piła czerwone wino poprzedniego wieczoru. Będąc w ciąży? Nie mógł dostrzec tego wcześniej, bo szminka pokrywała szczelnie jej wargi.

– Zresztą Mariusz przeprosił mnie, przyniósł kwiaty – ciągnęła Ewa. – Mówił, że go poniosło. Za dużo stresów. Ale potem... To nie był jeden raz.

– Ile razy do tego doszło?

– Dwa razy w domu i raz u moich rodziców. Ojciec kazał mu się wynosić. Nie chcę, żeby za niego wychodziła. Poza tym...

– Tak?

– Jak się kochamy... Przepraszam, że mówię o tak intymnych sprawach, ale... Nie mam nikogo, by się zwierzyć. On zacisnął ręce na mojej szyi.

– Podduszał panią? Zgwałcił?

– Nie, to nie był gwałt. Był wściekły. Rzucił mnie na łóżko. Kochaliśmy się, a kiedy kończył, wie pan... zacisnął ręce. Ledwie złapałam oddech – przerwała i spojrzała na Huberta Meyera oczami spłoszonej sarny.

Profilerowi zabłysła w głowie lampka ostrzegawcza.

– To się zdarzyło dopiero po śmierci jego żony? Wcześniej się tak nie zachowywał?

Kobieta pokręciła głową. Podwinęła stopy i usiadła na nich. Jakby nagle zawstydzila ją ich nagość.

– I jeszcze coś. Może się to panu przyda. Kiedy jeszcze Nina żyła, Mariusz akurat był u mnie. Zadzwoiła na ten telefon. Wściekł się, że dzwoni do mojego domu, a nie na jego komórkę. Klócili się. „Zabiję cię, suko!” – krzyczał. Groził, że zapłaci mu za to. Nie wiem, za co, ale powiedział coś w stylu „wiem, jak wyglądał ten wypadek”. A potem padło nazwisko. Zapamiętałam, bo to znana osoba.

– Jakie?

– Jakub Czerny. Nie wiem, o co chodzi. Podслуchałam tę rozmowę z łazienki. Myślał, że się kąpię. Podobno oni mieli razem jakiś wypadek.

– Pani narzeczony i Czerny?

– Nie. Nina Frank i Jakub Czerny. Mariusz nigdy mi nie powiedział, o co chodziło, ale to jakaś śmierdząca sprawa. On szukał na nią haka, żeby wyjść dobrze na tym rozwodzie. Ta informacja była jego kartą przetargową. Może ją szantażował? Nie mam pojęcia. Jego zachowania są tak płaskie i prymitywne. Dopiero przejrzałam na oczy. Nie jest dobrym człowiekiem. Myśli tylko o sobie. Jestem pewna, że byłby zdolny ją pobić i zgwałcić, choć temu zaprzecza. Boję się o swoje dziecko. Gdy wpada w złość, zawsze mu ustępuję.

– Kiedy odbyła się ta rozmowa? – zapytał Meyer, ale Ewa już nie odpowiedziała.

Usłyszeli, że ktoś majstruje przy zamku i próbuje go otworzyć. Kobieta poderwała się, podeszła do zasuwki i odsunęła ją. Mariusz Król, pijany, wtoczył się do korytarzyka, gdzie przed chwilą stał profiler. Oparł się o ścianę i otarł rękawem usta. Musiał przed chwilą wymiotować.

– Co pan tu robi? – zaszczał, gdy spostrzegł na kanapie komisarza.

Śmierdział alkoholem i ledwie stał na nogach. Ewa odsunęła się od niego. Patrzyła na tę scenę przerażona.

– Wynocha z mojego domu! – krzyknął Król.

– Umawialiśmy się na rozmowę – powiedział z naciskiem Meyer.

Chwył teczkę w dłoń, wstał i zbliżył się do prezentera. – Ale pana wczoraj nie było, więc jestem dziś. Przyszedłem po nagrania.

– Jakie nagrania? O czym pan, do cholery, mówi? – zdenerwował się Król, ale był już mniej pewny siebie. Odwrócił się, by sprawdzić, czy Ewa jest nadal obok.

– Porozmawiamy na osobności, czy mam wyjaśnić przy pani – Meyer wskazał Ewę.

– Niech się pan wynosi! Ma pan nakaz aresztowania czy rewizji? Nie? To wypierdalać z mojego domu!

– Znaleźliśmy podsłuch w telefonie... – zaczął Meyer, a Król otworzył szerzej oczy i zaśmiał się. Pod tym śmiechem chciał ukryć zdenerwowanie.

– No i co?

– Pan go założył... Myślę, że będzie lepiej, jeśli porozmawiamy. W przeciwnym razie jeszcze dziś wieczorem odwiedzą pana ludzie w mundurach. Następne noce spędzi pan w hotelu z kratami. I wtedy już będziemy musieli pogadać. Tylko że w nieco gorszych warunkach. Może pan nie wrócić na wolność...

– Grozisz mi? Dobra, glino, zagram z tobą tę partyjkę – Mariusz Król odepchnął Ewę i wskazał pokój, w którym Meyer był poprzedniego dnia.

Prezenter opadł na krzesło stojące przy biurku z komputerem. Zakrył twarz w dłoniach. Profiler stał z teczką w ręce. Patrzył na tego człowieka z politowaniem.

– Ja jej nie zabiłem, ile razy mam powtarzać – powiedział zrezygnowany mężczyzna.

Meyer widział, jak emocje na jego twarzy zmieniają się z sekundy na sekundę. Nagle przemknęło mu przez myśl, że oni oboje odgrywają przed nim rolę. Umówili się i... Oboje są aktorami. Może nie najlepszymi, ale szkoleni do tego, by grać, udawać. Czuli sztuczność. W nich obojgu czuł fałsz. Znów ta cholerna intuicja...

– Podśluchiwałem ją, bo chciałem mieć coś na nią, żeby się w końcu uwolnić – tłumaczył Król. – Ale na tych taśmach nic nie ma. Mówię panu.

– Gdzie one są? – spytał ostro profiler.

– No przecież nie tutaj – wzruszył ramionami mąż Niny i spojrzał przekrwionymi oczami na zakurzony komputer. – Spotkajmy się wieczorem w pubie Chicago's na Woli. Przyniosę je.

– Będę tam o szesnastej. Jeśli pan kłamie, postaram się o nakaz aresztowania i rewizji. Porozmawiamy inaczej.

– Dziwny z pana gliniarz – wzruszył ramionami Król i wykrzywił twarz w uśmiechu. – Ja już nie mam nic. Wszystko przez nią straciłem: opinię, pracę, nawet Ewę. Zniszczyła mnie. I wie pan, wcale mi jej nie żal. Zasłużyła sobie na śmierć. A teraz, kiedy ciągną mnie po komendach, pewnie śmieje się zza grobu. Piję, żeby odgonić od siebie jej ducha, który dręczy mnie po nocach.

– Dlaczego jej pan tak nienawidzi?

– Przesłucha pan taśmy, to sam zrozumie. A propos, złożyłem na pana skargę i tego zarozumiałego wiejskiego komendancika. Czekają postępowanie dyscyplinarne.

Meyer zacisnęła usta ze złości.

– Będę czekał o szesnastej i ani minuty dłużej, jasne? – wyszedł trzaskając drzwiami.

Kiedy czekał na windę, Ewa wymknęła się na klatkę schodową.

– Mogę dostać pańską wizytówkę? – spytała.

Z ociąganiem wyjął metalowy wizytownik i podał jej biały kartonik.

– Proszę zadzwonić, gdyby coś się działo. I niech pani uważa na siebie. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała i schowała się w mieszkaniu.

Na błyszczącej terakocie, przez chwilę jeszcze, widział ślady jej wilgotnych stóp. Znikały powoli, aż w końcu zamieniły się w małe punkciki i pochłonęła je podłoga. Wsiadł do windy i nacisnął zero. Kiedy wychodził, minął w drzwiach dziewczynę z dredami, która prowadziła na smyczy łąciatą świnię. Zwierzę chrupkało głośno i dudniło raciczkami o schody. Bułka, którą podała pupilowi, momentalnie zniknęła w otchłani ryja. Meyer zauważył, że taka mała świnka ma całkiem potężne zęby.

– Minia, zostaw pana – powiedziała dredziara, kiedy świnka zaczęła obślinać jego nogawki.

Wydało mu się to tak absurdalne, że zamrugał kilkakrotnie i z niedowierzaniem patrzył na kolorowe szelki, smycz. Pociągnął nosem, ale nie

poczuł brzydkiego zapachu. „Ludzie mają popieprzone w głowach. Tylko pytanie, kto tu jest nienormalny: ja czy oni?”

Mapa, którą się posługiwał, nie obejmowała podwarszawskich miejscowości. Błądził już pół godziny. Kiedy zapytał o drogę kobietę w moherowym berecie, zaczęła tłumaczyć tak pokrętnie, używając miliona szczegółów, których i tak nie był w stanie zapamiętać, że podziękował za pomoc i odjechał. Kilku innych przechodniów nie wiedziało, gdzie jest ulica Miła. W końcu, zupełnie przypadkiem, wjechał w najbrzydszą aleję, jaką widział w życiu, pełną roztopionego śniegu. Nie docierał tu asfalt, więc spod kół auta bryzgała na boki brudna breja. Wszystkie domki stojące obok siebie w rzędzie były do siebie podobne. Hubert Meyer na jednej z posesji zauważył kobietę z wałkami na głowie i w daszku na gumce z napisem Warta. W sznurowanych butach ortopedycznych na grubej plastikowej słoninie, jakich kiedyś używały pielęgniarki w szpitalu, odgarniała śnieg. Miała na sobie nylonowy fartuszek w drobną łączkę, spod którego wystawała wściekle różowa bluzka z krótkim rękawem i zielone spodnie od dresu z żółtymi lamówkami. Wyglądała tak nieprawdziwie, że nawet nie liczył na konkretną wypowiedź, ale nie miał wyjścia. Nikogo innego nie było w zasięgu wzroku.

– Wie pani, gdzie jest Miła? – krzyknął.

Kiedy się odwróciła, zobaczył, że pod daszkiem ma na nosie ciemne okulary ze złotą lamówką i oprawkami o kocim kształcie. Teraz dopiero poczuł się nieswojo.

– Ulica Miła – powtórzył. Spojrzał na kartkę, na której zapisał adres. – Numer 14.

Kobieta rzuciła łopatę i machając prawą ręką wbiegła do domu. Hubert Meyer chwilę jeszcze wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą była dziwna postać i dopiero, gdy trochę ochłonął, odwrócił się za siebie. W tamtym kierunku pokazywała wariatka. Przed nim stał szary klocek z furtką i staroświeckim domofonem na ogrodzeniu. A na wysokości jego wzroku przyczepiono drutem tabliczkę: Miła 14.

Na frontowej ścianie budynku przeczytał szyld: „Egzorcyzmy. Bioterapia. Talizmany. Ferdynand Wawrzyniak & Feliks Bułka”

Nie musiał już manewrować. Jakby samochód sam przywiózł go na miejsce. Wysiadł, wdepnął prosto w kałużę z błota i stopniałego śniegu.

Potrząsnął nogą i poczuł, jak zimna woda wlewa się do jego buta. Zaklął pod nosem. Nacisnął przycisk. Po chwili usłyszał pojedyncze piknięcie.

Na spotkanie wyszedł mu niski mężczyzna. Łysa głowa i rumiana, pucołowata twarz przypomniały księżyc w pełni. Biała koszula była rozchełstana, a na piersi wisiał medalion, niemal identyczny jak ten, który Meyer widział u Ewy, tylko trawiasto zielony i monstrualnych rozmiarów.

– To Feliks czy Ferdynand? – zastanawiał się profiler.

– Bułka, do usług – mężczyzna podał mu rękę i wskazał wejście na zatęchłą werandę. Potem poprowadził ciemnym korytarzem w głąb domu. Pachniało w nim gotowaną kapustą i kocim moczem. „Muszą wynajmować tutaj jakąś kanciapę, a w drugiej części mieszka właściciel” – zarejestrował policjant. Szedł za gospodarzem i czujnie rozglądał się na boki. Kiedy znaleźli się w pokoju urządzonym pod wynajem, gdzie właściciel wstawił wszystkie niepotrzebne graty, wcale się nie zdziwił. Brązowa wersalka, regał na wysoki połysk, ogromne biurko z podłożonym pod jedną nogę kawałkiem papieru, lampa z zakurczonym, przepalonym w jednym miejscu abażurem i wzorzyste firany w oknach, przez które do wnętrza wpadało słońce. Po ciemnym korytarzu przyjemnie było znaleźć się w rozświetlonej przestrzeni. Hubert Meyer rozejrział się. Ślady działalności magików były nieznaczne: na jednej ścianie powieszono kilkanaście małych obrazków z wizerunkami świętych, widoczkami morza, jakieś abstrakcje i trójwymiarowe słońca. Wszystko było tandetne i przypadkowe. Jakby ten pokój rano służył wróżom, a po południu mogła go wynajmować prostytutka na godziny lub dentysta ze wschodu z przenośnym fotelem stomatologicznym. Bułka posadził Meyera na wersalce, która glucho zaskrzypiała pod jego ciężarem, a sam oparł różowe dłonie o blat biurka. Rozciągnął wąskie, pozbawione barwnika usta. Przeszył wzrokiem postać przybysza na wylot. Spojrzeniem próbował wywrzeć nacisk i zdobyć zaufanie policjanta.

– W czym możemy pomóc organom ścigania? – zagaił.

– Pani Ewa mówiła, że panowie przyjmujecie we dwóch? – powiedział Meyer i wyciągnął z notesu zdjęcie tatuażu, ale go nie pokazał.

Bułka uśmiechnął się zamiast udzielić odpowiedzi. W tym momencie w drzwiach stanął chudy jegomość w spranej marynarce, kiedyś koloru czarnego, z wyszytym żółtą nitką chińskim smokiem.

Czarne włosy były przerzedzone, zaczesane na bok na tzw. „pożyczkę”. Twarz czerstwa, porowata, jak po przebytej ospie. Spodnie szarobure, przykrótkie, kończące się przed kostkami i uwydatniające skarpetki, których świeżość dawno minęła. Na te skarpetki mężczyzna założył sportowe sandały zapinane na przylepiec z napisem Rebox. Co tu dużo gadać – facet wyglądał na niezłego „denaturata”. Denaturat i Księżyc w pełni. Prosiaczek i Kłapouchy – przyjaciele Kubusia Puchatka. Żwirek i Muchomorek. Meyer nie mógł pozbyć się wrażenia, że to wszystko mu się tylko śni. Takich dziwaków dawno już nie oglądał. Brakuje tylko blond karlicy w muślinach...

– Tak, przyjmujemy razem. Przepraszam, musiałem pomóc żonie – wytłumaczył się chudy i żylasty Żwirek, a Muchomorek dokończył z dumą, jakby to była jego połowica: – Jest ciężarna i ma dziewiętnaście lat.

– To już moja trzecia – pochwalili się 50-letni Żwirek. – Dlatego tak potrzebuję pieniędzy.

– Konsultacja będzie więc płatna – podkreślił rumiany Muchomor. I rozgadał się, że on ma „dwudziestkę”, a młodsza żona potrafi w duszę starca tchnąć młodzieńczy wigor.

Meyer oniemiał. Przenosił wzrok z jednego na drugiego. W zależności, który akurat wydobywał z siebie głos.

– Czy to panu odpowiada? Wystawimy rachunek, oczywiście – Żwirek wyglądał marynarkę ze smokiem i przemówił, jakby prowadził audycję w radiu.

– Nasza konsultacja może wydać się panu nieprawdopodobna, ale nie wszystko, co się zdarza, ma racjonalne wytłumaczenie. Wręcz przeciwnie. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu. Im mniej się tego spodziewamy, tym więcej alchemii. W zwykłym życiu, rzecz jasna. Pan o niej zapomniał, a szkoda.

Niski tembr głosu, aksamitna intonacja. Żwirek czarował głosem, a Muchomor trzymał klienta w szachu świdrując spojrzeniem – odkrył ich strategię Meyer.

Ale choć wyglądali ubogo, nie byli prymitywni. Wysławiali się bardzo poprawnie, stroniąc od kolokwializmów i nieco nadużywając archaicznych sformułowań żywcem zaczerpniętych z książek Sienkiewicza. Światło padało na rumiane policzki Muchomora, kiedy powiedział:

– Ale w ramach konsultacji chcielibyśmy zaproponować panu kurację doktora Dzi-Hao.

Zanim Meyer zdążył zareagować, Żwirek wtoczył i zatrzymał przed kolanami profilera niedużą półeczkę na kółkach, w której znajdowało się ponad sto maleńkich buteleczek z tajemniczymi napisami.

– Nie, ja dziękuję – wydusił z siebie profiler. Nie wierzył w te bajki i nie zamierzał tracić czasu. – Chciałbym pokazać panom to zdjęcie...

– Wiemy, po co pan przyszedł – przerwał mu Muchomor.

– Na wszystkie pytania dostanie pan odpowiedzi. My już je znamy – dokończył Żwirek.

Muchomor: – Musi się pan znów nauczyć cierpliwości.

Żwirek: – Czy pan sądzi, że trafił tu przypadkiem?

Muchomor: – Przyczyna jest w panu, nie w tym znaku, który pana nurtuje.

Meyer zamrugał oczami. Ci dwaj to jacyś wariaci! Uciekli ze szpitala psychiatrycznego i trenują na nim socjotechniki. Próbują go ustrzelić jak zwierzynę łowną. Spojrzał na sandały człowieka ze smokiem, na jego twarz. Potem przeniósł wzrok na drugiego: niezdrowe różowe plamy rozsiane na policzkach i jego siwiejące włosy na klatce piersiowej, które wymykały się spod rozpiętej koszuli. Żony mają młodsze od własnych córek... Zganiał się w duchu za pomysł pojawienia się tutaj i uciał ich przemówienie:

– Przyszedłem służbowo. Jestem policjantem i psychologiem. Prowadzę...

– Wiemy o tym – powiedzieli jednocześnie. A Muchomor ponownie rozciągnął bezbarwne usta w pobłażliwym uśmiechu. – Stoi pan na rozstaju dróg. Nie wie, którą drogą pójść – powiedział.

– W takim momencie trzeba się zatrzymać. Bieganie w kółko nic nie da – Żwirek skrzyżował nogi. Wyglądał teraz jak wychudzona żaba.

Po chwili milczenia Meyer zapytał:

– Czym się właściwie panowie zajmują?

Żwirek i Muchomorek spojrzeli po sobie. Każdy z nich wyciągnął w kierunku drugiego rękę. Trwało to chwilę. Niczym dżentelmeni na kładce przerzucali się pierwszeństwem wypowiedzi. W końcu rumiany z medalionem wstał i otworzył drzwi sąsiedniego pokoju. Meyer poderwał się zdezorientowany. Zrozumiał, że ma iść za nim. „Wewnętrzny gabinet”,

jak go określili, niewiele się różnił od poprzedniego. Wersalka, ława, dwa fotele, firanka, jak meblowało się w latach osiemdziesiątych. Na ścianie ogromny obraz Matki Boskiej w złotych ramach, który pasował do tego pokoju jak kwiatek do kożucha.

– Tutaj odprawiam egzorcyzmy – zakomunikował z dumą Muchomor i wskazał wygryziony przez myszy czy mole dywanik koloru nieokreślonego. – Wczoraj miałem pacjentkę, z której wyganiałem silnego demona. Opierał się, zwymiotował tutaj.

Rzeczywiście na dywaniku była widoczna ciemniejsza plama.

– To typowy objaw. Diabeł nie chciał odejść i zmusił owładnięte nim ciało do tego, by zwróciło obiad.

– Aha – wydusił z siebie Hubert Meyer i wrócił do pokoju. – A pan?

Człowiek ze smokiem nadal siedział nieruchomo na fotelu, nogi ułożył w jeszcze bardziej skomplikowany iks. W milczeniu wpatrywał się w profilera.

– On? Wykonuje amulety i talizmany. Jest astropsychologiem.

– Kim?

– Astropsychologiem. Pomagamy zagubionym, chorym, opętanym, którzy znaleźli się na zakręcie życia. Ferdynandzie, azaliż dobrze się wyraziłem?

– Wybornie to ująłeś, Feliksie. Dokładnie takim ludziom jak pan – Żwirek wskazał zdeorientowanego Meyera.

– Owszem, aby udowodnić, że nie jesteśmy gołosłowni, pokażmy panu...

– Tak, racja. Masz całkowitą słuszność.

– Terapia nie jest groźna, nie zaszkodzi – zawczasu uspokoił gościa Żwirek.

– Wspomaga wiarę. Jeśli człowiek traci poczucie sensu, może go dosięgnąć niemoc. Popęlnia błędy, a konsekwencje przekroczą jego najśmielsze obawy – dokończył Muchomor i wystawił spod biurka nogi obute w gumowe klapki z bazaru.

Meyer patrzył na opuchnięte stopy mężczyzny i chciał uciekać. Natychmiast wyjść. W co ta Ewa go wrobiła!

– Może pan teraz wyjść, jeśli pan tego chce – zaskoczył go Muchomor.

– Ale wtedy nic nie wyjdzie z pana śledztwa – dodał Żwirek.

Muchomor: – Tajemnica tkwi w tym znaku. To klucz. Także do pańskiej historii.

– Zwłaszcza do pańskiej – dodał jego współnik.

Meyer siedział jak sparaliżowany. W co oni grają? Skąd oni to wszystko wiedzą? Czy ja mam wypisane na twarzy, że...? Czy oni zobaczyli zdjęcie? Może się odchyliło i podejrzeli.

Muchomor wziął do ręki stos karteczek i pokazywał je Żwirnowi. Ten kręcił lub kiwał głową na znak zgody. Niektóre odkładali na stosik, resztę trzymali w rękach. Przy jednej wymieniali się poglądami.

– Ja bym tak tego nie określił, raczej ceni indywidualność. Samotność to jedynie skutek.

– Ale jest samotny! – upierał się Żwirek. – To nie ma znaczenia, że są wokół niego ludzie. Samotny i źle mu z tym.

– Dobrze, dajmy mu obie. Niech sam oceni, która do niego pasuje – odrzekł Muchomor.

Rozłożyli przed Meyerem wachlarz wybranych kart. Na każdej z nich znajdowało się kilka cech.

– To według nas odzwierciedla stan pana duszy, ciała i życia. O to powinien pan zadbać, a tego unikać. Tego pan pragnie. To jeszcze nadejdzie.

Hubert Meyer wpatrywał się w kartoniki. Czuł się kompletnie zdominowany. Jakby ci dwaj czytali w jego myślach. Nie, oni nie są ludźmi. To przybysze z obcej planety, którzy jedynie podają się za ludzi. Przecież kosmici nie muszą być zieloni i gadać jak maszyny. Tylko w książkach tak się ich opisuje. Tydzień temu wylądowali w przebieralni teatralnej, założyli na osłep, co było na wieszakach, i przyjęli ludzką postać. Zanim znaleźli się na Ziemi, uczyli się na pamięć ludzkich zachowań, przywar, gestów. Statek kosmiczny zatrzymał się na sąsiednim polu kapusty. Żwirek i Muchomor zapukali do pierwszego domu i spytali, czy jest pokój do wynajęcia. Tak zostali egzorcystą i astrologiem. Może zapuszczają niewidoczną sondę w powietrze i zagląдают do mojej głowy? Może zgadują? Nie, to najwyklejsi oszuści. Ale ich głosy, sposób bycia, wyrażania myśli i patrzenia nie pasują do ich absurdalnego ubioru i tego wnętrza. Hubert Meyer bił się z myślami. Gdyby był wierzący, wziąłby ich za wysłanników diabła. Ale skoro nie ma Boga, to Szatana też nie ma.

W końcu postanowił zaryzykować – podda się kuracji. Zresztą umierał z ciekawości, co ci dwaj szaleńcy dla niego wymyślili.

– Nie panujesz nad swoim życiem. Bałagan. Zagubienie.

– Zła decyzja w przeszłości. Ponosisz jej konsekwencje, od których próbujesz nieudolnie uciec.

– Nieprzystosowanie społeczne. Niemożność pracy w grupie.

– Niespełniony indywidualista.

– Samotny, niezrozumiany.

– Problemy z krążeniem. Uwaga na serce.

– Skłonność do nalogów.

– Wychłodzenie emocjonalne, brak wiary w lepszą przyszłość.

– Zamykanie się w sobie, uciekanie w wyimaginowany świat.

– Fascynacja złem.

– Poczucie straty.

– Otaczają cię ludzie, którym nie ufasz.

– Oręż, którego używasz do walki, jest trafny, lecz uważaj na swój miecz. Możesz od niego zginąć.

– Potencjał twórczy. Rozwój przez całe życie. Liczne metamorfozy.

– Szczęście w miłości. Ale właściwa Osoba pojawi się w drugiej połowie życia.

– Ambicja i konsekwentne dążenie do prawdy.

– Praca daje ci satysfakcję, czyni wolnym. Lenistwo to twoja trucizna.

Działanie daje siłę.

– Monogamista. Zbyt wiele płytkich związków rozbija cię, sprawia, że wątpisz.

– Działanie na własny rachunek – to dla ciebie wyjście. Żadna korporacja, nie znosisz hierarchii. Sukces w drugiej połowie życia.

– Przyjemności: praca i spędzanie czasu z rodziną.

– Unikaj sportów ekstremalnych.

– Brak elastyczności. Twój skostniały konserwatyzm obraca się przeciwko tobie.

– Problemy z pieniędzmi. Nie uważasz ich za istotne, by dla nich żyć.

Błąd.

Meyer przeczytał to i poczuł suchość w gardle. Chwył plik wszystkich kart, które odrzucili. Mogli wybrać zupełnie inny zestaw. Mieli wybór

spośród tysiąca potencjalnych cech, a wybrali akurat te. Dokładnie te, które pasowały do niego jak ulał. Kochał swoją pracę, dążył w niej do doskonałości, pragnął miłości na całe życie. A teraz miał poczucie porażki i straty, to odbierało mu siły. No i te sporty? Nie cierpiał balansowania na granicy, wolał spokój, poczucie bezpieczeństwa. Kiedy raz pojechał na narty, złamał nogę. Wyprawa łódką po jeziorze skończyła się wywrotką i omal się nie utopił. Pieniądze są narzędziem, a nie celem samym w sobie. Tak, dokładnie tak uważał.

– Zgadza się? – zapytał Muchomor i podał mu plastikowy kieliszek z brązowym płynem: – To lekarstwo na wzmocnienie wiary.

Meyer odgonił go jak marę.

– Nie!

– Czy drżą panu ręce? – zaatakował Żwirek.

– To akurat nietrudno zauważyć – odparł Meyer.

– Czy kłuje pana czasem w sercu?

– Czy miewa pan duszności?

– Czy ma pan problemy ze snem?

Zarzucili go pytaniami. Hubert Meyer usiadł zrezygnowany.

– Tak. Czy to aż tak widać?

– Nie, wygląda pan świetnie. Proszę wypić – uspokoił go Muchomor.

– Nie uspiemy pana. To jedynie wzmacnia. Wyciąg z szesnastu ziół, nasion i kory drzew, dokładnie dopasowane do pańskich problemów. Rozwiąże je pan.

Żwirek: – I to szybko. Właśnie zapoczątkowała się w panu przemiana. Osiągnie pan absolut.

Hubert Meyer przelknął gorzki płyn. Było go niewiele, zaledwie łyk.

– Możemy teraz pomówić o tym znaku? Czy panowie go znają?

Muchomorek, wpatrując się w tatuaż na zdjęciu: – Ta osoba nie żyje?

Żwirek: – Została zamordowana?

Profiler w odwecie postanowił wyprowadzić ich w pole i przy okazji sprawdzić skuteczność ich zgadywanki: – Popelniła samobójstwo.

Muchomorek: – To możliwe. Hagalaz wzmacnia uczynione zło. Wpędza w poczucie winy. Jeśli człowiek nie zmieni swojego postępowania, dąży do autodestrukcji. Mogła chcieć to zrobić. Nie wyczuwam jednak, by zrobiła to sama...

Żwirek z naciskiem: – Czy ona popełniła samobójstwo?

Muchomorek, jak jego echo: – Czy ona naprawdę popełniła samobójstwo?

Żwirek: – Czy to ona? Czy on?

Profiler milczał.

– Dlaczego chcecie to wiedzieć? Nie możecie mi po prostu wyjaśnić, co to oznacza? Co to jest Hagalaz?

Żwirek i Muchomorek stanęli obok siebie jak zsynchronizowani. Hubert Meyer poczuł, że zaczyna mu się двоić w oczach. Mrowienie w opuszkach palców sprawiało ból, jakby podłączył je do prądu. Setka czerwonych mrówek wędrowała po jego karku.

– Co oni mi dali? – przeklinał się w duchu. – Uśpią mnie, dałem się wciągnąć, jak jasna cholera...

Przez mgłę widział, jak jeden z wróżów wyciąga drewniane wahadełko, a drugi otwiera woreczek z białymi kamieniami, które wysypuje przed zaskoczonym policjantem na blat taboretu.

– Niech pan patrzy tutaj i skupi się na tej nieszczęśnicy, u której znalazł pan taki tatuaz – powiedział Muchomorek, a Żwirek wznosił ręce nad kamienie.

Spomiędzy jego palców zwisał teraz sznurek z kawałkiem drewnianka, który nazywali wahadełkiem. Z zamkniętymi oczami poruszał nim nad każdym z kamieni – raz w prawo, raz w lewo. Potem przestawał. Profiler czuł, że obraz zaczyna drgać, czuł się, jakby był pijany. Ciarki chodziły mu po skórze, paliły zakończenia nerwów. Wszystkie odczucia były przerysowane, odciągały go od rzeczywistości. Siłą woli zmuszał się do skupienia. Za wszelką cenę starał się nie uronić ani jednej sekundy z tej sytuacji.

Kiedy chude dłonie Żwirka zawisły w powietrzu nad znakiem dziwacznej litery H – tatuazu Niny Frank – wahadło zaczęło się kręcić w kółko. Meyer miał wrażenie, że samo wykonuje ten ruch, że jegomość ze smokiem na klapie nic nie robi w tym kierunku. Trudno mu było w to uwierzyć. Pocieszał się, że jest pod wpływem jakichś środków i dlatego widzi to, co widzi.

Wtedy Muchomor odchrząknął i zaczął patetycznie recytować:

– Pasowaliśmy do siebie jak dwie połówki zgnitego jabłka albo jeden twardy i nieczuły kamień przecięty na pół i na chwilę złożony dla zmyłki.

Rozdział 21

Mefisto i uczennica

„Korzystaj z każdej okazji,
by poskakać na trampolinie”

*P*asowaliśmy do siebie jak dwie połówki zgnitego jabłka albo jeden twardy i nieczuły kamień przecięty na pół i na chwilę złożony dla zmytki. Myślałam jeszcze o jakimś poetyckim porównaniu z prądem: plus i minus albo astrologicznym: ryba z wodą. Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek jest zakochany. Gada od rzeczy, rymuje, kolory stają się intensywniejsze, zapachy odurzają, a świat wydaje się szczytem skały, z której widok rozciąga się na oszalamiającą panoramę. I nawet, jeśli rozstawaliśmy się na chwilę, bo drzemiące w nas siły wciąż rodziły burze, zmieniało się tylko niebo nad nami, a żagle wciąż pozostawały te same. Przyplądaliśmy po takim sztormie do jednego portu i wspólnie lataliśmy podarte foki i groty. Nie spotkałam nigdy więcej mężczyzny, który całym swoim organizmem tak pasowałby do mojego. Zlewał się ze mną w całość. Nie chodziło o wygląd – był zwykłym, grubo ciosanym, łysiejącym facetem – ale o zapach i aurę. Jego uśmiechowi towarzyszył niepokój przed nadejściem czegoś strasznego, a przyjemności miały mdły posmak krwi. Zło, które wspólnie wyzwalaliśmy, wciąż ocierało się o nasze bose stopy, mrucząc jak zadowolony, tłusty kocur. Niegroźne dla nas, niosące złowrogi koniec dla wszystkich wokół. Tylko że w tym związku to ja byłam rybą, która potrzebuje jego jak wody do życia. On mógł mieć każdą inną odmianę pielęgnicy w swoim stawie. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Miałam się za młodego rekina, który w każdej chwili może poszukać sobie innego terytorium.

Mistrz mówił, że miłość zaatakowała jego i Małgorzatę tak nagle, jak morderca z ciemnego zaułka dopada bezbronną ofiarę. Tak samo było z nami. Podczas tej pierwszej wspólnej podróży zadałam sobie w myślach pytanie:

– Czy mogłabym być z tym mężczyzną?

– Nie! – odpowiedziała moja podświadomość. I powinnam była jej postuchać. Ale stało się inaczej.

Mijały miesiące, a żywioł ognia, który wspólnie podsycaliśmy, nie gasł. Dowiedziałam się o nim rzeczy strasznych, a on obserwował, jak gubię kolejne męskie serca i z uśmiechem nabijam na szpileczki, po czym wkładam do pudełka jak suszone kwiaty do zielnika. Wiedziałam, że w jego chorym umyśle to była zaleta, nie wada. A sam? Pojawiał się i znikał. Nie interesowały go moje poglądy, przeszłość ani marzenia. Przysypiał, gdy mówiłam z zapalem o swojej dorywczej pracy modelki. Moje marzenia go śmieszyły, miał je za mrzonki. Nie wpuszczał mnie też do swojego świata – pieczołowicie stawiał mur nie do pokonania, choć cierpiałam i rwałam włosy z głowy. Z czasem musiałam zaakceptować wszystkie jego dziwactwa i zrozumiałam, że w sumie taki układ mi odpowiada. Wmawiałam sobie, że to cena wolności, na którą żaden inny by mi nie pozwolił. Skąd miałam wiedzieć, że to nie wolność, ale więzienie. I dobrowolnie wchodzę do obstawionej przez strażników twierdzy, z której można wyjść tylko po śmierci.

Wtedy, gdy zabrał mnie zmokniętą z drogi, nie trafiliśmy do łóżka. Ani miesiąc później. Stosował metodę głaskania i kopania kotka na przemian. Bardzo systematycznie kupował moją fascynację. Podróżami, przedmiotami, znajomościami. Co za głupiec powiedział, że pieniądze szczęścia nie dają! Stan konta dawał siłę, której pragnęłam. Dostrzegł we mnie plastyczny materiał i postanowił samemu ulepić z niego postać. Dla niego to była tylko frajda, a ja się temu poddałam. W zasadzie to on mnie fizycznie stworzył. Wyszczuplił tam, gdzie trzeba, poprawił, wyrzucił do śmieci te fragmenty życiorysu, które uważał za zbędne. Stwierdził, że blond jest banalny i tak narodziły się moje czarne włosy czarownicy. A kiedy bezpowrotnie zniknęła Aga i narodziła się Nika, rozpoczął ofensywę na moją duszę i bezwstydnie mi ją podkradł. Zrobił to tak podstępnie, że choć wiedziałam, jak po nią sięga, nie powstrzymałam go – sama tego pragnęłam. Wiedziałam, że nigdy ponownie nie wejść do strumyka niewinności, a przed sobą miałam rzekę, którą mogą okiełznać tylko nieliczni. Chciałam być jednym z tych śmiałków, którzy płyną jej prądem, zonglując namiętnością jak kolorowymi piłeczkami w cyrku. Zgoda na bycie jego kochanką

była transakcją judaszową, ale nie zawahałam się sprzedać za marne 30 srebrników mojej bezwartościowej duszy. Uznałam władzę silniejszego. Ale po kolei.

– Chcę lusterko – zażądałam, gdy zdjęli mi opatrunek.

Pielegniarka i lekarz spojrzeli po sobie. – To nie będzie zbyt piękny widok – ostrzegali.

– Proszę o lusterko – powtórzyłam stanowczo, z trudem panując nad bólem. Zobaczyłam swoją napuchniętą, czerwoną twarz i szybko oddałam zwierciadło stojącej obok kobiecie.

– Rzeczywiście. Ale będzie lepiej? – spytałam.

Kiwnął głową. Odwrócił swoją kwadratową głowę w moim kierunku, a w jego oczach pojawił się uśmiech. Miałam wrażenie, że światło jego błękitnych tęczyówek rozświetla cały pokój.

– Za dwa tygodnie – odrzekł.

Właśnie wchodził w życie jego plan tworzenia mnie. Miałam już nowe, przedłużone włosy i za każdym razem, gdy patrzyłam w swoje odbicie, wydawało mi się, że jestem w peruce. „Zaostrzymy ci rysy twarzy” – postanowił, więc od najlepszego chirurga dostałam nowy nos oraz silikonowe kształtki, mające podkreślić kości policzkowe. Potem kolej na usta.

– Trzeba je nieznacznie powiększyć, zwłaszcza górną wargę – skomentował.

Dalej urosły piersi, tłuszcz odessał się z ud. Nie zgodziłam się tylko na wyjmowanie żeber.

– Moja talia jest OK – powiedziałam.

Znudzony oblizał wargę. Jego język, jak przeszczepiony z wyleniałego tygrysa, był szorstką, wydłużoną tarką w kolorze burgunda. Gdy On był szczęśliwy, miałam wrażenie, że ten język rozdwaja się na pół jak u węża. Nie cierpiał, gdy zmuszałam go do wystawiania go z ust i głęboko analizowałam poraną płaszczyznę, dotykając go delikatnie ustami. Do dziś nie wiem, dlaczego był tak fizycznie inny niż wszyscy. Miał jeszcze więcej takich zagadkowych znamion, które utwierdzały mnie w przekonaniu, że śpiam z samym diabłem.

– Masz rację. Zresztą to drożyzna – dodał.

Makijaż permanentny był tylko ozdobnikiem. Patrzyłam na świat oczami w kształcie migdałów.

W tych zmianach brał pod uwagę moją opinię, ale ja i tak zgodziłabym się z nim we wszystkim. Wiedziałam, że nie zrobi ze mnie Pameli Anderson.

Po pierwsze – miał gust, a po drugie – tworzył całkiem nową jakość, nie kopię. To on wymyślił mi też imię: Nina. Poważne, kobiece, fatalne – wyjaśnił. Pozwolił na przyjęcie nazwiska panińskiego matki. Frank spodobało mu się, bo było tak cudownie zwykłe, a jednocześnie szlachetne.

Teraz spytasz, co miał w zamian, skoro zainwestował we mnie niebagatelne sumy? Przecież seks nie jest tutaj wyjaśnieniem, a taki facet nic nie robi z altruizmu. Empatia też jest mu obca. Racja, już ci wyjaśniam.

Byłam oczywiście jego maskotką, z którą pojawiał się na spotkaniach i z którą zwiedzał świat. Kręciło go, że mnie rozpoznają z reklam proszku do prania. Rozpierała go duma, gdy wypinalam kształtny biust, opalając się toples na sardyńskiej plaży. Ale było coś jeszcze: ja naprawdę w niego wierzyłam, wielbiłam go, byłam uzależniona od seksu z nim. No i pasowałam do każdej jego koszuli, odkąd stałam się jego własnością.

Jeździliśmy na wakacje, turnieje tenisa, snuliśmy się po polach golfowych, wygrzewaliśmy przy ekskluzywnych basenach. Po tych wszystkich przygodach Warszawa przestała już wydawać się wielka. Kiedy wracałam z Paryża, Nowego Jorku czy Bangkoku, Okęcie było niewielkim kurnikiem.

Słabo mówił po angielsku, więc byłam jego tłumaczką. Tolerował moje kaprysy z modellingiem, choć nie traktował tego poważnie. Liczył pewnie, że kiedy się zestarzeję, życie samo zweryfikuje moje marzenia. On chciał mnie mieć, a stan posiadania traktował bardzo poważnie. Tak jak otaczał się luksusowymi meblami, tak samo traktował mnie. Nie mogłam mieć rys czy wad konstrukcyjnych. Był kompletnym świrem i kręciło mnie to.

Wynajął mi mieszkanie w apartamentowcu, który wyrósł pomiędzy blokami z wielkiej płyty i wpadał do mnie wieczorami. Gotowałam mu i piliśmy wino, a potem kochaliśmy się. Był moim sponsorem, tak to chyba nazywali dziennikarze. Nigdy nie powiedział, że mnie kocha, ale ja w uniesieniu czasem mu to wyznawałam. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że na niektóre przyjęcia nie może mnie zabrać, bo musi się tam pojawić z żoną. Też miała własną firmę i była zadbaną bizneswoman. Przyjaźnili się, ale układ był prosty: seks tylko na zewnątrz związku.

A ja? Chodziłam na castingi i uparcie marzyłam o aktorstwie. Ćwiczyłam dykcję, trenowałam kwestie w domu, przed telewizorem. Skończyłam trzymiesięczny kurs aktorski, a moje zdjęcia znalazły się w wielu agencjach. Wciąż jednak grałam tylko w reklamach piwa albo płynu do mycia naczyń. W filmie byłam

jedynie statystką lub dublerką nagich scen, kiedy gwiazdy nie chciały pokazywać swoich cellulitowych pośladeków. Po dublach w filmie, gdzie wynurzałam z wody swoje opalone wdzięki ubrana jedynie w doczepiany warkocz, uwierzyłam, że któregoś dnia dostanę rolę, choćby epizod w filmie, który otworzy przede mną wrota kariery.

Wieczorami czekałam. Całymi godzinami wpatrywałam się w zielony wyświetlacz telefonu i hipnotyzowałam go, by ożył. Czasem się udawało. Mówił wtedy, żebym się pakowała, bo rano jedziemy do Berlina, albo zmuszał mnie słodkim basem, żebym to ja wyznała, że dziś jestem zmęczona. Wtedy on dobrotliwie zgadzał się:

– To ja poczytam gazetę.

To był nasz kod, który znaczył, że on ma swoje sprawy i się nie zobaczymy. Kiedy byłam grzeczna, nagradzał mnie seksem. A czasem nie kochał się ze mną tygodniami – mówił, że wyjeżdża na narty i po prostu znikał. Były też dni, że nie wychodziliśmy z łóżka. Przyzwyczaiłam się do pewnego standardu życia i tego, że pieniądze nie stanowią problemu. Zresztą nie potrzebowałam zbyt wiele gotówki. Apartament, w którym mieszkalam, był jego inwestycją za plecami żony. Płacił wszystkie moje rachunki, nawet, kiedy przyjeżdżał na kolację przywoził produkty. Raz zażartowałam, czy boi się, że go otruję, i dlatego nie pozwala mi robić zakupów. Wściekł się, rzucił talerzem o ścianę i musiałam go błagać na kolanach, by mi przebaczył.

Gdy interesy szły mu dobrze, obdarowywał mnie prezentami. A zwykle szły świetnie. Imponowało mi, że jest typem zdobywcy. Miał ustosunkowanych, przeraźliwie nudnych przyjaciół. Zabiegał o ich względy, opowiadając rubaszne dowcipy w restauracjach, ignorował przegranych i idealistów. Czasem przychodzili do nas jacyś biznesmeni i zmuszał mnie do prowadzenia z nimi gry. Widziałam, że sprawia mu przyjemność, gdy na jego oczach uwodzi mnie właściciel fabryki zakrętek albo potentat wody mineralnej. Kiedy goście zbierali się do wyjścia, robił scenę zazdrości. Tylko po to, by podgrzać atmosferę i w końcu pogodzić się ze mną w sypialni albo w wannie.

Czasem w nieskończoność kazał mi przewijać reklamy z moim udziałem i pouczał, jak mam mówić daną kwestię. Wstydziałam się, a on wiedział o tym. Po prostu mnie dręczył.

Gdy miał dobry dzień, rozplýwał się w komplementach. Uwielbiał, gdy mówiłam rower – twierdził, że moje „r” go podnieca i nawet wymyślił erotyczną zabawę. Siedział ze słownikiem na kolanach i mówił słowo z „r”, a ja powtarzałam i zdejmowałam jakąś część garderoby. Kiedy byłam już naga, musiałam wymyślić całe zdanie zawierające tylko słowa z „r” i jeśli zrobiłam to zadowolająco, całował mnie lub dotykał, jeśli nie – bił.

Nie zawsze ta gra kończyła się seksem. Gdy miał kapryś, po prostu stwierdzał, że jestem beznadziejna i wychodził z mieszkania, zostawiając mnie samą, nagą i wściekłą. Pierwszy raz byłam kompletnie zdruzgotana. Czektałam, aż wróci. Ale oczywiście nie odbierał telefonu. Nie mogłam zasnąć, płakałam do rana.

Zamiast się buntować, doszłam do wniosku, że muszę dopracować moje „r” albo ubrać się bardziej seksownie. I przez trzy dni prosiłam, by dał mi jeszcze jedną szansę. Zgodził się laskawie. Ale potem sytuacja z wyjściem spodobała mu się – lubił gdy go błagałam, korzyłam się przed nim, więc powtarzał to wiele razy. Najgorsze, że nigdy nie wiedziałam, co było nie tak. Doszło do tego, że panicznie bałam się naszej gry w „rower”. Któregoś razu właśnie tak wyszedł, leżałam zdruzgotana słuchając Patricii Kaas, gdy po chwili otworzyły się drzwi wejściowe – wrócił! Nie był sam, towarzyszył mu jakiś staruch w sweterku w serek. Zaskoczona zaczęłam zbierać porozrzucane części garderoby i wstydliwie zakryłam się sukienką.

Patricia śpiewała: „If you go away. If you go... I will understand. If you stay, if you stay... I must go...”. Akompaniująca jej niepokojąco trąbka drażniła moje zmysły i wyciskała z oczu łzy.

– Darkowi podobał się twój „reporter”, jest w nim aż trzy „r” – rzucił z uśmiechem i wyciągnął do mnie dłoń. Podeszłam zaptakana, a on zamiast chwycić mnie za rękę, zabrał mi ten kawałek materii, którym osłaniałam swoją nagosc.

– Dlatego Darek wyznaczy ci dziś nagrodę zamiast mnie – dodał.

Odwrociłam się obrażona, ale musnęła mnie delikatnie po plecach. Zamartłam w oczekiwaniu.

– Rusalko, wiesz, że to tylko zabawa. Nie bądź dzieckiem – zachrypiał i podniósł moje włosy, po czym ugryzł w kark. – Ja zacznę, a on skończy.

Spojrzałam ze złością na starucha, który przedzej miał na imię Józef albo Leon, a na pewno nie Darek. Ale jemu nie byłam w stanie niczego odmówić. Kiedy wyjął z kieszeni jedwabny szalik i zawiązał mi oczy, poddałam się.

– Będziesz zgadywać – powiedział chrapliwym szeptem i poczułam na sobie zimne ręce starca. Z trudem powstrzymałam wymioty. Już więcej nigdy nie grali-

śmy w „rower” tylko we dwójkę. Przyprawiał mężczyzn, czasem kobiety. Kręcił z tych zabaw małe filmiki i nigdy mi ich nie pokazywał. Mówił, że kiedy mnie nie ma, ogląda je sobie i podziwia mnie na ekranie.

Znal mnie lepiej niż ja sama siebie. Czytał we mnie jak w otwartej księdze. Oczywiście wciągnęłam się w jego gry. Dołączał się do nas lub po prostu patrzył. Mówił, że jestem piękna dopiero na tle, błyszczą, gdy jestem w centrum uwagi, niczym prawdziwa gwiazda. Czulałam, że sztydzi z moich marzeń o aktorstwie. I bolało mnie to, że co miałam zrobić. Kochałam go.

Często po takiej sesji w ogóle nie odbierał telefonu. Przysyłał za to całe kosze kwiatów. Tłumaczyłam sobie, że o mnie myśli i pamięta. Zdarzało się, że wysyłał po mnie taksówkę, a na bankiecie okazywało się, że go nie ma. Miałam sama wybrać odpowiedniego partnera, czasem dwóch, uwieść ich i przywieźć do domu. Wiedziałam, że będzie na nas czekał w fotelu, ze szklaneczką whisky. Albo będzie zadowolony, albo ich wyrzuci za drzwi i zrobi aferę, jakbyśmy byli mężem i żoną. Był nieprzewidywalny, nieobliczalny. Wszystko, co się z nim zdarzało, było ekstremalnie chore.

Kilka miesięcy tak mnie „wychowywał”, aż w końcu zrozumiałam, że żąda ode mnie inicjatywy. Robiłam mu więc perwersyjne niespodzianki, a oczy błyszczały mu szelmowsko i miałam wrażenie, że w myślach szeptem wyznania miłości. Słyszałam je, nawet jeśli akurat pieścił cycki innej.

Staralam się mu dorównać i byłam coraz lepsza. Sama zaczęłam wybierać tych, którzy zagrają z nami w „rower” albo „ciuciubabkę”. Fingowałam ataki zazdrości i biłam sprowadzone przed chwilą dziewczyny. Groziłam mu nożem, tłukłam talerze. Wykręcałam numer na policję i udawałam śmiertelne przerażenie, kiedy wyrывał gniazdko telefonu ze ściany. W nagrodę udawał, że mnie gwałci i było mi najcudowniej na świecie.

– Która godzina? – zamruczał któregoś ranka sennie, przytulając mnie i gładząc delikatnie moją pierś. Całą noc był wyjątkowo kochany. Może dlatego, że poprzedniego wieczora zrzuciłam ze schodów prostytutkę, którą zamówił. A potem dobijał się do nas jej opiekun i musiałam mu oddać połowę mojej pensji hostessy.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Pić mi się chce... Strasznie dużo tego wina wczoraj.

– Byłaś w Amsterdamie, zboczku? – spytał, gwałtownie przyciskając moje pośladki do swojego łona. Poczulałam, że się budzi. – Uhm... nie... a co? – odmruczałam.

– Aaa – zawylałam, bo gwałtownie wszedł we mnie. Po chwili jednak ból zamienił się w błogość i odpłynęłam. Skończył po kilku minutach w całkowitym milczeniu i zaraz wstał. – Szykuj się. Wyjeżdżamy pod koniec tygodnia. Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział i wszedł do łazienki. Wiedziałam, że nie zobaczymy się do dnia wyjazdu. Posmutniałam, przekreśliłam na drugi bok. Wyszedł bez pożegnania.

Kiedy lecieliśmy samolotem, pomyślałam, że czuję się już zmęczona nim i jego perwersjami. Dokąd to prowadzi? Gdzie jest granica? – pytałam siebie. Łapałam się czasem na tym, że chciałam się normalnie przytulić. Popłakać, że znów mnie nie wzięli do tej roli. Ale nie miałam na niego żadnego wpływu. Owszem, czasem był jak balsam, ale tylko wtedy, gdy sam miał na to ochotę. Wszystko, co się działo, było pod jego dyktando. Żeby teraz polecieć z nim do Holandii, musiałam opuścić dwa castingi. Ale wiedziałam, że z jakiegoś powodu bardzo mu na tej wyprawie zależy. Zastanawiałam się, co by było, gdybym się zbuntowała. Albo odeszła?

Coraz częściej pojawiała się refleksja: „Przecież tak dłużej nie da się żyć!”. I jednocześnie przerażała mnie samotność. Bo choć on się mną bawił, ja naprawdę byłam zakochana. Miałam jakieś znajome – żony czy kochanki jego przyjaciół. Wszyscy oni uważali go za zwykłego, średniej klasy biznesmena, który ma żonę i kochankę na boku. Jak prawie każdy. Norma. Nie mogłam się nikomu zwierzyć, wyzalić. Nie miałam też własnego świata. Wszystko było związane z nim.

Wyjątkowy, zapowiedziany wcześniej wyjazd nie różnił się niczym od innych – on robił biznesy, ja biegałam po sklepach, a potem czekałam w hotelu wertując magazyny. I nagle któregoś popołudnia, dwa dni przed powrotem do Warszawy, nagle wpadł do mojego pokoju, otworzył szafę i zaczął czegoś szukać w moich rzeczach. Rzucił na łóżko bieliznę, buty i sukienkę – wiedziałam, że gdzieś idziemy. Potem ukląkł i schował twarz pomiędzy moimi kolanami. Zaniepokoiliłam się.

– Nika, pamiętasz, kiedyś mówiłaś, że jesteśmy dla siebie stworzeni, tak?

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami i zastanawiałam się, co to za nowa gra. Nie był sobą. On nie był miękki! Co kombinuje?

– Seksualnie tak... Mówiłam.

– Dalej tak uważasz?

Pogładziłam go po głowie jak chłopca i odpowiedziałam:

– Nienawidzę cię i kocham jednocześnie. Wiesz przecież.

Podniósł głowę i w oczach zobaczyłam znów diaboliczny błysk. Czekalam, co się zdarzy, i bałam się – tego jeszcze nie było.

Dlatego zdziwiłam się, kiedy usiedliśmy do taksówki, a on z zamkniętej dłoni przekazał mi szary kamień. – Normalni ludzie, jeśli chcą poślubić kobietę, dają jej pierścionek – zaczął niskim tonem. – My nie jesteśmy normalni. Ty jesteś jak ja. Jesteś mną... – roześmiał się i spojrzal na taksówkarza, który z pewnością nie rozumiał ani słowa po polsku.

– Któregoś dnia przeroznieś mnie, uczennica pokona mistrza. Nikt inny nie był mi bliższy niż ty.

Szeptal mi wyznania miłości, ale ja pozostawałam nieufna. Czulałam, że to zwód, zmyłka, kolejne oszustwo. Ale jednocześnie przytulałam się do niego. Tak bardzo chciałam w to wszystko uwierzyć!

– Proponuję ci małżeństwo, Nika.

– Przecież już jesteś żonaty...

– Wyjdziesz za mnie? – upierał się.

– Ale najpieru, w dowód miłości, muszę zabić twoją żonę? – próbowałam żartować. Byłam czujna i napięta. Bałam się, że za chwilę, gdy ja się odkryję, on mnie nikczemnie upokorzy.

– Nie. Nie musisz. To nie będzie zwykły ślub... – pochylił głowę i wyszeptal mi do ucha słowo w jakimś obcym języku. Brzmiało z celtycka, jak zaklęcie.

– Tak – powiedziałałam szybciej, niż pomyślałam. Otworzyłam dłoń i spojrzalam na kamień, który mi wręczył. Dopiero wtedy zobaczyłam wygrawerowane na nim trzy małe kreski w znak litery H. Pateczka łącząca pionowe kreski była ukośna – z prawej na lewą stronę.

– Hagalaz – powiedział. – I otwierając drugą dłoń dodał: – Tiwaz.

Jego kamień był identyczny, różnił się tylko znaczkciem – to była strzała. Patrzyłam na to i próbowałam odgadnąć. Tiwaz i Hagalaz. Co to znaczy? Jakieś czary. Zbladłam i poczułam, że drzę. Przed oczami miałam jakąś sektę, a on wiezie mnie do starego domu, gdzie na czarnym ołtarzu złoży w ofierze kilkunastu napalonym zboczeńcom...

Śmiejesz się? Przysięgam, tak właśnie myślałam. Z nim wszystko było możliwe, zwłaszcza, jeśli okraszone perwersją. Byliśmy już raz w sadomasochistycznym klubie Hell's Fire, gdzie musiałam udawać kobietę-niemowlę i w czepku, ze smoczkiem w ustach, onanizować się monstualnym wibratorem. Tak się upiłam i ujaralam,

bo na trzeźwo nie byłam w stanie wejść na scenę, że omal nie odgryzłam członka jakiegoś niemieckiemu przedsiębiorcy.

Wtedy przysunął swój kamień do mojego i okazało się, że pasują do siebie. „Jeden twardy i nieczuły kamień przecięty na pół i na chwilę złożony dla zmytki” – roześmiałam się i pocałowałam go. Uwierzyłam mu naprawdę. Chciałam wierzyć i słuchać, gdy mówił: – To, co stare, puść w niepamięć. Zaczniemy od nowa. Stańmy się jednością.

Czułam, że po policzku sływa mi tza, a on scalał ją i szepnął: – Tylko... Czy ty jesteś na to gotowa? Możesz zostawić wszystko tak, jak jest. Bez zmian. Zdecyduj sama, zrozumiem.

Hagalaz i wariatka

„Jeden człowiek albo jedna myśl wystarczy,
by zmienić twoje życie na zawsze”

Tylko... czy jesteś na to gotów? Możesz wyjść, nie słuchać. Zostawić wszystko tak, jak jest. Bez zmian – powiedział Muchomor, kiedy przedstawienie się skończyło. Meyer odzyskał już dawną ostrość spojrzenia i czucie w rękach. Ciarki zniknęły. Czuł się niezwykajnie, jakby wstąpiły w niego nowe siły i jakby to określić... Świeżość? Tak, czuł się świeży, jak nowo narodzony.

Zwirek i Muchomor, podając mu tajemniczą miksturę, otumanili go na tyle skutecznie, że odizolował swój mózg od skotłowanych myśli i zatoił w błogostanie nieświadomości. Kiedy wrócił do siebie, wiele rzeczy nagle stało się jasnych i prostych. Zrozumiał: musi zmienić kąć widzenia! Popelniałem błąd patrząc na nią z boku, wyrzucał sobie. „Dopiero teraz otworzyłem oczy” – myślał.

Rozgrzebywanie sekretów Niny Frank już od jakiegoś czasu zaczęło mu sprawiać przyjemność. Teraz musi uwierzyć w te wszystkie bujdy i zaufać kosmitom. Nika Frank właśnie tak by zrobiła. Nie ma innego wyjścia, jeśli chce odtworzyć sposób jej myślenia, działania. Spróbować zbliżyć się do jej życia i zbadać, jakimi wydarzeniami, traumami i emocjami je wypełniła. Wtedy zrozumie, co czuła, gdy otworzyła mordercy drzwi i znalazła się z nim sam na sam. A kiedy będzie to wiedział, odpowie na trzecie, kluczowe pytanie: „Kto zabił?”

Dlaczego wzięła leki? Bibliotekarka twierdzi, że była bliska samobójstwa. Ile osób było feralnej nocy w tym domu? Doktor Żurek ziden-

tyfikował odciski palców należące do czterech mężczyzn. Każdy z nich pojawił się u niej. Po co? Wiadomo już, że więcej osób ucieszyłoby się ze śmierci aktorki, niż po niej płakało. Dlaczego? Hubert Meyer nie wierzył w przeznaczenie, ale wygląda na to, że śmierć była jej pisana tej nocy. Czy to możliwe, by każdy z nas miał zabukowany czas i miejsce zgonu? Czy istnieje życie pozagrobowe? Kiedy rozmowy schodziły na takie tematy, Hubert Meyer zawsze wybuchał śmiechem.

– Jutra nie ma – kwitował i nie zagłębiał się w egzystencjalne rozważania. – Liczy się tylko tu i teraz.

Ale po występie Żwirka i Muchomora zwątpił we własną teorię „jutra”. Odkrycie innych wymiarów, które do tej pory były tajemnicą i prędkiej przejawem choroby psychicznej niż dowodem na ezoteryczną prawdę, wprawiło go w entuzjazm. To kompletnie rewolucjonizowało jego światopogląd. Przez chwilę miał wrażenie cofania się w czasie. Znowu jest dziesięcioletnim chłopcem, który idzie z tatą do cyrku.

Być może dlatego nie zareagował, gdy wróżbita mówił do niego na „ty”.

– Możesz wyjść, nie słuchać. Zostawić wszystko tak, jak jest. Bez zmian – powtórzył Muchomor.

Hubert Meyer pomyślał, że próbuje go wyprowadzić z transu. Słuchał jego wibrującego głosu i niechętnie wracał do rzeczywistości. Ale, co ciekawe, myśli i wnioski, które się pojawiły, gdy dryfował we własnej nieświadomości, wcale nie znikły, jak ulotne marzenia senne. Nadal były wyraziste i pomagały mu to wszystko poukładać. Zresztą po tym, co się z nim przed chwilą działo, było mu wszystko jedno, jak ci dwaj będą się do niego zwracać. Wszystkie tabu i tak już złamali bez jego zgody.

– Czy chcesz wyjść? – uparcie powtarzał Żwirek. A Muchomor uzupełniał:

– Zdecyduj sam. Zrozumiemy.

Meyer wpatrywał się w dwa kamienie z rysunkami strzałki i H, które jako jedyne nie spadły na podłogę w wyniku wyzwolonej przez astrologa energii.

Pokręcił głową.

– Co tu się stało? – spytał. – Czego świadkiem byłem przed chwilą?

Czekał na wyjaśnienia. W żadnym wypadku nie chciał opuszczać tego pokoju. Nie teraz. Miałby wyjść, gdy wiedział jeszcze mniej? Nie. Musi...

C h c e rozwikłać sprawę śmierci Niki, a ten tatuaż jest tropem. Kluczem do zagadki. Nawet, jeśli fałszywym, to tak fascynującym... Zbrodnia jak ruska matroszka.

Muchomor: – Ona nie popełniła samobójstwa?

Profiler spojrział na jego różową twarz i zaniemówił. Dopiero teraz zauważył, że egzorcysta ma wąsy. Dalby sobie rękę uciąć, że wcześniej ich nie było. Tymczasem nie miał wątpliwości. Wąsy istniały. Biała i rzadka szczecina pod nosem, pozbawiona barwnika, jak cała twarz kosmity była jak najbardziej realna. Muchomor potargał końcówkę wąsów i powtórzył:

– Ona nie popełniła samobójstwa?

Profiler poddał się.

– Została zamordowana. Szukam jej zabójcy.

Żwirek: – Wiedzieliśmy o tym. Proszę nie pytać, dlaczego. To nie magia.

Muchomor: – To umiejętność władanie energią. Ty też masz w sobie moc. Nazywasz ją Intuicją. Denerwuje cię, bo nie umiesz racjonalnie wyjaśnić jej podpowiedzi. Ale na szczęście jej słuchasz.

Żwirek: – Każde ciało – martwe czy żywe – ma w sobie energię, którą emanuje. Nawet jedzenie, meble, ubranie. Można to uprościć: składamy się z energii. Jeśli wspomagamy się dodatkową, obcą, może okazać się zbyt silna. Może nas zniszczyć.

Profiler położył ręce na kolanach. Otworzył dłoń i podniósł do góry odbitkę. Znów czuł pewność siebie. Wiedział, po co przyszedł. Zmusił Muchomora do spuszczenia wzroku i zaczął mówić. Początkowo głos mu drżał – miał wątpliwości, czy ujawniać tym wariatom, o co mu chodzi – ale nie widział już innego wyjścia. Czuł, że jest mało czasu. Musi się śpieszyć – ta irracjonalna myśl wciąż krążyła w jego głowie. Przytrzymał się jej. Chwylił ją i dała mu pewność, że musi im powiedzieć. Zmierzył włosy, wziął się w garść. Skoro oni wiedzą, co to jest Hagalaz, niech odpowiedzą w końcu na jego pytania!

– Ta dziewczyna została zgwałcona, zamordowana, znów zgwałcona szklaną butelką. Morderca zmasakrował jej zwłoki. Tatuaż znaleziono ukryty pod włosami. Był koloru czerwonego, niewielki, o średnicy kilku centymetrów. Co to właściwie jest?

Zwirek: – Runa zwana Grad. A my ją nazywamy po prostu zniszczeniem. Sama w sobie, jak każda runa, ma przynosić dobro. Nieumiejętnie użyta prowadzi do destrukcji i tylko do destrukcji.

Muchomorek: – Jest symbolem przemiany. Teoretycznie na lepsze. Niszczy stare, by powstało nowe. Likwiduje bezpowrotnie stary porządek. Raz zapoczątkowanego kataklizmu nie da się powstrzymać. Człowiek, któremu runa służy niczym mityczny feniks, musi stanąć w ogniu i odrodzić się z popiołów. Jeśli więc ktoś decyduje się użyć jej mocy, musi się zmienić, przejść metamorfozę. Inaczej zginie. Albo umrze ktoś jej bliski, ktoś bardzo drogi. Ktoś kogo kocha najbardziej.

Zwirek: – To właśnie Hagalaz, nazywana też Hagla, usuwa to, co słabe, i daje siłę. Jest niebezpieczna, nie można długo korzystać z jej rezerwy mocy. Usuwa wszystko, co uważamy za złe. Niech pan pamięta, że nasze myśli mają moc sprawczą. Jeśli używamy jej w niecnym celu, odwróci się przeciwko nam.

Muchomor: – Runy się mszczą. Biorą odwet na złych ludziach.

– Jak to się mszczą? – przerwał wyliczankę Hubert Meyer. W kieszeni ścisnął papierosa, którego nie mógł tutaj zapalić. Kiedy usłyszał o zemście run, zgniótł go ze złości. Niemal czuł zapach rozsypanego tytoniu.

Zwirek: – Mszczą się, uświadamiając człowiekowi, któremu służą, że robi źle. Wpędzając w poczucie winy, potęgując wyrzuty sumienia. W ten sposób sami zadamy sobie karę. Autodestrukcja. Samoookaleczenie psychiczne. Nikt z nas nie jest z natury zły. Każdy człowiek rodzi się dobry i ma w sobie pierwiastek boski. Jest stworzony na podobieństwo Boga. Ideału.

Hubert Meyer otworzył lekko usta i zapytał:

– Boga? Co ma z tym wspólnego Bóg?

Wróżowie pokiwali głowami.

– Boga. Stwórcę, Absolut. On kieruje naszym życiem. Runy tylko wskazują drogę. A człowiek często miewa złe myśli. My, pan, wszyscy myślimy czasem źle. Marzą o zadaniu krzywdy. Runy mszczą się za te myśli i za złe uczynki z przeszłości.

– Mogę tutaj zapalić? – zapytał nagle profiler. Nie mógł znieść już tych herezji. Ta wróżbiarska nowomowa doprowadzała go do szału.

Wróżbici spojrzeli na siebie. – Nie! – powiedzieli jednocześnie, a po chwili postawili przed skonfundowanym psychologiem kryształową popielniczkę.

– Ja czegoś nie rozumiem – odrzekł profiler, wypuszczając dym w kierunku okna. – Czyli ofiara uświadomiła sobie, że robi coś złego ze swoim życiem? Chciała się odciąć od czegoś? Zmienić?

Żwirek: – Gdyby się zmieniła, byłaby wciąż wśród żywych.

Muchomor: – Dosięgnęła ją zemsta Hagalaz.

– Raczej otworzyła drzwi nie temu człowiekowi, co trzeba... – bąknął profiler. Wróżowie nawet nie mrugnęli okiem na jego uwagę. Dalej wpatrywali się w niego w skupieniu, więc dodał:

– Czy tatuując sobie na głowie coś takiego, mogła znać te wszystkie historie i znaczenie znaku?

Żwirek: – Czaszka to skała.

Muchomorek: – To moc ludzka. Umysł, który decyduje o naszym życiu, kontroluje ciało. Ten znak miał zmienić jej życie. Musiała znać Hagalaz. Wiedzieć, czym jest...

Żwirek: – A skąd pan wie, że sama go sobie wytatuowała?

– Przecież nikt nie zrobiłby tego bez jej zgody...

Muchomor: – Może wyraziła zgodę.

– Co pan ma na myśli?

Chudy wstał, przeszedł się kawałek i znów usiadł. Zaczął mówić:

– Użycie pojedynczej runy rzadko się zdarza. Jej energia jest zbyt silna. Zwykle stawia się je w rząd znaków, które wspomagają się nawzajem. Wyczuwam, że ten rząd składał się z dubletu – powiedział w końcu i zaprezentował obok siebie kilka białych kamieni.

Muchomor: – A zwłaszcza Hagalaz, która ma moc bomby atomowej. Przekleństwa. Rozbija dobro, wzmacnia siłę. Jeśli czynisz krzywdę innym, wraca to do ciebie ze zdwojoną mocą.

Żwirek: – To jak rzucanie czaru, przekleństwa, które ostatecznie to ciebie zabija. Hagalaz jest jedną z najniebezpieczniejszych run. Zmiją. Gradobiciem. Działa poza twoją kontrolą. Myślisz źle o jakiejś osobie i ta choruje. Myślisz, że ten ktoś ci przeszkadza, Hagalaz usuwa tego człowieka z twojego życia. Na zawsze! Myślisz, że ta sytuacja jest dla ciebie zła – wszystko, co było z nią związane psuje się, rozpada. Ktoś cię krzywdzi, umiera.

Muchomor: – Miałem pacjentkę, która znalazła się w tarapatkach. Mąż ją zostawił, straciła pracę. Przyszła po pomoc. Chciała diametralnej zmiany

w życiu. Ostrzeżliśmy ją, że talizman z run może to uczynić, jednak gdy osiągnie cel, musi schować go do szuflady, by wyciszyć jego nadajnik.

– Jaki nadajnik?

Zwirek: – Hagalaz działa jak nadajnik. Zbiera energię i przetwarza ją, spełniając marzenie swojego właściciela, któremu służy. Ale ta kobieta nie posłuchała nas. Mimo że znalazła pracę, jej sytuacja się nie unormowała. Wciąż nosiła amulet i nieświadomie wyrażała kolejne życzenia. Narzekała na córkę. Ze chodzi do dyskoteki, włóczy się z chłopakami, żąda pieniędzy na ciuchy, szminki... „A skąd ja na to wszystko mam brać. Tylko pieniądze ją interesują” – utyskiwała.

– I co? – przerwał profiler, zerkając na zegarek. Było po drugiej.

– Córka tej kobiety zginęła w wypadku samochodowym. Hagalaz odczytała, że córka przeszkadza matce i usunęła ją z jej życia.

– Sugeruje pan, że runa myśli, podejmuje decyzje? To przecież bzdura.

– Nie, ale nie wolno bagatelizować jej mocy. Zresztą w tym przypadku tatuaż został wykonany w dobrej intencji.

Meyer ciężko westchnął. – A skąd panowie to wiedzą?

Zwirek wzruszył ramionami. – Po prostu wiemy. To był układ idealny. Hagalaz i druga runa, duchem władająca.

Zwirek wskazał strzałkę na kamieniu, który leżał obok Hagalaz na taborecie. – Choćby Tiwaz.

– Symboliczna strzała wypuszczona z łuku w locie. Mówi: to się już spełnia. Runa pozwalająca osiągnąć cel poprzez poświęcenie. Niegwarantująca jednak miłości. Odpowiada za męski pierwiastek każdego z nas – wyjaśnił Muchomor. Potem opowiedział przypowieść o myśliwym, który wybierał się na łowy. Ale nie wiedział, na co będzie polował, dlatego zginął w walce.

– Dopiero, gdy określimy cel, możemy wybrać właściwą broń do walki z przeciwnikiem i sposób polowania. Tiwaz uczy, jak postępować: określ cel, znajdź sposób, zaplanuj, a dopiero działaj. Nie pomieszaj kolejności. Ten, kto wybiera tę runę, wie, że może zginąć w walce o swój cel, ale poświęca się. Nawet własne życie.

Magowie mówili jeden przez drugiego, a profiler coraz bardziej kulił się w sobie. Ale nie ze strachu. Kulił się ze wstydu. Przed tajemnicami,

które istniały w nim. Każdy ma swoje Tiwaz czy Hagalaz, choć nie wszyscy tatuują je sobie pod włosami. Meyer nosił je w sercu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. To sztuczne zamieszanie, które wyzwalał, i monstrialna dawka absurdalnych symboli nie powodowała w jego głowie chaosu. Przeciwnie – układała wszystko w całość. Słuchał z zapartym tchem. I zaczynał rozumieć.

„Hagalaz – dziewiąta runa i Tiwaz – o numerze 17 w połączeniu dają 8, czyli sławę. Gwarantują moc ciała i duszy. Stwarzają ideał. Para, która zdecydowała się na ten układ mocy, mogła żyć pełnią szczęścia, radości, osiągnąć godność, wszystkie przywileje i nagrody. Osoba nosząca znak Tiwaz, poświęcając się, łagodziła działanie niebezpiecznego Hagalaz. Tych dwoje po cierpieniach, łzach, kłótniach tworzyli nową jakość. Pełnię miłości. Hagalaz spaliłby, co było złe i zapoczątkował wielką radość. Ale z jakichś przyczyn do tego nie doszło.

Niebezpieczna energia obu staroceltyckich znaków odwróciła się przeciwko nim. Bo rozdzielone działają jak nietrwała nitrogliceryna. Jedno małe, ale gwałtowne poruszenie fiolki powoduje wybuch. W tym przypadku niszcząc, spalając na popiół, dążąc do autodestrukcji każdej z osób. W zapisach archiwalnych znaleziono, że najdzielniejsi wikingowie nosili na piersi wizerunek Tiwaz, a ich kobiety Hagalaz. Ogień nie strawi nigdy ziemi, zaś spalona ziemia zawsze się odrodzi i ogień może z niej czerpać. Kiedy splatali się w miłosnym uścisku wymieniali się swymi mocami. Skandynawowie wierzyli, że taki zrównoważony układ gwarantuje nieśmiertelność i wieczną młodość. Trudno dziś oceniać, czy mieli rację. Być może tak. Ale prawdą jest, że nie dożywali sędziwego wieku. Ginęli w walce. Szli do boju, wiedząc, że zginą. A kiedy ciemną stronę przekraczał wojownik z Tiwaz, jego kobieta popełniała samobójstwo. Często wcześniej postradała zmysły. Jeśli nie targąta się na własne życie, mieszkańcy osady, a brała w tym udział także jej rodzina, sami ją zabijali. Wyjmowali jej serce i piekli je na ognisku. Zjadali je po kawałku. Wierzyli, że otrzymują w ten sposób uzdrawiającą moc Hagalaz. Odprawiali przy tym rodzaj egzorcyzmu, prosząc bóstwa, by zabrały naznaczoną kobietę w otchłań niebytu. Bali się nieograniczonej mocy Hagalaz. Mieli te kobiety za rodzaj wiedźm, duchów w ludzkiej skórze. Uwolnione, jak wampiry, mogły czynić krzywdę i sprowadzić klątwę na kilka

podoleń. Badacz runicznych znaków Greg Pascal O'Brien podaje, że tylko jednej udało się uciec i przeżyć. Miriada, poraniona, z odciętą lewą piersią, cudem wymknęła się z rąk oprawców. Sama przepłynęła Wielką Wodę i o niej zaginął. Ale jej klątwa dosięgła osadę. Wszyscy ludzie zginęli w wielkim pożarze, który wybuchł samoistnie. Mężczyźni, którzy wrócili z łutew, nie mieli z kim płodzić swoich potomków. Ród Miriady zaginął. Ta historia była przez wiele wieków przestrożą, by nie traktować Hagalaz jak zabawki. W każdym położeniu (prawidłowym, jak i odwróconym) jest równie niebezpieczna. Niesie zniszczenie. Jak każda przypowieść także i ta jest jedynie symbolem. Być może nie zdarzyło się to naprawdę”.

Profiler słuchał słów Muchomorka i Żwirka jak opowieści Szeherazady. Ale czuł, że Nika mogła w to wierzyć. I jeśli знаła te historie, traktowała je bardzo poważnie. Nie bez powodu wytatuowała sobie Hagalaz na głowie, a nie na odsłoniętej części ciała. Trzymała tę tajemnicę dla siebie i nie chciała jej ujawniać. Czy gdzieś jest jej Tiwaz? Waldek nie znalazł przecież na jej ciele drugiego tatuażu.

– Czy to dostępna wiedza? – spytał.

– W Internecie znajdzie pan wiele stron na temat użytkowej strony run. Ale... – Żwirek zamilkł spiorunowany wzrokiem Muchomorka.

– Słucham?

– To zbyt śmiała hipoteza, Ferdynandzie...

– On powinien ją poznać, sam wyciągnie wnioski...

– Ferdynandzie, ja protestuję! To będzie sugestia.

– Proszę powiedzieć. Każda sugestia będzie cenna, nawet jeśli okaże się tylko hipotezą.

– Otóż wyczuwam, że ta kobieta jednak była bliska samobójstwa. To, że ktoś ją zabił, jest wynikiem niefortunnego zbiegu okoliczności, jak wy to nazywacie. Ale my w nie nie wierzymy. Jeśli wytatuowała sobie Hagalaz na głowie, wzięła odpowiedzialność za swoje czyny. I nosiła na sobie przestrożę: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”. Któregoś dnia wyrocznia musiała się wypełnić. Czy ona, że się tak wyrażę, wykorzystywała swoje ciało do manipulowania ludźmi? Swoją seksapil?

– Tak, sądzę, że tak – Meyer zdusił w popielniczce papierosa. Zastanowił się nad rozumowaniem Żwirka. Wiesz, że grzeszysz, będziesz się smażył

w piekle. Nie wierzysz – nie trafisz do piekła. Dlaczego? Bo w twoim pojęciu po prostu go nie ma. Nie masz poczucia winy, wyrzutów sumienia.

– A co pan chciał dodać?

– Ta osoba, która miała tatuaż Tiwaz... Ten mężczyzna też nie żyje.

– Co? Skąd pan wie?

– Mówilem, Ferdynandzie, on nie jest gotów! – wychrypiał Muchomorek i Meyer zauważył, że jego głos jest zmieniony, jakby wydobywał się ze studni. Towarzyszył mu pogłos.

– Powinien pan już iść, więcej nie możemy pomóc. To jest Hagalaz, na sto procent.

– Ale chwileczkę, nie możecie mnie zostawić z takim mętlikiem w głowie! Skąd pan wie, że był gdzieś Tiwaz i że ten człowiek nie żyje?

Zwirtek: – Wiem. Dlaczego nie spyta pan o białego Murzyna?

– Słucham?

Za oknem zrobiło się ciemno, jakby burzowa chmura zasnęła niebo. Słońce zniknęło w jednej chwili. Meyer spojrział na poruszające się firanki i zamarł. Za oknem stała kobieta w kolorowym nylonowym fartuchu, w ciemnych okularach z oprawkami o kocim kształcie i z daszkiem przeciwsłonecznym na głowie, na której zamiast wałków widział teraz czarne poskręcane w fale włosy. Choć na zewnątrz była ulewa, ona była sucha. Palila papierosa i – miał takie wrażenie – przysłuchiwała się rozmowie.

– Nika – szepnął. Kobieta odwróciła się i odeszła w głąb ogrodu. Po chwili po prostu rozplynęła się wśród starych drzew owocowych.

– Proszę mi powiedzieć o białym Murzynie... – powiedział mechanicznie Hubert Meyer. Nie mógł oderwać wzroku od okna.

– Czasem dwoje czarnych rodziców płodzi dziecko o białej skórze – usłyszał.

– Wyjątkowo rzadko – prychnął profiler i znów spojrział w okno. Po dziwnej postaci nie było ani śladu. Słońce znów wpadało przez oczka wzorzystej firany. Krople deszczu na szybie wysychały na jego oczach. Meyer słyszał nawoływania ludzi. Ktoś krzyczał: – Jacek, obiad. Dochodzi czwarta...

– Czwarta – szepnął i gwałtownie odwrócił głowę w kierunku Zwirka.

Ale fotel, na którym jeszcze przed chwilą siedział w kucki jegomość ze smokiem na marynarce, był pusty. Za biurkiem nie było też rumianej

twarży Muchomora. Spojrzał na dwa kamienie leżące przed nim na taborecie i czekał. Ale nikt się nie pojawił przez kilka minut. Zerknął na zegarek, zerwał się z wersalki, która zaskrzypiała glucho. Prawie czwarta! Mariusz Król!

– Proszę panów, to ja już pójde! – krzyknął. Odpowiedziała mu cisza.

Stał chwilę i rozglądał się po pokoju. Wpatrywał w uśmiechnięte słoneczko, w nadmorski widoczek zawieszony na ścianie wśród wielu innych obrazków. I ponieważ nadal nikogo nie było, zostawił na biurku swoją wizytówkę. Napisał na odwrocie: „Proszę wystawić rachunek. Zgłoszę się z pieniędzmi jutro”.

Otworzył drzwi i z łatwością pokonał ciemny korytarz. Kiedy z niego wychodził, poczuł intensywny zapach palonego plastiku.

– Miłość była gdzie indziej – usłyszał niski głos i wyobraził sobie piękną kobietę.

– Kinga – pomyślał z nadzieją. Trzasnął zapalniczką. Mały ogienek oświetlał w ciemnościach twarz postaci w ciemnych okularach i z daszkiem przeciwsłonecznym na głowie. Daszek był pofałdowany, jakby ktoś go podtopił nad ogniem. To on tak specyficznie pachniał. Nie potrafił określić wieku kobiety. Mogła mieć zarówno trzydzieści, jak i siedemdziesiąt lat. Pstrokate, ekscentryczne ubranie odciągało uwagę od jej ciała.

– Kim pani jest? – szepnął przerażony.

– Masz jeszcze jedną szansę. Pamiętaj. Miłość była gdzie indziej – powtórzyła. Teraz mówiła męskim głosem. Niskim, wibrującym. Meyer zeszytniał.

– Miłość nie istnieje. To iluzja – wyrzucił z siebie i wybiegł z dziwaczного domu. Jej śmiech niósł się za jego plecami echem i brzęczał mu w uszach, gdy wsiadał do samochodu. Kiedy usiadł za kierownicą, wciąż jeszcze się trząsł. Na dworze nie było ani śladu deszczu, który widział przed chwilą za oknem. Słońce aż go oślepiało.

– Mam omamy – potarł czoło i wyciągnął ze schowka okulary przeciwsłoneczne. – Dali mi jakiś narkotyk – mruzczał.

Włączył silnik, wycieraczki zaczęły się gwałtownie poruszać. Podskoczył. Przestraszył się. Wcisnął centralny zamek. Wszystkie drzwi auta zamknęły się automatycznie. Kiedy udało mu się wyłączyć wycieraczki,

zobaczył mokrą kartkę przylepioną do szyby. Siedział chwilę nieruchomo, aż się uspokoił. Wsiadł z samochodu i wziął ją do ręki. Była rozdarta w kilku miejscach. Czerwony atrament rozlał się, ale Meyer zdołał ją odczytać.

„Nie ufaj ludziom w ciemnych okularach, jeśli nie ma słońca. Ferdynand. PS: Rachunek przysyłemy pocztą.”

Był skołowany tym wszystkim. Chciał jak najszybciej stąd uciec. Włączył silnik i ruszył do baru, w którym umówił się z Królem. Było piętnaście po czwartej.

Godzinę później dotarł do pubu Chicago's. Była to piwna speluna pełna dymu i typów spod ciemnej gwiazdy. Nie podejrzewał, że prezydent telewizyjny odwiedza takie miejsca. Przy wejściu stało trzech młokosów. Na jego widok wyprostowali się i wymienili spojrzenia. Gdy wchodził, rozstąpili się mrużąc. Wydmuchali dym z papierosów prosto w jego twarz. W sali, szaroniebieskawej od dymu, przy drewnianych ławach siedzieli mężczyźni. Atmosfera aż kipiała od testosteronu. Jediną kobietą była barmanka z długim warkoczem w wieku około pięćdziesięciu lat. Na końcu cienkiego ogonka miała wplecioną czerwoną wstążkę, która jak zauważył Meyer, tworzyła zygzak. Musiała identycznie wyglądać kilkadziesiąt lat temu, tylko młodziej. Była szczupła, mówiła zachrypniętym głosem. Pasowała do tego miejsca. Hubert Meyer rozejrzał się po pubie, ale nie zauważył prezentera. Westchnął ciężko. Podeszedł do baru i zamówił kawę. Kobieta zmierzyła go wzrokiem i po chwili postawiła przed nim parującą filiżankę. Wtedy poczuł na swoich plecach wrogie spojrzenia. Siedzący z tyłu mężczyźni wręcz przebijali go wzrokiem. Odwrócił się. Ci przy stoliku naprzeciwko natychmiast odwrócili głowy. Dopiero pojął. W garniturze, długim płaszczu i z teczką za bardzo się wyróżniał. Wyglądał, jakby trafił tu przypadkowo, a wszyscy zgromadzeni to stali bywalcy.

– Zna pani Mariusza Króla? – zwrócił się do barmanki.

W lokalu nagle zapanowała cisza. Wszyscy z tyłu słuchali ich rozmowy. Komisarz Meyer zdenerwował się, nie było mu to na rękę. Mimo to ciągnął wątek:

– Byłem z nim umówiony jakąś godzinę temu.

Barmanka kiwnęła głową.

– Każdy go zna. Z telewizji.

Spokojnie nalewała piwo jakiemuś grubasowi w kurtce harleyowca z bandamką na głowie niczym u pirata. Kiedy skończyła, otarła kufel przybrudzoną ściereczką, bez słowa sięgnęła pod ladę.

– Zostawił to dla pana.

– Skąd pani wie, że to dla mnie? – spojrzał na pakunek.

– Jest pan z policji?

– Tak.

– Więc to dla pana. Do widzenia.

Nie była miła, a jednak wzbudzała sympatię. Sam nie wiedział dlaczego.

– Często tu przychodził?

– Nigdy. To lokal dla plebsu, nie dla gwiazd telewizyjnych. Piwo za pięć złotych. Tania wódka. Przecież pan widzi – ucięła.

– Nie zdziwiła się pani, gdy przyszedł i zostawił pakunek?

– Nie mój interes.

Grubas przy barze wychleptał pół kuffa i głośno beknął. Po czym odszedł do swoich kumpli, którzy nadal nie spuszczały wzroku z profilera. Coś powiedział i cała sala zarżała jak stado dzikich mustangów. Meyer nie zamierzał zostawać tu dłużej. Wyciągnął zmięte dziesięć złotych i położył na barze.

– Kawa na koszt firmy – barmanka z warkoczem odsunęła banknot.

I tak to straszna lura.

– W takim razie to dla pani – powiedział, chwycił paczkę i udał się do wyjścia. Gdy mijał w drzwiach trzech młokosów, usłyszał głośne splunięcie za plecami.

– Lola, od kiedy psy przychodzą do twojego lokalu? – krzyknął harleyowiec.

– Zamknij mordę, Żaba – zachrypiała Lola. – Pij swojego browara i nie wtrzyńnij nosa w nie swoje sprawy.

Chicago's zatrzęsło się od śmiechu. Meyer ruszył w kierunku parkingu. Tuż obok zaparkowanego auta wdepnął w psią kupę. Smród poczuł dopiero, kiedy wsiadał do samochodu. Z obrzydzeniem wytarł podszewę buta na śniegu i pomyślał, że musi ochłonać. Napić się czegoś, zapalić. Wstał do auta i wyciągnął komórkę. Była rozładowana. – To dlatego nie mogę

dziś nie ściga – zamruczał pod nosem i rzucił kilka przekleństw. Wyciągnął z bagażnika ładowarkę samochodową, podłączył ją. Kiedy czekał, aż komórka się naładuje, by mógł zadzwonić, nagle doznał olśnienia. Wiedział, że jutro też nie wróci jeszcze do Mielnika nad Bugiem.

Rozdział 23

To ja pana wystąłem

„Czy to, co robisz dziś, zbliża cię do tego, co chcesz robić jutro?”

S tanął przy samej ścianie i zgubił się w gąszczu ludzkich głów. Patrzył na różne rodzaje pleców: w garniturach, kurtkach, bluzach od dresu. Zgarbionych, wyprostowanych, groteskowo wykrzywionych, gdy gwałtownie wyrzucali ramiona, bo nagle chcieli coś powiedzieć, albo, gdy oburzeni zrywali się z krzeseł i krzyczeli: – To skandal! Tak nie może być! Czas powiedzieć „stop”!

Liczył pary butów zostawiających na parkiecie ślady topniejącego śniegu. Hubert Meyer słyszał przemówienie, ale nie zamierzał brać udziału w dyskusji. Chociaż przyszedł wcześniej, zanim debata się zaczęła, nie zajął też krzesła. Postanowił zająć pozycję obserwatora i wycofał się na sam koniec sali, która w kilkanaście minut zapelniła się ludźmi, aż powstał zaduch. W płaszczu było mu gorąco, ale nie zdjął go, jeszcze postawił kołnierz. Wyglądał jak rewolwerowiec, który czeka, aż przeciwnik wyjdzie z saloonu. Wtedy wyjmie broń i strzeli mu prosto w pierś.

– Nie możemy zgodzić się na taką umowę, jest krzywdząca dla kraju. Zdaję sobie sprawę, że lobby naftowe nie przychyliła się do naszych pomysłów, ale prędzej ustąpię ze stanowiska, niż się na to zgodzę – Jakub Czerny mówił spokojnie, patrząc w oczy ludziom z pierwszych rzędów.

Jego słowa wywoływały za każdym razem gorący aplauz.

– Bravo! – krzyczał jegomość w kaszkiecie i swetrze w romby.

– Czy wywierano na pana nacisk? – zapytał dyszkantem student w ciemnym w zbyt dużą marynarkę w pepitkę. Pewnie pożyczyl ją od ojca na tę okazję.

– Tak, nawet grożono. Ale nie wpłynęło to na moją decyzję i nigdy nie wpłynie – powtarzał Czerny.

Komisarz Meyer nie mógł dojrzeć w tłumie twarzy polityka. Nie widział, że po każdej odpowiedzi popija łyk wody. Nie dostrzegał podkrążonych oczu i pocierania czoła, na którym tkwiły liczne bruzdy. Czasem Czerny nie mówił sam, tylko przekazywał mikrofon i spoglądał tępo na rozłożone kartki. Wyręczali go wtedy ludzie z jego sztabu, ale większość pytań dziennikarzy i zebranych była skierowana do niego.

Profiler co jakiś czas patrzył na zegarek. „Niedługo skończą” – pomyślał z nadzieją i ziewnął zasłaniając usta dłonią. Nie było już na niej obrączki. Po wczorajszej rozmowie z Anką, która wyrzucała mu, że ma dość związanej z nim traumy, polizał palec i z trudem ściągnął złoty krążek. Od razu poczuł się lepiej. Potem dzwoniła jeszcze kilka razy, ale nie odebrał. Nie miał ochoty słuchać wulgarnych słów. Rzucane w twarz oszczerstwa powodowały, że jego serce kamieniało. Kiedy spytał, co z dziećmi, odpowiedziała: – To już cię nie dotyczy. Nigdy ich nie zobaczysz!

Tego się właśnie spodziewał. Wyznaczy mu karę: skoro na niej mu nie zależy, odbierze mu dzieciaki – by poczuł ból straty.

Ale nie bolało go tak bardzo, jak przypuszczał. „Nie będzie tak łatwo mnie odizolować” – pomyślał i postanowił, że zajmie się tym wszystkim, gdy tylko wróci do Katowic. Chcesz walki, będziesz miała!

Na razie skupił się na pracy i analizował informacje, które zgromadził do sprawy. Słuchał wyważonych wypowiedzi polityka, ale intensywnie myślał tylko o tym, czego udało mu się dowiedzieć rano. Zadzwonił do znajomego z wydziału zabójstw w Katowicach i poprosił o nieformalną przysługę.

– Hubert, wywalą mnie z roboty, jak to wyjdzie – bronił się Macieżyński.

Przez cztery lata pracowali razem pod kierownictwem zaangażowanego pracocholika, który wciąż podnosił poprzeczkę i wymagał takiego samego oddania się pracy. Początkowo Meyerowi nawet się to podobało. Adrenalina, satysfakcja z dobrze wykonanego zadania. Meyer i Macieżyński byli partnerami. Każdego dnia oglądali zwłoki. Tylko na filmie zabójstwo wygląda estetycznie. Kiedy agent Bond strzela do kilku przeciwników jednocześnie, a oni padają jak muchy, wydając odgłos:

„aaaau!”, widz ma pewność, że to nie zabójstwo, lecz gra aktorska. Film za chwilę się skończy, idzie więc zrobić sobie herbatę albo kanapki. Nie musi oglądać pobożowiska zaścielonego trupami. W rzeczywistości martwe ciała śmierdzą. Są brudne od zakrzepłej krwi i wydzielin: kału, moczu, rzygowin. Wnętrze żołądka jest najobrzydliwszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział. Ciała ludzkie po śmierci ze sprawnie działającego organizmu zamieniają się w bezkształtną masę złożoną z mięsa, kości i płynów. A jeszcze do tego większość ofiar ginie od noża kuchennego, po alkoholu, w patologicznych rodzinach. Nie ma w tym magii, tajemnicy, a sprawca najczęściej jest łatwy do ustalenia. Razem z Macierzyńskim obejrżeli mnóstwo trupów. W sytuacji, gdy ludzie są zmuszeni do niemal stałego przebywania ze sobą, pokonywania trudności, przeżywania takich rzeczy, jak oglądanie trupów, a szef tyran każdego dnia wymaga wciąż takiego samego zaangażowania i z autorytetu staje się waszym wspólnym wrogiem, musi zrodzić się przyjaźń. Hubert Meyer wiedział, że nawet po zmianie stanowiska może liczyć na „Maćka”. Jednak po raz pierwszy poprosił go o coś nieformalnie.

– Sprawdź tylko, czy Jakub Czerny jeździ wozem terenowym.

– Nie mogę, Hubert... – jęknął „Maciek”.

– Możesz. Jagna zrobi to dla ciebie. Albo sam to zrób. Wykurz ją pod jakimś pretekstem z archiwum.

– Proszę cię, nie proś mnie o to. Przecież to nie anonimowy człowiek. Polityk, z pierwszych stron gazet.

– Nie mam nic na niego. Rozumiesz, muszę mieć pewność, że mnie nie zbędzie. Muszę mieć jakiś punkt zaczepienia.

– Nie wiem. Może sam poproś Jagnę...

– Przestań, to wzbudzi podejrzenia. Ty możesz, jesteś w środku. Kup jej kwiaty, rajstopy. Nie wiem... Oddam ci pieniądze.

– Huba, nie o to chodzi... Wiesz przecież. Stary nie może ci dać zgody?

– Wiesz, jaki on jest. Każe mi podać powody, a ja nic nie mam. Tylko przecucie.

– Ale jesteś upierdliwy.

– Jestem.

– I jeszcze chcesz, żeby to dziś...

– Stary, oko za oko, pamiętasz? To tylko drobna informacja. A dla mnie nić łącząca wiele wątków...

– Dobra – zgodził się w końcu Macierzyński. – Spróbuję ją wysłać po akta. Ale tylko spróbuję. Nie mogę nic obiecać.

– Jak się nie uda, trudno. Ale to dla mnie ważne. Postaraj się.

– W kontakcie.

– No to czołem.

– Czołem, druhu. Ty to masz życie... – kwęknął „Maciek”.

Kilka godzin później wydobyl informację wartą worek złota. Oprócz rządowej lancii Czerny nie ma auta. Ale na jego żonę zarejestrowany jest ekskluzywny hummer, rocznik 2005. Meyer odetchnął z ulgą.

– Stary, co ty kombinujesz? Jesteś pewien? – spytał „Maciek”.

– Jest dobrze. To najlepsza wiadomość ostatnich dni.

– Uważaj...

– Dzięki.

Teraz Meyer stał z przymkniętymi powiekami oparty o ścianę i czekał, aż masa ludzka wyleje się na korytarz. Kiedy się przerzedziło, ktoś otworzył okna. Odetchnął z ulgą mroźnym powietrzem. Dopiero wtedy zobaczył przed sobą długi stół przykryty zielonym suknem. Leżały na nim papiery, stały mikrofony. Dziennikarz nagrywał wypowiedź polityka. Potem sam stanął pod ścianą i nagrał „stand up”. Asystenci Czernego porządkowali dokumenty, składali je do plastikowych toreb. Konferencja prasowa połączona z debatą wreszcie dobiegła końca. Meyer patrzył na podłogę zaslaną śmieciami. Dziennikarz uściśnął rękę Czernego, który już kierował się do wyjścia.

Wtedy Meyer spotkał go wzrokiem. Żaden nie odwrócił głowy. Profiler powoli zbliżał się do środka sceny, na której stał Czerny. Wysoki, żyłasty mężczyzna o szpakowatych włosach i opalanej w solarium twarzy. Błękitna koszula, dobra woda po goleniu, ale zmęczenie wypisane na twarzy. Biła od niego siła i Meyer poczuł się niepewnie. O co ma go spytać? Podejrzenia podkomisarza Eugeniusza Kuli wydały mu się absurdalne. Podśłuchane przez Ewę strzępki rozmów Króla i Niny Frank nie znaczyły tak naprawdę nic. To, że jakiś J. pojawił się w jej pamiętniku z młodości? No i co? Jak polityk będzie chciał, wyrzuci go za drzwi. Jeszcze narobi mu koło pióra. Jakbym i tak miał mało kłopotów... Meyer zatrzymał się na odległość kilku metrów.

„Jakubie i co ty na to?” – przywołał w myślach głos Niki i widok jej smukłego ciała odzianego w marynarkę tego mężczyzny, którego miał przed sobą. Intuicja mówiła mu: „Idź, rozmów się z nim. Tylko spróbuj”. Wiedział, kto jest na zdjęciu, które znalazł w pamiętniku nastoletniej aktorki. Miał go przed sobą. Czterdziestoletni mężczyzna z wyblakłej fotografii bardzo się zmienił. Postarzał się. Zwiotczałe policzki, podwójny podbródek, wydatny brzuch. Ale to ten sam facet. Jego hummer i ślad opony znaleziony przez Eugeniusza Kulę – pewności nie mógł mieć, ale zbyt często jego nazwisko pojawia się w tej sprawie, by nie miał ze śmiercią Niki czegoś wspólnego. Psycholog zbagatelizował wątpliwości rozumu i śmiało ruszył do przodu.

– Pan się nazywa Meyer. Komisarz Hubert Meyer? – zaskoczył go Jakub Czerny.

– Skąd pan wie? My się znamy? – profiler zaniemówił z wrażenia. Starał się jednak nie dać tego po sobie poznać.

– Wiedziałem, że jeśli jest pan tak dobry, jak mówią, w końcu sam pan do mnie trafi.

– Więc jestem – profiler zawiesił głos. Czuł, że marynarka pije go jak przyciasny pancerz. Jednak w każdej chwili był gotów do walki z przeciwnikiem. – Liczę, że wiele pan wyjaśni. Choćby to, że tej nocy, kiedy zamordowano Ninę Frank, był pan w Mielniku nad Bugiem.

Czerny spuścił wzrok i odrzekł:

– Powiem tylko moim ludziom, że mogą już iść. Ma pan teraz czas?

– Mam go coraz mniej, więc...

– Niech pan posłucha...

– Słucham.

– Może to pana przekona, co do moich intencji. To ja zabiegałem, by właśnie pan zajął się sprawą jej śmierci.

– Proszę?

– Poprosiłem komendanta głównego, żeby przydzielili właśnie pana. Zależy mi na znalezieniu jej mordercy.

Hubert Meyer otworzył usta, by zarzucić polityka gradem pytań, ale się powstrzymał. Trawił zaskakującą informację i obserwował Czernego, który odwrócił się i po kolei żegnał z kłonami w garniturach. Był cha

ryzmatyczny, oni nie wyróżniali się niczym. Byli tłem. Podał im jakieś notatki, aktówkę, kluczyki do auta. Wziął płaszcz z krzesła.

– Jest pan samochodem? Pojadę z panem. Zna pan „Green Mill”?

Meyer pokręcił głową.

– Nie jestem z Warszawy.

– To jest jej ulubiony klub... To b y l jej ulubiony klub – poprawił się Czerny. – Grają tam jazz. Będziemy mogli porozmawiać.

Czerwona kotara falowała rytmicznie za plecami muzyków. Dwudziestoparoletni mężczyzna w siatkowym podkoszulku i butach z plecionej skóry siedział przy fortepianie. Zgięty w paragraf, w czarnych okularach, wydobywał z instrumentu rozdzierające dźwięki. Grubawy trębacz w czarnym T-shircie i włosach ostrzyżonych, jakby był w helmie, skulił się w kącie i czekał na swoją kolej. Stopą wystukiwał rytm piosenki. Starzec z wąsami i w okularach akompaniował pianistcie na kontrabasie. Perkusista zlany potem uderzał w talerze i bębny. Muzyka była smutna. Mimo to jakaś para z tyłu kołysała się w tańcu. Kiedy reflektor padł na twarz pianisty, Meyer skojarzył, że scena, którą tyle razy oglądał na kasecie, została nagrana właśnie tutaj.

W tym miejscu jeszcze niedawno można było spotkać żywą Ninę Frank. A nieliczni mieli szczęście ujrzeć, jak jednym ruchem zdejmuje z siebie błyszczącą suknię. I mówi: – No i co ty na to, Jakubie?

– Stefan jest niewidomy – poinformował Meyera Czerny i wskazał na pianistę. Zamówił whisky. – Nie będzie panu przeszkadzało, że się napiję? Jestem wykończony.

Hubert Meyer pokręcił głową. Niech pije, jeśli ma mówić. Byle nie za dużo. Miał do niego milion pytań. Czekał jednak cierpliwie, aż to polityk zacznie. Ten jednak zwlekał, może nie wiedział, od czego zacząć. Liczył, że osłabi czujność profilerera?

– Jak pan wpadł, że tam byłem? – zapytał nagle polityk.

– Kierownik posterunku znalazł ślad opony. Nie wykonano odlewów, bo zjechały się radiowozy i zaczął padać śnieg. Ale podkomisarz narysował bieżnik. Pana auto jest zarejestrowane na żonę, ale... Po prostu strzeliłem.

Czerny uśmiechnął się. Jest niezły, pomyślał z satysfakcją. Ale po chwili uśmiech zamarł mu na twarzy.

– Mam poczucie winy, że ją wtedy zostawiłem – powiedział. Stchórzyłem. Uciekłem. Gdybym tego nie zrobił, być może by żyła. O ósmej rano miałem samolot do Brukseli. Może najpierw opowiem panu moją wersję, a potem będzie pan pytać.

– Zamieniam się w słuch.

„Było po dziesiątej, kiedy zadzwoniła. Płacząc prosiła, żebym przyjechał. Mówiłem, że nie mogę, że rano lecę, a jest noc. Błagała, żebym przyjechał. Twierdziła, że musi się ze mną zobaczyć i porozmawiać. Nie chce już żyć. Przestraszyłem się, bo w takim stanie dawno już nie była. Wyznała, że Król właśnie wyszedł, a wcześniej... Boże, nie mogłem w to uwierzyć: zgwałcił ją i pobił. Może w odwrotnej kolejności, nie pamiętam. W każdym razie mówiła, że jest cała we krwi. Musi się ze mną spotkać, powiedzieć mi coś ważnego. Spytałem, czy wezwwała lekarza, policję.

– Nie. Chcę umrzeć. Czuję, że to koniec. Muszę ci coś powiedzieć. Przyjedź, proszę...

– Wziąłeś jakieś prochy?

– Jeszcze nie. Proszę cię, chociaż ten jeden raz nie zostawiaj mnie samej.

– To potrwa jakieś dwie godziny. Nic nie bierz. Postaraj się jakoś ogarnąć. Wykąp się. Już wychodzę.

Odłożyła słuchawkę. Dzwoniłem do niej z drogi, żeby sprawdzić, jak się czuje, czy nic sobie nie zrobiła. Nika bywała nieźrównoważona. Nigdy nie było wiadomo, co może strzelić jej do głowy. Naprawdę się bałem.

Przyjechałem dobrze po drugiej. Była już spokojniejsza, ale wyglądała koszmarnie. Ten człowiek niemal ją zmasakrował. Miała zapuchniętą twarz i chyba złamane dwa palce u rąk. Prosiłem, żeby się położyła spać, ale odmówiła. Trzęsała się. Owinąłem ją kocem i zacząłem przemywać jej twarz wodą utlenioną. Syczała przy każdym dotknięciu. To było straszne. Wykręciłem numer na pogotowie, ale wyrwała mi słuchawkę. Zabroniła mi dzwonić. Chciała rozmawiać.

– Nie mamy czasu – rozejrzała się po mieszkaniu, jakby bojąc się, że ktoś za chwilę wejdzie i nie zdąży mi tego powiedzieć.

Usiedliśmy na kanapie w bibliotece. Nalałem jej wina. Cierpiała z bólu, ale jednocześnie chciała mówić. Zaczęła od tego, że nie wierzy w swoją

pracę, że wszystko się wali. Ona nie rozumie, dlaczego. Na dodatek nie ma nikogo, kto by ją zrozumiał. Wiedziałem, że wezwała mnie do siebie z innego powodu. Kryzys związany z pracą miała już od dawna.

– Widzi pan, my się z Niką znamy od lat.

– Wiem. Poznaliście się, kiedy jeszcze nazywała się Agnieszka Nalewajko.

– Tak. Przypadkiem spotkałem jej matkę i nawiązaliśmy romans. A potem... zakochałem się w jej córce. W Adze. Ale różnica wieku, perwersja tego związku, cała ta schizoidalna aura... To wszystko spowodowało, że w którymś momencie się wycofałem. Nie kontaktowałem się z nią ani ona ze mną. Myślałem, że zapomniała. Czasem chciałem ją znaleźć, przeprosić. Ale tyle rzeczy miałem na głowie. I prawdę mówiąc, bałem się konfrontacji. Byłem coraz starszy, a ona pewnie coraz piękniejsza. Myślałem, że wyszła za mąż, ma dzieci, a tu nagle pojawię się ja, zniszczę jej uporządkowane życie i... zrobię z siebie idiotę. Ale po latach nasze drogi znów się zeszły. Była już całkiem inną osobą. Stała się gwiazdą – aktorką. Tak jak marzyła. Niną Frank. I nienawidziła mnie. Za to, że tak okrutnie ją potraktowałem. Wie pan, dowiedziałem się wtedy, że ona była ze mną w ciąży. Usunęła ją. Zabiła nasze dziecko. I nawet nie powiedziała mi o tym. Nie mogła, bo kiedy to się stało, nie odbierałem jej telefonów. Moje małżeństwo było spokojne i bezpieczne. Nie chciałem niepotrzebnych kłopotów. Myślałem, że Aga zacznie robić sceny i wszystko się posypie. W każdym razie nie powiedziała mi... A ja? Stała się dla mnie pięknym wspomnieniem, tajemnicą, którą pragnąłem ukryć. Potrzebowałem zgodnego małżeństwa do swojego wizerunku kryształowego polityka. I tak, jak chciałem, zniknęła. Myślałem, że to dobrze. Nie przewidziałem, że jej nienawiść będzie rosła z biegiem lat. Potem już jako Nina Frank próbowała mnie szantażować. Bardzo nieudolnie. Była jak rozdygotana dziewczynka, która chce lalkę i tupie nogą. Klóciliśmy się. Unikała mnie na przyjęciach. Jeśli już musieliśmy rozmawiać, ignorowała mnie. Musieliśmy udawać, że nic nas nie łączy, a do tego jej mąż zapraszał mnie do nich, bo piastowałem wtedy stanowisko w zarządzie telewizji i ode mnie zależało, czy Mariusz Król będzie pracował czy nie. On coś podejrzewał, szpiegował nas. Podejrzewał o romans. A ja, za każdym razem, gdy się do nich wybierałem, liczyłem, że Aga – nie mogę się przyzwyczaić do tego idiotycznego imienia Nika – mi wybaczy. Może

nie będziemy już kochankami, ale przyjaciółmi. Martwiłem się o nią, choć tego nie wyrażałem. Jak mówiłem, wciąż się spiraliśmy. To ona dążyła do konfrontacji, prowokowała mnie. Staralem się być blisko, kontrolować jej działania. Ochraniać ją, choć wcale tego nie chciała. Obserwowałem, jak się powoli stacza. Na złość mnie, mężowi, całemu światu pozwalała wchodzić do łóżka obcym mężczyznom. Autodestrukcja w pełnym tego słowa znaczeniu. Kilka razy po takiej nocy, która przemieniła się w jakąś orgię, wyrzucała gości. Groziła policją, ochroniarzami. Patrzyłem na to ze zgrozą. Nie mogłem znieść widoku tych mężczyzn, którzy ją obmacują, a ona jeszcze się śmieje. – Jesteś dziwką, zachowujesz się jak tania kurwa – mówiłem jej czasem. A ona uderzała mnie w twarz. Też nie byłem święty. Może dlatego nie mogłem jej powstrzymać. Wiedziałem, że to jej zemsta i że chce mi w ten sposób coś powiedzieć. Ale nie miałem ochoty wnikać, co. Powtarzałem sobie: nic mnie to n i e o b c h o d z i ! Byłem oschły i wcale nie starałem się jej odwozić od powziętych decyzji. Patrzyłem na to wszystko i nawet brałem w tym udział. Dziś widzę, że mogłem ją powstrzymać, jakoś zareagować. Zrobić coś, ale paraliżowało mnie poczucie, że nie mam prawa ingerować w jej życie. Zwłaszcza ja nie mam prawa. Po tym, co zrobiłem jej i jej matce.

Dlatego takie dziwne wydało mi się, że tamtej nocy zadzwoniła akurat do mnie. Myślę, że nie miała już nikogo bliskiego. Czasem nienawiść zbliża ludzi bardziej niż miłość. U nas te emocje były przemieszane. Zwłaszcza ja tak czułem. I pojechałem, choć mogła mnie oszukać. Gdy pokonywałem zasy na wiejskich drogach, nagle przyszło mi do głowy, że kiedy tam dotrę, ona po prostu mnie wyśmieje. – To był żart, Jakubie! Co ty na to? Jak się teraz czujesz? – zapyta ze śmiechem.

Ale nie. To niestety nie był żart. Była w strasznym stanie. I nie udawała. Znow zobaczyłem tę dziewczynę, w której się obłądnie zakochałem. Miałem przed sobą Agę sprzed lat. Tak naprawdę była wrażliwą i dobrą dziewczyną. Ale, by zostać gwiazdą, musiała przeistoczyć się w kogoś innego. Grała rolę aktorki we własnym życiu. Nie miała dystansu do tych idiotycznych ról. Wszystko przeżywała bardziej i mocniej. I spalała się w środku. Płaciła cenę za swoje kłamstwa. Nosila w sobie tykającą bombę. Nawet ten mąż... On był jedynie inwestycją. Wyszła za niego, by podnieść swój prestiż. Nie kochała go.

Tej nocy to wszystko wyrzucała z siebie. Nie rozumiałem, dlaczego tak się przede mną otwiera. Po co? Wtedy poprosiła:

– Obiecay, że mi wybacysz.

– Ale co? Co mam ci wybaczyć?

– Zrobiłam coś strasznego, podłego. Muszę cię ostrzec.

– Przed czym?

– Oni chcą cię zniszczyć i ja im w tym pomogłam.

– Co zrobiłaś? Mów! – krzyknąłem, bo wyprowadziła mnie z równowagi.

– Oni mnie szantażowali. Grozili, szperali w moich rzeczach. Bałam się. Milczałem, ale przepelniała mnie wściekłość.

Pianista z zapamiętaniem bębnił palcami o klawisze. Niemal nie dotykał ich palcami, prześlizgiwał się po klawiaturze. Kontrabas wtórował mu basem. Wtedy wyszedł trębacz i instrument zapłakał.

– W co się wpakowałaś?

– Powiedziałam im. Podpisałam oświadczenie. Oni to mają. Chcą, żebyś złożył dymisję.

– Co napisałaś?

– Że tam byłeś i odpowiadasz za jego śmierć. Oddałam im też kasety.

Meyer zmarszczył brwi. – Nie rozumiem.

Czerny uciszył go. – Zaraz wyjaśnię. Pałałem nienawiścią, złością. „Jak mogłaś to zrobić?” – krzyczałem. Chodziłem w tę i z powrotem. Ona płakała, zwinięta na kanapie z włosami sterczącymi na wszystkie strony.

– Ale o co chodzi z tymi kasetami?

– Zamontowała w swoim domu kamery i nagrywała te przyjęcia. Było na nich wiele znanych osób, uprawiających seks... oczywiście nie ze swoimi żonami. W ten sposób zabezpieczała się, żeby nie wypaść z branży. Gdyby to ujawniono, wybuchłby skandal. Moja reputacja... Nieważne. Dziś to wszystko jest takie nieważne...

– A co to za śmierć? O kogo chodzi?

– O mężczyznę, którego kochała. Znałem go. Byliśmy wrogami. Popelnił samobójstwo. Naprawdę nie miałem z tym nic wspólnego. Ale ona nie mogła tego przeżyć. Obwiniła się, że to jej wina. Dzwoniła do mnie.

– Kim był ten człowiek? Proszę podać nazwisko... – naciskał Meyer.

– Biznesmenem, który miał układy polityczne z byłymi komunistami. Grał nie fair. Świetnie mu się wiodło. Mam w pracy sygnaturę akt tej sprawy. Badano ją, czy nie było udziału osób trzecich. Uruchomiłem swoje wpływy i zatuszowałem sprawę. Nika to na mnie wymogła. Dam to panu. Najlepiej, jak przeczyta sobie pan sam. Nie mam sił, by o tym teraz mówić.

– Dobrze, więc wróćmy do tej nocy.

– Byłem zdenerwowany, kiedy mi powiedziała. Zobaczyłem swój koniec. Koniec kariery, skandal, moją zrozpaczoną żonę... Chciałem się napić, ale nie mogłem. Musiałem przecież wrócić do Warszawy. Wtedy powiedziała coś, w co nie mogłem uwierzyć. Na pewno nie w takim momencie. Po tym wszystkim.

– Kłamiesz! – krzyknąłem. – Dlaczego dopiero teraz mi mówisz? Wiedziałaś przez te wszystkie lata! A ja? Bawiłaś się mną. Wychodzę. Nie obchodzi mnie, jak się czujesz!

Trzasnąłem drzwiami i odjechałem. Całą drogę to sobie układałem. Nie rozumiałem, jak mogła coś takiego zrobić. I czy to, co wyznała, może być prawda. Do Warszawy dojechałem przed siódmą. Ledwie zdążyłem na samolot. Kiedy wróciłem po dwóch dniach, dowiedziałem się, że Nika nie żyje. Po kilku dniach zadzwoniłem do komendanta głównego i poprosiłem, żeby wysłali pana. Choć tyle mogłem dla niej zrobić.

– Co tak nieprawdopodobnego powiedziała?

– Widzi pan, ja jestem jej ojcem. Jej matka za czasów studiów była ze mną w ciąży. Nie powiedziała mi. Wyszła za męża. Nie wiedziałem, że sypiam z własną córką. Co gorsza, ona była ze mną w ciąży. To jakieś fatum. Nie wiem. Nie mogę w to wszystko uwierzyć. A tej nocy, kiedy najbardziej mnie potrzebowała, znów zostawiłem ją, zamiast ratować. I jeszcze krzychałem, wyrzucałem jej kłamstwo. Nie mogę sobie tego darować. Od czasu jej śmierci cierpię na bezsenność. Gdy tylko zasnę, mam koszmary. Biorę leki. Życie z poczuciem winy, wyrzutami sumienia jest koszmarem. Wciąż czuję ból i ciągły niepokój. Do tego paralizujący strach, że nie odkupię tej winy. Nigdy. W nieskończoność rozmyślałem, jak to się mogło stać?

Schody do nieba

„Uważaj na ludzi, którzy noszą ciemne okulary,
kiedy nie ma słońca”

Po raz kolejny rozmyślałam, jak to się mogło stać? Odrastające za uchem włosy prowokowały, by ich co jakiś czas dotknąć. I kiedy tak wodziłam palcem po kilkucentymetrowej szczecinie i ukrytym przed wszystkimi, pozornie niewinnym tatuażu, czułam, że mi ciąży jak znamię dziwki. Jego wyznanie i dalsze zdarzenia, całe to perwersyjne misterium pseudosłubu, były tak nieprawdopodobne jak śnieg w lecie. Powinnam była szaleć ze szczęścia – zakochany diabeł robi dla mnie wszystko! Ale ja nie umiałam się z tego nawet szczerze ucieszyć. Bo czasem, gdy tak czekasz na coś, marzysz o tym, śniesz i nagle staje się to rzeczywistością, traci swój magiczny wymiar. Zwłaszcza, gdy przychodzi za późno, a ty jesteś już zbyt zmęczona czekaniem. Zaczynasz odchodzić. Tak właśnie zadziałałam na jego nagłą miłość. Mówiąc „kocham” i zamiast symbolicznej obrączki, własnoręcznie tatuując na mojej głowie Hagalaz, oddał mi swoją demoniczną moc.

Ja przyjąłam ją jak należną daninę i powoli zaczęłam obejmować nad nim władzę. Miał rację, że pewnego dnia stanę się silniejsza niż on, ale nie przewidział, że nastąpi to tak szybko. Mój zamach stanu był łatwy do przewidzenia. A on nawet nie zauważył czającego się niebezpieczeństwa. Co śmieszniejsze, na początku akcja zaplanowana przeze mnie strasznie mu się podobała.

Alicja była drobniutką blondynką o romantycznym usposobieniu. Nigdy nie zrozumiałam, jak mogła wyjść za takiego potwora. Może gdyby mieli dzieci, byłiby innymi ludźmi. A on nie uciekałby do piekła ze mną, by przeżywać życie na wysokich obrotach. Chodziłby w kapciach i głaskał po główce blondwłose ma-

leństwa, przynosił zabawki, planował ich przyszłość. Co oni zrobili ze swoim tak dobrze zapowiadającym się małżeństwem? Oboje z dobrych, niezbyt zamożnych domów. Poznali się na pielgrzymce do Częstochowy. Zamieszkali razem i szybko dorobili się pieniędzy. Kiedy już biznes szedł pełną parą, wzięli ślub, kupili psa i zaplanowali dziecko. Przez dwa lata, w swojej ekskluzywnej sypialni, bezskutecznie próbowali zмайstrować potomka. Za każdym razem, gdy Alicja zachodziła w ciążę, dostawała od męża bukiet herbacianych róż. Suszyła je i wstawiała do glinianego dzbana w salonie. Na szczęście. W moich stronach jest taki przesąd, by nigdy nie suszyć kwiatów od ukochanej osoby. Zasusza się uczucia, miłość znika. I tak się stało z nimi.

Po trzecim poronieniu, w furii, Alicja wyrzuciła bukiety do kubła na śmieci, a sama wyniosła się do drugiej sypialni. Cchyba tak zamamifestowała, że nie chce wcale mieć dzieci. On zaczął uciekać w pracę, poznawać inne kobiety. Nie byłam pierwszą sponzorowaną przez niego kochanką. Podzielili firmę i Alicja skutecznie przemieniła się w bizneswoman. Nadal jednak, nawet przed sobą, udawali zgodne małżeństwo. Dla wygody, poczucia bezpieczeństwa. Ustalili tylko jedną zasadę – seks na zewnątrz związku. To jak życie na drżącym wulkanie. Nie wiadomo, kiedy wybuchnie, ale kiedyś z pewnością to nastąpi i wtedy śmiercionośna lawa pochłonie wszystko i wszystkich dookoła.

Oczywiście znalazłam ten sekret ich małżeństwa. Zdradził mi go już przy pierwszym spotkaniu.

Ale na ten szatański plan wpadłam dopiero po Hagalaz, wcześniej nie przyszłoby mi do głowy nawet wprowadzać go w życie. Teraz mogę stwierdzić, że mężczyźni nie są wcale mistrzami uwodzenia. Wystarczy wiedzieć, co kobieta chce usłyszeć, i szeptać jej to do ucha lub wysyłać listem, mailem, a choćby sms-em, by uległa twojemu urokowi. To kwestia czasu i doświadczenia, a jeśli umiesz przeciągle patrzeć i cierpliwie słuchać – owoce rodzą się same. Inwestycje? Kwiaty, drobiazgi z drogerii, kolacja, dobry alkohol. Koszty są naprawdę niewielkie. Uwodzenie jest proste jak budowa cepa. Najcudowniejsze, że efekty widzisz od razu – po jej spojrzeniu, sposobie mówienia, aż w końcu sama daje ci znaki, że miałyby na to ochotę, ale się wstydy.

Najtrudniej było zjednać jej zaufanie. Wiedziała przecież, że pracuję dla jej męża – oczywiście była przekonana, że jedynie tłumaczę na delegacjach. Początkowo natykała się na mnie w knajpach (sądziła, że przypadkowo) i rozmawialiśmy (była zszokowana, jak dobrze ją rozumiem). Naśladowałam jej sposób mówienia.

przechylania głowy. Ubierałam się podobnie. Poszukiwała przyjaciółki, by się wyzalic – weszłam gładko w tę rolę. Słuchałam jej z zainteresowaniem, chcąc się dowiedzieć, czego jej w życiu brakuje. Pierwsze, co się narzucało, to deficyt miłości i seksu. Drugie – choć była panią dyrektor – naturalna potrzeba bycia małą kobietką: seksowną, bezradną, słodką. Te dwie informacje wystarczyły mi do wyreżyserowania głównego aktu intrygi.

Pewnego wieczora zaprosiłam ją do siebie, by pogadać o facetach. Wyjęłam wino i kiedy była już lekko oszołomiona alkoholem, zaczęłam ją komplementować. Potem zabaczyłam o zdradę. Ten temat bardzo ją poruszył. Otworzyłam kolejne wino. Grałam z pasją faceta – twardego, nieugiętego, ale szarmanckiego i romantycznego. Tylko pytałam i słuchałam. Nie spuszczałam z niej zauroczonego wzroku. Kiedy uznałam, że jest gotowa, wspomniałam nasze pierwsze spotkanie. Rozpływałam się w zachwytach. Zeszliśmy na tematy intymne, więc doprowadziłam do tego, że sama spytała, czy byłam kiedyś z kobietą.

– Nie... – udałam zawstydzenie. – Wiesz, może powinnaś już iść. Tak będzie lepiej... – szepnęłam.

– Jeszcze chwilę, tak miło się rozmawia – odpowiedziała. – A co? Boisz się tego, co mogłabyś zrobić? – roześmiała się figlarnie. Wiedziałam, że połknęła haczyk. Pochyliłam wstydliwie głowę.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje... – powtórzyłam tyle razy słyszane z męskich ust. – Nie mogę przestać o tobie myśleć. Chciałabym tylko, żebyś była blisko... Nic więcej... Jesteś tak do mnie podobna – łągałam jak z nut, licząc, że to na pewno zadziała.

Spojrzała na mnie tak, że poczułam motyle w brzuchu. Tak czuje się facet, który już zdobył kobietę, choć ona jeszcze sobie tego nie uświadamia. I wiedziałam już, gdy zniemacka pocałowałam ją na tarasie, że ryzyko jej ucieczki jest znikome. Zamiast oburzenia był nieklamany zachwyt. Oszołomiona mrugała rzęsami. Po tem objęła mnie i oddychała ciężko. Dotknęłam ustami płatka jej ucha. – Zostań – szepnęłam.

Dała się poprowadzić do łóżka. Była nieprawdopodobnie malutka. Kiedy ją rozbierałam, miałam wrażenie, że dotykam ciała kruchego dziecka. Rola dominanta była fascynująca i muszę przyznać, że to wszystko sprawiało mi niesamowitą przyjemność. Wierzyłam święcie we wszystko, co mówię, choć przecież tylko grałam. A Alicja tańczyła pod moim dotykiem i reagowała, jak prawidłowo wywołana reakcja chemiczna. Staralam się jej nie przestraszyć za pierwszym

razem – kochałam ją delikatnie i jak najbardziej czule. Wyplułam z siebie setki słodkich słówek i egzaltowanych zachwyty nad każdym, nowo odkrywanym fragmentem jej ciała, by czuła się jedyną na świecie. Wyszła po kilku godzinach, zapłaciłam za jej taksówkę. Po pięciu minutach wysłałam słodką wiadomość. A następnego dnia zaprosiłam na moje przyjęcie urodzinowe, które oczywiście było singowane. Catowałam jej plecy i kark, gdy za ścianą moje koleżanki-modelki rozprawały o kaloriach i dyskotekach na Malcie. Jęczała jak kotka, gdy jej dotykałam, a fakt, że mogą nas nakryć inne kobiety, jeszcze bardziej ją podniecał. Śmieszyły mnie jej zahamowania, lecz nie dawałam tego po sobie poznać. Swoją dziewczęcą szparkę nazywała „dziwka” i spryskiwała ją dezodorantem intymnym. Kiedy w końcu tamte poszły, pozwoliła rzucić się bezwstydnie na stół i rozłożyła nogi. Wiesz, nawet najbardziej porządna dziewczyna ma dwie natury – tę racjonalną, która świetnie sprawdza się w codziennych obowiązkach matki, żony, i tę drapieżną – wyuzdanej tygrysy, która chce gwałtownych uczuć i niebezpiecznych zabaw z brutalem. A im bardziej się oburza na takie dictum, tym bardziej to skrywa w sobie i częściej o tym śni. Bawiłam się więc w brutala, niegrzecznego chłopca, udawałam pirata, Jamesa Bonda. Gryzłam jej techtaczkę, lizałam nabrzmiałe, białawe, jak usta martwych ryb, niedopieczzone wargi, a ona wyla z rozkoszy.

Jej zapach czułam na swojej twarzy jeszcze następnego dnia, kiedy odwiedził mnie on. Zrelacjonowałam mu całe przedstawienie, a on śmiał się i domagał pikantnych szczegółów. Niektóre sceny kazał sobie powtarzać po kilka razy. Wpadł nawet na pomysł, by zamontować w moim salonie kamerę, bo chciałby nas podglądać. Wciąż pytał, czy go nie nabieram. – Alicja pozwoliła na takie bezceństwo? – dopytywał się, jednocześnie próbując mnie dotykać.

– Akurat w tej chwili chcę rozmawiać, nie pieprzyć się. Jesteś zbyt nachalny – powiedziałam i paliłam papierosa. Zbladł. Zwężyły mu się te jasne, diaboliczne oczy, zobaczyłam w nich przerażenie. Zapiął spodnie.

Wiedzieliśmy oboje: zaszłam go od tyłu i wbiłam mu nóż w plecy. Byłam przysłowiową zmiłą wyhodowaną na własnej piersi... Hagalaz zniszczyło Tiwaz. I nie było odwrotu – oboje to wiedzieliśmy, zabawa w magię tak może się skończyć.

– Jestem zmęczona, idź już – dodałam, gdy przysuwał się do mnie coraz bardziej uległy.

Znałam jego strategię przyciągania i odpychania, wabienia i karania. Wszystkiego sam mnie nauczył i teraz role się odwróciły. Od tej chwili to on mnie

prosił o seks, a ja ewentualnie się na to godziłam. Ale to była tylko udana pierwsza bitwa, na wygranie całej wojny musiałam jeszcze poczekać. Jak się okazało, niezbyt długo.

Kiedy znudziła mi się rola samca, odsunęłam cierpiącą i pełną wyrzutów sumienia Alę. Dalej manipulowałam jej mężem. I to on, osobiście, poinformował żonę, co tak naprawdę mnie z nim łączyło. Kiedy powiedziałam, że nie chcę się z nim spotykać, najpierw wpadł w szat. Nie mógł się pogodzić z odrzuceniem, zwłaszcza że na własnej głowie nosił podpisany przeze mnie cyrograf. Myślał, że skoro ja noszę jego znamię, na zawsze pozostanę jego własnością i to on zdecyduje o ewentualnym końcu. Jakże się mylił! Sam nie podejrzewał, co robi. Po prostu zwariował na moim punkcie. Dzwonił, wystawał pod moim domem, obsesyjnie pragnął kontaktu i powrotu starego porządku. I stało się. Przyłapała go, jak do mnie wydzwaniał z łazienki i szeptał, że kocha, tęskni, pragnie. Dalej szły perwersyjne bajeczki, które kiedyś tak na mnie działały. Ale kiedyś On nie zadzwoniłby z domu. Dawniej nie był miękki jak plastelina, nie dawał się wodzić za nos.

Smiałam się odkładając słuchawkę, wciąż nie mogąc uwierzyć we własny talent. Każdy z nas jest aktorem, odgrywa różne role na własnej scenie, w domowym teatrze. Niektórzy jednak nie zdają sobie z tego sprawy. Kiedy odłożyłam słuchawkę, rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzałam w wizjer: Alicja. Pędziła 200 kilometrów na godzinę swoim srebrnym Mercedesem. Kiedy ją wpuściłam, była piękna w swej rozpacz. Bez makijażu, pachnąca piżmem i ogarnięta wściekłością.

– Powiedz mi, czy to prawda?

– To kłamstwo – odpowiedziałam, bo przecież to chciała usłyszeć. Przyjęłam pokorny wyraz twarzy.

W tym momencie ponownie zadzwonił telefon. – Ona jedzie do ciebie – jego głos się łamał. – Słyszała naszą rozmowę. Wyprzyj się wszystkiego!

Był przerażony, słaby, mały. Już nie zasługiwał na swoje szlachetne imię.

– Dzwonił twój mąż – powiedziałam, odkładając słuchawkę. – To wszystko prawda.

Otworzyła usta, by zadać pytanie. Trzęsącymi się dłońmi wzięła papierosa i podpaliła filtr. Rozbawiło mnie jej zdenerwowanie, ale powstrzymałam się od wybuchu śmiechu. Podatam jej kolejnego, tym razem zapaliła z dobrej strony.

– Od jak dawna? – wyręczyłam ją w zapytaniu. – Od ponad dwóch lat.

Opowiedziałam jej tyle, co trzeba. Prawdę mówiąc tylko to, co było najmniej szokujące. Nie wiem, o kogo była bardziej zazdrosna – o mnie czy o niego. Kogo

bardziej nienawidziła? W każdym razie miesiąc później złożyła papiery o rozwód. Odebrała mu dom, psa, zarejestrowała własną firmę i zażądała udziałów w jego fabryce. Przyjął to z honorem i zgodził się na wszystko. Ale mnie nie był w stanie wyrzucić ze swojej głowy. Poddął się mojej władzy i z pokorą przyjął nowe warunki. Zarzucał mnie wyznaniem miłości, pytał, czy nie wzięlibyśmy teraz prawdziwego ślubu. Śmieszył mnie. Czulałam się prawdziwą femme fatale, jak z filmów Felliniego. Bez emocji odpowiadałam, że kompletnie mu odbiło i nie chce mi się z nim gadać. A zresztą mam już kogoś. Deptałam go jak robaka, już bez strachu, że się wścieknie, że będę sama.

Miesiąc temu, na jednym z turniejów tenisowych zaczął się do mnie przystawiać znany prezenter telewizyjny. Umówiłam się z nim i zaczęłam regularnie spotykać. Z mężem Alicji ani z nią nie sypiałam od miesiący. Jego nie wpuszczalam nawet do własnego mieszkania, które zresztą zapisał na mnie. Był pokorny. Nawet, gdy zobaczył moje zdjęcia z nowym narzeczonym w gazecie, nie zająknął się, żebym się wyprowadziła. Jeśli był bardzo uciążliwy i błagał mnie o spotkanie, a ja miałam dobry humor, umawiałam się z nim na mieście, ale nie pozwalałam nawet pocałować się w rękę. Nie wiem, jak to możliwe, że po takiej fascynacji, odkąd stał się miękki, zupełnie przestał na mnie działać. Gardziłam nim: choć zrujnowałam mu życie, wciąż płaci za mnie rachunki i zebrze o miłość. Wymierzałam mu karę za to, że nie uszanował moich uczuć w stosownym czasie, gdy go pragnęłam nad życie.

Przed gwiazdką dostałam szarą kopertę z zawiadomieniem, by zgłosić się do kancelarii notarialnej. Byłam pewna, że to desperacki ruch zbliżenia się. Haha! działał jak ładunek wybuchowy. Za jego pomocą niejadowity wąż pożarł zięjącego ogniem smoka – śmiałam się, z satysfakcją, zakładając najbardziej obcisły kostium, jaki miałam w szafie.

– Myślisz, że mnie kupisz? – wykrzywiłam pogardliwie usta i dmuchnęłam mu w twarz dymem z papierosa. Chwyciłam akt notarialny, sporządzony przed chwilą, w którym czynił mnie współdziałowcem własnej firmy zaopatrującej pół Polski, całą Ukrainę, kawalek Bułgarii i Litwy w sprzęt do wyposażenia sklepów, i podarłam go na strzępy.

– Nigdy nie będziesz mnie miał!

Majestatycznie zeszałam schodami na dół. Przed wejściem czekał samochód. Siedział w nim Mariusz Król, z którym uprawiałam zwyczajny seks i rozmawiałam o wymarzonych rolach, jakie zagram. Był we mnie zakochany. Wierzył, że jestem

urodzoną aktorką. Lubiłam go, bo był dobrym człowiekiem. Zaplanowaliśmy ślub na oczach milionów, który będzie transmitowała jedna z komercyjnych stacji, gdzie Mariusz pracował. Czulałam, że weszłam na pierwszy stopień schodów do upragnionego nieba. Nie znałam jeszcze ceny, jaką mi przyjdzie za to zapłacić.

Borys podstuchiwacz

„Najlepszym rozwiązaniem są zamknięte usta i otwarty umysł”

Nie znałam jeszcze ceny, jaką mi przyjdzie za to zapłacić – głos Niki wlewał się do uszu profilera przez maleńkie słuchawki discmana. Mała lampka nocna była włączona i rzucała trochę światła na przenośny odtwarzacz, choć dzień wstał na dobre kilka godzin temu. Ale w tym dziwnym hotelu bez okien można było stracić poczucie czasu.

W hotelu „Czarna woda”, gdzie mieszkał Hubert Meyer, nie było ani gongów, ani tym bardziej radiowęzła. Dlatego komisarz miał wrażenie, że będąc w tym pokoju zawiesza się w czasie i przestrzeni.

Patrzył na wibracje czerwonego punkcika, który wędrował ciemnym labiryntem po obudowie discmana, dopóki kręciła się płyta. Przechylił karton z sokiem z czarnej porzeczki i stwierdził zdumiony, że wszystko już zdążył wypić. Nie zostało ani kropli. I mimo iż nadal czuł pragnienie, nie wstał po wodę mineralną, którą postawił przy łóżku. Nie chciał wyłączyć nagrania. Słuchał z uwagą i próbował wyłowić przydatne informacje do sprawy. Ale jak na razie był tylko podstuchiwaczem życia aktorki. Kiedy trafiały się nudne i przydługie rozmowy o niczym, widelcem rozgniatał zasnęętą na talerzu marchewkę z groszkiem. W tę i z powrotem przesuwał kawałek kotleta, twardego jak stara podeszwa. Za nim ciągnął się oślizły ślad sosu. W głowie Huberta Meyera kłębiły się myśli. Chaos i znudzenie były tylko przykrywką jego zwartej umysłu. Natychmiast, gdy natrafił na wątek czyjejś śmierci, którą aktorka tak straszliwie przeżywała, zgasił papierosa i chwycił plik złotych karteczek. Cienkim flamastrem notował

słowa płynące z odbiornika. Wyszedł z tego niezły kawałek serialowego scenariusza.

Nika: – Myślałam, że odetnę się od przeszłości. Zacznę na nowo. I dopiero teraz widzę, że słono zapłacę za zabawę jego kosztem. Jestem rozbita. Nie umiem się pozbierać. Mam wyrzuty sumienia. Nie wiedziałam, że to może tak podziałać.

Jakub: – Nie zadrezczaj się! Nie ma w tym ani mojej, ani twojej winy. To był jego wybór.

Nika: – Pamiętam jego wzrok. Patrząc tak, obarczył mnie odpowiedzialnością za swoje nieudane życie i tak głupią śmierć. Kara za tę zbrodnię dosięgnie nas oboje.

Jakub: – Słuchaj, bo powtarzam ostatni raz. To było samobójstwo!

Nika: – Nie rozumiem, jak możesz dalej żyć, nie przejmując się, że z twojej winy zginął człowiek.

Jakub: – Z mojej? Czego ty chcesz? Mam się zabić? Będiesz wtedy szczęśliwa? Zastanów się, kobieto. A jeszcze lepiej: idź do psychiatry.

Nika: – Już byłam. U niejednego... To szarlatani. Oni nic nie rozumieją. Przez te leki jest mi jeszcze gorzej. Czasem ogarnia mnie rozpacz. A czasem szal. Mam ochotę niszczyć wszystko wokół siebie. Włącznie z sobą.

Jakub: – Słuchaj... Nie mam teraz czasu. Ty masz swoje życie, ja swoje. Każdy wie, co robi. Nie jesteś już dzieckiem! Weź się w garść.

Nika: – Nie masz serca... Czy ty nie rozumiesz, że jego śmierć kładzie się cieniem na moim...

W tym momencie kobieta zaczyna szlochać i w końcu rozmowa się urywa jak niedokończony film. Przerwa na reklamę? Nie, to nie serial. Jak bardzo jej życie przypominało przerysowany thriller, w którym jest pełno tajemnic, niewyjaśnionych wątków, zwrotów akcji. Ale tym razem suspensu nie ma. Jakub nie dzwoni ponownie, nie pociesza jej.

„Co się działo z nią w takich sytuacjach? Jak pokonywała ten żal?” – myślał Meyer wkładając do discmana kolejną płytę. Miał wrażenie, jakby Nina Frank sama odpowiadała na jego pytania. Słyszał szum nadchodzącego połączenia. Nika czeka przy aparacie. Nie minęło nawet piętnaście minut. Meyer niemal widział, jak trzęsą się jej ręce, obsychają łzy. To tylko przypuszczenia, obrazy wytworzone przez jego wyobraźnię. Jak starała

się opanować, dlatego dzwoniła do anonimowych mężczyzn i prosiła, by przyjechali. I nie mówiła, że potrzebuje wsparcia, bo nie szukała w ich ramionach i słowach ukojenia. Być może doskonale wiedziała, że jej smutek ich nie obchodzi. Interesują się nią z innych powodów. Chcieli radosnej, seksownej kobiety. Namiętej kochanki. W słuchawce rozległy się trzy dzwonki zajętości. Potem kolejna rozmowa, zakończona przez anonimowego mężczyznę szeptem: – Nie mogę rozmawiać. Oddzwonię. Nika dalej próbowała. Być może miała przed sobą notes i dzwoniła po kolei. Tak przypuszczał Hubert Meyer siedząc w swoim pokoju hotelowym. Zasugerowała jednemu z tych, który akurat odebrał telefon, że chce się kochać. Jej głos był zmieniony. Już nie wydawała się załamana. Kusila, wzdychała, śmiała się.

– Może lepiej nie. Trochę wypięłam, nie panuję nad sobą. Spotkamy się jutro. Zbyt wiele może się zdarzyć. A ty masz przecież obowiązki...

– Już wsiadam w auto – odpowiedział jej despotyczny baryton. Najwyraźniej ucieszył się z jej telefonu. I kiedy zaczęła się wymigiwać, była bliska zmiany zdania, zareagował bardzo szybko: – Nie mów mi teraz, że się rozmyśliłaś.

– To czekam. Bądź jak najszybciej. Pończochy mnie piją, nie mogę tak godzinami siedzieć w szpilkach. Prawie całkiem naga...

– Dla mnie będziesz demonem seksu nawet w rozdeptanych kapciach. Jesteś stworzona do tego, by cię rznąć.

– Ochhh – mruzczała Nika. – Wobec tego idę rozdeptać kapcie i zmyć makijaż.

– I tak zlizalbym go z twojej twarzy.

– Jesteś... – zamarła. Chciała coś dodać, ale po chwili zmieniła zdanie. Być może nie chciała go kończyć. – Zamiast jechać do mnie, świntuszysz – już się śmiała.

Meyer słuchał tych nagrań jak erotycznego słuchowiska radiowego. Rzeczywiście, jak przekonywał Król, oprócz dramatycznych wyrzutów i epitetów rzucanych jej przez przygodnych kochanków, nie było na kasetach nic interesującego. Nic, co mogłoby rzucić cień na sprawę jej zabójstwa. Większość to zwykle rozmowy z różnymi mężczyznami. Czy do Niny Frank nigdy nie dzwoniły kobiety? Nie miała przyjaciółek? Owszem kilkakrotnie na nagranych taśmach słuchał rozmów Frank

z jej charakteryzatorką, ale dotyczyły pracy. Nika wymuszała na niej, by ta przekazała reżyserowi, że przyjedzie dopiero po południu albo ma napięcie przedmiesiączkowe i nie ma siły wstać z łóżka. Wykorzystywała ją też do zdobywania plotek na temat różnych osób, między innymi szefowej zespołu scenarzystów, którą obie nazywały „ta suka”. Zarówno charakteryzatorka, jak i Nina Frank jej nie cierpiały. Aktorka Świętej nie znosiła, ale miała wobec niej respekt. Za to Królem pogardzała. Rozmowy z nim i o nim były podszyte żalem. Tak, ten człowiek miał prawo czuć się jak śmieć. Żona bez litości go upokarzała. Ich małżeństwo było fikcją. Do tego opowiadała obcym ludziom na jego temat straszne rzeczy. Że jest pierdołą, a zanim położy się do łóżka, dokładnie składa w kostkę swoje ubranie, nawet skarpetki. Śmiała się. Jednak ani razu nie powiedziała, że ją poddusza, czy jest brutalny. Wręcz przeciwnie. To ona go atakowała. Profiler zastanowił się nad tym i pomyślał o Ewie. Czy ona kłamała?

– Idź do niej, jeśli cię zechce. Współczuję jej – mówiła Nika do Króla.
– Jesteś do niczego. Kompletnie zero. Nawet nie drań...

– Zachowujesz się jak dziwka. Czy wiesz, co mówiłaś wczoraj po pijanemu?

– No co? Że ci nie staje przy mnie? Że się mnie boisz? I jeśli chcesz we mnie wejść, jestem sucha jak papier ścierny?

– Zamknij się!

– A szkoda. Żałuję, że tego nie powiedziałam. Poprawię się następnym razem.

– Krzyczałaś, że nikt nie wie, co w tobie siedzi. Tylko jeden człowiek cię rozumiał, ale go zabiłaś.

W tym momencie na płycie rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Meyer przesłuchał wszystkie szesnaście płyt, ale tylko na jednej rozmawiała o czyjejś śmierci. Ani razu nie padło imię tego człowieka, choć musiał być dla niej ważny. Bardzo przeżywała jego stratę.

Zadzwoił budzik. Meyer nie od razu go usłyszał. Wyłączył odtwarzacz, wyjął słuchawkę z ucha. Spojrzał na zegarek i zaczął się ubierać. Wciągnął wytarte džinsy, założył zamszowe buty. Powąchał koszulkę i odrzucił ją ze wstrętem. Śmierdziała potem. Szperał w walizce, w końcu poirytowany wyrzucił zawartość na łóżko, ale okazało się, że niemal wszystkie ubrania

są już brudne. Ze stery wyciągnął najmniej przepocony T-shirt. Wyłosał dwie skarpetki. Każda z innej pary, ale na szczęście obie czarne. Kiedy był gotów do wyjścia, włączył telewizor. Na ekranie pojawiła się twarz Niki z zatrzymanym na moment przeraźliwie smutnym uśmiechem. Za chwilę miała powiedzieć: – I co ty na to Jakubie?

„Jeśli chcesz poznać artystę, przyjrzyj się jego dziełu” – odpowiedział jej profiler. I dodał: – Żałuję, że spotkałem cię dopiero po śmierci, Niko.

Kiedy wsiadał do samochodu, na parking wyszedł niski mężczyzna w skórzanej kurtce. Ten sam, którego spotkał kilka dni temu przy recepcji. Meyerowi wydało się, że skinął mu głową na powitanie.

– Ma pan ogień? – spytał go profiler. Ale ten pokręcił głową przecząco.

Nie palę – schował się we wnętrzu białej, zardzewiałej furgonetki.

Meyer miał ochotę dowiedzieć się, dlaczego ten facet tak długo mieszka w tym dziwnym hotelu. Co tu robi? Nie wyglądał na opiekuna prostytutki ani kierowcę ciężarówki. Ale błyskawicznie myśli o nim wyleciały mu z głowy, bo zadzwoniła jego żona. Aż odsunął od ucha komórkę i sciszył głos, tak się darła.

– Będziesz na rozprawie? Mam nadzieję już zakończyć tę farsę – lodowatym głosem mówiła Anka. Skrzywił się, poczuł, że zabolalo go w piersi.

– Jaki to dzień? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Był przerażająco spokojny.

– Poniedziałek, najpiękniejszy dzień mojego życia.

– Nie wiem, zobaczę.

– Twoja przyjaciółka się wycofała. Co jej nagadałeś? – znów piszczała do słuchawki. Sciszył jeszcze o kilka kresków.

– Nie drzyj się. Mam dość stresów i bez twoich wrzasków.

– Będę krzyczeć, bo tak mi się podoba!

– Jaka przyjaciółka?

– Mariola. Dowiedziałam się, że z nią też spałeś! Co za towarzystwo!

– Masz dowody?

– Nie potrzebuję. Wystarczy mi twoja skrzynka mailowa...

– Jak mogłaś!

– Nie dostaniesz z tego domu ani jednej rzeczy. Twoje ubrania już oddałam do PCK.

– Jesteś podła. Włamać się do mojej skrzynki... Nie spodziewałem się po tobie tak prymitywnego zachowania.

– A ty co? Jesteś święty, tak?

– Odpieprz się.

– To ty się odpieprz, skurwielu.

– Jak się wyrażasz!

– Od ciebie się uczę. Spałeś z połową komendy. Wyobrażam sobie, jak twoi koledzy się ze mnie śmieją.

– Tak, tylko to cię interesuje. Opinia innych.

– A ty... ty... – Anka nie znajdowała słów. – Nie licz, że zobaczysz dzieci...

– Nie muszę wcale dawać ci rozwodu.

– ... ani pieniędzy z naszego konta – dodała z satysfakcją.

– Co? Potrzebny jest mój podpis.

– Czyżby? – zabrzmiała szyderczo i rozłączyła się.

Wsiadł do auta i zadzwonił na infolinię banku. Czekał kilka minut, słuchając Preludium E-mol Chopina, zwanego „deszczowym”, aż w końcu odezwała się kobieta. Przedstawiła się szybko i zapytała: – W czym mogę pomóc?

Mówiła tak niewyraźnie, jakby miała w ustach pełno klusek. Meyer z trudem ją rozumiał.

– Chciałbym poznać obecny stan konta.

– Imię i nazwisko.

– Hubert Meyer.

– Data i miejsce urodzenia.

– 10 listopada 1960, Zabrze.

– Hasło.

– Marchwicki.

– Stan konta – powtórzyła kobieta. Hubert Meyer słyszał, jak uderza w klawiaturę. Gdy podała sumę, poczuł silne ukłucie w sercu.

– Może pani powtórzyć?

– Minus cztery tysiące dwieście trzydzieści siedem złotych.

Hubert Meyer przełknął ślinę.

– Możemy prześledzić ostatnie transakcje?

– Tak, oczywiście – kobieta czytała realizowane przelewy i transakcje.

Żona Meyera pobierała początkowo pieniądze z bankomatów – po tysiąc

złotych. Z czasem rozochociła się: po dwa tysiące. Ostatnia kwota została wypłacona na podstawie przedstawionego czeku: dziesięć tysięcy złotych. Anna Meyer wykorzystwała w 50 procentach linię debetową. W sumie wyjęła dwadzieścia cztery tysiące złotych – ich wszystkie oszczędności plus debet.

– Dziękuję.

– Miłego dnia, do widzenia.

– Będzie bardzo miły – mruknął do siebie. – Mogłem się tego spodziewać. Jestem skończonym frajerem! – zdenerwował się i przekreślił kluczyk w stacyjce. Wyjeżdżając na szosę z parkingu omal nie wjechał pod pędzącego TIR-a, bo ze zdenerwowania nie spojrział w boczne lustro. – Spokojnie, spokojnie – próbował się jakoś opanować. Ale wciąż widział przed oczami tylko walizkę swojego dobytku i trochę sprzętu elektronicznego, które zabrał ze sobą. To wszystko, co mu zostało. Cały dorobek życia zabrała Anka. Był pewien, że spełni obietnicę i nie wpuści go do mieszkania. Nie odda mu dobrowolnie nawet łyżeczki do herbaty. Co on może zrobić? Nie będzie się przecież z nią bić. Działał teraz pod wpływem emocji, ale doskonale wiedział, co robi. – Nie mam innego wyjścia – powtarzał do siebie.

Kiedy znalazł się przy jedynym w okolicy bankomacie, wypłacił tysiąc złotych, w setkach. Potem maszyna odmówiła współpracy. Skontaktuj się z właścicielem karty – informowała uparcie. Wszedł do banku i czarującym głosem poprosił kierowniczkę. Wyszła wąsata baba w białym koronkowym kołnierzyku nakładanym na sweter z dzianiny. Z daleka śmierdziała potem. Zmusił się do uśmiechania oraz władczego tonu. Pomagał mu wizerunek: płaszcz, teczka. Szkoda, że akurat dziś nie założył garnituru.

– Chciałbym zrealizować czek. To pilne.

Na blankiecie złożył dwa podpisy: swój i Anki. Wpisał kwotę: – cztery i pół tysiąca złotych.

Dokładnie tyle jeszcze mogła udźwignąć ich linia kredytowa, którą dostali dzięki jego stałym dochodom. Siedział z godzinę, czekając na potwierdzenie wzoru podpisu, patrzył na beznadziejnie ubrane pracownice banku. W końcu wypłacono mu gotówkę. Zwinął pieniądze i związał je gumką, którą znalazł w kieszeni.

– Chcesz walki? Dobrze. Dopiero teraz mnie zdenerwowałaś! Oko za oko. Będziesz płaciła nasze długi – powiedział wychodząc z budynku. Nie myślał

już o tym, co się stanie, gdy na jaw wyjdzie, że policjant podrobił podpis i zdefraudował pieniądze. Musi przecież z czegoś żyć. Za trzy dni wraca do Katowic. Zajmie się swoimi sprawami. Anką, rozwodem i sobą.

Przez całą drogę do białostockiego aresztu słuchał Rolling Stonesów. Gwizdał i palił. Nabuzowany złością wbiegł po schodach do pokoju Łysego.

– Witam pana psychologa! Może się pan szykować do domu – Łysy aż rozplywał się w uśmiechach. Hubert Meyer pierwszy raz w życiu widział łazącą się łasicę w ludzkiej skórze.

– Wiem, wiem. Macie kolejny strzał w dziesiątkę, który nie chce się przyznać – zakpił.

– Cóż, przyznanie się do winy to w tym przypadku kwestia czasu...

– Tak samo mówił pan poprzednio. Z tego, co wiem, czas nie płynie na waszą korzyść. Chyba działa pan po omacku, panie... Czupryna – dodał Meyer i spojrzął na łysą czaszkę gliniarza. Ten oczywiście dostrzegł szyderstwo i wzburzony odpowiedział:

– A cóż pan nowego znalazł, hę? O ile wiem, jeszcze pan narobił kłopotów i wszczęto przeciwko panu postępowanie dyscyplinarne.

– To się jeszcze okaże, czy słusznie – odpowiedział Meyer i ostentacyjnie zapalił papierosa.

Łysy nie wytrzymał: – W tym gabinecie się nie pali!

– Jak się miewa nasz podejrzany? – Meyer jakby nie słyszał. Spokojnie podszedł do drzwi, otworzył je i stanął w progu. Rękę z dymiącym papierosem wystawił na zewnątrz.

– Oczywiście. Nie wiedziałem. Teraz palę w palarni.

Łysy rzucił na profilera wściekłe spojrzenie i tak zacisnął zęby, że aż przegryzł wykalaczkę. – Proszę się wynosić. Nie mam czasu na teatr. Ani na rozgrywki z panem.

– Tak? Nawet jeśli wiem, jak przycisnąć podejrzanego, by przyznał się do winy?

Łysy zacisnął pięści.

– Gratuluję. Nie potrzeba nam magii i wróżenia z fusów. A tym bardziej pańskich porad. Sami dobrze wiemy, jak pracować.

Meyer zgasił papierosa w popielniczce na korytarzu i zamknął drzwi. Oparł się o blat biurka i niemal zetknął się twarzą z Łysym. Zdawał so-

bie sprawę, że tamten czuje jego oddech i robi mu się słabo. Być może ma ochotę nawet zapalić. Albo brzydzi się nim. Nieważne. Meyer chciał złamać Łysego i czuł, że ten coraz bardziej mięknie.

– Doskonale znam podejrzanego. I wiem też, że pańskiemu szefowi bardzo zależy na jego wyjaśnieniach. Mogę pomóc. Więc raz jeszcze zapytuję: Jak się miewa nasz podejrzany?

Łysy odjechał z krzesłem na kółkach pod ścianę i udał, że szuka czegoś w segregatorze. Wydymał przy tym wąskie wargi.

– Ma się świetnie. Brak alibi, mikroślady, odciski. I widziano jego auto pod posesją aktorki.

– A ktoś je widział?

– Sąsiadka.

– Z jakiej odległości?

– Z naprzeciwka.

– Widziała auto. Ale nie jego! I zapewniam, że nawet ja nie zobaczyłbym z kilometra osoby wchodzącej do mieszkania aktorki, a tym bardziej staruszka w wieku 84 lat, bo o Gabrieli Józwiakowej pan mówi.

– Zobaczymy, zobaczymy...

– Słaby dowód. Adwokat pana wyśmieje. A biegli obalą zeznania ślepej jak kura sąsiadki. Możemy się założyć.

– Mamy też kolczyk Niny Frank, który morderca wyrwał z pępka. Znalezione podczas przeszukania u podejrzanego. Ha! I co pan na to?

– Może to nie jej. Kobiety mają mnóstwo biżuterii... A często jest ona podobna.

– Należał do Frank. Jest widoczny na kilku jej starych fotografiach. Specyficzny: szafirowy, szlifowany w Wiedniu. Mamy też ekspertyzę wykonawcy – Łysy pokiwał głową i wykrzywił usta w grymas, który miał być zapewne uśmiechem.

– Skąd wiadomo, że miała go na sobie w dzień zabójstwa?

– Mąż potwierdził...

Meyer roześmiał się gromko.

– Przecież on jest podejrzany – powiedział. – Ale jeśli pan jest zadowolony z przebiegu śledztwa, to moje gratulacje – dodał profiler. – A nowy podejrzany wyjaśnił coś na tę okoliczność?

Łysy zamyślił się.

– Odmawia składania wyjaśnień. I nie przyznaje się, oczywiście.

– Czekaj na adwokata?

– Nie, ma już adwokata z urzędu. Stary pijak. Zresztą podejrzany z nim też nie chce gadać.

– Aha. Czyli niezły klops. W grę wchodzi tylko proces poszlakowy... A prokurator nęka pana dwa razy dziennie: rano i po południu pytaniem, czy już się przyznał? – uśmiechnął się Meyer.

– Nie jest najgorzej – bronił się Łysy.

– Panie Czupryna, zarówno ja, jak i pan, wiemy, że po dwóch falstartach nie możemy znów dać się ugotować... Najpierw pewniak listonosz, potem mąż, a teraz ten ochroniarz.

– W razie czego męża też zatrzymaliśmy.

Meyer znów wybuchnął śmiechem.

– Jest pan naprawdę zabawny. I co pan teraz wybierze w teleturnieju: pół na pół czy telefon do przyjaciela? A może będziemy ciągnąć zapalki i losowo wskażemy, kto zabił.

Łysy podrapał się po głowie. – Dobra, co pan ma na tego ochroniarza.

– Wiedzę psychologa – zmrużył szelmowsko oczy profiler. – Chciałbym powrócić sobie z nim z fusów. Ale musi mi pan dać zgodę.

– Ma ją pan – poddał się Łysy i wydał telefoniczne polecenie, by zaprowadzili komisarza Meyera do aresztu.

Kiedy profiler wychodził, policjant podał mu wizytówkę. Był już uległy i zrezygnowany. Widać Meyer trafił w słabe punkty śledztwa, które Łysy sam dostrzegął, ale nie chciał się do tego przyznać.

– Chętnie pogadam z panem po południu. Muszę jechać do sądu, na przesłuchanie. Jak pan wyjdzie, mnie nie będzie, więc...

– Jasne. Do usłyszenia. Dzięki.

– Niech pan nie dziękuje. To mój obowiązek.

– Przecież wiem, że gdyby to od pana zależało, posłałby mnie pan do stu diabłów. Mam szczęście, że takie akurat ma pan obowiązki...

Hubert Meyer przepelniony wolą walki i nową energią, z uśmiechem na ustach, ruszył po schodach.

Dwumetrowy funkcjonariusz służby więziennej prowadził go długim korytarzem. Po jego obu stronach znajdowały się cele. Światło wpadające

do wnętrza aresztu przez zakratowane okna tworzyło mozaikę na podłodze. Klucze przytroczone do paska klawisza brzęczały rytmicznie, a ten dźwięk jakby przyciągał umieszczonych w celach ludzi. Zza krat ciekawsko wystawały pokrzywione twarze alimenciarzy i złodziei. Niektóre zakratowane drzwi były otwarte, a więźniowie z części półotwartej spacerowali po korytarzach. W oddali słychać było odgłosy odbijania piłeczki. Kiedy profiler minął salę ze stołem do pingponga i telewizorem, w który wlepiło wzrok kilku ubranych w tandetne dresy mężczyzn, poczuł się jak w domu. Odlechnął pełną piersią. – Kapusta, ziemniaki i soczewica – stwierdził.

A wszystko rozgotowane do konsystencji papki. Obrzydliwość.

Ale ten zapach więziennego obiadu zmieszanego z męskim potem znajomo drażnił jego nos. Wiele lat pracował z więźniami i znał tutejsze obyczaje. Czuł doskonale klimat aresztu.

Klawisz otworzył małe okienko w metalowych drzwiach jednej z cel i krzyknął:

– Daniluk, wstawać. Przesłuchanie.

Po czym włożył klucz od zamka.

Kiedy drzwi się otworzyły, Borys bez słowa podniósł się z pryczy. Na sobie miał granatowy dres adidasa i klapki. Koszulka opinała jego muskularne ciało.

„Typowy ABS (absolutny brak szyi). Jak ten chłopak się tutaj świetnie komponuje” – zauważył w myślach Meyer.

Na widok profilerka 25-letni mężczyzna lekko drgnął. Ale spokojnie wstał z pryczy. Posłusznie wystawił ręce do założenia kajdanek.

Usiedli w małym pokoju. Strażnik za szybą nie spuszczał z nich oczu. Meyer położył przed Borysem paczkę papierosów i zapalniczkę. Chłopak zapalił jednego i patrzył w milczeniu w okno.

– No i jak się podoba nowe lokum? – zapytał profiler, bacznie obserwując Borysa.

– Lokum jak lokum. W porzo. Żarcie za darmo, telewizja. Spać można, ile się chce – burknął Borys nie odwracając głowy.

– W dwunastoosobowej celi nie będzie już tak przyjemnie.

– No – chłopak podlubał w zębie i głośno, przeciągle beknął.

– Wpadłeś w niezłe kłopoty – Meyer płynnie przeszedł na „ty”.

– No.

– Matka się pewnie zdenerwowała.

– No – powtórzył Borys, ale spuścił głowę.

– To jak to było?

– Nie gadam z psami – mężczyzna udawał spokojnego, ale aż poczerwieniał ze zdenerwowania. Tylko blizna na szyi po nożu pozostała biała.

– Nic dziwnego – Meyer przerzucił akta chłopaka. – Udział w bójce pod parasolkami, pobicie policjanta i ofiara nożownika w warszawskim barze „Pod Kaczką”. Siedem postępowań. Trzy razy pobrane odciski. To po nich cię zidentyfikowano. Zawsze sprawa kończyła się niewykryciem sprawcy, a jak ty byłeś ofiarą i cudem uszedłeś z życiem, nie podałeś nazwiska napastnika. Mówiłeś, że go nie znasz...

– No...

Meyer wpatrywał się w oczy Daniluka.

– I co z tego? – nie wytrzymał Borys.

– Gdybyś współpracował, może udałoby się tego sprawcę złapać.

– E tam.

– Byłeś ostatni, który widział aktorkę żywą.

– Ja tam nic nie wiem.

– Ale ja wiem. Tak było. Czym ją uderzyłeś?

– Nie uderzyłem.

– Deską?

– Nie uderzyłem.

– A skąd wzięłeś kabel? Przyniosłeś ze sobą?

Borys zgasił papierosa i spojrzał na profilera:

– Myślisz, że mnie złamiesz, cioto?

– Tak. Bo ja wiem o tobie więcej niż ty sam o sobie. I podejrzewam, że jej nie zabiłeś.

Chłopak wpatrywał się w niego tępo, jakby to, co przed chwilą usłyszał, nie zrobiło na nim wrażenia.

– Ale jak nie będziesz ze mną gadał, to dostaniesz dożywocie – ciągnął Meyer. – I telewizja będzie za darmo do końca twojego zasranego życia.

– Odwal się.

– Byłeś w nocy, kiedy ja tam byłem. Przyszedłeś po pluskwę.

Borys podniósł głowę. Teraz spojrzenie miał spłoszone.

– To będzie między nami – dodał Meyer.

– Nie ufam psom.

– Nie musisz ufać. Mamy interes do ubicia.

– Ja nie mam z tobą żadnego interesu – odpalił Borys i chwycił kolejnego papierosa.

– Ale moje fajki ci smakują?

Chłopak gwałtownie odłożył zapalniczkę. Papieros potoczył się po stole i upadł pod ścianę. Psycholog wstał, podniósł go i zapalił. Patrzył teraz wyzywająco na chłopaka.

– Byłem tam i co? Nie zrobiłem tego! Nie mam z tą sprawą nic wspólnego.

– Teraz kłamiesz. Ustalmy coś. Ty mówisz mi prawdę, a ja cię wyciągnę.

– Nic mi już nie pomoże.

– Owszem, jeśli my – psy – złapiemy prawdziwego sprawcę, ty wyjdziesz.

– Skąd wiesz, że to nie ja.

– Nie mam pewności.

Chłopak prychnął. – Ja tam nie ufam glinom. Jedna sitwa. Chodzi wam o to samo, tylko że formalnie – ciągnął spiskową teorię. Brzmiało jak wykład neonazistów.

– Skąd miałeś kolczyk? – przerwał mu Meyer.

– Znalazłem.

– Gdzie?

– W jej domu.

– Kiedy?

– Jak zakładałem podsłuch – Borys roześmiał się szyderczo.

– Więc jednak...

– Żartowałem.

– Wiesz, co mnie interesuje? Jak wtedy wszedłeś i nie zostawiłeś śladów śniegu?

– Ty byłeś tam nielegalnie.

– Ty też. Jedziemy na jednym wózku. Lepiej mi zaufaj.

– Co będę z tego miał?

– Wolność?

– Ha, ha, ha – Borys zaniósł się śmiechem.

– Nienawidziłeś jej. Za to, że reprezentowała świat, do którego nigdy nie będziesz należał. Ucieleśniała twoje marzenia, które pogrzebałeś, rzucając szkołę. Nigdy nie znalazłbyś takiej kobiety. Normalne dziewczyny nie zwracały na ciebie uwagi. A jednocześnie cię fascynowała. Miała kasę, robiła, co chciała, była sławna. Dlatego ją podsłuchiwałeś. Z frustracji. I dlatego ją zabiłeś. Miałeś ją za kurwę, bo choć tyle razy byłeś w jej domu, nie zapamiętała nawet twojej twarzy. To cię wściekało. Upokarzała cię, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Nieprawda!

– Co nieprawda?

– Nic.

– Marzyłeś o niej, wiedziałeś o niej więcej niż inni. Twoja matka ułatwiała ci dostęp do informacji. Kochała ją, marzyła o córce. Byłeś zazdrosny o Ninę Frank. Czuliłeś się przy niej gorszy. I sprawiała jednocześnie, że nie mogłeś przestać o niej myśleć.

Na parapecie za zakratowanym oknem zagruchał gołąb. Obaj przechylili głowy w tamtą stronę. Ptak dziobem dłubał sobie w piórach.

– Ona była dla mnie nikim – powiedział Borys po chwili milczenia.
– I nie podsłuchiwałem jej z powodu frustracji, ale z nudów.

– Gardziłeś nią. Nie mogłeś znieść myśli, że nie możesz jej posiadać.

– Kurwa, posiadać... Żalotne. Gdybym chciał, przeleciałbym ją, kutasie.

– Opowiedz o tym.

– Pieprz się.

– To dlaczego ją podsłuchiwałeś?

– Mówiłem, że z nudów. W tej dziurze nic się nie dzieje. Gdybym mógł to wszystko sprzedać, wyjechałbym do Warszawy. Ale matka...

– Do Warszawy. Pociąga cię wielki świat, proszę, proszę – szydził profiler.

W tym momencie rozległo się pukanie. Wszedł klawisz.

– Zejdę na chwilę na dół. Da pan sobie radę? Za pięć minut jestem z powrotem.

Meyer kiwnął głową. – W porządku.

– Nie boisz się, że cię zaatakuję? – spytał Borys, kiedy zostali sami.

Psycholog pokręcił głową.

– A zaatakujesz?

Zaciągnął się papierosem i skupił wzrok na Borysie. Chłopak patrzył mu prosto w oczy. Hubert Meyer wiedział, że jeszcze się buntuje, ale już chce współpracować. Wie, że trafiła mu się niezła szansa na wydostanie się stąd. I skorzysta z niej, choć wolał być twardzielem. Ale nie jest. W głębi duszy nie jest taki zły. Wykorzystamy to.

– Pogadajmy – powiedział do chłopaka. – Zależy mi na tym, co usłyszałeś na taśmach.

– Nic tam nie było. Zwykle babskie płacze i pieprzenie o depresji. Trochę o seksie. Tęgo słuchałem.

– Czy mówiła o kimś, kto przez nią zginął?

– Nie. Słuchałem na wrywki, jak CB-radia. Nie zapamiętywałem nazwisk. Nie pamiętam za bardzo niczego, co mogło być ważne.

– Spróbuj sobie przypomnieć.

– Nie umiem. To było z nudów, zupełnie bez celu. Dlatego, gdy zginęła, poszedłem i wyjąłem urządzenie. Nie wiedziałem, że ktoś może tam być.

– Wiem, omal cię nie zastrzeliłem.

– No. Widziałem, jak wybiegłeś w gaciach.

– Jaka ona była?

– Suka. Manipulatorka. Wredna suka.

– Aha.

– Spała z różnymi. Czasem jeździłem rozdzielać ją i tego jej męża. Dla mnie była miła, ale...

– Co ale...

– Ale ja jej nie ufałem.

– Podobała ci się.

– Niezła laska.

– Masz dziewczynę?

– Nie.

– A z kim sypiasz?

– Co cię to obchodzi?

– Chcę ci pomóc.

– Tak jak wszyscy. Cieszą się, że mnie mają.

– Kim jest twoja dziewczyna?

– Nie twoja sprawa.

– Byłeś u niej wtedy, czy w domu Niki Frank?

– U niej.

– Dlaczego nie dała ci alibi?

– Ona... Nie mogła...

– Dlaczego?

– Nie wie, że tu siedzę. Ja jej tak naprawdę nie znam. Nie mam jej numeru. Ona do mnie dzwoni, kiedy może. Nie wiem, co robi, ani ona nie wie, co ja robię. Taki układ. Bez zobowiązań.

– Ale wcześniej byłeś u Niny Frank?

– Tak.

– Piliście wódkę?

– Tak, ja wódkę, a ona wino. Rozmawialiśmy.

– O której przyjechałeś?

– Gdzieś około szóstej zobaczyłem światło. Wszedłem i zobaczyłem, jak leży na podłodze w bibliotece. Była nieprzytomna, ale jeszcze kontaktowała. Wzięła mnóstwo prochów. Pomogłem jej dowlec się do łazienki i sprowokowałem wymioty. Wyglądała koszmarnie. Była chyba pobita. Chciałem wyjść i zostawić ją, ale było mi jej szkoda. Trochę na nią nakrzyczałem. Gdybym chciał ją zabić, przecież nie parkowałbym służbowego auta przed posesją... Potem położyłem ją spać, ale ona...

– No?

– Wtuliła się we mnie i płakała. Potem nagle zaczęła się śmiać. Śmierdziała alkoholem i wymiocinami.

– Odbyliście stosunek?

– Nie. Chciałem wyjść. A ona mnie prowokowała. Wtedy powiedziałem, co myślę o niej, o jej życiu. Znów się rozbeczała. Nienawidzę, jak baby ryczą. Co wtedy robić?

– Też tego nie znoszę – powiedział Meyer.

Borys spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Słuchałem przecież wiele razy, jak kręci tymi przydupasami. Jak chce się z nimi pieprzyć. I wygarnąłem jej, że to zwykle kurestwo. Patrzyła na mnie i kiedy myślałem, że mnie wyrzuci, nagle się zmieniła. Nigdy nie widziałem tak opanowanej osoby. Zaczęła mówić. Zgodziła się ze mną, że ten

jej zawód to lipa. Nie jest żadną gwiazdą. A branża to kupa karierowiczów. Okazała się inną osobą. Powiedziała mi strasznie dużo o sobie. Ona była stąd, wie pan? I potem już, jak tak sobie piliśmy, ja wódkę, a ona wino, czułem się jak z normalną dziewczyną. Była taka jak ja. Powiedziałem, że moja matka ją uwielbia. Wzruszyła się i zaczęły jej lecieć łzy.

Kiedy wrócił klawisz-Goliat i usiadł w pomieszczeniu obok, za szybą, Meyer jeszcze przez godzinę rozmawiał z Borysem. Na koniec wyjął karton papierosów i podał chłopakowi.

– A wie pan dlaczego nie zostawiłem śladów?

Hubert Meyer spojrział w jasnozielone oczy chłopaka i uświadomił sobie, jak bardzo jest podobny do swojej matki.

– Zdjąłem buty i schowałem je pod kurtkę. Strasznie ciężko prowadzi się w samych skarpetkach.

Wszyscy mają kłopoty

„Akceptuj ból i rozczarowanie. To część twojego życia”

Pprzed wejściem do biblioteki gminnej zebrał się spory tłum. Mężczyźni w gumofilcach i kufajkach, trzymając w kącikach ust wymiętoszone fajranty, zerkali gniewnie na zabarykadowane drzwi ośrodka kultury. Ich zaniedbane żony, mimo przejmującego zimna z dziećmi na rękach, krzyczały jedna przez drugą. Przypominały gdakające kury domagające się świeżego ziarna, bo przyszedł czas karmienia, a gospodyni smacznie śpi. Co jakiś czas któraś podchodziła do zamkniętych drzwi, pociągała za klamkę i wracała do grupy. Razem czuły się bezpiecznie. I były znacznie bardziej agresywne niż w pojedynkę. Kiedy Kowalczevska, przewodniczka wiejskiego zgromadzenia – gruba kobiecina we włochatym berecie i wściekle fioletowym płaszczu do kolan – rzucała jakieś niewyszukane przekleństwo, harmider się wzmagał.

– Józek, a skocz po jeszcze jeden koszyk jajek. Stoi w sieni! Toż nasze dzieci tutaj przychodziły! – Kowalczevska szarpnęła jednego z mężczyzn.

– Chodź do domu, kobieto. Nie będziemy tutaj stać do nocy – warknął mężczyzna i machnął na nią ręką, jakby odganiał natrętną muchę. Zrobił krok w kierunku szosy. Zamierzał wycofać się ze zbiegowiska.

Kobieta podniosła lament. – A gdyby to mnie zaatakował ten psychopata? Syn tej, tej.. – nie znajdowała słów. – Też byś udawał, że nic się nie stało?

Mężczyzna zrobił tępą minę. Widać zastanawiał się, czy rzeczywiście byłoby mu jej szkoda. W końcu musiał uznać, że tak, bo westchnął cięż-

ko, zawrócił i stanął w dotychczas zajmowanym miejscu. Wyjął z paczki następnego fajranta.

– Chodź do domu, Mania. Głodny jestem – jęknął bez przekonania, nie wyjmując papierosa z ust.

Nie znalazł kobiety zamkniętej w bibliotece. Zaledwie kilka dni temu wrócił z Belgii, gdzie przez rok remontował cudze mieszkania. Dowiedział się, że we wsi miało miejsce przerażające morderstwo. Nie pałał nienawiścią do bibliotekarki. Było mu wszystko jedno, kim jest. Przyszedł tu, bo wszyscy sąsiedzi byli. I jego żona, która podburzała mieszkańców przeciwko Danilukowej. A poza tym mógł się bezkarnie napić piwa z kolegami. Puszka z Voltem wędrowała z ust do ust. Kiedy dotarła do Józka Kowalczewskiego, była już pusta. Przewrócił ją denkiem do góry i zobaczył, jak wyciekają ostatnie krople chmielowej piany. Rozległ się odgłos otwierania następnej puszki i Józek w nagrodę wziął porządny łyk. Gorzkawy, zimny napój ukoił drapanie w gardle. Głośno beknął i rozdziawił usta, wydając odgłos całkowitego zadowolenia. – Aaa... Tak, o czym to mówiliśmy? Chodź do domu, Mania – znów spróbował namawiać żonę.

– Nigdzie nie idę! Będę tu stała, aż ta wiedźma wyjdzie!

– Tak – krzyknęły chórem inne kobiety. – Wiedźma, strzyga, czarownica. Wykurzymy ją z tej nory! Wyłaż, wiedźmo! Bładź chudawa! Gadzina! Zło sprowadziłaś na naszą wieś... Wynocha!

Darły się tak kilka minut. W tym czasie Józek obserwował niebo. Było niczym szarobiała płachta, przez którą nie mógł się przebić ani jeden promyk słońca. Wiał nieprzyjemny wiatr. Pogoda nie nastrajała optymistycznie. „Znów będzie padać” – pomyślał Kowalczewski. Ludzie stali tak przez kilka minut. Mężczyźni znudzeni wpatrywali się w okna domu kultury. Kobiety zaczęły szeptać, że zaraz zaczyna się serial. Wydawało się, że nic więcej się tu już nie wydarzy, a za chwilę wszyscy rozejdą się do domów. Wtedy Kowalczewska sięgnęła do białego wiaderka po farbę emulsyjnej. Zamachnęła się i w kierunku wejścia do biblioteki poleciało pierwsze kurze jajo. Za jej przykładem poszły inne baby. Sięgały do wiaderka i z zapamiętaniem, na oślep ciskały jaja niczym kamienie. Jajeczny grad oblepił wejście do budynku. Oślizgłe białka, intensywne żółtka i fragmenty skorupki błyskawicznie zasychały tworząc na szybach

nieprzeźroczystą magmę. Wtedy w oknie poruszyła się zasłona. Zadziałała na zgromadzone towarzystwo jak czerwona płachta na byka.

– Wylaź, więdźmo, policzymy się z tobą! – kobiety rzuciły się do drzwi, ale te wciąż były zabarykadowane.

– Ja ci pokażę! Ty nie będziesz u mnie chleba kupować, babo przekłeta! Z głodu zdechniesz albo się wyniesiesz! – waliła pięścią w szybę sklepową z dawnego GS-u.

– Tfu, na urok! Przeklinam cię! – dodała matka dwóch braci Lendzionów, ledwie trzymających się na nogach od domowego napitku alkoholowego, który właśnie wykończyli, a butelkę ukryli pod płotem. Oni sami też nie brali aktywnego udziału w wykurzaniu bibliotekarki. W męskim gronie omawiali właśnie ważną kwestię zanizonych zasiłków dla bezrobotnych. Liczyli, że kiedy Lepper zostanie prezydentem, wszystko się odmieni. Wieś znów będzie krainą mlekiem i miodem płynącą.

– Co się tutaj dzieje? – krzyknął do zgromadzenia Eugeniusz Kula, wychylając się z radiowozu policyjnego, który niepostrzeżenie podjechał pod budynek.

Hałas rozjuszonych kobiet dotarł aż do stojącego nieopodal posterunku.

Kiedy otwierał okno, by wywietrzyć gabinet z dymu papierosowego, usłyszał krzyki. Natychmiast kazał Trembowieckiemu odpalać radiowóz. Chwilę później zobaczyli ten właśnie widok. Drzwi biblioteki, okna i ściana były oblepione żółtkami. Na widok policji ludzie z nosami i dłońmi czerwonymi od mrozu zamikli. Przez chwilę było cicho jak makiem zasiał.

– Trembowiecki, zatrzymujemy całe towarzystwo! – rzucił podkomisarz Kula i błyskawicznie wyskoczył z auta.

– Ale panie kierowniku, wszyscy się nie zmieszczą do aresztu... – próbował tłumaczyć posterunkowy.

– Nieważne, zapisać nazwiska! Zakuć w kajdanki – straszyl Kula. Nie zamierzał nikogo aresztować, ale jedynie uspokoić rozjuzszone babska. Na wsi tylko rządy silnej ręki skutkują. Strach, prawo silniejszego. Kodeks dżungli. „Gdyby tu był Czerwieński, od razu interwencja przebiegłaby sprawniej” – utyskiwał w myślach Kula.

Rzeczywiście, zanim Trembowiecki zdążył wysiąść z wozu, wszyscy rozbiegli się już na boki.

– Proszę! Aresztujcie mnie i moje trzyletnie dziecko – jazgotała Konachowiczowa, chuda trzydziestolatka brzydka jak nieszczęście. Ubrana w zbyt obszerną męską kurtkę bardziej przypominała transwestytę niż kobietę, która urodziła siódmkę dzieci. Prowokacyjnie wyciągnęła rękę do założenia lśniących kajdanek. – Zabierzcie mnie do więzienia, a moje dzieci do przytułku. Proszę bardzo – spojrzała na resztę bab, które potakiwały głowami.

– Co to za sprawiedliwość! – podjudzała ją Kowalczevska. – Mordercy nie mogą ukarać, a niewinnych ludzi będą gnębić. Takiej policji nie chcemy we wsi! Inne kobiety ośmielone zachowaniem Konachowiczowej, która odważyła się wystawić do walki nawet własne dziecko, także ruszyły szpalerem na Trembowieckiego.

– Sami wymierzimy sprawiedliwość! – krzyknęła Kowalczevska i poprawiła włochaty beret niczym rycerz przyłbicę. Była gotowa do boju na śmierć i życie. Kula przyjrzał się jej i dostrzegł ze zdziwieniem, że pod beretem miała czarną chustkę zawiązaną pod brodą. Zauważył też, że kobieta nosi spódnicę, a pod spodem ma jeszcze spodnie. Przygotowała się do tego, że spędzi na mrozie co najmniej kilka godzin.

– Panie Gieniu, tak nie może być. Pan wie, że ja muchy nie skrzywdzę, ale to już przesada! My się boimy! – dokończyła łagodniej.

– Co to za samowola, pani Kowalczevska! Słyszeliście o domniemaniu niewinności? Sąd oceni, czy chłopak jest winien, a nie wsiowe mądrale. Linczu nam nie trzeba! I to na niewinnej kobiecie!

– Jakiej do maniu niewinności! – powtórzyła jak papuga, tyle że bez zrozumienia znaczenia słów. – Toż to matka mordercy! Niech się wynosi z naszej wsi! Wszyscy widzieli, co zrobiła z naszym batiuszką. Rzuciła na niego urok. Od tamtej pory święty się zrobił. O chlebie i wodzie żyje. Pokuty wszystkim wyznacza...

– Proszę udać się w spokoju do domu, bo.. – włączył się do rozmowy Trembowiecki, który wytarabanił się w końcu z auta z plikiem kartek. Zamierzał robić notatki z przebiegu zdarzeń? Kula spojrzał na niego z politowaniem, ale nie miał czasu na pouczanie, bo nagle zrobiło się naprawdę gorąco.

– Bo co? – podniosła podbródek kobieta i rzuciła się z pięściami na dwa razy mniejszego od niej posterunkowego.

– Bo, bo będę-będę zmu-zmu-zmuszony aresztować paanią... – Trembowiecki z przejęcia zaczął się jąkać. A kobieta, której groził aresztowaniem, zamiast się wystraszyć, wybuchnęła śmiechem. – Już się boję – szydziła.

Co gorsza, pozostałe też wcale nie zamieniły się w potulne baranki. Miotaly mu w twarz piorunujące spojrzenia. Trembowieckiemu aż wystąpiły niezdrowe rumieńce na twarz. Jak okiełznać takie towarzystwo? Z chłopem łatwiej, można go powalić na ziemię, kopnąć. Ale kobietę? Delikatnie schwycił grubą za ręce. Jednak po chwili to ona trzymała go jak w dybach. Nie mógł się wyzwolić z żelaznego uścisku.

– I co teraz, chłopcze? – szydziła baba. Trembowiecki poczuł się, jakby atakował własną matkę. Nie był w stanie nic zrobić.

– Hej, niech się pani uspokoi, bo oskarżymy o napaść na funkcjonariusza! – przyszedł mu na ratunek Kula.

Podszedł do kobiety i jednym ruchem rozwarł jej żelazny chwyt. Po czym bez ceregieli zakuł ją w kajdanki. Ten symboliczny gest zadziałał na wszystkich. Kowalczevska zaczęła lamentować. Reszta osób rozpierzchnęła się na boki. Nikt już się nie śmiał ani nie krzychał. Trembowiecki stanął w rozkroku, jakby bał się, że za chwilę upadnie. Rozcierał zbolale nadgarstki.

– Dobra – westchnął Kula i rozkuł kajdanki. – Będzie pani pociągnięta do odpowiedzialności karnej. A od tej chwili wszystkich proszę o zachowanie spokoju. Ponegocjujmy. Co zrobiła wam pani Lidia?

– Odkąd tu przyjechała, zło czai się w Tokarach. Niech ona stąd wyjedzie. Nie chcemy jej w naszej wsi – krzychały baby. Ale już mniej pewnie niż przed pokazowym zakuciem w kajdanki Kowalczewskiej.

– To czarownica!

– Jaka czarownica, nie żyjemy przecież w średniowieczu!

– Wychowała mordercę. Nasze dzieci do niej przychodzą!

– Przecież nie do niej, tylko do biblioteki! – bronił Danilukowej Kula.

Mężczyźni obserwowali całe widowisko z boku. Wydawali się nawet z lekka zawstyżeni. Jakby przyszli tutaj zmuszeni przez swoje kobiety.

– Chwila, chwila. Po kolei. Konkretnie. Jakie zło? – zapytał szef posterunku.

– Odkąd tutaj jest ta kobieta, morderca grasuje we wsi. Boimy się. A gdyby to nas zaatakował? – krzyknęła Kowalczevska. W rękę miała młotek do rozbijania mięsa, którym zamachnęła się na okno biblioteki.

Wszyscy zamarli. Młotek wykonał w locie kilka piruetów i wylądował w samym środku okna. Rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Zaległa cisza.

– Mania, do domu! – w tym momencie do akcji wkroczył mąż Kowalczewskiej. – Ty durna babo, co ci ta kobieta zrobiła! Dobrze zrobi, jak stąd wyjedzie. Przecież z taką hołotą nie da się żyć!

Uderzył ją porządnie po plecach i pociągnął w kierunku chaty.

– Jutro będzie pani przesłuchana – krzyknął do nich Kula i zerknął na resztę żalonych rewolucjonistów, którzy jeszcze przed chwilą byli gotowi zlinczować zamkniętą w budynku bibliotekarkę. Teraz smętnie przestępowali z nogi na nogę. Niektórzy mieli ochotę schować się w domu, przy piecu, przed telewizorem, ale autorytet podkomisarza Kuli nie pozwalał na jawną ucieczkę.

– W sumie, to my wcale nie chcieliśmy zrobić pani Danilukowej krzywdy... – zaczęła Pacowa, gdy Kowalczevska zniknęła z mężem za zakrętem.

– Ja też stąd wyjeżdżam. Mam dość tego pierdołnika! – nagle wykrzyknął Trembowiecki.

– Co? – Kula aż się odwrócił. – Jak pan śmie tak się wyrażać. Funkcjonariusz?

Stojące pod płotem kobiety spojrzały przestraszone. Takiego zwrotu akcji się nie spodziewały.

– Rozejdź się do domów! Jutro wszyscy zostaną wezwani na posterunek i przesłuchani. Zakłócanie porządku, zniszczenie mienia, groźby karalne. I trzeba będzie przeprosić panią Lidię. Naszykujcie się na wysokie kary. Nie będzie taryfy ulgowej. Zaczniemy od tego, że do spółki pokryjecie koszty remontu wejścia biblioteki. Potem kilka prac interwencyjnych i grzywna. Ale tym zajmie się już prokurator – pouczył ich kierownik posterunku.

– A dokąd to zamierza pan odejść? – zwrócił się do niesubordynowanego posterunkowego.

– Nie wiem. Poradzę sobie. Mam dość upokorzeń! Trembowiecki to, Trembowiecki tamto. Przynieś, wynieś, pozamiataj. A co to ja jestem... Służący?

– Z panem rozmówię się potem. Nie czas teraz...

– Nie mamy już o czym rozmawiać – dodał Trembowiecki i wolnym krokiem rozpoczął marsz w stronę posterunku. Szedł tak energicznie, że Kula z niesmakiem pomyślał: „Gdybyś tyle energii, bratku, wkładał

w swoją pracę, zamiast w kopaniu dołek pod kimś i knucie intryg, mogłoby być całkiem niezłe”.

W końcu machnął ręką na posterunkowego.

– I dobrze, idź sobie tępa „Trąbo”. Najwyższy czas!

Rozejrział się dokoła. Po rozjuszonym tłumie nie było śladu. Znów zapanowała cisza. Pozostały porzucone wiaderka po jajach. Kilka kijów i grabie oparte o płot. Na zabloconym podejściu uwalany w topniejącym śniegu transparent naprędce zrobiony z parasolek i prześcieradła. „Matka mordercy precz z Mielnika i Tokar!” – głosił napis.

Drzwi biblioteki nieznacznie się uchylily i wyjrzała z nich Lidia Daniluk. Oczy miała czerwone, na głowie brakowało aksamitnego kapelusza. Białe warkocz potargany, a robiony na szydełku szal cały w strzępach. W rękę trzymała młotek do mięsa Kowalczewskiej.

– Co się tu stało, pani Lidko?

– Panie Eugeniuszu, ledwie zdołałam uciec. Poszłam tylko do sklepu, żeby kupić chleb i mleko. Kobiety ze wsi zaczęły mnie wyzywać. Odpowiedziałam, że takie zachowanie nie przystoi damom. Wtedy rzuciły się na mnie. Dobiegłam tutaj. Dobrze, że nie oddałam dziś kluczy pani Krystynie. Słowo honoru, zabiłyby mnie. Kiedy schowałam się w środku, przystawiłam krzesło i przesunęłam szafę, żeby zabarykadować drzwi. Co ja teraz pocznę! Nagle spadły na mnie takie kłopoty. Syn za kratkami. Nie ma mnie kto odwiedzić. Czas umierać.*.

– Ostrzegalem panią.

– Ale co ja winna? Mój syn... Borys tego nie zrobił. Ja nie wierzę.

– Wiem, trudno uwierzyć. Matki nigdy nie wierzą... Ale też nic nie tłumaczy takiej nagonki na panią. Proszę wsiadać do auta – polecił.

Lidia na chwilę zniknęła w bibliotece. Wyszła już w płaszczu i z plecakiem. Zamknęła drzwi.

– Ja wezwę szklarza. Pogadam też z wójtem. Powinna pani wziąć kilka dni wolnego – pocieszał ją Eugeniusz Kula. Chciał wdowę wesprzeć. Było mu jej naprawdę szkoda. Nie zasłużyła na takie traktowanie. Ale wdowa zwiesiła głowę i ruszyła niepewnie w kierunku auta. Poczula na sobie czyjś wzrok. Rozejrzała się. Była przekonana, że widziała kogoś w jednym z okien.

– Niech pani nie zwraca uwagi. Obserwują nas. Takiego przedstawienia dawno nie było – powiedział Kula.

Nie wiedział, co zrobić, kiedy po twarzy wdowy zaczęły cieknąć łzy wielkie jak grochy. Nie łkała, nie zawodziła. Płakała w ciszy, jakby starała się opanować, ale oczy nie chciały się podporządkować jej rozkazom.

Drogę do Tokar pokonali w całkowitym milczeniu. Kobieta przed bramą pożegnała się z kierownikiem posterunku. Pierwszy raz Kula zobaczył na jej twarzy frasunek. Zwykle była radosna, uśmiechała się łagodnie, nawet, jeśli sprawy niekoniecznie szły po jej myśli.

– Proszę wziąć urlop, nie pojawiać się w Mielniku, zanim wszystko się nie uspokoi – poradził jej podkomisarz. – Ja załatwię wszystko.

Kobieta wyszperała w kieszeni pęk kluczy. – Proszę przekazać pani Krystynie. Ja nie wiem, czy chcę tam kiedykolwiek chodzić. Wcale nie muszę pracować. Mam emeryturę i rentę po mężu.

– Proszę się nie załamywać. Wszystko się ułoży.

– Tak – szepnęła bez przekonania kobieta.

– Pani Lidio!

Odwróciła głowę. – Proszę do mnie dzwonić w takich sytuacjach.

– Dziękuję, panie Eugeniuszu! – zmusiła się do uśmiechu i przygarbiona odeszła alejką w kierunku domu. Nie odwróciła się ani razu. Kula pomyślał, że ta kobieta, jedyna dama w okolicy, została złamana psychicznie. Jak taka osoba mogła wychować mordercę? Nie mieściło mu się to w głowie.

Kiedy zawracał na śliskiej drodze, pomyślał o zachowaniu Trembowieckiego. Poczul ciarki na plecach. Od dawna przestrzegał podwładnych: „Nie ufaj ambitnym tchórzom. Staraj się omijać ich z daleka. Ale miej się na baczności. Choć są karłami, mogą zniszczyć nawet wielkoluda. Strach jest ich orężem, a frustracja determinuje ich działania. Najcudowniejszy grunt do narodzin agresji i podstępного działania”. I co? Sam dał się nabrać. Nie traktował „Trąby” poważnie. Będą przez tego niedojdę kłopoty!

– Tfu – splunął z obrzydzeniem przez szybę.

W połowie drogi stary polonez odmówił posłuszeństwa i Kula spędził półtorej godziny na grzebaniu pod maską.

Alojzy Trembowiecki zdziwił się, bo choć na posterunek szedł ponad dwadzieścia kilometrów, wcale się nie zmęczył. Przeciwnie. Energia go rozpieszczała. Wszedł do dyżurki i zaczął zbierać swoje rzeczy. Starannie ułożył je na

stoliku, a potem zapakował do żółtej reklamówki z napisem Biedronka, którą znalazł w jednej z szuflad biurka.

– Co robisz? – wpadł Czerwieński.

– Pakuję się. Wyjeżdżam.

– Przecież jesteś na służbie. Nie możesz...

– Nie mogę?

– Słuchaj, Kula bywa tyranem, ale w gruncie rzeczy dobry z niego człowiek. Trzeba przetrwać pierwszy rok. Potem już idzie. Dogadacie się.

– Nie muszę się z nim już dogadywać.

– Co ty za baniałuki gadasz?

– Zrozumiesz sam. Dzwonili już z wojewódzkiej?

– Tak, jak was nie było. A co? Co ty masz z tym wspólnego? – zaniepokoił się Czerwieński.

– Sam zobaczysz. To jest posterunek policji, a Kula nie jest szeryfem, tylko kierownikiem tego interesu. Powinien był działać zgodnie z przepisami...

– Nakablowałeś na niego! Ty kutasie! – krzyknął Czerwieński. I wybiegł z dyżurki. Po chwili znów był z powrotem. Nozdrza mu drgały z wściekłości.

– Co nagadałeś, mów. Ale już!

– Nie powiem – z satysfakcją odrzekł Trembowiecki.

Czerwieński był gotów mu przyłożyć. Ich kłótnię przerwał sygnał przychodzącego faksu. Obaj rzucili się do telefonu. Ale był to tylko kolejny rysopis poszukiwanego listem gończym przestępcy. Czerwieński wyrwał tekst z rąk Trembowieckiego i wypchnął go z dyżurki.

– Wynoś się, ty świnió!

– Będziecie mieli kłopoty. Łysy wie, co się tutaj działo. O złamaniu blokad w domu Niny Frank i o... A za chwilę złożę mu kolejny raport – zakończył z perfidnym uśmiechem.

– Ty gadzie! – Czerwieński rzucił w Trembowieckiego reklamówką z jego rzeczami. Rozległ się odgłos rozbijanego szkła.

W tym momencie na posterunek wszedł Hubert Meyer. Minął się w drzwiach z Trembowieckim, który przyciskał do piersi żółtą torbę.

– Jeszcze się zobaczymy... Pożałujesz swoich słów! – wysyczał Trembowiecki i spojrzał znacząco na Czerwieńskiego. Ten jakby nie usłyszał.

Wstał i powiedział uprzejmie: – Dzień dobry, panie komisarzu.

Meyer patrzył na dyżurnych i zmarszczył brwi. – Jest kierownik?

– Na interwencję pojechał. Zaraz powinien być. O mało nie doszło do linczu przed biblioteką.

– Poczekam.

– Proszę bardzo – odpowiedział uprzejmie Czerwieński. Spojrzał za okno na drogę, gdzie widać było wyprostowaną sylwetkę Trembowieckiego.

– Jeszcze jest z siebie dumny. Podlec.

Komisarz Meyer nie chciał pytać, co się stało. Czerwieński jednak miał potrzebę wyrzucenia całej swojej złości i podzielenia się nią z profilerem.

– „Trąba” zadawniował szefa do wojewódzkiej. Myśli, że dzięki takim działaniom go awansują. Gadzina! Swołocz!

– To on doniósł? – spytał Hubert Meyer.

– Tak, już pan wie?

– Mam wezwanie na komisję dyscyplinarną. Nieźle się sprawił ten wasz Trembowiecki. Łysy już dzwonił, że przyjeżdża? Do mnie dzwonił mój szef. Pojutrze mam wracać do Katowic. Niestety podejrzewam, że pana kierownik też będzie miał kłopoty – dodał.

– O kurwa... – wydusił z siebie Czerwieński. – Ale na przykład jakie?

– Możecie dostać nowego kierownika...

– Nie!?

– Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Dlaczego jest pan taki spokojny?

– To na razie tylko wewnętrzne śledztwo. Wszystko może się zdarzyć. Łysy wprawdzie jest przeciwko i wykorzysta tę sytuację, by pokazać swoją władzę. Ale ja mam pewien plan...

W tym momencie na posterunek wmaszerował Kula. Uśmiechnął się szeroko na widok profilerka.

– Oj gorąco się u nas zrobiło, panie komisarzu. Od lat nie miałem tutaj takiego kotła. Właśnie uratowałem wdowę przed linczem.

– Musimy pogadać. Ja też nie mam dobrych wieści.

– Zapraszam. Romek, zastąpisz „Trąbę”?

– On już nie wróci.

– Obyś miał rację. Posiedzisz do dziewiątej, potem ja zostanę – dodał Kula i poprowadził Meyera do gabinetu.

Następnego ranka Lidię obudziło szczekanie Kierownika. Zasnęła nad ranem. Spała może dwie godziny. To i tak dużo. Odkąd Borys trafił do białostockiego aresztu zaczęły się te bezsenne noce. Brak snu odbierał jej władzę na ciałem.

Kilka razy, kiedy przygotowywała jedzenie psom, omal nie zemdląła. W piżamie i kapciach wyrzała za okno. Pod bramą stał mężczyzna. Był niski, szczupły. Ledwie widoczny zza ogrodzenia. Narzuciła płaszcz, wędliny szal na głowę i wyszła otworzyć.

– Dzień dobry. Czy mają państwo telewizję kablową?

– Tak, już mamy. Dziękuję.

– Mamy tutaj o wiele tańszą ofertę ... – ciągnął uparcie człowiek.

Lidia patrzyła na jego twarz. Pociągła, drobna, z czarnymi rozbieganymi oczkami. Mimo mrozu miał na sobie jedynie cieniutką, powycieraną skórzaną kurtkę, a pod spodem kraciatą koszulę i cienki poliestrowy krawat. Było w nim coś dziwnego.

– Wie pan, ja nie mam teraz głowy do telewizji... – bąknęła.

– To może ja zostawię informację, a pani się zastanowi i do mnie zadzwoni – podał jej kilka ulotek przez druty kutej bramy.

W tym momencie Cykoria rzuciła się na ogrodzenie. Kierownik wystawił kły, warczał. Gwałtownie skoczył na bramkę i omal nie przewrócił Lidii. Niechcący nacisnął klamkę. Furtka się otworzyła. Psy wybiegły na zewnątrz. Sprzedawca kabłówki rzucił się do ucieczki. Lidia patrzyła na wściekłą Cykorię i nie mogła uwierzyć, że dotąd łagodny pies nagle stał się tak agresywny.

– Kierownik! Cykoria! – wołała. Ale psy dopadły już akwizytora kabłówki i powaliły go na ziemię.

– Niech pani je zabierze. Zagryzą mnie! – krzyczał przerażony. Próbował wyciągnąć coś z kieszeni, ale bestie tarposiły go za ubranie i próbowały dorwać się do jego gardła.

Lidia chwyciła kolczatkę i jakoś udało jej się nałożyć ją na łeb Cykorii. Kiedy tylko ją odciągnęła, mężczyzna zdołał wstać i skryć się w aucie. Włączył silnik i odjechał z piskiem opon. Kierownik szczeakał za nim

jeszcze długo, nawet, gdy samochód znikł już w oddali. Lidia zagoniła oba potwory za bramkę i zamknęła drzwi na klucz.

– Tak nie wolno! – była roztrzęsiona. Ręce jej drżały. Uderzyła smyczą oba psy i usiadła na schodach. Wydawało jej się, że wszystko jest przeciw niej. Nie radzi sobie z niczym, odkąd nie ma Borysa. Jeszcze tylko brakuje, żeby ten sprzedawca na nią naskarżył... Tymczasem Cykoria znów się łasiła i łagodnie wpatrywała w oczy wdowy.

– Dlaczego tak się zachowałeś? Co to było?

Za karę nie dostały tego dnia jeść. Po południu Lidia postanowiła pójść do batuszki i poprosić o mszę za syna. Bała się wychodzić z domu, a już tym bardziej do cerkwi, gdzie zbierali się w końcu mieszkańcy wszystkich sąsiednich wsi. Po ostatnim zachowaniu wiejskich kobiet wiedziała, że są w stanie zrobić jej krzywdę. Ale i tak będzie musiała wyjść. Niedługo skończy się jedzenie. Po zakupy będzie musiała pojechać pekaesem do miasta.

Kiedy wychodziła i dokładnie zamykała furtkę, zauważyła w skrzynce awizo z zaznaczonym kwadracikiem: przesyłka polecona.

– Nawet listonosz nie chce ze mną rozmawiać – pomyślała z goryczą. – Jak ja się teraz dostanę na pocztę? Rower został w portierni gminnego ośrodka kultury. I co to za paczka?

Zmiała kartkę, schowała do kieszeni. Zostawi to na jutro.

Kiedy się schylała, by zatrzasać bramkę, na śniegu, w miejscu, gdzie przed kilkoma godzinami psy tarmosiły sprzedawcę kablówki, zauważyła coś błyszczącego. Podeszła bliżej. Zobaczyła zagięte w półksiężyc ostrze, drewnianą rączkę. Myśliwski nóż do patroszenia zwierzyny. Dwoma palcami w rękawicze podniosła przedmiot i przyjrzała mu się z każdej strony. Wróciła do domu i położyła go na półce. Była przekonana, że należał do dziwnego akwizytora.

– Panie komisarzu! I co teraz będzie? – zapytał niepewnie Kula.

– Nic. Musimy wytrwać. Fakty są, jakie są. Zerwałem blokady w domu ofiary, zabrałem nagrania – własność Króla. Nie mam pokwitowania. Nie działałem oficjalnie, na dodatek samowolnie, bez zgody prowadzącego śledztwo. Zataiłem ważne dowody – Meyer, wymieniając całą listę swoich uchylbień, był wyjątkowo opanowany.

Kula zastanawiał się, jak w takich okolicznościach profiler jest w stanie zachować spokój.

– Ale ja wyraziłem na to zgodę – powiedział. Pan nie wszedł tam dobrowolnie.

– Zostanie pan za to pociągnięty do odpowiedzialności, może zawieszony w czynnościach, a nawet usunięty ze stanowiska. Lepiej ja wezmę wszystko na siebie. I tak już mam przechłapano.

– Trudno. Nie będę chował głowy w piasek. Dawno powinienem być na emeryturze. Może już czas dać szansę młodszym. I wie pan, nie żałuję. Drugi raz postąpiłbym tak samo.

Meyer podziękował z uśmiechem.

– Równy z pana gość...

– E, tam. Normalny – machnął ręką Kula i dotknął wąsa. Kompleks psychologa sprawił mu dużą radość. – Cała przyjemność po mojej stronie. Lepiej niech pan powie, co z Borysem. Szkoda mi jego matki. To on jest mordercą?

Hubert Meyer pokręcił głową. Mogło to znaczyć zarówno tak, jak i nie. A także „nie wiem”.

– Może... Dziś skończę profil. Wtedy o tym pomówimy. Dokument przekażę też Łyseму i komendantowi.

– Ale pan już wie, prawda?

– Szczerze?

– Oczywiście.

– Ten, kto zabił Ninę Frank, jest...

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi.

– Panie kierowniku, można?

– Romek? Co się znów stało? – zapytał Kula, bo na twarzy Czerwieńskiego rysowało się przerażenie. Bezgłośnie powiedział kilka słów. Kula zmarszczył brwi. Nasłuchiwał. Wytrzeszczył oczy. Czerwieński powtórzył znów, nie wydając żadnego odgłosu. Policjanci mogli czytać tylko z ruchu jego warg. Meyer znacznie szybciej złapał, o co chodzi posterunkowemu. Chwycił leżącą na biurku kartkę i napisał: – Łysy.

Kula pociągnął nerwowo wąsa. Wstał, wygładził marynarkę od munduru. Drzwi się uchyliły i obaj – Meyer i Kula – zobaczyli w pełnej okazałości komisarza Czuprynę z wojewódzkiej.

– Myślałem, że pan już na Śląsku... Nie jest pan potrzebny, pański szef mnie rano poinformował – oznajmił profilerowi.

Meyer nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Ja nic nie wiem.

– Bo nie odbiera pan telefonu...

Profiler odruchowo sięgnął po komórkę. Rzeczywiście, była wyłączona. Zapomniał o niej po wyjściu z aresztu.

– Proszę się skontaktować ze swoim zwierzchnikiem. A teraz... Może nas pan zostawić?

Hubert Meyer skinął głową.

– Do jutra, panie komisarzu – odpowiedział mu na pożegnanie Kula.

Kiedy psycholog opuszczał posterunek, usłyszał, jak Łysy mówi z satysfakcją: – I co panie Eugeniuszu? Co pan ma na swoją obronę?

Jestem mordercą Niki

„Zwycięzcy robią to, czego przegrywającym się nie chce”

Jestem silny. Jestem kimś. Czuję w sobie moc, siłę panowania nad życiem i śmiercią. Nikt już mi nie podskoczy. Nareszcie! Teraz to ja będę stawiał warunki. To ja zadecyduję o twoim losie. O twoim, jej, jego... Sąsiadki, sprzedawczyni, dziewczyny z agencji. Mogę to zrobić z każdą z was. Już żadna nigdy mnie nie upokorzy. Nie poniży! Życie każdego, kogo widzę, kogo mijam, spotykam, nawet przez jedną chwilę, leży w moich rękach. I nic nie jest w stanie mnie powstrzymać. To takie podniecające. Gdybyś była grzeczna, taka, jaka jesteś w telewizji, być może nie musiałbym cię zabijać. Być może. Ale w końcu i tak bym to zrobił. W normalnym życiu znów stałabyś się suką. Wredną zdzirą, która pieprzy się z przygodnymi facetami. Dlatego musiałem cię ukarać. To dla twojego dobra, kochanie! Przecież wiesz, że cię podziwiałem i nadal podziwiam. Zawsze będziesz dla mnie najpiękniejszą kobietą, jaką znam. Dlatego mogłem cię pożądać tylko w ukryciu. Gdyby matka dowiedziała się, co razem robiliśmy... Oj, niegrzeczna z ciebie dziewczynka. Nie jesteś wcale zakonnica. Ja o tym wiem i ty też. Wredna suko! Myślałaś, że mnie oszukasz? Mnie? Miałaś mnie za dupka! Jak inne kobiety. Dziwki! Zawiodłem się na tobie... A tak bardzo chciałem dać ci to, czego pragniesz. Gdyby matka się dowiedziała, co razem robiliśmy... To nic, że tylko w mojej wyobraźni. Kiedy patrzyłem na twoje zdjęcia i oglądałem filmy z twoim udziałem, czułem, że jesteś ze mną. Czy wiesz, co mi zrobiłaby, gdyby się dowiedziała? Złoiłaby mi skórę.

Jak zwykle. Ty nie masz pojęcia, jak to boli. Ty nie wiesz, co znaczy ból. To, co ja ci zrobiłem, jest tylko przedsmakiem bólu, jaki chciałbym ci zadać. Musiałaś ponieść karę za swoje grzeszne spojrzenia. Twoje ciało nie wie, co znaczy niewinność. Ty byłaś zbrukana. Unurzana w grzechu. Nie, nie urodziłaś się taka.

Byłaś czysta, ale stałaś się dziwką. Bardzo starałaś się taką stać. Dlatego musiałem cię oczyścić. Nie miałem innego wyjścia. Wszystko, co ciebie dotyczyło, było tak nieszczerze. Gdybyś chociaż zdawała sobie z tego sprawę. Ale nie, ty zamiast się poddać, jeszcze krzyczałaś. Wołałaś o pomoc, zamiast mi dziękować. Powinnaś być bardziej wdzięczna. Być może nie musiałbym ci zadawać aż takiego bólu. Choć wyznam ci szczerze, że sprawiało mi to dużą radość. Zwłaszcza, kiedy wiałaś się i próbowałaś wyrwać z moich rąk. Albo gdy trzęsałaś się ze strachu. Twoje ciało tak pięknie drgało w agonii... Czulem, że rosnę i niemal budziłem się, gotów do odbycia stosunku. Ale nie, ty znów musiałaś się drzeć. Czy ty myślisz, że to przyjemne całe życie słuchać wrzasków? Też byś nie wytrzymała. Dlatego musiałem uderzać twoją głową o ścianę. Po to, żebyś się w końcu zamknęła. Przecież wiesz, że wcale tego nie chciałem. Pragnąłem cię tylko uwolnić. Mogłaś nie krzyżeć. A przecież wiesz, że ja nienawidzę wrzasków. W dzieciństwie wystarczająco się ich nasłuchiwałem. Najpierw są wrzaski, potem bicie. Klamrą pasa wojskowego, kablem, metalowym prętem. Czasem zupełnie bez powodu. Wyobraź sobie, że karze cię tak własna matka. A potem głaszczę po całym ciele, tuli do piersi i szepce słowa przeprosin. Przecież tak bardzo kocha. Bardziej nawet niż tatusia.

Ja też cię kochałem, Nino, tylko ty tego nie rozumiałaś. Nawet, kiedy było nam razem tak cudownie. Mnie w każdym razie było. Kiedy sobie przypomnę, jak drżałaś, kiedy cię dusiłem... Wykrzywiłaś twarz z bólu i czulem rozkosz. Stałem na krawędzi dwóch światów. Życia i śmierci. Takiej władzy pragnąłem. O niej marzyłem w moim pokoju, zamkniętym przed matką, by nie mogła mnie inwigilować. Nie rozumiem, dlaczego mnie odrzuciłaś. To nie w porządku, dziewczynko. Tak się nie robi. W końcu byliśmy ze sobą tak blisko. Wiem, że zbierałaś moje listy. Żaden nie wrócił ponownie do skrytki. Gdybyś ich nie odbierała, być może nie pisałbym więcej. Pogodziłbym się z tym, że mnie

nie chcesz. Ale nie, ty jeszcze mnie podjudzałaś. Kusiałaś mnie, żebym cię w końcu odwiedził. Uśmiechałaś się do mnie tak słodko z ekranu, przebrana w ten powabny habit. Zachęcałaś lubieżnie. A kiedy w końcu przyszedłem, ryzykując, że matka się dowie, zaczęłaś krzyczeć i grozić mi. To nie było uprzejme. Zwłaszcza te przekleństwa. Musiałem cię nauczyć kultury. Jeszcze mnie obrażałaś. Chciałaś mi dać jakieś pieniądze, biżuterię. Żebym darował ci życie. Byłaś żalosna. Tak, teraz mnie śmieszysz. Już nie masz nade mną władzy. Pieniądze... Czy ja jestem złodziejem? Gdybym chciał je zabrać, sam bym sobie wziął. Przecież przyszedłem cię tylko odwiedzić. Ty sama mnie zachęciłaś, by w końcu wprowadzić naszą grę w życie. Im bardziej się wilaś, tym bardziej miałem ochotę ci mocniej przyłożyć. Ale nie chciałem cię zabijać od razu. Wiesz, gra wstępna jest najważniejsza. Dlatego chciałem, byś miała pamiątkę naszego pierwszego i jak się okazało, ostatniego spotkania. Stłukłem butelkę i postanowiłem cię lekko podrażnić. Rycie w twojej idealnej skórze bardzo mnie uspokajało. Było jak przystawka przed obfitym obiadem. Wiedziałem, że dalsze ruchy będą bardziej brutalne, i chciałem, żebyś się przygotowała do najbardziej bolesnej części naszego spotkania. Ty przecież wiesz, że wszystko zależy od nastroju. Tego dnia bardzo mnie zdenerwowałaś, a chciałem być miły. I kiedy tak rysowałem szkłem pręgi na twoim ciele, czułem, jak powoli uwalniam z siebie nagromadzone przez ten rok napięcie. W pewnym momencie zapomniałem się i pomiędzy twoimi piersiami trochę za bardzo rozorałem skórę. Krew tryskała na boki i rozpierała mnie duma. To było takie łatwe. Dlaczego nie przyszedłem wcześniej? Czy wiesz, ile mnie kosztowało, by nie przyjść znacznie wcześniej? Ale potrafiłem się powstrzymać, choć było to trudne. Za to ty wcale na mnie nie czekałaś. Mało tego, chciałaś mnie wyrzucić z domu. Ale wybaczam ci. Teraz już jesteśmy kwita. Nie gniewaj się, ale zacząłem myśleć o innych kobietach. Na zawsze pozostaniesz tą pierwszą, która wyzwoliła we mnie moc. Siłę stwórcy. Bo ja cię stworzyłem na nowo. I czasem sobie oglądam ten kolczyk, który ci zabrałem. To moje trofeum, żebym nie zapomniał o swoim dziele. I powtórzył je po wielokroć. Twoje piękne ciało przemieniłem w miazgę. Dlaczego? Tłumaczyłem ci już: za karę! Gdybyś nie była taka niegrzeczna... Ale czasem rozpamiętuję nasz związek. I jego apogeum. Wracam na polanę,

obserwuję twój dom i wspominam. Zapach twojej krwi do tej pory czuję na swoich rękach. Musiałem ją zmyć, bardzo żałuję. Ale nie chciałem, by tak szybko cię znaleźli. Chciałem zrobić im niespodziankę. Wspólnie ją zrobiliśmy. Ty nie? Suko, gdybym mógł, zabiłbym cię jeszcze mocniej. Pokroił na kawałki. Nienawidzę cię! Ale teraz ja panuję nad tobą, a ty jesteś niczym. To ja zdobyłem władzę. Nad tobą, nad całym światem. Pokonałem barierę. Przekroczyłem próg dla wybranych. Balansuję na granicy dwóch światów. Zlewam je w jedność. Zniszczyłem tabu. Decyduję o tym, kto może, kiedy i jak ma zginąć. Nic mnie już nie powstrzyma. Znowu czuję to narastające napięcie. Podniecające, ekscytujące. Łechce moje członki i z niecierpliwością czekam, aż ten wulkan dojrzeje. Przyznam ci, że czasem to nie jest przyjemne. Paraliżuje mnie i zmusza do wycofywania się. Ten ciągły lęk, który muszę pokonywać. Mój lęk w porównaniu z twoim jest zaledwie kropelką wody. Za to zabijanie uwalnia go, oswaja. Daje poczucie siły. O tak! Patrzę na twoją twarz, twój kołczyk, twoje zdjęcia... Jeszcze do niedawna wspomnienia mi pomagały. Ale już coraz mniej. Potrzebuję nowej energii. Nowego obiektu. Już nie chcę tyle czekać. Muszę wyładować to napięcie, które mnie rozsadza... Zaczynam już szukać. Nowej ofiary. Nowego obiektu. Potrzebuję tych przeżyć, które miałem z tobą. Nawet wiem, jak to zrobię. Już nie popełnię tych samych błędów. Już wiem, że zabijanie to wielka sztuka. Nauczę się to robić perfekcyjnie, obiecuję. Jest tyle kobiet, które powinienem oczyścić i uwolnić od brudu, który je wypełnia pod tymi pięknymi, ciepłymi ciałami. Zajmę się tym. Powoli, już niedługo. Jeśli ja im nie pomogę, same się zniszczą. Ach, jak cudownie było słuchać tego cichutkiego rżenia w twoim gardle. I ostatniego oddechu. Ten bezruch po wszystkim i wszechogarniający spokój. Siedziałem i patrzyłem na twoje zwłoki. Byłem spokojny. Pierwszy raz od lat.

Komisarz Hubert Meyer otworzył oczy. Przed chwilą starał się odgadnąć myśli i uczucia zabójcy Niny Frank. Na chwilę stał się nim. Dzięki temu mógł określić, kim jest. Odpowiedzieć na trzecie pytanie: „Kto zabił?”. Był przekonany, że ma do czynienia z mordercą seryjnym, który właśnie popełnił pierwszą zbrodnię. I będzie zabijał dalej. Mówiła mu to już nie tylko intuicja, ale dowody zgromadzone w aktach, świadkowie. Włączył

swój autorski program profilowania. Opisał rodzaj zadanych ciosów, miejsce zbrodni, okolicę. Przeanalizował ekspertyzę medyków sądowych, streścił zeznania świadków.

W punktach wypisywał cechy, jakimi odznacza się morderca. Pracował do czwartej nad ranem. Miał mało czasu. Musi przekazać swoją opinię szefowi, rano zawieźć ją Eugeniuszowi Kuli i Łysemu. Przede wszystkim dostarczyć profil Łysemu. Nawet, jeśli mu nie uwierzy, obowiązkiem profilerów jest przedstawić ten raport.

Kiedy skończył, wydrukował kilka kopii, wszedł pod prysznic i długo stał pod gorącą wodą. Strumień parzył mu plecy, ale czuł się wspaniale. Nareszcie koniec. Wszystko jasne. Po pierwsze – gwałtowna reakcja krzyk! Po drugie – to wielbiciel Niny Frank! Od tego powinien być zacząć.

Nie był jednak spokojny. Myślał teraz tylko o tym, że morderca nadal jest na wolności. I być może właśnie planuje, jak i gdzie znów zaatakować. Bo, że będą nowe ofiary, nie miał wątpliwości.

– Skąd pan to wszystko wie? – Łysy chwycił plik kartek i czytał fragmenty. – Podaje pan wiek, wygląd, wykształcenie, a nawet, jakim samochodem porusza się sprawca... I jeszcze grozi, że będzie dalej zabijał. Ciekawe, jaką metodą pan to wywróżył?

– To nie czary. To wynik pracy psychologa i detektywa. Kompilacja wiedzy obu tych dziedzin. Nie jestem magikiem. Przekazuję panu moją analizę. Taka jest moja rola. Po to tu przyjechałem. A co pan z tym zrobi, pańska sprawa... Jednak sam pan chyba widzi, że Borys Daniluk nie pasuje do profilu. I jeśli prokurator zamierza skierować przeciwko niemu akt oskarżenia, to...

– Dość! – krzyknął Łysy. – Zrobił pan swoje. Przedstawił mi opinię, a do śledztwa proszę się nie wtrącać. Powodzenia na komisji dyscyplinarnej – dodał złośliwie.

Hubert Meyer wyszedł z gabinetu. Wyciągnął paczkę czerwonych marlboro. Włożył do ust ostatniego papierosa i zgniótł kartonik.

– Wiedziałem, że mi nie uwierzysz, Czupryńko. Ale dałem ci to, co miałem dać. Teraz możesz już sam działać. Masz rację, do reszty się nie wtrącam. Wykonałem swoją robotę. Nic tu po mnie.

Wsiadł do auta i pojechał na wylotową szosę do Terespoła. Wiedział, że Eugeniusz Kula czeka na niego od siódmej rano. I nie dzwoni tylko dlatego, żeby mu nie przeszkadzać.

– Tak to wygląda – zakończył wyjaśnienia stworzonego wczoraj portretu nieznanego sprawcy Meyer.

– Romek miał rację – odrzekł Kula.

– Kto?

– Czerwieński. Jak odkryliśmy zwłoki, mówił, że widział taką zbrodnię na Discovery.

– Możliwe... – odpowiedział profiler i zaciągnął się papierosem.

– A skąd pan wie, że ma wykształcenie zawodowe?

– O tym świadczy porządek pozostawiony na miejscu zbrodni. Musiał pracować w jakimś zakładzie, bo jest tego nauczony.

– A, że ma metr siedemdziesiąt wzrostu?

– Relacja wzrostu ofiary i wysokość śladów krwi w garażu...

– Tak? A biały, zdezelowany samochód?

– Niewidoczny na śniegu. Nie budzi zainteresowania wśród mieszkańców wsi. Wewnątrz bardzo zadbane. Najprawdopodobniej stara furgonetka. Sprawca musiał do domu Niny Frank dojechać autem. Inaczej ktoś by go widział.

– I będzie zabijał?

– Tak. Przekazuję tę wiedzę panu jako gospodarzowi tego terenu. I żeby miał pan oko na tutejszych ludzi. Łysy nie wierzy w psychologię. Prokurator naciska go, by kończyć śledztwo. Chcą wysłać akt oskarżenia do sądu. To będzie kompletna porażka. Każdy adwokat wybroni młodego. To nie on.

– Nie?

– Proszę dokładnie przeczytać i przeanalizować profil. Może uda się panu wyselekcjonować grono podejrzanych. Morderca mieszka w pobliżu. Zaręczam. I przyjeżdża czasem na miejsce zbrodni.

– Co?

– Jest takie powiedzenie w kryminałach. Pewnie pan słyszał. Zabójca zawsze wraca na miejsce zbrodni...

– Właściwie tak, słyszałem. Ale dlaczego?

– Wspomnienia zbrodni pozwalają mu przeżywać ją na nowo, w niekończoność. A jak wiadomo, pamięć ludzka jest krótka. Wspomnienia

się zacierają. On potrzebuje bodźców. Kolczyk, który zabrał, być może na razie mu wystarcza. Tak jak oglądanie zdjęć ofiary, które trzyma w swoim pokoju. Może nagrał zbrodnię? I zrobił sobie z niej film? Ale to wszystko będzie starczać tylko do czasu... Już teraz pewnie przyjeżdża lub zacznie przyjeżdżać na polanę, o której panu opowiadałem. To pozwala mu znów być blisko Niny Frank. Wspomnienia zbrodni stają się wtedy żywsze.

– Film? – zapytał Kula i pomyślał instynktownie o Czerwieńskim.

– Jeśli wejdzie pan do jego domu, znajdzie pan mnóstwo pamiątek po ofierze. Nie trzeba będzie długo szukać. W domu Daniluka nie znaleziono niczego oprócz kolczyka, prawda?

– Tak. A skąd on go miał?

– Zabrał, kiedy zakładał podsłuch.

– I nie zabił jej ani mąż, ani Jurka Ponczek, ani Borys Daniluk. Ani nawet ten polityk...

– Nie. Żaden z nich. Prawdziwy morderca wciąż jest na wolności. To może być każdy. Także ktoś, kogo pan dobrze zna. Morderca seryjny, którego motyw kwalifikujemy jako seksualny, nie musi wyglądać groźnie. To często niepozorny sąsiad.

– Mieszka z matką?

– Najprawdopodobniej. Może był żonaty, ale żyją z żoną osobno. Prawdopodobnie jest rozwiedziony, a raczej w separacji. Żona wyrzuciła go z domu. Ma swój pokój i zamyka go przed matką. Nienawidzi jej i kocha jednocześnie. Nie potrafi jej zrobić krzywdy. Wybiera ofiary, które w jakimś stopniu mu ją przypominają. Są despotyczne, silne, wulgarne. Może następna ofiara będzie miała coś podobnego w wyglądzie do matki... I do Niny Frank. Być może matka w dzieciństwie zadawała mu kary cielesne.

– Biła go?

– Tak. Mocno i często. Możliwe, że był wykorzystywany seksualnie jako dziecko. Reaguje na krzyk. Wrzaski potęgują w nim poczucie lęku.

– Jak to na krzyk?

– Matka na niego krzyczała, potem go karała: na przykład biła i upokarzała. Przebierała w damskie ciuszki, wie pan... Dlatego nienawidzi kobiet, a jednocześnie nie może wyzwolić się spod dominacji matki.

– A ojciec?

– Słaby wzorzec. Prawdopodobnie matka wychowywała go samotnie. Być może ojciec odszedł od rodziny, gdy sprawca był dzieckiem. Może siedzi w więzieniu, jest alkoholikiem, umarł albo w ogóle go nie zna?

– Podaje pan, jak może wyglądać. Ciemne włosy, to rozumiem ślady zabezpieczone na miejscu zbrodni, ale spodnie w kant, kracista koszula? Pedant dbający o swój wygląd i porządek wokół siebie. Skąd pan...

– Już wyjaśniam. Widzi pan, ludzie dzielą się na konkretne typy osobowości. Na podstawie zachowania na miejscu zbrodni mogę ocenić, do której kategorii mogę go zakwalifikować. W tym przypadku zakładam, że to człowiek lubiący porządek i wykonujący jakąś pracę. Ale nie w biurze. To jakiś wolny, prosty zawód. Przemieszcza się z miejsca na miejsce. Własnym autem. O niepozornej fizjonomii. Swoim wyglądem wzbudza zaufanie. Po zabójstwie posprzątał po sobie. Zadbał o szczegóły. Tak samo dba o swój wygląd: spodnie wyprasowane, być może nawet w kant, pastuje buty (mają z pewnością płaską, miękką podeszwę), nosi krawat. Ale nie garnitur. To nie intelektualista, ale i nie prostak. Sfrustrowany. Ogląda telewizję, czyta prasę. W którymś momencie życia powinęła mu się noga. Zatrzymał się na dość niskim poziomie edukacji, ale jest ambitny i inteligentny. Niech pan tego nie bagatelizuje. Być może zamiast do szkoły ogólnokształcącej poszedł do zawodówki, potem już nie miał szans na dalszą edukację. Być może brak pieniędzy o tym zdecydował, może matka to na nim wymusiła.

– Jest samotnikiem?

– Według mnie nie jest z żadną kobietą. A jeśli ma żonę, to tak, jak mówiłem, zostawiła go albo sam od niej uciekł, do matki.

– Około trzydziestki?

– Tak. Raczej po trzydziestce niż przed.

– Czy seryjni mordercy zawsze zabijają w ten sam sposób?

– Zwykle modus operandi jest podobny. Ale nie zawsze. Obstawiam, że kolejną ofiarę także będzie chciał udusić. Zrobi to jednak znacznie sprawniej. Seryjni uczą się na swoich błędach. Jeśli się go teraz nie powstrzyma, będzie coraz skuteczniejszy. Mordercy seryjni działają w inter-

wałach. Jak sama nazwa wskazuje, mamy do czynienia z działaniem serii. Są tutaj podobieństwa. Ale i różnice. Udoskonalają swój wypracowany sposób pozbawiania życia, dokładnie wybierają ofiarę. Potrafią zabić, a potem czekać. Nawet latami. To się nazywa stan wyciszenia. Nieraz czekają nawet siedem lat. Ale czasem zabijają już po dwóch tygodniach. Zależy, jakie doznania mieli w trakcie odbierania życia. Nikt nie jest w stanie tego przewidzieć.

– To znaczy, że może zaatakować w każdej chwili. Od śmierci Niny Frank minął niecały miesiąc... – podniósł głowę znad dokumentu Kula.

– Tak, trzeba go powstrzymać jak najszybciej. Po każdej kolejnej zbrodni będzie zostawiał coraz mniej śladów. To perfekcjonista.

– Psychol.

– To potoczne określenie, choć nie można wykluczyć, że ma wysoce zaburzoną osobowość, a nawet cierpi na chorobę psychiczną.

– Skąd pan wie, że mieszka w pobliżu. Na moim terenie... – Eugeniusz Kula, mówiąc to, poczuł ciarki na plecach.

– Dobrze zna okolicę i wie, gdzie się ukryć. Nie wzbudza strachu ani czujności. To nie jest nikt obcy. A przynajmniej nikt przyjezdny, kto tutaj nigdy nie mieszkał.

– Panie komisarzu... – Kula uśmiechnął się tajemniczo. – Ten psychiatra, Amerykanin... Bruksel... Nie wiem, jak wymawia się jego nazwisko. On mówił detektywom, by szukali człowieka w dwurzędowej marynarce zapinanej na guziki... Czy jest coś, co chciałby mi pan doradzić. Coś konkretniejszego, co pozwoliłoby mi się skoncentrować w poszukiwaniach...

– Niech pan zwróci uwagę na fanów Niny Frank. Mężczyzn, o opisanych tutaj cechach, którzy wiedzą o niej więcej niż ja czy pan. Z telewizji, prasy... On jest jej wielbicielem. To znaczy był. Teraz w jego głowie kręci się nowy film. O kolejnej zbrodni, której dokona. Właśnie poluje na nową ofiarę. Seryjni są jak drapieżniki, tyle że w ludzkiej skórze. Nie przestanie zabijać. Jego instynkt łowcy jest teraz jedynie uśpiony.

– Nie przestanie zabijać... – powtórzył Kula. Rękę mu się trzęsły ze zdenerwowania. Poczuł strach. Jakby nagle znalazł się nie w rzeczywistości, ale w jednym z czytanych kryminałów.

– Pan też jest łowcą... – powiedział i zamarł, patrząc z przerażeniem na Meyera.

– Można tak powiedzieć – roześmiał się profiler. – Tyle że ja poluję na te drapieźniki. Wiem o nich więcej niż oni sami o sobie. Potrafię określić, kim mogą być. Pan może zastawić sidła.

– Kiedy pan wyjeżdża? – spytał trochę uspokojony kierownik posterunku.

– Zaraz. Jak wyjdę od pana. Chciałbym jeszcze podjechać do tej starej cerkiewki w lesie.

Kula poczuł, że ze zdenerwowania zaburczało mu w brzuchu. Musi natychmiast iść do toalety. Meyer wyjeżdża. On zostaje sam. Czy potrafi udźwignąć odpowiedzialność, jaką na jego barki złożył właśnie profiler? Łysy mu nie wierzy. A to on jest przecież szefem dochodzenia. Ma władzę, narzędzia, ludzi. Jak ja, wiejski policjant, mam sam złapać seryjnego mordercę? Przy pomocy dwóch posterunkowych, z komisją dyscyplinarną na karku... Złapać drapieźnika w ludzkiej skórze... Ale przecież nie mogę udawać, że nic się nie stało. Morderca jest nadal na wolności. Wszystkie kobiety z okolicznych wiosek są zagrożone. Każdy mężczyzna może być mordercą. Za dużo tego wszystkiego jak na jego starą głowę.

– A jeśli pan się myli? – zdobył się na odwagę zadać to pytanie.

– Sam pan to oceni – roześmiał się Hubert Meyer. – Kiedy pan zatrzyma sprawcę. Wierzę, że oddaję te informacje w dobre ręce. Może pan przekona Łysego...

– Oj, nie wiem... – Eugeniusz Kula ciężko sapnął. – Ale cieszę się, że miałem zaszczyt z panem pracować.

– Ja także – Hubert Meyer założył płaszcz. – Dziękuję. A ten ślad koła... To był dobry trop. Choć nie doprowadził do mordercy, ale do odkrycia jednego z sekretów Niny Frank. Muszę się do czegoś przyznać. Ta sprawa zmieniła moje życie... Ale to już inna historia. Powodzenia, panie Eugeniuszu.

Psycholog ruszył do wyjścia.

– Powodzenia, panie komisarzu...

– Hubert – profiler wyciągnął dłoń.

– Gienek – ścisnął ją mocno Kula i rozpromienił się.

– A ta komisja... – zająknął się profiler. – Przepraszam, że narobiłem kłopotów.

– Nieważne. Poradzę sobie. Proszę na siebie uważać. Zawsze jest pan tu mile widziany – Eugeniusz Kula odprowadził gościa aż do wyjścia, kiedy nagle coś sobie przypomniał, kazał poczekać i zawrócił.

– Chwileczkę...

Pogrzebał w szufladzie biurka i wyciągnął białą kopertę z naklejką „Dzieje Wieków”.

– Pani Lidia prosiła to panu przekazać. Sama nie wychodzi z domu od czasu tej afery z babami z wioski. Wyjąłem to dziś rano z sejfu Gminnego Ośrodka Kultury.

Profiler zamierzał obejrzeć zawiniątko w aucie, ale natarczywy wzrok Eugeniusza Kuli zmusił go do rozpakowania bąbelkowej koperty w gabinecie kierownika posterunku. Wewnątrz znalazł plik wycinków na temat Niny Frank. Zdziwił się. Niedbałym gestem wytrząsnął je na stół. Spomiędzy nich wypadła opakowana w czerwony papier płyta kompaktowa.

– Co to? – szepnął Kula.

– Chyba wiem... Tego szukałem... – odrzekł cicho profiler. Niecierpliwie rozerwał papier. Na płycie CD wodoodpornym flamastrem wykligrafowano: Dziennik internetowy Niny Frank.

Kiedy Hubert Meyer wyszedł z posterunku, było już kompletnie ciemno. Zerknął na zegarek – dochodziła dziewiętnasta. Na drodze w kierunku wsi Tokary nie było nikogo. Las z obu stron nie przepuszczał światła. Tego wieczoru nie było widać księżyca. Psycholog włączył długie i wpatrywał się w padające grube płatki śniegu. Wirowały przed reflektorami, rozbijając się na masce i przedniej szybie auta. Czuł się, jakby leciał rakieta po rozgwieżdżonym niebie. Przebywanie w otchłani białych drobinek działało uspokajająco. Przyśpieszył. Minął stojący na poboczu jeep straży granicznej. Z powodu zimna pogranicznicy siedzieli w wozie i nawet go nie zatrzymywali. Zaparkował swoje auto przed niebieską kapliczką i stwierdził z ulgą, że jeszcze wewnątrz pałą się światła. Drewniany mostek, zbudowany na bagnie, trząsł się pod nim, gdy szedł w kierunku cerkiewki. Zardzewiałe zawiasy kutej ręcznie bramki zaskrzypiały złowrogo. Ale po chwili znów zapadła ta obezwładniająca cisza. Wśród wbitych w ziemię

prawosławnych krzyży unosił się zapach palonych świec i kadzidła. Pokonał kilka betonowych schodków i popchnął drzwi cerkwi. Otworzyły się bezgłośnie. Wewnątrz znajdował się malowany ikonostas i mnóstwo kwiatów, choć była zima. Po chwili zza „carskich wrót” wyszedł batiuszka Aleksander Koczuk. Brązowa broda sięgała mu do piersi. Czarna sutanna była uwalana czymś białym. W rękę pop trzymał ściereczkę do kurzu.

– Sława Hospodu i Isusu Chrystu – powitał gościa i spojrzał na niego badawczo. Od czasu ostatniego ekscesu z żoną zmienił się nie do poznania. Schudł i spoważniał. Pościł, podczas kazań wciąż przypominał o grzechu. Jego metamorfoza przerażała tutejszych mieszkańców – za przywódcę duchowego woleli mieć człowieka z krwi i kości niż męczennika, prawie świętego. Teraz bali się go. Zwłaszcza że z dalszych części Polski zaczęli do niego przyjeżdżać ludzie z prośbą o modlitwę. Wieść niesła, że przywraca ludziom zdrowie. O tym wszystkim Meyer wiedział jedynie z opowieści podkomisarza Kuli. Dziś po raz pierwszy w życiu miał okazję rozmawiać z popem. Co tu ukrywać – czuł się nieswojo.

– Dobry wieczór – odpowiedział spłoszony.

– Co pana sprowadza? Już po wieczerni.

– Chciałbym zamówić mszę. Czy to możliwe, jeśli jestem innego wyznania?

– A wierzy pan w Boga?

Meyer zamyślił się. – Sam nie wiem... Tak naprawdę, chciałbym zostawić ofiarę na cerkiew.

– Proszę bardzo – pop wskazał skrzynkę przy wejściu.

Profiler podszedł do niedużego pojemnika zbitego z deszczulek, na której napisano po staro-cerkiewno-słowiańsku: „żertwa”. Wyjął z kieszeni obrączkę i próbował ją wcisnąć przez niewielki otwór.

– Nie zmieści się. Położę obok.

Pop patrzył na Meyera chwilę, po czym skinął głową. – Za kogo mam się pomodlić? To ma być w pana intencji?

– Nie – gwałtownie zareagował Meyer. – W intencji kobiety. Czy imię wystarczy?

– Tak.

– Kinga – powiedział szeptem komisarz. Miał wrażenie, że batiuszka przewierca go wzrokiem na wylot.

– Dobrze, jutro podczas liturgii będziemy się za nią modlić. A jak panu na imię?

– Hubert.

– Sława wo wieki – odrzekł pop.

– Sława – odruchowo odrzekł Meyer i odwrócił się do wyjścia.

Zimne powietrze na zewnątrz zwróciło mu moc w ciele. Miał teraz poczucie lekkości, spokoju i dobrze wykonanego obowiązku. Spojrzał na ślad obrączki. Biały cieniutki pasek – zarzewie nowego życia. To cieszyło go najbardziej. Miał przed sobą czystą, białą kartę.

Rozdział 28

Pierwsza śmierć

„Przestrzegaj ograniczeń prędkości”

*M*iałam poczucie lekkości i spokoju: zarzewie nowego życia. To cieszyło mnie najbardziej. Czysta, biała karta. Szykowałam się do ślubu. Suknię zamówiłam u Goni Białobrzeskiej, najbardziej snobistycznej polskiej projektantki, która jeszcze dwa tygodnie temu wystawiała swoją kolekcję na Schodach Hiszpańskich w Rzymie. Mariusz poznał mnie ze swoimi rodzicami, jego ojciec był mną zachwycony, matka uczyła mnie gotować. Z ladacznicy zamieniłam się w dobrze wychowaną, świetnie zapowiadającą się młodą aktoreczkę, której rodzice już nie żyją. Wzruszył ich mój wymyślony los sierotki i starali się zapewnić mi rodzinny dom, jakiego zabrakło mi tak nagle... Grałam tę rolę z przyjemnością. Włosy upinałam grzecznie w kok i przechadzałam się u boku mego przystojnego narzeczonego po bankietach warszawki. Odkąd nasze zdjęcia pojawiły się na ostatnich stronach plotkarskich pism, a „Gala” zaproponowała nam wywiad i zapowiedziała kupienie na wyłączność naszych ślubnych fotografii, moje akcje w filmowym świecie zaczęły rosnąć.

Słońce zaglądało do mojej sypialni. Patrzyłam na kropelki wody spływające wolno po szybie, kiedy Mariusz stanął w drzwiach z kopertą w dłoni. – Nie, proszę, od samego rana znów ten ślub... – jęknęłam, myśląc, że chce, żebyśmy się w końcu zdecydowali na rodzaj zaproszeń.

– Kochanie, to coś lepszego... – uśmiechnął się zadowolony. – Do ciebie...
Odl... fiu, fiu! – gwizdnął.

Przeciągałam się, gdy podał mi kopertę. Była otwarta. Spojrzałam na niego wymownie.

– I tak wiedziałem, co jest w środku – wytłumaczył się. Zdjął marynarkę. Precyzyjnie powiesił ją na oparciu krzesła, by się nie pogniotła, i usiadł na brzegu łóżka, zawijając wcześniej prześcieradło. Denerwował mnie ten jego higieniczny sposób bycia. Zakryłam się szczelnie kołdrą i wyciągnęłam z koperty złożony trzykrotnie kremowy, jak słodkie capuccino, blankiet. Zamarłam. To było oficjalne zaproszenie na galę urodzinową legendarnego polskiego reżysera! Zaproszenie ważne dla dwóch osób. Objęłam go i ucałowałam.

– Ojej! Pójdiesz ze mną?

– Jeśli mnie zaprosisz... – utulił głowę między moje piersi schowane pod kołdrą. – Czy życie nie jest piękne?

– Jest, zwłaszcza z tobą... – dodałam. – Co ja założę? – jęknęłam. – Jak mam się ubrać? Och, będzie pewnie Grażyna Szapołowska, Kasia Figura, zaśpiewa Anna Maria Jopek... – podniecałam się.

– W zasadzie to wpadłem tylko na chwilę, żeby ci to wręczyć – Mariusz zerknął na zegarek. – Słoneczko, jadę dziś w delegację. Wrócę do środy, obiecuję. Przyjadę po ciebie wieczorem, za tydzień. Wiem, że będziesz zjawiskowa. A na miejscu pogadamy, z kim trzeba...

Wierzyłam, że jest szczerym, dobrze wychowanym mężczyzną. Nie ujawniał żadnych utajonych skłonności sadomasochistycznych. Nie pragnął mnie poniżać, patrzeć, jak uprawiam seks z innymi. Był inteligentny, wypielegnowany i pragnął żony, która stworzy mu ognisko domowe. Tak twierdził. Oczywiście życie zweryfikowało moje złudzenia. Ale wtedy nie wnikałam zbyt głęboko w jego intencje. By go zdobyć, naopowiadałam mu dziesiątki bajek. O sobie, swoim życiu i chciałam wierzyć, że skoro oświadczył mi się zaledwie dwa miesiące od poznania, to naprawdę mnie kocha. Widzi moje nowe oblicze i bierze je za prawdę. Poniekąd ja sama przez chwilę w nie uwierzyłam. Jedyne, czego wtedy pragnęłam, to odciąć się od starego, zapleśniałego życia i nigdy już doń nie wracać. Choć był ode mnie starszy o dziewięć lat, to czasem miałam wrażenie, że rozmawiam z naiwnym chłopcem, któremu życie oszczędziło negatywnych przeżyć. Miałam nadzieję, że Mariusz nigdy się nie dowie prawdy o mojej przeszłości. I że nic i nikt nie zrujnuje mojego nowego świata. Dlatego postanowiłam odciąć się od starego. Pierwszym krokiem było opuszczenie tego apartamentu, w którym uprawiałam diabelskie harce. I czasem, zwłaszcza w nocy, budziły się we mnie demony.

– A co to? – spytał Mariusz, wskazując na rząd walizek stojących w progu.

– *A nic, przeprowadzam się. To mieszkanie mnie męczy, jest zbyt nowobogackie. Wystawiam je na sprzedaż... – skłamałam.*

– *Po co? Przecież za miesiąc, jak skończy się remont w naszym gniazdku, przeprowadzisz się do mnie. Czy jest sens teraz robić zamieszanie?* – *spytał. W jego przestodżonym głosie wyczułam nutkę podejrziwości.*

– *Misiu, proszę cię. Już dałam zaliczkę. To ostatni miesiąc mojej wolności, daj mi szansę...* – *zaćwierkałam równie landrynkowo. – Idź już, spóźnisz się.*

Chciałam, żeby Mariusz jak najszybciej wyszedł, bo zaraz miał zadzwonić On. A ponieważ rzadko mnie widywał, nie przepuści okazji, gdy to ja mam interes go zobaczyć. Kiedy tylko mój przyszły mąż zamknął drzwi, wykręciłam numer telefonu.

– *To ja. Mam nadzieję, że pamiętasz. Dziś przyjeżdża firma przeprowadzkowa. Możemy się spotkać za godzinę, przekażę ci klucze – zakomunikowałam chłodno.*

Zakastał trzykrotnie. – Nie chcesz tam jeszcze pomieszkać, Rusatko? Przecież wiesz, że to dla mnie przyjemność. W ogóle możesz zatrzymać to mieszkanie...

– *Nie chcę od ciebie żadnych prezentów – odpowiedziałam stanowczo. – I nie nazywaj mnie tak.*

– *Jak?* – *udał, że nie wie, o co chodzi.*

– *Rusatko – ledwie przeszło mi to przez gardło.*

– *Dlaczego? Przecież nie ma w tym nic złego. Kiedyś lubiłaś...*

– *Ale już nie – przerwałam mu gwałtownie. Chyba zbyt gwałtownie, bo stał się mniej miły.*

– *Godzę się na twoje małżeństwo, czy to ci nie wystarcza?* – *wychrypiał, ledwie powstrzymując się od dalszych wyrzutów. Na pomoc przyszedł mi jego nagły atak kaszlu. Zastonił na chwilę słuchawkę.*

– *Daj spokój – starałam się go udobruchać. – Nie kłóćmy się...*

Słuchanie jego głosu okropnie mnie męczyło. Irytował mnie nawet przez telefon. A gdy wyobraziłam sobie, że musiałabym wysłuchiwać jego wyznań na żywo, aż usiadłam zniechęcona.

– *Wiesz, chyba jednak zostawię klucze u portiera. Muszę już lecieć, wracaj do zdrowia – odłożyłam słuchawkę, nie czekając, aż zacznie mnie prosić o spotkanie. Oczywiście po chwili zadzwonił. Patrzyłam na aparat i zagryzałam zęby ze złości. Ręce mi drżały. Tłumiona przez lata agresja dawała o sobie znać. Jak ten facet*

mnie wkurzał! Jego oblesne epitety, moja uległość – nie mogłam sobie wytłumaczyć, dlaczego godziłam się na to wszystko. Jak dobrze, że już koniec tej tragikomedii! Dotknęłam tatuażu za uchem i znów opadła mnie bezsilność. Przecież on mnie nigdy nie zostawi w spokoju. Zawarłam pakt z diabłem... Westchnęłam ciężko. Od miesięcy mnie nękał. Był uparty, wszystko sprawdzał, śledził mnie, nachodził. Myślałam, że już nigdy nie wypuści mnie ze swoich szponów. Przyplącałam rozmowy i spotkania z nim nerwicą. Palłam więcej. Wybuchalam złością bez powodu, wyżywałam się na ludziach w sklepie, na planie. Czasem i Mariuszowi się dostawało, choć przecież był niewinny.

A On? Już mnie nie obchodził. Listy, które wysyłał, wrzucałam nieczytane do kosza albo oddawałam listonoszowi, by je przestał z powrotem do nadawcy. Nie przyjmowałam kwiatów. Czasem odłączałam z gniazdka telefon, bo bałam się, że odbiorę i wygarnę mu, co myślę naprawdę. Dlaczego drżałam, gdy dzwonił i na wyświetlaczu rozpoznawałam jeden z jego numerów? Dlaczego bałam się, że spotka kiedyś Mariusza i wypiewa mu wszystko o nas i naszym chorym związku? Tak, wołałam go nie denerwować. I nie psuć jego poczucia, że jeszcze minimalnie mi na nim zależy. A ten ślub, to tylko taki mój kaprys, niech tak myśli. Przecież wie, że jestem taką samą wariatką jak on... – podtrzymywałam go w tym iluzorycznym przekonaniu.

– Nikt cię lepiej nie zna niż ja – krzyczał wściekły, gdy powiedziałam, że z nami koniec. – Z nikim nie będziesz już szczęśliwa – brzmiało jak klątwa. Wtedy trzasnęłam drzwiami, ale jego głos wiele razy przesładował mnie w snach.

Kiedy telefon przestał dzwonić, rozległ się sygnał komórki. No tak, uparta bestia. Tchórzliwie ukryłam aparat pod poduszką. Stłumiona melodyjka była mniej denerwująca. W końcu sygnał całkiem ucichł. Podeszłam do szafy i zdjęłam ostatnie rzeczy z wieszaków. Załowałam tych sukienek, ale nie mogłam ich zabrać. Zbyt przypominały pewne wydarzenia. Wrzuciłam je do pudelka i wystawiłam za drzwi. – Nie chcę więcej o tym pamiętać – powiedziałam do siebie.

Kiedy wszystko było już spakowane, a ja ubrana w dzinsy, sweterek i trampki czekałam, poprawiając makijaż, zadzwonił domofon. Otworzyłam drzwi i wpuściłam ludzi w granatowych kombinezonach. Zaczęli wynosić pudła i walizki. Wyposażenie wnętrza zostało: telewizor, sprzęt grający, płyty, książki, sprzęty kuchenne i naczynia. Wszystko, co mi kupił, chciałam zostawić za tymi drzwiami.

Chciałam zacząć od nowa. Moja *carte blanche*. Założyłam plecak. Po raz ostatni odwróciłam się i omiotłam pokój pożegnaniem spojrzeniem. Nie zauważyłam nic, co chciałabym wziąć ze sobą. Schodząc po schodach myślałam, że odcinam wszystkie kotwice i czuję, jak rosną mi skrzydła.

Wtedy na pierwszym piętrze otworzyły się drzwi. Na klatkę wybiegła rozśmiana nastolatka z torbą przewieszoną przez ramię. – Mamo, mówiłam ci. Już nie zdążę zjeść. Spieszę się – krzyknęła. Kobieta, która wychylała się zza drzwi, patrzyła za dziewczyną z dumą i radością. W rękach miała talerz z parującym obiadem i sztucce. – Och, dzieci. Wydaje się wam, że wasze sprawy są najważniejsze na świecie. Biegniecie na osłep. A potem i tak wracacie do rodziców po pomoc ... – zwróciła się do mnie, bo córka zniknęła już na zewnątrz. Wzruszyłam ramionami, a ona rozłożyła ręce w geście zrozumienia i zamknęła na powrót drzwi od mieszkania. Nie była smutna. W jej oczach była raczej pobłażliwość, jakby wszystko wiedziała i rozumiała. Mądra, doświadczona kobieta. Matka.

Dlaczego jej słowa tak mnie poruszyły? Czyżby trafiła w sedno? W ten skrywany wstydliwie bagaż, który nijak nie mieścił się w żadnej z moich estetycznych szuflad i wciąż wystawał na zewnątrz, choć wszystkimi siłami starałam się go ukryć przed wzrokiem obcych. Jak to się stało, że mieszkając tutaj ponad cztery lata, nie zauważyłam wcześniej ani nastolatki, ani jej mamy. Nigdy ich nie spotkałam. Zamyśliłam się i mimowolnie moje myśli powędrowały do ulicy Armii Krajowej 13.

Przecież ja też mam matkę! Odkąd wyjechałam, nie dałam znaku życia... Czulałam, że mi słabo. Nasza ostatnia rozmowa była tak straszna. Co się z nią dzieje? Jak sobie radzi?

Dopiero mężczyzna w kombinezonie wyrwał mnie z rozmyślań.

– Proszę pani, dokąd jedziemy? Halo!

– A, tak – obudziłam się jak z letargu. – Aleje Ujazdowskie 125. Tylko zostawię coś w portierni.

Szłam do ciecia, żeby przekazać mu klucz, i myślałam, że jedyne, czego teraz pragnę, to porozmawiać z mamą. Pogodzić się z nią, wypłakać. Zakopać topór wojenny. Zaprosić ją na ślub... Może mi wybaczy? Przecież zaczynam od nowa, chcę znów być dobra.

– Czy możecie te rzeczy tam zostawić? Tu są klucze do nowego mieszkania. Odbiorę je w waszym biurze. Muszę coś pilnie załatwić – powiedziałam.

Mężczyźni w kombinezonach spojrzeli po sobie skonsternowani.

– Tak, oczywiście – bąknął ten wyglądający na ich prowadzycy. – Ale jak coś zginię, to nie nasza wina.

– Nie mam tu nic wartościowego – machnęłam ręką i wsiadłam do swojego Peugeota 306. Włączyłam muzykę i skierowałam się do ulicy Radzywińskiej i wylotówkę na Białystok.

Była piękna pogoda. Słońce odbijało się od szyby, więc założyłam okulary. Widok przez zielone oprawki był jeszcze bardziej optymistyczny. Zatrzymałam się w kwiaciarni przy drodze i kupiłam słoneczniki – ulubione kwiaty mamy. – Ciasto kupię w cukierni pani Jadzi, już na miejscu – postanowiłam. Zastanawiałam się, czy może lepiej najpierw zadzwonić... Ale nie, po tylu latach? Telefon? Co powiem? A jak odłoży słuchawkę... Nie, pojadę bez zapowiedzi... I tak nie mam dziś nic do zrobienia.

Stałam na światłach. Obok mnie zatrzymał się zdezelowany maluch pełen ludzi. To cud, że ten grat jeździł! Gruba baba krzyczała coś do kierowcy, pewnie męża, a ten wymachiwał rękami. – Sama jedź, jak wiesz lepiej! – dobiegały mnie ich wzburzone głosy. Dwójka dzieci siedziała w milczeniu, nie zwracając uwagi na krzyki rodziców. Chłopak w czapce z daszkiem majstrował przy radiu, dziewczyna o bezmyślnym wyrazie twarzy żuła gumę. Szczeka jej chodziła mechanicznie, to w prawo, to w lewo, jak krowie na pastwisku. – Trrrrr! – podskoczyłam. I spojrzalam odruchowo do góry na światła: zielone. Kierowca za mną niecierpliwił się. Trąbił przeraźliwie. Pokazywał ręką zmieniającą się właśnie sygnalizację. Włączyłam jedynekę, ale zaraz wrzuciłam na luz.

– Już czerwone palancie, czekaj – powiedziałam do siebie, a jemu pokazałam środkowy palec.

Z wściekłości wychylił głowę i wygrażał pięścią. Kiedy nie reagowałam, a też zaczęłam trąbić, wyminął mnie i stanął w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była rodzinka we fracie.

– No tak, baba za kierownicą! Kto ci dał prawo jazdy, idiotko! – wrzeszczał coraz głośniej.

– Uważaj, bo się opluteś – pokiwałam głową i zamknęłam szyby. Zrobiłam głośniej radio. Trąbka Davisa ukoiliła moją wściekłość. Rozwścieczony człowiek zza szyby wyglądał groteskowo, aż rozbawił mnie ten widok. Ale szybko się znudziłam, odwróciłam głowę. Włączyłam klimatyzację. Przypominałam sobie, że kiedyś

klima była dla mnie wyznacznikiem luksusu. Wtedy, gdy jechaliśmy nad morze z Jakubem. Boże, to wydaje się tak dawno temu. Zamierzczyła przeszłość...

Kiedy tylko przekroczyłam most na Bugu, słońce ukryło się za chmurami. Jakby ktoś jednym ruchem pstryknął włącznik i zgasił światło. Ponura rzeczywistość popsuta mi humor. Zdjęłam okulary przeciwsłoneczne. Poczulałam się nieswojo. Krajobraz tak bardzo różnił się od krajobrazu wielkiego miasta. Już zapomniałam, jak tu jest: ludzie chodzili przy drodze, nie było chodników, babki w chustach wiązanych pod brodą niosły bańki z mlekiem. Pomyślałam, że cywilizacja wchodzi w ich życie wolniej. Mój wypucowany samochód dawał mi światelkiem znak, że kończy się paliwo. Kolejne zderzenie z rzeczywistością wschodu, Polski B. Na tej stacji nie można płacić kartą. Zdenerwowałam się. Kiedy chciałam skorzystać z toalety, podali mi klucz, ale zaraz im go oddałam. Straszny brud sprawił, że nie byłam w stanie nawet umyć rąk, a co dopiero się wysikać. Postanowiłam zatrzymać się w lesie. Jechałam z duszą na ramieniu, że zaraz skończy się benzyna. Lampka rezerwy błyskała ostrzegawczo. Do jedynej stacji w okolicy, która akceptowała plastikowe pieniądze, było 20 kilometrów. Ta podróż stawiała się hipnotyczną wycieczką w przeszłość. Atakowały mnie wspomnienia. Czulałam się jak stary człowiek, który po latach wraca w rodzinne strony, lecz wszystko wygląda już całkiem inaczej, niż to zapamiętał.

Miasteczko w moich wspomnieniach było sliczne, pełne zieleni i słodko spokojne. Tymczasem, kiedy minęłam tablicę, okazało się, że kolorem dominującym jest szarość, przetykana co jakiś czas wulgarnie kolorowymi, plastikowymi akcentami. Budynki były małe, brzydkie, a nawet jeśli odnowione, to pomalowane tak obrzydliwie jaskrawą farbą, że ten, kto to zlecił, musiał chyba być ślepcem. To się nazywa rewitalizacja miasta – czytałam o tym w prasie. Komunistyczne klocki krzyczały do przechodniów trawiastą zielenią, wściekłym różem, fioletem i kanarkową żółcią. Taką kakofonię barw można było zaakceptować jedynie po pijanemu. Wałęsały się psy, po jezdni ciągnęły się furmanki tamujące ruch.

Czulałam ten specyficzny zapach biedy, typowy dla małych miasteczek, które dawno za sobą mają lata świetności, gdzie jeden zakład meblarski czy szwalnia utrzymywały połowę mieszkańców przy życiu. Dziś fabryka upadła, a jeśli istnieje, zatrudnia jedną dziesiątą dotychczasowych pracowników, reszta mieszkańców żyje z dnia na dzień z zasiłku. Oczywiście cukierni, w której chciałam kupić ciasto, też już nie było. Weszłam do ogromnego, bezdusznego dyskontu, gdzie towar leżał w kartonowych pudłach, zamiast na półkach. Poczulałam się obco. Ściągałam

spojrzenia klientów, ale jako atrakcja, nie ktoś z nich. Byłam zbyt czysta, zbyt wymuskana. Płacąc za gumową szarlotkę z zapyziałej lodówki, cieszyłam się, że mam nowe przebranie, w którym nikt z tutejszych mnie nie rozpozna.

Obsesyjnie rozmyślałam o tym, co powiem matce. Jak zacznę? Czy mnie przyjmie? Co zrobię, jak mnie wyrzuci za drzwi? Liczyłam po cichu, że mama ma takie poglądy jak moja sąsiadka... – Dzieci. Wydaje się wam, że wasze sprawy są najważniejsze na świecie. Biegniecie na oślep. A kiedy nie ma nikogo i tak wracacie do rodziców po pomoc...

– A jeśli nie? Jeśli mi nie wybaczy? Co pomyśli? Przyjeżdżam tu nowiutkim samochodem, w markowych ciuchach, z telefonem komórkowym i w okularach od Dolce&Gabbana...

Postanowiłam najpierw przejechać obok zawodówki i technikum, w której pracowała. Ogromny, szary gmach widać było z daleka. Serce waliło mi tak mocno, że niemal słyszałam jego łomot. Zapaliłam z nerwów papierosa, ale zaraz zgasiłam – przecież zaraz wyczuje dym...

Nowe skrzydło szkoły było odnowione, reszta świeciła pustką. W salach warsztatowych, gdzie za moich czasów stolarze, tokarze, ślusarze uczyli się fachu, większość okien była brudna i zaklejona papierem. Niższe kondygnacje zabito deskami. – Co jest? Co tu się stało? – spytałam stojącego na postoju taksówkarza.

– A pani stąd? – zaciągał śpiewnie i wścibsko zajrzał do mojego auta. Skinęłam głową powstrzymując niechęć. Śmierdział potem. – Moja mama jest tu nauczycielką.

– Aha – zaciągnął się papierosem. – Jak się nazywa?

Podaliśmy nazwisko i zamartam. Wydawało mi się, że czekanie na odpowiedź trwa wieczność.

– A to nie znam – wzruszył ramionami. – Mój syn się tu uczy. Informatyki! – dodał z dumą.

– Informatyki? Kiedyś nie było takiej klasy.

– No nie. Teraz tokarzy już nie potrzebują. Pełno ich w kolejce po „kuroniówek”. Zamknęli te warsztaty. Minęło kilka lat i się budynek wali. Narkomani tu nocują – ożywił się.

– Narkomani? Tu są narkomani? – zdziwiłam się.

– Co pani? Z choinki się urwała...? A jakże, dilerka odchodzi pod szkołą. Tylko patrzeć, jak ogień wznieca – narzekał.

– Nie zna pan mojej mamy? Ona uczy tu chemii... Była dyrektorem w 84.

- Taka gruba z czarnymi włosami?
- Nie. Taka mała, blondynka z warkoczem. W okularach.
- A pani czarna... To nie wiem. Takiej nie znam. Pani wejdzie, spyta się.

Podziękowałam i pojechałam w kierunku domu. Jeśli mam być wyrzucona za drzwi, wolałam nie przy całej szkole... Widok mojego własnego bloku, w którym się wychowywałam, też ścisnął za serce. Elewacja budynku tuszczyła się. Drzwi do klatki, częściowo wytłamane, wisiały smętnie na jednym zawiasie. Ogródek mamy ktoś zamienił w wydeptany kawałek trawnika. Więcej było na nim śmieci niż trawy. Pod schodami dostrzegłam kawałek płotku, który kiedyś każdego lata malowałyśmy na biało. Całe uwalane farbą bieglyśmy szybko do kąpieli, zanim farba wyschnie na skórze. Śmiechu było przy tym co niemiara. Teraz przy ścianie budynku stała ławka, pod którą dziesiątki niedopałków i puszek po piwie tworzyły obrzydliwy dywan. Siedzieli na niej dwaj może dziesięcioletni chłopcy. Bawili się wyszczerbionym nożem, który wbijali w ziemię.

Zaparkowałam pod domem i z satysfakcją stwierdziłam, że na parterze poruszyła się firanka. – Pani Gryńiewicz czuwa – uśmiechnęłam się mimowolnie. Jedyne, co się nie zmieniło...

Wyciągnęłam z bagażnika słoneczniki, gumową szarlotkę i na nogach jak z waty ruszyłam w kierunku schodów. Przed wejściem spojrzałam w górę i znów poczułam przyspieszone bicie serca. Nasze okno było zasłonięte. Na parapecie nie było kwiatków doniczkowych. Dziwne. Mama nawet na pustyni wyhodowałaby paprotki. Dlaczego wszystko w tak krótkim czasie zamieniło się w przeraźliwie smutny slums.

– Muszę ją stąd wyrwać – postanowiłam. – Cokolwiek by się działo.

Wspinałam się po śmierdzącej, dawno nieremontowanej klatce schodowej, starając się stąpać jak najciszej. Kątem oka zerknęłam na skrzynkę. Była pełna korespondencji. – Czyżby mama wyjechała? – zastanawiałam się. Zatrzymałam się przed drzwiami z numerem 10 i wpatrywałam w wizjer. Bałam się zadzwonić. Strach paraliżował mnie, ale wiedziałam, że muszę się z nim zmierzyć, stanąć z nim twarzą w twarz. Jakieś dzieci białawie zbiegły z góry, uderzając piłką o schody. Potrąciły mnie, a kiedy się odwróciłam, siedmioletnia dziewczynka upatrywała się we mnie z ciekawością. – Dzień dobry – powiedziała grzecznie. Odpowiedziałam jej i natychmiast zapukałam do drzwi. Cisza. Zastukałam mocno. Poprawiłam włosy, nacisnęłam klamkę. Zamknięte. Stałam dłuższą

chwile przed drzwiami, wpatrywałam w ozdobne blachy: jedynekę i zero, które jeszcze sama przybijałam z mamą. Usłyszałam szepty dzieci dwa piętra niżej. – Hej – krzyknęłam, sama nie rozumiejąc własnego zachowania. Ale dobiegł mnie jedynie tupot zbiegających stóp.

Rozejrzałam się bezradnie i mój wzrok zatrzymał się na sąsiednich drzwiach. – Pani Marczukowa! – olśniło mnie. – Ona na pewno jest w domu.

Podeszłam do dziewiątki. Nacisnęłam guzik. Rozległ się staroświecki dzwonek, który natychmiast uruchomił wspomnienia z dzieciństwa. Otworzyła mi starsza pani o błękitnych włosach. Uśmiechnęłam się na ten widok – od zawsze pani Wala używała błękitnej lub fioletowej płukanki, by ukryć siwiznę. Z jej mieszkania dochodził stłumiony głos spikera telewizyjnego zapowiadającego prognozę pogody, a klatkę schodową oswoił zapach domowego ciasta.

– Dzień dobry, pani Walu. To ja, Agnieszka. Nie wie pani, o której wróci mama? – powiedziałam radośnie. Ona jednak wytrzeszczyła oczy, jakby zobaczyła ducha. Samson, nasz kot wyszedł z korytarza i zamruczał. Poznał mnie, zaczął się lasić.

– Samson tutaj? – spytałam zaniepokojona. – Czy coś się stało?

Dlaczego ona tak stoi i nic nie mówi? Znała mnie przecież od dziecka. Często u niej czekałam po lekcjach, gdy zapominałam klucza. Mama i pani Wala chodziły na spacer, zwierzały się sobie. Łączyła je nić porozumienia, choć dzieliła duża różnica wieku, jakieś trzydzieści lat. Zawsze zapraszała nas na wigilię katolicką i częstowała karpem w galarecie, którego nie cierpiałam. Robiła pyszną salatkę jarzynową. Jej dom lśnił czystością, a przed świętami pomagałam jej myć okna.

– Zmieniłaś się – wyszeptala i otworzyła szerzej drzwi. – Czyba widziałam cię w telewizji... Wejść.

– Gdzie jest mama? – prawie płakałam. Wydawało mi się, że jestem gotowa usłyszeć najgorszą prawdę. Nawet, jeśli pani Wala wie wszystko i nie chce mnie znać. – Co się stało, proszę mi powiedzieć... – prosiłam.

Staruszka posadziła mnie na krześle. Nastawiła wodę w czajniku i w milczeniu nasypywała do szklanek herbatę. Podalałam jej kupioną w sklepie szarlotkę. Uśmiechnęła się smutno i wyjęła nóż z szuflady. Powoli trzęsącymi się rękami zaczęła ją kroić.

Zrozumiałam, że potrzebuje czasu na zastanowienie, jak mi to powiedzieć. Ale powie. Nie wyjdę, dopóki tego nie usłyszę. Po to tu przyjechałam...

– Gdzie jest mama? – w moim głosie była już desperacja.

Kiedy wszystkie czynności zostały wykonane i siedziałyśmy, każda po swojej stronie stołu, w milczeniu parząc sobie wargi wrzątkiem, odchrząknęła i zaczęła mówić.

– Twoja mama nie żyje.

Dopiero wtedy zobaczyłam, że sąsiadka jest w żałobie. Patrzyłam na jej sztydkową kamizelkę i skupiłam się na dziurze od guzika. Była za duża. Tak, stanowczo za duża. Zresztą guzika nie było. Zamiast niego sterczała gruba nitka zakończona suptem. Obsesyjne myślenie o brakującym guziku pozwalało mi zachować kontakt z rzeczywistością i nie zemdleć. Słuchałam jej nic nie mówiąc i unikając patrzenia w białą, pomarszczoną twarz. Nie przerywałam ani nie spieszałam. Bałam się zadawać pytania. Czułam, że coraz bardziej wrastam w krzesło. Tracę wagę. Odpływam.

– Miała raka, w zaawansowanym stadium. Były już przerzuty na płuca, wątrobę i mózg. Lekarze nie mogli nic zrobić. To było dwa tygodnie temu w domu opieki – ciągnęła pani Wala. – Pogrzeb odbył się w poniedziałek.

Dzisiaj mamy środę. Patrzyłam na nią i nie mogłam nic z siebie wydusić. Spóźniłam się dwa dni. Dwa dni. Położyłam głowę na stole i płaczem zagłuszyłam telewizor. Gładziła mnie po głowie.

– Przyszła delegacja ze szkoły. Dyrektor napisał przemówienie, ludzie płakali. Nie wiedziałam, gdzie jesteś, jak cię zawiadomić...

Pani Wala opowiadała kojącym głosem. Monotonnie. Jakby to była bajka. Tyle że historia, którą usłyszałam, wcale nie była wymyślona. Wszystko zdarzyło się naprawdę, ale nie było happy endu. Jej słowa docierały do mnie w zwolnionym tempie, jakbym w głowie miała założoną blokadę emocjonalną. Nie mogłam uwierzyć. Potrzebowałam czasu, by przyzwyczaić się do tej wiadomości. Myślałam, że zniosę wszystko, zaakceptuję każdą zastaną sytuację. Ale na wieści o śmierci nigdy nie jest się gotowym. Broniłam się przed zrozumieniem treści: moja matka nie żyje! Wszystkimi siłami pragnęłam w to wątpić. To głupi żart, sen. Koszmar, z którego za chwilę się zbudzę. Ale pani Wala trzymała mnie za rękę, ścisnęła ją tak mocno, aż bolało. To była prawda!

„– Jakies pół roku temu twoja matka zaczęła gwałtownie chudnąć. O ile wcześniej nigdy nie chorowała, w tym czasie częściej była na zwolnieniu lekarskim niż w pracy. Nie mogła nic robić. Nawet siedzieć. Twierdziła, że to dyskopia albo rwa kulszowa.

A w ogóle starość. Jaka tam starość! 48 lat? Ja mam 82 – ja to dopiero jestem stara. Wykorzystała cały zaległy urlop, żeby nie iść do szpitala na kompleksowe badania. Bała się. Być może czuła, że to coś poważnego. Teraz to wiem...

Dyrektor szkoły załatwił jej wizytę u znanego ortopedy doktora Marka Mindy. Pojechała. Zapisał jej ćwiczenia i skierował na rentę. – Pani kregostęp jest dwa razy starszy niż reszta ciała – przekonywał. Twoja mama zbagatelizowała jego rady i uparcie walczyła z bólem. Brała leki, ale z czasem przestały przynosić ulgę. Skierowali ją na badania do szpitala. Dyrektor zagroził jej, że jak nie pójdzie, wyrzuci ją z pracy. Zrobiła badania, odebrała wyniki, ale nikt ich nie zinterpretował. Nie powiedzieli jej, że to rak. Nikt nie miał odwagi. Ale po małym mieście plotki szybko się rozchodzą. Ktoś miał znajomego w szpitalu i ten na ucho, w tajemnicy wygadał, że dają jej najwyżej miesiąc życia. Informacja szybko dotarła do szkoły. Ale znów nikt nie puścił pary z ust. Wszyscy wiedzieli, tylko nie ona. Ja też dowiedziałam się przypadkiem. Któregoś dnia przyszedłam do niej pożyczyć proszek do pieczenia. Z trudem podeszła do drzwi. Przyznała się, że nie wstawiała z łóżka od trzech dni. Twierdziła, że ma ostrą biegunkę.

– Byłaś u lekarza? – spytałam.

– Tak! Nie wiedzą, co mi jest... Patałachy. Całe życie płacę na ten ZUS i teraz nikt nie może mi pomóc.

Wyciągnęła z szuflady plik kartek. Zadzwoiłam do córki i przeniósłabym tajemnicze nazwy i cyferki. Madzia zaniemówiła.

– Mama, tumor to guz... – powiedziała. Przez znajomości załatwiła wizytę u najlepszego specjalisty z Centrum Onkologii w Warszawie. Pojechaliśmy samochodem Madzi, bo twoja mama wyglądała jak cień. Nie dałaby rady dojść na przystanek autobusowy.

– To rak jelita grubego, w bardzo zaawansowanym stadium. Operacja już nic nie da – ustydzałyśmy. Trzymałam ją wtedy za rękę. Była dzielna. Ani na chwilę nie straciła panowania nad sobą. – Ile jeszcze będę żyć? – spytała.

– Tego nikt nie wie – odpowiedział lekarz.

– A według pana? – spytała. Myślałam, że zemdleję. A ona siedziała jak zwykle dumna, z oczami wbitymi w lekarza. Widzisz, chciała w końcu poznać prawdę.

– Nie wiem... Stan jest bardzo poważny...

Ordynator nie mógł znieść jej spojrzenia. Patrzył na kartkę z wynikami, które przyniosła. Były sprzed pół roku. To i tak cud, że jeszcze tam siedziała.

Potem twoja matka kazała się zawieźć do notariusza i załatwiła wszystkie sprawy. Ledwie dotarła do domu, tak była wyczerpana. Opiekowałam się nią kilka tygodni, dopóki sama mogła coś przy sobie zrobić. Poprosiła, żebym kupiła jej specjalne pampersy, bo ta biegunka już nie ustawała. Widziałam raz, co z niej leciało. Skrzępy krwi wymieszane z ropą. Przyznała się, że miała tę niby-biegunkę od trzech lat. Od trzech lat! Trzy lata z tym walczyła! Nikt jej nie mógł pomóc, bo nikt nie wiedział. Odkąd wyjechałaś, stała się samotnicą. A kto zwierza się z takich rzeczy jak biegunka obcym ludziom?

Zaczęły jej sinieć stopy, wiedziałam, że śmierć jest blisko. Nie byłam już w stanie się nią opiekować. Jestem stara, słaba. Nie dawałam rady jej podnosić, myć. Trafiała do hospicjum. I tam zmarła. Bardzo szybko.

– Czy pytała o mnie? Mówiła coś? – przetknęłam ślinę. Odważyłam się w końcu odezwać.

– Poprosiła, żeby nagrać tę reklamę piwa, w której pali ci się spódniczka, i jakoś cię odszukać. Mój zięć dotarł do firmy, która to robiła, ale odesłali go do agencji modelek. Kiedy o ciebie pytał, powiedzieli, że nie mają Agnieszki o takim nazwisku. Pokazał im to nagranie. Usłyszał, że ta modelka nazywa się inaczej. Nie chcieli już z nim rozmawiać. „Nie jesteśmy upoważnieni do podawania danych” – powiedzieli.

Byłam porażona. Rzeczywiście zakazałam podawania swojego telefonu osobom nie z branży. Pod żadnym pozorem. Ale mieli mnie informować o tym, że ktoś mnie szuka.

– Zostawił numer, wiadomość?

– Nie. Twoja matka zakazała. Powiedziała, że to widocznie ty nie chcesz z nią kontaktu. Więc już nigdy nie wspomniła o tobie ani słowem.

Kiedy znów opadłam na stół, dokończyła.

– To nawet lepiej. Już po wszystkim. Bardzo cierpiała. Nie zastąpiła na śmierć w takich męczarniach. Nawet największemu wrogowi bym tego nie życzyła.

„Dlaczego ona? To ja powinnam nie żyć!” – rozpaczalam w myślach. Wszystko było tak straszne. Nie widziałam sensu w niczym. Rano jeszcze myślałam o weselu. Cieszyłam się na jakieś głupie przyjęcie. Marzyłam o zwykłych rzeczach, które będą robić, mieć, zdobywać... Ale w obliczu śmierci wszystko wygląda inaczej. Moje dotychczasowe plany przypominały bieganie po ciemnym pokoju i obijanie się od sprzętów. Nie rozumiałam, dlaczego moje życie jest pasmem cierpienia, które sama sobie zadaję. I na dodatek krzywdę innych, najdroższych.

Brzydziłam się sobą. Niemal namacalnie czułam krew matki na własnych rękach. Nie mogłam się uspokoić, ale nie chciałam się też rozkleić u sąsiadki. Pragnęłam zatopić się we własnej rozpacz. W samotności zapłakać nad życiem matki i swoim. Dokąd pójść? Teraz naprawdę byłam kompletnie sama.

Nagle pani Wala wstała. Przyniosła klucze od naszego mieszkania, paczkę w szarym papierze i wizytówkę prawnika. Podadała mi to mówiąc:

– Jesteś jedyną spadkobierczynią. Jeśli będziesz chciała, zaprowadzę cię na cmentarz.

Podniosłam głowę i ścisnęłam słonecznik, który trzymałam na kolanach. – Nie, ja sama. Chcę sama.

Wsiadłam do samochodu i w kompletnej ciszy podjechałam pod bramę cmentarza. Oprócz mnie nie było tam nikogo. W to zaciszne miejsce, ukryte w lesnej głuszy, jako dziewczynka chodziłam na samotne spacer, by wyzalić się puszczy. Cmentarz był enklawą spokoju, oazą milczenia, gdzie wszystko, co było do powiedzenia, zostało już powiedziane. Grób matki odnalazłam bez trudu. Wokół wieńców w rzędach paliły się świeże znicze. Kto je przyniósł? Uklękłam na ziemi i położyłam kwiaty. – Mamo, wybacz – wtuliłam się we wstęgi z napisem „Ostatnie pożegnanie”. Plastikowe kwiaty drapały mi twarz, tylko moje słoneczniki były żywe.

– To nieprawda, że nie chciałam się z tobą zobaczyć. To nie tak! Przecież jestem... Kocham cię!

Szeptalam prosby o przebaczenie. Klęczałam przy jej grobie i wpatrywałam się w tabliczkę na sosnowym krzyżu, jakby to były drzwi, za którymi się jedynie schowała. Czekałam, aż wyjdzie, roześmieje się z własnego dowcipu. Ale oczywiście nic takiego nie mogło się zdarzyć. Próbowałam przekonać siebie, że ona jest tu, pod ziemią. I dotarło do mnie, że już nigdy jej nie zobaczę. Nigdy nie porozmawiamy, nie otrzymam od niej wybaczenia.

Przypominałam sobie, jak plewiła bratki, śmiała się, żartowała. Jaka była śliczna i szczęśliwa, gdy wróciłam z obozu żeglarskiego. Jaka zrozpaczona, gdy wychodziłam, by nigdy nie wrócić. I wyobraziłam sobie, jak leży samotnie na szpitalnym łóżku z metalową barierką, myśląc, że ja nie chcę jej widzieć.

Chciałam umrzeć. Czułam się zmęczona, wypalona. Pragnęłam odkupienia, ale moja wiara była widać zbyt słaba, bo gdy usłyszałam stłumiony dzwonek komórki, podniosłam głowę i prawie sięgnęłam do plecaka. Jak dziwnie ten

sygnał brzmiał na cmentarzu? Cofnęłam rękę. Nie chciałam odbierać. Wyjęłam za to szarą paczkę związaną sznurkiem i patrzyłam bojąc się, co znajdę wewnątrz. Już byłam bliska jej otworzenia, gdy telefon piknął ponownie. Przyszła wiadomość.

– Mamo, co robić? Jak żyć? – podeszłam do tabliczki. Ucałowałam ją w miejscu, gdzie było jej imię. Uklękałam na ziemi, nie zważając na to, że pobrudzę ubranie. Mówiłam do niej czy bardziej do siebie samej? Wiedziałam, że nie otrzymam odpowiedzi. Już nie mogłam płakać.

– Co mam zrobić, żebyś mi wybaczyła? Dlaczego mi tego wszystkiego nie powiedziałaś? Czy on naprawdę jest moim ojcem? Czy to przeze mnie nie żyjesz? Tak, jesteś moją ofiarą, czuję to. Pierwszą było to dziecko. Nie zasługuję na życie, ale co mnie czeka po śmierci? Przecież byłam już w piekle...

Zaczęło się ściemniać. Drżałam z zimna. Wstałam z kolan i poczułam mrowienie w zdrtwiałych stopach. – Nie mam sił oglądać twojego mieszkania. Tam pewnie jest twój duch, moje demony... Chcę do swojego domu – zwróciłam się do niej, jakby żyła. Na trzęsących się nogach wsiałam do samochodu, ruszyłam do Warszawy. Zapaliłam papierosa, wiatr gwizdał mi w uszach, wspomnienia rozdzierały serce.

Przed sobą widziałam tylko czarną przestrzeń, a mijające mnie samochody wydawały odgłos: „wiiuu”. Szybkościomierz dochodził do 140. Przycisnęłam jeszcze gaz. Skupianie się na prowadzeniu przynosiło ulgę. Czulałam, że uciekam od wszystkiego, a przede wszystkim od samej siebie. Chciałam, bym ja-Zła nie dogoniła nigdy tej mnie-Dobrej. Jechałam coraz szybciej. Wyprzedzałam na trzeciego. Moja stopa była ciężka, jak z ołowiu. Czasem, gdy niemal strącałam lusterka z mijanych samochodów, żołądek podchodził mi do gardła ze strachu. Jednak nie zwalniałam. Dobra parła naprzód, panicznie, rozpaczliwie próbując zgubić Złą. Przede mną była kolumna TIR-ów. Bez wahania zaczęłam je wyprzedzać. Byłam na lewym pasie już kilka minut, już widziałam wolne miejsce, kiedy z naprzeciwka wyskoczyła ciężarówka. Rozum podpowiadał schować się, wpełznąć na prawy pas, przykleić między kolumnę monstrualnych gąsienic, jak mała mróweczka. Zobaczyłam wykrzywioną wściekłością i rozpaczą twarz matki: „dziwka, kurwa, fatum”. I jej grób. Przycisnęłam gaz. Jechałam prosto na TIR-a, migał mi światłami. Trąbił, żebym zjechała. Minęłam kolumnę i mogłam bez trudu skrócić na prawy pas, ale dalej parłam naprzód. Patrzyłam na zarys postaci, zamkniętej w wielkiej jak mok kabinie. I czulałam na plecach oddech Złej.

– Masz pecha „Wojtek” – szeptała Zła do kierowcy. Jego imię odczytałam z tabliczki na przedzie. W ciemnościach nie widziałam jego twarzy, ale byłam gotowa na śmierć. Dobra chciała, by los załatwił to za mnie.

– Nie chcę żyć! Boże, zlituj się. Nie zasługuję... Wszystko, czego dotknę, niszczyć. Niech się w końcu stanie. Zrób to: zabij mnie! – krzyczałam w myślach. Silnik mego peugeotika charczał, dusił się, pracował już ostatkiem sił. Wiatr plątał moje włosy.

Nagle TIR przede mną skręcił w rów. Minęłam go w momencie, gdy przewracał się na bok. Zjechałam na prawy pas i poczułam, jak Zła rozczapierza szpony i zlewa się z Dobrą, terroryzując ją i tłamsząc. – Co? Jeszcze nie teraz? – rzuciałam przekleństwami.

Trzęsłam się chwilę po tej walce ze sobą, aż w końcu w mojej głowie zapanowała cisza. Wracały siły. Nie obchodziło mnie, co stało się z „Wojtkiem”. Zaśmiałam się szyderczo. Nie był to wesoły śmiech, a okrutny, straszny. Zła triumfowała.

– Ta śmierć nie jest dla mnie wystarczająca? Za mało okrutna dla kurwy i mordercyjni? To wiedz, że jestem prawdziwym potworem. Złem w czystej postaci. Nie mam nic do stracenia. Wszystko zdeptałam, zgwałciłam, zabiłam. I choć wiem, że mnie dosięgniesz, nie cofnę się. Nie licz, że mnie zaskoczysz.

Dalej jechałam już spokojnie. Napięcie zniknęło. Głęboko wdychałam świeże powietrze. Na mijanych polach kładły się mgły, nieodłączny element wschodniego krajobrazu. Były tutaj zawsze, niezależnie od pory roku. Zawsze magiczne i niepokojące. Może dlatego, że w tym ulotnym białym puchu mieściły się wszystkie ludzkie sekrety.

Rozdział 29

Kula przeszukuje całą wieś

„Pamiętaj, że wszystkie informacje są stronicze”

Namijanych polach kładły się mgły, nieodłączny element wschodniego krajobrazu. Były tutaj zawsze, niezależnie od pory roku. Zawsze magiczne i niepokojące. Może dlatego, że w tym ulotnym białym puchu mieściły się wszystkie ludzkie sekrety.

Kierownik mielnickiego posterunku jechał do domu spokojnie, głęboko wdychając świeże powietrze. Dumał nad tym, co powiedział mu komisarz Hubert Meyer: – On nie przestanie zabijać. Z czasem będzie zostawiał coraz mniej śladów. To perfekcjonista. Może się stać nieuchwytny. Trzeba go jak najszybciej powstrzymać.

Eugeniusz Kula tyle razy czytał sporządzony przez psychologa portret nieznanego sprawcy, że niemal znał go na pamięć. Do tego stopnia, że zdołał wyobrazić sobie fizycznie zabójcę Niny Frank. Jednak nikt, kogo znał, nie pasował w stu procentach.

Pierwszy raz w życiu szef posterunku w Mielniku kręcił się w łóżku do rana. Ani na chwilę nie zmrużył oka. W myślach analizował cechy wszystkich mężczyzn zamieszkałych w okolicy i próbował ich dopasować do profilu. Nad ranem zerwał się, cały obolały. Włożył na nos okulary i sporządził listę osób do zbadania.

Gala spała jak zabita. Nie mrugnęła nawet powieką, gdy Eugeniusz Kula chodził w kółko po pokoju, gadając do siebie. Nie obudził jej brzęcząc szklankami, gdy robił sobie mocną kawę. Napisał kartkę, by uważała na siebie i nie chodziła bez potrzeby po wsi. Wyjaśnił też, że zamknął

drzwi i musi sobie otworzyć kluczem od środka. Pewnie Gala się zdziwi, ale wolał ją ostrzec. W głowie mu się nie mieściło, że morderca mógłby wybrać akurat ją na ofiarę. Hubert Meyer przecież mówił, że sprawca będzie atakował kobiety. Każda jest w niebezpieczeństwie. Wiek nie ma znaczenia. Wystarczy, jeśli będzie przypominała mu jego matkę. Gdy Kula zatrzaskiwał drzwi od mieszkania, Gala przewróciła się na drugi bok, mruczając przy tym coś do siebie. Spojrzał na nią z czułością. Była dobrą żoną. Choć zdarzały się między nimi konflikty, to zawsze jakoś dochodzili do porozumienia. Miała najważniejszą cechę idealnej małżonki – krótką pamięć. Błyskawicznie zapominała, o co się kłócili, i nigdy nie wypominała mu jego grzechów sprzed lat. Poza tym dbała o niego, jak potrafiła, i spędzili ze sobą już 28 lat. To prawie połowa jego życia. Wiele jej zawdzięczał.

Na dworze błyszcząły jeszcze gwiazdy, kiedy szef posterunku odpalił poloneza i ruszył do pracy. Nie czuł zmęczenia ani głodu. Był skupiony i miał wyraźny plan działania. Rozpierała go energia. Nie zbesztal nawet posterunkowego Cetnarka, który zamiast czuwać, smacznie chrapał w dyżurce.

– Co tam? – potrząsnął chłopaka za kołnierz.

Ten zerwał się z krzesła i przestraszony od razu stanął na baczność. Wzrok spuścił na czubki swoich butów.

– Spokojnie, spokojnie – uśmiechnął się pod wąsem Eugeniusz Kula, czym wywołał wielką konsternację posterunkowego. Szef nigdy się tak nie zachowywał. Co się stało? Cetnarek spodziewał się raczej porządnej bury. Tymczasem Kula grzecznie poprosił, żeby wytrzymał jeszcze tylko do zmiany służby, gdy na posterunek dotrze Romek Czerwieński, i szybko wspiął się po schodach na górę. Usiadł za biurkiem, zapalił papierosa. Zatopił się w rozmyślaniach.

Morderca mógł nakręcić z miejsca zbrodni film, który ogląda i w pieleszach domowych napawa się swoją brutalnością. Policjantowi nie mieściło się to w głowie. Ale skoro Meyer tak twierdzi, to musi być prawda... Z osób, które znam, tylko Romek Czerwieński ma kamerę. Ale to chłop jak drwal. A morderca przecież jest niski i nosi wyprasowane stroje. Czerwieński po służbie zakłada wytarte dżinsy i sportowe bluzy z kapturem. Ale ogląda w telewizji filmy o zbrodniach. Dlaczego fascynuje go

makabra? Z drugiej strony to kochany chłopak: spokojny, oddany. Jednak, co w nim drzemie, tego Kula nie wiedział. Może ma drugie życie? W sumie nawet go nie znam. Nie mogę mieć pewności, że... Jego ojciec zmarł, gdy Romek był dzieckiem. Snopowiązałka urwała mu rękę, wdało się zakażenie. Po kilku tygodniach stary Czerwieński osierocił czworo chłopców. Romek był najmłodszy. Matka wychowywała ich sama... Może go dręczyła, uderzała pasem? To silna kobieta, despotyczna. Kula bił się z myślami. Chwycił kartkę i obok pierwszego nazwiska zrobił ptaszka. Potem go zmasał. Nie, przecież go znam, ufam mu. Ale... nie mogę go wykluczyć. On nie lubi psów. Boi się ich. Nie widziałem, żeby kiedykolwiek głośko jakieś zwierzę. – Przykro mi, Romek – ponownie zaznaczył posterunkowego na liście podejrzanych.

Pod numerem dwa miał braci Lendzionów. Andrzej i Rafał – z patologicznej rodziny. Tylko piją i biją się wzajemnie. Agresywni. Matka tyranka. Do przesłuchania – zakreślił. Ale ich ubranie? Przecież oni śmierdzą na odległość i nie mają samochodu! Trudno, mimo to trzeba ich przesłuchać.

Mąż Kowalczewskiej odpada, bo był w tym czasie w Belgii. Józwiak stolarz jest pedantem i nosi kraciaste koszule. Ptaszek. Ignatowicz, cieć z biblioteki, z nudów ogląda seriale. Znał Ninę Frank i interesował się jej życiem. Kilka razy Eugeniusz Kula słyszał, jak dyskutował o jej życiu z panią Lidką. Ptaszek.

Staszka Marczuka żona wyrzuciła z domu i od tamtej pory prawie 43-letni chłop mieszka z matką. Klóćą się, choć facet żyje z jej renty. Czasami bierze jakąś robotę na czarno. Meyer ostrzegwał, że morderca pracuje jako „wolny strzelec”. Czy prace na zlecenie można zaliczyć do tej kategorii? Ptaszek...

Kolejny podejrzany... Eugeniusz Kula gryzł końcówkę długopisu. Sakowicz! Nowy członek ochotniczych patroli. Tak, on jest generalnie dość dziwny. Zasypia podczas odpraw. Zapisał się do patroli stosunkowo niedawno i to tylko dlatego, że z patrolowania dostaje pięćdziesiąt złotych tygodniowo. Nie jest zbyt zaangażowany. Może chce być blisko posterunku, by uspić moją czujność? Nie uda ci się, bratku. Wyłowilem cię! Tak mocno docisnął długopis, że zamiast narysować „ptaszka” wydarł kawałek papieru.

Piekarz miał sprawę w sądzie. Podobno molestował pracownicę. To można zakwalifikować jako przestępstwo seksualne. A zresztą nosi krawat. Wygnieciony, jak wyjęty psu z gardła, ale jednak krawat.

„Kto jeszcze nosi krawat?” – kierownik posterunku wsadził długopis między zęby i intensywnie go śliniąc myślał, myślał. Wójt! Nie, on chyba nie... To osoba publiczna. Lokalna szych. Nie zabiłby aktorki. Ma zbyt wiele do stracenia. Chociaż... Kto go tam wie? Pucuje tego swojego opla, jakby to była limuzyna. Raz zrobił awanturę żonie, że marmolada z pączka spadła na tapicerkę. Do listy!

Konachowicz, właściciel sklepu? Mieszka z matką. Jak wypije, to gania dziewczuchy i składa im niewybredne propozycje... To nie jest normalne. Trzeba będzie obejrzeć jego pokój. Eugeniusz Kula potargał węża. Wpatrywał się w długą listę podejrzanych. Zapisał już całą kartkę, ale... Jakoś nie był z siebie zadowolony. Liczył nazwiska: 39. I każdy z nich trochę pasuje, jednak żaden w całości. Wszystkich przesłuchać? Wszystkich aresztować? Ludzie zaczną gadać. Wybuchnie afera. Bunt. Panika. Już widział baby rzucające w posterunek amunicją z kurzych jaj. Ale trudno, jakieś koszty musi ponieść. Byle wytypował mordercę! Ale sam? Nie dam rady... Kto może mi pomóc? Nagle do głowy wpadł mu świetny pomysł. Wyznaczy nagrodę. Niech ludzie sami doniosą, kogo widzieli pod domem Niny Frank. Trzeba sporządzić projekt plakatu.

– Cetnarek? – wychylił się z gabinetu. Posterunkowy ziewnął, nie zasłaniając twarzy dłonią. Kula mógł dokładnie obejrzeć czarne plomby w jamie ustnej starszego aspiranta.

– Tak, szefie!

– Ile godzin jesteście na dyżurze?

– Będzie z czternaście – odrzekł Cetnarek, znów powstrzymując ziewanie. – To już druga doba z rzędu.

– O której Romek będzie?

Cetnarek zmarszczył czoło. – Powinien być za pół godziny. Jak nie zaści... panie kierowniku. Ledwie we dwóch dajemy radę, ciężki czas...

– Już niedługo – pocieszył dyżurnego Eugeniusz Kula. – To idźcie do domu, wyspać się. Jak dalej będziecie tacy zaspani, nie będę miał z was pożytku. Policjant nie może być nieprzytomny – huknął tak gromko, że aż posterunkowy odruchowo stanął na baczność. Dalej już kierownik mó-

wił lżejszym tonem. – Niedługo, mam nadzieję, przydzielą nam nowego człowieka. Dopóki jednak nie załatwię sprawy z „Trąbą”, będzie trochę ciężko... No, już was nie ma!

Nagle uświadomił sobie, że nie wpisał na listę jeszcze jednego nazwiska. Alojzy Trembowiecki! On jest najbardziej podejrzany. Pedant, obsesyjnie dba o czystość, chuchro, silna matka... Niezbyt lotny, ale nie prostak. Sfrustrowany. Agresywny.

– Sam przecież widziałem, jak reaguje na krzyk. Przed biblioteką baby darły się, a on nie wyłaził z wozu! Tak! Jego najpierw muszę przesłuchać – myśli błyskawicznie przebiegały mu przez głowę. – To się nazywa olśnienie – ucieszył się. I z powrotem schował w gabinecie.

– To ja idę, panie podkomisarzu – krzyknął z dołu Cetnarek.

– Tak, tak. Do wieczora.

Pusta torba i pełny portfel – pełnia szczęścia. Malwinie Poskropko aż oczy się śmiały, gdy myślała o dzisiejszym utargu. Rano jechała z pełnym bagażem serów i mleka. Zainwestowała nawet siedem złotych w autobus do Siemiatycz. Ale pieniądze zwróciły się z nawiązką. Wszystko sprzedała, nawet ser kozi, wędzony. Jak tak dalej pójdzie, nie będzie musiała oddawać mleka do skupu za psi pieniądź. Cieszyła się na samą myśl o fortunie, którą zbije, sprzedając na bazarze w Siemiatyczach swoje wyroby mleczne. A może kiedyś otworzy gospodarstwo agroturystyczne? Trzeba przyznać, że robiła świetny twaróg według przepisu matki. Miała już nawet kilku stałych klientów, którzy tylko do niej przychodzili na zakupy. Wymachując torbą, w której brzęczała radośnie pusta aluminiowa bańka, wyszła na szosę. Poprawiła futrzaną czapkę, zapięła szczelnie kurtkę, opatulili się szalikiem, bo wiatr okrutnie smagał ją po szyi. Przeklinała się, że zostawiła kozuch w szafie. Cienka kurtka na watinie nie była odpowiednia na dzisiejszą wilgoć. Stanik pił ją, niemal nie pozwalał oddychać. Po co go zakładała? I nagle mina jej zrzedła. Uświadomiła sobie, że znów przytyła. To dlatego biustonosz nie daje jej swobodnie oddychać. Wszystko dlatego, że oprócz serów, ciasta też robiła nie najgorsze. A miała wilczy apetyt. W trakcie jednego odcinka serialu potrafiła zjeść nawet połowę sernika. I tyła, tyła... Jak tak dalej pójdzie, nigdy nie znajdzie męża. Chociaż podobno mężczyźni lubią mieć za co kobiety chwycić i ścisnąć. Tak, kochanego ciała nigdy

dosyć! – pocieszyła się błyskawicznie. Kościotrupy niech sobie w miastach szukają chłopów! Dziś ma dobry dzień, nie ma co narzekać i zadręczać się. A może okazję szybko uda się złapać? Szła zamyślona, szurając butami. Kiedy dotarła do przystanku, położyła pustą torbę na ziemi i wypatrywała auta, które szybciej, a najchętniej za darmo, odwiezie ją do Tokar. Ale samochody mijały ją w pędzie. Żaden nawet nie zwolnił. Humor psuł się dziewczynie coraz bardziej. Zwłaszcza że niebo się zachmurzyło i ściemniło. Malwina przestraszyła się, że zacznie lać. Od kilku dni ranki były słoneczne, ale po południu zbierało się na wichurę i nieboskłon wylewał z siebie śnieg z deszczem. To było gorsze niż zwykła śnieżycą. Wtedy przynajmniej nie jest tak mokro...

Nagle zakręciło jej się w nosie i kichnęła na głos. – Oho, przeziębiam się. Jeszcze tylko tego mi brakowało... – zagadała do siebie.

Czując nadchodzący kolejny „a-psik”, pochyliła się, by wyciągnąć z torby chusteczkę. Wtedy usłyszała pisk opon. Podniosła głowę, otarła nos rękawem i uśmiechnęła się do losu. Przed nią zatrzymała się biała rozklekotana furgonetka.

Gdy tylko wsiadła do auta i usadowiła się na miejscu pasażera, za oknem lunęło.

– Och, jak dobrze, że mnie pan zabrał. Zmokłabym do suchej nitki – szczebiotała. – Ostatnio był tu daszek, ale wandale go rozebrali. Człowiek nie ma się nawet gdzie skryć przed wiatrem i śnieżycą. Kiedy w końcu ta zima się skończy...

Kierowca jechał w milczeniu, wpatrzony w drogę przed sobą. Dziewczyna co jakiś czas spoglądała na jego chudą twarz. Ot, zwykły facet: ani przystojny, ani brzydki. Nie zapamiętałaby jego twarzy, choć miała wrażenie, że już go gdzieś widziała. Spojrzała na kraciastą koszulę i cieniutki krawat zasupłany pod kołnierzykiem w skomplikowany węzeł. I na chwilę zamilkła, lekko obrażona. Dziwne, facet zabiera ją z drogi i nawet nie ma ochoty pogadać. Wpatrywała się w zawieszony na lusterku wstecznym różaniec.

– Jest pan katolikiem? – zapytała. Ponieważ nadal nie wyrażał chęci do rozmowy, ciągnęła: – To tutaj rzadkość...

Pokręcił głową. Ale nie wy dobył z siebie ani jednego słowa. – A ten różaniec? – drążyła.

– Matka kazała mi zawiesić. Jest bardzo wierząca – odezwał się w końcu kierowca. Jego głos był nawet miły. Wszystkie obawy Malwiny prysły jak bańka mydlana.

– Ja tam wierzę w Boga, tylko kleru nie cierpię. Cały czas tylko mówią o grzechu. A przecież to, co ludzkie, nie powinno być im obce. Ale tak to jest, jak księża nie mają żon. Nie wiedzą, co to znaczy prawdziwe życie. Są zepsuci od wewnątrz, choć udają świętoszków – wyjaśniła z wypiekami na twarzy, jakby wyzywała kierowcę na pojedynek.

– To kobiety są grzeszne. Ewa skusiła Adama. Dobrze, że księża żyją w celibacie.

– A pan chciałby żyć w celibacie?

– Ja? Już żyję.

– Co? – zgorszyła się Malwina. – I nie ma pan żony, ani nawet dziewczyny? Niczego przecież panu nie brakuje. Powinien pan sobie kogoś znaleźć. Samotność prowadzi do zdziwaczenia i chorób. Moja sąsiadka...

– Samotność jest wyzwoleniem – przerwał jej kierowca. Zmienił bieg i sięgnął nad jej kolanami do schowka.

– Pan pali? Oj, to super. Poczęstuje mnie pan papierosem? Tak miło tu i ciepło – szczebiotała i ponieważ poczuła się całkiem bezpiecznie, zaczęła się rozbierać. Rozpięła kurtkę, gwałtownym ruchem ściągnęła szalik. Futrzana czapka nadal siedziała na jej głowie. Puciołowate policzki były różowe od rozchodzącego się po jej ciele ciepła. Kierowca usłyszał dźwięk rozpinanego zamka. Malwina rozchyliła wściekle czerwony polar. Na światło dzienne wyrzwały jej rubensowskie kształty. Pod ciepłym polem miała bardzo obcisłą bluzkę z wielkim dekoltem, który odsłaniał w pełnej okazałości rowek między monstrualnymi piersiami. Kierowca zwolnił i zerknął kątem oka na pasażerkę. Miał nadzieję, że dziewczyna tego nie zauważy. Ale ona rejestrowała każdy jego ruch i uśmiechała się kokieteryjnie.

– To wyjmie pan w końcu tego papierosa? – powtórzyła i założyła nogę na nogę.

– Kobiety nie powinny palić – odpowiedział kierowca i zamiast paczki papierosów, wyciągnął mapę okolic. Położył ją sobie na kierownicy. Szukał jakiejś miejscowości, kiedy znalazł, odłożył mapę. Nawet nie spojrzął na Malwinę, znów w milczeniu wpatrywał się w drogę przed sobą. Dziew-

czyna była niepokieszona: ona się tutaj dwoi i troi, a on kompletnie jej nie dostrzega! Skąd miała wiedzieć, że kierowca ledwie siedział, tak się trząsł z podniecenia. Starał się jednak to ukryć. W tym celu wykonywał różne czynności: zmniejszył częstotliwość poruszania się wycieraczek, wytarł niewidoczny kurz we wnęce na radio, która ziała czarną pustką. W nie-skończoność poprawiał położenie fotela, by w końcu wrócić do pierwszej wersji i oprzeć się o zagłówek.

– E, tam – zaczęła znów Malwina, wpatrując się w wirujące przed autem płatki śniegu. – Mówi pan jak wszyscy faceci. Jak dziewczyna, to od razu do garów i rodzenia dzieci. Ale za zgrabnymi nogami to się oglądają nawet jakby mieli osiemdziesiąt lat. Mężczyźni mają wszelkie prawa, a kobiety to kusicielki. Ja tam nie mam zahamowań. Jestem niezależna. I nie dam sobie zrobić wody z mózgu.

– Jest pani kusicielką?

– A co, nie widać? – wypięła monstualnych rozmiarów piersi (nie było takiego, który przeszedłby obok nich obojętnie) i odwróciła się bokiem do kierowcy.

Kiedy zauważyła, że facet kuli się w sobie, dodała. – No dobrze, żartowałam. Ale niech się pan nie boi. Nic panu nie zrobię. Przecież pana nie zgwałcę. – Spojrzał na nią zimno. Dziewczyna jednak nie przerywała. – A właściwie to chętnie bym sobie zapaliła. I golnęła jednego. Dziś mam co świętować.

– Chyba nie ma pani najlepszej opinii we wsi, co?

– A co mnie to obchodzi! Jakbym żyła tak jak reszta, nic bym nie skorzystała. A żyje się przecież tylko raz... Czy będę dobra, czy zła, mężczyźni i tak będą mnie tak samo traktować. Jak będę potulna, to jeszcze gorzej. Miałam takiego chłopaka, co mi spuszczał manto za to, że go zdradzam. A ja wtedy nawet nie myślałam o nikim. Chodziło o to, że nie chciałam z nim spać. I czekałam do ślubu. Ale to dawne czasy... Teraz już jestem kompletnie inna.

– I chodzi pani do łóżka z różnymi?

Malwina nie odpowiedziała. Pochyliła się do torby leżącej w wodzie ze stopniałego śniegu i wyciągnęła paczkę cristali. Kiedy podnosiła głowę, czapka zsunęła się na jej kolana. Czarne loki rozsypały się na ramionach. Kierowca omal nie wpadł w poślizg. Gwałtownie zahamo-

wał. Cudem zdołał utrzymać pojazd na szosie. Dobrze, że nie jechał nikt z naprzeciwka.

– Ale ślizgawica – skomentowała Malwina. Nie było w niej nawet iskierki strachu. Pewnym ruchem wyciągnęła do kierowcy paczkę. – Skoro pan mnie nie poczęstuje papierosem, to ja mogę pana.

Mężczyzna odwrócił głowę. Przestraszyła się. Zobaczyła w jego oczach coś złego. – Mówiłem, że nie palę – wychrypiął ze złością.

Odsunęła rękę. Wyjęła z ust niezapalonego jeszcze papierosa i skuliła się w kącie. Zapadła nieprzyjemna cisza.

– Nie boi się pani jeździć autostopem? – zapytał mężczyzna.

– Nie wiem, nie zastanawiałam się. Często tak jeżdżę... – mówiła cicho. Była spięta. Zapięła polar aż po samą szyję. Miała wrażenie, że kierowca uśmiecha się półgębkiem.

– Proszę sobie zapalić. Chcę zobaczyć, jak pani trzyma papierosa.

Malwina posłusznie zapaliła i wydmuchała dym. – Otworzę okno, bo się podusimy – powiedziała.

Skinął głową.

– A gdyby trafiła pani na kogoś, kto chciałby zrobić krzywdę, zgwałcić albo...

– Umieć się bronić. Kawał ze mnie baby, co? – zaśmiała się sztucznie. Zamilkła i patrzyła w okno, jakby padający śnieg interesował ją ze wszystkiego najbardziej na świecie. Widać było jednak, że nadal się boi. Zgarnęła włosy i schowała je ponownie pod czapkę. Nerwowo się zaciągała, szybko wydmuchiwała dym.

Wtedy skręcili w leśną dróżkę.

– Hej, co pan robi! – krzyknęła Malwina.

Kierowca milczał. Pstryknął centralny zamek i wszystkie drzwi się zamknęły. Dziewczyna złożyła ręce jak do modlitwy. – Niech pan mnie wypuści. Ja tutaj wysiadę... – szeptała. Po chwili zaczęła cichutko szlochać:

– Niech pan nie robi mi krzywdy...

– Nic się nie bój. Muszę się odlać – odpowiedział kierowca i zaśmiewając się udał się po głębokim śniegu w głąb lasu.

– Ale mnie pan nabrał – powiedziała, gdy z powrotem wsiadł do auta. – Myślałam, że jest pan jakimś zbrojcem. Zresztą, chyba nie tak bardzo

się myliłam. Ale ja to rozumiem... Każdy prawdziwy facet lubi te rzeczy... A pan taki skromny, niby... – w jej głosie znów była kokieteria.

W dłoniach trzymała karteczki z ogłoszeniami agencji towarzyskich.
– Chodzi pan tam?

Kierowcy nie spodobało się, że grzebała w jego schowku. Patrzył na nią wilkiem.

– Tylko zbieram. Jestem kolekcjonerem, jak to się mówi. I nie lubię rozwiązłych kobiet.

– To takie zabawne. Mężczyźni są jak marionetki, dla seksu zrobią wszystko – Malwina znów śmiała się i opowiadała pieprzne historyjki z ostatniej zabawy tanecznej w sąsiedniej wsi. W pewnym momencie zapytała prowokacyjnie: – A pan nie ma ochoty na seks?

Mężczyzna rozejrzał się. Wjechali już do wsi.

– Nie – odpowiedział lakonicznie.

– Tylko niech pan sobie nie myśli, że jestem łatwa – dodała wydymając usta.

– Niech pani wysiada – zatrzymał auto. Urażona mleczarka zaczęła się w pośpiechu ubierać. Ledwie zdołała się wygramolić z furgonetki, trzasnąc drzwiami, kierowca już odjechał. Skręcił na szosę przelotową Terespol–Lublin i zatrzymał auto przed motelem „Czarna woda”. Malwina dotarła do swojej chałupy na piechotę. Kiedy się rozbierała, spostrzegła, że w aucie tego zbrojnego zostawiła szalik. Rozplakała się w głos. – Przecież kupiłam go dopiero miesiąc temu... Nie był tani... Pewnie już go nie odzyskam... Auuu – jęczała leżąc na łóżku.

– Słyszałaś? – Konachowiczowa zastukała do okna domu Eugeniusza Kuli. Wiedziała, że kierownika posterunku o tej porze nie będzie. Chciała poplotkować z jego żoną. Kto jak kto, ale ona przecież musi wiedzieć najwięcej.

Gała odstawiła obieranie ziemniaków, wpuściła sąsiadkę do mieszkania, zamknęła na powrót drzwi od wewnątrz i nastawiła czajnik.

– Słyszałaś? Ludzie mówią, że morderca grasuje we wsi! Co się tutaj dzieje! Ja to nie mogę sobie miejsca znaleźć, taka jestem rozdygotana

– Konachowiczowa gadała jak najęta.

– Gieniu każe mi drzwi zamykać.

– No, a mojego wziął na przesłuchanie. Co za wstyd!

– Nie martw się – pocieszyła ją Gala, jednak była cała czerwona. Nie wiedziała, co ten Gienek szykuje... – Pół wsi było już na posterunku. Widziałas plakaty? – dodała.

– No właśnie! Odkąd twój mąż nagrodę wyznaczył, ludzie po prostu oszaleli. Donoszą jeden na drugiego.

– Tysiąc złotych to dobra renta. Niektórym to na kilka miesięcy wystarczy... – broniła mieszkańców Gala.

– E, ja tam donosić na nikogo nie będę. Co to ja, kabel jestem? Ale wiesz, mówią, że ten młody policjant, Trembowiecki...

– Ja go znam.

– On mi zawsze wyglądał na zbrodnicę...

– Raczej niedojdę, Mania. Toż to ciepłe kluski, zadoja, ale nie zabójca.

– Oj, mi on wygląda podejrzanie. Spojrzenie miał zawsze nieszczerze. W razie czego nie wychodzę z domu po zmroku. Kto to wie, kim jest morderca? Mój to nawet do kumpli przestał na ten czas chodzić. W domu siedzi. Ja ci powiem, że mi to nawet jego pilnowanie pasuje. Rańsze trzeba go było na taczce przywozić.

Obie podskoczyły, kiedy do okna zbliżyła się jakaś postać. – To ja, wpuście mnie, Galino – poznały głos Józwiakowej.

– Aleś mnie wystraszyła. Musiałaś się tak skradać? – wyrzucała jej Gala. Zamknęła drzwi, zrobiła trzecią herbatę i zabrała się do obierania ziemniaków.

– Wampir nam grozi. Czy wy wierzycie w to, co mówią ludzie? – pytała.

Gala zasyczała. Podeszła do zlewu i wsadziła rękę do zimnej wody. Po chwili wyjęła rękę i podniosła do góry. Krew krzepła powoli na jej palcu.

– Pomożemy ci – obie sąsiadki zabrały się do obierania ziemniaków.

– A co z synem bibliotekarki? Czy on niewinny? – pytały Galę jedna przez drugą. Ta jednak wzruszała ramionami.

– Ja tam nic nie wiem. Mąż mi się nie zwierza. Tajemnica służbowa – wybrnęła dyplomatycznie, choć Eugeniusz Kula trochę jej jednak opo-

wiadał. Wymieniał osoby, które uważa za najbardziej podejrzane. A Alojzy Trembowiecki rzeczywiście był na samym szczycie tej listy.

Gala dobrze wiedziała, że natrętne plotkary przyszły do niej, bo liczyły, że dowiedzą się czegoś więcej o planowanej przez Kulę zasadzce.

Po kilku godzinach, gdy obiad był gotów, a za oknem zaczęło szarzeć, Józwiakowa i Konachowiczowa jak na komendę zerwały się z krzesel. – Czas do domu. Po zmroku niebezpiecznie – wyjaśniły.

Przed wyjściem jeszcze szeptały do siebie: – Wczoraj miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

– Coś ty!

– No, straszne uczucie. Czuję, że może mnie zaatakować. Jeszcze mnie zgwałci...

– A tam, akurat ciebie! – prychnęła Konachowiczowa. – A co to? Młodszych nie ma...

– Słowo honoru. Widziałam cię mężczyzny w kapeluszu. Jakby w czapce policyjnej. To pewnie ten aspirant.

– Tratatata. Chciałabyś... – zaśmiała się Mania Konachowiczowa. – Ale jak wczoraj jechałam autobusem, to przyglądałam się chłopom i myślałam, czy to przypadkiem który z nich...

– Dobra, idziemy, bo noc nas zastanie.

– Do widzenia. Gala, jakby co, to ten... – kiwnęły głową na leżący na stole wielgaśny nóż.

– Do widzenia, sąsiadki, do widzenia – Gala zamknęła drzwi, powtórnie sprawdziła, czy zasuwka działa i opadła ciężko na krzesło. Patrzyła na parujące ziemniaki, kotlety, na których powoli stygł tłuszcz.

– Gdzie jesteś, Gieniu? Co to będzie? Znów wrócisz nad ranem? – mówiła do siebie i nie miała sił nawet włączyć telewizora, choć zaczynał się serial.

– Jak to mamusia pana czasem usypia? – grzmiał Eugeniusz Kula i po prostu walił z całej siły długopisem o blat biurka. – W jaki sposób? I jak często?

Alojzy Trembowiecki siedział na krześle przed swoim byłym szefem i bez zająknięcia odpowiadał na pytania, co bardzo denerwowało kierownika posterunku. Zresztą czuł okropny głód, nie zdążył nawet na chwilkę

wymknąć się do domu, choć wiedział, że Gala tego dnia szykowała mu schabowe. A Kula głodny to zły. Oj, zły jak siedem lwów, tygrysów i dwa lamparty. A jak jeszcze do tego widzi „Trąbę”.

– Co? – aż zapiszczał. Brzmiało to tak nieprawdopodobnie. – Nie rozumiem. Głaszczcie po plecach!?

– Normalnie.

– Normalnie? Jak to...

– Mama głaszczcie mnie po plecach, aż zasnę. Czasem zasypia pierwsza i kiedy się do mnie przytuła, mnie też morzy sen. Taka tradycja, od dziecka.

– A ile, przepraszam, ma pan teraz lat? Trzy?

– Trzy-dzieści jeden – wybełkotał Trembowiecki, bo nagle zrozumiał, że mogło to zostać źle odebrane przez Kulę.

– Czy to aby nie przesada, by dorosłego chłopca mamusia kładła do snu?

– Pan pije, kłamie, klnie, łamie przepisy. Mnie matka usypia. Co jest gorsze? – krzyknął odważnie Trembowiecki.

Wydawało się, że teraz Kula wstanie i rzuci się na niego. Ale nie. On bacznie wpatrywał się w twarz posterunkowego i nie mógł uwierzyć, jak ten chłopak się zmienił. Ile jest w stanie oszustw popełnić, byle awansować.

– Pan za to donosi... – huknął, gdy Alojzy już się nie spodziewał ataku i wyciągnął z szuflady kartkę z pytaniami, które zapisał mu przed wyjazdem komisarz Meyer.

– Czy sikal pan do łóżka w dzieciństwie? – padło pytanie. Trembowiecki oburzony wstał z krzesła. – A co to pana obchodzi?

– Niech pan zachowa spokój. To przesłuchanie.

– Na jakiej podstawie?

– Milczeć „Trąba” – wymknęło się Kuli. I od razu pożałował swoich słów. Alojzy nie wiedział o swoim niechlubnym pseudonimie. Poczzerwieniał ze złości, ale nie odezwał się. Nie skomentował.

– Wiem, że sikaliście – ciągnął kierownik posterunku. – Od pańskiej matki.

– Co?

– I wiem też, że śpi pan z misiem... A w dzieciństwie tłukł pan wszystkie szyby i bawił się ogniem. To prawda?

– No, tak – Trembowiecki struchlał. – Kiedy pan rozmawiał z moją matką?

– Co pan robił tego ranka, gdy zamordowano Ninę Frank? Służbę zaczął pan o dwunastej. Zamieniliście się z Cetnarkiem, wiem już...

– Nie mogę powiedzieć...

– W domu pana nie było! Matka powiedziała, że wyszedł pan do pracy o szóstej.

Trembowiecki westchnął ciężko.

– Odpowie pan? W przeciwnym razie będę musiał pana zatrzymać.

– Ale przecież to Borys Daniluk jest mordercą! Akt oskarżenia pojutrze wyślą do sądu.

– Proszę, jaki poinformowany. Jesteś w stałym kontakcie z Łysym, co?

Alojzy Trembowiecki siedział w milczeniu. Kiedy się odezwał, z trudem mówił. – Ja, ja, by-byłem w le... le... w lesie – wydukał.

– Matka biła cię kablem od żelazka. Potem się zacząłeś jękać. Ojciec nie mógł znieść, że nie jesteś taki jak on: twardy i nieustępliwy. To dlatego wstąpiłeś do policji. Mundur daje władzę. Co gorsza przeszedłeś wszystkie testy. Tatuś za nie zapłacił?

– Jak pan śmie!

– Poczekamy na Łysego. Ja tutaj, a ty na dołku. Czerwieński! Zobaczmy, czy donosicielstwo ci pomoże w wydostaniu się z za kratki...

– Nie ma pan prawa! – bronił się „Trąba”.

– Tak? – uśmiechnął się pod wąsem Kula i otworzył czerwone okładki kodeksu karnego. Zaczął mu cytować paragrafy. Trembowiecki zwiesił głowę. Po chwili Romek Czerwieński z szyderczym uśmiechem na ustach prowadził go po schodach do piwniczki. – Doigrałeś się – wyszczał mu na ucho.

Nagle Trembowiecki z całej siły uderzył z bańki Czerwieńskiego i – w kajdankach – rzucił się do ucieczki.

– Ucieka! Szefie, morderca ucieka! – rozległo się rozpaczliwe wołanie. Eugeniusz Kula minął zakrwawionego Romka, wybiegł na podwórko, ale zobaczył już tylko tył radiowozu jadącego w kierunku Siemiatycz. Przecież Trembowiecki miał zapasowe kluczyki! Szef wpadł do dyżurki. Chwycił nadajnik.

– J-34. Do wszystkich patroli. Przestępca ukradł radiowóz policyjny. Jedzie w kierunku Siemiatycz. Proszę o posiłki – krzyczał.

Po chwili zadzwonił do komisariatu w Siemiatyczach. – Wasia, to ja Gienek. „Trąba” uciekł do was moim radiowozem. Jest podejrzany o zabójstwo. Tak, w sprawie Niny Frank.

Po Alojzym Trembowieckim nie było śladu. Szukało go kilkanaście okolicznych patroli, straż graniczna. Na nogi postawiono wszystkich ochotników, którzy przeczesywali las. Auto znaleziono na polance tuż przy skrzyżowaniu wylotowej trasy na Lublin. Kula zadzwonił do żony, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, zarządził stan alarmowy we wszystkich wsiach. Cetnarek i Czerwieński siedzieli na posterunku i odbierali telefony. Kierownik posterunku, mimo ślizgawicy na drodze, jeździł w tę i z powrotem na motorynce. Kiedy mijał dom Saszki, postanowił zawiadomić popa, by przez jakiś czas nie odprawiał liturgii. Musi to ogłosić z ambony dzisiejszego wieczora. To najlepsze wiejskie media – cerkiew. Informacja roznieśli się błyskawicznie. Eugeniusz Kula nie chciał ryzykować, że któraś z pobożnych kobiet, idąca do cerkwi przez las, zostanie napadnięta przez zabójcę Tembowieckiego.

– Saszka, musisz ogłosić, że zły człowiek jest we wsi – mówił i patrzył z przyjemnością na odmienionego duchownego. Spokojny, ani śladu przekrwionych białek. Uśmiechnięta Wiera karmiła najmłodsze dziecko i dyskretnie przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Panie Geniu, po co ta panika. To gorsze niż nieinformowanie ludzi w ogóle!

– Ja wiem swoje. On będzie dalej zabijał!

– Kto?

– Jak to, kto? Trembowiecki!

Batiuszka ciężko westchnął.

– Dobrze, powiem.

– To ja już idę, mało czasu. A ty uważaj na swoją żonę. On atakuje kobiety. A jakby co, to wiesz, gdzie jestem...

I już go nie było. W oddali słychać było jedynie furkot silnika „Komara”.

Kula w myślach przypominał sobie profil psychologiczny nieznanego sprawcy opracowany przez Huberta Meyera.

1. Mężczyzna w wieku około 30–35 lat. Około 175 cm wzrostu, silny, ale niekoniecznie rośli. Żeby powalić ofiarę, posłużył się tępym narzędziem i uderzył ją w tył głowy. Ciemne włosy (znalezione na miejscu zdarzenia), krótkie. Używa brylantyny, żelu lub wosku kosmetycznego, by je przylizać. Być może naturalnie mu sterczą, więc robi z nimi „porządek”.

2. Nosi buty na miękkiej podeszwie. Spodnie z ciemnego materiału, schludne, najprawdopodobniej w kant. Może mieć na sobie cienki krawat albo koszulę w stonowanych barwach, z elementami symetrii, np. w kratę. Ubranie bez ozdób. Twarz gładko ogolona.

3. Wyształcenie zawodowe, musiał kiedyś pracować w jakimś zakładzie. Pedant, obsesyjnie dba o czystość. Nauczony pozostawiać porządek w swoim miejscu pracy. Ceni precyzję. Zadrapania zadane po śmieci kawałkiem szkła (na przykład „tulipanem” – odfłuczoną szyjką od butelki) są symetryczne. Typ mordercy zorganizowanego.

4. Nienawidzi kobiet. Silny związek z matką, która w dzieciństwie zadawała mu kary cielesne. Niewykluczone molestowanie seksualne w dzieciństwie. Brak wzorca ojca, być może nieznany albo opuścił rodzinę, gdy zabójca był jeszcze dzieckiem.

5. To jego pierwsza zbrodnia (wskazują na to chaotycznie zadawane ciosy, nieudolne, wykonane w szale), wcześniej mógł dokonywać nieudolnych gwałtów, a podczas stosunków podduszał swoje ofiary. Być może karany za przestępstwa seksualne. Najprawdopodobniej ma problem z osiągnięciem satysfakcji seksualnej, jeśli nie zadaje partnerce bólu. Nie zgwałcił jej i nie zostawił spermy (za to wsadził do pochwy butelkę), bo być może jest impotentem, a nie dlatego, że jest taki sprytny i nie chciał zostawić śladów. Być może jego impotencja jest skutkiem fizycznej ułomności, powstałej już w wieku dorosłym. Na przykład po wypadku.

6. Często się przemieszcza. Musiał dojechać do ofiary autem. Jego samochód jest niepozorny, nierzucający się w oczy, najprawdopodobniej koloru szarego. Może to być też białe auto. Najprawdopodobniej stare, nie wzbudzające zainteresowania. Ale choć z zewnątrz pojazd wygląda jak stary grat, wewnątrz jest wyczyszczony i umyty. Panuje w nim porządek, morderca dba o niego – to jego azyl. Być może sam go remontuje.

7. Mieszka samotnie lub dzieli pokój z matką. Ale nie wpuszcza jej wtedy do swojej twierdzy. Zbiera różne przedmioty i układa je w rzędach. Być może

ma oklejone mieszkanie zdjęciami aktorki. Prawdopodobnie jest jej fanem. Wszystkie informacje ma opisane i równo ułożone. Symetryczne, według własnych kombinacji, co pozornie może wyglądać na rupieciarnię. Ale tylko pozornie. Pochodzi stąd lub zna dobrze terytorium nadbużańskich wsi.

8. Pracuje. Nie jest jednak zatrudniony w fabryce, ale pracuje na własny rachunek. Na przykład hydraulik, monter, ochroniarz do wynajęcia. Wolny strzelec.

9. Znał ofiarę – ogląda telewizję. Śledzi jej losy. Być może jest prenumeratorem pism kolorowych, abonentem telewizji kablowej lub cyfrowej. Po przeprowadzce to pierwsza rzecz, jaką zrobił – zamontował odbiornik telewizyjny. Być może agresja była spowodowana jego rozczarowaniem, jakie wywołało porównanie wizerunku serialowej zakonnicy z rzeczywistą postacią Niny Frank.

10. Reaguje na krzyk. W jego domu się krzyczało. To go wyprowadza z równowagi. Nie sprawia jednak wrażenia agresywnego. Ludzie mogą go postrzegać jako „niegroźnego samotnika-dziwaka”. Zdawkowo mówi dzień dobry, odpowiada na pytania lakonicznie. Nie patrzy w oczy. Dopiero krzyk aktorki i niezgoda na np. współżycie mogły go wyprowadzić z równowagi i wyzwolić agresję.

11. Ma za sobą przejścia w szkole. W szkole mógł być tak zwanym kozłem ofiarnym. Nie dostał się do wyższej szkoły bądź został z niej wyrzucony. Niekoniecznie prymitywny, może dużo czytać. Jest postacią przegraną. Sfrustrowany, społecznie nieprzystosowany. Buntuje się. Na przykład nie płaci mandatów, rachunków, kiedy szukają go wierzyciele, przenosi się z miejsca na miejsce.

12. W dzieciństwie podpałał stodoły, dręczył zwierzęta. Jeśli pochodzi ze wsi, mógł dokonywać gwałtów na zwierzętach, satysfakcję dawało mu zadawanie bólu.

Kula myślał tak intensywnie, aż go rozbolała głowa. Jeśli chodzi o Trembowieckiego, wiele rzeczy się nie zgadzało, ale ta jego ucieczka. Tak, ten człowiek ma coś na sumieniu. Dlatego wziął nogi za pas. Kiedy kierownik posterunku mijął biały domek bibliotekarki, zobaczył ją samą, jak stoi przy furtce i trzyma coś w przeźroczystej torebce.

– Panie Eugeniuszu! – krzyknęła. W tej szarówce i bez okularów niedowidział, co to takiego. Podjechał bliżej. Był rozdrażniony, zły.

– Czasu nie mam, pani Lidko! Morderca jest wolny. Niech pani nie wychodzi z domu!

– Panie Eugeniuszu, ja muszę coś panu pokazać. To potrwa chwilę.

Kula niechętnie podszedł do wdowy.

– Jak się pani czuje?

– Tak sobie, stawy mnie bołą. Bezsensowność – zaczęła. – Ale to nic. Zdarzyło się coś dziwnego. Muszę to panu powiedzieć, skoro pana widzę.

Opowiedziała o spotkaniu z dziwnym akwizytorem kablówki i na zakończenie podała mu nóż w foliowej torebce.

– To znalazłam w śniegu.

– Dobrze, dziękuję. Na razie nie mam do tego głowy. Ale dziękuję – chwycił torebkę i wsunął ją do kieszeni kurtki.

Lidia weszła do domu, włączyła telewizor. Musiała jakoś zabić czas. Obejrzała reportaż o fundacji kościelnej, która zajmuje się dziećmi z rodzin patologicznych. Potem rolniczy kwadrans. Kiedy przygotowywała jedzenie psom, w studiu pojawił się reżyser i główna scenarzystka serialu „Życia nie na sprzedaż”.

– Bardzo przeżyłam śmierć Niny. Byłyśmy przyjaciółkami – mówiła chuda kobieta ostrzyżona na zapalkę. Spikerka pytała ją o aktorkę. Jaką była osobą, dlaczego była tak nie lubiana.

– Ci źli ludzie zazdrościli jej sławy. Pamiętam jej ostatnie słowa, zanim znaleziono ją martwą. Pytała o moje zdrowie i jak przebiega remont. Ona cały czas martwiła się o innych. Była jak ta zakonnica, którą grała. Zawsze pozostanie w moim sercu.

Lidia wyciszyła fonię i zalała się łzami. Nie musiała udawać. Borysa nie było i jak dotąd nie wiadomo, co się z nim stanie. Kiedy się trochę uspokoiła, znów włączyła głos.

– Dziś po raz ostatni na ekranach naszych odbiorników będziemy gościć w naszych domach Ninę Frank, ukochaną aktorkę, która tak młodo, tragicznie zmarła – powiedziała presenterka. – Prawdziwa gwiazda. Najpopularniejsza aktorka ostatnich lat, o którą bili się reżyserzy i koncerty reklamowe. Stała u progu międzynarodowej kariery. Kochały ją miliony widzów. Los zapowiadał tak świetlaną przyszłość...

Rozdział 30

Aktorka

„Kiedy spojrzysz wstecz na swoje życie, będziesz bardziej żałować, że czegoś nie zrobiłeś, niż że zrobiłeś”

Byłam prawdziwą gwiazdą. Najpopularniejszą aktorką ostatnich lat, o którą bili się reżyserzy i koncerty reklamowe. Miałam przed sobą karierę międzynarodową. Kochały mnie miliony widzów. Los zapowiadał tak świetlaną przyszłość... Ale wszystko ułożyło się inaczej. Chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu o swoich planach. To jednak zrozumiałam o wiele za późno.

Habit zakonnicy zakładałam w pięć minut, gorzej było z chustą na głowie. Do jej założenia potrzebowałam pomocy – nie radziłam sobie ze szpilkami. Iwona, zauroczona mną charakteryzatorka, która nosiła moje stare ciuchy, zbierała niedopalki z podłogi, dbała o to, żebym codziennie miała gorące posiłki i po prostu była na każde wezwanie, teraz też przybiegła natychmiast. Była prawdziwym skarbem: delikatnie i sprawnie spięła moje włosy ciasno w kok, a potem ostrożnie, żeby nie popsuć makijażu, założyła mi na twarz białą materię, symbol niewinności.

– Nikaaaa! – rozległ się głos reżysera. – Zaczynamy. Gdzie jesteś?

– Idę, idę – krzyknęłam. A do siebie i do Iwonki: – Cholera, siku mi się chce.

Iwonka zrobiła zmartwioną minę, która znaczyła: „Gdybym mogła, wyręczyłabym cię także w tym” i gdzieś wybiegła.

Rola zakonnicy Joanny, która początkowo była epizodem w serialu, dzięki mojej mistrzowskiej kreacji (co tu się krygować!) urosła do pierwszoplanowej. Okazało się, że w katolickim kraju serial o zaradnej mniszce, która zawsze dobrocią zwycięża zło (co za banal), bije rekordy popularności i dogania „Mi jak miłość”.

A telewizywnie, dzięki mojemu słubowi z Mariuszem, chcą mnie oglądać, czytać o mnie w prasie, słuchać w radio. I im więcej było mnie w mediach, tym bardziej się mną interesują. A to przekładało się na propozycje ról w innych mydlanych operach. Cieszyłam się z tego efektu śnieżnej kuli. Zagrzebałam doła i stałam się cyniczna. Zajęłam pracę – to najlepsze lekarstwo na smutek.

Rozbudowano moją rolę, ale ku wielkiemu niezadowoleniu autorki scenariusza. A w Polsce to ona rządzi serialem. Nie reżyser, nie aktorzy, ale Święta była bogiem tego interesu. I nie podobało jej się, że musiała zmienić wszystko w scenariuszu tylko dlatego, że pojawiłam się ja. Jakaś dupa Króla. Po prostu nikt! Nie lubiła mnie, ale niestety musiała tolerować. Udawałyśmy przyjaciółki: wypytywałam ją o remont domu w górach, na który zaciągnęła wielki kredyt i musi go splacać pisząc ten serial. Miała w swoim biurze pięć niespełnionych dziennikarek, które dostawały grosze za wymyślanie kolejnych wątków. Jeśli pomysł któregoś z nich przechodził, zarabiała więcej: kontrakt, tantiemy, prawa autorskie. Ale większość była tak głupia, że aż chciało się rzygać od tworzonych dialogów. Zawarliśmy ze Świętą nigdy niewypowiedzianą umowę: dopóki jestem na górze karuzeli, ona mnie toleruje, a ja opowiadam prasie, jak się lubimy. W wywiadach zachwycałam się jej warsztatem, niespożytą energią do pracy. Obluda w czystej postaci, ale taki właśnie jest świat filmu. Mama miała rację – grunt to znajomości. Ale – jak się okazało – medialny mąż też jest skuteczny. I dzięki niemu zawierać można kolejne przydatne znajomości. Nieważne, myślałam, i odrzucałam od siebie myśli o miłośkości tego środowiska. Przecież to wszystko jest na niby. To nie film, tylko serial, który wyniesie mnie wyżej. W głębi duszy marzyłam o czymś więcej, o zagranicy, gdzie kręci się filmy, a nie ich główniane podróbki.

Wracając do Świętej. Przewisko wzięło się z jej nienaruszalnej pozycji i postury podstarzałej, kościstej koszykarki oraz szorstkiego sposobu bycia. Miła była tylko dla przystojnych mężczyzn, ale kokietowanie wychodziło jej komicznie, choć ona sama tego zupełnie nie zauważała. Widziałam, jak zaleca się do aktora odtworzającego rolę proboszcza i jak biedak wije się niczym piskorz, kiedy Święta, mrugając wąskimi ślepiami, proponuje mu wyjście na kawę. On sam zresztą był niczego sobie. Łakomym wzrokiem patrzył na mnie i inne młode aktoreczki. Nie pogardziłby młodą dziewczyną w swoim łóżku, choć miał już żonę i dzieci. Ale romans ze Świętą. Oj, to wkraczanie na ścieżkę przeklętą. U niej nie było ciepłych uczuć. Tylko gorące: albo jesteś z nią, albo przeciwko niej. A ponieważ obie byłyśmy wytrawnymi graczami, każda swój ruch robiła ostrożnie, jednocześnie

zabezpieczając tyły. Dwie wilczyce, chodzące jedną watahą, ale w każdej chwili gotowe się zagryźć w imię statusu samicy alfa. Dziś Święta też była na planie i robiła miny, że się guzdram i stroję fochy, jakbym była gwiazdą.

– Panie reżyserze – moja stylistka jak zwykle uratowała mi skórę swoim niewinnym szczebiotaniem. – Ta franka jest rozdarta... O, tutaj, to będzie widać. Na plebanii takie zaniedbanie jest niedopuszczalne.

– Rzeczywiście, dziękuję, Iwonko. Poprawić! Co za baran robi te scenografie! Studio mamy jeszcze tylko trzy dni, musimy się wyrobić. A jeszcze pięć odcinków. Gdzie jest producent! – krzyczał reżyser Witold Filipiak, gorączkowo wycierając zamglone okulary. Wyciągnął z kieszeni zegarek na srebrnym łańcuszku i złapał się za głowę. Graliśmy już dziesiątą godzinę – wynajem studia był drogi, więc czas pracy wydłużał się czasem i do 15 godzin. Ze zmęczenia padałam z nóg, jak chyba wszyscy. Tylko nie robocop Święta. Palila papierosa za papierosem i stukiała zniecierpliwiona chudym palcem o blat stolika. Kontrolowała wszystko. Jej gumowe uszy niemal poruszały się i wydłużały, gdy słyszała szepty.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością do Iwonki i poleciałam do toalety. Ale sikać nie w habicie nie jest zbyt wygodne, zajęło mi to dłużej niż chwilę. Nie mogłam przecież zamoczyć sukni mniszki. Dopiero byłaby afera. Zastanawiałam się, jak można chodzić w tym płaszczu w 30-stopniowym upale. A może mają na tę okazję coś z lżejszego sukna?

– Nie, już jadłam, dziękuję.

– Och, jaka pyszna ta zupa.

– Nie trzeba było robić sobie kłopotu.

– Proszę księdza, mamy tu zadanie boże. Trzeba znów zorganizować akcję.

– Nie, to ten miły piekarz, który rozdaje chleb biednym, zajął się wszystkim.

Teraz Urząd Skarbowy go nęka. Niech ksiądz powie o tym z ambony!

To były moje kwestie, które wygłaszałam od kilku godzin z miną świętej Magdaleny. Tylko człowiek niedorozwinięty miałby trudności w recytowaniu tych idiotyzmów. Ale Święta uważała, że jest twórcą i zmienia oblicze polskiego kościoła. I filmu, oczywiście. Miała misję. Śmiałam się z jej dialogów i nie rozumiałam, dlaczego podobają się widzom. Cóż, dzięki tej roli wyrosłam na gwiazdę. A teraz jeszcze zaproponowano mi rolę w filmie fabularnym, o zaskakująco głupim tytule: „Tylko raz w życiu”. Ktoś mądrze policzył, że skoro półtoramilionowa widownia codziennie zasiada przed telewizorem tylko po to, by obejrzeć moją twarz zakon-

nicy – a to nawet więcej, niż gromadzi Adam Matysz – to uda się ich wszystkich wyciągnąć do kina. I jeszcze na tym zarobić. Świetny plan! Chętnie wezmę udział w tym sprytnym przedsięwzięciu, zwłaszcza że będzie to w końcu mój pierwszy prawdziwy film. Choćby przedsięwzięcie miało być kompletną klapą, zagram i poczekam na czasy, gdy ja będę przebierać w propozycjach.

Nie miałam złudzeń – najbardziej znaną zakonnica w kraju zostałam dzięki ślubowi z Mariuszem. Ale i tak mnie to satysfakcjonowało, bo wychodziło na to, że ludzie mnie kojarzą, choć nie przyjęłam jego nazwiska. – Nie zrób błędu, to pomoże ci w karierze – tłumaczył Król, a ja z przerażeniem obserwowałam, że wcale nie przypomina tego miłego chłopczyńki, który mi się oświadczał. I jest tak samo wyrachowany jak ja – ślub zaplanował, gdy był na topie i zaproponował małżeństwo akurat mnie, bo byłam idealną kandydatką. Anonimową, dość atrakcyjną, która nie przyćmi jego nazwiska, a wzruszy tłumy. Taki Kopciuszek u boku księcia. Szkoda, że ja dopiero teraz to widzę, wcześniej miałam go za wariata, który się zakochał. Co za infantylne myślenie! Nie ma przypadków. Wszystko, co się nam przytrafia, zdarza się w jakimś celu i z jakiejś przyczyny. A ludzie myślą, że dostaną coś za coś. Nie ma w tym nic złego, po prostu taka jest ludzka natura. Na tym opierają się związki, zarówno emocjonalne, jak i zawodowe. Inaczej byłibyśmy wariatami.

Dziś mój Mariuszek wścieka się, że to nie on jest w naszym małżeństwie gwiazdą pierwszej wielkości. Trochę inaczej to sobie zaplanował. Nie przewidział, że ja, a właściwie mniszka Joanna, zdetronizuje znanego prezentera. Zresztą, o ironio losu! Ja zakonnica... – czasami, gdy o tym rozmyślałam, miałam wrażenie, że Bóg jest wielkim jajcarzem. A to jego niesforne, nieprzewidywalne poczucie humoru, kiedy zabawia się nami – ludźmi, jak pionkami na szachownicy – a my święcie wierzymy, że jesteśmy kowalami własnego losu, miało urok scen z filmów Barei. Nie możemy zrozumieć sensu tego, co się nam zdarza, bo nie znamy końca własnej historii. Dlatego nie możemy ocenić niczego obiektywnie. Płacemy nad czymś, cieszymy się, a za jakiś czas karty naszego życia odwracają się i wydarzenia możemy ocenić w całkiem innym świetle. To, co jeszcze wczoraj wydawało się dramatem – dziś jest szczytem szczęścia. I odwrotnie. Nigdy nie wiesz, jaka niespodzianka cię czeka. Więc bądź cierpliwy, pokorny i czekaj – los z pewnością nie zostawi cię z pustymi rękami. A najlepiej ciesz się z kłopotów, bo one wróżą, że za chwilę zdarzy się coś pięknego. Im jest gorzej, tym będzie lepiej – to motto przyświecało mi wtedy. Chcesz, to śmieję się ze złotych myśli Cioci Dobra Rada, ale u mnie tak właśnie było.

Teraz to Mariusz pluł sobie w brodę, że nie przyjął mojego nazwiska. Bo zaraz po ślubie rozpoczął ryzykowne pertraktacje z telewizją publiczną, a kiedy jego szefowie się o tym dowiedzieli, bez wahania wyrzucili go ze stacji. – Idź, na co czekasz? Na twoje miejsce mam sto osób. Nikt nie jest zmęczony. Będą pracować dwa razy ciężiej za dwa razy mniejsze pieniądze – usłyszał od swojego ukochanego szefa, z którym pił wódkę i któremu zwierzał się z fantazji erotycznych. Mariusz myślał pewnie, że jest niezastąpiony. Bzdura. Teraz nie ma pracy i nikt go nie chce. Ponieważ był zatrudniony jako zewnętrzna firma, nie dostał nawet odprawy. Jest na lodzie.

A ja? Rostałam w siłę. Pojawiałam się niemal w każdym numerze „Vivy”. Dziennikarze pytali, co jem, jakim szamponem myję włosy, jakie mam poglądy na eutanazję, aborcję, na kogo głosowałam w ostatnich wyborach i czy wolę białą czy może czerwoną pościel... Kiedy zmyślałam, że śpię bez poduszki, sikam pod prysznicem albo nie cierpię rajstop, natychmiast robili z tego tytuł na okładkę.

Sama już nie musiałam odbierać telefonów od dziennikarzy, wyręczał mnie w tym mój agent Zbyszek, który pod swoją opieką miał Stenkę, Kożuchowską i Dancewicz. Jako jedyna nie byłam profesjonalną aktorką i nie grałam w teatrze, więc byłam na którymś tam miejscu jego listy. Ale zarabiałam niemało, więc to, że gram tylko w serialach, wcale mu nie przeszkadzało brać ode mnie taki sam procent, jak od pozostałych gwiazd. Wiedziałałam też, za co płacę: umiał stworzyć wizerunek gwiazdy i dbał o odpowiedni „pijar”, jak z angielska mówilo się o podsuwaniu mediom coraz to nowych wieści, by podsyć ich apetyt. Płaciłam mu więc i znosiłam jego beznadziejne umizgi oraz tokowania. Nie chodziło przy tym o nic poważnego, po prostu lubił, gdy w jego tajni panowała rodzinna atmosfera.

Od śmierci mamy minął ponad rok. Nie nosiłam żaloby, sprzedałam mieszkanie i za śmieszne pieniądze kupiłam zaniedbaną posesję niedaleko mojego rodzinnego miasteczka, nad samą rzeką. Zaczęłam remontować ten stary dworek i wierzyłam, że w ten sposób odkupuję grzechy, bo mama zawsze chciała w takim dworku zamieszkać na starość. Zawiozłam tam część naszych rzeczy, a segregując ubrania, meble, koce i pościel dla PCK, znalazłam masę rodzinnych zdjęć i pamiątek.

Wszystko to zapakowałam w pudła i umieściłam na strychu, wierząc, że kiedy przyjdzie pora, wybiorę się w podróż sentymentalną. I wtedy posypały się role. Wszyscy nagle mnie chcieli. Po bucznym ślubie, który obejrzało ponad milion widzów, stałam się rozpoznawalna. Historyjki, które opowiadałam Mariuszowi, musiałam sobie spisać i nauczyć się ich na pamięć. Stworzyłam sobie nowy życiorys,

do którego – przy okazji kolejnych wywiadów – dokładałam nowe fakty. Czasem kupy się to nie trzymało, więc przy autoryzacji wywiadu wykreślałam pewne sformułowania, mówiąc z oburzeniem, że ja przecież nie miałam kota i z pewnością nie mówiłam, że Mruczek podarł mi rajstopy.

Nasze małżeństwo zaczęło się sypać. Tak normalnie, po ludzku. Nie było żadnych ekscesów. I, co pewnie trudno sobie wyobrazić, nie z mojej winy. Nie przyłożyłam do tego rozpadu nawet palca. Raz przyłapałam mojego męża, jak całuje jakąś koleżankę z telewizji, potem zaczął znikać na noce. Nie trzeba mi było więcej informacji, by mieć pewność, że mnie zdradza. Nie miałam pretensji. Nie kochałam go. Seks też nie był nadzwyczajny, by drzeć szaty z rozpacz. Po prostu atmosfera zaczęła się oziębiać, a ja patrzyłam na to ze spokojem. Wokół mnie kręciło się tylu adoratorów, że nie cierpiałam. Swoje zadanie Król wykonał.

– Wiesz, dziś niechcący podsłuchałam, co Święta mówiła Witkowi – zaczęła Iwona, gdy odwoziła mnie do domu po zdjęciach. Nadstawiłam ucha. – Ona chyba cię nie lubi...

Ba, nie cierpi mnie. Jest zazdrosna, wściekła, że mam parcie na karierę, a co gorsza, mogę to osiągnąć. Iwonka, jak możesz się dziwić! Zresztą ja dobrze ją rozumiem. Gdybym była na jej miejscu, czułabym to samo – odpowiedziałam jej w myślach. A na głos:

– Dlaczego tak sądzisz? Przecież przyniosła mi nawet dziś pączka...

– Gadala, że dobrze by było cię na trochę wyeliminować. Może zabić w wypadku? Albo zrobić przeoryszą... Na twoje miejsce przyjąć świeżą, młodszą dziewczynę. Nową twarz, bo twoja się już opatrzyła.

– Nową twarz?

– Mówiła, że nawet myśli o pewnej aktorce.

– Kto to? – zaniepokoiłam się nie na żarty. Brzmiało poważnie.

Iwona wzruszyła ramionami.

– I co na to Witek? – czułam narastający gwiew.

– Na razie machnął ręką. Ale nie zaprotestował, obiecał jej, że wróci do tego, gdy skończą tę serię. Po wakacjach.

– Skurwiel...

– No wiesz, Witek nie może się zbyt stawiać. Święta ma kontakty, jego też może wykluczyć. Przepraszam, że ci mówię, ale chyba lepiej, żebyś wiedziała, na czym stoisz.

– Jesteś kochana – ucałowałam ją w czoło. – Dzięki. Co u was, jak mąż?
– zmieniłam temat.

– Dobrze. Świetnie nawet. Awansował na szefa referatu. Zaplanowaliśmy wakacje...

Nie słuchałam. Dopiero pod domem ocknąłam się z rozmyślań. Znowu szykuje się wotka. Święta nie tylko może mnie zniszczyć, ale też narobić dymu w innych miejscach. Jej słowo niesie się po całej kloace polskiego serialu. Ale musi być coś, co ją powstrzyma. Coś, co zamknie jej usta i w końcu przestanie ujadać. A jak będzie się bać, zacznie szanować. Weszłam do pustego domu i zrobiłam sobie drinka. Ostatnio piłam coraz więcej, w samotności.

Mleczarka wbija tasak

„Jeśli chcesz, by coś było zrobione, powierz to osobie bardzo zajętej”

Musi być coś, co ją powstrzyma. Coś, co zamknie jej usta i w końcu „przestanie ujadać. A jak będzie się bać, zacznie szanować” – myślał o żonie Hubert Meyer, wchodząc do pustego domu. Anka z dziećmi wyprowadziła się do matki kilka dni temu. Usiadł na krześle, które zostawiła tylko dlatego, że miało złamane oparcie. Kontemplował chwilę, aż w końcu postanowił zrobić sobie drinka. Siegnął do szafki. Półki ziały pustką. Otworzył suszarkę, ale oczywiście nie było ani jednej szklanki. Ani żadnego innego naczynia. Na ociekaczu zauważył tylko ostrze skrobaczki do warzyw. Rozejrzał się po mieszkaniu. Tyle zostało z jego małżeństwa: połamana skrobaczka, kilka porzuconych kartonów i niewiele jego osobistych rzeczy, które kobiecie nie przydadzą się w nowym życiu. Zniknęły meble, telewizor, ubrania Anki, zabawki dzieciaków, o które wciąż się potykał. Nawet wykładzina z podłogi w salonie. Profiler chodził po betonowej posadzce, wsłuchiwał się w odgłos swoich kroków i wspominał. Gdy się tu wprowadzali, umówili się, że jak tylko staną na nogi finansowo, położą parkiet. Nigdy do tego nie doszło. Prowizorki zawsze są najbardziej trwałe.

Nie mógł uwierzyć, że Anka zachowała się tak prymitywnie. Wszedł do łazienki. Wypłukał kubek do mycia zębów, którego chyba nie zauważyła. Nalał do niego trzy centymetry wódki. Kiedy odkręcał butelkę z colą, gaz eksplodował i lepki płyn trysnął fontanną na twarz i ubranie. Poszukiwał ścierki, ale oczywiście nie znalazł. W kącie leżała jakaś szmata. Podniósł

ją. Był to jego ulubiony, wyciągnięty i sprany T-shirt, którego Anka użyła jako ścierki do kurzu. Z trudem opanował wściekłość. Umył ręce w zlewie. Zdjął zachlapaną marynarkę, zaprał plamy i zawiesił ją na połamanym krześle. Potem rozpiął pierwszy guzik zbryzganej colą koszuli, podwinął rękawy. Chwycił się za głowę, palcami rozczesywał zmierzwione włosy. Potarzał się po policzku, na którym już pojawił się zarost.

– Dopiero teraz potrzebuję urlopu – powiedział do siebie, pijąc drinka. – A Stary już mnie wysłał do rozpracowywania tego maniaka. Jedenaście bomb. Nieźle. Podobno cała Warszawa stanęła w korkach. Ogłoszono alarm. Musiało ich być dwóch – nagle przyszło mu do głowy. Dobrze, skoro Stary mnie potrzebuje, niech zajmie się sprawą mojej dyscyplinarki.

Spojrzał na zegarek. Znów pierwsza w nocy. Stres odpuszczał powoli. W miarę kolejnych wypijanych kubków wódki z colą profilerowi coraz bardziej podobała się ta pustka. Po raz pierwszy dom nie był zagracony. Wpatrywanie się w przestrzeń pustych pokoi go uspokajało... Dlaczego kobiety tak uwielbiają gromadzić rzeczy? Zachowują się jak chomiki. Otaczają się mnóstwem rzeczy i dopiero wtedy czują się bezpiecznie. Bibeloty, ubrania, dziesiątki butów, torebek. Półki pełne książek, których i tak nie czytają do końca, maskotek, naczyń... Jemu wystarczyło tylko to, co miał w torbie podróżnej: trzy pary spodni, kilka podkoszulków, dwa garnitury na zmianę. „W gruncie rzeczy niczego więcej nie potrzebuję!” – myślał. Może jedynie proszku do prania, kilku naczyń i wygodnego łóżka. Wspominał pobyt w Mielniku nad Bugiem. Czas płynął tam wolniej. A teraz to miejsce, zdarzenia i emocje związane ze sprawą wydawały się tak odległe, jakby opuścił tę enklawę spokoju ponad tydzień temu, a nie przed siedmioma godzinami.

To tutaj jednak, na Śląsku, czuł się u siebie. Uwielbiał zgiełk, pełne ludzkich tajemnic mrówkowce, setki okien, za którymi tętniło życie. Światła na ulicach. Ciemne bramy, w których ukrywały się zakochane pary. Albo bandyci. Eugeniusz Kula miał rację: dzięki nowym technologiom idziemy do przodu. Jaki to cudowny wynalazek – samochód. Hubert Meyer sam nie wiedział, dlaczego tak polubił prostego kierownika posterunku. Kiedy się żegnali, było mu nawet trochę żal, że wyjeżdża. Pewnie nigdy się już nie spotkają. Przejazd przez Warszawę po raz kolejny uświadomił mu, jak różne są ludzkie światy. Kalejdoskop ludzkich myśli, marzeń, nie-

szczęść. Każdy ma w sobie kosmos... i pustkę. Nie mógł się powstrzymać i mijając centrum stolicy gwałtownie skręcił na szosę do Otwocka. Tym razem ulicę Miłą znalazł bez problemu. Zastukał do drzwi z numerem 14, bo domofon nie działał. Na spotkanie wyszedł mu mężczyzna z wąsami w niechlujnym ubraniu.

– Do kogo? – zapytał niezbyt uprzejmie.

– Zastąłem pana Bułkę? Albo jego kolegę? Któregoś z tych wróżów... – zapytał Meyer.

– Nikt taki nigdy tu nie mieszkał.

– Ale jak to? Byłem tu przedwczoraj... Rozmawiałem z nimi. Wynajmowali w tym domu pokój – naciskał psycholog, choć z tyłu głowy błyskała lampka ostrzegawcza. Coś mówiło mu, że się myli. Patrzył na właściciela budynku i sam zwątpił w prawdziwość własnych słów. Wskazał wyblakły prostokąt na frontowej ścianie, gdzie ostatnim razem wisiał szyld wróżów.

– Tu była tablica, widziałem ją przedwczoraj – podkreślił bez nadziei, że to coś da. Wiedział, że dalsze wyjaśnienia tylko go kompromitują, ale nie odpuszczał.

– Nie mieszkał i nie mieszka tutaj nikt, o kogo pan pyta – warknął gbur. Podszedł do schodów, przyniósł tabliczkę. Podsunął ją pod sam nos profiler. „Ja tu pilnuję. Wchodzisz na własną odpowiedzialność” – przeczytał Meyer. Nad napisem był wizerunek uśmiechniętego owczarka niemieckiego. Ani śladu Bułki, talizmanów... O co chodzi?

– O tę tabliczkę panu chodziło? Odpadła trzy dni temu. Jeszcze nie zdążyłem jej przybić.

Meyerowi zakręciło się w głowie. Nie pożegnał się z właścicielem. O nic więcej nie spytał. Kiedy wyjeżdżał na szosę katowicką, wybuchnął spontanicznym śmiechem. – To znaczy, że zwariowałem? Wszystko mi się śniło? Nie, to wszystko jest tak nieprawdopodobne. Przecież...

Wyjął ze schowka podartą kartkę, którą przedwczoraj Żwirek włożył za jego wycieraczkę. Nie było na niej żadnego napisu. Ani jednego słowa! Zaskoczony aż zatrzymał samochód. Skręcił tak gwałtownie, że jadące za nim auto omal nie wpadło w poślizg. Kiedy kierowcy udało się odzyskać panowanie nad kierownicą, zaczął wściekle trąbić. Odgłos klaksonu ginął powoli, w miarę oddalania się od zatoczki autobusowej, w której zatrzymał

się Meyer. Wpatrywał się w zmiętoszoną kartkę. Podsunął ją pod światelko w samochodzie. Dałby sobie rękę uciąć, przysięgłby na zdrowie jednego ze swoich dzieci, że widział tutaj zdanie napisane czerwonym pisakiem. Ale kartka wciąż była kompletnie czysta. Teraz już nic nie rozumiał.

Im bliżej był domu, tym przeżycia z przygranicznej wsi nad Bugiem traciły na intensywności. – Jutra nie ma – powiedział na głos. – Jest tylko tu i teraz.

Postanowił skupić się na tym, co namacalne i pewne. Nie miał już ochoty słuchać wskazówek magów, które okazały się diaboliczną iluzją.

Teraz siedział na połamanym krześle i popijał drinka. Chciał uporządkować chaos wokół siebie i w końcu wyjść na prostą. To wszystko, co może uczynić. W końcu jego sytuacja nie jest taka zła. Czuł, że w tym pustym domu nabierze sił. Dobrze, że Anka wszystko zabrała. Niech bierze! On zaczyna od nowa. Może teraz zmienić wszystko. Nie ma co tracić czasu na głupoty. Trzeba wziąć życie za rogi.

Rano przedstawi swój profil komendantowi, złoży raport. Wszystko wróci do normy. Załatwi sprawy związane z rozwodem. Zobaczy dzieci. Jeśli Anka mu pozwoli. Zajmie się bombiarzem, potem kolejnymi psychopatami. Dokończy swoją pracę o profilowaniu... Wyciągnął z pawlaczka dmuchany materac, którego używali ostatni raz podczas wyjazdu nad morze, kiedy urodziła się ich pierwsza córka – Honoratka. Przykrył się starym kocem i zasnął głębokim snem.

Monumentalna niebieska komenda w Katowicach, zbudowana tuż na skraju ślimaka autostrady, wyglądała jak szczerbaty potwór, który w młodości skutecznie straszył mieszkańców okolicy. Dziś ta bestia nadaje się jedynie do domu starców. Profiler kilkoma susami pokonał schody i znalazł się w paszczy potwora. Skinął głową oficerowi dyżurnemu. Kartą magnetyczną przeciągnął po czujniku. Drzwi otworzyły się automatycznie. Zwykle, kiedy wracał z delegacji, pierwsze kroki kierował do pokoju Marioli. Mówiła mu, kto go szukał, przekazywała listę rzeczy do zrobienia. Dziś od razu skręcił w zielonkawy korytarz, w którym mimo wczesnej pory jak zwykle raziło ostre światło jarzeniówek. Zamknął się w gabinecie. W klitce panował zaduch. Otworzył okno, włączył komputer, startł kurz z monitora, odebrał e-maile, poukładał papiery na biurku. Kiedy

wszystko znów było po staremu, a pomieszczenie wydawało się na powrót oswojone, wyjął popielniczkę z szuflady i wcisnął cztery cyferki numeru wewnętrznego. Usłyszał połączenie z sekretariatem Starego.

– Meyer, mógłbym z szefem?

– Rozmawia z organizatorami konkursu „Policjant Roku 2006”. Połączę, jak tylko goście wyjdą. Czeka na pana.

– Jestem u siebie – odłożył słuchawkę.

– No i jak? – zairzał Janek.

– Świetnie – skrzywił się Meyer. – Dzięki za pomoc z tą pluskwą.

– Drobiazg – uśmiechnął się spec od elektroniki. – Słabo coś wyglądasz.

– Też byś nie wyglądał najlepiej, jakbyś musiał spać na dziurawym materacu, z którego powietrze zeszło po godzinie. A z domu zniknęło wszystko, co do jednego widelca. Nie mam nawet w co się przebrać, bo w moich rzeczach biegają teraz bezdomni. Ciesz się, że nie masz żony – uśmiechnął się krzywo.

– Anka cię tak załatwiła? Jaja robisz? To do niej niepodobne... – zaczął Janek, ale widząc kwaśną minę Huberta dokończył: – Mam tapczan w garażu. Mogę ci pożyczyć. Ale on nie jest zbyt elegancki. Ma ze sto lat...

Meyer zmarszczył czoło, uśmiechnął się. – Nieważne, byle nie schodziło z niego powietrze. Strasznie rano kości bolą... – uśmiechnął się. – Ale są i dobre strony tej sytuacji. Nareszcie jestem wolny! Cudowne uczucie!

– To tak jak ja... Od trzydziestu dziewięciu lat – dodał Janek i obaj się roześmieli.

W tym momencie zadzwonił telefon. Meyer zdusił papierosa i podniósł słuchawkę.

– Już idę – powiedział.

– Słuchaj, Janek. Stary mnie wzywa. Wpadnę do ciebie za chwilę.

– Jasne, zaglądam. A może pójdziemy wieczorem na drinka? Pogadamy na spokojnie.

– Może. Zobaczymy.

– No to czuwaj. Hubi?

– No? – Meyer chwycił wydrukowany przed chwilą profil i już zakładał marynarkę. Na kieszeni i kłapie widać było małe plamki. Cola... Zauważył je dopiero teraz, zaczął je intensywnie ścierać. Ale niewiele to dało.

– Mariola się zwolniła. Wiesz coś o tym?

– Jak to? – spytał obojętnie, nawet nie podniósł głowy. Wciąż uparcie walczył z lepкими kropkami, do których już przyczepiły się drobinki kurzu. Wyglądało to co najmniej niechlujnie.

– Myślałem, że coś wiesz... Tak nagle, z dnia na dzień. Jest teraz na zwolnieniu lekarskim.

– Nie, nie wiem. Obraziła się na mnie. Nie rozmawiamy... Przyjdę potem – rzucił w biegu.

Ale już nie przyszedł. Rozmowa z komendantem nie należała do najprzyjemniejszych. Meyer czuł, że szef niezbyt skupia się na jego wypowiedziach. Owszem, przyjął do wiadomości, że według niego zabójcą Niny Frank jest seryjniak, ale większą uwagę przywiązywał teraz do jego niekonwencjonalnego sposobu zbierania informacji o ofierze: nocleg w domu denatki, zarekwirowanie kaset Króla, rozmowy bez protokołów ze świadkami... „Mam przerąbane” – myślał.

– Czy pan wie, że działając wbrew procedurze, naraża na szwank dobre imię całej policji?

– Tak. Jednak nie miałem innego wyjścia.

– Policjanci z wojewódzkiej twierdzą, że był pan wyniosły, ordynarny i nie informował o podjętych czynnościach. A to oni są przecież gospodarzami śledztwa. Co się panu stało? Zawsze był pan profesjonalistą! – komendant nie szczędził słów potępienia. Widocznie dostał po głowie od swoich szefów.

Hubert Meyer zamyślił się. Ten Łysy to kawał świni. Tak przedstawił sprawę, że jeszcze wyjdzie na bohatera. Bolało go, że komendant, który powinien być po jego stronie, a przynajmniej go wysłuchać, zachowuje się, jakby miał do czynienia ze stażystą.

– Z mojego punktu widzenia sprawa wygląda nieco inaczej, panie komendancie. Czy ma pan ochotę poznać moją wersję? – na te słowa profiler a liliput wbił się w fotel, a małe rączki położył na wypolerowanym blacie. Jedną z nich zacisnął w pięść.

– Słucham.

– Komisarz Czupryna nie chciał współpracować. Udostępnił tylko wycinek wiedzy, którą posiadał. Nie podał mi nawet swojego numeru

telefonu. Dał mi jasno do zrozumienia, już podczas mojej pierwszej wizyty, że jestem zbędny. I jednocześnie działał na oślep, po omacku. Prokuratura przyciska go, żeby jak najszybciej oskarżyć zatrzymanego w tej chwili mężczyznę. Rozmawiałem z tym chłopakiem. Według mnie on tego nie zrobił. Choć jest bardzo ważnym świadkiem.

– Ocena jego winy nie należy do pana. Od tego jest sąd. I dobrze pan o tym wie! Wysłałem tam pana, bo jest pan najlepszy. A przyniósł pan wstyd, hańbę! Chyba po ostatnim spektakularnym sukcesie woda sodowa uderzyła panu do głowy. Powtarzam, wciąż pan jest funkcjonariuszem, musi pan działać zgodnie z prawem. Nawet jeśli był pan na chwilę gwiazdą.

– Gwiazdą... – zachnął się profiler. – Dobrze, nie będę się skarżył. Ale według mnie sytuacja jest bardzo niebezpieczna. Zabójca działa z pobudek seksualnych. Będzie zabijał. Jeśli Łysy, przepraszam, komisarz Czupryna, zamierza osiąść na laurach, to gratuluję. Ale zginą kolejne kobiety. Tyle mam do powiedzenia. Wszystko opisałem. Ten sam profil zostawiłem w Białymstoku. Co oni z nim zrobią, to nie moja sprawa. Ale pan może coś zrobić, proszę zainterweniować – dokończył rzeczowo i splótł dłonie pod stołem.

– Mam panu zaufać? Jak pan to sobie wyobraża?! – zdenerwował się Stary. – Kradnie pan dowody, wdziera się do mieszkania ofiary, przesłuchuje świadków bez protokołu. Zastrasza męża Niny Frank! To pracownik telewizji, sławna osoba. Chce pan rzucić cień na nasz wizerunek, podważyć zaufanie społeczne! Czy pan wie, że w tej chwili mogę pana zawiesić w obowiązkach funkcjonariusza! Czy pan naprawdę nie rozumie, w co się wpakował? A jeszcze ten funkcjonariusz ze wsi. On pana chroni. Jego też pan pogrążył. Czy panu nie wstyd! Dałem panu czas na ułożenie swoich spraw. Urlop...

– Urlop? To było najcięższe śledztwo mojego życia! Same przeszkody. Zero pomocy, zero zaufania. To właśnie ten pański urlop zniszczył doszczętnie moje życie prywatne. Byłem lojalny w stosunku do pana, a nie do własnej rodziny. Ale was, przepraszam pana, komendancie, to nic nie obchodzi. Tylko procedury się liczą! Nie zamierzam tego wysłuchiwać. Proszę przeczytać profil i zastanowić się nad nim.

– Jak pan śmie tak do mnie się zwracać! – zgromił go komendant.

Hubert Meyer milczał. Tak zacisnął wargi, że aż zrobiły się granatowe. Potem wstał i ruszył do wyjścia.

– Meyer!

Odwrócił się, ale zanim komendant otworzył usta, by rzucić mu w twarz kolejne oskarżenie, powiedział dobitnie:

– On będzie zabijał. To seryjny morderca. Bardzo inteligentny. Pedantyczny. Typ zabójcy zorganizowanego. Jest na wolności. Jeśli ważniejsze są dla pana procedury, a nie życie ludzkie, nie zamierzam pracować pod pańskim kierownictwem ani minuty dłużej.

Wyszedł.

Długi korytarz wydawał mu się tunelem wyłożonym macią perłową. W głowie mu się kręciło. Dopiero teraz uświadomił sobie, co zrobił. Jakie poniesie konsekwencje? Wszystko już runęło. Wszystko. Czy jest jeszcze coś, czego nie zniszczył? Pomyślał o swoim własnym Hagalaz: „Aby zbudować coś nowego, trzeba zniszczyć stary porządek”. Kiedy przechodził obok sekretariatu własnej sekcji – może już ostatni raz – zza biurka wychyliła się młoda dziewczyna. Szare włosy, szare oczy, szare ubranie i metalowe okulary. Nic ciekawego.

– Panie komisarzu, zastępuję panią Mariolę – powiedziała i wybiegła mu naprzeciw. Zna go? Przecież on widzi ją pierwszy raz. No tak, ale kogoś takiego w życiu bym nie zapamiętał. Może już ją widziałem? Ale kiedy?

– Dzwoni wciąż ta dziennikarka – mówiła Szara. – Krasieńska z „Gazety Opolskiej”.

– Nie udzielam żadnych wywiadów. Niech rzecznik albo komendant mnie wyreży – rzucił zrezygnowany.

– Jeszcze coś. Mam tu pilną korespondencję do pana. Wyciągnęła w jego kierunku białą kopertę z niebieską naklejką „priorytet”. Pilne.

– Przyszła dziś rano.

– Dziękuję – skinął głową i od niechcienia odebrał ją z rąk szarej sekretarki. Sam nie wiedział, dlaczego zrobiło mu się tak przykro, gdy zobaczył to bezbarwne stworzenie zamiast Marioli. To chyba ból po stracie. Ale nie Marioli, raczej smutek z zakończenia starego i strach przed nowym. Wsiadł do windy, wszedł do siebie. Zaczął zbierać swoje rzeczy. Odpinał znaczki z bambusowej maty: „Konferencja psychologów policyjnych”, „Szkolenie psychologiczne służby więziennej”, „Portret psychologiczny nieznanego sprawcy w pracy detektywa – Konferencja”. Nie, nie miał sił tego wszystkiego wyrzucać. Położył znaczki na stole. Ukrył twarz

w dłoniach. Co zrobi, jeśli Stary go zwolni? Co zrobi? Bo, że zwolni go, to pewne. Sam rzucił mu to w twarz. Stary nie wybacza takich zachowań. Co we mnie wstąpiło? Może wrócić do więzienia? Na firmę nie ma co liczyć. Stary zadba o to, by nikt nie chciał ze mną pracować. To człowiek, z którym lepiej żyć w zgodzie. Wróg z niego jest bezlitosny, śmiertelny. Spojrzał niechętnie na pilny list. Okrągła pieczętka pocztowa była zamazana, ale zdołał rozszyfrować: Otwock. Natychmiast rozerwał kopertę. Wewnątrz znalazł rachunek na symboliczną kwotę 1 zł. W lewym górnym rogu dostrzegł pieczętkę: „Egzorcyzmy. Bioterapia. Talizmany. Ferdynand Wawrzyniak & Feliks Bułka”.

W miejscu „nazwa usługi” wpisano: konsultacja.

Uśmiechnął się. – Więc jednak istnieją...

Oprócz rachunku była też druga kartka, złożona na cztery części z wykalgigrafowanym odręcznie: „Szanowny panie Meyer!”

– Kto teraz tak pisze? – zastanawiał się psycholog.

Pod nagłówkiem, czerwonym flamastrem, starannie nakreślono literkę R i kilka zdań:

„RAIDHO. Podróż, koło, tarcza słońca. Symbol osobistej kariery. Cykliczność zjawisk w przyrodzie. Rytm, ruch. Rozwój. Działanie, droga, komunikacja. Zmiana, którą należy przeprowadzić w sposób uporządkowany. Niezbędna jest też aktywność w sferze etyki. Kieruj się rozumem, słuchaj dobrych rad. Tama wewnętrznych przeszkód runie i właściwe działanie będzie płynąć przez ciebie. Właściwy czas, stosowny moment. Zmiana warunków życia, zmiana mieszkania, dłuższa podróż. Zastosuj RAIDHO do ochrony przed wpływami wprowadzającymi chaos i zamieszanie. Do przywrócenia organicznego porządku we wszystkich zakresach: cielesnym, emocjonalnym i duchowym”.

Podpisu nie było.

Hubert Meyer wykręcił numer do Anki.

– Musimy porozmawiać – powiedział. – Tak, dziś wieczorem. Chciałbym zobaczyć dzieci.

Nie klócił się, słuchał. Ona też była jakby spokojniejsza. Kiedy skończył, zadzwoniła sekretarka szefa. – Łączę z komendantem – zakomunikowała.

– Panie komisarzu... – Stary na chwilę zawiesił głos.

Meyer miał wrażenie, że czas stanął w miejscu. To była najdłuższa minuta jego życia. Wpatrywał się w zatrzymane cyferki zegarka na komputerze i czekał.

– Rozmawiałem z komendantem w Białymstoku. Przekazałem mu w skrócie pańską analizę. Obiecał, że porozmawia ze swoimi ludźmi. Uczuli ich. Tyle mogłem zrobić. Proszę teraz zająć się bombiarzem. Mam nadzieję, że naszą poranną rozmowę puścimy w niepamięć.

Profiler nie mógł uwierzyć. Oddychał głęboko. Ulga. Czuł się lekko, zerknął na kartkę od wróżów i uśmiechnął się.

– Przepraszam, że się uniosłem, panie komendancie...

– Proszę więcej tego nie robić. Jestem człowiekiem, który myśli. Czasem się jednak myli. Teraz panu zaufam, jednak konsekwencje działań niezgodnych z procedurą będzie pan musiał ponieść sam.

– Tak jest.

– Wyjazd do Warszawy byłby wskazany już dziś.

– Przykro mi, muszę zobaczyć się z dziećmi. Wyjadę jutro z samego rana – odpowiedział stanowczo profiler. To było coś nowego. Zwykle od razu działał. Nie liczyła się rodzina. Praca była na pierwszym miejscu. Komendant udał, że tego nie zauważył.

– Dobrze, niech i tak będzie – odpowiedział szorstko, ale bez pretensji.

Plakaty wisiały już drugi dzień. W Mielniku, Tokarach i sąsiednich wioskach wybuchła epidemia strachu. Alojzy Trembowiecki jakby zapadł się pod ziemię. Eugeniusz Kula wciąż dostawał kolejne donosy na sąsiadów od sąsiadów. Początkowo sprawdzał każdy trop. Potem jednak całkiem stracił zapał. – Nie tędy droga – stwierdził. I chwycił słuchawkę. Trzykrotnie wykręcał numer telefonu komórkowego, ale wciąż się mylił. Gdy za trzecim razem się udało, usłyszał sygnał zajętości. Odłożył słuchawkę. Po chwili telefon na jego biurku zabrzęczał.

– Co się stało, Eugeniuszu? – zapytał Meyer. Kula aż podskoczył. Uśmiechnął się, oblizal wargi.

– A skąd wiesz, że to ja?

– Mam cię w telefonie – zaśmiał się Meyer, a Kuli aż się zrobiło ciepło na sercu, gdy usłyszał jego spokojny głos. – Jestem w Warszawie, pracuję. Ale chwilę mogę rozmawiać. Co się stało? – powtórzył.

Kierownik posterunku pokrótce streścił ostatnie wydarzenia i zamarł, lekko przestraszony. Bo dopiero, gdy to wszystko powiedział na głos, zrozumiał, jak to brzmiało.

– Nie wiem, co się dzieje. Nie panuję nad sytuacją. Ludzie się boją. Co robić? – dodał ciszej, jakby bał się, że ktoś usłyszy jego wyznanie.

– Niedobrze, oj bardzo źle – szepnął profiler. – Musisz zaprowadzić spokój, Gieniu. Nigdy nie wywołuj sztucznej paniki. Z tymi plakatami to też chybiony pomysł. Łysy wie?

– No co ty? Nie jestem samobójcą...

– Gienek, szybko się ich pozbądź. Przecież będziesz miał kłopoty.

– No, o kradzieży radiowozu to wie, wszyscy wiedzą...

– Słuchaj, musisz zakończyć akcję. Rozwiej obawy, że morderca jest w pobliżu. Niech ludzie się uspokoją. Ale sam nie odpuszczaj, pracuj operacyjnie. Obserwuj i bądź czujny. Zachowuj się zupełnie normalnie, jakby nic się nie stało. Białystok, mam nadzieję, niedługo zwróci się do ciebie po dane podejrzanych z profilu. Udawaj, że nic nie wiesz. I koniecznie zniszcz plakaty. To bardzo zły pomysł.

– Wiem, mam z tego powodu tylko kupę kłopotów. Ludzie oszaleli. Na samą myśl o zgarnięciu szmalu, a to tutaj duża kwota, donoszą jedni na drugich. Wracam do domu przed północą. Schudłem siedem kilo.

– Co? – profiler zaczął się śmiać. – Gienek, musisz jeść i pracować normalnie. I pamiętaj, sprawca będzie pasował do profilu, nie szukaj na wrywki. To, że ktoś mieszka z matką, nic nie znaczy. Popatrz na to globalnie.

– Jak?

– W całości. Ogółem. Nie skupiaj się na szczegółach. Zadzwońę potem, muszę kończyć – rozłączył się.

Eugeniusz Kula zszedł na dół i zerwał plakat z narysowaną podobizną człowieka w cieniu. Wsiadł do radiowozu i objechał wszystkie miejsca, gdzie jeszcze mogły być afisze. Kiedy wrócił, zrobił zebranie posterunkowym. W kilku zdaniach pouczył, co robić, jeśli zgłaszają się chętni po nagrodę.

– Akcja zakończona? – zapytał Czerwieński.

Kula spojrział na oddanego chłopaka i zrobiło mu się przykro. Jak mógł go podejrzewać?

– Tak, Romek. Ale tylko oficjalnie. My nadal musimy mieć oczy dookoła głowy.

– A Trąba?

– Niech go szukają. My zrobiliśmy, co trzeba.

Minął tydzień. Malwina znów wybrała się na bazar sprzedać swoje sery i mleko. Dzień był piękny: błękitne niebo, ani jednej chmurki. Słońce odbijało się w śniegu. W powietrzu było już czuć zapach wiosny. Wahala się, czy nie założyć czegoś lżejszego, ale wybrała kurtkę. Zamiast futrzanej czapy założyła берет. Wciąż nie mogła odżalować tego szalika. Był droższy niż bilet autobusowy. Tego dnia kupię bilet w tę i z powrotem – postanowiła. Ale jak pech, to pech. Sprzedaż szła bardzo kiepsko w porównaniu z ubiegłym tygodniem. Pojawiła się konkurencja. Mieli produkty nie tak dobre jak Malwiny, ale tańsze o złotówkę. Na dodatek dała sobie wcisnąć chiński tasak. Z dobrej stali, z drewnianą rękojeścią. Na ostrzu widniały trzy chińskie znaczki. Spodobał się jej od razu i nabyła go spontanicznie przy samym wejściu na ryneček, choć nie potrzebowała go aż tak bardzo. Skąd miała wiedzieć, że nie sprzeda dziś ani jednego serka? Nie zarobiła nawet na bilet.

Szła, nabzdyczona ze złości, z torbą pełną towaru i narzekała.

– Zawsze mam pod górkę... Dlaczego nic mi się nie udaje! – prawie płakała. Ciężką torbę postawiła na chodniku i wyciągnęła rękę, by złapać okazję.

Mężczyzna spojrzal na zegarek. Minęła pierwsza. Jeszcze tylko cztery domy do objechania i czas na obiad. Dziś ostatni dzień będzie mieszkał w tym obskurnym hotelu. Jutro wraca do matki. Koniec wolności, ale nareszcie będzie w swoim własnym pokoiku. Tam czuł się najlepiej. Wyjął ze schowka czerwony szalik i powąchał go. W głowie znów czuł nabrzmiały bąbel. Niepokój, który towarzyszył mu od miesiąca, narastał bardzo powoli. Czuł, że musi go wyładować. Nie jest w stanie dłużej żyć w napięciu. Patrzył na czerwoną materię, leżącą na jego kolanach, i wyobraził sobie, że dusi nią ofiarę. Kobieta wpada w drgawki, słyszał rżenie w jej gardle. Zamknął na chwilę oczy tylko po to, by poczuć znów te emocje, które towarzyszyły mu podczas zabijania aktorki. Oglądanie jej zdjęć,

wspominanie walki już nie dawało mu takiej satysfakcji, jak kiedyś. Miał ochotę na coś nowego. Na nową porcję doznań. Spojrzał na swoje chude, długie palce. Nigdy nie zaznały pracy fizycznej. Były za to bardzo sprawne. W pokoju hotelowym bez okien ćwiczył czasem zaciskanie pętli. Ostatnio dla przyjemności zadusił kota, a potem rozkroił jego brzuch. Ale to była tak łatwa zdobycz, że natychmiast o niej zapomniał. Potem pojechał na polanę pod dom Niny Frank i zawiesił krwawiący kawałek ciała zwierzątka na drzewie. Siedział z godzinę w samochodzie, dopóki nie przyjechał inny samochód. Jakaś zakochana para... Przestraszył się i uciekł. Żałował tego. Mógł wyciągnąć kobietę z auta i powtórzyć swoje dzieło uwolnienia z grzechu. Ale tamta jakoś na niego nie działała...

Schowal czerwony szalik do schowka. I dokładnie wtedy zobaczył na przystanku tę samą dziewczynę. Stała z miną obrażonej na cały świat. Czarne włosy wylały się na wietrze, słońce świeciło jej prosto w oczy. Nie mogła widzieć twarzy kierowcy ani nawet auta, które właśnie zwałniało. Mężczyzna uśmiechnął się do siebie i pomyślał: „Więcej mogę jej już nie spotkać. Do dwóch razy sztuka...”

Bezszelestnie dotoczył się do mleczarki. Rzucił okiem na okolicę. Na przystanku ani wokół nie było żywej duszy. Tylko drzewa i słońce. Czuł w końcu radość i podniecenie. Jak błyskawice przemknęły mu przez głowę obrazki: krew płynąca po szybie, rozwarłe usta, martwe, szare tęczęwki. Flesze, wspomnienia, które wracały.

Kiedy dziewczyna, nadal naburmuszona, z trudem otworzyła zardzewiałe drzwi furgonetki, powiedział:

– Proszę wsiadać, właśnie jechałem do Tokar.

Zrobiła krok na pierwszy stopień i podciągnęła na wysokość drugiego schodka kraciatą torbę, aż nagle cofnęła się. Przerażona wpatrywała się w kierowcę. Wyjął ze schowka jej czerwony szalik, pomachał nim jak marchewką przed oczami osiołka i powiedział.

– Czy to pani?

– „Oaza” z Gienkiem Kulą! – zaśmiewał się Janek, pijąc trzecie piwo w karczmie, w którym kelnerki były poprzebierane w stroje ludowe. – To mi przypomina ostatni egzamin z chemii, którego oczywiście nie zdałem... – opowiadał.

Hubert Meyer słuchał Janka i wpatrywał się w biegające po korytarzach dziewczyny. Śmieszyły go te czepce i spódnice z falbanami, spod których nie widać było nóg, a w które wciśnięto młodziutkie dżierlatki. Wyobrażał sobie, że ze smutkiem zdejmują obcisłe dżinsy, z których wystają cieniutkie niteczki stringów, i z obrzydzeniem zakładają ciężkie, pluszowe spódnice. Śmiał się. Na głos. Pierwszy raz od dawna. Do rozpuku. To zasługa Janka, który jednak wyciągnął go na piwo. Spec od elektroniki w katowickiej komendzie był wyjątkowo zabawnym człowiekiem. Skończył socjologię, studiował medycynę. A pracuje w policji. Urządzeniami fascynował się od dziecka. Jako czteroletni szkrab wołał dostać komplet kabli czy starą suszarkę do włosów, którą można bezkarnie rozebrać, niż najdroższą zabawkę. Wszyscy znajomi i rodzina znosili więc rodzicom Janka zepsute urządzenia, a chłopiec w nich dłubał. Połączył kablami całe mieszkanie i kiedy matka chciała włączyć pralkę, musiała pytać syna, który przedłużacz gdzie podłączyć. Tylko on orientował się w tej gmatwaninie przewodów. Potem dorabiał, naprawiając telewizory, składając komputery. Im trudniejsze urządzenie, tym był szczęśliwszy. Drugiego takiego pasjonata nie było chyba w całej polskiej policji. A na dodatek miał specyficzne poczucie humoru. Meyer bardzo go lubił.

Janek dopiero co skończył opowiadać o swojej aktywności w Internecie i udziale w niezliczonej ilości grup dyskusyjnych na temat wymierającej Europy.

– Ludzie nie chcą się rozmnażać – oburzał się, choć sam nie miał dzieci ani żony. – Jeszcze nie spotkałem odpowiedniej matki – żartował. Teraz przeszedł płynnie do niezdanego egzaminu z chemii.

– Więc idę tym korytarzem. Aż tu nagle wychyla się psor z kantorka naprzeciwko. I co? – pyta.

– Nie zdałem – mówię. – Już trzeci raz. Wylatuję z uczelni.

Meyer patrzył na pucolowate policzki specy od elektroniki i łyzy płynęły mu ze śmiechu.

– Pomachał na mnie ręką. Wszedłem do środka. W pomieszczeniu był lekki zaduch i śmierdziało gorzałą. Rakowiecki wyjął ze schowka kieliszki i zapytał: to z miodzikiem czy z miętą?

– Z miętą – odpowiedziałem.

Rakowiecki wyjął krople miętowe, takie lecznicze, na żołądek, z pieczołowitością odmierzył kilka kropel, po czym dołął do niego spory łyk czystego spirytu. To samo zrobił z drugim „drinkiem”. – Zaraz sobie ulżymy, tylko wypuszczę Kazika. Niech sobie chłopina polata.

Spojrzałem na klatkę na parapecie. Otworzył małą furteczkę i papuga wzbija się pod sufit. Pokój był niewielki, ale miał z pięć czy siedem metrów wysokości. – No, ale psorze... – zaniepokoiłem się. – Ale jak go pan złapie?

Rakowiecki podał mi kieliszek, wzniosł na wysokość oczu, wypił, spojrzał na staroświecki zegarek i odpowiedział:

– Kazik ma słabą kondycję. Polata piętnaście minut i sam spadnie na dół.

– Słabą kondycję... Kazik... – Meyer aż krztusił się ze śmiechu.

Nagle mina mu zrzędła. Janek odwrócił głowę w tamtym kierunku i też ucichł. W zaslonie dymu zawieszanej nad ich głowami najpierw dostrzegł blond loki Marioli, a potem jej długie nogi obute w najwyższe szpilki, jakie widział w życiu. Obok niej kroczył niższy o głowę jegomość z wąsami nadającymi jego młodocianej twarzy tatusiowaty wygląd. Młodzian ubrany był w markowe rzeczy, lecz bez gustu. Pozował na dżentelmena. Dystyngowanym gestem odsunął krzesło, na którym Mariola posadziła swe krągłe pośladki odziane w króciutką spódniczkę. Nie zauważyła kolegów z komendy. Meyer i Janek mogli za to obserwować z tyłu jej labędzią szyję, burzę blond loków i solidne oparcie krzesła, w którym ginęła jej krucha postać.

– Proszę, proszę. Ale Mariolcia se chłoptasia przygruchała ... – skomentował szeptem Janek. I odwrócił się do Huberta.

– Kazik... – wybuchł śmiechem Meyer. – Ma słabą kondycję...

Janek dołączył do niego. Dopili swoje piwo, dusząc się od głupawki. Uregulowali rachunek i skierowali się do wyjścia.

Meyer rzucił okiem na towarzysza Marioli i uśmiechnął się.

Kamień spadł mu z serca. Nie musi być już za nią odpowiedzialny. Zacznie w końcu własne życie.

Kiedy szli do taksówki, lekko się zataczając, Janek zaczął mówić.

– Już wszystko wiem, stary. Te plotki to prawda. Ona chyba oszałała. Umawia się z tymi gośćmi na necie. Siedzi na czatach. Szuka miłości w sieci... – zanosił się śmiechem.

– Skąd wiesz?

– Jeszcze zanim się zwolniła, wszyscy gadali. Podobno Stary nawet ją upominał. Ale nie wierzyliśmy. Mariolka! A tutaj proszę. Tego też pewnie wyczesala na jakimś seksforum. Właściciel solarium albo szczęki na bazarze. Widziałeś, jak był ubrany? Jest od niej młodszy jakieś dwanaście lat!

– I dobrze. Kto szuka, ten znajdzie – zaśmiał się Meyer. I zaciągnął Janka do knajpy obok. – Ty też powinienes w końcu ułożyć sobie życie.

– I kto to mówi – jęknął Janek i czknął głośno. Niemal sturlał się ze schodów do piwniczki, gdzie zamierzali wypić kolejne kilka kolejek.

– Masz słabą kondycję, jak Kazik... – śmiał się z przyjaciela Hubert Meyer. – Dopiero siódma, a ty już nawalony jak stodoła. Z Gienkiem Kulą nie mógłbyś startować w zawody. Zjedz cukru.

– Odwal się – czkał Janek. – Nie cierpię słodkiego.

Telewizor na chwilę przestał bębnić i Lidia poczuła się znów samotna. Była zmęczona. Czekaniem, modlitwą, bezsennością. Nawet wpatrywanie się w szklany ekran ją nużyło i nie pozwalało zapomnieć o tym, że Borys jest w areszcie. Wszystkiego się spodziewała, ale nie piętna matki mordercy. Chciała go przecież wychować na dobrego człowieka. I nie wierzyła, że on to zrobił. A jednocześnie była pewna, że w tym czasie, kiedy zginęła Nina Frank, jej syna nie było w domu. Ani w pracy. Nie chciał jej powiedzieć, gdzie był. Powiedział, że nie powie. Denerwował się, gdy o to pytała.

– Synku, ja muszę wiedzieć. Ty to zrobiłeś?

– Nie.

– To gdzie byłeś?

– Nieważne. To już nic nie zmieni. Dlaczego nie skłamałaś, że byłem w domu!

– Trzeba mnie było uprzedzić... Gdybyś mi powiedział... To na pewno stało się w afekcie. Tylko się przyznaj.

– Mamo, to nie ja! Nikogo nie zabiłem.

– To dobrze, synku, to dobrze...

Czekała na kolejne widzenie. Jeszcze dwadzieścia trzy dni. Sama czuła się jak w areszcie – odliczała dni do momentu zobaczenia syna i płakała. Już nie w milczeniu, nie cicho. Zawodziła, aż Cykoria przybiegała i obli-

zywała jej twarz. Telewizora już prawie nie wyłączała. Obejrzała wszystkie seriale poranne, czekała na sesję wieczorną. Zerknęła za okno. Bernardyn właśnie wrócił z obchodu i siedział przed furtką wpatrując się w puste pole pomiędzy szczebelków furtki. Kilka razy dziennie wykonywał powolny marsz wokół ogromnej posesji otoczonej białoróżowym betonowym płotem, który postawił jeszcze mąż Lidii. Kobieta czasem spacerowała z psem wydeptaną ścieżką, zwierzała mu się ze swoich smutków. Oprócz psów nie miała do kogo ust otworzyć. Gdy to sobie uświadomiła, znów łzy leciały jej na policzki. Zasłoniła szczelnie okno, usiadła na starym krzeselku i wyłączyła głos telewizora. Wpatrywała się tępo w ekran i migające kolorowe postaci. Z rozmyślań wyrwał ją hałas i szczekanie Kierownika. Wybiegła na werandę. Mróz kłuł w policzki, kapcie tonęły w śniegu. Słyszała tylko wołanie o pomoc: – Ratunku!

Gwałtownie otworzyła drzwi. Uspokoila Kierownika.

Kobieta opadła bez sił w jej ramiona. Drżała. Lidia wolnym krokiem przyciągnęła ją do białego domu, położyła na łóżku i wtedy zobaczyła, że jest cała we krwi. Ręce, twarz, rozchełstany dekolt umazane były brunatną ciecżą.

Ochotnicze patrole znajdują mordercę

„Życie to jedna dziesiąta tego, co ci się przydarza,
i dziewięć dziesiątych twojej reakcji na te zdarzenia”

Śpi? – zajął do białego domku pop Aleksander Koczuk.

– Tak, chyba tak – odrzekła wdowa. – Czy batuszka zawiadomił kierownika Kulę?

Saszka skinął głową. – Już jedzie. Pewnie znów mu się samochód zepsuł.

– Strasznie się boję – szepnęła wdowa.

– Nie trzeba, pani Lidko. Dziewczyna żyje. Już nic jej nie grozi.

– Ale ten człowiek... Ona go tasakiem... Chyba go zabiła...

– To był zły człowiek. Malwina zrobiła, co musiała. Bóg nas poprowadzi, każdy z nas niesie swój krzyż. A resztą zajmie się już pan Gienek. To umny funkcjonariusz.

– Co teraz będzie?

– Pamięta pani, co mi wtedy mówiła? Wtedy, gdy jeszcze byłem innym człowiekiem... grzesznym... – pop aż się zaczerwienił. – Dzięki pani zrozumiałem, dlaczego jestem sługą bożym. Jakie mam zadanie. Bardzo wziąłem sobie do serca kilka zdań. Na przykład: „Cały cud życia polega na tym, że wszystko, co ważne, zdarza się w najmniej oczekiwanym momencie. Dlatego trzeba cenić teraźniejszość, a z przeszłości wyciągać mądre wnioski”.

– Ja tak mówiłam? – rozpromieniła się Lidia.

– Tak – uśmiechnął się batuszka. – Jest pani bardzo mądrą kobietą. Dlatego wierzę, że wszystko będzie dobrze. Borys też widać potrzebował

takiego doświadczenia. Żeby wyciągnąć wnioski. On nie jest zły. I mam nadzieję, teraz wszyscy uwierzą, że to nie on zabił aktorkę. Modłę się za niego codziennie.

– Tak batuszka myśli? – Lidia uczepiła się tej myśli i wstąpiła w nią nadzieja. Pierwszy raz od czasu aresztowania syna myślała pozytywnie. Wszystko się ułoży... „Tak, teraz już wszystko się ułoży”, myślała. – O, Malwina się budzi... – szepnęła i podbiegła do łóżka.

Dziewczyna podniosła głowę. Rozejrzała się bojaźliwie po pomieszczeniu. Zobaczyła obok siebie szklanę wody i wypiła zawartość jednym haustem.

– Co z nim? – zapytała.

– Z kim?

– Tym zbrojcem! Wstrętnym mordercą! Boże, dzięki ci za ten tasak! – krzyknęła i poderwała się z łóżka.

– Usiądź. Tu jesteś bezpieczna. Zaraz przybędzie podkomisarz Eugeniusz Kula – uspokajała ją Lidia i przykrywała na powrót kocem.

– Jak długo tu jestem? Jak długo spałam? Co ze mną będzie? – pytała dziewczyna przenosząc wzrok to na Lidię, to na batuszkę.

– Jakies czterdzieści minut – odpowiedział pop.

Malwina opadła na poduszkę. Po chwili jednak wstała.

– Ja muszę się wypowiedzieć – uklękła u stóp popa Saszki. Ten jednak podniósł ją i posadził na łóżku.

– Nie czas teraz na to, dziewczyno. I nie miejsce – powiedział łagodnie.

– Ale ja go uderzyłam w głowę. On upadł – zaczęła mówić bez ładu i składu. – Chyba go zabiłam. On był wierzący. Nie, to jego matka. On w nic nie wierzył... A ja chciałam tylko odzyskać mój szalik. Mówił straszne rzeczy. Bałam się. Słabo sprzedały się sery. Nie miałam na autobus. Ten cholerny tasak. O, przepraszam – zasłoniła usta ręką. – Ten tasak kupiłam. Na autobus nie starczyło... Ale gdybym go nie miała...

W tym momencie usłyszeli warkot silnika auta, trzask otwieranej furtki. Kroki policjanta zagłuszyło szczekanie Kierownika.

– Cicho, piesku. Swój – tubalnym głosem powiedział Eugeniusz Kula i wszedł na teren posesji. Saszka i Lidia wybiegli mu na powitanie. Szep-

tali chwilę na werandzie, a kierownik Kula tylko kiwał głową. – Tak, tak – powtarzał, gdy oboje – batuszka i wdowa – opowiadali, co się stało.

– Malwinka, żyjesz. Bogu dzięki! – w końcu Eugeniusz Kula wszedł do białego domku i krzyknął do siedzącej dziewczyny. – Bój się Boga, okazją jeździć, jak morderca grasuje! Czy ty plakatów nie widziałas? Jak to się stało? Gdzie jest ciało? Mów szybko, bo wszcząłem akcję poszukiwawczą.

– Panie Gieniu! – dziewczyna powtarzała znów swoją litanie niełączących się ze sobą zdań. – Jechałam z ryneczku w Siemiatyczach. Sery nie szły. Kupiłam tasak. Taki chiński, ze znaczkami. Złapałam okazję, zabrał mi szalik. Skręcił w las, chciał udusić. Uderzyłam go tym tasakiem z całej siły. On zacisnął pętlę bardziej. Myślałam, że to już koniec. Zobaczyłam zmarłą mamę i mgłę. Wszystko we mgłę. Potem się ocknęłam. Leżał obok. Wszystko we krwi. Czerwone znaki na śniegu. Czołgał się do auta. Ale krew zalewała mu oczy. Wyprzedziłam go. Wsiadłam do samochodu, bo silnik był włączony. Nie umiem za bardzo prowadzić. Uderzyłam o drzewo, usłyszałam łomot. Naciskałam gaz. Wyjechałam na drogę. Ale ujechałam tylko kawałek, bo samochód nagle skręcił. Pomyliłam hamulec z gazem i uderzyłam głową o kierownicę. Szyba rozbryzgała się na kawałeczki, ale nie rozsypała się. Wyglądała jak pajęczyna, za którą nic nie widziałam. Ruszyłam na piechotę. Bałam się, że mnie dogoni. Ruszał się, jak odjeżdżałam, ruszał się... A potem miałam wrażenie, że zniknął. Patrzyłam w lusterko wewnątrz auta. Zniknął... Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi ze strachu.

– To on żyje? – szepnęła Lidia. Cała trójka spojrzała po sobie. Pierwszy poderwał się do wyjścia Eugeniusz Kula.

– Zamknąć drzwi – krzyknął do Lidii, a ta posłusznie pobiegła i przekręciła zamek. – Malwinka, gdzie to jest? – chwycił za ramiona dziewczynę i trząśł nią krzycząc: – Gdzie on cię zaciągnął?

– Taka polanka – dziewczyna była bliska omdlenia. – Tam, panie Gieniu, młodzież się zbiera w lecie. Ogniska palą, śpiewają? No i wie pan... Miłość jeżdżą uprawiać.

– Gdzie Józkowej krowa padła?

– Nie, obok domu Niny Frank. W tym lesie, gdzie czerwonoogłowiec i koźlaki rosną.

– A! Trzeba było tak od razu – krzyknął Kula. – Czasu mało. Zaopiekujcie się nią? To sierota. Matki nie ma, ojciec z Belgii nie wrócił... Sama bidula jest – krzyknął do wdowy i batuszki.

Wybiegł z posesji. Po drodze krzyczał do Czerwieńskiego siedzącego w aucie.

– Wezwać ochotnicze patrole. Niech przeczeszą las. Wziąć broń, noże, widły. Morderca jeszcze żyje, krwawi, znajdziemy go po śladach. Organizować zasadzkę!

Chwycił nadajnik, by zgłosić zwierzchnikom, co się zdarzyło, ale rozmyślił się. Przekręcił kluczyk w stacyjce radiowozu. Silnik zaskoczył już z pierwszym razem. – Nie nawalił, Sława Hospodi – zamruczał pod nosem Kula i klepnął radośnie Czerwieńskiego, który już obdzwaniał członków Ochotniczych Patroli.

Potem, stanowczo przekraczając dozwoloną prędkość, ruszyli na sygnale na polankę, o której mówił kierownikowi mielnickiego posterunku Hubert Meyer.

– Jak na dłoni widać stamtąd dom aktorki. Pusty, ciemny jak zamek-widmo – przypominał sobie słowa psychologa.

– Sami złapiemy mordercę – postanowił Eugeniusz Kula.

Śnieg chrząścił pod ich stopami. Szli równo niczym żołnierze na pierwszej linii frontu. Ubrani w czarne maskujące stroje, gotowi na wszystko. Nie było zbiórki, nie było przeszkolenia, ani nawet nudnego wykładu. Eugeniusz Kula kazał się rozdzielić po trzech i szukać. Ci, którzy mieli telefony komórkowe, zostali przydzieleni jako liderzy grupy.

– Mieście oczy dookoła głowy – ostrzegł. – Sprawca może być agresywny, może mieć broń. Chcę go dostać żywego lub martwego!

Ochotnicy rozeszli się we wszystkich kierunkach. Gdyby z lotu ptaka połączyć sylwetki ludzkie, przypominające teraz niewielkie punkciki, wyszłaby z tego rozgwiezda, w której centrum znajdowała się polana, tuż obok domu zamordowanej zaledwie miesiąc temu aktorki. Wszyscy czuli się teraz jak bohaterowie westernu. Mieli misję, narażali życie. Nikt nie gadał, nie narzekał. Z duszą na ramieniu przeczesywali las.

– Jest słaby, stracił dużo krwi. Szukajcie śladów – przekonywał ich kierownik posterunku, ale co tu gadać, po prostu trzęśli się ze strachu.

Eugeniusz Kula bez trudu znalazł miejsce, gdzie dzielna mleczarka zaatakowała swojego oprawcę chińskim tasakiem z bazaru. Z boku polany widniała wielka brunatna plama. Obok leżała kraciasta torba, czerwony szalik dziewczyny i kabel od anteny. Eugeniusz Kula kazał zabrać wszystkie przedmioty do radiowozu. Dokładnie zawiązał znaleziony kawałek plastikowego kabla w folię. – Mamy narzędzie zbrodni, proszę... – zwrócił się do Czerwieńskiego i ruszył osobiście po śladach krwi, które doprowadziły go do składu drewna. Tutaj się kończyły i choć Eugeniusz Kula kręcił się w kółko już ponad kwadrans, musiał stwierdzić, że więcej ich w pobliżu nie było. – Dziwne – pociągnął sumiastego węża i zadumał się.

Usiadł za kierownicą i dopiero teraz zawiadomił komendę wojewódzką. – Szukamy sprawcy. Zaatakowana kobieta jest bezpieczna – dokończył oficjalnie. Pół godziny później, gdy już siedział na posterunku, dostał informację, że znaleziono rozbite na drodze auto. Była to biała furgonetka. Siedemnastoletni mercedes. Numery rejestracyjne właśnie są identyfikowane w bazie. Kula uśmiechnął się pod wąsem.

– Hubercie, jak ty na to wpadłeś? – zwrócił się w myślach do profilerka.

Wykręcił jego numer, ale po dwóch sygnałach odłożył słuchawkę. – Powiadomię cię, gdy go znajdziemy. Nie będę ci przeszkadzał. Wyrzwał za okno, właśnie zapadał zmierzch. „Za chwilę nic nie będzie widać. Morderca ukryje się w ciemnościach” – pomyślał z niepokojem. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Nienawidził bezczynności, a cierpliwość nie należała do jego głównych cech. Wolalby być razem z ochotnikami i szukać. Działać, działać. Jednak nie mógł zostawić pustego posterunku, ani tym bardziej zamknąć go na cztery spusty.

Kiedy za oknem było już całkiem ciemno, Eugeniusz Kula czuł ciarki ze zdenerwowania na plecach. Czekał na przyjazd Łysego albo innego detektywa z wojewódzkiej. Wpatrywał się w drzwi.

– Co oni się tak guzdrają! Tu waży się sprawa życia lub śmierci! – chwycił klucze, zamknął drzwi wejściowe i pognął na polankę.

Ochotnicy zebrali się na polance i wpatrywali w posępny dom Niny Frank. Poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Morderca zniknął jak kamfora. Ani ciała, ani krwi, ani żywego człowieka. Cetnarek wylamywał

palce. Czerwieński dłubał w nosie. Reszta myślała, co robić dalej. Jak powiedzieć to Kuli, w końcu trzeba go przecież zawiadomić... Ale żaden nie chciał brać odpowiedzialności, nikt nie chciał decydować w takiej sprawie. Dlatego wszyscy się ucieszyli, kiedy nagle z ciemności wyłonił się sam szef.

– Przecież nie zapadł się pod ziemię! Ruszać się! – wrzeszczał na skonsternowanych strażników społecznych. – Musimy go znaleźć! – wręczył każdemu z nich po latarce.

A sam podszedł do ciemnej plamy i powtarzał: – Dziwne, dziwne... Czerwieński, pożycz no latarki – krzyknął.

Po chwili okrągle światelko nadpobudliwie biegało w tę i z powrotem wokół czarnych w tym świetle kropel krwi, które już wsiąkły w śnieg. Wyglądało jak zajączek z lusterka na suficie. Ochotnicy zamiast ruszać w ciemną głąsę wpatrywali się tępo w Kulę badającego znaki na śniegu i wdychali.

Nagle Czerwieński podskoczył do ściętych bali drzew, ułożonych jeden na drugim. Chwycił jeden z nich i próbował podnieść.

– Co robisz, synu! Dysk ci wyskoczy – krzyknął Kula.

– Panie kierowniku – gorączkowo wyjaśniał posterunkowy. – Te tutaj z jednej strony są oblodzone. A z drugiej?

– Nie – odrzekł Kula.

– Reszta jest pokryta lodem w całości. Wszystkie, które leżą po prawej. A bale z lewej strony wszystkie są oblodzone częściowo – tłumaczył, a ochotnicy wpatrywali się w niego nic nie rozumiejąc.

– Co to znaczy? – szepotali między sobą i wzruszali ramionami. Przytupywali z zimna.

Eugeniusz Kula pierwszy połapał się, o co chodzi Czerwieńskiemu. Nie zastanawiając się dłużej podbiegł do posterunkowego i chwycił z drugiej strony masywne drzewo.

– No, podnosić! – rzucił do zdeorientowanej reszty. Czternastu chłopu napięło mięśnie. Z trudem przetargali siedem bali, stękając przy tym i sapiąc. Gdy dokonali tej pracy godnej mitycznego Syzyfa, ich oczom ukazała się ludzka ręka.

Mężczyzna leżał na plecach, z rękami rozłożonymi w znak krzyża. Z jego głowy sterczał tasak. Ale to nie cios Malwiny spowodował jego

śmierć, lecz przywalenie drzewami, w które uciekająca mleczarka musiała uderzyć wycofując auto. Kula, Czerwieński, Cetnarek i wszyscy członkowie ochotniczych patroli wpatrywali się w twarz zabójcy. Choć była zmasakrowana, zmiażdżona od ciężaru drzew, nadal można ją było rozpoznać. A już tym bardziej jego strój. Nikt w okolicy tak się nie ubierał. Wszyscy, co do jednego, dobrze znali zabójcę. U każdego z nich gościł co najmniej raz w miesiącu. Zakładał i konserwował telewizję satelitarną. Był jedynym w okolicy specjalistą od urządzeń telewizyjnych.

– Egon Kończak – oznajmił Czerwieński. – Mój sąsiad. Pożyczyłem mu kamerę. Zwrócił bez jednego zadrapania.

– Mieszkał w „Czarnej Wodzie” – dodał Cetnarek. – Miał dziś do mnie zajrzeć, bo ojciec niechcący przesunął talerz satelity. Egon powiedział, że dziś wraca do siebie. Matka da mu nareszcie porządny obiad.

– To był taki spokojny człowiek – jęknął Sakowicz. – Taki dokładny...

– Znał wszystkie seriale... Z Gałą dyskutowali o mniszce. Pół roku temu. Wiedział pierwszy, że tu zamieszka. To on nam powiedział – przypomniał sobie Kula, a wszyscy spojrzeli na niego jak na wariata. Co to ma do rzeczy?

Kierownik Kula przypomniał sobie nagle, że na posterunku nie ma nikogo, a Łysy pewnie jest tuż, tuż. Wścieknie się. Rozkazał posterunkowym czekać, zwolnił ochotników, choć oni nie chcieli wcale wracać do domów. Wsiadł do radiowozu i odjechał wzbijając w powietrze fontannę śniegu.

Zdażył. Przed wejściem nie było nikogo.

„Łysy zakopał się pewnie w jakiejś zaspie” – pomyślał Eugeniusz Kula. Już sięgał po notes, by zadzwonić do Huberta Meyera, gdy usłyszał warkot silnika podjeżdżającego właśnie auta. Dotarł do niego głos komisarza Czupryny: – Nie martw się, załatwię to.

Eugeniusz Kula wychylił się za okno. Zobaczył Łysego w towarzystwie kilku asystentów, którzy otaczali go jak wierne psy. Sam widok oficera, w nieodłącznym szarym płaszczu, spodniach w kant i z wykałaczką w ustach okropnie go irytował. Kula na złość zapalił papierosa i mocno się zaciągnął. Cekał. Zanim otworzyły się drzwi jego gabinetu, usłyszał trzaśnięcie drzwi auta i zniecierpliwiony głos Łysego, który powtórzył raz jeszcze: – Nie martw się, załatwię to. Załatwię, powiedziałem!

Rozdział 33

Pociąg

„Znajduj czas na wążanie róż”

Nie martw się, załatwię to – Jakub stuknął długopisem o blat biurka.
– Jak?

– Załatwię, powiedziałem – zniecierpliwził się.

Zdjęłam spinę i rozpuściłam włosy. Potrząsnęłam głową, by rozsypały się, przykrywając moje odkryte ramiona czarną peleryną. Patrzyłam na niego z nienawiścią. – Przez ciebie pójdę siedzieć! – krzyczałam z wściekłością. – Gdy tylko pojawiaasz się w moim życiu, ktoś ginie! Przemyśl to!

– Ja? – oburzył się. – To ty, jak ćma, lgniesz do ognia. Balansujesz na granicy. Uważaj, bo za którymś razem spalisz sobie te koronkowe skrzydełka – roześmiał się z politowaniem.

A kiedy rzucalam w niego pioruny z oczu i przeklinałam, pochylił głowę. – Uspokój się – wysyczał. – I nie drzyj tak! Patrz na nas! – zerknął przed siebie.

Nie wiesz, o co chodzi? Proszę cię, wykaż jeszcze odrobinę cierpliwości. Już ci wyjaśniam – teraz cofnęliśmy się w czasie, do momentu, zanim jeszcze dostałam rolę bogobojnej mniszki. Chcę ci opowiedzieć niechronologicznie. Dlaczego? Bo konsekwencje tego zdarzenia pojawiły się dopiero po dwóch latach, kiedy myślałam, że sprawa już przyschła i czułam się bezpiecznie. Więc słuchaj i postaraj się zrozumieć. To ważne.

Biuro Jakuba znajdowało się na najwyższym piętrze Atrium Plaza. Widok rozciągał się na całą Warszawę. Za oknem migotały światelka budynków, jadących

aut, szyldy wielkich korporacji. Jak na amerykańskich filmach, tyle że wszystko w mniejszej skali. Ściana z szyb, oddzielająca jego gabinet od korytarza, za którym kręcili się ludzie, była mleczno-przeźroczysta i jeśli ktoś nie podnosił głosu i nie ruszał się, sekretarka siedziała bez ruchu. Każde odstępstwa od tej normy, powodowały jej czujność. Do Jakuba przychodzili różni ludzie, była specjalnie przeszkolona, wiedziała, jak reagować. Kiedy krzyknęłam i gwałtownie się poderwałam, też podniosła głowę i już sięgała po telefon, ale Jakub skinął ręką, że wszystko pod kontrolą.

Wstałam więc i podeszłam do okna, paląc papierosa. – Mówiłeś, że tutaj możemy rozmawiać.

– Możemy, ale nie emocjonuj się tak. Musisz być spokojna. Zwłaszcza teraz. I na razie odmawiaj składania wyjaśnień. Zobaczymy, co mają.

– Już zeznawałam, jestem świadkiem. Na razie. Nie mogłam odmówić, bo zaczęliby coś podejrzewać! Taki jesteś chojrak, bo ciebie niby tam nie było? – prychnęłam. – Ale ja mogę ich wyprowadzić z błędu.

Patrzyłam, jak burzę jego spokój, i na twarzy Jakuba pojawia się grymas niezadowolenia.

– A twoja żona wie, jak zabawiasz się na przyjęciach? – ciągnęłam, nie zwracając uwagi na jego tężącą minę. – Ją też mogę wtajemniczyć...

Jakub obrócił się w moim kierunku na fotelu. Był opanowany.

– Słuchaj, i tak mamy szczęście, że facet nie żyje. Gorzej byłoby, gdyby odzyskał przytomność i zaczął zeznawać... Na przykład przeciwko nam. Więc jest OK. A skoro z tobą rozmawiam, to dlatego, że znamy się długo i chcę ci pomóc. Nie pogarszaj sprawy i nie groź mi, bo nie nadajesz się do męskich gier. Wyrzuty, próba szantażu. To żenujące...

„O, proszę, jaki jestem cwany – szydziłam w myślach. – Wciąż masz mnie za nastolatkę? Jeszcze zobaczymy, kto tu ma jaja...”

Straszne było oglądać jego drugie oblicze. Ale życie mnie już nauczyło, że wszystko jest względne. Czy to twoja prawdziwa twarz, Jakubie, czy masz w zanadrzu jeszcze bardziej odrażające maski? Patrzyłam na obcego człowieka. I nienawidziłam go. Za to, kim był, co zrobił ze mną, do czego mnie doprowadził. I mamę... To niskie uczucie przepętniało mnie od czubków paznokci, aż po koniuszki włosów. Obserwowałam, jak zmienia mu się twarz, kiedy odbierał telefon.

– Tak, podtrzymujemy naszą decyzję. Proszę wystać komunikat do PAP-u, że mimo to umowy nie zamierzamy podpisać. Jeśli chcą, niech rozwiążą parlament.

Ja mam dość pieniędzy, by wycofać się z polityki. Chodzi o zasadę. Tak, to oficjalne stanowisko naszego ugrupowania – odpowiedział i odłożył słuchawkę.

Co to za decyzja? Co to jest PAP-u? Zastanawiałam się, ale ponieważ rozgrywki polityczne nadal mnie nie zajmowały, nie wiedziałam, o co chodzi. Zresztą, na głowie miałam swoje osobiste kłopoty. Dokładnie trzy dni temu zadzwonili do mnie z komendy stołecznej policji i grzecznie zaprosili na rozmowę. Początkowo siedziałam ze słuchawką w dłoni jak sparaliżowana, potem jednak stanęłam twarzą w twarz z moim strachem. Pojechałam do Pałacu Mostowskich. I udawałam, że nie wiem, o co chodzi. Zgrywałam niewiniątko. Jeden śledczy był nieufny, drugiego udało mi się łatwo omotać. Tak sądziłam, głupia. Skąd miałam wiedzieć o sztuczce na złego i dobrego glinę, skoro nigdy wcześniej nie byłam w konflikcie z prawem.

– Mówiłeś, że nikt się nie domyśli, że nie znajdują śladów łączących jego śmierć z nami. Trzeba było od razu iść na policję. Ale nie, ty nie chciałeś skandalu. No to teraz powiedz, jak wpadli, że tam byłam? – spytałam już spokojniej, kiedy zapadła cisza. – Przecież samochód spłonął w całości, nawet gdyby znaleźli tę cholerną komórkę, nie byłiby w stanie jej zidentyfikować. Czy nie?

– Nie wiem. Poczekaj parę dni. Mam człowieka, który to sprawdzi. Normalnie pracuj, bądź grzeczna. Chodź na te swoje lekcje przedmatzeńskie i skutecznie umilaj czas chłopcu z telewizji, jak tylko ty potrafisz.

Tak mi powiedział. Dokładnie. Skurwysyn! Zabrałam torebkę i zgasiłam papieros na jego papierach. Kiedy zajął się ratowaniem tłącego dokumentu, walczył z popiołem, który rozsypał się na jego wyprasowane spodnie, wyszłam bezgłośnie. Szklane drzwi rozsuwały się, nie dano się nimi trzasnąć dla efektu. Kiedy zjeżdżałam windą, wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do jego sekretarki.

– To jeszcze raz ja. Byłam przed chwilą... A, rozpoznała mnie pani? Świetnie! Proszę przekazać panu Czernemu, że zapomniał o billingu, który zamawiał. Jest na nim to połączenie, którego potrzebował. Tak, proszę dokładnie powtórzyć. Będzie wiedział, o co chodzi.

Stanęłam na ulicy i rozejrzałam się za taksówką. Za godzinę miałam kolację z Mariuszem. Jeszcze nic nie wiedział, ale kiedy dziennikarze wpadną na trop, że jestem zamieszana w tajemniczy wypadek z pociągami, zrobi się afera. Nawet, jeśli to rzeczywiście było samobójstwo. A tego muszę uniknąć, bo nici z wesela.

On musi być ze mną, nie przeciw mnie. Trzeba być kompletną idiotką, żeby przed samym ślubem wplątać się w coś takiego! Jeszcze się wycofa ze ślubu, a to byłby dramat. Zastanawiałam się, jak mu powiedzieć. I co? W najgorszym razie mógłby być moim żelaznym alibi.

Nie było sensu wracać do domu. Postanowiłam usiąść w kawiarni i spokojnie wszystko rozważyć. Serwetkę podzieliłam na trzy części: prawda, policja, Mariusz. Po chwili zmięłam ją i wyciągnęłam kolejną, którą podzieliłam na cztery części. Do tych trzech pierwszych rubryk dopisałam: Jakub. Czekam mnie odegranie niezłego dramatu w czterech aktach.

1. Prawda:

Siedziałam w czarnej, obcistej sukni, z dekoltem na plecach i przeglądałam „Elle”. Czulałam, że skoro zostałam zaproszona na takie przyjęcie, to wkrótce ja, zamiast Kozuchowskiej, będę na okładce w najbliższych numerach tego magazynu. Myślałam, co będę mówić, jaką stylizację wybiorę, a jaką odrzucę. Szkoda tylko, że Mariusz dziś ze mną nie idzie. Z nim czulabym się pewniej i miałabym większe szanse na zauroczenie Filipiaka, który za miesiąc zaczyna kręcić nowy serial. A potem, na castingu, pójdzie mi łatwiej. Ale trudno, poradzę sobie. Skoro powiedział, że nie może ruszyć się z Waszyngtonu, to znaczy, że nie może. No i co z tego, że rozumiem, jak i tak się popłakałam. Wyjrzałam przez okno – przyjechała taksówka.

Trzeba przyznać, że gala była wspaniała. Od natłoku znanych twarzy dostałam zawrotu głowy. I od szampana, który piłam ze Stockingerem i Olgą Bończyk. Czulałam się w końcu jedną z tych gwiazd. Na razie trochę poza nawiasem, ale szyba dzieląca mnie od wnętrza tego filmowego kosmodromu była na wyciągnięcie ręki. Już czulałam zapachy, muzykę i gwar wydobywające się z tego cudownego, upragnionego świata. Już wkrótce znajdę się wewnątrz. Dziś Mariusz przydałby się, ale i tak sobie świetnie radziłam. Podchodzili do mnie kolejni ludzie i gratulowali ślubu. Sam gospodarz uściśnił mi rękę i dodał:

– Mam nadzieję, że tak uroczą damę zobaczymy wkrótce w jakiejś wielkiej produkcji. Szkoda marnować taki talent.

I poprowadził mnie do Filipiaka. Tam znów piłam i szczebiotałam. – Proszę przyjść na casting, być może nadawałaby się pani do tej roli – zakończył rozmowę ze mną. Chciałam tańczyć z radości.

Byłam już lekko wcięta, kiedy pod rękę z Magdą Malinowską wszedł starszy mężczyzna. Ludzie zaczęli bić brawo. – Proszę, proszę! Cóż za zbieg okoliczności – krzyknął ktoś z tyłu.

– Zostata twarzą Garniere, reklamuje farby do włosów – szepnęła mi do ucha Krystyna Szyicka, jakbyśmy się znały od lat. Odwróciłam się do bywalczyni bankietów, która zawsze pojawiała się w towarzystwie Roberta Majorkiewicza, aktora-homoseksualisty, zwanego ogólnie Robercikiem. Wszyscy wiedzieli, że jest jego przykrywką dla mediów. Byłam bardzo ciekawa – jak pewnie połowa zebranych na bankiecie – z czego Szyicka żyje. Bo z samego bywania nie da się przecież utrzymać. Cóż, jej strój nie zdradzał, że Krysia ma kłopoty finansowe – wręcz przeciwnie.

– A ten mężczyzna? – zagaiłam od niechcienia Szyicką, choć na widok Jakuba nogi się pode mną ugięły.

– No wie pani? To przecież Czerny. Polityk, producent, biznesmen, członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Postać przez duże „p”. Bez jego wsparcia nie zacznie się produkcja żadnego serialu, a gdy on coś klepnie, łatwiej to sprzedać, nawet w komercyjnych stacjach. On zna Waltera ze szkoły – szepnęła teatralnie. – I podejrzewam, że mają z Malinowską mały romansik... – chichotała i zacierała ręce. Słuchałam słodkiego zawodzenia Anny Marii Jopek i czułam, jak alkohol rozgrzewa moje tętnice. Likwiduje blokady, rozluźnia. Szyicka widać uznała mnie za dobrą inwestycję towarzyską, która niebawem zwróci się z nawiązką, bo opowiadała więcej, niż powinna.

– Ale może to tylko plotki. Specjalnie kreowane, dla rozgłosu i podgrzania atmosfery. Czerny bardzo dba o swoją opinię, nikt nie złapał go jeszcze na gorącym uczynku z aktoreczką. Chyba że anonimową, ale to żaden skandal.

– Pani to chyba wie wszystko... – roześmiałam się.

– Żyję już na tym świecie trochę, obracam się tu i ówdzie. Wiesz, artyści, aktorzy, piosenkarze. Takie normalne, zwykłe życie...

– Aha.

– A jaką będziesz miała suknię? – przeszła płynnie na ty i zaczęła wścibsko wypytywać o nasz ślub. – Tak, to dobre posunięcie. Tyłko może lepiej było pertraktować z publiczną... Ale nie, to byłoby dla nich zbyt odważne. Bardzo lubię Mariusza i cenię jego telewizyjnego nosa. Zeby z prezentera przeistoczyć się nagle w korespondenta zagranicznego. To, proszę pani, jest wielka rzecz... Dlatego jestem pewna, że wszystko dokładnie przemyślał. Och, będziecie piękną parą – oceniła

mnie i poczułam się jak koń na targu pod Milanówkiem. Miałam wrażenie, że policzyła mi zęby. Byłam przekonana, że te informacje gdzieś wykorzysta. Tylko gdzie?

– Szkoda, że Mariusz nie przyszedł... – westchnęła z miną stęsknionej cioci.

– Nie mógł. Też żałuję – dodałam.

– Och, idzie do nas, idzie...

Szyicka nagle zapomniała o moim narzeczonym i zaczęła poprawiać garderobę. Była tak podniecona, jakby zbliżała się do nas królowa angielska. Spojrzałam w tym kierunku i zobaczyłam Jakuba zmierzającego w moim kierunku.

– To pani jest wybranką Mariusza? – spytał i głos mu zamarł. Chciał coś powiedzieć, ale zawahał się. Rozpoznał mnie, nie wiedział, jak zareaguje, więc pokonując wstręt i złość przedstawiłam się szybko: – Nina Frank. Dla przyjaciół Nika.

– Jakub – wyciągnął dłoń, ale widząc, że nie zamierzam jej ścisnąć, natychmiast schował ją do kieszeni eleganckiego garnituru w cieniutkie białe prążki.

– Znacie się? – nasze dziwne zachowanie Szyicka wylała w lot.

– Nie – odpowiedzieliśmy jednocześnie i zbyt gwałtownie. Miałam wrażenie, że Szyicka strzyże uszami.

– To już czas na mnie – powiedziałam i pochyliłam głowę na pożegnanie.

Uścisnęłam serdecznie Szyicką, a Jakubowi nie podałam dłoni. Nie obdarzyłam go nawet uśmiechem. Nie chciałam kontaktu z nim, nie zamierzałam rozmawiać. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu. Samo przebywanie obok i patrzenie na niego sprawiało mi ból.

– Ależ proszę zostać i opowiedzieć o swojej sukni od Goni. To świetna, świetna projektantka... – Szyicka zatrzymała mnie w kowadło swoich ramion i zaczęła gadać jak najęta.

Chciałam się wycofać, spojrzeć na Jakuba i przy wszystkich tutaj zebranych wyrzucić mu rzeczy okrutne. Wygarnąć, że musiałam uciec z domu, zrobić skrobanę, że przez niego nie pożegnałam się z matką, a teraz ona nie żyje. I krzyżeć: Jak mogłeś oszukiwać mnie, moją matkę. Tak bezlitośnie bawić się nami. Ale nie mogłam wydusić ani słowa. To wszystko było tak dawno temu, emocje zelzały, choć wciąż bolało tak samo. Tymczasem on patrzył na mnie jakoś tak inaczej. Z szacunkiem, podziwem? Zostanę jeszcze chwilę, dosłownie pięć minut, poobserwuję, a potem do domu, postanowiłam.

Konwersowaliśmy o nieistotnych sprawach. Jakub chciał pewnie zmęczyć Szyicką i wyciągnąć mnie na stronę, ale plotkara wcale nie zamierzała się wycofywać. Szczębiotała i popijała wino. Miała oczy dookoła głowy i między słowami próbowała wyluskać, co właściwie nas łączy. Kiedy wino się jej skończyło, a ja liczyłam, że w końcu się oddali, by napełnić szkło, ona udawała, że tego nie dostrzega i wymachując pustym kieliszkiem pytała, pytała, pytała...

– O, proszę – w tym momencie podszedł Filipiak. – Krysiu, jakie masz towarzystwo! Wschodząca gwiazda, która startuje do mojego filmu, i jego ojciec chrzestny. Ty zawsze wiesz, gdzie stoją konfitury...

Po czym wyciągnął Jakuba na stronę, a ja przeprosiłam Szyicką i skierowałam się do wyjścia. Dopiero, gdy szłam korytarzem wyłożonym grubym jasnym dywanem, zagłębiając szpilki w miękkiej materii, poczułam, jak bardzo jestem pijana. W oczach mi się dwoiło. „Co się dzieje?” – myślałam i by utrzymać równowagę, chwyciłam się lustra w złoczonej ramie. Wtedy w jego odbiciu zobaczyłam Jego uśmiechniętą twarz. Boże, jak się przestraszyłam! Żle ze mną, mam pijackie wizje! Zamachałam ręką, by odgonić marę, ale jego jak najbardziej realny głos uświadomił mi, że to nie iluzja. Moja wyobraźnia nie płatała mi figla. On tam naprawdę był! Skąd? Jak? – szukałam odpowiedzi.

Odwrociłam się i spojrzałam w błękitne tęczęwki diabolicznej twarzy. Znów pełen sił, zmartwychwstały. Gdzie moja moc, którą mu odebrałam? Czulałam, że bezsilnie osuwam się na dywan. Pochwycił mnie w locie szorstkimi dłońmi. Poczułam znów ten odurzający zapach i usłyszałam zachrypnięty bas, który podziałał jak afrodyzjak. Znów ulegałam jego urokowi jak dawniej.

– Tu jesteś, Rusalko. Mam cię! – zaśmiał się, a ja poczułam, jak się rozplątuję i po prostu topię w jeziorze jego oczu.

– Co tu robisz? – spytałam cichutko i z bojaźnią w głosie, którą tak chciałam ukryć. Bezskutecznie.

Wyciągnął z kieszeni beżowy kawałek papieru i zamachał mi przed oczami. Wyglądał przez moment jak chłopiec, który zrobił psikusa.

– Poznajesz?

Rozłożył papier i zobaczyłam na nim własne nazwisko.

– Twoje zaproszenie. Sama mi je zostawiłaś. W apartamencie, z którego uciekłaś jak pies z podkulonym ogonem! – śmiał się. Miałam wrażenie, że sufity przecinają błyskawice. Mrok za chwilę ogarnie mój świat. I jest mi tak cudownie. Tak bezpiecznie. Ale nie byłam jeszcze gotowa na triumf zła.

– To niemożliwe... – kręciłam głową. Znalazłam w torebce kopertę od Mariusza i otworzyłam ją. Była pusta! Zaczęłam kojarzyć. Nikt przy wejściu nie sprawdzał zaproszeń, nie musiałam go okazywać. Więc się nie zorientowałam, że wewnątrz go nie ma. A wyprowadzając się w pośpiechu, nie włożyłam go do koperty. Zaproszenie leżało sobie spokojnie pod łóżkiem, z którego wyskoczyłam wtedy tak szczęśliwa... Pani Tania nie przyszła sprzątać, odwołałam ją, a ona by je znalazła i mi oddała. Teraz to on je miał. Sama go tu zaprosiłam... Och, jak musiał się ucieszyć z takiej niespodzianki! To dlatego przez cały tydzień dał mi spokój. Wiedział, że się i tak zobaczymy. I nie nagabując mnie, uspił moją czujność. A ja zrozpaczona po śmierci mamy próbowałam dojść do ładu ze sobą i wziąć się w garść. Przyjęcie, na które się cieszyłam, nie było już takim wielkim wydarzeniem, więc ani razu nie sprawdziłam koperty.

– Już wychodzisz? – usłyszałam za plecami i nogi się pode mną ugięły.

– Nika... jakie intrygujące imię – odwróciłam się i zobaczyłam Jakuba.

„Czy to nie przesada?” – myśli krążyły w mojej głowie jak wagoniki diabelskiego młyna. Obaj, razem, na jednym bankiecie, który miał mnie na zawsze odciąć od dawnego życia.

– Wychodzisz? – przechylił głowę On, nęcąc mnie szelmowskimi ognikami w przeźroczytych oczach.

– Wychodzisz? – powtórzył za nim Jakub.

Wlepiali we mnie wzrok. Czulałam się jak przyciśnięta do muru w ciemnej uliczce, z której nie ma wyjścia.

– Muszę do toalety – zagrałam na zwłokę.

Gdzie jest Mariusz? Dlaczego go nie ma? Jak to rozegrać? Co robić? Myślałam gorączkowo i starałam się trzymać dość prosto. Przed lustrem poprawiłam makijaż, oparłam się o ścianę i ciężko dysząc policzyłam do stu. Kiedy się już uspokoiłam i zebrałam myśli, postanowiłam stawić im czoło. Oświadczyć, że muszę, po prostu muszę, niezwłocznie iść do domu. A może ich już nie będzie przed wejściem do toalety? Może uda mi się niepostrzeżenie wymknąć? „Po angielsku...” – tak, wierzyłam w to. Pewnym krokiem ruszyłam na spotkanie z własną przeszłością i kiedy kręcąc biodrami zbliżyłam się do stojących mężczyzn, poraziło mnie, jak bardzo byli do siebie podobni. Byli jak dwa modele tej samej marki samochodu, różniące się jedynie kolorem, wyposażeniem i poziomem technicznym. Jeden był szczuplejszy, bardziej wiotki, łagodny. Ten drugi mroczniejszy, twardy i zyłasty jak wyciosany z drzewa. Ale ogólna linia sylwetki, sposób mówienia, patrzenia

były identyczne. Wtedy, gdy analizowałam ich fenotypy, zastanawiałam się nad sobą i własnymi wyborami, usłyszałam, że prowadzą ze sobą ożywioną rozmowę. Dyskutowali zawzięcie i stroszyli piórka. Klepali się po ramionach. Ale pozostawali sztywni i wrogo nastawieni. Nagle pojęłam. Oni się znają! I nienawidzą.

– Nie radzę więcej takich zagrywek. Lepiej zajmij się swoimi sprawami – mówił Jakub. Odwrócił się, zapalił papierosa. – Nie zamierzam wchodzić z tobą w żadne układy. Chociaż wiem, że byłbyś bardzo rad. Nigdy!

– Nie chcesz, to nie.

– To oszustwo. Najzwyklejszy w świecie szwindel. Uważaj, bo jak zakończę sprawę ropy, zajmę się tobą. I twoimi kumplami...

– Grozisz mi?

– Nie, tylko informuję – zaśmiał się Jakub.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Patrzyłam na nich jak na dwóch rywalizujących samców. Nie lubią się. A obaj mnie pragną. „Czy to nie ironia losu”, myślałam. Nie zastanawiałam się wtedy, dlaczego są śmiertelnymi wrogami. Jak wiesz, w ogóle nie interesowałam się polityką. Skąd miałam wiedzieć, że Jakub grał w tej grze fair, a On kręcił na boku z przeciwną partią swoje interesy. Lobbował supermarkety, podsuwał ustawy. To, że interesy szły mu świetnie, zależało nie tylko od jego operatywności. Liczyły się układy. Znajomość i przewaga wobec małych i dużych polityków. On chciał dzielić i dzielił tort, Jakub starał się jakoś temu przeciwstawić. To odkrycie zmieniło potem moje nastawienie do sytuacji. Ale wtedy w głowie miałam tylko narastające podniecenie. Dawno nie brałam udziału w tak szatańskiej rozgrywce. Poczulałam, że rosną mi skrzydła. Wyciągnęłam papierosa, Jakub podał mi ogień. Skoro się znają, świetnie – wyprężyłam pierś.

– Pojedźmy gdzieś, gdzie będzie mniej sztywno – zaproponował mi Jakub. Jasne było, że nie kieruje tego zaproszenia do Niego. A ten z kolei podchodził w moim kierunku. Był niebezpiecznie blisko.

– Tak, Rusatko – szepnął mi do ucha. – Pojedźmy...

– Ja już muszę iść – bąknęłam niezbyt stanowczo. Obaj zaczęli mnie prosić i namawiać, że warto. Było mi miło. Nie wiem, czy z próżności, czy ze złości, że Mariusz mnie zostawił na pastwę losu, postanowiłam po raz ostatni zabawić się, zanim ugrzęznę w małżeńskich kapciach. Teraz widzę, że zachowywałam się jak niezrównoważony tchórz co pięć minut zmieniający decyzję, byłam jak chorągiewka na wietrze. Sama nie wiedziałam już, czego tak naprawdę pragnę.

Gdybym wsiadła do czerwonego sportowego wozu, udalibyśmy się do znajomych, pod Warszawę. Impreza z kąpielami nago w basenie, śmietanka biznesu. Część z tych osób z pewnością znalazłam i nawet lubiłam.

Druga opcja: srebrna limuzyna. Rozmowy do rana i wspomnianie przeszłości. Ale też bezpieczeństwo. Z Jakubem nie zdarzyłoby się nic zdrożnego. Spokój. Gdy do wyboru otworzyły się drzwi dwóch samochodów, w pierwszym momencie bez wahania wybrałabym ten bardziej diabelski. Jakub był już przeszłością. Nie chciałam z nim zostać sam na sam, bo wspomnienia były zbyt bolesne. Ale tak wprost dać znak, którego wybieram? Nie, to byłoby za proste, nie w moim stylu. On oczywiście odczytał moje myśli i jednym spojrzeniem i błąkającym się w kąciuku ust uśmiechem, podjudził do złego.

– Rzucił monetą – zażartował, a ja wybuchnęłam śmiechem. Atmosfera lekko barwiła się już erotyzmem, jak dawniej. Powoli znów zaczynałam się czuć boginią czasu i przestrzeni. Diabelskie spojrzenia rzucane prowokująco na zachętę spowodowały, że poziom adrenaliny przekroczył skalę. Ciarki ze zdenerwowania wciąż jeszcze czułam na plecach, ale to było już bardziej znieczulenie niż paraliż. Byłam coraz bardziej podekscytowana tą sytuacją i czułam, że mogę odegrać małą psychodramę. Zemszczę się za te wszystkie lata na statecznym Jakubie.

Miałam ochotę wciągnąć go w jedną z naszych gier i ukarać. Dobrze mu tak, myślałam. Przytrę mu nosa. Niech wie.

Dwóch dorodnych samców i ja – nietrudno się domyślić, że iskry leciały same. Im dłużej tak staliśmy, pozornie niewinnie rozmawiając, stawano się jasne, że obaj rywalizują o moją sympatię. To ja mam zdecydować, z kim zakończę dzisiejszy wieczór. Trudny wybór? Nie, bo nie miałam ochoty urazić ani jednego, ani drugiego, a tak naprawdę nie chciałam też spać z żadnym z nich. A jednak bawiła mnie ta sytuacja. I tak – od słowa do słowa – akcja popłynęła w zupełnie nieoczekiwanym kierunku.

– Założymy się – On nagle się odezwał i uśmiechnął do mnie, wydawało mi się, że z nieśmiałością. Wiedziałam jednak, że uknął już plan. – Kto wygra, w nagrodę pojedzie z Niką.

– Nie będę grał o kobietę – oburzył się Jakub. A do mnie: – Chyba się nie zgodzisz. To upokarzające...

– Dlaczego? Zależy, o jaką stawkę. Ale skoro się boisz... – odpowiedziałam wyzywająco.

Cały czas patrzyłam mu w oczy i kiedy nie reagował, z perfidnym uśmiechem, skierowałam się w stronę drzwi czerwonego porsche. Niedbałym ruchem wrzuciłam torebkę na przednie siedzenie.

– No dobra – Jakub odezwał się w ostatniej chwili, gdy już zamierzałam wsiadać. – O co zakład?

Ta zabawa była niebezpieczna. Naprawdę. I kiedy to usłyszałam, nawet próbowałam ich powstrzymać. – To szaleństwo! – protestowałam. Ale rozjuszone jelenie już ostrzyły poroże i swoimi limuzynami ruszyły na rykowisko.

Miałam czekać dziesięć minut i dojechać taksówką. Zwycięzca powinien być już wyłoniony. Jeśli pociąg oczywiście nadjedzie na czas.

Zastanawiałam się, czy nie uciec. Może tak będzie lepiej? Po co mi kolejna gierka, miałam być dobra, unikać ognia? Ale kiedy wróciłam na przyjęcie, wypitał jeszcze jeden kieliszek wina, wątpliwości się rozwiały i zgodnie z umową wsiadłam do taksówki, zamówionej przez Jakuba.

Kiedy w oddali zobaczyłam dwa auta, po dwóch stronach przejazdu kolejowego, kazałam się zatrzymać i stanęłam przy drodze. Kogut taksówki zniknął za zakrętem, ja zdołałam jeszcze zapalić papierosa, gdy usłyszałam trąbienie pociągu. Noc była ciepła i gwiazdzista. Odetchnęłam głęboko świeżym powietrzem i z niedowierzaniem patrzyłam na zbliżającą się lokomotywę. Po mojej stronie stało auto Jakuba. Nie widziałam jego twarzy, słyszałam jedynie silnik, który cicho pracował na najwyższych obrotach. Czerwona sportowa torpeda stała po drugiej stronie przejazdu, przodem do mnie. Kierowca machał do mnie, śmiał się, błyskał długimi światłami. Odpowiedziałam uśmiechem, choć cała drżałam. I kiedy podniosłam rękę, by mu pomachać i postać całusa à la Marilyn Monroe, przez głowę przeleciała mi myśl, że to z nim przeżyłam najpiękniejsze chwile w łóżku. Seks był metafizycznym doznaniem, walką z żywiołem, spadaniem w otchłań czy skokiem na bungee, a kiedy leżeliśmy w skótkowanej pościeli „po” i on parzył mnie swoim rozgrzanym ciałem, bo nie chciał wypuścić z rąk nawet na chwilę, czułam się spełniona i pewna własnej wartości. Byliśmy jednością – dotknęłam naszej obrączki ślubnej na głowie: Hagalaz. Choć mnie tak wkurzał, irytował, drażnił, to właśnie on pomógł mi z niechcianą ciążą i zapłacił za aborcję w ukraińskim szpitalu, gdzie takie zabiegi są na porządku dziennym. Legalnie. Nigdy nie spytał, czyje to dziecko, nigdy niczego nie wypominał. Dbał o mnie, jak potrafił, i nie szczędził pieniędzy. Wyprowadził na prostą. Stworzył Nikę. Gwiazdę.

A ja tak mu się odwdzięczyłam... Nagle zechciałam przerwać tę zenującą akcję. Wiedziałam już, z kim chcę jechać, i miałam nadzieję, że pogodzimy się, zostaniemy przyjaciółmi, skoro już nie możemy być kochankami. Zrobiłam krok w jego kierunku, krzyczałam: „Kocham cię!”

Ale moje słowa zagłuszyło trąbienie pociągu. Nie rozumiał, przyłożył rękę do ucha i zmarszczył brwi. Narysowałam w powietrzu serce i pokazałam na niego. Uśmiechnął się i machnął ręką. Podniósł do góry kciuk, że wszystko pod kontrolą. W uszach zadzwoniły mi rozwścieczone silniki aut i przerażające próby rozpędzania się obu. Podjeżdżali do przejazdu, cofali się, wydając przy tym hałaśliwe dźwięki. Wyobraziłam sobie nadjeżdżający pociąg i momentalnie wytrzeźwiałam. – To paranoja! – krzyczałam. Chciałam skończyć z tą grą. Ale już nie było odwrotu.

Chodziło o to, który z nich ostatni wjedzie na przejazd i zjedzie zeń, gdy pociąg będzie się na niego wtaczał. Jeśli źle wyliczy odległość, może zginąć pod kołami pociągu, a jeśli wjedzie pierwszy – przegra. Typowe durne myślenie mężczyzn, którzy na każdym kroku muszą się wykazywać, bo kochają nosić laur zdobywcy. Skoro nie słuchają mnie, to nie. Róbcie, co chcecie. Nie chcę na to patrzeć. Przecież maszynista na wasz widok dostanie zawału... Zła i naburmuszona ruszyłam w głąb lasu. Stałam plecami do przedstawienia. Zatkłam uszy, zaczęłam śpiewać.

Ale to nie pomogło. Wyraźnie usłyszałam huk, trzask, przeraźliwy pisk tarcia metalu o metal. Potem syki, krzyk mężczyzny i pisk opon auta, które nagle zatrzymało się przy mnie. Otworzyły się drzwi: – Wsiadaj! – krzyknął do mnie Jakub. Odruchowo wskoczyłam do środka. Nacisnął gaz i uciekliśmy z miejsca wypadku. Spojrzałam na Jakuba i wiedziałam już wszystko. Zaczęłam szukać komórki, żeby zadzwonić na policję, pogotowie. Ludziłam się, że On przeżyje... Grzebałam pomiędzy szminkami, dokumentami i mnóstwem szpargałów, ale telefonu nie było. Flesz wrzucanej torebki do auta przed Bristolem. Musiała mi wtedy wypaść... Zamarłam, spojrzałam na Jakuba, który bez słowa podał mi swoją komórkę.

Ale choć po raz kolejny zgłaszała się poczta, sygnału nie było słychać.

Zbladłam. – Nie ma jej tutaj – szepnęłam.

Wzruszył ramionami: – Może w domu?

Pokręciłam głową. Uderzyłam go torebką. Chwytałam za kierownicę, wylam, po prostu wylam z bólu.

– Nawet nie ruszyłeś, prawda? – krzyczałam. – Czekales do ostatniego momentu, bawiles się nim, a potem zabamowales. I patrzyles, jak mija cię pociąg. A on się nie bał. Ryzykował. To przez ciebie zginął!

– Nie jestem wariatem – odpowiedział zimno.

– Ty tchórz! Wrobiles go... Nawet nie ruszyles! On nie żyje tak? Nie żyje... – rozpaczalam. Płakalam, wpadlam w histerię. Chcialam wyskakiwac z wozu, szarpałam go.

Wtedy uderzył mnie w twarz. Potem drugi raz. Policzki mnie piekły, zakręciło mi się w głowie. Ale jak na komendę umilkłam. Przed oczami miałam twarz tego, którego naprawdę kochałam. I który odsyła mi całusa na dłoni. Oparłam się o zagłówek i wpatrywałam w szybę.

– Nikomu ani słowa! – syknął Jakub.

Skuliłam się.

Jechaliśmy w kompletnej ciszy do mojego mieszkania – podałam jedynie adres. Jakub niemal zaniósł mnie na górę, bo cała się trzęsłam. Kiedy wychodził, poprosiłam, żeby został chwilę i mnie objął. Byłam znów małą zagubioną dziewczynką i nie wiedziałam, co robić. Potrzebowałam oparcia, kilku pocieszających kłamstwu, że nic się nie stało. W głowie miałam pustkę. Bałam się jutra. Co przyniesie? Wtedy zaczęliśmy się nawzajem rozbierać. My żyjemy. On zginął, ale my żyjemy. Dotykałam zwiotczalej skóry Jakuba, jego brzucha, chudych jak patyki nóg i czułam się nie na miejscu. Zamknęłam oczy i w wyobraźni poczułam tamten zapach. Zobaczyłam jego błękitne oczy, w które kazał mi się wpatrywać, gdy byliśmy połączeni jak na obrazkach Kamasutry. Wiedział, że tak mnie ze sobą związuje na całe życie. Teraz zrozumiałam sens naszego tatuażu. To wszystko było nieracjonalne, zmysłowe, mistyczne. Tiwaz i Hagalaz tworzą absolut. Rozdzielone niszczą się nawzajem – ostrzegał mnie.

– To przeze mnie tak głupio zginął – płakalam. – Wiedział, że może umrzeć, a jednak jechał. Miał cel, klątwa, Tiwaz, poświęcenie. Kocham – szeptałam, a Jakub brutalnie wchodził we mnie. Nic nie czułam. Ani dotyku Jakuba, nie słyszałam słów. Łkałam, gdy spuszczał w moim wnętrzu nagromadzone przez lata napięcie, złość i frustrację. Skończyliśmy. Zwinęłam się w kłębek i wciąż odwrócona plecami, zasnęłam. To był raczej pół sen, pół jawa. Chciałam się obudzić i poczuć, że wszystko tylko mi się śniło. Że jest po staremu, że On znów nieustannie dzwoni do mnie i przysyła kwiaty. Moje kłopoty wydają się teraz tak blabe... Nie chciałam się budzić. Wiedziałam, że tak już nigdy nie będzie.

Nad ranem obudziłam się w łóżku sama, złana potem, przerażona sennym koszmarem. Księżyc, luna nad miastem, nadjeżdżający pociąg i znaki runiczne, które wytatuowaliśmy sobie w Amsterdamie. Widziałam strzałę wypuszczaną przez myśliwego i literę H na czerwonej skrzynce hydrantu, która ociekała krwią. A potem stanęła w płomieniach.

Nie mogłam już zasnąć. Czutałam się jak przestępca. Włączyłam radio i przeskakując ze stacji do stacji gorączkowo szukałam wiadomości o wypadku na przejeździe w Komorowie. Ale nic nie podali. Dopiero następnego dnia w „Fakcie” na jednej z ostatnich stron przeczytałam, że pijany kierowca nie zachował środków ostrożności i wjechał prosto pod pociąg. Wielkie zdjęcie przedstawiało zmiażdżony samochód. Wokół były radiowozy, w tle maszynista, który wymachiwał rękami. Choć była dziesiąta rano, otworzyłam martini i piłam szklankę za szklanką. Jakby dręczyło mnie pragnienie, a nie wyrzuty sumienia. Dopiero, kiedy opróżniłam do połowy butelkę, weszłam pod prysznic. Ale woda też nie przyniosła ulgi. Szorowałam się, jakbym nie kąpała się całymi tygodniami. Tartłam skórę szorstką gąbką, ścierałam pumeksem lakier z paznokci. Cztery dni później zadzwonili ze stołecznej.

2. Policja

– Będzie pani przesłuchana w charakterze świadka. Za składanie fałszywych zeznań grozi kara więzienia do lat pięciu. Była pani karana za składanie fałszywych zeznań?

– Nie.

– Znała pani denata?

– Tak.

– W jakim charakterze?

– Byliśmy kochankami.

– Co pani robiła w nocy z dnia 17 na 18 czerwca?

– Byłam na przyjęciu.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Jakieś sto, dwieście osób.

– Do której godziny była pani na przyjęciu?

– Do drugiej.

– Wypadek zdarzył się za kwadrans druga. Czy po przyjęciu pojechała pani prosto do domu?

– Tak.

- Czy ktoś to może potwierdzić?
- Nie. Mój narzeczony był w delegacji.
- Czy to pani zaproszenie?

Spojrzałam na beżowy kawałek papieru, zmięty i wygnieciony.

- Tak – starałam się ukryć drżenie głosu.
- Jak pani wyjaśni, że zostało znalezione w kieszeni marynarki denata?
- Dałam mu je... – gorączkowo zastanawiałam się, skąd mają jego marynarkę. Musiał zostawić ją na przyjęciu, w szatni.

– Portier zeznał, że przed wyjściem rozmawiała pani z dwoma mężczyznami.

Kim jest ten drugi, oprócz denata.

Myslałam, czy sypać Jakuba? Przecież wszyscy widzieli, portier go rozpozna. Jeśli skłamię, będą mnie cisnąć.

- To był Jakub Czerny.
- Czy wyszliście wszyscy razem?
- Nie, ja wróciłam na przyjęcie, a oni, nie wiem, co zrobili i gdzie poszli.
- Ile pani wypila tego dnia?
- Kilka kieliszków szampana i wina.
- Ile?
- Może sześć... siedem...
- To może pani niezbyt dobrze pamiętać, o której wyszła...
- Jestem pewna, bo zamawiałam taksówkę na drugą w nocy.
- Jaka korporację?

– Nie pamiętam, poprosiłam kogoś...

– Nie pamięta pani, jaką korporacją jechała? A pamięta, na którą?

– Przykro mi za wybiórczą pamięć. Byłam lekko wstawiona – założyłam nogę na nogę i uśmiechnęłam się uwodzicielsko. Jeden policjant powędrował wzrokiem za moim gestem, drugi pozostał niewzruszony. I właśnie ten odezwał się:

– To ważna sprawa, może sobie pani jednak przypomni... Inaczej ponownie wezwiemy panią, ale już nie jako świadka, ale podejrzaną.

– Podejrzaną? O co?

– Na przykład o nieumyślne spowodowanie śmierci. Kara więzienia do lat ośmiu. Albo zabójstwo. Od 25 lat do dożywocia...

– Nic nie zrobiłam... – powiedziałam z miną przerażonej dziewczynki.

– My się już rozstaliśmy, byliśmy jedynie przyjaciółmi... Nie miałabym powodu...

- Zobaczymy. Czy ma pani coś jeszcze do dodania?
- Nie.
- Czy denat groził pani, nachodził, przysyłał kwiaty? Może nie mógł pogodzić się z waszym rozstaniem? Taka piękna kobieta go rzuca. Mężczyźni różnie reagują...
- Nie... Tak.
- Czyli?
- Chciał, żebyśmy się dalej spotykali. I pogodziliśmy się – kłamałam.
- Szantażował panią jakimiś nagraniami, zdjęciami?
Spojrzałam przerażona. Co oni mają?
- Nie.
- To na razie wszystko, dziękujemy. Czy może pani podać telefon komórkowy w celu ewentualnego kontaktu?
- Nie mam chwilowo. Zgubiłam... – czułam, że muszę zapalić, teraz, już. Prawie sięgałam do paczki, ale musiałam się powstrzymać, bo to byłby dla nich znak, że mnie trafili.
- To ciekawe. Dobrze, będziemy pani szukać pod stacjonarnym.
- Wolalabym na komórkę, bo bardzo późno jestem w domu. Zadzwonię do pana – zwróciłam się do tego miłszego. – Zadzwonię, gdy będę miała nowy numer – starałam się być spokojna i opanowana, ale doświadczeni śledczy prześwietlali mnie jak rentgenem. Byłam przekonana, że widzą moje kłamstwa. Mają mnie na talerzu. Wysłałam na nogach jak z waty. Wdepnęłam w niezłe gówno.

3. Mariusz

- Kochanie, wiesz, zdarzył się straszny wypadek. To potworne, bo na tym przyjęciu chyba jako jedna z ostatnich widziałam tego mężczyznę jako żywego i rozmawiałam z nim – zagaiłam podczas kolacji.
- Co się stało? Nic nie wiem – powiedział przezuwając łososa.
- Facet był pijany, wjechał pod pociąg...
- A co ty masz z nim wspólnego? Znałaś go?
- Uhm... – upiłam tyk wina.
- Kto to? – nagle był czujny jak owczarek. Widelec w jego lewej dłoni zastygł w powietrzu.
- A nikt, taki biznesmen. Handlował sprzętem wyposażenia sklepów. Ale poruszyła mnie jego śmierć. I wiesz, zostałam wezwana nawet na policję, bo

ostatnia z nim rozmawiałam. To było straszne – starałam się opowiadać jak anegdotkę.

– Och, nie martw się, maleńka. Takie są procedury.

– To było okropne. Strasznie byli nieuprzejmi – wykrzywiłam twarz w grymasie pogardy. – I patrzyli na moje nogi... – starałam się pieścić, zdrabniać. Strugałam idiotkę.

– Biedactwo. Następnym razem pójdziesz z adwokatem. Samej cię już nie puszcze. Jak oni śmieli! – oburzył się teatralnie. I po chwili ziewnął. Włożył sobie do ust kawałek salaty. – Ale porozmawiajmy lepiej o liście gości. Misiaczku, zbliża się termin pieruszego w Polsce ślubu na oczach milionów. Będzie niezły performance. Pomyśl o przyjemnościach. Zapomnij o trupie jakiegoś sprzedawcy pótek i kas fiskalnych. To nie nasze sprawy.

– Z przyjemnością – powiedziałam – ale nie mogę. W każdym razie, mówiłam ci. Zeby potem nie było.

Ale trudno mi było wtedy śmiać się i żartować. Prawdziwe poczucie winy przyszło dopiero za jakiś czas. Jego śmierć ciążyła mi jak garb, dławiła jak pęta na szyi. Coraz trudniej było mi się z niej wyzwolić. Potem było już tylko gorzej.

4. Jakub

Zamówiłam billing swojego telefonu i zaznaczyłam na nim dwa numery: jego i Jakuba. Obaj dzwonili do mnie w pół do drugiej, za dwadzieścia pięć drugą, za piętnaście drugą. Byłam wtedy na przyjęciu, wielokrotnie nagrywali się na pocztę. Zastanawiałam się, czy można teraz odzyskać ich wiadomości. I jak? Ostatnie połączenia przychodzące na moją komórkę – pięć razy numer Jakuba. Zadzwo- niłam do operatora i zablokowałam telefon pod pozorem kradzieży, z możliwością zachowania numeru. Na wszelki wypadek. Nowa karta SIM kosztowała tylko 30 złotych. Tanio, pomyślałam.

– O co ci chodzi z tym billingiem? – Jakub zadzwonił na domowy i był wściekły.

Wyjaśniłam mu, że sam wydruk jest bezwartościowy, ale z moimi zeznaniami to coś więcej niż papier, to dowód zbrodni. I może nie będzie z tego Komisji Śledczej, ale zwykle przesłuchanie w prokuraturze, owszem. Byłam ostra, zimna, pewna siebie. Wé własnym domu czułam się już bezpiecznie. Wiedziałam, że Mariusz w razie czego załatwi mi adwokata. A jeśli Jakub może użyć swoich wpływów, by stwierdzono, że w wypadku nie było udziału osób trzecich, to lepiej, żeby się nie rozmyślił.

– Chciałam cię tylko zmobilizować, żebyś załatwił sprawę. Nie mam ochoty spędzić reszty życia za kratkami. A jeśli ja tam trafię, to ty też. Bądź pewny.

– Aga, Nika... Nie mogę się przyzwyczaić do tego idiotycznego imienia. W ogóle do ciebie nie pasuje. Mówiłem przecież, że to załatwię. A ty przestań intrygować, bo mnie to denerwuje.

– Nie zrozum mnie źle. Ja tylko chronię swoją skórę. Jeśli poczuje się bezpieczna, z mojej strony nic ci nie grozi.

– Okay, tak się umawiamy. A co robisz dziś wieczorem?

– Odwal się, spotykam się z narzeczonym.

– No tak, zapomniałem. Wtedy, wiesz... Jak kochaliśmy się...

– Do widzenia. Zadzwoń, jak będziesz coś wiedział. Papier schowam w skrytce bankowej.

– Nie ufasz mi? – zjeżył się.

O mało nie wybuchnęłam śmiechem. Dlaczego niby miałabym ufać? Wolne żarty. Wiem przecież, że mną manipulujesz, już nie złapię się na te słodkie słówka.

– Oczywiście, kochanie. Właśnie dlatego – dla naszego wspólnego dobra – schowam go w banku, w sejfie. Cześć. Odłożyłam słuchawkę.

Miesiąc później sprawa została umorzona. Samobójstwo, brak udziału osób trzecich, dwa promile alkoholu we krwi. Smutna śmierć najprzebieglejszego z przebiegłych. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Odetchnęłam i przez chwilę poczułam się znów jak jaszczurka, której właśnie odrósł kolejny ogon. Który już? Straciłam rachubę, czułam się szczęściarą. I dopiero po Jego śmierci, kiedy popsulo się z Mariuszem i chaotycznie zmieniałam łóżka różnych mężczyzn, zatęskniłam do tego wulkanu emocji, jaki czułam przy Nim. Zaczynałam rozumieć, co miał na myśli ostrzegając mnie, że z nikim mi już nie będzie tak dobrze, jak z nim. Każde z osobna byliśmy niezcutymi kamieniami, ale połączone ożywiałyśmy się nawzajem, czasem tak gwałtownie, że niemal się spalać. Dopiero teraz jestem taka mądra... Co z tego, że posiadany skarb możemy docenić dopiero wtedy, kiedy go utracimy. Wtedy nie można już nic zrobić, a posiadanie tej wiedzy rodzi frustrację, gniew i agresję. To wszystko przerabiałam na własnej skórze. Kiedy w końcu pojęłam, że jego śmierć zapoczątkowała moją, nic już nie mogłam na to poradzić.

Mieszkanie Kończaka

„Kiedy musisz kogoś przeprosić, zrób to osobiście”

Nic już nie mogłem na to poradzić – powiedział dobitnie Eugeniusz Kula, kiedy ludzie z wojewódzkiej zabrali ciało Egona Kończaka. Łysy kiwał głową.

– Tak, rozumiem – odrzekł potulnie. Dzielnie znosił dym papierosowy i nie powiedział ani słowa szefowi posterunku, choć co jakiś czas kichał.

– To jego auto znalezione w lesie – dodał Czerwieński. – A to klucze do jego pokoju w hotelu. Mieszkał naprzeciwko komisarza Meyera.

– Tak? – zainteresowali się Kula i Łysy.

– W pokoju numer 259.

Łysy przekazał klucze jednemu ze swoich ludzi. Kazał zebrać ślady i przeszukać pokój. Rzucił na stół profil nieznanego sprawcy wykonany przez psychologa. Otworzył na stronie, gdzie profiler opisuje, jak mógł wyglądać: zdjęcia aktorki, telewizor, kasety...

– Ale on tam nie mieszkał – ciągnął Czerwieński. – Dom miał trzy wioski dalej, we wsi Kajanka. Trasa na Lublin. Z tego, co wiem, mieszkał z matką.

Znów spojrzenia kierownika posterunku i szefa wydziału zabójstw w białostockiej komendzie.

– To dlaczego wynajmował pokój? – zapytał Łysy.

– Firma mu opłacała. Jeździł przecież po całym województwie.

– Sprawdzić jego dom – wydał polecenie Łysy. – Tylko dyskretnie.

Skierował wzrok na Kulę. – Może pańscy ludzie najpierw wejdą?

– Sam pojedę – powiedział pewnym głosem Eugeniusz Kula. – Za ile będzie nakaz?

– Już jest – Łysy wykręcił numer. Zakomunikował przez telefon, o co chodzi. Odłożył słuchawkę. – Możecie jechać.

– To w drogę – Eugeniusz Kula wstał. Poprawił mundur, wysypał zawartość popielniczki do kosza.

Łysy chwycił profil i zaczął szczegółowo czytać.

– Miałem to dziś panu dać... – powiedział cicho.

– Co to jest? – Eugeniusz Kula zatrzymał się w drzwiach i udał zdziwienie.

– Analiza psychologiczna pańskiego kolegi. Nie dostał pan?

– Nie... – zająknął się kierownik posterunku. – To nie należy do moich obowiązków. Ja tu tylko sprzątam... – zaśmiał się sztucznie i poczuł, że pieką go uszy. Czuł, jak rośnie mu nos Pinokia. Nie umiał kłamać.

– Niech pan to przeczyta. To potrwa kwadrans. Ja się przejdę – oznajmił Łysy. – Powie mi pan, co o tym sądzi – dorzucił.

Eugeniusz Kula usiadł, zaczął czytać, kiedy nagle wstał i zaprotestował. – Może najpierw przeszukanie, potem przyjemności...

Łysy spojrzal na kierownika. – Niech pan przeczyta ostatnią część. Tu wszystko jest.

Wyszedł. Kula nie zamierzał czytać. Znał profil na pamięć. Wiedział, jak opisuje pokój profiler. Zamknął drzwi i zadzwonił do Meyera.

– Halo – odezwał się psycholog. – Gienek?

– To ja. Złapaliśmy ptaszka.

– Coś ty! Ale jak? – bełkotał Meyer. – Przepraszam, rozrobiliśmy z kolegą trochę Oazy.

Kula uśmiechnął się. – Zadzwonię jutro, odpoczywaj.

– Hej, czekaj. Powiedz!

– On nie żyje. Druga ofiara miała tasak i wbiła mu go w sam środek czaszki. Jadę do jego domu. Zadzwonię i wszystko opowiem. A Łysy... Przyniósł mi twoją ekspertyzę, chyba masz fana...

– Zadzwon koniecznie. Czekam.

Kula wyszedł przed posterunek. – Możemy jechać – oznajmił Łysemu.

Wieś Kajanka była ukryta w głębi lasu. Przy drodze stał samotnie przystanek autobusowy. Kolumna samochodów policyjnych, w tym rozklekotany radiowóz Eugeniusza Kuli wzbudziła zainteresowanie mieszkańców. W oknach pojawili się ludzie. Kilku podpitych mężczyzn stojących przy płocie natychmiast schowało za siebie napoczęte faszki.

Eugeniusz Kula zatrzymał auto przy zadbanym domu zbudowanym jeszcze według standardów, gdzie izbę dzieli się na dwie części: w jednej mieszkają zwierzęta, w drugiej ludzie.

Na spotkanie wyszła im drobna staruszka. Energicznie zawinęła się chustą.

– Dzień dobry, czy tu mieszka Egon Kończak? – zapytał Eugeniusz Kula.

– Tak, ale syna nie ma. Martwiłam się. Coś się stało? – powiedziała skrzekliwym głosem i bojaźliwie wpatrywała się w brygadę ludzi, którzy stali szpalerem na podwórku. Z domu dochodziły odgłosy chrumkania świń. Miniaturowy pies na łańcuchu wyszczeniwał monotonną melodię. Był tak chudy, że obroza zaczepiona na jego grzbiecie niemal go przyniałała. Zamiast miski stał aluminiowy garnek, zanieczyszczony kurzymi odchodami.

– Mamy nakaz przeszukania. Gdzie jest jego pokój? – spytał Kula i zatykając nos ruszył w kierunku drzwi.

– Jaki pokój? Co z Egonem?

– Panie komisarzu, można prosić – Eugeniusz Kula zawołał Łysego. Oficer w szarym płaszczu podszedł do kobiety, pomachał jej przed oczami świstkiem papieru i powiedział:

– Pani syn jest podejrzany o usiłowanie morderstwa na Malwinie Pokropko. Zginął przywalony drzewami.

Kobieta wybuchła płaczem. Lamentowała chwilę, po czym rzuciła się z pięściami na oficera. Wielki krzyż, który wisiał na jej chudej piersi, trząsł się od jej łkania.

Ktoś zajął się kobietą, a wtedy Łysy i Eugeniusz Kula weszli do mieszkania, składającego się z jednej izby, która była jednocześnie kuchnią i sypialnią. Wewnątrz śmierdziało gnojówką, ale było bardzo czysto. Wręcz sterylnie. Sprzęty lśniły. W tym pomieszczeniu nie było ani jednej niepotrzebnej rzeczy. Nie zauważyli też telewizora. Za to na głównej ścianie wisiał stary krucyfiks. Nadawał temu wnętrzu wygląd mieszkania pustelnika.

– Gdzie jest jego pokój? – zapytał Łusy.

Zaczęli się rozglądać. Wtedy za piecem dostrzegli drzwi, jakby do spiżarni. Były zamknięte. Eugeniusz Kula wyszedł na zewnątrz.

– Czy ma pani klucz od zamkniętego pokoju? – zapytał. Kobieta ocierała łzy, jakby sens pytania do niej nie dotarł.

Kula powtórzył. W odpowiedzi pokręciła głową. – Nie wpuszczał mnie tam – wykrztusiła z siebie w końcu.

– Trzeba wyważyć drzwi – stwierdził Łusy.

Ale sprawa nie była prosta. Stare drewniane bale nie chciały puścić. Funkcjonariusze rozbiegli się po wsi w poszukiwaniu człowieka, który ma pilkę do metalu, by przepiłować zasuwę.

Wpatrywali się w deszcz iskier ginących w powietrzu, kiedy jeden z sąsiadów rozpiłowywał zamek pokoju Egona Kończaka. Każdy z nich myślał o tym samym.

– Czy to on zabił Ninę Frank?

W końcu bzyczenie ustało. Sąsiad odsunął sprzęt i metalowa zasuwka upadła z hałasem na drewnianą podłogę. – Gotowe – powiedział.

Żaden z nich nie chciał wejść pierwszy. W końcu Łusy zrobił krok i gestem zaprosił Kulę. Otworzyli drzwi z niepokojem, jakby mieli zamiar wchodzić do niedźwiedziej jaskini.

Pokój w przeszłości rzeczywiście musiał być spiżarnią, którą Egon Kończak w dorosłym życiu przerobił na własną twierdzę. Na ścianach nie było jednak plakatów Niny Frank, tak jak się spodziewali. Pomieszczenie nie różniło się od wyposażenia reszty domu. Śmierdziało jedynie bardziej. Za ścianą rozlegało się chrobotanie zaniepokojonych zwierząt.

Biurko, krzesło, szafka. Mały telewizor Sony, odtwarzacz video i DVD. Na półkach, na których kiedyś musiały stać słoiki z przetworami, ktoś umieścił segregatory oraz zrobione z tektury prowizoryczne szufladki. Każda opisana, przypominająca archiwum. W głębi pomieszczenia wisiała kotara w dziecięce pajacyki. Kula podszedł do niej i odsłonił jednym ruchem. Nad tapczanem wisiały zdjęcia aktorki, do których ktoś pieczołowicie dokleił nagłówki gazet: „Zbrodnia bez kary”, „Gdzie jest bestia”, „Tego nie mógł zrobić człowiek”, „Morderca wciąż na wolności”.

Policjanci wertowali segregatory i szufladki. W jednej z nich znaleźli plik listów adresowanych do aktorki. Były spięte recepturką. Nigdy nie zostały wysłane. Tkwiły w zaklejonych kopertach z wykaligrafowaną datą w lewym górnym rogu. Łysy wyciągnął jeden z nich. Ten został wysłany. Na pieczęcie dojrzał datę: był to dzień, w którym aktorkę znaleziono martwą. Na odwrocie koperty widniało kilka pieczętek: mieszkanie zamknięte, zwrócono do nadawcy. Adresat: skrytka pocztowa nr 34.

Kula przeglądał kasety wideo ułożone w równych rzędach na półce. Kończak nagrywał wszystkie odcinki „Życia nie na sprzedaż” i innych seriali z udziałem Niny Frank.

Przeszukanie zakończyli po kilku godzinach. Kiedy w milczeniu dotarli na posterunek, Kula powiedział:

– Nigdy nie wziąłbym go pod uwagę. A teraz wszystko się układa. Kończak dziesięć lat temu pracował na poczcie. Budynek spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach. Przesłuchiwałem go nawet w sprawie podpalenia, ale nie znaleźliśmy dowodów. Podobno defraudował pieniądze. Sprawa przycichła. Matka jest bardzo wierząca, sam pan widział. Wychowywała go surowo. Ojciec się powiesił, kiedy Egon był dzieckiem.

– On pisał do niej listy – odezwał się Łysy. W rękach trzymał otwartą kopertę, która jako jedyna została wysłana. – Numerował je. Ten jest 76.

Eugeniusz Kula zerknął na pozostałe listy. Obok daty w górnym lewym rogu też miały numery.

– 17, 19, 21 – dlaczego zachowywał sobie co drugi? – zwrócił się z pytaniem do Łysego.

Rozerwali kopertę i zaczęli czytać. Początek brzmiał jak list miłosny, dalej jednak był już tylko opis pragnień i marzeń mordercy. Autor zwracał się do aktorki wulgarnie, zwierzał ze swoich makabrycznych marzeń dręczenia i krzywdzenia jej. Pisał, jak chciałby zadawać jej ból. Dokładnie opisywał, co czuł, co się z nim dzieje. Jak narasta w nim napięcie.

– Czyli pisał dwa rodzaje listów: jako morderca i jako wielbiel. Tych pierwszych nie wysyłał. Te drugie musiała czytać. Nie było w nich nic, co mogłoby wzbudzić jej strach. Gdzie one są? W jej domu ich nie znaleziono...

Eugeniusz Kula zastanowił się. Może miała je w Warszawie? Albo on je zabrał...

– W każdym razie wszystko jasne – przerwał mu Łysy. – Jak najszybciej trzeba wypuścić tego młodego, syna bibliotekarki. Jest niewinny. Zanim prokurator wyśle akt oskarżenia.

Eugeniusz Kula coś sobie przypomniał. Wyciągnął starannie zapakowany nóż, który dała mu Lidia. – Ciekaw jestem, czy należał do Egona. Można zbadać odciski? Kto by pomyślał... On mordercą – kręcił głową.

Po wykonaniu wszystkich czynności Łysy zbierał ekipę do wyjazdu. Wszedł jeszcze na chwilę do gabinetu kierownika posterunku. Pożegnał się i pożądliwie spojrzął na paczkę papierosów leżących na biurku.

– Jeszcze jedno. Czy ma pan numer komórki do komisarza Meyera?

– Oczywiście, a po co panu?

– A nie, nic – Łysy nagle się rozmyślił. Kula miał wrażenie, że jest przybity. – Chciałbym... Zadzwoń na służbowy. Do widzenia – dodał oficer.

– Do widzenia – odpowiedział Eugeniusz Kula i dopiero poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Kiedy oficerowie z wojewódzkiej odjechali, zadzwonił do profilerów i zrelacjonował mu ostatnie zdarzenia.

– Mam nadzieję, że teraz już naprawdę będzie spokój. Potrzebuję odpocząć – zakończył.

– Ale chyba nie wybierasz się jeszcze na emeryturę – zaśmiał się profiler.

– No co ty! – oburzył się Kula. – Czuję się jak po stoczonej bitwie, ale to takie wciągające.

– Widzisz? – śmiał się Hubert. – To ja kończę, muszę wstać o czwartej.

– To za pięć godzin... – jęknął Eugeniusz Kula.

– Służba nie drużba. Bombiarz, nowa zagadka...

– Ty to masz życie...

W tym momencie drzwi gabinetu się otworzyły. Stał w nich Czerwieński.

– Panie Gieniu, „Trąba” się znalazł! – oznajmił

– Gdzie? – krzyknął kierownik posterunku. A do słuchawki: – Muszę kończyć. Trembowieckiego znaleźli.

– Gdzie, gdzie on jest? – wyskoczył z gabinetu Kula i zbiegł po schodach krzycząc: – Niech ja go dostanę w swoje ręce!

Zobaczył byłego posterunkowego i obcą, postawną kobietę, która pouczyła go stanowczo: – Bądź mężczyzną, synku. Twój tatuś był po-

licjantem, bierz z niego przykład. Będziesz dzielnym, odznaczanym funkcjonariuszem.

– Ja nie chcę! – jęknął Alojzy i schował się za plecami matki, jak małe dziecko. Szeptał cicho: – Mamo, ratuj!

– Musimy porozmawiać, panie kierowniku, tutaj doszło do mobbingu! Do czego doprowadził pan mojego chłopca?! – grzmiała rośła kobieta. A Alojzy Trembowiecki patrzył na Eugeniusza Kulę, który jak rozwścieczona bestia zbliżał się w ich kierunku i panicznie, obsesyjnie powtarzał: – Boję się, boję się. Boję się...

Koniec końca

„Spytaj starszą osobę, którą darzysz szacunkiem,
czego w życiu żałuje”

Boję się. Panicznie, obsesyjnie, widzę cienie nieznanych osób na ścianach uliczek. Obserwuję ludzi idących za mną. Sprawdzam, czy w mieszkaniu, aparacie telefonicznym nie ma pluskiew, kamer. Kilka razy spałam w hotelu, bo chcę uniknąć odbierania telefonów w środku nocy. Grozili już, że mnie porwą albo zabiją. Zwolniłam sprzątaczkę pod pozorem kradzieży, choć to pewnie nie ona grzebała w moich rzeczach. Po telefonie od tego człowieka wyladowałam złość na Iwonie, którą tak pobilałam, że trafiła do szpitala. Wstydzę się mojego potwora, agresji, która wylazi ze mnie niczym karaluch w ciemnościach, a po zapaleniu światła błyskawicznie ucieka, chowa się do czarnej dziury i udaje, że go nie ma. Gardzę sobą, czuję się jak w potrzasku. Nie radzę sobie z emocjami. Piję coraz częściej, nie przestaję palić. Biorę różne leki: jedno na sen, jedno na poprawienie nastroju, antydepresyjne, uspokajające. Popijam martini i ginem.

Mariusz zażądał rozwodu, ale mu nie dałam. Nie wraca na noce. Spotkał koleżankę ze studiów, brzydką jak noc, ale dobrze gotuje i jest miła. Pewnie nie próbuje po ekstazy wyskakiwać przez okno. Nie musiał w jej mieszkaniu wykręcić klamek, schować noży, wyrzucić żyletek, nożyczek. Nie tłucze szkła, nie bije garnkami o ścianę i nie polewa całej podłogi oliwą. Nie śpiewa pijana piosenek na bankiecie i nie opowiada kawałów o Żydach w towarzystwie ludzi, którzy mogą się czuć tym osobiście dotknięci. Ale małżeństwa z nim nie żałuję, choć od dawna było fikcją. Dość dobrze na tym wyszłam, niestety wszystko zainwestowałam w mój dworek nad Bugiem, mój azyl. I znów jestem bez grosza. Początkowo tam uciekałam, potem, kiedy wokół mnie zaczęło być gorąco i rwały się kontrakty, zaczęłam

tam robić przyjęcia. Nie wiedziałam, kto mi grozi, więc zamontowałam w domu kamery i nagrywałam wszystko na kasety. Chciałam mieć haka na wszystkich z branży, żeby w razie draki musieli mi pomóc utrzymać się na powierzchni.

Coraz bardziej irytowała mnie ta tak zwana śmietanka towarzyska. Kupa idiotów i bezdusznych materialistów. Patrzą tylko, gdzie by tu wyszarpać dla siebie choć kawałek tortu. Choć jestem ulubienicą widzów i co roku dostaję nominacje i nagrody, to jasno, jak przez szkło powiększające, widzę płytkość tego świata. Dlaczego w Polsce nie kręci się filmów, tylko seriale albo ekranizacje lektur? Ewentualnie głupie fabuły dla znerwicowanych rozwódek w stylistyce sitkomu? Do teatru mnie nie chcą – mówią, że nie mam wykształcenia. Racja. Zresztą dostałam etykietkę serialowej zakonnicy i jakoś nie mogę się z tego wyplątać. Jedyna z tego korzyść, że prowadzę jakiś durnowaty program w studio telewizyjnym, gdzie ludzie wyplakują się w mój rękaw. Zarabiam nieźle. Ale mierzi mnie to. Bo każdy z bohaterów dostaje za swoje trzy pieniądze. Marne, ale to tym bardziej żenujące. A nawet wyjazd, załatwiony przez Zbyszka do Stanów, okazał się fiaskiem. Usłyszałam, że w Hollywood jest pięć pułapów aktorskich i jeśli ktoś specjalizuje się w jednym, nie ma szans na wyższy poziom: soap opery, filmy telewizyjne, filmy kinowe klasy B i wielkie produkcje. Mnie – na podstawie mojego cudownego i z najwyższej polskiej półki dorobku artystycznego – zakwalifikowano do tego najniższego: gwiazda serialu, mydlanej opery. Na dodatek jestem Polką, która nawet w soap operze amerykańskiej mogłaby grać jedynie sprzątaczkę albo nianię czy sekretarkę, która wygłasza pojedyncze kwestie: – Proszę poczekać, już łączę. Pieprzona ethnic actress.

Byłam tam i próbowałam. Czulałam już kolejny odrastający ogon zielonej jaszczurki. Myślałam, że najpierw pobiegam na planię w białym fartuszku, a potem trafi się coś ciekawszego. Jennifer Lopez też tak zaczynała. Ale jako dwudziestolatka! Dla mnie, oprócz rosyjskich pokojówek, niemych dziewczyn na rolkach jeżdżących brzegiem oceanu i dziwek, które nie muszą mówić, tylko pokazywać cycki, nie było żadnych propozycji. Raz, przez sekundę mignęłam u Spielberga – zagrałam półnagą wariatkę, która miała krzyknąć: – Show must go on!

Powtarzałyśmy tę scenę dwadzieścia cztery razy, bo wciąż wydawało mi się, że słyszy mój wschodni akcent. Wtedy postanowiłam wrócić. Agent rozstał moje zdjęcia do największych agencji, a ja miałam czekać. Raz byłam nawet na rozmowie, bo szukali aktorki o słowiańskiej urodzie do roli zaradnej mamuski, która pokonuje biurokratyczną machinę i odzyskuje dla swojego niepełnosprawnego

dziecka odszkodowanie. Kiedy weszłam do gabinetu, kilku mężczyzn śmiało się, a wtórowała im piskliwym chichotem gruba, obwieszana biżuterią jak choinka, latynoska sekretarka.

– Tu jestem trochę jak Marlena Dietrich, tu trochę jak Marilyn Monroe, tu jak Angelina Jolie, tylko grubsza i brzydsza, a tu nieco zimna jak Nicole Kidman. Tylko wszystko tak beznadziejne, bez wyrazu, podrabiane, udawane, że nie wiadomo, kim naprawdę jestem i co we mnie samej jest dobrego – szczydził donośnym głosem jeden z nich. A reszta pękała ze śmiechu. Ten najgłośniejszy to chyba reżyser, sądząc po ekstrawaganckim ubraniu.

– Ups, here you are! There is mrs Frank... Hello, how are you? – ogłosiła słodko Choinka i przerwała słowotok faceta w kaszkiecie. Pozostali lekko się speszyl i rozsiedli na krzesłach wokół stołu. Dopiero wtedy dostrzegłam na stole własne portfolio. Na zdjęciach były odciski ich tłustych paluchów. Czulałam prawie, że przed chwilą dotykali mnie. Moich nóg, twarzy, brzucha.

A to, co usłyszałam przed chwilą, dzwoniło mi w uszach. Najgorsze, że to była prawda. Bolesna jak świeża rana. Prawda. Nie wiadomo, kim naprawdę jestem i co we mnie samej jest dobrego. Tymczasem przed sobą miałam przemitych, uprzejmych mężczyzn, którzy prowadzili ze mną rozmowę. Wiedziałam już, że nie mam na co liczyć. Czulałam, że nie wypada wyjść i rozmawiałam tylko pro forma.

Dopiero, kiedy jeden z nich zapytał, ile mam właściwie lat (nie czytali mojego cv!), zaniemówiłam.

– 29? I chciałyby pani w takim wieku zaczynać w Hollywood? – rozciągnął usta w amerykańskim uśmiechu jak z reklamy pasty do zębów.

Tortury trwały niecałe pół godziny. Dotrwałam jakoś do końca i wychodząc byłam przekonana, że gdy tylko zamknę drzwi, wrócę do poprzednich, wesółych komentarzy.

Zamknęłam się w hotelu i popijając wódkę z lodem, czekałam na termin wylotu. Zbyszek oszukiwał mnie, że są mną zainteresowani ci lub tamci, że Niemcy właśnie robią film, poszukują Polki. Że w agencji CAA spodobałam się. I napiszą, jeśli będą coś dla mnie mieli. Kiwałam uprzejście głową i nie byłam w stanie uwierzyć w te kłamstwa.

Wiedziałam już, że nie nadaje się do niczego. A co gorsza, nie mam już serca wygłaszać tych durnych kwestii w serialu o zakonnicach. Czy dam radę w innych serialach? Z czego będę żyć?

Kiedy tylko wróciłam do Polski, zadzwoniłam do Świętej.

– Zdecydowałam się odejść. Cieszysz się?

Milczała, pewnie przeżuwała tę informację.

– Chciałabym tylko odejść nagle, zginąć w wypadku... Nie mam ochoty grać przeoryszy ani mentorki. Nie chcę już przychodzić na plan. Możesz to dla mnie zrobić po starej znajomości?

– Jasne. Z przyjemnością cię unieszkodliwię, zwłaszcza, jeśli sama tego pragniesz.

– Nie musisz mi mówić jak. Byle jak najprędzej.

– Dostałaś propozycję w Hollywood? – nie mogła się powstrzymać od zapytania. – Wyjeżdżasz?

– Czekam na odpowiedź – skłamałam. – Może.

– Skończysz marnie. Widziałam cię w jakimś szmatławym filmie akcji... Mówiłaś pół zdania – zobaczyłam triumf na jej twarzy, choć rozmawialiśmy przez telefon.

– „Pokonaj mnie”, tak grałam tam małą rolę...

– Bardzo małą – uśmiechnęła się i dodała wesóło: – No, to powodzenia. Aha, kiedy już cię usmiercę, nie powołuj się więcej na rolę Joanny, dobrze? To zresztą chyba jest oczywiste.

– Jasne.

Miałam na nią kilka kaset, ale na razie nie chciałam nic z nimi robić. Mogłam ją zniszczyć jednym ruchem, nie brudząc sobie rąk, za pomocą Urzędu Skarbowego, bo Święta od lat oszukiwała na podatkach i wystugiwała się w tym zaprzyjaźnioną firmą. Po rozmowie z nią poczułam się słaba. Nikt jej nie lubił, ja, jak już wiesz, też nie zaliczałam się do jej przyjaciół. Zwłaszcza że wolala lizusów, którzy pieczołowicie obrabiali jej tyłek, kiedy tylko obracała się plecami. Byłam jednak lojalna i często jej broniłam, choć sama byłam wobec niej ostrożna i uważałam na to, co przy niej mówię. Ponieważ byliśmy zmuszone do dobrego kontaktu, starałam się sprawiać jej przyjemność. Pytałam o zwykłe sprawy, by czuła, że mnie to interesuje. A teraz, kiedy już chciałam odejść z jej watahy, nie tylko się ucieszyła, ale jeszcze upokorzyła mnie, żądając, bym nigdy więcej nie powoływała się na jej postać. Czułam się, jakbym dostała po twarzy. To było dziwne, bo jednocześnie odczuwałam litość. Przez to, że wiedziałam o niej tyle: ta samotna kobieta nie ma własnego życia, także intymnego. Praca jest jej jedyną przyjemnością, ucieczką i koniecznością, bo sama utrzymuje męża i dziecko z pierw-

szego małżeństwa. Ma wielki kredyt, który musi spłacać. A mimo jej wysiłków o szacunek, wszyscy się jej jedynie boją i gdy tylko mogą, śmieją się z prymitywnych powiedzonek i złotych myśli w stylu: „Nie ufaj niskim ludziom. Mają serce blisko dupy. Miesza się z gównem”.

Nie wyciągnęłam tych armat na nią, choć wcześniej wypowiedziałam Świętej wojnę. Już mnie nie obchodziła. Miałam poważniejsze problemy. Choćby szantażystów, którzy dopadli kompromitujące kasety, na których pieprzę się z przygodnymi facetami w Jego mieszkaniu. Grozili ich ujawnieniem i wiedziałam, że nie zawahają się tego uczynić. Ale powiedzieli, że oddadzą mi je, jeśli wydam Jakuba. Mam potwierdzić, że brał czynny udział w wypadku na torach. I nie miało to na celu wsadzenia go za kraty, bo sprawa była przecież jasna – oprócz psychicznej presji nie dołożył się do jego śmierci. Ale wystarczyło rzucić cień na kryształową medialnie postać polityka, który jak się okazało blokował podpisanie umowy z Rosjanami na dostawę ropy. Głosił wszem i wobec, że powinni obniżyć ceny, bo w przeciwnym razie zawrzemy kontrakty z innym dostawcą. Ludzie, którzy przyszli do mnie, chcieli go wyeliminować i doprowadzić do tego, by skandal, jaki wybuchnie, spowodował zrzucenie go z piastowanego stanowiska. A zanim nowy człowiek – jeśli w ogóle – będzie blokował podpisanie umowy, minie termin i kontrakt zostanie przedłużony automatycznie.

Wiedziałam, że angażuję się w męską grę, jak to nazywał Jakub, i co gorsza nie zaczęłam tego wcale sama. W głowie mi się nie mieściło, kto mnie szantażuje. Szpiedzy, kontrywiad, mafia? Ale w pewnym momencie przerażona i pełna nienawiści, zgodziłam się. Dopiero wtedy się zaczęło. Głuche telefony, listy z pogroźkami, coraz częściej zauważałam, że ktoś mnie śledzi. Nie miałam pojęcia, czy to ci od kaset, czy może inni. Kilka razy włamano się do mojego mieszkania i przeszukano je bardzo dokładnie. Kiedy pierwszy raz weszłam i zobaczyłam bałagan jak z amerykańskiego filmu, w odruchu paniki zadzwoniłam na 112. Okazało się, że zginął twardy dysk mojego komputera, płyty, ktoś podarł moje zdjęcia. Dobrze, że kompromitujące materiały trzymałam gdzieś indziej i nie wpadły w ich ręce. A na twardym dysku miałam jedynie muzykę i trochę własnych zapisków. Nie zginęła biżuteria ani pieniądze. Sprzęt grający, wart fortunę, był przewrócony ale po niewielkiej inwestycji udało się go uratować. Policjanci, którzy przyszli, byli bardziej zestresowani ode mnie, chyba pierwszy raz mieli interwencję. Spisali wszystko, jednak szczerze powiedzieli, że marne są szanse

na odnalezienie sprawców. Odcisków w mieszkaniu było tyle, że nie wiadomo, które zbierać. Machnęłam ręką i kiedy sytuacja się powtarzała kilkakrotnie, nawet nie zgłaszałam tego policji. Wyjeżdżałam na wieś i coraz częściej myślałam o wycofaniu się w ogóle. Tylko listy od widzów podtrzymywały mnie na duchu. Miałam swój internetowy fanclub, czasem zapraszali mnie na chat, bywałam na spotkaniach w kawiarniach i rozmawialiśmy o branży. Jeden zakochany we mnie, anonimowy fan zdobył adres mojego domu na wsi i pisał do mnie piękne listy – opowiadał o sobie i o swoich marzeniach spotkania takiej osoby jak ja w normalnym życiu. Zdawałam sobie sprawę, że tak naprawdę marzy o mojej osobowości ze szklanego ekranu, o zakonnicy, a nie o mnie. I dobrze, bo gdyby poznał, jaka jestem w rzeczywistości, nie spojrzalby na mnie nawet. Pewnie by uciekł. I miałby rację. Najgorsze, że zżerało mnie poczucie winy. Miałam świadomość, że na to wszystko założyłam i nie mogę mieć do nikogo pretensji. Tak długo już tkwiłam w iluzji życia, coraz piękniej udawałam, choć każde kolejne kłamstwo obciążało mnie coraz bardziej. Nadal godziłam się na sesje w hotelach, bo moje mieszkanie było zbyt skromne, by je prezentować w prasie. Widzisz, choć tyle czasu istniałam w tym biznesie, nie dorobiłam się fortuny. W ciągu ostatnich trzech lat stawki spadły o połowę, a agencje aktorskie wciąż poszukiwały nowych, nieopatrzonych jeszcze twarzy. Moje honoraria były i tak wysokie, na co często Zbyszek zgrzytał zębami i żądał, bym spuściła z tonu. Ale ja twierdziłam, że jak się sprzedawać, to przynajmniej za duże pieniądze.

Nie miałam komu powiedzieć o tajemniczych ludziach, którzy regularnie mnie straszili. Przez których dostałam nerwicy i fobii. Uciekałam w alkohol, narkotyki. Zatrącanie się przynosiło jednak tylko chwilową ulgę, potem dół wracał ze zdwojoną mocą. Wczoraj zauważyłam, że mój internetowy dziennik jest czytany przez 14 osób. To prosty, standardowy blog o tytule: „Lobofarm, czyli pies, który mówi”, z wizerunkiem brzuchatego mężczyzny leżącego w kieliszku od margerity. Tę zabawną grafikę wyszukałam w necie i po prostu wkleiłam. Przez długi czas nikt nie odwiedzał mojego bloga. Może internauci myśleli, że to kolejny uduchowiony pisarz, który marzy o rzuceniu pracy i zostaniu polskim Hemingwayem, a na razie próbuje swoich sił na stronach internetowych. I to wszystko zmyślone, nuda... Zresztą rzadko pojawiały się kolejne odcinki. Wczoraj zauważyłam, że mój blog był czytany zaledwie przez 14 osób. Jedną z nich jest człowiek, który odwiedził mnie wczoraj. Niski, szczupły, typ szczura, który nie zwraca niczyjej uwagi. Poradził mi, żebym więcej już nic nie wrzucała na „lobofarm”. A zwłaszcza

tej rozmowy. Zgodnie więc z obietnicą, nie przytoczę jej. Ale wiedz, że nie była miła. I teraz naprawdę nie mam wyjścia. Muszę wyspać Jakuba. Muszę, choć nie chcę. Nienawiść nie usprawiedliwia takich zachowań. Wiem, że jeśli tego nie zrobię, on zginie. W klasycznym wypadku, gdzie nie będzie udziału osób trzecich. Paradoksalnie zniszczę mu opinię, by go uratować. Co będzie ze mną? Nie wiem. Niech to będzie moje pożegnanie. Także z tobą, panie Szczurek, choć przez ciebie mam spuchniętę pół twarzy i żałuję, że oddałam tę cenną kasotę. Niech to będzie pożegnanie z moim nigdy nie ujawnionym fanem, który pisze do mnie nad Bug i nie podaje adresu zwrotnego. Wybaczcie mi, proszę, bo przecież to koniec mojej spowiedzi. Matko, Jakubie! I wy, którzy to przypadkowo czytacie. Choć „lobofarm, czyli pies, który mówi”, zniknie jutro z Internetu, o czym dziś już jestem przekonana, zachowam jego treść w bezpiecznym miejscu. U kogoś, kogo nie znam, ale bezgranicznie mu ufam. Tę osobę także oszukałam, ale tylko dlatego, by ją ustrzec przed realnym niebezpieczeństwem. I chciałabym bardzo, by to wiedziała. Bo jeśli na ziemi są Anioły, to właśnie ona jest moim. Zawdzięczam jej odkupienie. I spokój. A teraz, na zakończenie, przytoczę wam jej słowa. Kiedy będzie wam źle: czytajcie i wspominajcie moją historię. To właśnie ustyszałam.

Mówią, że każdy jest kowalem własnego losu. Jeśli czegoś bardzo pragniesz, wcześniej czy później osiągniesz cel. Trzeba jednak uważać na swoje marzenia – mogą stać się przekleństwem, bo za wszystko trzeba będzie zapłacić. Nie ma nic za darmo, a zwłaszcza, jeśli, by spełnić marzenie, próbuje się przeistoczyć w kogoś, kim się nie jest.

Nie żyjemy sami. Często to otaczający ludzie kształtują człowieka i zamieniają go w bestię albo uwarzliwiają. Pamiętaj, że przeglądamy się w innych jak w lustrze i zwracamy uwagę na te cechy, których sami pragniemy. Ale w głębi duszy zawsze pozostajemy sobą i nasza prawdziwa natura w końcu weźmie górę nad kreacją. Wtedy pieczołowicie tworzona postać rozsypie się w proch. I jeśli założyc, że życie to rozsypana układanka, to każdy sam tworzy swój obrazek z kawałków. Wybiera je i dokłada puzzel po puzzlu we własnym tempie. Są jednak elementy pewne, które tworzą kręgosłup naszego życia. Nieuchronność niektórych zdarzeń jest upiorna i nigdy nie jesteśmy gotowi, by je przyjąć. Zawsze – czy to będzie magnetyczna miłość, czy drastyczny wypadek, czy śmierć – nie jesteśmy w stanie się do tego przygotować. Cały cud życia polega na tym, że wszystko, co ważne, zdarza się w najmniej oczekiwanym momencie. Dlatego trzeba cenić terazniej-

szłość, a z przeszłości wyciągać mądre wnioski. Zresztą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość też są względne. Przypominają system naczyń połączonych, jak życie ludzi, które plecie się ze sobą i choć pozornie wydaje się chaotycznym kołtunem zdarzeń, jest misternym, ażurowym tworem Mistrza, którego potęgi umysłu nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, a co dopiero pojąć, wyjaśnić... Wszystko ma swoją przyczynę i skutek. I cenę.

Jeśli wracają do Ciebie upiory z przeszłości, to znak, że trzeba zrobić zwrot o 180 stopni. Naprawić błędy. Nie czekać, aż klątwa się spełni. Nie ma fatum. Nieszczęścia i traumy mają nas pouczyć, często w perspektywie czasu okazują się błogostawieństwem.

Jest coś, czego nie chcemy wiedzieć – człowiek dostając od losu to, co cudowne, dostaje jednocześnie to, co najgorsze: spełnienie marzenia zawodowego i miłość z romantycznej książki, ale jednocześnie śmierć bliskiego, który odchodzi nagle. Zwykle te granice się zacieraają i nie zauważamy tej zależności, ale kiedy zdarza się ekstremum, to znak, by się zastanowić nad swoim życiem i coś zmienić. Bo każdy może i nawet powinien. Inaczej nasza układanka będzie nieskładna i dziurawa. A niestety w pewnym momencie będzie już gotowa i nadejdzie czas na osiągnięcie spokoju. Śmierć nie jest niczym złym, choć jak każda niewiadoma nas przeraża.

Jeszcze przestroga. Kiedy jesteśmy młodzi wydaje nam się, że wszystko przed nami. Mamy odwagę, upór, siłę do walki o swoje ideały i kartę przetargową: Głupotę. Cudowną naiwność w postrzeganiu świata, która otwiera przed nami każde zamknięte drzwi. Ale do czasu – im bardziej jesteśmy świadomi, jak wygląda świat i jak jest skonstruowany, tym bardziej zaczynamy się bać. Że stracimy to, co do tej pory osiągnęliśmy. Omijamy ryzyko, nie podejmujemy trzeźwo decyzji, górę bierze konformizm i zamiast patrzeć w siebie, pracujemy nad układanką naszego wykreowanego wizerunku, a nie nad sobą ukrytym wewnątrz porcelanowej laleczki. Z tchórzostwa uciekamy, podejmujemy decyzje, które pozornie mają nas chronić, kłamiemy, idziemy po trupach. Stajemy się egoistami. Ale wtedy ucieczka jest już koniecznością. I pułapką. To ślepa ulica, która prowadzi do nieuchronnego końca w czarnym tunelu. Raz skłamałeś, musisz kłamać coraz częściej albo już zawsze. Gubisz się w swoich kłamstwach, przestają Cię męczyć, nie masz poczucia winy – świadomie, ale nie podświadomie.

Bo niestety zapominamy, że wszystko: i to, co dobre, i to, co złe – zdarza się nam określoną ilość razy. Szczęścia i tragedie – mamy ich wyczerpany pakiet. Myślenie, że jeszcze pięć razy pokochamy tak mocno, dziesięć razy będziemy mieli szansę, by

zrobić fortunę, albo dwadzieścia razy być na krawędzi życia i śmierci i przeżyć, jest tylko dowodem ignorancji. Los daje nam szansę i pozwala decydować, czy z nich korzystamy. Nie należy zachłannie chwycić wszystkich kół ratunkowych, bo kiedy przyjdzie pora, że naprawdę będziemy ich potrzebować, nie będzie żadnego w zapasie. Ty masz czas i już wiesz więcej – możesz wszystko odwrócić. Pokora, świadomość, słuchanie intuicji oraz pokuta za grzechy swoje i cudze, do których się przyczyniłeś, mogą cię ocalić. Pamiętaj, że śmierć nie jest wyzwoleniem, jest ucieczką zagubionych. I jeśli ma nastąpić sama – poczujesz ulgę i przestanie cię przerażać. Prowokowanie jej, gdy nie jesteś gotów, jest igraniem z ogniem, który spali twoją duszę na wieki.

Rozdział 36

Wątki się zamykają

„Nie pal za sobą mostów. Jeszcze wiele razy będziesz musiał przekraczać tę samą rzekę”

Prowokowanie jej, gdy nie jesteś gotów, jest igraniem z huraganem ognia, który spali twoją duszę na wieki – te słowa brzmiały w głowie Eugeniusza Kuli od wczorajszej nocy, kiedy to skończył czytać dziennik internetowy Niny Frank. Był porażony wszystkim, czego się dowiedział o aktorce. Myślał, gdy Hubert Meyer przesłał mu e-mailem dokumenty do druku, że to jakieś kobiece wypociny. Tymczasem pochłonął jej historię jak dobrą książkę. Wszystko mu się układało. Nieuchronność zdarzeń i śmierć, na którą czekała.

Teraz siedział w swoim gabinecie i wpatrywał się w okładkę najpopularniejszego dziennika sensacyjnego w Polsce.

Przed sobą miał własne puciołowate policzki i uczesany wąs, które zajmowały prawie całą pierwszą stronę. Nad zdjęciem był tytuł: „Zwyczajny-Niezwyczajny. Takich gliniarzy nam trzeba”. Rozpierała go duma. Na stare lata taka sława... Kto by pomyślał?

W konkurencyjnym dzienniku nie umieszczono go na okładce, ale za to opublikowano na dwie strony wstrząsający reportaż o znalezieniu mordercy Niny Frank. Na zdjęciu ilustrującym materiał też stał on, dumnie opierając się o bale, pod którymi znalazł zwłoki zabójcy. Tytuł krzychał: „To on uratował wieś przed seryjnym mordercą!” W ramce było malutkie zdjęcie Huberta Meyera i komentarz, kim był Egon Kończak. I jakimi cechami odznacza się seryjny morderca.

Kierownik posterunku wpatrywał się w swój własny wizerunek i ręce mu drżały. Czytał artykuł wielokrotnie i coraz bardziej się czerwienił. Dziennikarze trochę przekręcili jego słowa, ale zrobili z niego bohatera. Nie zamierzał pisać sprostowania. Było mu miło czytać o sobie w prasie. Włożył gazetę w ramki i powoli wkręcał małe śrubki. Kiedy skończył, przymierzył obraz na samym środku frontowej ściany, tak by każdy z wchodzących mógł go podziwiać. Chwycił młotek i wbił malutkiego gwoździa. Powiesił obrazek i odszedł krok do tyłu. Gazeta wisiała nad biurkiem jak certyfikat jakości w dobrej restauracji. Patrząc na nią czuł się naprawdę niezwykajnie. Znów zadzwonił telefon. Kolejne gratulacje. Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się.

– Człowiek sam nie wie, ile w nim próżności – zgañił się w duchu. Wstał i zdjął swój wizerunek ze ściany. Szybko ukrył go pod biurkiem. Na szczęście, bo po chwili do gabinetu wparował Czerwieñski i przyniósł nową partię prasy. Eugeniusz Kula był dziś niemal w każdej gazecie. Dopiero po miesiącu, kiedy zbadano i porównano wszystkie ślady, biuro prasowe komendy wojewódzkiej w Białymstoku ujawniło mediom informację o prawdziwym zabójcy aktorki.

– Bohaterze! Kiedy pijemy twoje zdrowie? – teraz dla odmiany zadzwonił Wasia. Kula policzył: był szesnastym, który czytał o nim w prasie. Odezwała się nawet rodzina Gali z Ameryki. Kierownik posterunku odbierając gratulacje na zmiany rumienił się i białł. Gdy słyszał tak miłe słowa, aż wił się niespokojnie na krześle. – Tylko wykonywałem swoją pracę... – mówił. Ale oczy mu się śmiały. Nareszcie czuł się doceniony, potrzebny. To zasłużona nagroda za te wszystkie lata pracy! Kiedy znów usłyszał dzwonek telefonu i Czerwieñski z dyżurki komunikował, że to kolejne gratulacje, skłamał, że nie może rozmawiać. Zrobiło mu się głupio – powinien podzielić się sławą z Romkiem, Cetnarkiem, a nawet Łysym. O Hubercie nie wspominając...

Wstał, założył czapkę, skierował się do wyjścia. – Muszę się przewietrzyć – postanowił.

Kiedy jechał przez las, dokładnie obserwując wszystkie chałupy, miał wrażenie, że mijani ludzie patrzą na niego jakoś inaczej.

– Co tam, pani Jóźwiakowa? Proszę zostawić, pomogę – krzyknął do kobiety targającej skrzynki do sklepu.

– Nie trzeba, panie kierowniku. Czym mogę służyć? – sprzedawczyni natychmiast podbiegła do policjanta, kłaniając się uniznienie. – Jak człowiekowi miło, że ktoś taki jak pan odwiedza mój sklep.

– Co pani? Od dwudziestu lat go odwiedzam! – oburzył się Kula.

– Ale teraz to co innego. Pan jest sławny!

– Jaki tam sławny... To tylko dziś, jutro dziennikarze o mnie zapomną. Wie pani, jacy oni są. Gonią za nową sensacją – wydatne policzki znów nabrzmiewały czerwienią.

– No niech pan nie umniejsza swoich zasług. W gazetach o panu piszą. W telewizji pana pokazywali i naszą wieś filmowali. Jestem dumna, że pana znam!

– To moja praca... Niech pani nie przesadza – jęknął Kula.

– Może piwko na koszt firmy? Zapraszam. Taki zaszczyt... – nie ustępowała sprzedawczyni.

– Nie piję, na służbie jestem...

– To może soczek, bułeczki świeże. Śledzika?

– Nie, ja już pojadę! – prawie uciekł spod sklepu, bo biegli już do niego ludzie z gazetami w rękach. Wtedy zobaczył na sklepowych drzwiach przyklejone wydanie gazety z własną podobizną na okładce. – A co to? – zbiesił się.

– Zawiesiłam, żeby wszyscy się dowiedzieli.

– Już i tak wiedzą! Proszę to natychmiast zdjąć! – zdenerwował się nie na żarty.

– Niech pan nie będzie taki skromny. Jest pan osobą publiczną. Gwiazdą... – emocjonowała się dalej kobieta.

– Muszę jechać – skapitulował.

Kiedy jechał przez wieś, ludzie kłaniali mu się w pas. Wśród nich byli i tacy, co mieli z nim na pieńku po awanturze przed biblioteką.

– Dzień dobry, panie podkomisarzu – wołali, jakby tamten epizod nigdy się nie zdarzył.

Kiwał głową, ale jak najszybciej chciał schować się w gabinecie. Pomyślał, że życie gwiazdy jest naprawdę ciężkie. Wszyscy ci się przyglądają, chcą zagadać. Nawet wrogowie. A zanim pojawił się w gazecie, odwracali głowy na jego widok.

Czuł już zapach wiosny. Zamarzył o rybach. Co tam, reumatyzm. Trzeba coś zrobić dla siebie, bo inaczej człowiek zwariuje. Przed posterunkiem też stała gromadka ludzi. Kiedy sąsiadka poprosiła go o autograf, machnął ręką.

– Pani Kowalczewska, żarty sobie robicie ze starego policjanta? Co to za szopka! – odgonił ją jak natrętną muchę.

Kobieta spojrzała oburzona na grupkę innych kobiet.

– Nie, to nie... – wzruszyła ramionami. Ale po chwili dodała z wyrzutem: – Patrzcie go, woda sodowa uderzyła mu do głowy. Gwiazdor, teraz z normalnym człowiekiem już nie gada... – prychnęła.

– Niech się pani nie obraża – stęknął Eugeniusz Kula. Już nic nie rozumiał. O co chodzi? Kiedy znalazł się w gabinecie, usiadł przy biurku i wyprostował nogi. Chciał teraz, żeby wszystko wróciło do normy. Marzył o spokoju, tropieniu złodziei drutu i kur, czytaniu o zbrodniarzach na kartach książek, a nie szukaniu ich w rzeczywistości.

– No, najdzielniejszy z dzielnych! Widzę, że czeka nas bankiet... – tym razem wójt. – Nie wymigasz się. Mogę powiedzieć, zupełnie nieoficjalnie, że na poniedziałek szykujemy na twoją cześć akademię. Medal! Medal ci wręczymy, Gieniu! Uuuuu! – zawył radośnie.

A Kula, zamiast się ucieszyć, jęknął cicho. – Medal?

– No, co? Gdzie aplauz?! Podziękuj staremu druhowi.

– Dzięki – mechanicznie powtórzył Kula.

– Załatwiłem z radą gminy! – ciągnął wójt. – Cała szkoła się szykuje, by godnie cię przyjąć. Dzieci wierszy się uczą.

– Co?! – Kula zrezygnowany oparł spocone czoło o biurko. Słuchawka upadła. Schylił się, żeby ją podnieść. – Ale po co tyle zachodu... Lepiej te pieniądze przeznaczyć na remont radiowozu – próbował przekonywać.

– Radiowóz w tej sytuacji wyremontujemy za gminne fundusze. Nie możesz jeździć na tym motorku. Jak to wygląda! Najlepszy gliiniarz w Polsce, a jeździ „Komarem”.

– Oj, nie o to mi chodziło... Ja lubię tego starego grata.

– Gieniu, szykuj się. Poniedziałek to twój dzień. W remizie będzie przyjęcie. Napisz sobie przemówienie o bezpieczeństwie. A jak ktoś ziewnie choć raz, ze mną będzie miał do czynienia!

– Ale ja nie mam czasu na brylowanie. Pracy mam dużo.

– A co ty musisz robić? Przekaż swoim ludziom. Praca nie zajac, nie ucieknie. Bywaj. Aha, popracuj nad wizerunkiem. Bo widzę, że nie umiesz się zachować. Za skromny jesteś.

Kula czuł, że głowa mu pęka. Po co to zamieszanie? W co ja się wrobiłem? Po co mi to wszystko?

– Gieniu – znów Gala, już szósty raz. – Nasza córka wraca z Belgii. Wyczytała o tobie w Internecie. Chce cię uściskać – oznajmiła radośnie. Kula milczał. – A co tobie, chory jesteś?

– Cieszę się, duszko. Cieszę... Dobrze, że przyjeżdża. Do zobaczenia po południu.

– Gieniu?

– Tak?

– Zrobiłam golonkę na miodzie. I kapustę zasmażaną. Świąteczny obiad, dziś zrobimy sobie małe święto!

– Wyborne, duszko, wyborne – odpowiedział drętwo i odłożył słuchawkę. Sam nie wiedział, dlaczego mu tak źle z tą sławą. Co go gniotło?

Hubert Meyer wyszedł z sali rozpraw zlany potem. Ucisnął rękę adwokatowi, który reprezentował go przed sądem. Chusteczka, którą otarł czoło, była kompletnie mokra. Ale uśmiech pojawił się na jego twarzy nie wiadomo skąd. Wyjął papierosa i wyszedł na powietrze. Wystawił twarz do słońca. Czuł, jak ciepło mile masuje jego zmęczoną twarz. Kiedy tak stał na schodach z zamkniętymi oczami, grzejąc się w promieniach jak stary kocur na płocie, u wyjścia z sądu pojawiła się Anka.

– Jak mogłeś! – syknęła.

Otworzył oczy i odpowiedział z cynicznym uśmiechem. – A ty?

– Tak łatwo ci nie odpuszczę. Zapłacisz mi za to! – rzuciła się na niego z pięściami. Chwycił ją za ręce. Trzymał ją jak w żelaznych kleszczach. Nie miała sił się ruszyć. – Nie myśl, że odbierzesz mi dzieci. Jestem ich ojcem – szepnął jej do ucha. Szamotali się chwilę, po czym zamarli. Z daleka mogli wyglądać, jakby stali w objęciach. Oczywiście w tym momencie nadszedł teść, ojciec Anki. Zdziwił się i wstydliwie odwrócił twarz w przeciwnym kierunku. Nie wiedział, co myśleć, zwłaszcza po t a k i e j rozprawie.

– Tato, zabierz mnie stąd – krzyknęła Anka. Wykorzystała moment, gdy Meyer poluzował chwyt i pobiegła w stronę samochodu.

Psycholog roześmiał się. Patrzył na jej tęgą sylwetkę, widział, jak stąpa niezdarnie wykrzywiając obcasy butów. Kiedyś wydawało mu się to urocze. Wpatrywał się w odjeżdżające auto i myślał, dlaczego zachował się tak perfidnie. Cierpliwie poczekał do pierwszej rozprawy pojednawczej i dopiero wtedy ujawnił, co naprawdę wie. Zaczął od zeznania, że wcale nie chce się rozwodzić z żoną, choć ma świadomość, że Anka ma kochankę. Kiedy na sali powstał szmer niedowierzania, wyciągnął zdjęcia, które trzymał w kieszeni płaszcza. I zaczął mówić.

– Dopiero zrozumiałem, dlaczego Ania wciąż biegła i dzwoniła do tego lekarza. Nasz rodzinny pediatra był dla mojej żony wyrocznią w sprawach zdrowia dzieci i jednocześnie autorytetem w sprawach damsko-męskich – zawiesił głos. – W każdym razie dowiedziałem się, że ją uwiódł. Obiecał nowe życie. Ona naiwnie we wszystko uwierzyła i przez długi czas robiła mi awantury. Chciała, bym to ja był winien. Szukała pretekstu do rozstania. I znalazła: moją pracę. Tylko, że ona jeszcze nie wie o pewnym sekrecie jej księcia z bajki. Otóż on ma już żonę. Oszukał ją, nagadał kłamstw. A ona wierząc w te bajeczki, bez ceregieli położyła na szali nasze małżeństwo. I dobro naszych dzieci...

Na sali sądowej zaległa cisza. Przewodnicząca składu sędziowskiego, która na początku patrzyła na niego wilkiem, swoje piorunujące spojrzenie przeniosła na powódkę.

– Co pani ma do powiedzenia?

Meyer z satysfakcją patrzył, jak jego żona płacze się w zeznaniach. W końcu przyznała, że to wszystko prawda.

– Tak! Kocham Andrzeja! Chcę się rozwieść jak najszybciej – powiedziała dobitnie.

Hubert Meyer patrzył już na obcą osobę. Nie czuł nic, tylko obojętność.

– Dopuszcza się nawet kradzieży naszych oszczędności – dodał mimochodem. – Pewnie chciała wyjechać z pediatrą na bezludną wyspę. Wspólnie zaplanowali, żeby mnie zniszczyć. Zażądała rozwodu z orzeczeniem winy i wysokich alimentów. Zapomniała o jednym: ja jestem policjantem – uśmiechnął się ironicznie.

I wyjaśnił sądowi, jak załatwił z kolegą z prewencji, który teraz prowadzi biuro detektywistyczne, by pośledził Ankę przez parę dni. Dostał zdjęcia i zamarł. Intuicja znów go nie zawiodła. Skąd podejrzenia zdrady?

Kiedy pojechał zobaczyć się z dziećmi, nie poznał jej. Schudła, zaczęła dbać o strój. Nadal nie przypominała tej atrakcyjnej blondynki, z którą się żenił. Ale wyglądała o niebo lepiej. Wychodził z domu teściów około 23. I wtedy zadzwoniła komórka Anki. Zauważył, że żona się zaczerwieniła i szybko rozłączyła rozmowę. Była jednak poruszona, uciekała wzrokiem. Jeszcze tego samego wieczoru pogadał o tym z Jankiem.

– Ma kogoś.

– Co ty!

– Mówię ci.

– Weź Popka, on da ci dowody.

– To żenujące.

– Tak? A wolisz do końca życia nie oglądać dzieci i płacić jej długi?

– Dawaj numer.

I złożył wniosek, by rozwód orzeczono z jej winy, a dzieci zostały z nim. Sąd przychylił się do jego prośby, dzieciaki miały jednak mieszkać z matką. Cóż, nie zawsze się wygrywa...

Postał jeszcze chwilę na schodach sądu. Oparł się o ścianę i uśmiechał do siebie. Śnieg błyskawicznie topniał, na chodnikach prawie nie było po nim śladu. Z sądu wyszło dwóch prawników, z togami zarzuconymi na przedramionach. Adwokat i prokurator. Na sali przeciwnicy, w życiu – przyjaciele. Śmiali się i żywo dyskutowali. Meyer słyszał tylko strzępki ich rozmowy. Myślał o swoim rozwodzie. O wolności. Kiedy prawnicy się do niego zbliżyli, spostrzegł, że mają w rękach identyczne brązowe teczki.

– Dlaczego nie spytasz o białego Murzyna? – zapytał mecenas oskarżyciela. Meyer zamarł.

– Cóż, czasem dwoje czarnych rodziców płodzi dziecko o białej skórze – odpowiedział mu prokurator. – Ale okropnie rzadko się to zdarza. Zwłaszcza w Polsce, więc cieszymy się, że ta sprawa trafiła do nas... – wybuchnęli śmiechem.

Komisarz stał jak sparaliżowany. Wodził za prawnikami wzrokiem. Kiedy trochę ochłonął, po drugiej stronie ulicy zobaczył kobietę. Rudą,

w czerwonym berecie i płaszczu w kwiaty. Stanowczo za lekkim na tę pogodę. Poruszała się tanecznym krokiem, jakby unosząc się nad ziemią. Jej sylwetka była widoczna z daleka – zwracała uwagę swoim ekscentrycznym strojem. Przyciągała spojrzenia wszystkich przechodniów. Meyer zrozumiał. Ostatni element układanki.

– Kinga! – krzyknął. I nie patrząc na jadące auta przeciął jezdnię. Lawirując pomiędzy samochodami krzyczał jej imię. Rozległo się trąbienie, słyszał za plecami wrzaski kierowców. A Ruda już chowała się za róg. Biegł coraz szybciej. Poły jego płaszcz fruwały w powietrzu. Myślał tylko o tym, że nie może pozwolić jej zniknąć. Choćby to nie była ona. Może to znów omamy? Ale nie zatrzymał się. Zbiegł jej drogę.

Twarz kobiety była poorana zmarszczkami, pełniejsza niż dawniej. We włosach dostrzegł niteczki siwizny. Ale to była ona – Kinga. Milion piegów, białych po zimie, znów zachwyciło go jak dawniej.

Uśmiechnęła się szeroko. – Uprawiasz jogging? W garniturze? – powiedziała niskim głosem. I ruszyła dalej, przed siebie.

– To ty? – wyrzucił wciąż ciężko dysząc.

– Kto?

– Ty? – powtórzył bezsensownie. – Co tu robisz? Kinga, poczekaj!

Stanęła. – Czekam – powiedziała poważnie, ale w jej oczach błyskały szelmowsko ogniki.

– Mekaba – rzucił jak wyzwanie.

– Uniwersum – odrzekła. Oboje wybuchnęli śmiechem i jedno przez drugie krzyknęło na cały głos:

– Gwiazdotron.

To było ich hasło. Absurdalne trzy słowa, które wymawiali, gdy kończyli kłótnię i chcieli się pogodzić. Ludzie na ulicy przyglądali się im z ciekawością, ale oni nikogo nie widzieli oprócz siebie. Hubert miał wrażenie, że kolory kwiatów na płaszczu Kingi skrzą się, a czerwony beret płonie. Dalej szli oddzielnie, spoglądając co jakiś czas na siebie.

– Wyjdziesz za mnie? – spytał nagle Meyer.

Kinga pokręciła głową. – Chyba żartujesz!

– Jesteś mężatką?

– Nie – zaśmiała się chochlikowato.

– Jesteś z kimś?

– Tak.

– Tak... – zasmucił się.

– A co? Myślałeś, że będę na ciebie czekać do siedemdziesiątki? – zachnęła się i dodała. – Jak tam twoje małżeństwo?

Wzruszył ramionami. – Nie istnieje, właśnie się roz... – ugryzł się w język. – Słuchaj, zostaw go. Wyjedźmy.

Patrzyła na niego z politowaniem. Kiedy po chwili milczenia spytała: – Kogo mam zostawić?, jak na złość zadzwoniła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz: Stary. Nacisnął zielony przycisk „odbierz”.

– Słucham – powiedział i stanął tyłem do Kingi.

– Postępowanie dyscyplinarne przeciwko panu zostało umorzono. Pana kolega z tej wsi też został oczyszczony z zarzutów.

– Dziękuję, panie komendancie. Ale dlaczego pan osobiście mnie o tym informuje?

– Mam dobrą nowinę. Coś, na co pan czekał. Chcę to powiedzieć osobiście. Być może zaczniesz pan szkolenia dla profilerów. Proszę zajrzeć do mnie z rana.

– Będę – odpowiedział rozkojarzony Meyer. Chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Podziękował i rozłączył się. Kiedy się odwrócił, Kingi już nie było. Rozejrzał się, podbiegł kilka metrów do przodu. Szukał kwiecistego płaszcza wśród tłumu, który nagle wylał się z biur. Miał wrażenie, że zapada się pod ziemię. Chciał krzyknąć ze złości. Miotał się w kółko na chodniku. Ale to nie pomagało. Nie było jej. Zagaił kwiaciarzkę, ale pokręciła głową. Nie, nie widziała nikogo w kolorowym płaszczu. Nie mógł się z tym pogodzić. Jak tak można! Znalazł ją i utracił. Jednocześnie spełniają się jego marzenia – bycie ekspertem profilowania i spotkanie Kingi, a po chwili los odbiera mu dopiero co подарowane ciastko. Jakby musiał wybierać. Dwa ciastka to zbyt dużo szczęścia. Wybrał pracę, a ona zniknęła bezpowrotnie. Gdzie jej szukać? Gdyby umiał płakać, pewnie lzy płynęłyby mu po policzkach. W końcu zrezygnowany ruszył z powrotem do samochodu.

Nagle usłyszał znajomy śmiech. Odwrócił się. Kinga zgięta w pół pokładała się ze śmiechu.

Podbiegł do niej i zerwał czerwony beret z głowy. – Uduśzę cię, ję-dzo! – pognął do parku, naprzeciwko sądu. Kinga usiłowała go dogonić.

Wiatr zabawiał się jej rudymi włosami, które falowały niczym czerwona aureola. Biegł pomiędzy drzewami, aż w końcu pozwolił jej na złapanie się za płaszcz. Gwałtownie przyciągnął do siebie i pocałował. Czuł się, jakby w ogóle się nie rozstawali. Jakby te wszystkie lata tkwił w lodowej trumnie uczuć. A teraz nagle wszystkie emocje ożyły.

– I tak za ciebie nie wyjdę – powiedziała nagle Kinga i otarła usta. Zawsze tak robiła, nie rozumiał dlaczego. Jakby się go brzydziła. Okropnie denerwowała go tym gestem.

– Dobrze, więc będziemy kochankami.

– Co to, to nie! – zaprotestowała.

– Więc co? Nie chcesz być ze mną?

– Chodźmy na wódkę.

– Chodźmy.

– Co ty w ogóle teraz robisz?

– Ja?

– A kto?

– Takie tam badania. Techniki szybkiego uczenia się, efektywnego przyswajania informacji. Przedwczoraj dostałam grant... Nie narzekam. A ty?

– Co ja?

– Przestań się droczyć. Zaraz ci wszystko opowiem.

Zniknęli za zakrętem. Kwiaciarka wpatrywała się chwilę w parę po czterdziestce zachowującą się jak nastolatki. Nie zwróciła nawet uwagi, że do jej straganu podszedł młody człowiek z meszkiem pod nosem zamiast wąsów. Musiał powtórzyć, że chce największą różę, tę czerwoną. – Dla panienki? – zapytała z wszystkowiedzącym uśmiechem.

– Nie, dla wykładowcy – burknął.

Kinga siedziała na starym tapczanie pożyczonym od Janka. Była naga. Jedną ręką przytrzymała białe prześcieradło osłaniające jej piersi, drugą włączała zapalniczkę i zapalała papierosa. Zmarszczyła czoło, gdy Meyer skończył opowieść o sprawie Niny Frank.

– Jaka smutna historia – powiedziała i nadstawiła szklanekę, by dołąć jej wina. Hubert wstał, założył bokserki, podszedł do reklamówki leżącej na progu i otworzył nową butelkę. W tym czasie Kinga zadawała pytanie za pytaniem.

– A Jakub? Co z tym politykiem? Rozmawiałeś z nim?

– Tak. Był porażony tym wszystkim. Tyle mógł dla niej zrobić. Nie więcej. Powiedział, że rzeczywiście ją szantażowali. Dotarli też do niego. Pokazali mu kasety, widział protokół, który podpisała in blanco. Napisali w nim, co chcieli. Czerny wycofał się z polityki. Złożył już dymisję, jeszcze nie została przyjęta. Tylko dlatego, że nie mają nikogo na jego miejsce. Ale znalezienie zastępcy to tylko kwestia czasu. Czerny zapewnia, że nie chce już się w tym babrać. To podły teatr ta polityka. Kupił dom na wyspie Phuket i powoli się przeprowadza. Być może już niedługo zapadną odpowiednie decyzje w jego sztabie. Media rzucają się na to – wybuchnie afery, powołają kolejną komisję śledczą.

– Eugeniusz Kula dostał medal? To piękna puenta.

– Został bohaterem, choć męczy się bardzo. Opowiadał, że podczas akademii na jego cześć najbardziej szkoda mu było dzieci. Musiały nauczyć się wierszyków i recytować je na ocenę. „Czułem się jak święty Mikołaj, który nie istnieje” – powiedział.

– Zabawny facet. Pojedziemy kiedyś do niego?

– Kiedy tylko będziesz chciała – pocałował ją w czoło, a ona znów wytarła je ręką.

– Nie rób tak, proszę.

– Nie mogę. Każdy ma jakieś dziwactwa. A co z tym przyglupem, Trąbą?

– Alojzy Trembowiecki – podkreślił dumnie Hubert Meyer, stanął na baczność i zrobił minę służbisty. Prześmiesznie wyglądał w takiej pozycji niemal na golasa.

Kiedy Kinga dławiała się ze śmiechu, upił łyk wina i bryzgnął na nią. Ukryła się pod prześcieradłem. Meyer nie mógł uwierzyć, że ona tu jest. Przyjechała tylko na jeden dzień, do rodziców, właśnie po to, by znów spotkać jego. Tęgo był pewien. Chciał w to wierzyć!

– Alojzy. Pewnie koledzy nie dawali mu w szkole żyć. Jak można tak skrzywdzić dziecko. Dać mu na imię Alojzy... – odezwało się prześcieradło. A po chwili wyjrzał spod niego rozczochrany rudzielec.

– Został magazynierem w komendzie – ciągnął Hubert. – Liczy prześcieradła, koce, kombinezony policyjne. Wydaje broń i amunicję. Prawie nie ma kontaktu z ludźmi. I wiesz, chyba jest szczęśliwy. Przed-

mioty nie mówią, nie mają humorów, nie łamią przepisów... Wszędzie jest porządek.

– Ale on na was doniósł! Powinien ponieść karę!

– Nie bądź faszystką! Przecież dlatego spędza służbę w piwnicze. Kto mieczem wojuje... Jego ojciec był cenionym gliną, pracował w kryminalnym, zginął na służbie. Matka Trąby uparła się, że syn też będzie bohaterem. Tylko że on wcale tego nie chciał. A donosicielstwo ma we krwi. Już w szkole kablował na kolegów.

– A mąż Niki i jego narzeczona.

– A tak, to ciekawe. Pamiętasz, Ewa opowiadała mi, jak Król ją podusza podczas stosunków... To było kłamstwo. Pobrali się dwa tygodnie temu. I podobno już na ślubie Ewa zaczęła wykazywać cechy niezłej hetery. Nie ma chłopak szczęścia do kobiet. Teraz ona kręci nim jak pacynką w teatrze lalek. Trzyma go pod pantoflem.

– Taka karma – Kinga zaciągnęła się papierosem. – Widać wybiera sobie określony typ kobiet. Kręcą go silne, dominujące, a potem dziwi się, że go tłamszą. Jak mogłeś myśleć, że on zabił Ninę Frank. Przecież od razu było wiadomo, że to jego pies. Nie zrobiłby tego.

– Taka jesteś mądra post factum. Teraz to i ja wszystko dokładnie widzę. Jeszcze Mariola...

– Twoja kochanka – Kinga rzuciła w Huberta butem. Uchylił się, but wpadł pod kaloryfer.

– Była kochanka – poprawił ją i ucieszył się, że Kinga jest zazdrosna. – Ona już kompletnie oszalała. Umawia się na randki z facetami poznanymi przez Internet. Szuka księcia z bajki. Podobno pierwsze, o co pyta, to, czy mają żony. Rozpaczliwie chce wyjść za mąż.

– Nie bądź okrutny. A Internet to nie jest znów taki zły pomysł. Z pewnością lepszy niż związek z szefem, na dodatek zonatym.

– A co? – zainteresował się Meyer. – Ty też...

Kinga pochyliła głowę. – No raz, może dwa... Ale to była kompletna awaria.

– Synku, musimy kupić z dziesięć kilo kukurydzy, zdrowa jest. Na żołądek dobrze działa – powiedziała Lidia Daniluk, kiedy zatrzymali się w lesie, by zaczerpnęła powietrza. Jechali do miasta, na zakupy.

– Ale po co! – kwękał Borys.

– Trzeba posadzić.

– Kto to będzie jadt!

– Ja – odpowiedziała wdowa.

– A wtedy i ja będę musiał! Co za terror... Żebyś mi tylko tego świństwa psom nie dawała!

– Nie martw się – dodała kojąco. – I drzewa trzeba przyciąć. Wiosna...

Borys wznosił oczy do góry. Powoli kapitulował. – Po co? A w ogóle to skąd ty wiesz, co trzeba robić w ogrodzie. Przecież całe życie mieszkałaś w mieście!

– Oglądam „Rolniczy kwadrans” – odpowiedziała z dumą matka i czule spojrziała na syna. Śmiał się z jej doświadczeń początkującego rolnika. – Dobra, sama podetniesz. Ja nie będę wlaził na te cholerne drzewa.

Lidia wiedziała, że syn podetnie drzewa i posadzi kukurydzę. Zrobi nawet więcej, niż trzeba. Ale musi sobie pogadać, ponarzekać. Wpatrywała się w niego z miłością: pobyt w areszcie bardzo go zmienił. Schudł, spoważniał i jakby trochę zmiękł. Taki o wiele bardziej się jej podobał. Miała wrażenie, że jego twarz z chłopięcej zamieniła się w męską.

– Te małe gałązki trzeba odciąć, by ulżyć drzewu. Odnowi się i będzie zdrowsze – mówiła, a Borys fukał i udawał, że nie słyszy. Kręcił galką radia.

– A co to za dziewczyna, u której byłeś wtedy? – matka zaatakowała go zniecierpliwionym pytaniem poniżej pasa.

Borys zarumienił się. – Kiedy?

– No wiesz, synku...

– Nikt...

– Bo jakbyś chciał do niej pojechać, to ja mogę przypilnować psów. Parę dni urlopu dobrze by ci zrobiło...

– Mamo, ja nie mam żadnej dziewczyny. Mówiłem ci.

– Mówiłeś. A jak ma na imię?

– Mama...

– No powiedz, przecież...

– Monika.

– Ładna?

– No... Zgrabna. Bardzo ładna. I mądra.

- To dobrze. A czym się zajmuje?
- Nie wiem.
- Jak to? Musisz wiedzieć!
- Ty zawsze wszystko wiesz lepiej! Jakbym wiedział, to bym ci powiedział, nie?
- Ech, ta dzisiejsza młodzież...
- Nie mówmy o tym. To już skończone.
- Dlaczego? Ale widzę, że... Synku, ty się zakochałeś!
- Ha, ha, ha – zagrzmiał Borys, ale rumieniec znów wypłynął mu na twarz. – Przestań, nie wierzę w takie rzeczy. Ty nie rozumiesz. Ona o mnie nic nie wie, ja o niej. Nie rozumiem, dlaczego chce się ze mną spotykać. Toleruje moje zachowanie, podobają się jej moje maniery, nawet cera – dotknął policzka obsianego krostami. – Ona nie jest normalna...
- Ty też nie jesteś – odparowała matka. – Może cię lubi. Wtedy człowiek wiele rzeczy toleruje...
- Ojej, mama, to przecież tylko seks.
- Seks, seks. A myślisz o niej?
- Borys milczał. – Głodny jestem – stwierdził po chwili.
- Pojedź do niej, rozmów się. Ja popilnuję Tokar – nie ustępowała Lidia.
- Ale co ty gadasz! Jak mam się z nią spotykać, skoro ja jestem tu, a ona w Warszawie...
- Wiesz, ostatnio pomyślałam, żeby się przeprowadzić? Wyjechać gdzieś w obce miejsce. Do miasta...
- Co! Już nie chcesz ogródka i rodzinnej atmosfery? Spokoju, ciszy, świeżego powietrza? A kto się upierał! – narzekał Borys, ale było widać, że się cieszy. Jasnozielone oczy śmiały się na samą myśl o przeprowadzce.
- Skoro twoja dziewczyna jest w Warszawie, jedź tam. Wiesz, jakie to trudne, by dwie osoby spotkały się i dopasowały do siebie. To właśnie jest miłość.
- Aha, idiotyzm.
- Chwytaj życie garściami, synu. Bo kiedy będziesz odkładał wszystko na później, okaże się, że wszystko, co miałeś przeżyć, już było.
- Tratatata! Chyba nie zdążymy na twój serial – Borys wskazał zegarek.
- „Amanda” się zaraz zacznie.

– Nieważne – uśmiechnęła się Lidia. – Ale drzewa i tak trzeba podciąć.

– Ojej, podetniemy. Czy ty zawsze musisz postawić na swoim?

– Zasada numer jeden: mama ma zawsze rację – roześmiała się Lidia. A Borys dodał stękając ciężko: – Zasada numer dwa: Jeśli masz wątpliwości, patrz punkt pierwszy. Ja już z tobą nie mogę. Dlaczego nie dasz człowiekowi dojść do słowa.

– Synku, nie pędź tak, bo mi niedobrze... – jęknęła Lidia i na twarzy Borysa zamiast złości znów była troska.

– Aviomarin. Nie wzięłaś!

Lidia już zakrywała usta chusteczką.

– Zatrzymaj się – jęknęła.

Kiedy wysiadała, z kieszeni wypadła zielona kartka zadrukowana na czarno. – Co to? – spytał Borys.

– Nie wiem... – Lidia spacerowała po poboczu. – Listonosz przyniósł...

– Jakaś paczka? Znów zamówiłaś coś w TV shopie! – krzyknął Borys.

– Nie syneczku, nic nie zamawiałam.

– Co ty myślisz, że potrzebna nam kolejna kralajnica albo mikser?

– Ale ja nie zamawiałam...

– To dawno przynieśli, może już nie być tej przesyłki. Jak się czujesz?

– Lepiej, to jedźmy na pocztę.

Kobieta w pocztowym okienku kręciła głową. Rytmicznie uderzała pieczętką w kolejne koperty. – Nie, już za późno. Odesłaliśmy ją do adresata cztery dni temu.

– Jak to? – zdenerwował się Borys. – Przecież można nam było przypomnieć, pani Jóźwiakowa! Mieszkamy dwa domy od pani!

– A co ta ja? Listonosz? Niech pan tak nie krzyczy, bo wezwę ochronę!

– Ja tutaj jestem ochrona! Gdzie jest paczka?

Wzruszenie ramion, grymas niezadowolenia. – Może już w Koluśkach... Ale to nie jest takie pewne. Będzie krążyć po kraju, zanim trafi do Centralnego Biura Nieodebranych Przesyłek. A potem będzie leżała

kilka tygodni, zanim ją rozparcelują. Dopiero za pół roku otworzą i jeśli wewnątrz będzie coś, co pozwoli na identyfikację nadawcy, zwrócą ją.

– Przecież nadawca nie żyje! – krzyknął Borys.

– Mówiłam: Spokojniej! Możecie złożyć reklamację...

– Co?

– Czas rozpatrywania – 45 dni.

– A może to coś ważnego. Musi być sposób...

– W tym momencie musowo postępować według procedur – śledzi-kowała urzędniczka.

Borys niechętnie chwycił druk reklamacyjny. – Dlaczego nie podała adresu?

Lidia całkiem błada stała przy okienku. – Bo wiedziała, że umrze. Chciała popełnić samobójstwo. Nie przypuszczała, że los sprawi jej okrutnego figla... Nie wiem, synku. A może...

– No?

– Może ja mam tej paczki nie otwierać?

– To co? Nie składamy reklamacji?

– Czy pani jest pewna, że w miejscu nadawcy jest Nina Frank?

Urzędniczka spojrzała na rejestr przesyłek. – Tak. Nina Frank.

Nadane 20 lutego... Bez adresu nadawcy.

– Co? – spytali jednocześnie syn i matka.

– Przecież ona już tego dnia nie żyła... Tego dnia znaleziono ją martwą.

Nie mogła tego nadać.

Wacław Dziki, szef Centralnego Biura Nieodebranych Przesyłek w Kolszkach z dumą przechadzał się pomiędzy stołami, przy których kobiety w różnym wieku segregowały listy. Wyglądał jak kogut kontrolujący swoje stadko kokoszek. Obok każdego stołu pracownicy spoczywało smętnie po kilka worków korespondencji, która nigdy nie dotarła do adresatów.

– Ludzie, wie pani, są tak roztargnieni... Nie piszą adresów, nie kupują znaczków. Albo wysyłają całkiem czyste koperty. To wszystko trafia do nas. Miesięcznie 700 tysięcy przesyłek – tłumaczył dziennikarce, która szła za nim krok w krok.

– A tutaj? O, proszę. Mamy prześwietlarki. Sprawdzamy, czy wewnątrz jest jedzenie – wtedy od razu rozpakowujemy. Jeśli nie, paczka czeka.

Cztery razy mieliśmy podejrzenie, że w paczce jest bomba. Co tam dziś na warsztacie, pani Jadziu?

– A nic, kierowniku. Trochę zbyt ciężkich paczek do Zakładów Karnych, trochę anonimów. Nieodebranych... Jedna ciekawa: od tej aktorki, którą zamordowano – Niny Frank.

– Tak? – zainteresowała się dziennikarka. Podbiegła do ekranu monitora.

– Gdzie ja ją mam? – szukała urzędniczka. – Zosia! Nie masz tej paczki. Taka szara, przewiązana sznurkiem. Z nazwiskiem aktorki?

W pomieszczeniu powstał ruch. Wszystkie kobiety przetrząsały plastikowe kosze. – Ta? – pokazywały co jakiś czas do góry. Jadzia kręciła głową. – Nie. Mniejsza, lekka.

– Nie wiem, panie kierowniku. Nie ma jej. Znikła...

– Co tam było? – zapytała dziennikarka.

Urzędniczka wzruszyła ramionami. – Nie zdążyłam jej prześwietlić. Czekalam na was, pan kierownik mi kazał.

A to była bujda

„Nigdy nie oglądaj «Szczęk» przed wyjazdem nad morze”

Full – rzucił od niechcienia Eugeniusz Kula, parkując przed dystrybutorem swojego poloneza. Podpatrzył to na jakimś amerykańskim filmie akcji.

Dziewczyna w kombinezonie o trzy numery za dużym tankowała mu samochód i patrzyła bezmyślnie na migające cyferki wyświetlacza. Co chwila zawijała zbyt długi rękaw, który zaczynał się o metalową rączkę. I chcąc nie chcąc słuchała monologu piekarza.

– Znów paliwo zdrożało. Wszystko przez to, że podpisali tę cholerną umowę z Ruskimi. A mogliśmy mieć tańszą ropę od Arabów – ciągnął gromkim basem wąsaty grubas. Ale ponieważ pracownica stacji benzynowej nie była zbyt rozmowna, Kula mówił do siebie i wcale nie przeszkadzało mu jej milczenie. Najbardziej lubił słuchać siebie i by jego słuchano. Terroryzował swojego pasierba Alojzego Trembowieckiego, aż biedny nabawił się nerwicy i wciąż był na lekach psychotropowych. Fakt, może nie był zbyt lotny, ale kiedy ma się tak apodyktycznego ojczyma, trudno uwierzyć w siebie. – Ty fujaro, idioto, palancie, niedojdo – zwracał się do niego Kula. Zwłaszcza jak sobie wypił, krzyczał wulgaryzmy na całe gardło. Jego żona Gala bała się nawet odezwać, żeby jej też nie zaczął wyzywać od różnych. Jedynym jego przyjacielem był Egon Kończak, cwaniak i oszust, który zbil fortunę na instalacjach kablówki w okolicy i budowie stacji benzynowej, w której pracowała dziewczyna. Wzbogacił się oczywiście nieuczciwie: rozdając lapówki wójtowi i radnym. Między innymi Kuli. We dwóch trzęśli okolicą.

Nawet lokalny oddział Urzędu Skarbowego zdołali skorumpować. I o ile Kula bywał nawet sympatyczny, a z Egonem zadawał się dla podniesienia lokalnego prestiżu, to Kończak był prawdziwą wszą w ludzkiej skórze, łasą jedynie na pieniądze. Był nietykalny, obleśny, za to miał się za przystojniaka. Jego żona była od niego wyższa o głowę i pomiatała nim jak starą ścierką. Kończak kupował więc miłość innych kobiet. A jeśli jakaś się z nim zadawała, to tylko dla pieniędzy. I gdy tylko go wydoiła, szybko znikala z innym. On groził, wydzwaniał, szukał przez detektywów.

– Teraz i pieczywo musi zdrożeć. Taka kolej rzeczy. A ludzie larum podniosą. Znow na krechę Lendziony będą brały w sklepie. A ty co? Ile masz lat, pewnie ze trzydzieści. Ostatni dzwonek, by wyjść za mąż! Staropanieństwo puka do drzwi. Masz jakiegoś narzeczonego?

Pokręciła głową. Kosmyk włosów wymknął się spod czapki i opadł na jej zaczerwienioną od mrozu twarz. Odetchnęła z ulgą, kiedy dystrybutor zaczął strzykać na znak, że zbiornik jest już pełen. Bez słowa weszła do budynku z dykty, dumnie nazywanego stacją benzynową. Okulary zaszkliły mgłą i Agnieszka Nalewajko zdjęła je, by przetrzeć chusteczką zaparowane szkła. Nie widziała prawie nic. We mgle przed oczami stała postać i nie przestawała gadać.

– Męża sobie musisz znaleźć. Takiego, co cię będzie utrzymywał. Długo tak na dwóch etatach nie pociągniesz, dziewczyno – pouczał ją. Założyła druciane okulary i pociągnęła nosem. Od tego chodzenia w tę i z powrotem z zimnego w ciepłe wciąż się przeziębiała. Stała za ladą i nabiła na kasę 127 złotych. Eugeniusz Kula wyciągnął wymiętoszony portfel i położył na blacie nowiutkie banknoty. Agnieszka sprawdziła, czy to nie fałszywki – włożyła je do maszynki. Kiedy zaświeciły się na niebiesko, wydała resztę.

– Nie trzeba – Kula przesunął ku niej monety i aż pokraśniał z zadowolonia. Czuł się w tym momencie bardzo hojnym mecenasem. To nic, że dał dziewczynie zaledwie trzy złote napiwku.

– Ja nie mogę przyjmować – wskazała na naklejkę: „Nie biorę, nie daję ŁAPÓWEK”.

Eugeniusz Kula jakby tego nie zauważył. – U mnie w piekarni jest jeden kandydat. Dla ciebie idealny. Gbur, to fakt, ale pocziwina. Borys Daniluk, prawdziwy talent cukierniczy. Jak zrobi tort, to cały mogę zjeść, taki soczysty. Umówię was, chcesz?

Agnieszka pokręciła głową. – Nie trzeba. Mam już chłopaka... – skłamała.

– Tak, a kogo? – zainteresował się piekarz. – Chyba nie tego chłystka Mariusza Króla. Ładną ma buzię, ale to opój i latawiec. I zrobił już jednej z sąsiedztwa dzieciaka, alimenty ma na głowie. A widziałem, jak tu do ciebie przyjeżdżał na motocyklu... – grubas kiwał palcem i rubaszenie się zaśmiewał.

– Panie Gieniu, niech pan w końcu przestanie. Lepiej książki oddałby pan do biblioteki... – zbesztala go Agnieszka.

– Co ja zrobię, jak tylko po południu otwierasz jedyną na tym zadupiu skarbnicę wiedzy. Ja wtedy czasu nie mam. Zaczyny na chleb robię.

– Raz na miesiąc może pan wygospodarować te pół godziny. Ludzie chcą czytać, a pan wciąż przetrzymuje najciekawsze pozycje. Bo więcej panu nie wypożyczę ani jednego kryminału... – uśmiechnęła się i przez moment wyglądała nawet miło, choć nos nadal był czerwony jak burak. A okulary w staroświeckich oprawkach, ze szklami jak denka od butelek dodatkowo ją oszpecały. Jeszcze ten obrzydliwy kombinezon... Włosy pod czapką firmową przetruszczały się po jednym dniu, więc teraz, gdy zrobiło się na chwilę cieplej, zdjęła ją i oczom Kuli ukazał się kask ze ściśle przylegających do głowy kosmyków. Brzydula okropna, ale dobra i miła – pomyślał Kula.

– To dzisiaj przywożę. Przecież wiesz, jak lubię te detektywistyczne powieści. A czemu nie chcesz się spotykać z Jakubem Czernym? – zmienił nagle temat.

– Panie Eugeniuszu! On ma tyle lat, co pan! – Agnieszka prawie krzyknęła, lekko już rozszłoszczona.

– No i co? Ale ustawiony, po przejściach. Zaopiekuje się tobą i wymagań nie ma estetycznych. Szuka dobrej kobiety po biurach matrymonialnych. Jakbyś mu dziecko urodziła, miałabyś jak u pana Boga za piecem.

– Dziękuję, ale chyba nie skorzystam z tak intratnej propozycji...

– Błąd! Będziesz żałować. I inna będzie szczęśliwa. A nowości jakież są? Przeczytałbym o jakimś przerażającym zabójcy. Brutalnym i nieuchwytnym.

– Zapraszam po siedemnastej, coś się znajdzie. Faktura?

Piekarz skinął głową, poczekał, aż dziewczyna wydrukuje kwit.

– Oj te baby, nic o życiu nie wiedzą – westchnął i wrócił do samochodu.

Agnieszka usiadła na krzeselku i zamyśliła się. Chwyciła zeszyt, który trzymała w szufladzie, ołówek i zaczęła w nim notować.

– Znów coś bazgrolišz! – przerwał jej przystojny, ubrany na czarno mężczyzna. – Co ty tak ciągle piszesz? Powieść?

Zerwała się, by wyjść i napełnić bak jego samochodu, ale Hubert Meyer machnął ręką. – Nie trzeba. Jesteś kobietą, odpocznij sobie. Chciałem tylko czerwone marlboro i zapalniczkę.

Kiedy podawała mu papierosy, aż drżały jej ręce. Nie śmiała spojrzeć strażakowi w twarz. Przyjechał tu ze Śląska. Był ostatnio nawet na okładce w „Głosie Siemiatycz”. Bohatersko wyniósł z pożaru dziecko. Aga od kilku lat się w nim podkochiwała, choć miał żonę i trójkę dzieci. Wiedziała, że to uczucie beznadziejne. Zresztą i tak nie zwracał na nią uwagi... Ale marzyć o nim nikt jej przecież nie zabroni. Śniła czasem, że spotykają się przypadkowo i Hubert Meyer wyznaje jej miłość.

Przez najbliższą godzinę nie było nikogo. Agnieszka siedziała w ciszy i wpatrywała się w okno. Widziała mgły snujące się po polach, zastanawiała się, czy Jurka Ponczek przyjedzie dziś na czas; wciąż się spóźniał na nocną zmianę i Agnieszce autobus uciekał. Musiała czekać na następny dwie godziny i rozmawiać z nim o jego podbojach miłosnych. Nie rozumiała, co normalne dziewczyny widzą w takim prymitywie. – I po co ci były te studia prawnicze? Żeby teraz na stacji sprzedawać? – szydził z niej, a ona kulila się w sobie. Przecież nie dlatego tu siedzi, bo chce, ale dlatego, że musi. Mama jest kierowniczką Domu Kultury i szefową chóru cerkiewnego. Nie może zostawić jej samej, zwłaszcza po śmierci taty. Nie poradzi sobie.

Ale kiedy Agnieszka szła do biblioteki i zdejmowała ten okropny strój sprzedawcy benzyny, czuła się nareszcie na miejscu, u siebie. A na widok Lidii, robiącej na drutach kolejny sweter, rozpromieniła się.

– Mama, zaraz twój serial. A ty jeszcze nie w sali telewizyjnej?

– Już idę, córeczko. Czekałam na ciebie. Słuchaj, te rękawy chcesz szersze, czy węższe?

– Bardziej obcisłe.

– Co za moda, tak blisko ciała! A wiesz, że twój kolega z podstawówki będzie grał w Jagiellonii? Zauważyli go, jak strzelał gola na naszym gminnym boisku.

– E, tam – dziewczyna nie chciała nawet o nim słuchać. W szkole dręczył ją i chował jej okulary. Nigdy nie zapomni, jak ją upokorzył i obciął jej włosy na lekcji chemii. Nauczycielka nie zareagowała, a kiedy Aga uderzyła go książką, to ją, a nie jego, wyprosiła z klasy. Przez pół roku miała wrażenie, że wszyscy się z niej śmieją. Jak była zaskoczona, gdy spotkali się, gdy już studiowała i wyznał jej, że tak naprawdę strasznie mu się podobała. Diaboliczne błękitne oczy mu błyszcząły. Pokrętnie tłumaczył, że w ten sposób starał się zwrócić jej uwagę.

Kiedy matka wyszła, Agnieszka przygotowała piekarzowi książki do wypożyczenia. Uporządkowała karty biblioteczne i usiadła za biurkiem. Wyciągnęła kilka wymiętych zeszytów zapisanych drobnym maczkiem i zaczęła ich zawartość spisywać do komputera.

„Nie pamiętam, jak znalazłam się w swoim łóżku. Ból głowy wgniatał mnie z powrotem w ciemność poduszki. Założyłam materiałowe okulary, które wzięłam z samolotu i próbowałam uciec w nieświadomość. Kiedy tak dryfowałam w przestrzeni własnej pustki i starałam się odnaleźć wyjście z tunelu, do którego trafiałam niechcący, a właściwie tak bardzo świadomie, bo przecież od dziecka pragnęłam się w nim znaleźć, poczułam na swojej piersi czyjś język...”

Zmoknięta Rusatka

„Głupim pytaniem jest tylko to, które chciałeś zadać, a nie zadałeś”

Krople wody płynęły po szybie drzwi wejściowych na stację benzynową. Agnieszce nie chciało się ruszać z za lady, a co dopiero wychodzić na zewnątrz. Trzęsa się z zimna, choć na zewnątrz było ponad 19 stopni. Stąd o wiele przyjemniej było patrzeć na zielone drzewa, młodziutką trawę. Obserwować żółte kwiaty mleczy. Tylko te wiosenne deszcze pojawiały się nie wiadomo skąd i znikwały tak samo nagle. Po nich wychodziło słońce i napawało ją optymizmem. Agnieszka Nalewajko tępo wpatrywała się w okno, obserwowała szosę, po której z rzadka śmigały auta. Żadne jednak nie wjeżdżały pod dystrybutor. Upiła łyk zimnej już herbaty, zamknęła kaskę na kluczyk i obeszła dookoła budynek. Schowała się w drzwiach z narysowanym odręcznie złotym kółeczkiem. Spojrzała w lustro i poprawiła znieawidzoną czapkę, włożyła dłonie pod zimną wodę. Zdjęła okulary i potarła oczy.

Kiedy wychodziła, jej uwagę zwróciła niebieska walizka, samotnie stojąca na chodniku przy szosie. Strugi deszczu oblewały błękitny plastik. Nie było żywego ducha. Agnieszka rozejrzała się czujnie. Czy była tutaj sama? Wtedy z męskiej toalety wyszła dziewczyna. Długie włosy były całkiem mokre, ubranie przykleiło się do jej ciała. Agnieszka widziała sterczące piersi, które nie były skrępowane biustonoszem. Wpatrywała się w postać, jakby zobaczyła ducha. Tajemnicza dziewczyna, która pojawiła się tutaj nie wiadomo skąd, potrząsała rękoma, by je wysuszyć. Ponieważ Agnieszka nadal się nie odzywała, bezimienna dziewczyna uśmiechnęła

się smutno i bez słowa ruszyła w kierunku bagażu. Agnieszka miała wrażenie, że skądś ją zna. Nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy się spotkały.

Zmoknięta dziewczyna potarła oczy, odrzuciła włosy do tyłu, chwyciła walizkę i pewnym krokiem ruszyła wzdłuż jezdni. Wtedy zrozumiała. – Nie! – krzyknęła Aga i ciarki przeszły jej po plecach, bo wiedziała, że jej głos i tak nie zmieni biegu wydarzeń. I choć w to trudno uwierzyć, miała pewność, co stanie się za chwilę. Przemoczona dziewczyna, jakby przed chwilą wybiegła spod prysznic, spojrzała na nią pytająco. Zmarszczyła brwi, wzruszyła ramionami.

– Nie idź! Zostań – krzyknęła ponownie pracownica stacji benzynowej. Ale jej głos nie dotarł już do uszu dziewczyny z walizką. Nie mogła usłyszeć przestrogi, bo tuż przed nią zatrzymywał się czerwony sportowy wóz. Jego silnik warczał niczym ostrzegający przed niebezpieczeństwem drapieżnik. Droga hamowania była długa, więc auto stanęło kilka metrów dalej od dziewczyny z walizką, ochlapując ją przy tym doszczętnie wodą z kałuży. Dziewczyna otarła ręką błoto i wodę z twarzy i pewnym krokiem, kołysząc biodrami, ruszyła w kierunku czerwonej torpedy. Chwyciła klamkę. Drzwi otworzyły się. Agnieszka patrzyła na tę scenę jak zahipnotyzowana. Widziała, jak mężczyzna za kierownicą pochyla się, wyciąga rękę i coś mówi do autostopowiczki. Agnieszka była pewna, że słyszy chrapliwy głos, choć to przecież było niemożliwe.

– Ale zmokłaś, rusałko!

Była przekonana, że jego świetliście błękitne oczy świdrowały zmokniętą postać na wylot. Po chwili zobaczyła, że walizka wylądowała na tylnym siedzeniu czerwonej torpedy, a dziewczyna usiadła na siedzeniu pasażera obok nieogolonego mężczyzny, z którego biła przyciągająca diaboliczna moc. – Ale zmokłaś Rusałko! – słyszała jak echo Agnieszka Nalewajko. W milczeniu wpatrywała się w odjeżdżające auto i czekała. Dalszy ciąg nie był już przeznaczony dla niej. Miała dostrzec tylko ten jeden fragment własnej opowieści. Ściągnęła okropny, zbyt obszerny kombinezon, wrzuciła go z ulgą do kubła na śmieci. Zdjęła staroświeckie okulary, rozpuściła włosy. Czarne wijące kosmyki, jak żmije rozpełzły się po jej ramionach. Weszła na stację, chwyciła gazetę i przeczytała ponownie wywiad z aktorką najpopularniejszego serialu „Życie nie na sprzedaż”.

Teraz już doskonale wiedziała, dlaczego akurat w tej okolicy gwiazda filmowa kupiła dom. Na dodatek stary dworek, w który trzeba włożyć fortunę, by w nim zamieszkać.

Deszcz ustał, wyrzało słońce. Szła klapiąc japonkami o mokre podłoże, a amulet na jej szyi podrygiwał rytmicznie. Zerwała go jednym ruchem. Mandala z wizerunkiem litery H pofrunęła w krzaki przy drodze. „Już się dokonało – pomyślała. – Machina poszła w ruch”.

Warszawa 2006

Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję mojej Mamie oraz mojemu ukochanemu bratu Igorowi. A także Edwardowi Kaweckiemu, który pomagał złożyć do kupy skomplikowaną fabułę. Prawdopodobnie tylko on jeden wie, co jest w przesyłce Niny Frank.

Składam dziękczynny hołd ludziom, którzy pomagali mi w poznaniu przestrzeni kompletnie mi obcych:

Komisarzowi Bogdanowi Lachowi – wówczas szefowi zespołu psychologów w katowickiej komendzie policji, dziś jedynemu polskiemu profilerowi z wiedzą detektywa, który w przeciwieństwie do książkowego bohatera ma poukładane życie i jest nieprawdopodobnym profesjonalistą. Poświęcił mi swój czas, choć ma go tak niewiele. Zaufał, podzielił się wiedzą i odkrył przede mną rąbek tajemnicy tworzenia psychologicznych portretów nieznanymi sprawców.

Dobrej wróżce Ewie Kulejewskiej, która wprowadziła mnie w magiczny świat runicznych znaków. I podsunęła Hagalaz.

Reżyserowi Witoldowi Orzechowskiemu oraz producentowi Zbigniewowi Domagalskiemu, którzy wysłuchiwali moich niekończących się pytań na temat branży filmowej.

Doktor Annie Nasierowskiej, anatomopatolog z warszawskiego szpitala MSW, która zgodziła się porozmawiać o sekcjach zwłok.

Wojciechowi Fangorowi, wybitnemu artyście, który zgodził się użyczyć swoją pracę – niezwykle kolaż „Magazyn” – na okładkę książki (a myślałam, że jest to niemożliwe).

Oraz wszystkim służącym mi pomocą policjantom, psychologom i „zwykłym ludziom”, których życie podejrzalam podczas pracy jako reporter oraz wykorzystałam fragmenty ich historii.

Wszystkie postaci i zdarzenia w powieści są oczywiście fikcyjne i wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest przypadkowe.

Ta książka nie powstałaby bez pomocy Przyjaciół. Jeszcze raz dziękuję Edwardowi, Kasi Szroeder-Dowjat, Annie Krasuskiej, Kasi Zielonce, Małgorzacie Młodzian oraz Piotrowi Sadurskiemu.

Dziękuję wszystkim, którzy byli ze mną w tym czasie i współtworzyli tę powieść. Wierzę, że będę mogła was uściskać osobiście.

Katarzyna Bondu

Spis treści

Prolog	7
Rozdział 1. <i>Początek końca</i>	9
Rozdział 2. <i>Lidia, miłośniczka seriali</i>	14
Rozdział 3. <i>Szeryf Kula</i>	18
Rozdział 4. <i>Profiler Hubert Meyer</i>	29
Rozdział 5. <i>Tajemnicza bibliotekarka</i>	36
Rozdział 6. <i>Rozmowa z Quantico</i>	44
Rozdział 7. <i>Narodziny Wenus</i>	48
Rozdział 8. <i>Nad Bugiem</i>	55
Rozdział 9. <i>Listonosz znajduje trupa</i>	64
Rozdział 10. <i>Jakub i Matka</i>	80
Rozdział 11. <i>Listonosz czy mąż</i>	85
Rozdział 12. <i>Profiler jedzie na wieś</i>	94
Rozdział 13. <i>Dom Niny</i>	108
Rozdział 14. <i>Mąż żąda wyjaśnień</i>	121
Rozdział 15. <i>Nika to Aga</i>	140
Rozdział 16. <i>Kazirodztwo</i>	152
Rozdział 17. <i>Spotkanie Lidii z Niką</i>	161
Rozdział 18. <i>Tatuaż</i>	168
Rozdział 19. <i>Ucieczka</i>	179
Rozdział 20. <i>Wróżowie i Meyer</i>	187
Rozdział 21. <i>Mefisto i uczennica</i>	206
Rozdział 22. <i>Hagalaz i wariatka</i>	216
Rozdział 23. <i>To ja pana wystatem</i>	229
Rozdział 24. <i>Schody do nieba</i>	240
Rozdział 25. <i>Borys podstuchiwacz</i>	247
Rozdział 26. <i>Wszyscy mają kłopoty</i>	264
Rozdział 27. <i>Jestem mordercą Niki</i>	278
Rozdział 28. <i>Pierwsza śmierć</i>	291
Rozdział 29. <i>Kula przeszukuje całą wieś</i>	307
Rozdział 30. <i>Aktorka</i>	325
Rozdział 31. <i>Mleczarka wbija tasak</i>	332
Rozdział 32. <i>Ochotnicze patrole znajdują mordercę</i>	349
Rozdział 33. <i>Pociąg</i>	356
Rozdział 34. <i>Mieszkanie Kończaka</i>	374
Rozdział 35. <i>Koniec końca</i>	381
Rozdział 36. <i>Wątki się zamykają</i>	390
Rozdział 37. <i>A to była bujda</i>	407
Rozdział 38. <i>Zmoknięta Rusalka</i>	412
Podziękowania	415



SERIA Z KOBRA



Katarzyna Bonda <

Sprawa Niny Frank

„*Sprawa Niny Frank* to udane i ciekawe połączenie tradycyjnego kryminału z erotycznym thrillerem; tak przynajmniej może się wydawać do przedostatniego rozdziału, gdzie następuje zaskakująca i kunsztowna przewrotka, za pomocą której Autorka burzy nagle cały świat przedstawiony powieści, uświadamiając czytelnikowi, że nie z żadną rozrywkową literaturą obcował, lecz po prostu z Literaturą przez duże L.”

Witold Horwath, pisarz, autor słynnego „Seansu” i „Plakona”

„Przerażająco dobry kryminał! Katarzyna Bonda, która przez lata pracowała jako dziennikarka sądowa, potrafi podpatrzeć rzeczywistość i przefiltrować ją przez swoją wyobraźnię, a także serce. Bo książka nie tylko przyprawia czytelnika o ciarki na plecach, ale także wzrusza. *Sprawa Niny Frank* to krwawe, trzymające w napięciu czytadło ze szczyptą magii i romansu w tle.”

Katarzyna Zielonka, „Życie Warszawy”

„Niepokój i ciekawość to uczucia, które towarzyszą lekturze tej książki. I tak powinno być, bo *Sprawa Niny Frank* to kryminał z krwi i kości.”

Katarzyna Jaroszyńska, „Przekrój”

„Udany debiut! Kasia Bonda doskonale radzi sobie z materia kryminału, czerpie równą miarą z własnego warsztatu reportera i najlepszych wzorców gatunku. Jej *Sprawę... czyta się jednym tchem. Gorąco zachęcam do lektury.*”

Anna Dmowska-Kutzner, „Claudia”

„Oto polski kryminał, w którym jest seks, intryga i wyrazisty bohater. Jeśli nie wiecie, kogo jesienią zabrać do łóżka - weźcie Kasię Bondę.”

Robert Ziębiński, „Newsweek”

Patronat medialny:

ŻYCIE WARSZAWY



INTERIA.PL

ISBN 978-83-7183-502-5



9 788371 835025

Cena 29,90 zł